

**WILLIAM
BOYD**
**JAK LODY
W SŁOŃCU**



**WILLIAM
BOYD**

**JAK
LODY
W SŁOŃCU**

Przełożyła Maryla Topczewska-Metelska

Państwowy Instytut Wydawniczy 1990

Tytuł przekładu angielskiego
«AN ICE-CREAM WAR»

Okładkę i stronę tytułową projektowała
MARIA IHNATOWICZ

Copyright © by William Boyd. 1982

Copyright © for the Polish edition by Państwowy Instytut Wydawniczy. Warszawa 1990

PRINTED IN POLAND

Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 1990 r.

Wydanie pierwsze

Nakład 30 000+300 egz. Ark, wyd. 22,1. Ark, druk. 21,25.

Papier offsetowy ki III, 70 g, rola 61 cm.

Oddano do składania 2 czerwca 1989 r.

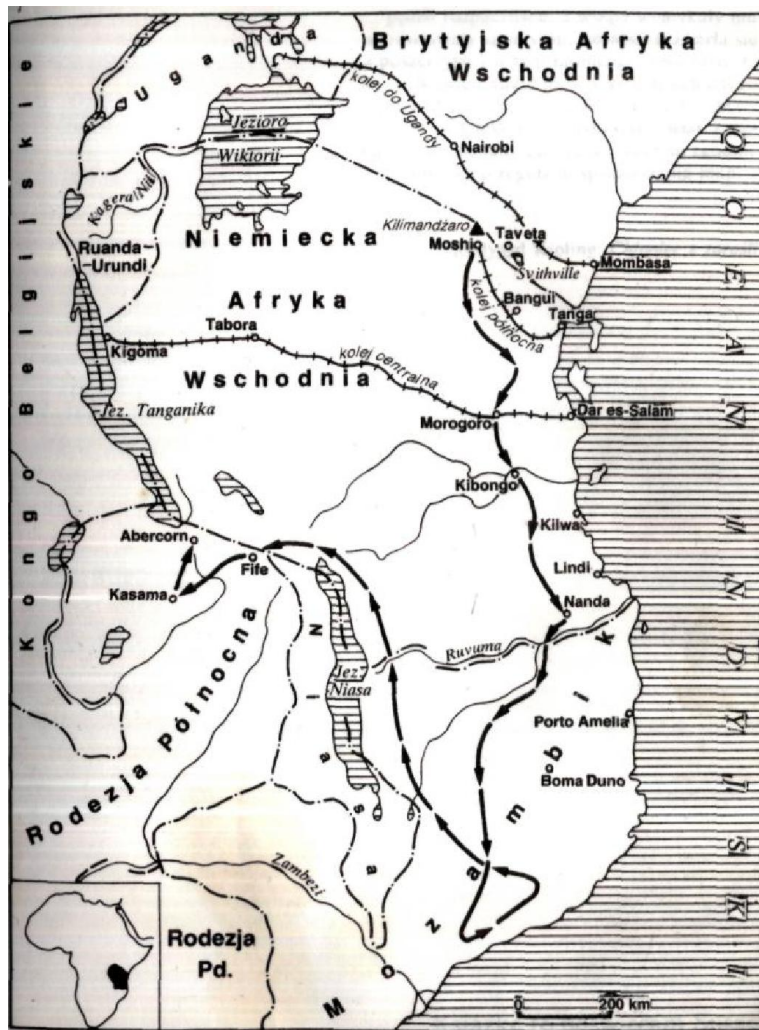
Podpisano do druku w styczniu 1990 r.

Druk ukończono w marcu 1990 r.

Łódzka Drukarnia Dzielowa w Łodzi

Nr zam. 457/1100/89. A-93

ISBN 83-06-01943-1



PODZIĘKOWANIE

Chciałbym podziękować Miss Alice G. Lamont za wyrażenie zgody na wydrukowanie na s. 11 listu jej zmarłego wuja. Pragnę również wyrazić podziękowanie tym, którzy w różnoraki sposób pomogli mi przy opracowaniu tej powieści. Są to: Sir Rex i Lady Roy Surridge. Mrs Valentine Sillery. Mr Robin Whitworth, personel Biblioteki Rhodesa, Uniwersytetu w Oksfordzie i Muzeum Wojny Imperium Brytyjskiego w Londynie.

W. B.
Oksford. 1982

PROLOG

List Francisa Harolda Burgessa, z Ochotniczych Wojsk Kolei Wschodnioafrykańskiej, do siostry, Mrs Lamont

NAIROBI, BRYTYJSKA AFRYKA WSCHODNIA
10 PAŹDZIERNIKA 1914 ROKU

Droga Cecyli,

... Nikomu z nas nic nie grozi w tym okropnym zamęćcie. Oczywiście, gdyby w chwili wypowiedzenia wojny Szwaby w Niemieckiej Afryce Wschodniej przystąpiły do niej od razu, można było nas zaskoczyć.

Mogę ci także wyjawić największą tajemnicę, bo zanim list dotrze do twoich rąk, przestanie to być już tajemnicą: mamy zamiar zająć Niemiecką Afrykę Wschodnią. Z Indii przybywa osiem batalionów, oprócz artylerii, i prawdopodobnie przystąpi do ataku w Voi.

Trudno powstrzymać się od uśmiechu na myśl, że w czasie gdy wszystkie narody Europy skaczą sobie do gardła, my spokojnie zagarniamy kolonie należące do wspólnego wroga. W obecnych czasach człowiek robi się strasznie krwiożerczy i chciałby, jak w Sodomie i Gomorze, zmieść z powierzchni ziemi cały naród niemiecki, a oszczędzić tylko kilka osób. Żałuję doprawdy, że flota brytyjska nie zaatakowała i nie zatopiła floty niemieckiej.

O ile dobrze pamiętam, jest jeszcze drugi Burgess w tym kraju (niech go szlag trafi). Służy jako porucznik w jednym z Indyjskich Pułków, zdaje się w 29 Pendzabskim. Utrapienie mam z jego listami, które przysyłają do mnie, chociaż są adresowane do porucznika Burgessa. W naszej hierarchii wojskowej jest teraz tyle stopni co żółkłych liści jesienią. Nawet Stordy, ten „ośli lekarz”, jest podpułkownikiem i chodzi w mundurze sztabowym dumny jak paw, ale i tak okropny z niego facet. Podpułkownik Stordy powiada, że wojna potrwa tutaj nie dłużej jak dwa miesiące. Stanowczo za gorąco na długotrwałe walki, powiada, stopimy się wszyscy jak lody w słońcu!

Twój szczerze kochający brat

F. H. Burgess

PS. Zapomniałem ci powiedzieć, że dziękuję, czuję się nie najgorzej, a ponadto, że znajdziesz bardzo przydatną mapę Brytyjskiej Afryki Wschodniej w Rocznym Biuletynie Ugandyjskiej Kolei, który zostawiłem w bibliotece.

Część pierwsza
PRZED WOJNĄ

ROZDZIAŁ PIERWSZY

6 CZERWCA 1914 ROKU

DAR ES-SALAM, NIEMIECKA AFRYKA WSCHODNIA

- Jak myślisz, co będzie – spytał pułkownik Theodore Roosevelt swego syna Kermita – jeśli postrzelę słonia w jaja?
- Ojciec – odparł Kermit zachowując powagę – sądzę, że bardzo go to zaboli.

Pułkownik ryknął głośnym śmiechem.

Temple Smith, pilnujący wyładowania koni i ekwipunku, uśmiechnął się słysząc tę wymianę zdań. Pułkownik z synem siedzieli na ławce ponad zderzakiem parowozu. Temple nie widział ich, słyszał jednak rozmowę tak wyraźnie, jakby stali tuż obok. Doszedł do wniosku, że jest to jakoś związane z bezruchem i suchością powietrza.

Pociąg zatrzymał się pośrodku bezkresnej afrykańskiej równiny. Wysokie niebo, kilka leniwie płynących chmur. Wybijała jasna trawa, poznaczona gdzieś kolczastymi krzewami i widocznymi głazami, ciągnęła się po horyzont zamknięty purpurowo-niebieskimi wzgórzami. Panu Loringowi, przyrodnikowi, zdawało się, że zobaczył samca oryksa z gatunku, jakiego myśliwi jeszcze nie upolowali, więc zarządzono postój.

Temple kazał somalijskim stajennym wyprowadzić i osiodłać cztery arabskie kucyki. Rooseveltowie, biały myśliwy pan Tarlten i pan Loring, przyrodnik, mieli pojechać na poszukiwanie oryksów. Opuszczono klapę długiego wagonu do przewozu koni i pierwszy mały kucyk został wyprowadzony na ziemię. Stąpał delikatnie, jakby wypróbowywał grunt, szarpał łbem i strzygł uszami rozdrażniony, chcąc się opędzić od brzęczących much, które nieustannie krążyły dookoła jego głowy.

Temple zdjął gruby kask tropikalny, rękawem wytarł czoło. Nieznośny żar lał się z nieba na niczym nie osłonięty pociąg, nie czuło się najmniejszego powiewu wiatru, na olbrzymiej równinie stepowej nie poruszyło się ani jedno źdźbło trawy.

Ze zdumiewającą wyrazistością Temple usłyszał znów chrząkanie pułkownika Roosevelta, który sikał stojąc na zderzaku parowozu, potem wyprostował się i na sztywnych nogach zszedł na podkłady kolejowe. Jakby go widział oczyma duszy, jakby doznał wizji. Pulchna, niechlujna postać w luźnej wojskowej koszuli, w ciężkich butach, w źle dopasowanych bryczesach koloru khaki, zapiętych ściśto na guziki od kolana do kostki, obwisłych na tyłku. Widział dobronudszą twarz w okularach, z długim sumiastym wąsem, patrzącą z ukosa w złowrogie słońce. Pułkownik wymachiwał rękami i wyłamywał z trzaskiem palce w stawach.

– Dobry dzień na polowanie – powiedział i przeszedł sztywnym krokiem kilka metrów po torze kolejowym.

Potem oczom Temple'a ukazał się – w niezwykle sposób – inny obraz. Zobaczył ładne, drobne rysy Kermita, zastygłe w bladym uśmiechu. Widział, jak tamten sięga po dubeltówkę Rigby. Usłyszał szcęk naoliwionego mechanizmu przy odciągnięciu podwójnych iglic. Zobaczył, jak wolno unoszą się lufy i zatrzymują na wysokości szerokich pleców pułkownika.

– Nie! – krzyknął przerażony Temple i wypuścił z rąk cugle kucyka.

Odwrócił się szybko i spojrział w kierunku lokomotywy. I rzeczywiście pułkownik stał na torze jakieś piętnaście metrów dalej, plecami do parowozu, wpatrzony w krajobraz. Ale nigdzie nie było widać Kermita. Temple zdumiony tym proroczym widzeniem zrozumiał, że los chciał, aby on właśnie zapobiegł zamachowi na życie tego cieszącego się powszechnym uznaniem bohatera wojennego, eks-prezydenta Stanów Zjednoczonych Ameryki.

– Nie! – znów wykrzyknął Temple, ściągając na siebie zdumione spojrzenia pana Loringa i tubylców zajmujących się zwierzętami. – Nie, panie Roosevelcie, na miłość boską, proszę tego nie robić!

Zaczął biec w stronę parowozu, ślizgając się po ziemi i kamieniach nasypu.

Znów w przebłysku proroczej wizji zobaczył, jak Kermit mierzy pomiędzy łopatki ojca. Zobaczył, jak błędnie mu skóra na kłykcium wskazującego palca w momencie pierwszego pociągnięcia za spust.

– Nie! – wrzasnął Temple. – Proszę się zatrzymać! Na miłość boską, to pański ojciec!

– Bum! – huknęło z dwururki. Koszula pułkownika eksplodowała strumieniem krwi i strzępami w kolorze khaki, a półmetrowy rozrzut śrutu osmałił mu twarz.

*

Błyskawicznym ruchem ręki Temple odgarnął moskitierę i usiadł na skrajku łóżka. Podniósł się, przeciągnął. Był nagi. Potarł ramiona i piersi, poklepał się w pośladki, dotknął członka.

Temple był niskim krępyim czterdziestoletnim mężczyzną, wzrostu około stu sześćdziesięciu ośmiu centymetrów, z wydatną klatką piersiową i grubymi,

muskularnymi nogami. Świetną dawniej budowę ciała widać jeszcze było pod obfitymi zwałami tłuszczu. Miał on sporych rozmiarów brzuch, a na plecach dwie fałdy biegnące od karku do nerek. Piersi i szerokie ramiona pokrywało bujne, siwiejące, kędzierzawe owłosienie. Zarys szczęki dawno już zniknął w fałdach podbródka. Przyprószone siwizną włosy z przedziałkiem pośrodku miał krótko przystrzyżone, a z górnej wargi opadały ciemne krzaczaste wąsy. Wąsy stanowiły tak charakterystyczny rys twarzy, że często z całej postaci pozostawał w pamięci tylko ten szczegół. Nos miał mały, perkaty, oczy wyblakłe, niewinne.

Podszedł do okna, uchylił okiennice na szerokość kilku centymetrów. Z okna swego pokoju na najwyższym piętrze hotelu „Kaiserhof” miał dobry widok na rozległy, naturalny port Dar es-Salam. O jakieś pół kilometra od brzegu stał na kotwicy krążownik „Königsberg”: Z czterocalowych dział wystrzelono ostatnią salwę powitalną. Nabrzeże wypełniały tłumy widzów, flagi zwisały z każdego słupa telegraficznego, okna i balkonu. Uderzeniem czyneli orkiestra armii kolonialnej, *Schutztruppe*, zaczęła grać *Deutschland über alles*, a jej dowódca, pułkownik Paul von Lettow-Vorbeck, dokonywał przeglądu kompanii honorowej.

Temple odwrócił się z uśmiechem i pomyślał o swym śnie. Od lat nie śnił mu się Roosevelt. Ziewnął. Powinien być właściwie wdzięczny tej starej świni. W końcu gdyby nie Roosevelt, nie przyjechałby w ogóle do Afryki. W 1909 roku, Temple jako kierownik małej odlewni żelaza w Sturgis, w stanie New Jersey, doszedł do takiego punktu w życiu, w którym czekała go już tylko coraz większa nuda i rozczarowanie. Wtedy zobaczył ogłoszenie zamieszczone przez Smithsonian Institute – poszukiwano kogoś, kto by pokierował i zorganizował wyprawę połączoną z polowaniem i zbieraniem okazów różnych gatunków fauny w Afryce. Zgłosił swą kandydaturę, został przyjęty i dwa miesiące później wsiadł na statek wraz z Rooseveltami, na którym też znalazły się całe tony ich bagażu. Współpraca z nimi nie trwała długo. Rooseveltowie strzelali do wszystkiego, co się poruszało. Temple, zaniepokojony tym, że myśliwi pozostawiają mnóstwo rannych zwierząt i ptactwa, zaprotestował łagodnie. Na co Kermit bezzwłocznie wymówił mu pracę.

Grymas wykrzywił twarz Temple'a. Stary był w porządku, tylko z Kermitem nie udało mu się w ogóle dojść do porozumienia. Kiedy zatem w 1913 roku * ukazała się książka pułkownika – *Afrykańskie szlaki myśliwskie* – nie było w niej najmniejszej wzmianki o Temple'u. Kara za nieposłuszeństwo, jak sądził. Zadał sobie pytanie, czy czytelnik nie zastanawiał się, jak myśliwi z całymi tonami sprzętu osobistego poruszali się z miejsca A do miejsca Z?; jak załadowywano i rozładowywano pociągi? Nakazać sobie spokój; patrząc z perspektywy

czasu, Rooseveltowie wyświadczyli mu przysługę i jeśli o niego chodzi, w ostatecznym rozrachunku tylko to się liczy.

* W rzeczywistości książka ta ukazała się wcześniej pt. *African Game Trails*, wyd. Charles Scribner's Sons, Nowy Jork 1910.

Temple pozwolił sobie na luksus zażycia kąpieli, a potem włożył świeże, czyste ubranie. Jego zdaniem „Kaiserhof” zaliczał się do najlepszych hoteli w Afryce Wschodniej. Do lepszych niż „Norfolk” w Nairobi i „Grand” w Mombasie. Gorąca i zimna woda bieżąca, służba wyszkolona z niemiecką pedanterią i doskonały browar w odległości pięciu minut jazdy rikszą.

Po śniadaniu Temple wyszedł z hotelu na Arabstrasse. „Kaiserhof” był właściwie hotelem kolejowym, wybudowanym przed blisko sześciu laty, kiedy zrodził się projekt centralnej linii kolejowej Dar – Jezioro Tanganika. Był to duży budynek z kamienia z zębatym zwieńczeniem imitującym mury obronne, stał na rogu Arabstrasse i Bahnhofstrasse. Za Temple'em rozciągała się laguna portu z nową wybudowaną przystanią, urzędami portowymi i barakami urzędu celnego. Przed nim leżało rozsypujące się hinduskie miasteczko, pełne rozwalających się domów z gliny, stłoczonych w labiryncie wąskich, cuchnących zaułków. Gdyby skierował swe kroki na wschód podążając Arabstrasse, doszedłby do Unter den Akazien, głównej ulicy handlowej, świadczącej wyraźnie o niemieckiej schludności. Unter den Akazien, wąska aleja obsadzona drzewami ognistymi, prowadziła do dzielnicy willowej Dar. Szerokie ulice z drzewami, solidne dwu- i trzypiętrowe domy z kamienia, w stylu kolonialnym, z czerwonymi dachówkami i obszerny, pięknie położony ogród botaniczny.

Właśnie ogród botaniczny był celem wizyty Temple'a w tym mieście – chodziło mu o kupno sadzonek kawy. Szybko załatwił korzystną transakcję z pełnomocnikiem do spraw rolnictwa kolonii albo, jak brzmiał jego oficjalny tytuł, *Chef der Abteilung für Landeskultur und Landesvermessung*. Zapłacił godziwą cenę za sadzonki kawy, które przygotowane do drogi i załadowane do skrzyń czekały na mającą się odbyć następnego dnia podróż.

Temple miał przed sobą daleką drogę na farmę, która leżała u podnóża Kilimandzaro w Brytyjskiej Afryce Wschodniej. Najpierw płynęło się przybrzeżnym parowcem z Dar do Tangi, potem jechało cały dzień Koleją Północną do Moszi, skąd czekała jeszcze jednodniowa podróż wozem przez granicę do Brytyjskiej Afryki Wschodniej i do jego własnej farmy, która leżała w pobliżu Tavety, małego miasteczka i dawniejszego ośrodka misyjnego.

Ponieważ dzień wcześniej pomyślnie załatwił sprawy handlowe, a pozostało mu trochę pieniędzy, postanowił posmakować zabawy karnawałowej, jaka ogarnęła miasto. Kolonia niemiecka świetnie prosperowała, zakończono akurat budowę Kolei Centralnej. Oficjalnie otwarcie miało nastąpić w sierpniu i w związku z tym planowano zorganizować w Dar es-Salam wielką wystawę. Dlatego, jak przypuszczał Temple, przybyła flotylla niemiecka – krążownik

„Königsberg”, kilka niszczycieli, statków patrolowych i tender.

Zawrócił i poszedł Bahnhofstrasse, obok wspaniałego nowego dworca, do basenu portowego. Setki ludzi wyległy z domów, żeby powitać i podziwiać „Königsberga”. W porannym słońcu jego smukła sylwetka i trzy wysokie kominy rysowały się ostro i wyraźnie na tle nieba. Sznury flag zdobiły jego maszty, załoga stała na pokładzie wyprężona na baczność.

Thum podzielił się według przynależności rasowej. Po obydwu stronach urzędów portowych stali Hindusi, Arabowie i krajowcy, przed frontem budynków biurowych, pod markizami w kolorowe paski, zebrali się niemieccy urzędnicy kolonialni. Spora kompania honorowa składająca się z nieskazitelnie ubranych askarysów stała w szeregu na nabrzeżu. Młody biały oficer przeprowadzał z nimi elementarną musztrę. Tak na oko byli równie sprawnie wyćwiczeni jak europejskie wojsko, które Temple widział. Na prowizorycznym podium orkiestra dęta *Schutztruppe* grała głośno melodie wojskowe.

Temple rozejrzał się dokoła. Wszyscy odświętnie ubrani. Kobiety w białych sukniach z koronkami osłaniały parasolkami twarze, mężczyźni wystąpili oficjalnie – w kapeluszach, kołnierzykach i krawatach. Temple przyłączył się do tłumu, obserwował kapitana „Königsberga”, który akurat pojawił się na brzegu. Powitał go von Lettow-Vorbeck, elegancki niski mężczyzna ze starannie wygoloną głową, i Herr Schnee, gubernator Niemieckiej Afryki Wschodniej. Potem przeszli razem do przyozdobionych i osłoniętych foteli, ustawionych w szeregu. Nastąpiły mowy, jedna po drugiej. Temple słabo znał niemiecki i właściwie nic nie rozumiał z owych przemówień. Poszedł więc dalej.

W pewnej odległości od „Königsberga” stała „Tabora”, statek żeglugi regularnej *Deutsche Ost-Afrika*, którego przez drugą połowę drogi z Bremerhaven eskortował krążownik. Pasażerowie „Tabory” właśnie wychodzili na pomost. W pobliżu, brygady tubylców wylądowały z barki zaopatrzenie, a także liczne kufry i walizy.

– Jakże się pan miewa, panie Smith – usłyszał słowa wymówione w języku angielskim niezwykle piskliwym głosem.

Temple odwrócił się zdumiony, że pośród tylu niemieckich głosów słyszy nienaganną wymowę angielską. Jeszcze bardziej się zdumiał, kiedy stwierdził, że głos należy do oficera *Schutztruppe*.

– Coś podobnego! – odezwał się Temple; jego amerykański akcent jaskrawię kontrastował z akcentem rozmówcy. – Erich von Bishop. Co pan robi w tym mundurze? Myślałem, że porzucił pan już służbę wojskową.

Von Bishop był sąsiadem Temple'a. Ich farmy leżały w rejonie Kilimandżaro, w odległości kilku kilometrów, oddzielone granicą między Niemiecką a Brytyjską Afryką Wschodnią. Von Bishop był wysokim, szczupłym mężczyzną o melancholijnej, gładko ogolonej twarzy. Miał duży spiczasty nos i niezwykle

wydatną górną wargę, która zdaniem Temple'a nadawała mu wygląd krańcowego przygnębienia. Należał do mężczyzn zaliczanych niemal do brzydkich jak nieszczęście; twarz o osobliwych rysach przybrała teraz wyraz opanowania. Najniezwyklejszy wydawał się jego głos. Dyszkantowy jak u chłopca, urywany i zdławiony, jakby lada chwila miał się załamać. Wzorem von Lettowa-Vorbecka, swego dowódcy, siwe włosy miał krótko obcięte na jeża. Był w lśniącym białym, wykrochmalonym mundurze kapitana *Schutztruppe*, z szablą polyskującą u boku.

– Jestem w rezerwie – przypomniał Temple'owi. – Wszyscy zostaliśmy wezwani na tę uroczystość. Dziś w późniejszych godzinach odbędzie się wielka parada. A poza tym witam moją żonę. Przyjechała z Niemiec – pokazał ręką na port. – Na „Taborze”.

– No cóż, nie zatrzymuję pana dłużej – powiedział Temple. Nie znał żony von Bishopa, ale wiedział, że ponad rok przebywała poza Afryką.

– Ależ, proszę – zaoponował von Bishop. – Musi pan ją koniecznie poznać. W końcu jesteśmy w pewnym sensie sąsiadami.

– Z największą przyjemnością – odparł Temple. Trzeba przyznać, że był ciekaw. Nie znał dobrze von Bishopa. Od czasu kiedy Temple osiadł na swojej farmie, spotkali się być może cztery razy w ciągu trzech lat, ale zdążył już wyrobić sobie opinię o tym człowieku – według niego był to okropny dziwak – ciekawe, jak wygląda jego żona.

Von Bishop miał jakieś pięćdziesiąt parę lat i, o ile Temple się orientował, był z pochodzenia pół-Niemcem, pół-Anglikiem. Z jakichś powodów ukończył w młodości niemiecką akademię wojskową w Kessel i pojawił się w Afryce Wschodniej w latach dziewięćdziesiątych. Wyróżnił się w uśmierzeniu brutalnej rewolty Madzi-Madzi w 1907 roku * i w uznaniu zasług dostał honorowy tytuł „von”. Posiadał dużą i dobrze prosperującą farmę, na której uprawiał kukurydzę i banany.

* Rewolta Madzi-Madzi przeciwko dominacji kolonialnej w Tanganicy trwała właściwie od 1903 do 1905 roku.

Obydwaj mężczyźni ruszyli w stronę tłumu witającego pasażerów statku. Temple zobaczył, jak von Bishop zastąpił na widok kobiecej postaci, która właśnie wchodziła po schodkach z barki na pomost. Miała na sobie prostą błękitną sukienkę do kostek, z małymi krezami u mankietów. Słomkowy kapelusz z szerokim rondem osłaniał jej twarz. Temple oczekiwał, że von Bishop podejdzie ją przywitać, ale ten nie ruszył się z miejsca.

– Aha – odezwał się ostrożnie. – Oto i ona.

– Kto? – zapyta! Temple. – Czy to pańska żona?

– Moja kochana żona – odparł von Bishop wzruszony. Klasnął w ręce i nadal tkwił w miejscu.

Temple zastanawiał się, dlaczego nie podchodzi do niej się przywitać.

- Aj, aj, aj! – rzekł von Bishop z posmutniałą twarzą.
- Co się stało?
- Zmieniła... zmieniła się. Jak to powiedzieć? Wydaje się bardzo zdrowa.

Tak, zdrowa.

Wyglądało na to, że i Frau von Bishop nie spieszyła się do powitania.

Zeszła z pomostu i rozglądała się wolno dokoła. Co pewien czas sięgała do torebki i wkładała coś do ust.

- Erich! – ujrzała go i podeszła w ich stronę. Dopiero wtedy von Bishop ruszył jej na spotkanie, z galanterią ucałował w policzek, powiedział coś po niemiecku, podał żonie rękę i podprowadził do Temple'a.

- To jest pan Smith, nasz sąsiad z Brytyjskiej Afryki Wschodniej. Panie Smith, oto moja żona Liesl.

- Miło mi panią poznać – powiedział Temple. – Mam nadzieję, że podróż się udała.

- Tak – odparła wolno po angielsku, z silnym akcentem niemieckim. – Dziękuję, całkiem znośnie. Cieszę się, że pana poznałam.

Uścisnęli sobie ręce. Kiedy mówiła, z jej ust zaleciał silny zapach mięty.

Była to kobieta dobrze zbudowana, zauważył Temple, wyglądająca znacznie młodziej od von Bishopa, lat około trzydziestu pięciu. Wysoka, jak jej mąż, z szerokimi ramionami, o wydatnych piersiach i zaokrąglonych biodrach. Miała bardzo bladą, jasnokremową piegowaną cerę, nos z lekkim garbem, zielone oczy, szerokie usta. Górna warga takich samych rozmiarów jak dolna, może nawet trochę większa – sprawiała wrażenie, jakby kobieta wstrzymywała się od rozmowy. Spod kapelusza wymykało się kilka kosmyków skręconych, jasnordych włosów.

Von Bishop poszedł dopilnować załadowania bagażu na riksę.

- Co pan porabia w Dar? – spytała nagle Frau von Bishop.

- Przyjechałem kupić sadzonki kawy – wyjaśnił Temple. – W Brytyjskiej Afryce Wschodniej nie ma czegoś równie pięknego jak wasz ogród botaniczny. Muszę jednak wyznać, że chciałem zobaczyć Dar no i, hm, waszą wspaniałą, nową kolej. – Zastanawiał się, dlaczego mówi w taki śmieszny sposób. Może dlatego, że kobieta zdawała się oceniać każde jego słowo.

- Pan chyba nie jest Anglikiem? – spytała, przechylając na bok głowę, jakby przyłapała go na kłamstwie.

- Nie – wyznał Temple. – Jestem Amerykaninem. Ze Stanów Zjednoczonych. Przyjechałem tu w tysiąc dziewięćset dziewiątym roku z prezydentem Rooseveltem na polowanie. No i postanowiłem zostać.

- Ach tak – powiedziała. Nastąpiło niezręczne milczenie. – Dlaczego ten Erich tak długo nie wraca? Poczęstuje się pan miętusem? – Podała papierową torebkę.

- Ojej, dziękuję. – Wsunął cukierek do ust. Nie przepadał za miętowymi cukierkami.

– Przeciwno... *mal de mer*. Jak się to nazywa?

– Przepraszam, co to jest *mal de mer*?

Ku zdumieniu Temple'a, Frau von Bishop wyraziła dosadnie mimiką, co to oznacza, a nawet głośno beknęła.

– Chory – powiedziała. – Na morzu.

– Ach, choroba morska. Tak, hm.

– Choroba morska? – Sprawiała wrażenie, że irytuje ją prosta logika słów.

– To przeciw chorobie morskiej. Miętus.

Temple skinął energicznie głową na znak, że rozumie. Znowu nastąpiła przerwa w rozmowie.

– Hm – zaczął zażenowany Temple. – Na pewno miło jest wracać do domu.

Wydawało się, że kobieta coś odpowie, ale przerwał jej powrót męża.

– Wszystkie już są – oznajmił wesoło von Bishop, mając na myśli bagaże.

– Jedziemy?

Wsiadli obydwójce do rikszy.

– Jesteśmy gośćmi gubernatora – powiedział von Bishop. – Można pana gdzieś podwieźć?

– Nie, dziękuję – odparł z wdzięcznością Temple. – Chyba jeszcze popatrzę trochę na tę paradę. Potem mam zamiar spróbować waszego niemieckiego piwa.

– Rozumiem. Wobec tego do widzenia.

– Do widzenia panu – powiedziała Frau von Bishop, rozstrzygając definitywnie sprawę. – Miło mi było pana poznać.

– Do widzenia – odparł Temple i uniósł kapelusza.

– Proszę zaczekać – zawołał piskliwym głosem von Bishop. – Kiedy wraca pan do Tavety?

– Chyba... jutro.

– Wspaniale, wspaniale. Możemy razem odbyć tę podróż. Do jutra, panie Smith.

Kiedy odjeżdżali. Temple zobaczył, jak Frau von Bishop gniewnie ofuknęła męża. Co za dziwni ludzie, pomyślał. Obserwował małą karawanę rikszy – von Bishopowie na czele trzech innych, wiozących bagaż – która posuwała się przed frontem portu łagodnie biorąc zakręt, potem pojechała koło kościoła katolickiego, poczty, klubu europejskiego, w kierunku pałacu gubernatora położonego w gaju drzew palmowych i mangowych u wylotu laguny. Powiódł wzrokiem po zbitej ciasno flotyli kotłującej się na połyskliwej wodzie, potem zawrócił. Szedł w tłumie ludzi, dotarł na tyły urzędów portowych. Zawołał riksze i wsiadł. Na pół nagi afrykański riksarz obejrzał się, chcąc usłyszeć, dokąd ma jechać.

– *Die Braurei* – powiedział Temple. Jeśli ma podróżować z von Bishopami, warto zabawić się wesoło ostatniego dnia.

Tego samego wieczoru, w godzinach późniejszych. Temple wymknął się z „Kaiserhofu”. Było w pół do jedenastej i bezksiężycowe niebo iskrzyło się gwiazdami. Jego oczy bezwiednie wyszukały znane mu konstelacje i poszczególne gwiazdy: Pas Oriona, i słabo widoczną resztę tego gwiazdozbioru. Wielką Niedźwiedzicę, Kasjopeję, Wenus. Ulice były puste i nie oświetlone. Światło elektryczne padało z okien „Kaiserhofu”, a z sali klubowej dochodziło pobrękiwanie pianoli. Noc była bardzo ciepła. Z hinduskiej części miasta, przypominającej mrowisko, unosiły się wonne zapachy, słychać było okrzyki i dudnienie bębnów, jakby ktoś wydawał przyjęcie. Temple poszedł kilka metrów ulicą Unter den Akazien. Nie chciał iść sam pieszo do dzielnicy hinduskiej. Przywołał riksę, podał nazwę hotelu na Marktstrasse. Riksarz wiozł go szybko przez ciemne zaułki. Temple siedział na twardej drewnianej ławce i rozkoszował się lekkim podmuchem wiatru.

– Tutaj, *bwana* – powiedział riksarz.

Temple wysiadł, zapłacił za kurs. Nad drzwiami hotelu widniał wyblakły napis „Kituoinnee Hotel”. Temple wszedł do środka. Lampy naftowe rzucały przyćmione kuszące światło. Usłyszał szmer stłumionej rozmowy. W obszernym pokoju na parterze siedziało przy stołach blisko pół tuzina marynarzy z „Königsberga”. Kilku pracowników kolei grało w karty. W jednym kącie, przed półkami z baterią butelek wypełnionych alkoholem, znajdował się mały drewniany szynkwaz. Za nim stał smagły Goańczyk.

– *Bitte, mein Herr.* – spytał gościa idącego w jego kierunku.

Temple podszedł do baru ostrożnie, położył ręce na blacie. Przelknął ślinę.

– *Guten Abend* – powiedział. – Mówisz po angielsku?

Kilku marynarzy obejrzało się, słysząc obcy akcent Temple'a. Temple czuł, jak w dusznym pomieszczeniu ubranie oblepia mu ciało. Zastanawiał się, dlaczego zadaje sobie tyle trudu.

– *Englisch?* – spytał Goańczyk. – *Nein.*

Cholera, zaklął Temple pod nosem.

– Góra? – spytał Goańczyka pokazując na sufit.

Ten uśmiechnął się, zrozumiałwszy, o co chodzi.

– *Oh, ja* – odparł. Następnie pokazał na marynarzy. – *Ein Moment, ja?*

Temple usiadł, wypił dwa kufle piwa. Kroki trzech marynarzy zadudniły po drewnianych schodach, kiedy schodzili z pierwszego piętra. Szczrzyli zęby w szerokim uśmiechu i natychmiast wdali się w potajemne rozmowy z przyjaciółmi.

Temple zapalił papierosa. Starał się nie myśleć o niczym. Skupił uwagę na

smaku piwa. Dobrze, pomyślał, warzone tu w mieście, nie gorsze od tego, jakie pijał w innych miastach Afryki... Rozejrzał się po barze. Jak na bar, zauważył, jest tu naprawdę spokojnie. Szmer rozmów marynarzy, szybki ruch kart w rękach pracowników kolei, przypadkowe skrzyknięcie krzesła na wyłożonej płytami podłodze. Tak jakby każdy bał się zwrócić na siebie uwagę, chciał jak najmniej rzucać się w oczy.

Dwóch następnych marynarzy zeszło ze schodów. Właściciel, Gończyk, podszedł do Temple'a i zabrał pusty kufel. Uśmiechnął się przy tym, dał mu znak głową i pokazał wzrokiem górne piętro. Temple wstał. Miał już podejść do schodów, kiedy Gończyk dotknął jego łokcia.

– *Vier Rupee, bitte* – powiedział.

Temple zapłacił należność. Wszedł szybko na schody, świadomy odgłosu, jaki jego ciężkie buty wydają na drewnianych stopniach. Na podeście pierwszego piętra zobaczył trzy pary drzwi. Nacisnął delikatnie klamkę pierwszych, ale były zamknięte. Miał otworzyć drugie, gdy wyszedł z nich niemiecki marynarz. Temple ustąpił mu z drogi, marynarz przeszedł obok. Powiedział coś po niemiecku, czego Temple nie zrozumiał, przywołał jednak na twarz wymuszony uśmiech, wzruszył ramionami i zachichotał. Wyczuł intuicyjnie, co to mogła być za uwaga. Zbliżył się do trzecich drzwi, pchnął je i wszedł do środka. Pokój był nieduży i pusty, z wyjątkiem żelaznego łóżka. Małe okno wychodziło na Marktstrasse. Przed uchylonymi lekko okiennicami stała Murzynka i wyglądała na ulicę. Nie osłonięta lampa naftowa z płonącym knotem, umieszczona na półce nad łóżkiem, rozjaśniała ciemność.

Kobieta przy oknie żuła coś zapamiętałe. Miała na sobie prostą bawełnianą koszulę i jasny szal z frędzlami zarzucony luźno na ramiona. Dużym palcem prawej stopy drapała się w lewą tydkę.

Temple odchrząknął, zamknął za sobą drzwi. Kobieta obejrzała się.

– *Abend* – powiedziała bezbarwnym tonem i podeszła do łóżka.

Ma dziwny wygląd osoby, w której wymieszały się cechy rasy arabskiej, hinduskiej i murzyńskiej, pomyślał Temple. Włosy długie i kręcone związane były w skomplikowany węzeł. Z szyi zwisały jej sznury koralu i metalowe naszyjniki. Szczupłe ręce zdobiła cała kolekcja bransoletek. Łóżko przykrywał szary koc. Temple podszedł bliżej. Zauważył, że kobieta ma mocno naoliwione włosy, a całe ciało pokryte cienką warstwą błyszczącego tłuszczu. Ciemnoniebieski tatuaż na przedramieniu odcinał się ostro od ciemnobrązowej skóry ciała. W nosie tkwił prosty mosiężny kołczyk w kształcie kwiatu. Przedziałek na głowie posmarowany był zrudziałą maścią ochrową. Od jej ciała zalaływał jakiś dziwny zapach moczu. Temple zastanawiał się, ile ras, kultur, wierzeń i obyczajów zetknęło się w tym małym pokoju jednego wieczoru, uświadomił sobie, że on także wniesie w to swój niewielki wkład.

Rozejrzał się po pokoju i nagle zdał sobie sprawę z panującego tu brudu. Zobaczył rozklekotaną ramę łóżka przewiazaną drutem, muchy i owady brzęczące i pelzające wokół płomienia lampy. Instynktownie wyczuł, jak koc, pełen pluskiew, porusza się i drga.

Podrapał się w głowę. Swego czasu bywał w kilku prymitywnych burdelach, ale ten pobił wszelkie rekordy. Mimo to, pomyślał, słowo się rzekło, nie ma sensu wycofywać się teraz.

Kobieta złożyła starannie szal w nogach łóżka. Jednym ruchem, któremu towarzyszył brzęk bransolet, zdjęła koszulę. Miała teraz na sobie tylko ozdoby. Temple zauważył, że jej talię zdobią sznury koralików. Jakby człowiek szedł do łóżka z gablotą pełną bibelotów w sklepie ze starociami. Nie był pewien, czy przypadkiem paciorki nie są jakimś talizmanem.

Kobieta usiadła i z niewinnym bezwstydem rozłożyła nogi, żeby lepiej zbadać przyczynę swędzenia lewej łydki. Temple stwierdził z irytacją, że gładzi sobie włosy. Kobieta miała obwisłe, osobliwie spiczaste piersi. Wzory tatuażu na przedramieniu przechodziły na dalsze części jej torsu.

Na nieszczęście odpiął pasek i guziki spodni. Nie miał na sobie kalesonów, kobieta nie zwracała na niego uwagi. Spojrzała dopiero wtedy, gdy potknął się przy ściąganiu spodni. Pochłonięty egzotyką otoczenia zapomniał zdjąć buty.

– *Moment* – powiedziała kobieta. Ociężałym krokiem podeszła do okna, obwisłe piersi kołysały się i drgały. Przeżuwała coś energicznie przez chwilę, potem wypluła przez okno w ciemności nocy. Rozległo się głucho plaśnięcie, jakby to coś uderzyło o blaszany dach gdzieś w dole.

Wystarczy, pomyślał Temple. Mój Boże, jakie to przygnębiające. Był to jego ostatni wolny wieczór: miał się wesoło zabawić.

Podciągnął spodnie.

– Przepraszam – powiedział. – Niech pani nie ma do mnie żalu, proszę pani. Dobranoc.

Kiedy wciągała na powrót koszulę, usłyszał brzęk bransoletek – brzmi to jak śmiech, pomyślał i wyszedł z pokoju.

ROZDZIAŁ DRUGI

8 CZERWCA 1914 ROKU

KOLEJ PÓLNOČNA, NIEMIECKA AFRYKA WSCHODNIA

Liesl von Bishop wpatrywała się w zielone, wznoszące się nad okolicą płaskie wierzchołki gór Usambara, kiedy pociąg sapiąc włókł się wąskim zboczem na północ od stacji końcowej w Moszi. Jej oczy ledwo dostrzegały zwierzynę, jelenie i antylopy, umykające spod kół pociągu. Czowała, jak ogarnia ją potworna nuda. W przedziale mimo otwartych okien było gorąco i duszno. Przycisnęła czoło do ciepłej szyby i usiadła wygodniej na lśniąącym skórzanym siedzeniu. Poczowała swędzenie w pośladkach. Gdzieś nad jej głową zabręczała mucha. Liesl przetrzała piekące oczy. Erich i gruby Amerykanin od chwili opuszczenia Tangi bez przerwy palili cygara. Dlaczego, och, dlaczego wróciła do Afryki? Od czasu gdy przyjechała tu przed trzema dniami, zastanawiała się nad tym setki razy. Noc w Dar i przyjęcie u tego protekcyjnie zachowującego się gubernatora Schnee i jego upartej nowozelandzkiej żony prosto od krów. Potem podróż przez rozkołysane, rozhukane morze na pokładzie brudnego parowca żeglugi nieregularnej z Dar do Tangi, wyładunek i ponowny załadunek bagaży. Uciążliwy pobyt w „Deutsche Kaiser Hotel” w Tandze; Erich i gruby Amerykanin przez całą noc żartowali i pili z ogorzałymi farmerami i oficerami *Schutztruppe*. Erich szeptał coś do niej po pijanemu, niepewnie wdrapując się na trzeszczące łóżko, a potem niemal natychmiast zapadł w pijacki sen.

Od rana znów się zaczęło: trzy godziny w kurzu i smrodzie na stacji w Tandze, upał, pragnienie, cały stos bagaży. Tłusty Amerykanin biegał zaaferowany i szukał wody dla swych wędnących sadzonek kawy. Erich chodził ponury, z bólem głowy. Ona krążyła dokoła budynków stacji, żeby znaleźć chłód w zacienionym miejscu i wachlowała się jedwabnym wachlarzem, który na pożegnanie dostała w prezencie od matki. Spozrzęła, że wszystkie trzy zegary na stacji w Tandze wskazują różne godziny.

W końcu staroświecki pociąg, sapiąc i dysząc wjechał tyłem na stację. Bagaż i skrzynie zostały załadowane, zajęli miejsca w przedziale pierwszej klasy. Zanim pociąg wyruszył z Tangi w codzienny kurs do Bangui, w połowie drogi między Tanga a Moszi, nastąpił dalszy nieprzewidziany czterdziestominutowy postój. W Bangui będą musieli spędzić następną noc, ponieważ pociągi między Bangui a Moszi kursowały tylko dwa razy w tygodniu. Liesl westchnęła na myśl o szybkości i niezawodności pociągów w Niemczech. Z jej rodzinnego domu w Koblenacji do siostry w Monachium jedzie się niecały dzień!

Odwróciła głowę i szybkim ruchem rozłożyła wachlarz. Z jakiegoś powodu Amerykanin wstał i bujał się niebezpiecznie w rytm ruchu pociągu. Małe czarne cygaro przylepione do ust sterczało spomiędzy szczeciniastych wąsów; pocierał energicznie pośladki i okładał pięściami, jakby uklepywał poduszki.

Uśmiechnął się, ale wąsy zasłaniały usta, tylko zmiana zarysu policzków i trójkątne szparki, w które zamieniły się jego oczy zdradzały ten uśmiech.

Mówił nie wyjmując smrodliwego cygara z ust – bardzo pospolity człowiek, pomyślała, wcześniej już zauważyła jego okropne maniery przy stole w hotelu: naprawdę pospolity.

– Człowiek sztywnieje przez to ciągle siedzenie – powiedział.

– O czym on mówi? – pomyślała Liesl. Nie zrozumiała prawie ani słowa z jego wypowiedzi – jęklivy, jednostajny głos – a ona szczyciła się swoim angielskim. Uśmiechnęła się powściągliwie i powróciła do podziwiania widoku gór za oknem.

– Niech mi pan powie, Erich – usłyszała słowa Amerykanina, który zamiast „ch” wymawiał „sz”. – Cóż to ludzie wygadują o wojnie między Anglią a Niemcami?

Zamknęła oczy. Wojna, wojna, wojna. Miała dosyć słuchania tego, co mężczyźni mówią o wojnie. Byli jak dzieci. Ojciec, szwagier, siostrzeńcy. Wojna, polityka, wojna, polityka. Znów cicho westchnęła, tak żeby Erich nie usłyszał, i pomyślała o domu siostry w Monachium. Światło elektryczne, woda bieżąca w ubikacjach, piękne meble, bogactwo i różnorodność jedzenia. Zapomniała, jak te rzeczy wyglądają: przez wszystkie wspólne lata spędzone z Erichem na farmie zapomniała o urozmaiconych i smacznych potrawach. W czasie ostatniego pobytu w kraju jadła dużo, na zapas, jak niektóre zwierzęta przed snem zimowym. Biodra i brzuch wypełniały ciasno gorset, sznurówki zluzowała do granic możliwości. Żaden z jej afrykańskich strojów nie nadawał się do noszenia. Czowała, jak bluzka uwiera ją pod pachami, materiał opina się – wprost nieprzyzwoicie – na szerokich ramionach.

Poczuła jak swędzą ją z tyłu uda. Już po trzech dniach zaczynała się potna wysypka. Powinna codziennie się kąpać, a nie miała do tego sposobności od czasu opuszczenia „Tabory”. Przeklinała swą jasną karnację, delikatną wilgotną skórę i nagle pozazdrościła Amerykaninowi, że stoi i drapie się bez skrępowania w pośladek.

Żeby odwrócić uwagę od złego samopoczucia otworzyła torbę podróżną i wyjęła cienkie drewniane pudełko. Ostatnie pudełko kupionego w Port Saidzie rachatlukum. Kupiła pięć na zapas, ale objadała się nimi niemal przez całą drogę, jakby to było po raz ostatni w życiu.

Uniosła wieczko. Pozostały trzy kawałki, wyglądające jak duże klocki nie oszlifowanego drogocennego kamienia, jasnoróżowe, błyszczące pod warstwą cukru pudru. Wyjęła mały drewniany widelczyk, wbiła go w największy kawałek i wsunęła do ust – napłynęła jej ślinka. Gryzła wolno i opieszale, tak żeby jak najdłużej zatrzymać ów smak. Pozostały dwa kawałki. Zamknęła oczy i rozkoszowała się rachatlukum, zapominając na chwilę o dokuczliwym swędzeniu.

– To musi być niezła rzecz – usłyszała słowa Amerykanina. A potem wymuszony śmiech Ericha.

– Ach, widzi pan, Liesl stała się amatorką słodyczy.

Otworzyła oczy i zobaczyła, jak uśmiechają się do niej od ucha do ucha, niczym dwaj głupcy. Podała Erichowi pudełko. Z lekkim sapnięciem odmówił poczęstunku ruchem ręki. Podsunęła je Amerykaninowi. Zajrzał do środka niemal wstydliwie.

– Chyba tego jeszcze nigdy nie widziałem. Jak się to nazywa?

– Rachatlukum – odpowiedziała apatycznie.

– Hej! Prosto z Turcji. – Dwa krótkie stwardniałe palce wyciągnęły kawałek rachatlukum z pudełka, został tylko jeden.

– Przezrocyste, ładnie wygląda. Egzotyczne doznanie – stwierdził Amerykanin.

Obserwowała go, jak przegryza przysmak na pół, unosi brwi z aprobatą, potem zjada resztę i oblizuje palce. Cukier-puder pobielił mu końce wąsów.

– To się dopiero nazywa słodycz – powiedział i zapalił ponownie cygaro. – Naprawdę bardzo smaczne.

«

Liesl wiedziała, że posępny nastrój i zły humor nie opuszczały jej przez cały dzień, ale nie przywiązywała do tych spraw wagi. Po przybyciu do Bangui nie widziała większej szansy na poprawę. Pensjonat był mały i brudny, zarządzała nim małomówna żona pracownika kolei. Liesl, tłumacząc się bólem głowy, położyła się po południu do łóżka na dwie godziny i zapadła w niespokojny sen. Kiedy zapadał zmierzch, wstała, przemyślała twarz i zeszła na dół do baru służącego jednocześnie za jadalnię. Zajmował on większą część parteru. Spacerowym krokiem weszła na werandę. Erich i Amerykanin siedzieli na trzcinowych krzesłach i spoglądali na piaszczystą główną ulicę. Dołączyła do nich, zapewniając męża, że czuje się znacznie lepiej. Poprosiła posługującego tubylca o Filizankę kawy.

– Znów idą – powiedział Temple Smith ze wzrokiem utkwionym w ulicę.

Niemiecki podoficer musztrował oddział blisko sześćdziesięciu askarysów. Maszerowali dziarsko ulicą, zatrzymywali się na komendę „stój”, prezentowali broń i stawali na „spocznij”. Potem zarzucili broń na ramię i odmaszerowali, a za nimi ruszył tłum małych chłopców.

– Dlaczego – spytał Temple, grożąc palcem von Bishopowi – dlaczego wasi askarysi przechodzą taką musztrę? Jakbyście spodziewali się kłopotów.

– Będę z panem szczerzy – odparł von Bishop. – Nie wiem, w czym rzecz. Podobno ćwiczą na sierpniową wystawę, ale przybycie von Lettowa zmienia postać rzeczy. Nawet mnie zmobilizowali. – Rozłożył ręce i wzruszył ramionami.

Temple zwrócił się uprzejmie do Liesl:

– Czy sądzi pani, że w Europie będzie wojna? Czy mówiono o niej w czasie pani pobytu w Niemczech?

Liesl odwróciła uwagę od jaszczurki, która skradała się do mrówki.

– Rozmawiano na ten temat. Ale chyba rozmowy dotyczyły wojny z Rosją. Nie z Anglią. Nie wiem. – Uśmiechnęła się przepaszająco. – Nie przysłuchiwałam się zbyt uważnie. Ten temat nie interesuje mnie zbyt. – Angielski w jej ustach zabrzmiał niewyraźnie i kulawo. Nie musiała posługiwać się nim przez wiele lat. Była na siebie zła, że mówi po angielsku teraz ze względu na Amerykanina.

Temple zmarszczył brwi i odwrócił się z powrotem do von Bishopa.

– Nie wyobrażam tu sobie jakiegokolwiek walki, a pan?

– Wątpliwe – odparł von Bishop. – Wydaje się mało prawdopodobne. Von Lettow jest po prostu bardzo ostrożny.

Liesl pozwoliła im mówić. Zrobiło się nieco chłodniej, słońce zbliżało się ku zachodowi, i oblało złocistymi promieniami leżące za nimi góry Usambara. Słysząc było cykanie i ćwierkanie świerszczy, z ogniska rozchodził się zapach węgla drzewnego. Boy przyniósł kawę, Liesl popijała ją wolno małymi łykami. Na werandzie zapalono lampę naftową, natychmiast zaczęły krążyć wokół niej ćmy. Rzuciły migotliwe cienie na kilku Europejczyków, którzy zasiedli do pogawędki. Po raz pierwszy od zejścia na ląd w Dar Liesl poczuła, że naprawdę jest w Afryce, wspomnienia z pobytu w Europie, działające jak pancierz ochronny, odplynęły lub też, cofnęły się na bezpieczną odległość.

Zerknęła na męża. Spojrzał jej w oczy i zaraz zmieszany spuścił wzrok. Zastanawiała się, czy Erich będzie próbował tej nocy. Nie byli ze sobą od ponad roku, od jej wyjazdu z domu. W powrotnej drodze ciągle wracała myślami do wspólnych nocy i była nieco zdumiona siłą swego pożądania. Ale to było na statku. Teraz ogarnęła ją całkowita obojętność.

Rzuciła ukradkowe spojrzenie na jego szczupłe kościste ciało, na napiętą, pokrytą bruzdami twarz, na duży nos, miękkie i mięsiste uszy starego człowieka. Szkoda, że ostrzygł się po żołniersku. Podkreślało to kanciastość szczęki, zdawało się pogłębiać wklęsłość skroni, wydłużało nos... Zauważyła, że wieczorem był zdenerwowany.

Westchnęła. Wyjeżdżała już kiedyś sama do Europy podczas rewolty Madzi-Madzi. Od tej pory nie rozstawali się przez sześć lat. W tym okresie ukończono budowę Kolei Północnej, Erich wystąpił z wojska i kupił farmę na północnych stokach gór Pare na wprost Kilimandżaro. Farma dobrze prosperowała, ziemia była bogata i żyzna. Wybudowali z kamienia obszerny bungalow. Żyli dostatnio, a pieniądze stale przybywało na koncie bankowym, w miarę jak zbiory wysyłano Koleją Północną do portu w Tandze.

Och, ale co to za życie! Piękno przyrody, sukces przedsięwzięcia nie mogły zrekompensować codziennej nudy. Erich całymi dniami przebywał na plantacjach i powracał wieczorem wyczerpany. Miała liczną służbę do wszelkich posług, ale źle się czuła w upalnym klimacie, jej jasna skóra nie znosiła słońca, stanowiła wymarzony cel dla każdego kąśliwego owada. Wydawało się, że jest stale spocona, ubranie ocierało jej wilgotne ciało. Co pewien czas nachodziła ją gorączka. Sąsiedzi mieszkali daleko i byli niesympatyczni, Moszi miało do zaferowania niewiele atrakcji, a Erich nie lubił tańczyć ani też uczestniczyć w zebraniach towarzyskich.

W ubiegłym roku cały miesiąc walczyła z uporczywą gorączką, ciałem jej wstrząsały dreszcze, godzinami szczękała zębami. Zapowiedziała, że jak tylko wróci do zdrowia, pojedzie do kraju na rekonwalescencję. Erich nie mógł jej tego zabronić. Mieli na koncie w banku dużo pieniędzy. Mogła wrócić do swej rodziny dumna, że może trwonić pieniądze. Uśmiechnęła się na myśl o swej rozrzutności. Wydała wszystko, co miała, kupowała prezenty i przedmioty zbytku, rozpieszczała małych siostrzeńców i siostrzenice. Jakże oni kochali ciocię Liesl z Afryki! To był cudowny rok.

Znów się uśmiechnęła, może dlatego Erich stał się taki nerwowo. Kiedy wyjeżdżała przed rokiem, była szczupła i przygnębiona, wyniszczona gorączką. Być może wydaje się Erichowi obca. Dotknęła szyi w zadumie, czując jedwabistą, delikatną skórę. Może Erich myśli, że widzi zjawę.

*

Następnego ranka Liesl, von Bishop i Temple Smith stali na stacji w Buiko i przyglądali się, jak dwie kompanie askarysów z *Schutztruppe* wsiadają do sześciu odkrytych wagonów doczepionych do pociągu jadącego w kierunku Moszi.

Liesl wachlowała twarz słomkowym kapeluszem. Wieczorem Erich znów popijał z Amerykaninem. Nocą wsunął się po cichu do łóżka, ostrożnie, żeby jej nie dotknąć, myśląc, że śpi. Liesl poczuła, że znów ogarnia ją irytacja. Muchy

bzykały natrętnie przy jej twarzy, siadając na ułamek sekundy na powiekach i ustach. Budząc się tego ranka znalazła dwie pchły tropikalne pod paznokciem dużego palca lewej nogi. Małe czerwone plamki, które nieco bolały przy dotyku. Skąd się wzięły te pchły? Dzięki Bogu, wkrótce będzie w domu. Boy Mohammed znalazł się na usuwaniu pęcherzyka z jajami, które pchły składały pod skórą. Posługiwał się szpilką: przypominało to wrywanie małego małża pobrzeżka z ciasnej skorupki. Kiedy zabiegu dokonywał Mohammed, nie czuła wcale bólu.

W końcu wsiedli do pociągu, który ruszył z Buiko w ostatni etap podróży do Moszt. W miarę jak z jednostajnym turkotem jechali na północ przez soczyste zielone tereny, mając po prawej stronie wzgórze, a po lewej rzekę Pangani, góry Usambara ustąpiły łagodniejszemu pasmu gór Pare.

– Mówi się – usłyszała głos męża – o skasowaniu tubylczych *shamba* i wiosek w pięciomilowym pasie na całej długości linii kolejowej. A ziemia jest tak dobra i tak blisko kolei.

– Wydaje mi się to uzasadnione – zauważył Temple, wyglądając przez okno. Robią to w Brytyjskiej Afryce Wschodniej. Szkoda, że moja farma nie jest tak dobra jak ta. – Spojrzał na lewo w kierunku linii drzew rosnących nad brzegami Pangani.

– Ha! – wykrzyknął, aż Liesl podskoczyła. – Oto i ona!

Pociąg łagodnym łukiem skręcał w prawo. Wszyscy podeszli do okna. Oto przed nimi, górując nad krajobrazem, wylaniała się Kilimandżaro, błękitno-purpurowa w oddali, ze śnieżną czapą szczytów nie zasnutych chmurami.

– Wspaniała – powiedział Erich. – Teraz wiem, że jestem w domu.

Słońce rozbłysło w oknie przedziału i na moment oślepiło Liesl. Sięgnęła do torebki, poszukała ciemnych okularów. Kilimandżaro przyćmiona grubymi ciemnozielonymi szklami lekko przybladła, ale nie straciła nic ze swego groźnego majestatu. W przeciwieństwie do podniecenia, jakie czuli inni, serce Liesl ścisnęło się na ten widok. Tak długo mieszkała w domu z widokiem na okazałą górę, że nie traktowała jej jako przepięknego zjawiska przyrody, lecz raczej jako nieprzyjaznego i stałego strażnika albo surowego opiekuna.

Przechyliła się do tyłu i oparła na poduszcze siedzenia, zadowolona z okularów, bo czuła, że oczy ma pełne łez. Ile czasu upłynie, zanim znów będzie mogła wyjechać? – zastanawiała się w przystępie rozpacz.

– Liesl! – dotarł do niej wysoki, piskliwy okrzyk.

Z niemalym zdumieniem, strwożona, wyrwała się z pośpęnej zadumy. Drżący palec męża wycelowany był prosto w nią. Usta miał otwarte i obwisłe – do brze naśladował zdziwienie.

– Cóż, u licha, masz na twarzy? – zawołał. – Tę... tę rzecz!

– Jaką rzecz? – dopytywała się rozjuszona.

– Te szkła, okulary.

– To są okulary przeciwsłoneczne – odparła bardzo wolno, żeby ukryć zniecierpliwienie. – Kupiłam je w drodze powrotnej w Marsylii, żeby osłonić oczy przed słońcem.

– Nie wiem, czy są... czy nadają się do noszenia – zganiał ją Erich i roześmiał się ostrym nerwowym śmiechem skierowanym do Amerykanina. – Chciałem powiedzieć, że wyglądasz jak niewidoma. Czy nie sądzi pan? Jak ociemniała kobieta, która powinna sprzedawać zapalki.

Wezbrała w niej złość na przejaw męzowskiej małostkowości, zwłaszcza kiedy po tej uwadze usłyszała donośny śmiech Amerykanina. Przeszła na język niemiecki.

– Nie bądź śmieszny, Erich – powiedziała przez zaciśnięte zęby. – Wszyscy je noszą w Europie.

Wprawdzie Smith nie mógł zrozumieć jej słów, ale z tonu trafnie odgadł sens wypowiedzi, bo przemówił w jej obronie.

– Moim zdaniem, kolorowe szkła to teraz szal sezonu – powiedział. – W Nairobi widuję masę ludzi w takich okularach. Nawet koleje ugandyjskie zainstalowały kolorowe szyby w oknach wagonów pasażerskich.

– No i proszę, Erich – oświadczyła Liesl ze zmrużonymi oczami. – Za długo siedzisz na tej swojej farmie.

Von Bishop chrząknął sceptycznie. Atmosfera w przedziale stała się napięta. Amerykanin uśmiechnął się do nich obojga szeroko, jakby w magiczny sposób jego uśmiech mógł rozwiać niemiłą nastrój.

Wyciągnął kieszonkowy zegarek i otworzył kopertę.

– Ach! – westchnął. – Już tylko dwie godziny jazdy.

*

Na stacji w Moszi na Liesl i von Bishopa czekali dwaj boyowie z farmy. Bagaż załadowano na lekki czterokołowy pojazd ciągnięty przez dwa muły. Farma von Bishopów znajdowała się nie dalej jak dwie godziny jazdy z Moszi, na południe, wśród bujnych podgórskich obszarów łańcucha Pare.

Temple miał na farmie zarządcę, Saleha, Suahilijczyka z wybrzeża, zaszuszonego żwawego człowieczka, na którym polegał bardziej, niż należało. Nie zobaczył go teraz na stacji ani żadnego innego boya z farmy, nie było też wozu zaprzęzonego w sześć wołów. Wóz miał przewieźć skrzynie z sadzonkami kawy dziesięć mil z Moszi do Tavety, pierwszej przygranicznej osady w Brytyjskiej Afryce Wschodniej.

Liesl obserwowała, jak Temple pilnuje wyładunku skrzyń na niską platformę. Kiedy ich własny bagaż znalazł się bezpiecznie w wozie, zawołała do niego:

– Panie Smith, jesteśmy gotowi do drogi.

Podszedł i podał jej rękę na pożegnanie.

– Ogromnie mi było miło panią poznać. – Teraz lepiej rozumiała jego wymowę. – Muszę przyznać – ciągnął dalej – że ten eksperyment z kawą w wielkim stopniu zawdzięczam, uhm... towarzystwo państwa jest... mam nadzieję, że nasza rozmowa nie znudziła pani zbytnio.

Dołączył do nich von Bishop.

– No cóż, panie Smith, musimy jechać. Nie widać pańskich boyów?

– Nie, żeby ich cholera... niech mi pani wybaczy. Chyba z całej Brytyjskiej Afryki Wschodniej mam na farmie najbardziej leniwych czarnuchów.

– Czarnuchów?

– Tubylców, moja droga – wyjaśnił von Bishop.

– Nie chciałbym państwa zatrzymywać – powiedział Temple. – Wiem, że śpieszycie się do domu. – Uścisnął dłoń von Bishopowi. – Miło mi będzie zobaczyć pana znowu, sąsiedzie. Może przyjechałby pan któregoś dnia konno i obejrzał moją fabrykę sizalu.

– Może i przyjadę, Smith. Może i przyjadę.

Pozostawili Temple'a przed stacją, krążącego tam i z powrotem. Von Bishop pomógł Liesl wsiąść do pojazdu, sam usiadł obok, ściągnął lejce, muły opornie ruszyły z miejsca, koła potoczyły się po polnej drodze. Liesl obejrzała się. Zobaczyła, jak Temple zdejmuje kapelusz z szerokim rondem, podwójnym denkiem, i wyciera czoło chusteczką. Spostrzegł, że się odwróciła, więc pomachał im kapeluszem, a potem, kiedy skręcili pod wielkimi nasypami nowego fortu, zbudowanego w Moszi przez *Schutztruppe*, jego przysadzista postać zniknęła za zakrętem. Liesl spojrzała na kamienne mury, proste czworoboczne budynki *borna* i zobaczyła zwisającą lekko z masztu czarno-biało-czerwoną flagę Armii Cesarskiej.

– Dziwny człowiek ten Amerykanin – zauważyła, chcąc przerwać ciszę, jaka zapadła między nimi.

– No i głupi – odparł von Bishop ze śmiechem. – Jeśli myśli, że wyhoduje kawę w Tavecie, na pewno ma więcej pieniędzy niż rozumu.

ROZDZIAŁ TRZECI

10 CZERWCA 1914 ROKU

TAVETA. BRYTYJSKA AFRYKA WSCHODNIA

– Bwana Smith to wielki kupiec – improwizował Salen pieśń w języku suahili i co pewien czas leniwie trząsał z bicia na woła przewodnika we wlokącym się zaprzęgu. Przekroczyli właśnie granicę angielsko-niemiecką i podążali wyboistym traktem, który przebiegał między licznymi pagórkami – charakterystycznym elementem krajobrazu tej okolicy. Temple spostrzegł, że Saleh ogląda się, chcąc się upewnić, czy słucha jego piosenki.

– Bwana Smith kupił kawę piękną, że hej – ciągnął jednostajnym tonem. – Wyhoduje dużo kawy, zostanie bogaty, boyowie będą sławić ten dzień, w którym dał im pracę na farmie.

– *Oh-ya-yi!* – zawtórowało dwóch boyów, posuwających się z trudem za Salehem.

Saleh obejrzał się znowu na Temple'a i przez oblepioną brudem białą bluzę podrapał się po pośladku. Temple roześmiał się w duchu. Kiedy Saleh z boyami i wozem pojawili się dwie godziny po przybyciu pociągu, wymierzył mu trzy mocne kopniaki w tyłek. Jako dalszą karę nakazał boyom maszerować obok zaprzęgu – normalnie siedzieliby z tyłu wozu, prowadząc zaprzęg na zmianę. Saleh przysiągł, jakoby sprzątacza na stacji, wstrętna świnia o małym rozumie, zapewnił ich, że pociąg przybędzie z planowanym opóźnieniem, ale odór piwa kukurydzianego wydobywający się z jego oddechu podważał uroczyste zapewnienia o niewinności.

Ciało Temple'a trzęsło się i kołysało, kiedy ciężki wóz pokonywał koleiny i kamienie na drodze. Dookoła rosły gęste, karłowate cierniste krzewy, gdzieś niedziedzie widać było małe wulkaniczne wzgórza. Za nimi leżały żyzne zbocza gór Pare i purpurowe w słońcu stoki wielkiej góry, jej ścięty biały szczyt zasnawała popołudniowa mgiełka. Myśli Temple'a zwróciły się do von Bishopów. Co za podróż pociągiem! Von Bishop wydawał się dosyć miły, ale okropnie nudny... A jego głos: trudno wytrzymać przez trzy dni ten piskliwy falset.

Za to ona to wspaniała kobieta. Piersiasta, szeroka w ramionach, o jasno-kremowej piegowatej cerze osoby przybyłej prosto z Europy. Trudno zachować taki wygląd tutaj. Nie tyle z powodu słońca i upału, ile stałych nieznośnych dokuczliwości: gorączek, ataków biegunki, ukąszeń owadów i nie gojących się owrzodzeń. Dziwna z nich para, pomyślał. Zastanawiał się, jakby to było, gdyby mieszkał z von Bishopem – ten głos od rana do wieczora.

Temple skrzywił się i spojrział na roje much, które całymi chmarami krążyły z brzęczeniem wokół wolich zadów. Czasami zastanawiał się, czy postąpił słusznie, sprowadzając do Tavety rodzinę i pozbawiając ich stosunkowo zdrowego i sprzyjającego klimatu Nairobi. Przyznał, że nie zachował się całkiem uczciwie wobec Matyldy i dzieci. Nigdy jednak nie byłoby go stać na taki szmat ziemi w górskich okolicach, nie mógłby się uniezależnić, tak jak tutaj. Uśmiechnął się ponuro. Wątpił też, czy wytrzymałby dłużej wytworne towarzystwo: zwariowanych arystokratów, opętanych manią wyścigów konnych i polowań. To małe wytworne towarzystwo dorobiło się – niemal z dnia na dzień – własnej rygorystycznej hierarchii, absurdalnego kodu wartości i dziwaczного snobizmu. Osobny klub dla wyższych i niższych urzędników państwowych. Nie kończące się utarczki między kolonistami a rządem. Obrzydliwy przywilej polowania na hieny konno z gończymi, z rogami myśliwskimi, wołaniem *tally-ho* i okrzykami *view-halloo*. Rany boskie, zaklął Temple, ci Anglicy! Był zadowolony, że stamtąd uciekł. Teraz ma własną farmę, fabrykę sizalu i przetwórnę siemienia lnianego, które dostarczały mu stałych dochodów. Teraz kiedy jeździł do Nairobi, mógł się zatrzymywać w hotelu „Norfolk”, zabierać całą rodzinę do kina co wieczór, jeśli miał na to ochotę. Odruchowo rozprostował ramiona i pogładził wąsy. Wydawało się, że w Niemieckiej Afryce Wschodniej są lepsze warunki. Może mniej uciech, ale życie zorganizowane i mieszkańcy z otwartymi ramionami przyjmowali każdego nowego przybysza.

Chociażby taki von Bishop, pomyślał, pół-Anglik, a miejscowy bohater.

– Taveta! – wykrzyknął Saleh.

Temple podniósł wzrok. Znajdowali się na małym wzniesieniu, przed nimi leżała Taveta. Wśród ciemnozielonych drzew mangowych na blaszanych dachach połyskiwało słońce. Domy mieszkalne i zabudowania były rozrzucone bez ładu i składu. Polna droga z Voi na wschód od linii kolejowej Mombasa-Nairobi jako główna ulica przecinała miasto. Znajdował się tu urząd pocztowy i kilka bungalowów należących do zastępcy komisarza okręgu, inspektora policji i strażnika więziennego. Chaty kryte blachą Służyły za biura zastępcy komisarza okręgowego i siedzibę sądu. Pobelane, Wzniesione z kamienia budynki koszarowe askaryskich policjantów, więzienie i stajnie tworzyły trzy boki kwadratu. Niechlujne skupisko drewnianych chat i kramów na jednym końcu ulicy wyznaczało granice cuchnącego hinduskiego bazaru. Po drugiej stronie miasta

otworzono nowy sklep w drewnianym budynku, należący do Europejczyka. W okręgu Taveta-Voi było” paru kolonistów-farmerów takich jak Temple, ale nie stanowili licznej grupy, bo ziemia nie nadawała się właściwie pod uprawę. Farmerzy to przeważnie Burowie, którzy – jak Temple – niezbyt kochali Brytyjczyków.

Zaprężony w woły wóz Temple'a wtoczył się wolno do Tavety. Było późne popołudnie i w miasteczku panował niewielki ruch. Taveta nieodparcie przypominała Temple'owi małe miasteczka z amerykańskiego Zachodu, które w młodości widział podczas pobytu w Wyoming w latach 1890-tych. Przez chwilę zastanawiał się, czy nie wstąpić na szklaneczkę czegoś mocnego do sklepu, którego właścicielem był Irlandczyk nazwiskiem O'Shaugnessy, ale skoro czekała go godzina jazdy na farmę, postanowił nie zwlekać.

Zjechał z drogi Taveta-Voi na kręty trakt na południe, w stronę jeziora Dzipe, gdzie znajdowała się jego farma.

W jakieś dziesięć minut po wyjeździe z Tavety uwagę jego zwrócił osiadłany muł bez jeźdźca, wybiegający truchtem zza zakrętu. Za nim, w kilka sekund później, pojawiła się wysoka chuda postać w kasku tropikalnym ubrana w białe dreluchy, wymachując batem i nie przebierając w słowach wykrzykiwała obelgi pod adresem zwierzęcia. Gdy zobaczyła Temple'a i wóz, zamilkła od razu, wygładziła i otrzepała z kurzu ubranie. Saleh chwycił za postronek mijającego ich truchtem muła.

– Serdeczne dzięki! – krzyknęła ubrana na biało postać i poszła dalej.

Temple ściągnął lejce, woły natychmiast się zatrzymały. Mężczyzna minął ich powolnym krokiem, jakby zażywał miłej przechadzki w niedzielne popołudnie.

– Ach, Smith – powiedział i uniósł kask na powitania. – Przyjemny mamy dzień.

Był to zastępca komisarza okręgowego z Tavety, Wheech-Browning, bardzo młody, mniej więcej dwudziestopięcioletni, i bardzo wysoki, mierzący blisko metr dziewięćdziesiąt, jak ocenił na oko Temple.

– Witam – odparł Temple; trudno mu było zwracać się do Wheech-Browninga po nazwisku, tak wydawało mu się niedorzeczne. – Jakież kłopoty?

– Aha – przyznał Wheech-Browning. – Kupiłem tego cholernego muła od Syryjczyka w Nairobi za trzysta rupii. Zapewnił mnie, że to ujeżdżone bydlę. Biegło truchtem całkiem niezłe, a potem jakby nagle oszalało. – Obejrzał się na zwierzę stojące spokojnie pod opieką Saleha. – Och – odezwał się znowu, – Teraz wydaje się całkiem spokojne, ale mogę pana zapewnić, że to bydlę wysadziło mnie z siodła. – Przerwał. Był w krawacie, na twarz wystąpiły mu jaskrawoczerwone rumieńce, pot ściekał kroplami spod kasku.

Temple'owi wydawało się osobliwe, że ten niezdarny, niewinny młodzieniaszek, pocąc się w sędziowskiej chacie krytej blaszanym dachem, feruje codziennie wyroki nad mordercami, złodziejami i pijakami, ale zdaje się wypełniał swe obowiązki bezlitośnie. Tylko raz Temple był w sądzie jako świadek oskarżenia zeznając przeciwko własnemu boyowi, który ukradł sąsiadowi bydło. Widział, jak Wheech-Browning skazuje drżącego ze strachu człowieka na sześć miesięcy ciężkich robót. Sprawa o morderstwo musiała być wniesiona do sądu zarządcy prowincji, lecz Temple nie miał najmniejszej wątpliwości, że Wheech-Browning mógłby skazać oskarżonego na karę śmierci, a potem ze spokojnym sumieniem rozegrać partię tenisa na trawie z inspektorem policji.

Wheech-Browning poklepał się po kieszeniach marynarki i rozluźnił krawat.

– Czy bardzo miałby mi pan za złe, Smith, gdybym wyżebrał od pana papieroska? Musiałem zgubić swoje, gdy zlatywałem z siodła.

Temple wyciągnął paczkę i poczęstował go papierosem.

– Głupie zwierzęta, prawda? – stwierdził Wheech-Browning; wypuścił dym i spojrzął na muła. – Wydawało mi się, że zrobiłem dobry interes. A mówiąc o interesach – rzekł zwracając uwagę na skrzynki ustawione na furgonie. – Co pan tu wiezie takiego?

– Sadzonki kawy – odparł Temple.

– Kawa? Tutaj? Myśli pan, że się przyjmie, przyjacielu?

– No cóż, nie dowiemy się, póki nie spróbujemy.

– W tym cała rzecz. Gdzie je pan dostał? W Nairobi? W Nakuru?

– Nie. Kupiłem je w Dar.

– W Niemieckiej Afryce Wschodniej? Toż to nadzwyczajne. Niech mi pan powie, jak wygląda Dar? Mam nadzieję, że wybiorę się w sierpniu na wystawę. Tamtejszy konsul był w Cambridge razem z moim kuzynem. Co pan sądzi o Teutonach?

– Miasto jest przyjemne – odparł Temple. – Czyste i schludne. Wszystko w porządku w Dar, oczywiście. Ale wyglądało jak uzbrojony obóz. Wszędzie widać żołnierzy.

– A czego pan oczekuje. Typowa mentalność Hunów, zawsze w marszu. – Przerwał. – No cóż, Smith, nie mogę pana zatrzymywać. Dziękuję za pojmanie muja. Miejmy nadzieję, że to bydlę będzie spokojniejsze w drodze do domu. Nie mam zamiaru znów wylądować na tyłku.

Odszedł i dosiadł muła z niepojętą łatwością, jakby chodziło o rower. Jego stopy w ostrogach znajdowały się zaledwie jakieś dwadzieścia centymetrów nad ziemią.

– Hetta – krzyknął, a zwierzę posłusznie ruszyło w kierunku Tavety. Był to komiczny widok. Temple usiłował powstrzymać uśmiech rozbawienia.

– Świetnie – zawołał przez ramię Wheech-Browning. A potem: – Aha, przy okazji, czy mógłby pan wpaść do mnie któregoś dnia w przyszłym tygodniu?

Temple zmarszczył brwi.

– Po co? – zawołał.

– W sprawie tych sadzonek z Niemieckiej Afryki Wschodniej – krzyknął Wheech-Browning. – Musi pan za nie zapłacić cło.

*

Temple wciąż jeszcze przeklinał Wheech-Browninga, kiedy pół godziny później zbliżał się do swojej farmy „Smithville”, jak ją szumnie nazywał. Dom piętrowy, drewniany, stojący na małym wzniesieniu – właściwie budowa nie została całkowicie ukończona – nie przedstawiał się na oko okazale. Od ponad dwóch lat znajdował się w takim stanie. Parter, gdzie była jadalnia, bawialnia i kuchnia, nadawał się do zamieszkania, na piętrze gotowe były tylko dwie z trzech sypialni. Trzecia nad kuchnią, miała ściany, podłogę, ale brakowało jej dachu. Nie została ukończona nie tyle z braku funduszy czy kompetencji, ile energii, gdyż Temple całą siłę twórczą zaangażował w konstrukcję fabryki sizalu, pozostała ona nadal – na nieszczęście dla domu – jego oczkiem w głowie.

Od strony domu teren opadał łagodnie w kierunku oddalonego o ponad trzy kilometry jeziora Dżipe. Za granicą Niemieckiej Afryki Wschodniej biegnącą po drugiej stronie jeziora wznosiły się góry Pare, których zbocze widział tego ranka jadąc pociągiem z Bangui do Moszi.

W owym czasie farma podzielona była na pola sizalu, gdzie sterczały wielkie kolczaste liście, niczym powiększone do ogromnych rozmiarów korony ananasów, i na poletka siemienia lnianego. U stóp wzgórze, na którym stał dom, znajdowała się „fabryka”. Była to obszerna szopa z falistej blachy, mieszcząca przedmiot dumy i radości Temple'a: „dekortikator” firmy Finnegan i Zabriskie, wyniosłą, masywną młockarnię, przetwarzającą sztywne sizalowe liście na miękkie wiązki mocnego włókna. W mniejszej, sąsiedniej szopie znajdowały się skromniejszych rozmiarów prasy do wyciskania oleju z siemienia lnianego. Dokoła głównej szopy, „fabryki”, skupiały się rozchwiane przybudówki, pozostałości nieudanych przedsięwzięć z dawniejszych czasów.

Liczne drewniane ogrodzone wybiegi służyły najpierw do kwitnącej przez dziewięć miesięcy hodowli świń, zanim w ciągu dwóch tygodni choroba zdzięsiatkowała całą trzodę. Nie zrażony tym Temple, po podwyższeniu ogrodzenia do dwóch metrów i usunięciu niektórych niepotrzebnych ścianek, bezzwłocznie przystosował wybiegi do hodowli strusi. Za znaczną sumę kupił trzydzieści ptaków i oczekiwał pierwszego zbioru piór i wyniku zabiegów hodowlanych – strusie zniosły osiem dużych jaj – kiedy to ponownie dotknęło go nieszczęście. Pewnej nocy do zagrody wdarło się stado lwów i podusiło wszystkie ptaki. Strusie, zamknięte w zagrodzie, stały się dziecinnie łatwym łupem. Zginęły od ostrych kłów lub pazurów drapieżników. Temple wciąż jeszcze pamiętał szok, jakiego doznał na widok tej masakry, kiedy to stał po kolana w piórach, a wokół

niego leżało zdziesiątkowane, pokaleczone stado. Hodowla strusi okazała się kosztownym niewypałem. Na pociechę miał przez tydzień – na śniadanie, obiad, kolację – znakomite omelety. On i jego rodzina w smutnym nastroju zjedli wszystkie strusie jaja.

Farma Smithville przetrwała mimo wszystko, wsparta finansowo niezawodnym, choć nudnym zbiorem sizalu i siemienia lnianego. Temple zainwestował pieniądze w dekortykator, zarówno żeby zwiększyć uprawę sizalu, jak i oszczędzić na wydatkach, gdyby dekortykacji trzeba było dokonywać w Voi. Teoretycznie czterdzieści arów sizalu nie usprawiedliwiała wybudowania przetwórnicy, ale wkrótce jednym z najbardziej podniecających i radosnych momentów w jego życiu stało się uruchamianie dekortykatora – silnik buchał dymem, pasy napędowe drgały i trzaskały, a blaszana szopa odbijała echem chrzęst i brzęk cepów, kiedy przestraszeni boyowie wtykali wiązki sizalowych liści w żarłoczne zęby maszyny.

Było już prawie ciemno, słońce zachodziło za góry Pare, wydłużając ich niebieskie cienie, które padały na pomarańczowe jezioro. Temple przebył drogę szybciej, niż się spodziewał. Kazał Salehowi zdjąć uprzęż z wołów, sam dopilnował, żeby ostrożnie wyładowano i zmagazynowano sadzonki kawy, i zanim ciężkim krokiem ruszył pod górę do domu, rzucił pobieżnie okiem na ciemną, połyskującą bryłę dekortykatora.

Matylda, jego żona w zaawansowanej ciąży, siedziała na werandzie i czytała z książką opartą na brzuchu. Miała sympatyczną, żywą twarz i okrągłe, ciemnobrązowe oczy. Kiedy Kermit Roosevelt wymówił mu pracę, Temple znalazł czasowo zajęcie w Amerykańskiej Misji Handlowej w pobliżu Nairobi, gdzie jego umiejętności okazały się przydatne w nauczaniu podstaw mechaniki w miejscowym sierocińcu. Ojciec Matyldy, wielbny Norman Espie, prowadził działalność misyjną w odległości kilku kilometrów od sierocińca. Wysłano tam Temple'a do nadzorowania budowy wieży ciśnień – i wtedy spotkał Matyldę. Pociągał go jej niezwykle spokojny i nasunął myśl o pozostaniu w Afryce, żeby w nowej i rozwijającej się kolonii ułożyć sobie życie. W dniu, w którym dostał zawiadomienie, że jego oszczędności zostały przekazane ze Sturgis do Banku Indii w Nairobi, oświadczył się i został – po namyśle trwającym zaledwie jedną noc – przyjęty.

Na dźwięk jego kroków Matylda podniosła wzrok.

– Witaj, kochanie – powiedziała i wróciła do czytania książki. – Miałeś przyjemną podróż?

– Tak – odparł Temple. Żona bez przerwy wprawiała go w zdumienie: zdawać by się mogło, że wyskoczył z domu na dziesięć minut. – Bardzo interesującą. I pomyślną. – Dobierał słowa starannie, świadom ogarniającego go poczucia winy, kiedy się schylił, żeby pocałować ją w czubek głowy. Nagle przypomniał sobie lśniącą od oliwy, uległą dziwkę w hotelu „Kitumoinee”. Teraz,

wróciwszy na farmę do domu, żony, rodziny, zastanawiał się, co go opętało, żeby tam pójść.

– Jak się masz? – zapytał głosem drżącym od przyływu czułości. Odchrząknął. – Wszystko w porządku? Żadnych problemów?

– Co takiego? – spytała Matylda. Podniosła oczy i spojrzała na niego z ukosa. – Aha. Wszystko w porządku.

– To dobrze – powiedział Temple. – Bardzo dobrze. – Usiadł. Przed nim stała taca z imbrykiem herbaty, a na imbryku dzbanuszek mleka. Objął imbryk rękoma.

– Zdaje się, że już wystygła – zauważyła Matylda. – Może łyk koniaku z wodą sodową?

Temple uściśnął jej rękę.

– Chyba się napiję. Dotrzymasz mi towarzystwa? – Ona jednak nie słyszała pytania, wróciła do lektury.

Temple wszedł do domu. Na stole w pokoju jadalnym wały się resztki jakiegoś nieapetycznego jedzenia. Wśród kałuży rozchłapanego płynu i kawałków jedzenia leżały w nieładzie emaliowane talerze, szklanki, sztućce. Dzieci dostały jeść, a to już coś. Poszedł dalej do kuchni wyposażonej w podstawowe sprzęty. Pośrodku stał stół, w kącie kamionkowy filtr na wodę i obszerna lodówka, ponadto specjalnie zabezpieczony przed muchami kredens kuchenny, jego cztery nogi stały w małych blaszanych pudełkach z wodą, co miało chronić przed inwazją mrówek. Roilo się od nich na podłodze i na ścianach. Przy jednej ścianie znajdowało się betonowe korytko, wysokie na metr, wypełnione węglem drzewnym i przykryte grubym żelaznym rusztem. Na tym prostym urządzeniu gotowano wszystkie posiłki. Temple podszedł do tylnych drzwi. Za ustępem i dużym stosem drewna opałowego widział w zapadającym zmroku *shamba* kucharza i boyów domowych, niechlujne skupisko chat krytych strzechami ze słomy i trawy, a przy nich zarosłe zielskiem ogródki warzywne. Ujrzał pulchną postać *ayah*, która ciężkim krokiem wchodziła pod górę, niosąc na biodrze jego małą Emily.

– *Ayah* – krzyknął. Była to mówiąca po angielsku Hinduska, którą odziedziczył po rodzinie Matyldy. – Zawołaj Josepha – polecił.

Jego głos dotarł do *shamba*, skąd doszły go wnet podniecone okrzyki. Małe niewyraźne postacie jego dwóch synów, Glenwaya i Walkera, wyskoczyły zza jednej chaty i co tchu pognały w jego stronę z przenikliwym krzykiem dziecięcych głosów: „Tata, tata!”

Spokój Matyldy przyprawił go o nową falę irytacji. Chłopcy nie powinni byli bawić się na *shamba* kucharza. Jakież to przykre, kiedy człowiek wraca z dalekiej, męczącej podróży i zastaje w domu bałagan, a polecenia wykonane niedbale i lekceważąco. Dwaj synowie – Glenway blisko czteroletni, Walker prawie trzyletni – znaleźli się już przy nim, podskakiwali, ciągnęli za spodnie i

marynarke. Wziął obydwu na ręce. Joseph biegł za nimi susami i śmiał się od ucha do ucha.

– Joseph, whisky z wodą na werandę, szybko – polecił Temple.

Boy pobiegł po whisky, a tymczasem Temple postawił chłopców na ziemi i zamierzał okrążyć dom, żeby wejść od frontu, trzymając ich za ręce. Na chwilę przystanął przy szczycie domu i spojrzął na farmę: stojaki do suszenia, tory wagoników, fabryka, schludne rzędy sizalu i siemienia Inianego ciągnące się daleko, do ciemnego teraz i mglistego jeziora Dżipe. Dokoła cykały świerszcze, gdzieś z oddali dochodziło szczekanie hien. Temple zobaczył Saleha i boyów z farmy wracających drogą do wioski, w której mieszkali robotnicy rolni, położonej mniej więcej w odległości półtora kilometra nad gęsto zalesionymi brzegami rzeki Lumi, wpadającej do jeziora Dżipe.

W oddali po lewej ręce, niewidoczny w ciemnościach, rósł mały gaj dzikich drzew figowych, który skrywał grób jego trzeciego dziecka, bezimiennej dziewczynki, żyjącej zaledwie jeden dzień.

Glenway pociągnął ojca za rękę.

– Chodź, tatusiu – powiedział. – Wejdzmy do środka.

Temple spojrzął na dzieci. Jakie to dziwne, że mówią z angielskim akcentem i z angielska wymawiają słowo tata. Widać, przyznał ze smutkiem, spędza z nimi mało czasu.

Obeszli dom wchodząc od frontu. Matylda wciąż siedziała na werandzie, z książką oświetloną stojącą na stole lampą-naftową. W jadalni zobaczyli Josepha: sprzątał resztki jedzenia pozostawionego przez dzieci. Temple poczuł, jak krzepiąco wpływa nań obecność rodziny, uspokaja bliskość przedmiotów, które stanowią jego własność, i roślin, które hoduje lub które w zapadających ciemnościach nocy za jego sprawą znajdują się we właściwym miejscu – począwszy od dwustu kruchych zielonych pędów sadzonek kawy po imponującą bryłę dekoratora; od plantacji sizalu i siemienia Inianego po płoty, którymi ogrodził swą posiadłość o kilka metrów od granicy z Niemiecką Afryką Wschodnią; wiązały go z ziemią jak ptaka zwichnięte skrzydła, trzymały i łączyły z tym nowym życiem, które obrał, jak kłamry. Zmierzył synowi włosy i doznał radosnego uczucia, a serce przepęniało mu zadowolenie i duma z własnych dokonań.

– Gdzie byłeś, tatusiu? – spytał Walker, kiedy wchodzili po schodach Werandy.

– Za granicą – odparł Temple.

– Co tam robiłeś?

– Kupowałem sadzonki kawy i... – przerwał, gdyż poczuł, że oblewa się rumieńcem. – I wyobraź sobie, widziałem wielki okręt wojenny i mnóstwo żołnierzy.

– Żołnierzy? – zdziwił się Glenway, oczy mu rozblęły. – Czy będą walczyć na wojnie?

Temple roześmiał się.

– Czy słyszałaś, Matyldo? Wojna? Nie bądź niemądry, Glenway. Nie ma mowy o wojnie. No cóż, w każdym razie nie tu, w Afryce.

ROZDZIAŁ CZWARTY

24 LIPCA 1914 ROKU
ASHURST, KENT, ANGLIA

Feliks Cobb wysiadł z pociągu na stacji w Ashurst. Postawił bagaże na peronie, zdjął okulary i wsadził je do etui. Ogrodzenie z kutego żelaza za budynkiem stacji zostało niedawno odmalowane, ozdobne skrzynki z geranium stały w równych odstępach na całej długości peronu.

Pociąg odjechał w kłębach dymu, a Feliks zdał sobie sprawę, że jest jedynym pasażerem, który wysiadł na tej stacji. Przez chwilę wydawało mu się, że zostawił w przedziale kapelusz, ale przypomniał sobie, iż on i Holland postanowili chodzić bez nakrycia głowy. Poczekał jeszcze chwilę. Nie ulegało wątpliwości, że nikt po niego nie wyjechał. Poczuł, jak ogarnia go do rodziny irracjonalna nienawiść, którą przyrzekł sobie stłumić podczas tego weekendu. Typowe, pomyślał, dla rodziny wojskowych, nie potrafią nawet przysłać tu kogoś po mnie. Podniósł walizy, wręczył po drodze bilet sennemu kontrolerowi i opuścił stację.

Była godzina jedenasta, słońce prażyło z wyblakłego nieba. Feliksowi ciążyło ubranie. Miał na sobie starą tweedową marynarkę, granatowe serżowe spodnie, nową jasnoszmaragdową koszulę z flaneli z miękkim kołnierzykiem i czerwony krawat. Dwie ostatnie części garderoby zostały zakupione onegdaj za radą Hollanda.

Feliks wsunął palce między kłujący kołnierzyk a wilgotną otartą szyję. Na dziedzińcu stacji także nie było żywego ducha; stały tam tylko dwa dwukołowe wozy z końmi, z których wyładowywano bańki z mlekiem. Dźwigający je chłopcy nie wyglądali na dużo młodszych od niego, mogli mieć szesnaście – siedemnaście lat. Ubrani byli w koszule bez kołnierzyków, z podwiniętymi rękawami, szorstkie wełniane spodnie sięgające kostek, ciężkie niezgrabne buty, na głowach mieli duże płaskie czapki. Feliks wyczuł, że obserwują go badawczym wzrokiem. Starał się zachowywać swobodnie i przystępnie, w nadziei, że

widok jego kolorowej koszuli usposobi ich przyjaźnie. Żałował, że nie ma w ręku książki, którą czytał w pociągu – jakby nie było *Anarchia społeczna* Kropotkina – ale zdał sobie sprawę, że gdyby nawet dwaj chłopcy potrafili przeczytać nazwisko autora, prawdopodobnie niewiele by im ono mówiło. Kopnął więc niedbale kamyk i zagwizdał kilka taktów *Przez całą noc wzywał ją* – melodii, która ostatnio wpadła mu w ucho. Poklepał się po kieszeniach zastanawiając się, czy zdąży wypalić papierosa. Być może powinien pójść pieszo półtora kilometra do wsi Ashurst – tam znalazłby kogoś, kto mógłby go odwieźć do domu.

– Cholerna rodzina – powiedział głośno. – Cholerna, przeklęta rodzina.

Feliks był średniego wzrostu – metr sześćdziesiąt pięć – smukłej budowy ciała. Usta miał pełne, ciemnoróżowe, jakby pomalowane szminką. Tę niewieścią niejako cechę równoważyła niemal granatowa broda, niezwykle gęsta jak na osiemnastolatka, zarost nad górną wargą ciągnął się od kącików ust aż do podbródka, zdawałoby się uczerniony jak u aktora. Skóra dokoła oczu miała brązowe zabarwienie (co mogłoby wskazywać, że Feliks cierpi na bezsenność), ale najbardziej zwracały uwagę brwi, przedwcześnie bujne i krzaczaste, prawie zrosnięte nad kształtnym nosem.

Feliks wyjął papierosa z papierońnicy i miał zamiar zapalić, kiedy przed stacją zajechał samochód – Humbrette – i powitał go stłumionym klaksonem. Na widok kierowcy od razu prysnęło całe napięcie i rozdrażnienie dnia. Za kierownicą siedział jego brat Gabriel. Wysiadł z samochodu i zaszalutował ostentacyjnie trzaskając obcasami. Miał na sobie sportową marynarkę z paskiem, koszulę, krawat i szare flanelowe spodnie.

– Ekscelencjo – powiedział Gabriel. – Samochód czeka.

– Gabe – powitał go Feliks. – Jesteś.

– Na to wyglądasz, stary druhu. Trudno nie być na swoim własnym weselu, rozumiesz.

Ruszył do przodu dużymi krokami, uśmiechając się i wyciągając rękę. Był wysoki, barczysty, z krótko obciętymi blond włosami, przedzielonymi pośrodku przedziałkiem. Twarz miał kwadratową, jakby stale zaciskał szczęki, ale rysy regularne, ładne. Wyglądał na silnego, choć trochę pospolitego młodego mężczyznę. Gabriel był jedynym członkiem rodziny, do którego Feliks nie miał żadnych zastrzeżeń i którego darzył bezkrytyczną miłością. Skończył lat dwadzieścia siedem i w stopniu kapitana służył w starym pułku ojca, pułku Zachodnich Kentyjczyków księcia Connaught, stacjonującym obecnie w Indiach, skąd właśnie przyjechał. Feliks uściśnął mu mocno dłoń na powitanie.

Wsiadli do samochodu, Gabriel zajął miejsce za kierownicą.

– Gotów? – spytał. – Odjeżdżamy.

Ze stacji skręcili w prawo i pojechali główną drogą z Ashurst do Sevenoaks.

– Co słyhać w armii? – spytał Feliks przekrzykując hałas silnika. – Nudno?

– Co słyhać w szkole? – szybko odparował Gabriel, nie podejmując tematu.

– Mam to już za sobą, dzięki Bogu. A teraz – Feliks przerwał i przeciągnął się rozkosznie. – Oksford.

Gabriel obrzucił go szybkim spojrzeniem.

– Kiedyś to załatwił z ojcem?

– Och, Gabe, on się mną nie interesuje. Od dawna postawił na mnie krzyżyk. Matka powiedziała, że ojciec nie ma nic przeciwko temu.

– Szczęściarz z ciebie. Ale ta koszula nic zdobędzie jego uznania, mogę cię zapewnić.

Feliks wyjął papierośnicę.

– Zapalisz – zaproponował.

– Nie, dzięki, mój drogi, nie podczas jazdy.

Feliks zapalił papierosa i przez okno wypuszczał kłęby dymu. Rzędy bujnych żywopłotów obsypane były kwiatami, ale liście na drzewach i krzewach miały zmęczony, matowy wygląd. Jak do tej pory lato 1914 roku było piękne. Łany pszenicy wybielone słońcem dojrzały do żniw. Na niektórych polach żniwiarze poruszali już rytmicznie kosami i wolno, lecz wytrwale, kładli pokotem rzędy zboża.

Gabriel i Feliks skręcili z głównej drogi, wybujały żywopłot ocieniał alejkę. Nagły chłód cienia po skwarze słonecznym przejął Feliksa dreszczem.

– Niesie jakąś zapowiedź – powiedział.

– Co?

– Lato. No wiesz: pałace słońce, pszenica, śpiew ptaków. Wszystkie te bzdury.

Gabriel spojrzał na niego z uśmiechem.

– Naprawdę, Feliksie, czasami wcale cię nie rozumiem.

Feliks wzruszył ramionami.

– Nic nie szkodzi. – Zrobił pauzę. – Nie możesz się doczekać jutra?

Gabriel lekko zeszywniał, potem się odprężył.

– Oczywiście, ty wariacie. W końcu to ja poprosiłem ją o rękę, nikt inny. Ona – to znaczy Charis – bardzo chce cię poznać. – Znów się uśmiechnął. – Nie wiem, dlaczego. Powiedziałem jej o tobie wszystko. Powiedziałem, całkiem bystry facet z tego mojego braciszka. Hej!

Feliks uderzył Gabriela lekko pięścią w ramię, aż samochód zarzucił.

– Uważaj. Gabe – ostrzegł Feliks z udaną powagą. – Pan młody i drużba mogliby zginąć w wypadku samochodowym.

– Skoro mowa o drużbie – podchwycił Gabriel – przypomnij później, że mam ci coś do powiedzenia.

– Dobre rady starszego brata?

– Coś w tym rodzaju.

Pokonali dalsze półtora kilometra, zanim skręcili w bramę w długim kamiennym murze i aleją wysadzaną wiązami zdążali do dworu Stackpole, wiejskiej rezydencji rodziny Cobbów.

– Dom, rodzinny dom – odezwał się Feliks.

Wiązy ustąpiły miejsca wysokim rododendronom. Przed domem był żwirowy podjazd i trawnik, po którym biegały dwie małe dziewczynki w bladoróżowych koronkowych sukienkach, gonił je nieduży ujadający terier. Przed głównym wejściem stały trzy samochody.

– Boże święty! – powiedział Feliks. – Czyżby mama prowadziła przedsiębiorstwo taksówkowe.

– Sama rodzina – odparł Gabriel. – Spotkanie klanów. Przyjechali prawie wszyscy.

– No nie – jęknął Feliks; potem, kiedy podbiegły do nich dziewczynki, powiedział: – Niech zgadnę, to są córki Albertine, Gabrielu, jak one się nazywają? Nie pamiętam.

– Na Boga, Feliksie, co za bzdury wygadujesz.

– Cześć, Feliks – powiedziała nieśmiało jedna z dziewczynek.

– Wujku Feliksie, Doro. W każdym razie: cześć. Cześć, Harriet – dodał tubalnym głosem dobrotliwego wujaszka. – Jeżeli ten wstrętny pies jest twój, proszę, uspokój go, niech przestanie ujadać.

Feliks stał na żwirowym podjeździe i spoglądał na dwór. Była to dziwna trzykondygnacyjna budowla. Dom, zwrócony na północ, miał klasyczną ceglana fasadę w stylu georgiańskim, ze zgrabnym kolumnowym portykiem i regularnym rzędem angielskich okien, które stopniowo zmniejszały się na wyższych piętrach. Poprzedni właściciel, stryj Feliksa, Gerald, dobudował od tyłu całkiem nowy, obszerniejszy gmach, łagodząc surowość południowej fasady nowoczesną konstrukcją. Ten sztuczny syjamski bliźniak, w oczach Feliksa, był profanacją całej budowli. Teraz przed parkiem i od strony południowej znajdowała się bezładna i nieelegancka mieszanina stylów. Ceglany parter składał się z trzech salonów wychodzących na wspólny rozległy, kamienny taras, a dwa wyższe piętra miały elewację z deszczulek, przypominających powiększone rybie łuski. Obszerny wykusz w jednym z salonów na parterze biegł przez całą wysokość budynku tworząc przysadzistą wieżę. Na piętrach, w nowej jadalni i bibliotece, miał konstrukcję ryglową, a okna z witrażami w ołowiu. Major Cobb, ojciec Feliksa, wycisnął swoje piętno na tym nieszczęsnym budynku przez powiększenie skrzydła dla służby w kierunku wschodnim – o nową kuchnię, zmywalnię naczyń, spiżarnię, pralnię i piwnicę na węgiel. A pani Cobb, żeby nie pozostać w tyle, na końcu zachodniego skrzydła dodała neogotycką ciepłarnię i loggię.

Gabriel stał przy drzwiach z bagażami Feliksa i obserwował brata z pobłażliwym uśmiechem.

– Chodź, Feliksie – powiedział. – Wyjechałeś do Londynu tylko na dziesięć dni. Tego nawet nie można nazwać powrotem syna marnotrawnego.

– A jednak na to wygląda – odparł Feliks. – Człubym się tak nawet wracając po jednodniowej nieobecności. Co ich opętało, żeby mieszkać w takim miejscu?

Nie potrzebował odpowiedzi – znał ją dobrze. Dwór Stackpole kupił jego zmarły stryj, Gerald Cobb, który sprytnie zainwestował skromny majątek Cobbów w przemysł galwanizatorski. Za zarobione pieniądze nabył posiadłość Stackpole, dobudował nową część, i osiadł tu z żoną Mary, żeby założyć rodzinę. Nie wydali jednak na świat potomstwa, a przyczyna tego, leżąca być może w niepłodności któregoś z małżonków, pozostała na zawsze nie wyjaśniona. W 1896 roku Gerald Cobb utonął podczas wypadku na łodzi żaglowej. Bezdzienna wdowa w smutku opuściła dwór i przeniosiła się do swej rodziny, mieszkającej w odległości około piętnastu kilometrów od Stackpole. Dwór, farma i zakłady galwanizacyjne w Wolverhampton przeszły na własność młodszego brata Hamisha, majora w pułku Zachodnich Kentyjczyków księcia Connaught. Major Cobb wystąpił z wojska i bezzwłocznie osiadł we dworze. I jakby na przekór ceniom Geralda, bratowa wkrótce wydała na świat Feliksa, a było to blisko dziesięć lat po tym, jak uznała z majorem, że ich liczna rodzina już się nie powiększy. Feliks urodził się i wychował we dworze Stackpole, mimo to, ze wszystkich dzieci (była ich czwórka, dwie siostry, Gabriel i on) czuł się najmniej związany z tym miejscem, najmniej chętny nazwać je domem.

Weszli do hallu. Sprawiał wrażenie nienaturalnie ciemnego po blasku słońca na dworze i panował w nim rozkoszny chłód. Był wyłożony płytami z czarnego i białego marmuru. Na piętro prowadziły centralnie umieszczone drewniane schody, które rozchodziły się poniżej miejsca, gdzie niegdyś znajdowało się okno. Zostało ono zamurowane przy rozbudowie domu przez stryjka Geralda i teraz światło docierało tu jedynie poprzez dwa małe okna z obu stron drzwi wejściowych. Dwuskrzydłowe drzwi prowadziły do salonów znajdujących się po prawej i lewej stronie, w głębi przebito dodatkowe drzwi, żeby zyskać dostęp do nowych pokoiów. Z jednego z apartamentów uroczystym krokiem wyszła matka Feliksa i płacząco zawołała:

– Feliksie, kochanie moje, jesteś w domu.

Feliks dał się zamknąć w uścisku pulchnych, pachnących ramion matki. Była to dobrze zbudowana, w kwiecie wieku kobieta, ubrana jak zwykle według ostatniej mody. Tego dnia miała na sobie wieczorową suknię z satyny w kolorze heliotropowym, spiętą z boku dużą klamrą.

W miarę upływu lat Feliks zdawał sobie sprawę, że jego matka to kobieta niepoprawnie głupia i sentymentalna. Jednocześnie, kiedy uświadomił to sobie w pełni, wzrastał w nim szacunek dla pewnych wrodzonych cech jej charakteru, takich jak bystrość i niepodatność na wpływy. Widział, że traktuje swe małżeństwo jako bezpardonowe wyzwanie, walkę bez końca, w niezwykle niepomysłnych dla siebie warunkach. Musiała postawić na swoim. Z początku przejawiało się to w imionach dzieci, ale później, kiedy poznała swego wroga, czy też kiedy on posunął się w latach i zdziwaczał, jej długo tłumiona osobowość coraz wyraźniej dochodziła do głosu. Ubierała się w najmniej odpowiednie stroje, oddawała zainteresowaniom, które zostałyby od razu potępione w pierwszych latach małżeństwa i wreszcie, a było to jej największą słabością, pozwoliła opanować się swej największej pasji – zamiłowaniu do nowoczesności. Zainstalowała lodówkę w kuchni, zelektryfikowała dom, kupiła samochody, a obecnie prowadziła kampanię zmierzającą do zmiany systemu ogrzewania domu z węglowego na centralne.

Feliks okazał się, co przyznał teraz, żywym odbiciem tego cichego, trwającego całe życie buntu. Starzejący się ojciec nie wykazywał żadnego zainteresowania swym najmłodszym synem, matka zaś pobłażała Feliksowi, został więc wychowany całkiem inaczej niż brat i siostry. Zdawał sobie sprawę również, że triumf matki pogłębił przepaść pomiędzy nim a siostrami, a także wzmógł wzajemną pogardę ojca i syna. Z punktu widzenia matki, takie cechy Feliksa jak niezależność, pewność siebie, nade wszystko o d m i e n n o ś ć stanowiły dzieło pomnikowe, żywe świadectwo jej własnego ducha i odwagi. Ale niosło to ze sobą także problemy.

Jednakże, myślał Feliks, skoro już zgodził się być przedmiotem bezgranicznej miłości matki, cieszył się, że wytrzymała. A nie mogła przecież przewidzieć, że jej syn taki właśnie będzie. Gabriel stanowił przedmiot ojcowskich ambicji i troski przez całe życie, a mimo to nie uległ zgubnemu wpływowi militarystyki. Obydwaj bracia byli sobie ogromnie bliscy. Rodzice, doszedł do wniosku, wywierają tylko powierzchowny wpływ na potomstwo. Jak to Holland powiedział: albo masz właściwą duszę, albo jej nie masz.

Zwrócił ponownie uwagę na matkę, która odgarniała mu lok z czoła i była zaniepokojona jego zdrowiem.

– Feliksie, czy dobrze się czujesz? Kochanie, o g r o m n i e podoba mi się twoja koszula i krawat. Nie sądzisz, Gabrielu że jest zmęczony? Chcesz się położyć, mój drogi?

– Nie, dziękuję, mamę. Czuję się dobrze.

– Przyjemnie spędziłeś czas u Hollandów? Mam nadzieję, że nie przepracowałaś się zbyt mocno?

– Co do tego, mamę, możesz być spokojna. Holland i ja robimy jak najmniej. Czy zostaną we własnym pokoju?

– Oczywiście. Zjechali prawie wszyscy. Yseult i Henry, i mały Charles. Aha, zajmuje twoją ubieralnię. Mam nadzieję, że nie masz nic przeciwko temu. Zebrało się nas tak dużo. Są też Albertine i Greville. Czy widziałeś przed domem dziewczynki? Oczekujemy właśnie Eustacji i Nigela... – Zawiesiła głos. – Czy zechcesz zobaczyć się z ojcem, kochanie? Jest na górze w swoim gabinecie.

– Niespecjalnie – odparł z animuszem Feliks. – Zobaczę go przecież przy obiedzie.

Po lunchu – na który składała się galaretka z cielęciny, zimne mięso, pikle – Feliks i Gabriel poszli do ogrodu na spacer. Na tyłach domu teren porośnięty trawą opadał łagodnie około pięćdziesięciu metrów w kierunku obsadzonych krzewami trzech dużych stawów rybnych, które stanowiły ozdobę ogrodu. Pływały w nich tłuste, leniwe karpie. Po prawej stronie znajdował się ogród różany, oddzielony od trawnika porządnie utrzymanym żywopłotem z dzikiej róży. Ustawione w równym szeregu drabinki podtrzymywały niesforne pnącza. Ścieżka pod sklepieniem z gałęzi lip biegła, wśród klombów i rzędów drabinek oplecionych pnączami, do ciemnej altanki z cisu, którą zdobiły okazałe neoklasyczne popiersia. Wszystko to, zanedbywane latami, wskazywało teraz na wielką troskę gospodarzy. Ozdobne ogrody, jak przeczuwała pani Cobb, wrócą wkrótce do łask. Po lewej stronie trawnika znajdował się ogród owocowy z widocznymi tu i ówdzie drewnianymi ulami. Za ogrodem rósł las pełen buków i dębów.

– O, Boże! – powiedział Feliks. – Co za upał! – Zdjął marynarkę, zarzucił ją na ramię. Był to jeden z tych obezwładniających, upalnych dni, jakie zdarzają się w pełni lata.

– Miałbyś ochotę popływać? – zaproponował Gabriel.

– Dobry pomysł, przyjacielu – odparł Feliks. – Niech się tylko przebiorę. Przyniosę ręczniki.

Pięć minut później Gabriel i Feliks – ubrany teraz w białe sportowe spodnie, rozpiętą pod szyją koszulę i tenisówki na podeszwie ze sznurka – pokonali małą bramkę na końcu sadu, przeszli przez mostek, który łączył brzegi strumyka, zasilającego stawy rybne, i ruszyli błotnistą ścieżką przez las. Mniej więcej pół kilometra od dworu zatrzymali się przed bramą ogrodu otaczającego małą chatkę z kamienia. Ktoś tu niedawno ścinał trawę, okopał rabaty i posadził świeże kwiaty. Nawet kawałek podjazdu, który widać było po drugiej stronie, wyglądał na dopiero co posypany żwirem.

– Co o tym myślisz?, – spytał Gabriel.

– O czym?

– Podoba ci się? Tu będziemy mieszkać razem z Charis. Prezent ślubny od ojca i matki.

– Aha, bardzo ładny. Czy to nie dom Cyryla? – Feliks miał na myśli młodego ogrodnika, a zarazem człowieka do wszystkiego.

– Tak. Przeniesiono go do wsi. Musieliśmy niemało się tu napracować. Cyryl i cała reszta mieszkali tu w cholernym brudzie. – Gabriel przerwał i z dumą spojrzął na swój nowy dom. – Charis jeszcze go nie widziała.

– A tak przy okazji, gdzie ona jest? – spytał Feliks. – Zakładam, że gdzieś w pobliżu.

– Tak, ty głuptasie. Przebywa u ciotki Mary w Melton.

– U ciotki Mary? Niech Bóg ma w swojej opiece tę biedną dziewczynę. Czyj to był pomysł?

– Niestety, nie mieliśmy wyboru. Przed ślubem młoda para musi przebywać oddzielnie. Jej ojciec nie może przyjechać z Indii... Ciotka Mary nic jest taka najgorsza.

– Przeżywa swe wielkie dni.

– W każdym razie widziałem Charis wczoraj. Czuje się dobrze.

Feliks poruszył bramą do ogrodu, spostrzegł nową kłamkę.

– Założę się, że Cyryl nie był zbyt zadowolony z przymusowej przeprowadzki.

– Kto?

– Cyryl. – Gabriel czasami myślał zbyt wolno. – Ten, który tu mieszkał. – Feliks roześmiał się. – Boże, ale musiało tu być piekło. – Gabriel ruszył już jednak do przodu.

– Chodź! – zawołał starszy brat. – Pośpiesz się, Cobb, pośpiesz.

Feliks dopędził go i wędrowali po suchych, rozsypujących się brudach, skrajem milczącego, niespokojnego pola pszenicy.

– Od lat nie chlapaniśmy się w tym miejscu, prawda, Feliksie? – powiedział Gabriel. – Pamiętasz ten dzień, kiedy wepchnęliśmy do wody Eustację?

– Niezdara z niej – rzekł Feliks. – Ojciec sprzął nas na kwaśne jabłko. – Podniósł patyk i ze świstem przeciągnął nim po kępach zakurzonych pokrzyw i delikatnych główkach trybul leśnych.

– Gabrielu, w ten sposób ścinasz głowy tym, jak im tam... Afgańczykom czy wojownikom sudańskim? – Dla zilustrowania słów brutalnie pociął kępę krostawca.

– Żałuję, że nie ścinałem – odparł Gabriel. – Niestety, nie trzymałem w rękach bardziej śmiercionośnej broni od kija do gry w polo.

– Brawo – zawołał Feliks. Chwalił rzadkie, cięte uwagi Gabriela.

– Bądź co bądź, zabiłem na polowaniu parę dzików – powiedział Gabriel.

– Obrzydliwy zwyczaj. Okropnie kwiczały? Czy dziki kwiczą, jak się je zabija?

– Raczej tak. I ja kwiczałbym, gdyby mnie ktoś zabijał. – Przez chwilę Gabriel miał poważną minę. – Wkrótce mogę robić gorsze rzeczy. Wszyscy możemy.

– Co? Gorsze rzeczy niż zabijanie dzików?

– Tak. Możemy użyć broni przeciwko człowiekowi.

– Gabrielu, o czym ty mówisz?
– O wojnie angielsko-niemieckiej. Niedługo wybuchnie. Jestem tego pe-
wien.

– Czy u siebie w kasynie czytasz tylko „Daily Mail”? – zakpił Feliks. – Nie słyszałem o podobnych bredniach. Nie zanosi się na żadną wojnę. – Pobiegł do przodu w podskokach, odbijając się lekko od ziemi, jak aktor udający euforię. – Holland mówi, że wszyscy zbyt dobrze się bawią, żeby iść na wojnę. Czy nie uważasz, Gabrielu, że żyjemy w najwspanialszych czasach?

Gabriel uśmiechnął się.

– No chyba tak. Aby tak sądzić, mam osobiste powody.

– Ja także – odparł Feliks. – Chyba jednak wolę żyć teraz niż w innych czasach. Nie mam racji? Tyle rzeczy nas czeka. – Przeszli górą przez bramkę.

– Poza tym – mówił dalej Feliks – nie może być wojny, bo wybieram się do Oksfordu.

– Aha, więc wszystko w porządku. Jestem pewien, że kajzer poczeka do końca twoich studiów.

Dotarli do rzeki. Płynęła mętna pomiędzy polami pszenicy, po czym trafiając na jakąś podziemną przeszkodę nagle ostro zakręcała. W tym miejscu zmiana nurtu tworzyła obszerne rozlewisko, nad którym rosło pięć rozłożystych płaczących wierzb. Łagodny prąd tworzył wiry i podmywał przeciwny brzeg. Po jednej stronie rozlewiska znajdowała się mulista łąka pokryta żwirami. Po drugiej zwisający brzeg rzucał cień na szerokie koryto, głębokie na blisko dwa metry. Można było wdrapać się na wierzby i ze znacznej wysokości skoczyć w chłodną zieloną toń.

– Wygląda zachęcająco – stwierdził Gabriel rozpinając koszulę. – Z każdym rokiem jakby się powiększała. – Zrzucił z siebie ubranie i stanął nagi. – Mam nadzieję, że nie przechodzą tędy żadne wiejskie dziewczyny – powiedział i z łatwością wspiął się na rozłożyste konary wierzby, potem skoczył z okrzykiem do wody. Przepłynął na drugą stronę, rozbryzgując wodę, i brnąc w mule wyszedł na łąkę.

– Wspaniale – zawołał. – Chodź tu, słamazaro. Wcale nie jest zimna.

Feliks przez chwilę wpatrywał się w silne, nagie ciało brata, pocętkowane cieniami lancetowatych listków wierzby. Gabriel miał szeroką klatkę piersiową pokrytą rzadkimi blond włosami, brzuch płaski i umięśniony, wyraźnie zarysowaną miednicę. Różowe prącie i jądra, stwardniałe pod wpływem zimnej wody, zaznaczały się niewielkim wybrzuszeniem w gnieździe rudobrzaz włosów, które zarastały pachwinę powyżej mocnych ud. Woda ściekała mu po piersi i brzuchu spływając strużką z krótkiego, grubego prącia. Moszna, wielka jak pięść, była pomarszczona i twarda.

Feliks czuł, że się rumieni. Z przesadną starannością zwinął spodnie i koszulę i ułożył pod wierzbą. Uświadomił sobie, że ma białe, jeszcze nie całkiem

ukształtowane ciało, wątlą klatkę piersiową, lichą kępkę włosów łonowych. Gabriel wydawał się przy nim niezwykle masywny, jego szerokie ramiona silnie kontrastowały z wąskimi biodrami. Feliks miał wrażenie, że jest słaby, delikatny. Odwiązał tasemkę kalesonów, które opadły do kostek. Wdrapał się na drzewo i niemal od razu z przerażenia doznał zawrotu głowy. Spojrzał na skłębiającą, płynącą masę wody, na graniastosłupy światła swawolnie połyskujące cztery metry w dół. Wydawało mu się, że tych metrów jest czterysta. Trzymał kurczowo gałąź i zbierał się na odwagę.

Gabriel, z dłońmi na biodrach, czekał na mulistej łasze.

– Feliksie, skacz. Daj nurka. To nie będzie bolało.

Feliks zwolnił uścisk rąk na gałęzi i opadł w dół.

*

Wysuszył włosy ręcznikiem i po raz ostatni wytarł nagie ciało. Promień popołudniowego słońca przedarł się przez listowie wierzby i padł na jego lewe biodro i udo. Trzymając przed sobą ręcznik, ukradkiem potarł ręką prącie i jądra, czując erekcję. Gdyby nie obecność Gabriela, pomyślał, trzepałby kapucyna tu, pod gołym niebem.

Gabriel wciągnął koszulę, wsadził do spodni. Rozprostował ramiona, zaczerpnął głęboko powietrza.

– Ach, cudownie – powiedział. – W Indiach marzyłem o takim popołudniu.

– Przeciągnął obiema rękami po wilgotnych włosach. – Masz grzebień? – spytał z uśmiechem.

Feliks zamilkł na chwilę w nagłym przyplywie niewypowiedzianej miłości do brata. Siła tego uczucia paraliżowała go, czyniła bezwładnym. Przelknął ślinę.

– Nie – odparł. – Głupiec ze mnie. Powinienem być wziąć.

– Nic nie szkodzi, nic nie szkodzi. – Gabriel rozczapierzonymi, sztywnymi palcami przyczesał włosy. Spojrzał na brata.

– Feliksie, wiesz, chciałbym z tobą porozmawiać na temat druźbowania.

– Nie martw się, Gabrielu. Od wielu dni przygotowuję mowę, bardzo zabawną, wszyscy będą pękali ze śmiechu. Bez niestosownych aluzji, wyobraź sobie.

– Tak – Gabriel miał smutną minę.

– Co się stało? Jakież problemy?

– No wiesz, prosiłem cię na druźbę, bo myślałem, że Sammy – Sammy Hinshelwood, z mojego batalionu – nie dostanie urlopu...

– Nie bardzo rozumiem.

– No, a on dostał. Urlop. Poinformował mnie w ubiegłym tygodniu. Przyśłał telegram.

Feliks poczuł, jak ściągają mu się rysy twarzy.

– Mój drogi, od lat znam Sammy'ego, planowałem od początku, że...

– Mnie też znasz od lat – Feliks zdobył się na śmiech.

– Powiedziałbym ci wcześniej, ale takie było zamieszanie. Sammy już tu jest i zatrzymał się w wiejskiej oberży. Charis też go zna. Chciałaby, żeby Sammy... Wczoraj wieczorem mieliśmy próbę i tak dalej. Powiedziałem, że nie będziesz miał nic przeciwko temu. Ale posłuchaj, stary, chciałbym, żebyś był głównym mistrzem ceremonii, jeśli masz ochotę. Okropnie byś nam pomógł.

Feliks włożył kalessony, wciągnął przez głowę koszulę. Pod jej osłoną rozluźnił mięśnie twarzy, potem zacisnął zęby i zamknął oczy. Cholernie idiotyczny ślub, pomyślał, przeciskając głowę przez otwór kołnierzyka. Mniejsza z tym.

– Nie martw się, Gabe – powiedział z promiennym, wymuszonym uśmiechem. – Widzę, w czym rzecz. Świetnie. Cieszę się, że będę u ciebie mistrzem ceremonii. W każdym razie, wierz mi, przygotowałem niesamowitą mowę weselną.

*

Z okna sypialni Feliks spoglądał na południową połąć trawnika i stawy rybne. Zobaczył ogrodnika Cyryła, który wyłonił się z sadu z ciężkim kubłem w ręce i szedł wolnym krokiem nakarmić karpie. Jakby dla odzwierciedlenia nastroju Feliksa błękitne niebo zasnuło się chmurami, co zdarza się latem w Anglii, i zrobiło się chłodno. Stawy rybne, przedtem spokojne i intensywnie niebieskie, zmieniły teraz kolor na mysioszary, a podmuchy wiatru pomarszczyły powierzchnię wody.

„Charis też go zna. Chciałaby, żeby Sammy...” Słowa te dźwięczały mu w uszach. Wiedział, kogo ma winić za ten gorzki zawód. Przeklęta Charis, pomyślał. Cholerna Charis. W powrotnej drodze z kąpieliska przy wierzbach przekomarzał się wesoło, wygłaszał wszelkiego rodzaju dziwaczne opinie na temat białego niewolnictwa, sprawy Caillaux * w Paryżu, zgromadzenia floty w Spithhead i głośno zapowiedział, że ma zamiar pobierać lekcje tańca i nauczyć się tanga, a także brazylijskiego fokstrotu. Takiego Feliksa Gabriel dobrze znał, śmiał się z tego, co brat mówi i sam go rozśmieszał, najwyraźniej zadowolony, że znów słyszy jego obrazoburcze wywody.

* Joseph Caillaux (1863–1944) francuski polityk i mąż stanu, przewodniczący Rady Państwa 1911–1912, sprzyjał polityce ugodowej w stosunku do Niemiec, ustępstw terytorialnych w Afryce Równikowej. Został skazany przez francuski Sąd Najwyższy za prowadzenie korespondencji z nieprzyjacielem.

Po powrocie do swego pokoju Feliks walnął pięścią w poduszkę, zaklął siarczyście i pod wpływem impulsu porwał na kawałki mowę weselną. Był zły, że oczy go pieką od łez pod wpływem doznanego zawodu i bólu. Za wszelką cenę postanowił udawać chłód, cynizm. Nikt nie może zauważyć, jak bardzo czuje się rozczarowany i zawiedziony. Sammy Hinshelwood. Drugi nieszczęsny żołnierz, hałaśliwy, szczerzy. Jakże Feliks nienawidzi wojska!

Położył się na łóżku, zapalił papierosa i obserwował, jak niebieskie kłęby dymu unoszą się spiralnie i rozplývają nad głową. W czasie gdy gościł u Hollanda, ze szkoły nadeszły kufry, ale mimo jego polecenia nie zostały rozpakowane.

Otworzył jeden z nich, wyjął parę książek i kartonową tubę. Wydobył z niej kolorowy plakat. Była to reklama papierosów De Reske, należących do jego ulubionych gatunków. Po otrzymaniu sześciu pustych pudełek wysyłano z firmy bezpłatnie plakat. Przedstawiał on siedzącą przy stole młodą parę. Smukły młody mężczyzna w wieczorowym ubraniu, pochylony do przodu, jedną ręką podpierając brodę, drugą z zapalonym papierosem pomiędzy dwoma palcami trzyma z tyłu spoczywającą niedbale na oparciu krzesła. Rozmarzonym wzrokiem wpatruje się w oczy równie smukłej kobiety, która tak samo pochyla się do przodu, jej bujne piersi ledwo mieszczą się w głęboko wyciętym staniku jedwabnej sukni.

W tym obrazie Feliksa fascynowała i podniecała wyraźna dysproporcja pomiędzy wydatnymi piersiami kobiety a jej elegancką, wiotką kibicią, a także sposób, w jaki pochylała się do przodu i prowokacyjnie odsłaniała duży dekolt, jakby nagradzając swego towarzysza za wyrafinowany smak, dzięki któremu wybrał papierosy De Reske.

Feliks rozpostarł plakat na dywanie przed kominkiem. Z jednej strony przytrzymał go popielniczką, następnie na próbę potarł pachwinę. Zazwyczaj bodziec wzrokowy i dotykowy wywoływał natychmiastowy skutek, tym razem jednak skończyło się na męczących mechanicznych ruchach. Podniósł popielniczkę, zwinął reklamę, zajął ponownie miejsce przy oknie i spoglądał bezmyślnie na trawnik, stawy, pola leżące w dali, teraz wszystko to pociemniałe od chmur, które przygnały wieczorne podmuchy wiatru.

Później Hester, pokojówka z górnego piętra, przygotowała mu kąpiel. Umył się i zmienił ubranie do obiadu. Rodzina, jak wiedział, zbierze się w środkowym hallu przed wieczornym posiłkiem, ale nie czuł najmniejszej chęci przyłączenia się do ich grona. Usiadł przy biurku i wyjął z szuflady papier listowy. Przekreślił nagłówek „Dwór Stackpole” i wstawił „Dom na pustkowiu”.^{*} Napisze list do Hollanda, przyjaciela ze szkoły, inspiratora wszelkich poczynań, jedynej osoby, która go rozumie, docenia i podziela jego nastrój.

^{*} Aluzja do powieści Dickensa, pod tym samym tytułem.

„Mój drogi Hollandzie – napisał. – Boli mnie głowa, a w karku czuję odrętwiałość i ból. Znów jestem w domu. To potworne miejsce przypomina kolosalnych rozmiarów rozkładającego się, śmierdzącego kościotrupa, który leży w hrabstwie Kent; zamieszkują go ugrzecznione, blade, zadowolone larwy, noszące przeważnie wojskowe mundury. Moja rodzina. Boże chroń mnie przed taką rodziną! Nie ma wśród nich ani jednej istoty, która by miała „duszę” ludzką. (Z

wyjątkiem oczywiście brata, a zarazem pana młodego, Gabriela – chociaż i on nie jest taki jak dawniej. Po uważnym przeczytaniu mojego przemówienia wesele powiedział, że jest za dużo prowokacyjne i buntownicze, jak na nietolerancyjne i wrażliwe uszy krewnych. Potrzebne nam banalne przemówienie, powiedział, tylko banalne i mentorskie, okraszone jednym, dwoma znanymi wszystkim dowcipami Oczywiście, nie zgodziłem się na zmianę choćby jednego słowa, w rezultacie zdegradowano mnie ze stopnia drużby do mistrza ceremonii. Nie żałuję, że tak postąpiłem.)

Chcesz poznać innych? Cressida, najstarsza niezamężna siostra, gwałtownie obrastająca w sadło, bez poczucia humoru, niezdolnie apodyktyczna, prowadzi dom, a mojej drogiej matce pozostawia wolną rękę, żeby mogła oddawać się swoim „pomysłom”. Na podjeździe cały czas tłoczno od samochodów wszelkiego kalibru. Potem jest Yseult, błada i naiwna. Bezwstydnie uległa i zastraszona przez swego groteskowego męża, w stylu Falstaffa, krzykliwego podpułkownika Henry'ego Hyamsa. Dotrzymuje im towarzystwa głupi dzieciak, Charles, mój siostrzeniec, który właśnie pozbawił mnie możliwości korzystania z eleganckiej ubieralni. Dalej mamy bliźniaczki: Albertine (przyznaję, całkiem miła, wesoła) i Eustacja (okropnie zgorzkniała), oraz ich małżonków. Albertine schwytała czcigodnego Greville'a Verschoyle'a – również żołnierza, w randze kapitana czy majora, coś w tym rodzaju. Eustacji dopiero w ubiegłym roku udało się usidlić porucznika Nigela Bathe, z „e” na końcu, zwróć uwagę. Nigelowie Bathe są z pewnością najmniej przyjemną parą, jaką znam. Wojskowi, wszędzie tylko wojskowi. To jedyna dodatnia strona tego, że ma się ojca majora i mieszka w miastach garnizonowych. Nawet drogi Gabriel jest wojskowym. Wstrętny Charles też z pewnością nim zostanie. Wyjątek stanowią ja, a także dwie rozkoszne, choć bardzo hałaśliwe siostrzenice (Hattie i Dora: nie wiem dlaczego mają takie imiona jak pomywaczki?). Na zakończenie zostawiłem najsmakowitszy kąsek. Mówiłem ci już kiedyś o ojcu? Nie widziałem go jeszcze, chociaż jestem tu cały dzień...”

Przerwało mu metaliczne crescendo pierwszego gongu wzywającego na obiad. Odłożył pióro. Nieraz już opisywał Hollandowi rodzinę, ale ten list podziałał jak terapia. Poczul się przywrócony do życia.

Przyjrzał się swemu odbiciu w dużym lustrze stojącym w rogu pokoju.

Włosy... Holland zaniechał używania pomady i oliwy. Feliks poszedł w jego ślady. Zapuścili włosy. Ostrożność jednakże podpowiadała, że dzisiejszy wieczór nie będzie najstosowniejszą porą, by zwracać ojcowską uwagę na długość owłosienia. Wydostał z kufra buteleczkę i polał trochę oliwy na prawą dłoń, potarł obie ręce i posmarował włosy, następnie przyczesał je gładko grzebieniem. Małym palcem przesunął zlepiony kosmyk, który opadł na czoło. Mógłby

przysiąc, że ojciec każe mu ostrzyć głowę. Wyprostował muszkę pod szyją. W hallu rozległ się drugi gong.

W drzwiach sypialni wpadł na Charlesa, ubranego również w strój wieczorowy. Był to chudy chłopiec o smutnych oczach i szczupłej twarzy. Nie odziedziczył nic z tryskającej energią ojcowskiej jowialności.

– A ty gdzie się wybierasz? – spytał Feliks, zatrzymując chłopca na korytarzu.

– Na obiad, wujku Feliksie.

– Na obiad? Dzieci o tej porze nie jedzą obiadu.

– Tak, ale babcia powiedziała, że dziś wieczorem możemy. Razem ze wszystkimi. Bo jutro jest ślub.

Feliks uniósł brwi.

– Hattie i Dora też będą?

– Tak.

Nie do pomyslenia!

– O Boże! W porządku, idź na dół.

Charles odszedł w pośpiechu. Feliks zapalił papierosa. Puścił Charlesa pierwszego, by mieć czas na swoje wejście.

*

Środkowy hall był najwygodniejszym miejscem w domu. Wysokie, obszerne pomieszczenie, w którym najczęściej przebywali mieszkańcy dworu, miało ściany wyłożone boazerią z jasnego dębu. Po obu stronach dużego kominka stały dwie drewniane ławy z wysokimi oparciami, a także fotele i kanapy, pokryte kretonem. Na parkiecie w różnych miejscach leżały indyjskie dywany. Kominek był niejako wciśnięty między starą część budynku a dobudówkę. Okno witrażowe wychodziło na podjazd i skrzydło kuchenne. Kiedy Feliks zszedł, trzymając jedną rękę w kieszeni, a drugą nonszalancko z papierosem na wysokości pasa, w hallu zebrała się już prawie cała rodzina Cobbów. Dora i Hattie, ubrane w plisowane koronkowe sukienki, siedziały w jednym kącie w towarzystwie guwernantki. Zachowywały się bardzo grzecznie, jak dobrze wychowane panienki. W dużej grupie przy kominku siedziała ich matka, Yseult i Albertine. W szeregu przed gzymsem kominka stali mężczyźni: Gabriel, Sammy Hinshelwood, Greville Verschoyle i podpułkownik Hyams. Ten ostatni śmiał się bardzo głośno i jedną ręką ścisnął ramię biednego syna, który stał u jego boku z głową pochyloną, jakby oczekiwał ciosu. Przyglądając się badawczo pomieszczeniu Feliks spostrzegł brak Cressidy – która przypuszczalnie czuwała nad kuchnią – Nigelów i ojca.

Jego pojawienie się pierwsza zauważyła matka.

– Feliksie, kochanie – powiedziała podnosząc się z kanapy. – Chodź, usiądź

tu. Po pływaniu na pewno jesteś zmęczony. – Podeszła parę kroków, żeby wziąć go pod ramię, niczym inwalidę albo ślepcę. – Czyżbyś miał zamiar palić? – spytała jakby po namyśle.

– Feliksie – zawołała Albertine. – Tylko bez papierosów.

– W porządku, mamó – odpowiedział łagodnie i uwolnił łokieć z jej rąk. – Stanę z mężczyznami. – Miał nadzieję, że ironia w jego głosie nie nasuwa wątpliwości; tego wieczoru bez względu na konsekwencje zamierzał zaakcentować swoją osobowość. Pozdrowił tych członków rodziny, z którymi się jeszcze nie widział, i uprzejmie odpowiedział na kilka pytań dotyczących ukończenia szkoły i przyszłych studiów w Oksfordzie.

– Feliksie – zawołał Henry Hyams. – Sherry? Czy może napić się sherry, pani Cobb, skoro dorósł już do papierosa? Ha, ha, ha!

Feliks nalał sobie sherry z kryształowej karafki stojącej na stole w pobliżu okna i pominął milczeniem głupią uwagę rozbawionego szwagra. Był tam dżin, wódka, whisky i syfon z wodą sodową, ale – pomyślał – lepiej, jeśli nie przekroczy granicy przyzwoitości. Dołączył do grupy przy kominku.

– Przepraszam, że pozbawiłem cię funkcji drużby – powiedział Sammy Hinshelwood, Był to przystojny młody mężczyzna z małym wąsikiem i wysokim czołem. Jedną rękę trzymał z tyłu, jakby w pozycji spocznij na placu apelowym.

Feliks wolno popijał sherry.

– Nie przejmuj się tym – powiedział i obrzucił spojrzeniem Gabriela, który rozmawiał z Henrym Hyamsem. – W każdym razie byłem tylko pierwszym rezerwowym. Dobrze, że, udało ci się dostać urlop.

– Tak – odparł Hinshelwood. – Późno o tym powiadomiłem, ale jestem zadowolony, bo zobaczę wreszcie Gabrysiów połączonych węzłem małżeńskim.

– Przepraszam, co za Gabrysiów? – spytał Feliks nieszczerze.

– Gabrysiów. Tych naszych kochanych Gabrysiów. Po prostu twego brata, kapitana Cobba.

– Aha, G a b r y s i ó w . Tak. – Feliks zwrócił się do matki: – Mamó, nie pojawili się Nigelowie?

– Przyjechali, kochanie, przed pół godziną. Przebierają się.

– Szkoda – powiedział Feliks prawie szeptem.

Z rozkoszą obyliby się bez ich towarzystwa. Eustacja, mimo że bliźniaczka Albertine, nie miała nawet śladu jej urody, była zgryźliwa, w najlepszym razie zmiennego usposobienia, a Nigel Bathe, jej mąż, jakby ją uzupełniał, wylewał z siebie nie kończący się strumień załów i wymaginowanych krzywd, których – jak twierdził – świat mu nie poskąpił. Ten źle podliczył rachunek w kasynie, ów nie w porę wydał rozkazy, inny niesprawiedliwie przydzielił obowiązki i tak dalej, i tak dalej. Wyliczeniom nie było końca. W bardzo krótkim czasie

Bathe'owie potrafili zepsuć atmosferę każdego przyjęcia.

Feliks wyszczył do dna sherry i miał zamiar znów napęłnić kieliszek, kiedy Henry Hyams głośno zawołał na niego po imieniu i podniósł do góry rękę, jakby próbował zatrzymać ruch uliczny. Henry był dobrze zbudowanym, korpulentnym mężczyzną, który ledwo mieścił się w smoking. Zwały tłuszczu wylewały się spod sztywnego kołnierzyka, wyglądał, jakby był zgrzany, skrępowany. Miał bardzo małe bladoniebieskie oczy i wypomadowane wąsy, rzędzące włosy, zaczesane do przodu, sztywnym naoliwionym lokiem opadały na czoło.

– Słucham, Henry? – powiedział Feliks cierpliwie, modulując głos tak, aby wyrażał szacunek.

– Oksford, Feliksie, Oksford.

– Słucham? – powtórzył Feliks, tym razem podnosząc nieco głos.

– Co ty wyprawiasz, przyjacielu? Co ty wyprawiasz? Nie zamierzasz chyba studiować teologii? Phi! – parsknął pogardliwym śmiechem.

– Wykluczone – natychmiast odparował Feliks.

– Feliks ma zamiar studiować, uhm, historię w s p ó ł c z e s n ą – przerwała matka. – Mam rację, kochanie, nieprawdaż? Tak się ucieszyłam, że to będzie współczesna.

– H i s t o r i a w s p ó ł c z e s n a ! – doszedł od drzwi wściekły ryk. – Ja ci dam historię współczesną!

Wszyscy odwrócili się przerażeni. Był to major Cobb.

Feliksa zdumiewało zawsze to, że gdy porównywał z ojcem innych członków rodziny wydawali mu się niemal wysocy. Major Cobb był mężczyzną niskiego wzrostu, niegdyś potężnej budowy ciała. Pewne ślady dawnej okazałości nadal były widoczne, ale od czasu porzucenia służby wojskowej niebezpiecznie przybrał na wadze. Dziś wieczorem, pomyślał Feliks, wygląda jak mały czarnobiałe rozzłoszczony bokser. Miał na sobie – z nie wyjaśnionych powodów – czarne spodnie zapinane pod kolanami i białe jedwabne pończochy, buty ze sprzączkami, frak, gorset i sztywny kołnierzyk ze skrzydełkami oraz białą muszkę. Na lewej piersi, przypięte szeregiem, pobrzękiwały medale. Wyglądał jak filigranowy ambasador, który ma przedstawić listy uwierzytelniające na dworze angielskim. Był niemal zupełnie łysy, ale wbrew ówczesnej modzie zachował bujne bokobrody. Miał nalaną żółtawą twarz w kolorze klawiatury starego fortepianu, jakby na coś chorował lub właśnie powracał do zdrowia. Pod oczami widać było worki, a górne powieki wyglądały jak pulchne indycze koraliki. Obwisłe fałdy skóry pozostawiały jedynie wąskie szparki, przez które wycierały oczy. Ogólnie biorąc, pomyślał Feliks, jest odpychający. Modlił się, żeby na starość nie wyglądać tak okropnie.

Major wszedł do pokoju ciężkim krokiem, wymachując zwiniętą gazetą, którą cisnął w kominek. Ten gest miałby więcej wymowy, gdyby palił się ogień, a tak gazeta odbiła się od tylnej ściany kominka i stuknęła tuż pod kolanem gapiącego się Charlesa.

– Ten przekłety łajdak Carson?* – powiedział major. – Powinien smażyć się w smole!

* Sir Edward Carson, lider partii unionistycznej, protestant z Dublinu, opowiadał się za oderwaniem Ulsteru od reszty Irlandii, licząc, że storpeduje w ten sposób koncepcję autonomii.

– Hamish! – krzyknęła pani Cobb. – Uspokój się! Tu są dzieci.

– Współczesna... ż a ł o s n a historia. Nie wiem, czym się to skończy.– Rozejrzał się po hallu błędnym wzrokiem, jakby po raz pierwszy zauważył gości. – Autonomia,** syndykalizm, walczące związki zawodowe, sufrażystki. P l u j ę n a n i c h w s z y s t k i c h ! –zawrzał gniewem.

** Chodzi o autonomię dla Irlandii, pozostającej częścią Zjednoczonego Królestwa.

Feliks odwrócił oczy. Zbyt często był świadkiem tych popisów, żeby się nimi przejmować. Mały Charles, do którego skierowane były ostatnie słowa, wyglądał, jakby właśnie miał go spotkać los sir Edwarda Carsona.

– Nie ma powodu tak się unosić, Hamish – łagodził jowialnie Henry Hyams. – To przejściowe, nie wiesz?

Majora doprowadzono na jego miejsce i posadzono na krześle, a w trzęsącą się rękę wetknięto whisky z wodą sodową.. Feliks przesunął się bokiem do Gabriela, podczas gdy major zaczął ciskać dalsze gromy na autonomię.

– Dlaczego się tak odszykował? – spytał szeptem Feliks. – W głowie mu się pomieszało, czy co?

– Nie wiem – odparł Gabriel. – Może w związku ze ślubem.

– Ale na ślubie Eustacji tak nie wyglądał. To oczywiste. Aha o wilku mowa.

Eustacja i Nigel weszli nie zauważeni, w trakcie końcowej tyrady majora i urażeni stali bez ruchu w drzwiach. Eustacja miała bardzo ciemne włosy, cerę taką jak Feliks, nawet podobny meszek nad wargami, jej rysom brakowało jednak siły wyrazu, sprawiała wrażenie, jakby stale była niezadowolona. Dwie głębokie linie biegły od nozdrzy aż po kąciki ust.

– Do czego to podobne, matko – płaczącym tonem wyrażała pretensję. – Stoimy tu od pięciu minut, a wy tymczasem toczycie spory i ciskacie gazetami.

Pani Cobb po raz trzeci podniosła się z kanapy.

– Eustacjo, jak ty ładnie wyglądasz – powiedziała pogodnie nieobecny, marzycielskim głosem. – Jakie to ładne. Krepdeszyn? – Pomacała palcami bluzkę córki.

– Nigel! – zawołał dyplomatycznie Henry Hyams. – Łaskawco!

Podejdz bliżej i poznajże Sammy'ego Hinshelwooda.

Nigel Bathe, błądy nieciekawy blondyn, dołączył do grupy przy kominku. Feliks przyjrzał mu się uważnie. Tak, tak też myślał, Bathe z a p u ś c i ł wasy, rzadkie, w pewnym oświetleniu nawet niewidoczne.

– Nareszcie są wszyscy – westchnęła pani Cobb, jakby niepomiernie uszczęśliwiona tym faktem.

– Z wyjątkiem Charis – dorzucił Gabriel.

– Aha. Z wyjątkiem Charis.

– Biedna Charis – roześmiał się Greville Verschoyle. – Zastanawiam się, jaki obiad zrobiła ciotka Mary? – Potem uświadomił sobie, że to nie jego ciotka i gdy zauważył pełne wyrzutu spojrzenie Albertine, powiedział: – Przepraszam... hm, to znaczy, co za szkoda, że nie może być z nami, he? No nie, Gabrieliu? Charis, czyli...

– Dobry wieczór, ojcie – powiedział Feliks do majora, który wpatrywał się w bąbelki wody sodowej w szklance whisky. Rozejrzał się, jakby miał do czynienia z zupełnie obcą osobą.

– Co...? Eh? Powinieneś być w Londynie.

– Podano do stołu – zawołała od drzwi Cressida. – Boże, ile ludzi.

Major poderwał się na nogi.

– Nareszcie obiad – zawołał i przemaszerował szybkim krokiem między zebraną rodziną do jadalni.

Feliks obserwował go. Co za okropny człowieczek, pomyślał. Przez trzy miesiące nie widział ojca. Potrząsnął głową, postawił kieliszek sherry na gzym-sie kominka i przyglądał się, w jakim porządku rodzina idzie do jadalni. Cressida, panna Stroud, guwernantka, dwie dziewczynki, dalej Albertine i Greville, Nigelowie Bathe, mały Charles przed Henrym Hyamsem i Yseult, pani Cobb, Gabriel, a na końcu Sammy Hinshelwood, który zatrzymał się przy drzwiach i powiedział:

– Proszę cię bardzo, Feliksie.

Feliks ruszył korytarzem w stronę jadalni. Przekroczył próg i ku swemu zdumieniu stwierdził, że ktoś mocno ściska go za prawy łokieć. To ojciec.

– Mam ciebie, chłoptasiu! Nie tak szybko. – Major obrócił go nagle w drugą stronę. Podeszli do zakłopotanej gromadki: Charlesa i stremowanych, wystraszonych Hattie i Dory.

– Co to znaczy, ojczu? – zapytał Feliks z niepewnym uśmiechem.

Spojrzał przez ramię i zobaczył matkę załamującą nerwowo ręce, gdy tymczasem reszta rodziny krążyła wokół stołu i według wskazówek Cressidy szukała swych miejsc.

– No – powiedział major mentorskim tonem nauczyciela. – Dzieci nie siadają do stołu z brudnymi rękami. Umyte? Zobaczymy!

Charles i dziewczynki posłusznie pokazały nieskazitelnie czyste dłonie.

Feliks nie mógł wprost uwierzyć własnym oczom.

– Chwileczkę, ojcie – powiedział i wetknął ręce do kieszeni. Kiedy zdał sobie sprawę, że reszta rodziny przygląda się w milczeniu, poczuł, że policzki zaczynają mu płonąć.

– Dalejże – rozkazał suchym tonem major. – Wszyscy po kolei.

– Ojcie – obstawał Feliks z wymuszoną cierpliwością, uświadamiając sobie, że głos drży mu z wściekłości. – Nie jestem dzieckiem. Nie mam zamiaru pokazywać rąk.

– Ręce, ręce – szczebiotał major. – Znam ja was, uczniów. Małe brudasy.

Nagle chwycił Feliksa za przeguby dłoni i wyciągnął mu ręce z kieszeni.

– Ha! – zapiszczał. – Popatrzcie! A t r a m e n t! Atrament! Brudne, poplamione ręce! Wiedziałem, że tak będzie.

– Hamish – rzekła pani Cobb wibrującym głosem – proszę cię, czy mógłbyś się zlitować nad nami.

Feliks spojrział w ojcowskie oczy. Wilgotne szparki w spoconej żółtawej twarzy. Nie dostrzegł w nich niczego podejrzanego. Major obrócił się i klasnął w dłonie.

– Zgoda, siadajmy. Wszyscy gotowi?

*

Feliks siedział między panną Stroud i Eustacją. Błyszczący orzechowy stół został rozciągnięty na całą długość, żeby pomieścić rodzinę. Nienawiść i złość zaczynały wygasać. Odłożył łyżkę, pozostawiając na talerzu połowę rosółu: scena z ojcem odebrała mu apetyt. Obrzucił spojrzeniem obie strony stołu. Piętnaście osób, pomyślał. Jakie to okropne. Hałas był ogłuszający: toczyło się siedem czy osiem rozmów jednocześnie, którym, w chwili gdy goście kończyli zupę, towarzyszył brzęk srebrnych łyżek o porcelanę.

Feliks spojrział na Gabriela siedzącego obok matki. Wszystko się teraz zmieni, kiedy Gabriel poślubi Charis, pomyślał z przykrością. Zastanawiał się, jaka ona jest. Zwrócił się do Eustacji, która serwetką lekko dotykała górnej wargi pokrytej meszkiem.

– Eustacjo, czy poznałaś Charis?

– Ja? – Eustacja wypowiedziała to krótkie słowo z możliwie najwyższą nutą ironii. – Co to, to nie. Skądże znowu. Nie zaproszono nas, tylko Hyamsów i Verschoyle'ów. Leeds, jak się okazuje, leży za daleko, żebyśmy mogli wziąć udział w przyjęciu rodzinnym. Zaprosiliśmy do siebie Gabriela, ale podobno nie odpowiadał mu termin. – Eustacja paplała dalej, wyliczając dalsze przejawy lekceważenia, prawdziwe czy urojone. Feliks poczuł tak potworne znudzenie, jak podczas odwiedzin rodzinnych na Zielone Świątki. Służba sprzątnęła talerze,

wniesiono ryby. Nie miał ochoty jeść więcej. Przez ogólny zgłębienie przebiegały się urywki rozmowy.

– Czy nie rozumiecie – tłumaczył cierpliwie Henry Hyams. – Że nie wysłalibyśmy naszej floty na otwarcie Kanału Kilońskiego, gdybyśmy uważali, że stanowi to zagrożenie dla europejskiego pokoju. Moim zdaniem to logiczne.

– W ich oczach ten fakt i tak niczego nie zmienił – wtrącił Sammy Hinshelwood. – Niczego nie zmienił. Znam takiego Niemca, który jest przekonany, że nasz król dąży do wojny, bo kiedyś w młodości – z różnych, uhm, nie wyjawionych powodów – król chciał w Paryżu pożyczyć pieniądze od kajzera, a ten mu odmówił. Całkiem słusznie, jeśli mi wolno wyrazić swoje zdanie.

– Sammy, doprawdy – odezwała się Albertine.

– I myślę, że od tej pory król ma żal do kajzera – zakończył triumfalnie Hinshelwood.

Feliks uniósł w górę oczy, skonsternowany, potem spojrzął w stronę matki, która siedziała między Gabrielem a Nigelem Bathe.

– Kochanie, o jakim zabójstwie mówisz? – spytała matka. – Wszystkich teraz zabijają. Nigdy nie pamiętam, o kim mowa. Czy masz na myśli tego typu Rasputina?

– Nie. Arcyksięcia Ferdynanda – wyjaśnił Nigel Bathe. – Następcę tronu cesarstwa austro-węgierskiego. W Sarajewie. – Tracił cierpliwość, twarz pani Cobb nadal wyrażała niezrozumienie. – Przed trzema tygodniami, w Serbii.

– Aha – powiedziała niepewnym głosem pani Cobb. – Gabrielu, czy ja o tym gdzieś czytałam?

– W „Illustrated London” z ubiegłego tygodnia, mamu. Były tam zdjęcia z Sarajewa. Wszyscy o tym mówią.

– Ach te nazwy, te miejscowości! Gdzież one są, u licha?

– I jego żonę też – dodał ponurym tonem Nigel. – Z rewolwerów. – Wymierzył dwa palce w panią Cobb. – Bach! Zastrzelili ich socjaliści. O, w ten sposób. Bach! Bach!

Pani Cobb wzdrygnęła się na dźwięk wystrzałów.

– Ojej! – Była zupełnie oszołomiona.

Feliks wyprostował się na krześle i przetarł oczy. W uszach dźwięczały mu urywki zdań. Poczul nagły dreszcz paniki wstrząsający jego ciałem.

– ... Albertine, jedziesz w tym roku do Henley?...

– ... Nie można już ufać Sipajom.* Zwłaszcza od czasu wzniesienia buntu...

* Sipaje (europejska nazwa żołnierzy indyjskich w wojsku angielskim) w 1867 r. zapoczątkowali ogólnonarodowe powstanie przeciwko Anglikom w Indiach, zajmujący Delhi i ogłosili władzę Bahadura Szacha II z dynastii Wielkich Mogołów.

– ... Mam nadzieję, że nie będzie mi pan miał za złe, jeśli spytam, w jakim wieku został pan kapitanem?...

–... Chcemy sensownego postępu, a nie bezsensownej zmiany...

– Kosztowało mnie to siedemnaście gwinei...

– ... Henry, czy byłbyś tak dobry to pokrajać? Hamish jest zajęty...

Feliks otworzył oczy i wpatrywał się w żyrandol, który wisiał nad stołem, brzydki, drewniany, z sześcioma żarówkami, zawieszony na czymś w rodzaju bloku po to, żeby można go było podnosić i opuszczać. Puste kandelabry stały pośrodku stołu. Usłyszał głuchy odgłos, drgnął, zabrzęczała srebrna zastawa, a jeden z kandelabrow zachwiał się i przewrócił.

– Coś podobnego! – okrzyk majora uciszył rozmowy. – Co za hańba!

Feliks z przykrością spojrział na obwisłą twarz ojca.

– O co chodzi, Hamish? – spytała z troską pani Cobb.

– Albertine mówi, że kobietom pozwalają teraz chodzić na mecze bokser-skie. Czy dasz temu wiarę?

Kiedy goście uprzytomnili sobie, że nie zdarzyło się nic ważnego, od razu podjęli rozmowę. Albertine speszyła się nieco ostrą reakcją ojca na swą niewin-ną uwagę: major opisał szczegółowo kary dla każdej z córek, gdyby tylko od-ważyły się kupić bilet na mecz.

Feliks nie mógł dłużej znieść tej rozmowy.

– Czy nie robisz burzy w szklance wody, ojcze? – spytał przesadnie roz-wlekłym głosem. – Pozwoliłbyś kobietom opiekować się rannymi na polu bi-twy. Dlaczego, na miłość boską, nie mogą obejrzeć meczu bokser-skiego?

– Jedno z drugim – odparł major, który siedział sztywno na krześle – nie ma absolutnie nic wspólnego. Opiekowanie się rannymi to obowiązek, powoła-nie. A mecz to tylko podnieta. Szukanie przyjemności.

– Chyba nie odmawiasz płci pięknej prawa do niewinnej przyjemności? – spytał Feliks.

– Niewinnej? – sapnął major. Był autentycznie wstrząśnięty. – Jak śmiesz!

Znów walnął pięścią w stół, tym razem wszystkie światła zgasły. Eustacja cicho krzyknęła, kiedy pokój pogrążył się nagle w ciemnościach. Przez południowe okna sączyło się szare wieczorne światło, nadając zebranym wygląd schorowanych lub starych ludzi. Hattie – a może Dora? – zaczęła płakać.

– Agato, na miłość boską – ryknął major do żony przez stół. – To wszystko twoja wina. Chcę wiedzieć, dlaczego musieliśmy zrezygnować z gazowego oświetlenia?

– Bez paniki – zawołał Henry Hyams, trzymając kurczowo w ręku nóż i widelec. – Najpierw kobiety i dzieci! – ryknął śmiechem, czym tylko doprowa-dził majora do większej wściekłości.

– Zadzwoń tym cholernym dzwonkiem – krzyknął major. – Dzwonek. Na

miły Bóg, wezwijcie służącego. – Zerwał się na nogi, zgodnie z własną radą poszedł zamaszystym krokiem do przycisku umieszczonego w ścianie i nie odrywając palca naciskał guzik, jak detonator.

– Ojcie – powiedział Feliks wstając z krzesła. – Ja pójdę. Prądnicą wysiadła, to wszystko. Przy okazji – dodał od niechcenia opuszczając jadalnię – tracisz czas. To dzwonek elektryczny. – Szybko zamknął za sobą drzwi, słysząc nowy wybuch gniewu ojca.

Rozejrzał się dokoła: cały dom pogrążył się w ciemnościach. Z kuchni doszedł go szmer głosów. Poszedł korytarzem, minął drzwi wahadłowe.

– Witaj, May – powiedział do kucharki. – Chyba wysiadła prądnicą. Jest tu gdzieś Cyryl?

May była szczupłą starszą kobietą z jeszcze kwaśniejszym wyrazem twarzy niż Eustacja, jej wygląd kłócił się wyraźnie z jakimikolwiek wiosennymi skojarzeniami, które mogłoby nasunąć jej imię.

Gwałtownym ruchem palca wskazała na drzwi z tyłu, za którymi znajdował się skład węgla i pralnia.

– On je tam, paniczu Feliksie. Migiem to zrobi. Cięgiem ostatnio się toto psuje.

Feliks wyszedł na dwór. Zimny mrok chmurnego letniego wieczoru wprawił go w drżenie. Cicho przeszedł do pralni, której część wydzielono dla nowego elektrycznego generatora. Cyryl, człowiek do wszystkiego i ogrodnik, nachylał się nad maszyną, przyświecając sobie latarką elektryczną.

Feliks przystanął w drzwiach i przysłuchiwał się jego mamrotaniu.

– Cholerny pieprzony grat, kurwa. Zastrana kupa szmelcu, jakiej...

– Dobry wieczór, Cyrylu.

– Kryste! To ty, Feliksie. Uff, przestraszyłeś mnie jak cholera. Rany boskie. Jak się masz?

Holland powiedział kiedyś Feliksowi, że warto zbliżyć się do przedstawiciela klasy robotniczej. Feliks wybrał sobie Cyryla.

– Bardzo dobrze – odparł. – Maszyna się zaklinowała?

– Zapomniałem chlusnąć tej cholerniej ropy, no nie? – Cyryl otarł ręce o kamizelkę.

Był to potężnie zbudowany, zwalisty mężczyzna, gładko ogolony, z twarzy przypominający Chińczyka. Włosy miał czarne, sztywne, zaczesane do tyłu – głowa przez to nabierała dziwnie opływowego kształtu.

– Łać ropę do tego pudła to jakby człek lał wodę do dziurawego kubła – dowodził Cyryl. – Zaraz to draństwo uruchomię. Pójdzie to migiem.

Zdjął nakrętkę kanistra z ropą, umieścił lejek w zbiorniku paliwa prądnicą i płyn popłynął z lekkim gulgotaniem. Zapach ropy rozszedł się po chłodnym pomieszczeniu. Feliks uśmiechnął się pod nosem. Wprawdzie zbliżył się do Cyryla, bo chciał wprowadzić w życie swoje poglądy socjalistyczne, stwierdził

jednak, że bardzo lubi tego człowieka i podoba mu się jego otwarta dosadna mowa. Od niego mógł się wszystkiego dowiedzieć.

Feliks poszedł dalej do rzędu ogromnych zbiorników i podniósł zatłuszczoną broszurę leżącą na kratce ściekowej. Była to instrukcja obsługi małego motoru ładującego baterię, która dawała światło. Przysunął broszurę do słabego światła, jakie wpadało przez okno, i zaczął przerzucać strony.

– Cyrylu – powiedział ze zduszonym chichotem. – Piszą tu, że maszynę potrafi obsłużyć niewykwalifikowany służący, który nie zna się na elektryczności. Coś się nie zgadza?

Cyryl znów zaklął.

– Wiem wszystko o tej cholерnej elektryce. Ale nie wiem, jaka kupa ludzi zwali się do domu, no nie? Wszystko tu świeci się jak, jak... w pałacu, od samiułenkiego podjazdu. Rany gościa, mówię se, Cyrylu brachu, jak nie sikniesz ropy do tego drańskiego motoru, to baterie sflaczeją jak babskie cyce. No i partrcie, co się dzieje, jak tę cholę napęlniam. – Szarpnął za sznur motoru i silnik ze stukotem zaczął pracować.

– Sukinsyn – powiedział Cyryl pod adresem dygocącego motoru.

Światła zamigotały i rozbłysły. Cyryl odwrócił się do Feliksa. – No i jak? Czeka się na to weselisko, no nie?

– Tak. Nie poznałem jeszcze mojej przyszłej bratowej. Niedawno wróciła z Indii. Papierosa?

– Dziękuję. Jeden nie zawadzi. – Cyryl wytarł ręce o tył spodni, zanim sięgnął po papierosa, a potem przyjrzał mu się uważnie. – Turecki?

– Egipski. – Feliks przypalił obydwu papierosy.

– Ujdzie – dmuchnął dymem Cyryl. – Zostanę jednak przy Woodbine... Poznałem ją. – Zmienił pozycję, rozstawił szerzej stopy i rozluźnił ramiona. – Jak przyszli wyrzucić nas z chałupy. Pan Gabriel, pani Cobb i panna... jak jej tam?

– Panna Lavery – dodał Feliks z przesadną skrupulatnością. – Panna Charis Lavery.

– Charis, he? Śmieszne imię. No, ale całkiem milutka, bardzo przyjemna. Przepraszała. Chyba była ciut zafrasowana, jak zobaczyła ten nasz dom. Przyjemnie się w nim mieszkąło. Zauważ, że wcale nieźle jest we wsi. Człek wyskoczy se do karczmy.

– Aha.

Czubkiem ciężkich buciorów z ćwiekami Cyryl rozdeptał papierosa, potem podniósł peta i cisnął za drzwi.

– Czas wracać do chałupy, bo żona pomyśli, że zakotwiczyłem się na piwku. – Włożył marynarkę, którą rozpostarł wcześniej na jednym ze zbiorników. Nosił źle skrojone ubranie z grubej szorstkiej wełny podobnej do koca lub filcu. Wyjął z kieszeni szeroką płaską czapkę i wcisnął na głowę.

- Feliksie, no to do zobaczenia w kościele – powiedział mrugając okiem. – Cześć, czołem.
- Jaka ona jest? – spytał Feliks. – To znaczy, jak wygląda?
- Kto? Panna Lavery?
- Tak. Właśnie się zastanawiam.
- No, mała. Włosy ciemne. Przy panu Gabrielu wygląda jak dziewczynka. W mowie bardzo grzeczna, nie powiem.
- No cóż. Jutro sam się przekonam.
- Taa. Zgadza się. – Cyryl usunął z języka okrusek tabaki. Cmoknął wargami. – Feliksie, te twoje papierosy, nie czuć ich ani zdziebkiem rumu. Skąd to mówiłeś, że są? Z Afryki?
- Mniej więcej – odparł Feliks zatopiony w myślach. – Tak, z Afryki.

ROZDZIAŁ PIĄTY

25 LIPCA 1914 ROKU
STACKPOLE, KENT, ANGLIA

Feliks usiadł w ławie kościelnej i położył cylinder na kolanach. Ostatni goście zajęli już swoje miejsca i zebrane grono osób w kościele w Stackpole oczekiwało pojawienia się panny młodej.

Feliks – w towarzystwie Charlesa – spełnił obowiązki mistrza ceremonii z przylepionym do twarzy uprzejmym uśmiechem. Niewiele zebrało się osób, głównie rodzina, miejscowi znajomi i dygnitarze, a ze strony panny młodej jedyna ciotka z Bristolu, mała pulchna kobieta o pogodnej twarzy. Doktor Venables, stary przyjaciel rodziny Cobbów, miał prowadzić Charis do ołtarza.

Już od śniadania Feliks czuł, że zbiera mu się na wymioty. I teraz znów ślina napłynęła mu do ust, z dużym wysiłkiem powstrzymał ogarniające go mdłości. Spojrzał w stronę ołtarza, zobaczył szerokie plecy Gabriela, prezentującego się olśniewająco w czerwono-granatowym mundurze galowym. Obserwował, jak brat pochyla się i szepcze coś do ucha Sammy'emu Hinshelwoodowi. Feliks poczuł, że wzbiera w nim uraza. To o n powinien siedzieć obok Gabriela w tym wyjątkowym dniu, a nie niczym jakiś majordomus pokazywać ludziom drogę do ławek. Odwrócił się i spojrzął w stronę drzwi, gdzie oddelegowany Charles pilnował przyjazdu panny młodej.

Feliks zobaczył służbę ze dworu, stłoczoną w dwóch rzędach ławek w tylnej części kościoła. Siedzieli już od blisko godziny, mając przykazane zjawić się przed gośćmi. Cyryl podchwycił jego wzrok i wyraz zakłamaney pobożności przemknął mu po twarzy; siedział obok swej chudej, srogiej żony.

Charles podbiegł nieśmiało boczną nawą i wyszeptał, że powóz minął już zakręt drogi. Feliks usłyszał słaby stukot kopyt końskich przed kościołem. Dał znak głową organiście, który natychmiast zaczął grać *Oto nadchodzi panna młoda*, a zebrani goście powstali. Dwie minuty później weszła panna młoda wsparta na ramieniu doktora Venablesa.

Feliks przyglądał się badawczo przyszłej bratowej, twarz jej jednak skrywał welon. Miała na sobie prostą suknię z krótkim welonem, który ścisnęła kurczowo w rękach Hattie i Dora. Doktor Venables, wysoki, blady, z błyszczącymi od brylantyny włosami, górował nad przyszłą żoną Gabriela, która przy nim wydawała się drobna i dziewczęca. Kiedy przechodziła obok Feliksa, wyczuł słaby zapach wody różanej i zobaczył jej ręce, wyraźnie drżące, w których ścisnęła bukiet konwalii. Miał wrażenie, że słyszy pobrzękiwanie pręcików w błyszczących drobnych dzwoneczkach.

Gabriel stał przed nawą, niezręcznie kryjąc szeroki powitalny uśmiech i uczucie ulgi, wspaniale prezentował się w krótkiej czerwonej marynarce i granatowych spodniach.

Feliks poczuł nawrót nudności. Kościół wypełnił jakby nagle zatęchły zapach kurzu i kamienia, połączony z wonią kwiatów i wody różanej. Schwycił się kurczowo za oparcie ławki wpatrując w swe pobielale kostki i nie podniósł wzroku, aż pastor poprosił wszystkich, by usiedli.

*

Przed wejściem do kościoła fotografowie skrętnie pakowali swój niepołączony sprzęt, a Feliks obserwował ich stojąc. Młoda para odjechała kabrioletem do dworu, gdzie odbywało się przyjęcie. Większość pozostałych samochodów, dwukołowych wozów konnych, powozów, powozików zaprzęgniętych w kuce także już opuściła plac przed kościołem.

– Wracasz pieszo, Feliksie? – usłyszał czyjś głos.

Obejrzał się – stał za nim doktor Venables.

– Tak – odparł Feliks.

Doktor dotrzywał mu towarzystwa.

– Fascynujące urządzenia – powiedział wskazując na ciężkie aparaty fotograficzne wkładane do pudeł wysłanych aksamitem. – I pomyśleć, że ten dzień został upamiętniony na zawsze. Utrwalony na papierze światłoczułym pod wpływem działania tlenku srebra. Czy mam rację? Przyznaję, że nie znam się na tym dobrze.

– Chyba tak – powiedział Feliks posępnie, mgliście wspominając okropne zamieszanie przy grupowym zdjęciu. Jego matka niemal popadła w omdlenie z napięcia nerwowego; major nie chciał się uśmiechnąć; szczęście, prawie dosłownie promieniowało z twarzy Gabriela i Charis, miało się wrażenie, że człowiek oddycha dusznym powietrzem w nagrzanym pokoju. Zdał sobie sprawę, że znajdują radość w przebywaniu razem, nic mógł jednak na to patrzeć. Z Gabrielem łączyły go bardzo serdeczne stosunki – serdeczniejsze niż z jakąkolwiek inną osobą – intymne przeżycia Gabriela i Charis należały jednak do innej sfery uczuć; były takie, stwierdził w zamarłym sercu, jakich on z pewnością nigdy w życiu nie doświadczy.

Ujrzał w przelocie ich splecione ręce, kostki palców Gabriela, zbielełe od mocnego uścisku, przypominały jego własne zaciśnięte pół godziny temu na oparciu ławki. Poczul przypływ zazdrości i urazy. Jad sączący się do serca uniemożliwił zwrócenie baczniejszej uwagi na subtelniejsze szczegóły widowiska, które normalnie chłonąłby z cynicznym upodobaniem. Siostry i szwagrowie dla podkreślenia należynej im pozycji dyskretnie przepychali się do przodu. Nigelowie Bathe torowali sobie drogę łokciami, żeby zająć odpowiedni punkt strategiczny i niemal siłą zostali odepchnięci po to, żeby doktor Venables i ciotka Charis mogli zająć należne im miejsca na czele grupy gości. Rysy twarzy Charis nie wryły mu się jeszcze w pamięć: ciemne włosy zaczesane do przodu, przewiązane satynową wstążką, opadały falistą grzywką, okrągła twarz, szeroko otwarte oczy, mocny, stanowczy podbródek, małe ostre zęby stale odsłonięte w uśmiechu. Zamknął oczy i przełknął ślinę, bo znów zebrało mu się na wymioty.

– ... moim zdaniem, czarująca dziewczyna – mówił doktor Venables.

– Przepraszam, panie doktorze, o kim pan mówi?... aha, o panie młodej. Jeszcze jej nie poznałem.

– No tak, prawda, byłeś poza domem. Uroczą, inteligentną dziewczyną... Feliksie, dobrze się czujesz? Nie wyglądasz najlepiej.

– Nic mi nie dolega. Spacer do domu dobrze mi zrobi. Chyba to atmosfera kościelna tak na człowieka działa.

Doktor Venables się uśmiechnął.

– Jeśli można, dotrzymam ci towarzystwa. Obiecano przysłać jednokonkę, ale zapewne w tym całym zamieszaniu zapomniano o mnie.

Wyszli z dziedzińca kościelnego i skręcili w alejkę prowadzącą ze wsi do dworu. Dzień był pogodny, wiał chłodny wiatr pędząc po niebie gęste chmury. Po drodze Feliks przesadnie wdychał i wypuszczał powietrze.

Doktor Venables mieszkał w Sevenoaks i tam wykonywał swój zawód. Od kąd Feliks sięgał pamięcią, pełnił obowiązki lekarza domowego rodziny Cobbów. Był to mężczyzna gruby, wysoki, mniej więcej pięćdziesięcioletni, z dziwnie gładką, mięsistą cerą. Miał bujne włosy bez śladu siwizny. Feliks podejrzewał, że je systematycznie farbuję. Zawsze nosił eleganckie, dobrze skrojone ubranie. Można by go uznać za przystojnego, gdyby nie nabrzmiałe rysy i wydatne usta; dolna warga opadała i powracała na swoje miejsce dopiero wtedy, gdy doktor świadomie zaciskał usta. Feliks go lubił i zawsze chętnie się z nim widywał, głównie dlatego, że wyglądał na rozsądnego człowieka i zawsze gotów był rozmawiać z Feliksem, traktując go jak dorosłego mężczyznę.

– A więc nie podobała ci się ceremonia? – spostrzegł doktor Venables.

Feliks odpowiedział szyderczo:

– Moim zdaniem, było to upiorne. Nie winię za to Gabriela i Charis – dodał szybko. – Takie okazje wyzwalają jednak najgorsze instynkty w moich krewnych. Po ślubie Eustacji i Nigela przysiągłem sobie, że nigdy więcej nie

wybiore się na podobną uroczystość. – Przerwał. – Oczywiście nie wiedziałem, że następny ślub będzie Gabriela – dodał w zamyśleniu.

– Ale oni są szczęśliwi – powiedział doktor. – Temu chyba nie zaprzeczysz.

– Nie – odparł Feliks. – Ma się rozumieć, że nie. Po prostu nie wierzę w ten cały rytuał... w fałszywą pobożność.

Doktor Venables pozwolił sobie na uśmiech. Feliks wyczuł, że rozbawił tym doktora.

– W co zatem w i e r z y s z ? – spytał Venables.

Feliks zatrzymał się i rozejrzał. Podeszedł do skraju dróżki, zerwał dwie dzikie róże, kiść czarnego bzu i łodygę trybuli. Podał je doktorowi.

– W to wierzę – odparł z ponurą powagą.

Doktor zatrząsał się od śmiechu.

– Ależ, Feliksie – powiedział. – Ty... sensualisto. Jesteś zwyczajnie – jak oni to nazywają? – neopoganinem. Ot, po prostu neopoganinem.

Feliks upuścił na ziemię przedmioty swego kultu. W sprawach religii wernie naśladował Hollanda. Jego wiara w dzikie róże nie była większa od wiary w to, co głosi Kościół Anglikański, stanowiła jednak pewną odmianę.

– No cóż – rzekł, czując, że traci pewność siebie i próbując ją odzyskać. – Te rzeczy przynajmniej i s t n i e j ą . Są dostrzegalne. Widzę je i czuję... – Przypomniał sobie linijkę z utworu Ibsena, ulubionego pisarza Hollanda – „Człowiek musi iść własną drogą – oznajmił z mocą – i popelniać własne błędy.”

– Chodźmy – powiedział doktor Venables i położył mu rękę na ramieniu. – Chyba wiem, do czego zmierzasz. Musimy jednak przyspieszyć kroku, jeśli chcemy wziąć udział w przyjęciu.

Ruszyli w dalszą drogę.

– Powiedz – odezwał się doktor Venables – cieszysz się, że idziesz do Oksfordu?

*

Przez jakiś czas Feliks dziobał łyżeczką pudding, potem zsunął na bok bezę i krem, i wreszcie zdecydował się odsunąć talerz. Małymi łykami popijał z kieliszka resztkę szampana. Uspokoił się nieco, odzyskał równowagę dzięki bezdennie głupiej mowie weselnej wygłoszonej przez Sammy'ego Hinshelwooda, w której nie było ani jednego dobrego dowcipu – i która trwała o dziesięć minut za długo.

Nigel Bathe, siedzący naprzeciwko niego, od dobrych pięciu minut doradzał mu, żeby oszczędził sobie czasu i nie wybierał się do Oksfordu, zapewniając, że on, Nigel Bathe, nie żałował ani przez jedną chwilę – nawet przez ułamek sekundy – że pozostał z dala od tego przybytku mądrości.

– Ależ, Nigelu – przerwał Feliks przytomnie. – Jesteś żołnierzem. Traciłbyś czas w Oksfordzie. Zapewniam cię, że nie mam zamiaru pójść w twoje ślady. Nigdy. Przenigdy.

– Ho! Ho! Na twoim miejscu uważałbym, żeby ojciec tego nie usłyszał – powiedział zadowolony z siebie Nigel Bathe.

– Cóż to, Feliksie – huknął Henry Hyams ponad głowę Albertine, wyciągając w stronę Feliksa twarz z bokobrodami. – Kim wobec tego chcesz zostać? Próżniakiem? Ha-ha! – Stwierdzenie to, jak większość innych, które wygłaszał, wydało mu się ogromnie śmieszne.

Feliks zastanawiał się, jaki zawód by ich najbardziej rozdrażnił.

– Prawdę mówiąc – powiedział – myślę o zawodzie dziennikarza.

– Feliksie! – wybuchnęła Albertine prawdziwie przerażona.

Podczas gdy cała trójka wyrażała się lekceważąco o zawodzie dziennikarskim, Feliks spojrział na czoło stołu, gdzie siedzieli Gabriel i jego młoda żona. Został jej przedstawiony przed przyjęciem. Zauważył, że ma smukłą chłopięcą figurę i modnie uczesane włosy. Zdaniem Eustacji, jak na pannę młodą za dużo nałożyła pudru i różu. Teraz Charis mówiła coś szybko, z ożywieniem do jego matki, która wolno potakiwała głową. Nie wydała się Feliksowi szczególnie piękna i zastanawiał się, co pociągało w niej Gabriela, dlaczego zadowolili się taką dziewczyną.

Pięć minut później Henry Hyams pochylał się konfidencjonalnie nad stołem i powiedział cichym głosem:

– Czy pójdziemy do tego tajnego sanktuarium, gdzie rodzaj męski może oddać się paleniu swych ulubionych cygar?

– I gdzie, ściślej mówiąc, nikt nie może im tego zabronić – dodał Nigel Bathe i rzucił Eustacji znaczące spojrzenie.

Towarzystwo odchodziło od stołu. Pani Cobb przedstawiała Gabriela i Charis przyjacielom rodziny, dzieci biegały po tarasie, major jakby zapadł w sen. Feliks podniósł się z krzesła i dołączył do dwóch szwagrów, którzy przeszli do środkowego hallu. Wyciągnięto i zapalono cygara, a Henry Hyams nalewał do kieliszków brandy. Dwie minuty później do hallu wśliznął się Greville Ver-schoyle.

– Brandy, Greville? – zaproponował Henry Hyams.

– Chętnie. Pyszna zabawa, prawda? Major próbuje na siłę zaciągnąć kogoś do bilardu. Umknąłem w samą porę.

– Gdzie jest Hinshelwood? – spytał Nigel Bathe.

– Złapała go młoda para, tym gorzej dla niego.

– Sądziłem, że to ty masz być drużbą, Feliksie – powiedział Henry.

– Taki był projekt. Ale tylko w awaryjnej sytuacji. Gdyby Sammy nie otrzymał urlopu.

– Według mnie, cholernie beznadziejna mowa – rzekł Greville przypalając od Henry'ego cygaro.

Feliks podszedł do okna i wyjrzał na podjazd. Poczuł, że przenika go dojmujący smutek. Gabriel odszedł, nie będzie już tak jak dawniej, pomyślał. Nigdy. Dobiegł go ochryply śmiech szwagrów, odwrócił się, by rzucić na nich okiem. Czuł się jak antropolog lub odkrywca przypatrujący się jakiemuś nie znanemu plemieniu. Henry Hyams nalewał sobie brandy.

Feliks także podszedł ze swoją szklaneczką.

– Gabriel nie może się chyba doczekać wieczoru. – Odezwał się Greville z głupawym uśmiechem. – Jakie mają plany? Czy zatrzymają się na noc w mieście? Czy jadą bezpośrednio do Deauville?

– Deauville? – wykrzyknął z oburzeniem Nigel Bathe. – Dlaczego, u licha, jadą do Deauville?

– Nigelu, to jest miódowy miesiąc – wyjaśnił Greville. – Spędzają go w Deauville. W Deauville, prawda?

– Bożeż ty mój – wyrzekł zdumiony Nigel, krzywiąc się z niesmakiem na myśl o rażącej niesprawiedliwości.

Henry Hyams zignorował jego słowa.

– Właściwie jest to Trouville. Obie miejscowości leżą blisko siebie. Nie ma bezpośredniego połączenia. Muszą jechać samochodem do Folkestone, później parowcem, a dalej pociągiem do Paryża. Stamtąd już prosto do Trouville.

– Będzie im trochę niewygodnie w pociągu, prawda? – odezwał się Greville.

Henry Hyams poczerwieniał usiłując, z ustami pełnymi alkoholu, powstrzymać się od parsknięcia śmiechem.

– Chciałbym wiedzieć, czy Cobbowie za to płacą? – dopytywał się urażony Nigel Bathe. – My pojechaliliśmy tylko do Brighton.

Henry Hyams kołysał się na nogach jak w pociągu jadącym z dużą szybkością i raz po raz rzucał się do przodu na wyimaginowaną pannę młodą. Greville Verschoyle, przygarbiony, stojąc na jednej nodze, walił pięściami w kolano w napadzie wesołości i stroił miny z uciechy, nie wypuszczając z ust grubego cygara. Ku swemu zdumieniu Feliks ze wstydem poczuł, że się rumieni. Opuścił dyskretnie hall, a kiedy zamykał za sobą drzwi, słyszał, jak Nigel Bathe żalonym tonem domaga się wyjaśnień.

– Posłuchajcie, chłopcy. Przestańcie. Jak można z kapitańskiej pensji pozwolić sobie na Normandię w pełni sezonu? Chciałbym to wiedzieć. Ma ta panna własne pieniądze, czy jak?

Feliks przystanął za drzwiami. Zastanawiał się, czy nie wrócić do jadalni, ale zrezygnował z tego zamiaru. Poszedł korytarzem do głównego hallu. Panował tu chłód i spokój. Przez frontowe okna widać było skrawek trawnika, który w popołudniowym słońcu miał odcień zieleni limony.

Feliksa zirytowało to, że nadal czuje się urażony i zawstydzony: bolało go, że w ten sposób mówią o Gabrielu; wstyd mu było, iż on – który z dumą uważał

się za światowca – czuje się dotknięty. Potrzęsnał głową i przywołał na twarz przelotny ciepki uśmiezek. Nie przypominał sobie, żeby kiedykolwiek czuł się tak obco wśród rodziny: nikt go nie rozumie, nikt nie ma najmniejszego wyobrażenia, jakie myśli zaprzatają jego umysł. Nawet Gabriel, który...

– Witaj, mogę w czymś pomóc?

Feliks obejrzał się. Przed nim stała Charis. Wyłoniła się właśnie z ogromnego salonu po lewej stronie hallu, gdzie wyłożono do obejrzenia prezenty ślubne.

– Nie – odparł Feliks i wskazał na frontowe drzwi. – Chciałem zacerpnąć trochę świeżego powietrza.

Charis uśmiechnęła się.

– Niestety, nie mieliśmy okazji poznać się bliżej – powiedziała. – Nastrój był tak gorączkowy. Właściwie musimy już wyjeżdżać, żeby nie spóźnić się na statek... – przerwała. – Gabriel powiedział, że powinnam to zabrać – wyciągnęła dwie srebrne piersiówki. – Uważa, że mogą się przydać, jeśli wybierzemy się na piknik.

– Nie chcę cię zatrzymywać – odparł Feliks.

Myśl o Gabrielu i Charis na pikniku wzbudziła w nim irracjonalną zazdrość. Poczł nagle silną niechęć do tej ciemnowłosej, smukłej dziewczyny. Co ona wie o Gabrielu? – zastanawiał się z pogardą. Skąd może Wiedzieć, jaki on jest naprawdę?

– Mimo to – ciągnęła serdecznie Charis – mam nadzieję, że poznamy się bliżej. W niedalekiej przyszłości. – Przerwała, najwidoczniej zbita z tropu brakiem reakcji z jego strony. – Będziemy mieszkali w sąsiedztwie – ciągnęła. – W domku. – Znów uśmiechnęła się serdecznie. – Z ogromną przyjemnością poznam cię bliżej. Gabriel bardzo dużo opowiadał mi o tobie.

Mówiła dalej, ale Feliks nie słuchał. Twarz mu pałała. Gabriel i ta dziewczyna rozmawiali o n i m! Gabriel zdradza tajemnice...

Charis zamilkła na chwilę.

– Feliksie, czy wszystko w porządku?

– Ależ oczywiście – uśmiechnął się do niej półgębkiem.

Spojrzała na niego z niepokojem. Przez sekundę utkwił w niej wzrok – dostrzegł najdrobniejsze szczegóły twarzy: białą upudrowaną cerę, miękki puszek przed uszami, wilgotną czerwień kącików oczu, błysk śliny na zębach, niebieskie żyłki na szyi.

Dotknęła czoła.

– Jaki długi ten dzień – powiedziała, po raz ostatni próbując okazać mu serdeczność. Potem spuściła wzrok. – No cóż... nie wolno mi... Chyba powinnam zobaczyć, czy Hester skończyła pakowanie. – Podniosła wzrok i jakby odzyskała wesołość. – Z niecierpliwością oczekuję chwili, kiedy tu zamieszkać – mówiła dalej. – Mamy dopiero połowę lata. Naszą trójkę czeka jeszcze trochę

wakacji. Mam na myśli Gabriela, ciebie i mnie. Teraz muszę uciekać. Na razie. Zobaczymy się jeszcze przed naszym wyjazdem.

Odwróciła się i odeszła. Feliks obserwował jej kroki.

*

Przed domem Feliks z doktorem Venablesem czekali wśród gości na odjazd młodej pary. Przed frontowymi drzwiami na zwirowym podjeździe stał obszerny Siddley-Deasey z uruchomionym silnikiem. Na przednim siedzeniu siedział Cyryl w szoferskiej czapce z daszkiem. Służba wyniosła cztery ciężkie walizy ze świńskiej skóry i przymocowała je rzemieniami do bagażnika z tyłu wozu. Porywisty wiatr rozpędził chmury, promienie ciepłego popołudniowego słońca padły na obnażone głowy gości i dym poobiednich cygar wydawał się gęstszy niż zwykle.

Po napadzie złego humoru w hallu Feliks uspokoił się przyjmując na resztę dnia cyniczną pozę. Nic, co Gabriel albo jego „żona” teraz robią, nie dotknie go w najmniejszym stopniu.

Otworzyły się drzwi frontowe i oto ujrzał w nich Gabriela i Charis, których zamierzał potraktować obojętnie, w towarzystwie majora i pani Cobb. Goście powitali ich wybuchem wesołości i oklaskami. Kiedy schodzili po schodach na podjazd, Hattie, Dora i Charles podbiegli z papierowymi torebkami wypełnionymi ryżem i konfetti. Mała Dora źle wycelowała, zamachnęła się niezdarnie, jak dziecko, i cisnęła garść ryżu prosto w twarz majora.

Ten właśnie dzielił się jakąś uwagą z żoną – i akurat miał rozchylone wargi – poczuł nagle, że oczy, nos i usta zatykają mu ziarna ryżu. Zachwiał się na nogach, zakręcił wkoło oszołomiony, potrząsał głową, mrugał oczami, pluł, parę ziarenek utkwilo mu w gardle, starał się je usunąć, głośno charkocząc. Feliks obserwował, na pół rozbawiony, na pół z politowaniem, jak jego matka energicznie grzmoci ojca po plecach, podczas gdy on chrząka i z purpurową twarzą wymiotuje na zwirowy podjazd.

Tymczasem niepomni na nic goście tłoczyli się za nimi, otaczając samochód, do którego wsiadali Gabriel i Charis.

Doktor Venables zaofiarował Feliksowi garść konfetti z papierowej torby.

– Dziękuję, nie skorzystam – powiedział Feliks.

Doktor Venables spojrział na niego z żartobliwym uśmiechem.

– Czy na pewno nic ci nie dolega? – spytał.

To już wyprowadziło Feliksa z równowagi.

– Wszyscy dzisiaj szczególnie troszczą się o moje zdrowie.

– Rób, jak uważasz – powiedział doktor Venables i zdecydowanym ruchem rzucił w samochód garść konfetti.

Gabriel i Charis zajęli tylne siedzenia, uśmiechali się promiennie do każdego i wykrzykiwali słowa pożegnania. Feliks usłyszał swoje imię.

– Do widzenia, Feliksie! – krzyknął Gabriel.

W odpowiedzi Feliks podniósł flegmatycznie dłoń, starając się opanować emocje, które nagle w nim wezbrały. Był szczęśliwy, że może się wycofać, kiedy zrobiono przejście dla majora, który – oszołomiony, zalany łzami i zasapanym – podszedł, żeby się pożegnać. Potem Cyryl wrzucił bieg, dał sygnał i samochód ruszył wolno z miejsca przy ponownych okrzykach gości, a uśmiechnięte twarze szczęśliwej pary, oprawione jakby w ramkę, ukazały się w małym tylnym oknie – machali na pożegnanie, dopóki nie zniknęli za zakrętem podjazdu i gęstą kępą rododendronów.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

26 LIPCA 1914 ROKU
TROUVILLE-SUR-MER, FRANCJA

Charis kochała Gabriela. Co do tego nic miała najmniejszej wątpliwości. On jednak zachowywał się co najmniej dziwnie.

Spacerowali zatłoczoną promenadą w Trouville ponad roziskrzonymi od powodzi światła plażami. Dochodziła jedenasta rano, od dwudziestu czterech godzin byli już małżeństwem, ona jednak nadal pozostawała dziewicą.

Podróż ze Stackpole do Trouville była nie kończącym się pasmem spóźnień, Cyryl zawiózł ich do Folkestone o czasie, ale z jakichś powodów statek odpłynął z portu godzinę później, w ten sposób z góry było wiadomo, że spóźnią się na pociąg do Paryża. Musieli odwołać zaplanowaną kolację w Paryżu i popędzili z Gare du Nord na Gare St. Lazare, gdzie w ostatniej chwili udało im się zdążyć na ekspres Amiens-Trouville. Podróżna wybrzeże Normandii zajęła cztery i pół godziny, a na stacji w Trouville/Deauville zjawili się o wpół do pierwszej w nocy. Charis była ogromnie rozczarowana. Kasyno Trouville urządzało bal w każdą sobotę wieczorem, liczyli więc z Gabrielem na to, że będą w nim uczestniczyć choćby przez godzinę. Czekala ich jeszcze gorsza niespodzianka. Kiedy wreszcie dotarli do „Hotel d'Angleterre”, okazało się, że brak jednej walizki.

W miarę zbliżania się do miejsca przeznaczenia Charis zauważyła także nietypowe dla Gabriela napięcie. Osobliwa rzecz, pomyślała, strata walizki nie rozdrażniła go lecz raczej przyniosła ulgę. Pomógł jej się rozpakować, połknął w pośpiechu sandwicza popijając szklanką mleka i poszedł od razu na stację zobaczyć, czy uzyska jakąś informację u nocnych bagażowych.

– Zaraz wracam, kochanie – powiedział.

Charis rozebrała się, włożyła nocną koszulę i wśliznęła do łóżka cierpliwie czekając na jego powrót.

To trochę dziwne, pomyślała, że przywiązuje taką wagę do zaginionej walizki. Ale Gabriel wie najlepiej. Kiedy wrócił po półtorej godzinie, tym razem z

walizką, zdążyła już zasnąć wyczerpana długim dniem. Obudziła się, kiedy kładł się do łóżka. Poczowała nagle przyśpieszone bicie serca, ogarnęło ją lekkie uczucie paniki na myśl o tym, co się zaraz zdarzy. Ale Gabriel pochylił się tylko nad nią i pocałował czule w policzek.

– Carrie, kochanie, znalazłem walizkę. Spróbujmy teraz zasnąć, dobrze? Jutro zaczyna się miodowy miesiąc – to wszystko, co miał do powiedzenia, potem odwrócił się do niej plecami i naciągnął na ramię koc.

Zasnął w ciągu kilku minut, na co wskazywał jego równy oddech. Charis leżała jeszcze przez chwilę z otwartymi oczami i delektowała się nie znanym uczuciem, że oto dzieli łóżko z mężczyzną. Pomyślała mgliście o poranku i wtajemniczeniu w kobiece sprawy. Ciotka Bedelia z poważną miną tłumaczyła jej dość niejasno, na czym polegają małżeńskie obowiązki Gabriela. On ma rację, powtarzała sobie Charis, jest to zbyt ważne i delikatne przeżycie, aby wystawiać je na ryzyko, kiedy obydwójce są zmęczeni i nieco poirytowani.

Rano Gabriel obudził się wcześniej i wyszedł na balkon przylegający do sypialni.

– Niech się pani obudzi, pani Cobb – powiedział z typowym dla siebie szerokim uśmiechem, gdy zobaczył, że siada na łóżku. – Szkoda byłoby przespać taki ranek.

Był w bardzo dobrym nastroju i nie przeszkadzał jej przy ubieraniu w gotowalni. Z odzyskanej walizki wyjęła bluzkę z dekoltem w kształcie litery V i doszła do wniosku, że w końcu miała rację spędzając pół nocy na poszukiwaniu bagażu: straciłaby humor, gdyby nie miała wszystkich ubrań w swym pierwszym dniu jako pani Gabrielowa Cobb.

Po drodze do jadalni, na podeście schodów, Gabriel objął ją i ucałował. Jego dobry humor udzielił się i jej, rozwiewając resztę obaw co do wydarzeń ubiegłej nocy – albo raczej ich braku.

W czasie śniadania śmiali się i żartowali z innych gości hotelowych, próbując zgadnąć, kim są.

– Niemiecki Żyd, finansista – powiedział o jednym z nich Gabriel.

– Milioner z Dakoty – zgadywała Charis.

– Ten ze sztuczną szczęką to producent wieprzowiny w puszkach, a tamci dwaj to żigolacy.

„Hotel d'Angleterre” był, przyznali obydwójce, „wytworny”, choć śmietanka towarzyska zatrzymywała się przeważnie w „Roches Noires” po drugiej stronie ulicy.

Po śniadaniu usiedli na hotelowym tarasie, Gabriel czytał „Timesa” sprzed dwóch dni.

– Śmieszne – powiedział. – Pomyśleć, że dwa dni temu nie byliśmy jeszcze małżeństwem. – Wyciągnął rękę i uściśnął jej dłoń. – Mam wrażenie, jak byśmy byli razem od wielu lat.

Charis nie była pewna, co to ma znaczyć – nie czuła się mężatką – ale powiedział to tak serdecznie, jak największy komplement. Czy jej na chwilę wezbrały łzami, tak głęboką wzbudzał w niej miłość. Kochany, dobry Gabriel! Pochyliła się znów nad czasopismem, które trzymała w ręku. Słyszała, jak Gabriel czyta coś głośno z „Timesa”. Doszły ją słowa „Austria” i „Rosja”, ale tak naprawdę nie zwracała na nie uwagi.

Plama słonecznego światła pełzła po tarasie. Charis obserwowała, jak zbliża się wolno w stronę jej stóp. Była w tej chwili szczęśliwa, że nic nie robi i jest z mężem. Rozpierała ją duma ze swej nowej roli mężatki i przez kilka minut rozkoszowała się tym nie znanym uczuciem. Wkrótce jednak promień słońca zaczął ogrzewać jej stopy i ogarnęło ją rozdrażnienie, że Gabriel jest tak bez reszty pochłonięty czytaniem gazety. Później będzie miał na to dużo czasu, dlaczego zatapia się w lekturze pierwszego dnia ich miodowego miesiąca? Widziała, jak nie odrywając oczu od gazety otwiera papierośnicę. Roztargniony poklepał się po kieszeniach szukając zapalek, w końcu namacał pudełko i przypalił papierosa.

Charis przełknęła ślinę. Nadal czuła w ustach smak porannej kawy. Jakże chciało jej się zapalić. Ale Gabriel wiele razy powtarzał, że nie lubi palących kobiet. Śmieszny, niemądry, kochany Gabriel. To wpływ jego rodziny. Miał czasami takie przestarzałe poglądy.

Gabriel podniósł wzrok znad gazety.

- Wszystko w porządku, kochanie? – spytał.
- Oczywiście – odparła. – Czy ta gazeta jest tak strasznie ciekawa?
- Okazuje się, że tak – rzekł, nie dostrzegając ukrytej w pytaniu wymówki.
- Ze względu na ślub i inne sprawy nie miałem czasu śledzić wiadomości na bieżąco. – Zmarszczył brwi. – Poważna historia. – Wrócił raz jeszcze do pierwszej strony.
- Wykapiemy się? – zaproponowała Charis, zachęcona intensywnością słońca grzejącego jej stopy.
- Mmm – mruknął Gabriel, nadal pogrążony w czytaniu gazety. – Jeśli chcesz.

– Pójdę po kostium.

– Kochanie – Gabriel naśladował żartobliwie jej akcent.

W pokoju Charis zapaliła papierosa dając wyraz cichemu buntowi. Włożyła kostium kąpielowy do bawełnianej torby sznurkowej. W drodze powrotnej, na schodach, wyrzucała sobie rozdrażnienie. Jest to również miesiąc miodowy Gabriela, rozumowała, i jeśli czuje się szczęśliwy czytając po śniadaniu gazetę, niechaj robi to, co mu sprawia przyjemność.

Teraz, podczas spaceru po promenadzie, Charis wzięła go pod rękę i ogarnęło ją błogie uczucie miłości – gratulowała sobie szczęścia, że kocha z wzajemnością. Gabriel górował nad nią wzrostem, głową sięgała mu ramion. Gdy mijali inną parę z hotelu, dotknął słomkowego kapelusza.

Mimo niedzieli, na plażach i promenadach przewalały się tłumy ludzi ubranych odświętnie z powodu Dnia Pańskiego. Promenadę, jak podawał Baedeker, porównuje się kwiecistnie do „Letniego Bulwaru Paryża”. To był jeden z powodów, dla którego na miesiąc miodowy wybrała Trouville.

– Pojedziemy do Deauville? – spytał Gabriel. – Podobno na tamtejszej plaży jest spokojniej.

– Ach, nie – odparła Charis. – W Baedekerze podają, że plaża jest tam znacznie brzydsza. Dlatego wszyscy zjeżdżają tutaj. No i tak daleko do Deauville – dodała. – A ja topnieję w słońcu.

– Jak sobie pani życzy, pani Cobb – odrzekł Gabriel z udaną uległością i sprowadził ją po schodach na plażę. Szli uważnie chodnikiem do pasiastych namiotów „Hotel d'Angleterre” służących za przebieralnie.

– Do zobaczenia *dans la mer* – powiedział Gabriel i udał się do męskich kabin.

W namiocie było gorąco i z początku Charis, nie mogła przyzwycząić wzroku do otaczających ją ciemności.

– *Bonjour, Madame* – usłyszała z kąta zdumiewająco głośny i ochrypły głos.

Rozejrzała się zatrwożona. Miała przed sobą bardzo niską, starą kobietę w czerni, która usiłowała wydostać się z przekrzywionego wiklinowego krzesła, na oparciach którego wisiały sterty świeżych ręczników i kostiumów kąpielowych. Teatralnym gestem wprowadziła Charis do brezentowej kabiny, pomogła jej się rozebrać i z wielką dbałością powiesiła ubranie starannie wyglądające załamania.

– *Maillot?** – wrzasnęła, kiedy Charis ściągała przez głowę stanik.

– Co? Och... przepraszam – powiedziała Charis, instynktownie zasłaniając rękami piersi. – *Non* – odparła i pokazała na sznurkową torbę. – *J'ai... dans le sac...***

* Kostium kąpielowy (fr.).

** Nie... Mani... w torbie (fr.).

Stara kobieta wyszła powłócząc nogami, a Charis szybko włożyła kostium – sięgające kolana spodenki, przybraną falbankami tunikę i czepek do kąpieli w czerwono-żółte paski. Po wyjściu z namiotu zmrużyła oczy, oślepił ją blask słońca i piasku. Na samej plaży było znacznie głośniejsze, niż mogło się to wydawać z esplanady. Wołania sprzedawców mieszały się z okrzykami kąpiących się, z krzykiem dzieci baraszkujących w piasku i rytmicznym, cichym szumem fali, które uderzały o brzeg. Ludzie siedzieli w leżakach zatopieni w lekturze. O kilka metrów dalej rozgrywano partię krykieta. Mężczyzna, w czepku kąpielowym i obszernym plażowym szlafroku, siedł w stronę męskiej przebieralni zgarniając piasek połamami swego okrycia.

– Wspaniale! – krzyknął mijając Charis.

Nie widziała nigdzie Gabriela, pomyślała, że wszedł już do wody. Ruszyła więc w stronę przybrzeżnych fal, na początku ostrożnie, a potem z większą pewnością siebie. Piasek usuwał się spod stóp, grząski i ciepły. Charis była zadowolona, że nie włożyła pantofli kąpielowych, jak przyjemnie czuła piasek pod bosymi stopami.

Przy brzegu stała grupa mężczyzn w jednakowych czarnych kostiumach. Byli bardzo opaleni, ich włosy i ciała połyskiwały od wody.

– *Guide baigneur, Madame?* – spytał jeden, kiedy zbliżyła się do nich. – *Soixante centimes.**

* Czy potrzebuje pani instruktora? Sześćdziesiąt centimów (fr.).

– Nie, dziękuję... *Non* – odparła. – Fale nie wydawały się zbyt groźne, a poza tym nie potrzebowała ich pomocy, miała przecież męża; ciekawa była, gdzie się zawieruszył.

– Jesteś – zawołał Gabriel, z trudem pokonując przybrzeżne fale. – Chodź, w wodzie jest cudownie.

Wyszedł do niej na plażę, potrząsnął głową i ocierał wodę z ramion. Przy *guides-baigneurs* ramiona i barki Gabriela wydawały się bardzo białe i różowe. Ujrzała krople wody błyszczące w skręconych włosach na piersiach, widocznych ponad wycięciem jego ciemnego, wełnianego kostiumu, który nasiąknięty wodą, szczelnie przylegał teraz do ciała.

Charis nie miała odwagi przesunąć spojrzenia poniżej jego piersi.

– No, no – Gabriel podziwiał jej strój kąpielowy. – Super modny. Chodź, niech się zmoczy.

Chwyił ją za rękę i, opierającą się, pociągnął do wody. Wbiegli we wzburzone fale. Charis nie mogła złapać tchu, gdy woda opryskała jej ciepłe ciało. Wydała w pół zduszony okrzyk, kiedy pierwsza duża fala rozbiła się o jej brzuch i z impetem pozbawiła równowagi.

– Gabrielu! – zawołała chwytając się go, by nie upaść. Poczula na swej talii jego ręce. Skóra na ramionach Gabriela wydała się chłodna i przyjemna.

– Ostrożnie, staruszek! – wykrzyknął z radosnym uśmiechem na kościstej twarzy i postawił ją na nogach. – Zostawiam cię teraz samą – powiedział, potem odwrócił się i dał nurka w środek nadpływającej fali.

*

Tego wieczoru, po włożeniu wieczornej toalety, Charis rozmyślała o cudownych przeżyciach dnia. Pływanie, lunch, wyścigi i pokaz treningu koni w Deauville, podwieczorek w „Eden-Casino”, potem powrót do hotelu i rozkoszna kąpiel. Cudowne chwile, Gabriel żartował, śmiał się, a kiedy znajdowali się

poza zasięgiem ludzkiego wzroku, całował ją ukradkiem i ścisnął, nazywając „starą panią Cobb”.

Przyjrzała się swemu odbiciu w lustrze. Włosy zebrane do góry przepasywała wstążką koloru kości słoniowej, na którą opadały loki szczesane na czoło. Na czubek małego palca nabrała odrobinę różu i pomalowała wargi. Po raz pierwszy założyła nową suknię ze swej wyprawy ślubnej; sięgała do kostek, uszyta była z czarnego welwetu, a na staniku i rękawach miała srebrną aplikację. Charis weszła do saloniku. Gabriel stał w wieczorowym garniturze i palił papierosa.

– Ojej – powiedział. – Nie do wiary! Pani Cobb, wygląda pani szalowo. Jaki ze mnie szczęściarz.

Charis zauważyła, że uśmiecha się nieco sztucznie. Szkoda, że nie poniechał tych nieustających żartów i wesołości. Nie uważała, aby były konieczne. Ale Gabriel nie zmieniał zachowania. Teraz, jak pruski oficer, stuknął obcasem o obcas i podał jej ramię.

– Zobaczymy, co mają do zjedzenia? – spytał.

Wchodząc do jadalni napotkali zaciekawione spojrzenia gości. Na sali panował gwar, ale nie było zbyt tłoczno. Najwięcej turystów przyjeżdżało do Trouville w sierpniu, gdy odbywały się wyścigi. Był to „Paryż Wybrzeża”, jak wyczytała w Baedekerze.

Gabriel zamówił szampana i jak zauważyła, pił znacznie więcej od niej. Poza tym jego wesoły nastrój stopniowo przygasał. Rozglądał się często po sali, jakby unikał jej wzroku. Rozumiała go. W niej także wzbierały gwałtowne uczucia; coś zapierało dech, jakby przed napadem paniki. Chcąc opanować emocje zaczęła opowiadać o wspólnie spędzonych chwilach, o ich pierwszym spotkaniu w Indiach.

Tam się urodziła. Jej ojciec pracował jako inżynier kolei. Matka umarła z powodu jakiejś nieznannej gorączki. Charis była wtedy małym dzieckiem, w ogóle jej nie pamiętała. Ojciec odesłał ją zatem niezwłocznie do pewnej rodziny w Anglii, która zajmowała się „dziećmi z Indii”. Stamtąd odwieziono ją do Bristolu, gdzie miała mieszkać u ciotki Bedelii (siostry ojca) i chodzić do małej prywatnej szkoły żeńskiej, prowadzonej przez ciotkę. Choć Charis bardzo kochała swoją opiekunkę, życie w Bristolu „nudziło ją śmiertelnie”, dlatego jako osiemnastoletnia dziewczyna wybrała się z powrotem do Indii. Przez rok ojciec mieszkał w pełnym egzotyki Bombaju, który wpływał na nią cudownie. Zamieszkiwali go ludzie różnych ras i narodowości, były tam kluby jachtowe, taksówki, spotykało się tubylców w europejskich strojach, domokrażców i handlowców – milionerów.

Potem przeniesiono go w głąb kraju do małego garnizonowego miasteczka, gdzie Charis, jeszcze bardziej niż w Bristolu, umierała z nudów. Czy jej się to podobało czy nie, zaliczano ją do Grupy Kolejarskiej – choć ojciec, jako główny inżynier, zajmował wysokie stanowisko. Były jeszcze inne grupy, jak Grupa

Budowy Kanału, Grupa Wojskowa i Rządowa. Mimo że wyżsi rangą urzędnicy z tych czterech grup chętnie przebywali ze sobą na partiach tenisa, wentach, meczach polo i pułkowych dniach sportu, Charis jednak wkrótce zdała sobie sprawę, że tego podziału nic da się ani przełamać, ani zignorować.

Tylko raz udało jej się od niego uwolnić, kiedy Europejczycy przenieśli się z miasta garnizonowego na równinach do znanej górskiej placówki wojskowej Mahar Tal. W Mahar Tal nie było Grupy Kolejarskiej, bo kolej kończyła się u stóp gór. Charis zamieszkała u przyjaciółki, Eleanor, córki przedstawiciela rządu, i w ten sposób stała się niejako członkiem Grupy Rządowej.

Latem drugiego roku pobytu w tej miejscowości poznała Gabriela. Oddelegowano go z pułku jako „wychowawcę” syna miejscowego radcy. Do jego obowiązków należało uczyć chłopca jazdy konnej, gry w krykieta, tenisa, badmintona oraz wpajać maniery angielskiego dżentelmena.

Charis i Gabriel poznali się na „herbatce” wydanej przez żonę starszego urzędnika państwowego. Grano w tenisa, popijano herbatę i lemoniadę. W ogrodzie na wzgórzu, gdzie odbywało się przyjęcie, nie było trawy, ale wśród dębów i sosen rosło tu pełno angielskich kwiatów. Gabriel stanowił niezłą „partię”. Od tego dnia skończyła się bliska przyjaźń między Charis i Eleanor.

Charis ocknęła się z zadumy i spojrzała na Gabriela, który pochylony nad talerzem kroił brzoskwinie ze skrupulatnością chirurga. W Indiach wszystko wydawało się cudowne jak w bajce. Po powrocie do Anglii wrażenia jakoś przybladły. Być może przez to, że poznała dziwną rodzinę Gabriela: wszystkie te siostry i szwagrow, zwariowaną ciotkę Mary i ekscentryczną matkę, wielce osobliwego małego majora i wreszcie Feliksa, „sprytnego” Feliksa, o którym Gabriel wyrażał się z największą czułością, a który wydał się jej – jeśli ma być szczerza – odpychającym małym zarozumiałcem.

Nie, przykazała sobie, nie krytykuj. W każdym razie nie dziś wieczorem. Była to zwykła rodzina, taka jak u większości ludzi, tylko na tle jej męża prezentowała się trochę gorzej.

W tym momencie Gabriel podniósł wzrok i dostrzegł przeznaczony dla niego uśmiech. Odpowiedział nieco zakłopotanym uśmiechem, pomyślała.

– Co powiedziałaś o kasynie? – spytał, nalewając do swego kieliszka resztki szampana. – Spróbujemy szczęścia?

Kasyno? – pomyślała. O czym, u licha, on mówi?

– Nie mam ochoty. Gabrieliu – odparła. – Może jutro wieczorem.

– Świetnie – powiedział. – Świetnie – i wychylił szampana do dna.

Przeszli do foyer, gdzie Gabriel zamówił brandy i cygaro. Po wypiciu brandy i wypaleniu cygara zaproponował spacer, ale Charis znów nie wyraziła ochoty. Nim weszli na górę do apartamentu, wypił jeszcze jedną brandy. Będąc już w pokoju stwierdziła, że i jej zaczyna się udzielać niepokój Gabriela. Usiadła w ubieralni przed toaletką i trzęsącymi się lekko rękoma wyjmowała z włosów spinki. Gabriel odchrząknąwszy głośno w głębi sypialni powiedział, że wychodzi

na korytarz do łazienki. Charis zastanawiała się przez chwilę, dlaczego nie korzysta z tej przy ich apartamencie, ale uprzytomniła sobie, że to rodzaj wybiegu, żeby jej nie krępować.

Poczuła pulsowanie w skroni, miała wrażenie, że coś dusi ją w gardle. Wciągnęła koszulę nocną na dzienną bieliznę, bez zakładania rękawów, i pod spodem zdjęła gorset i majtki, jak to robiła przez całe życie. Dziwne, pomyślała nagle, ale nigdy nie oglądała swego nagiego ciała w lustrze. Odłożyła na bok bieliznę i, jak minionej nocy, położyła się po lewej stronie łóżka. Nie wiedziała, którą stronę woli Gabriel.

Wrócił po dwóch minutach.

– Wiesz, w tamtej łazience woda jest chyba cieplejsza – powiedział naturalnym głosem i zniknął w ubieralni.

Charis leżała sztywno w podwójnym łożu małżeńskim. Kochany Gabrielu, powiedziała w duchu, jakby to była modlitwa, drogi Gabrielu, tak bardzo cię kocham. Nagle wyciągnęła rękę i zgasiła światło na szafce nocnej. Potem zauważyła, że jeszcze świeci się górne światło. Czy zdąży je zgasić, zanim on wróci? Czy on je wyłączy? Czy powinna mu o tym przypomnieć?

Wysunęła się z łóżka i popędziła do drzwi.

– Carrie, wszystko w porządku? – spytał Gabriel.

Odwróciła się szybko. Stał w drzwiach ubieralni. Był w piżamie, w niebiesko-zielone paski. Spostrzegła nawet, że ma na nogach nocne pantofle.

Roześmiała się ostrym, nerwowym śmiechem.

– Pomyślałam sobie, że trzeba zamknąć drzwi na klucz. – Wyciągnęła rękę w stronę drzwi. Z klamki zwisała tekturowa wywieszka. „*Priez de ne pas déranger, SVP*” – brzmiał napis. Tę kartkę należy wywiesić na zewnątrz, pomyślała przytomnie. Ale nie, nie może, nie na oczach Gabriela. A światło? Co ze światłem? Przekręciła klucz w drzwiach i znów się obejrzała.

Spostrzegła Gabriela, który bezszelestnie skradał się chyłkiem w stronę łóżka.

– Ha! – odezwał się bez związku i próbował wepchnąć ręce do nie istniejących kieszeni w spodniach piżamy.

– No tak. – Energicznym krokiem – z większą energią, niż zamierzała – ruszyła po dywanie i podeszła do łóżka.

Gabriel wrócił do drzwi i zgasił światło.

– No tak – usłyszała jego słowa w nagłych ciemnościach. – Mmm.

Charis położyła się po raz drugi. Wsuwając nogi pod pościel, zadarła rąbek koszuli aż po kolana. Mimowolnie chciała obciągnąć koszulę, ale się powstrzymała, poczuła rozkoszny dreszczyk. Położyła się na poduszce, z rękami wyciągniętymi wzdłuż ciała. Serce bije szybko, pomyślała, ale nie łomocze. To dobrze. Pokój zalegały ciemności. Pokójówka zamknęła okiennice, zostawiając okna otwarte, żeby wpadało chłodne wieczorne powietrze. Czekala. Gdzie jest Gabriel?

– Gabrielu? – spytała cichym głosem.

– Słucham? – odparł.

Nadal stał przy drzwiach.

– Dobrze się czujesz?

– Przyzwyczajam oczy do ciemności. Po zgaszeniu światła ciemno tutaj jak w piekle...

– Rozumiem. Masz rację, jest czarno.

– Teraz już lepiej odróżniam przedmioty.

– Świetnie.

Powrócił niepewnie do łóżka. Poczula, jak się ugięło pod jego ciężarem. Zaskrzypiała sprężyna.

– Zdejmuję kapie.

– Doskonale. – Charis pogratulowała sobie spokoju. Wiedziała dokładnie, jak to ma technicznie wyglądać. Uważała, że kobieta powinna wiedzieć takie rzeczy. Tak przynajmniej twierdziła ciotka Bedelia, która była osobą raczej gwałtownego usposobienia i – z czego Charis dopiero teraz zdała sobie sprawę – wyznawała „postępowe” poglądy. Podsuwała jej doczytania rozwlekłe książki mgliście mówiące o sprawach seksu i wyjaśniła pewne zagadnienia. Ale ciotka, która nie była zamężna, nic nie mogła jej powiedzieć o związanych z tym odczuciach. Było to dla Charis prawdziwą zagadką. Eleanor dawała do zrozumienia, że to okropnie nieprzyjemne uczucie, chociaż, tak jak ciotka Bedelia, nie miała sposobności sprawdzenia tego w praktyce.

Wreszcie Gabriel położył się ostrożnie.

– Hej – powiedział. Poczula uchwyt jego dłoni na ręce.

– Hej – odezwała się, czując że głos więźnie jej w krtani. Wyczuła, że odwraca się do niej. Jego nos dotknął jej policzka. Wdychała zapach proszku do mycia zębów, brandy i cygar. Prawe ramię Gabriela spoczęło przypadkowo tuż pod jej piersiami. Lewa dłoń nadal ścisnęła prawą rękę Charis. Kiedy poczula jego pocałunek, próbowała poddać się romantycznemu nastrojowi, jaki zaczynał ją stopniowo ogarniać. Było to jednak złudzenie, w rzeczywistości miała jedynie świadomość wzmagającego się uczucia ciekawości i obawy. Co Gabriel zamierza dalej robić? Jak powinna się zachować, żeby mu pomóc.

Nagle, nie odrywając ust, Gabriel dźwignął się i przygniótł ją całym ciężarem ciała tak, że zabrakło jej tchu. Przerwała pocałunek i jak najciszej zaczerpnęła powietrza. Teraz Gabriel miał twarz wciśniętą w jej szyję.

Poczula, jak zmienia pozycję i posłusznie rozchyliła nogi. Skraj koszuli podwinął się jeszcze bardziej, znajdował się powyżej ud. Niezwykle sugestywnie poczula tarcie tkaniny o skórę, koszula znów powędrowała wyżej. To prawa

ręka Gabriela! Lewa nadal niezmiennie przyciskała jej dłoń. Serce Charis zaczęło teraz, walić jak młotem i uderzenia te odbijały się echem w piersi. Skraj koshuli znajdował się już powyżej włosów łonowych. Kochany Gabriel, powtórzyła w duchu, kochany Gabriel. Czuła grubą tkaninę jego bawełnianych spodni od piżamy na wewnętrznej stronie ud. Wykonywał ciałem ostrożne ruchy do przodu i do tyłu. Boże! – pomyślała. Teraz jego „członek znajdujący się w stanie erekcji” powinien być wprowadzony do „pochwy”. Widziała nagich mężczyzn na posągach i obrazach, a nawet pływających w rzece; ich przyrodzenie przypominało białą kielbaskę w ciemnej kępie włosów. Poczula, że coś gąbczastego ociera się o nią; z całą pewnością członek nie został jeszcze wprowadzony. Przyjemnie było poczuć ciężar jego ciała między udami, a także kołysać się pod wpływem przyspieszonych ruchów Gabriela. Wiedziała, że w takich momentach następuje wzwód, tu jednak nic takiego nie zauważyła.

Potem Gabriel stoczył się z niej. Charis leżała bez ruchu, zdumiona.

– Dobrze się czujesz? – spytał szeptem.

– Słucham?

– Dobrze się czujesz? Czy cię nie... zdenerwowałem?

– Nie – wyszeptwała. – Nie.

– W porządku – odparł. – Cieszę się. Wiesz, nie chciałem zbytnio cię zdenerwować za pierwszym razem.

– Nie, czuję się świetnie. Świetnie.

– To dobrze. – Pocałował ją w policzek. – Dobranoc. Carrie – powiedział pogodnym tonem, z uczuciem ulgi. – Pojedziemy jutro do *chateau*, dobrze?

Charis położyła się na wznak. Dziś w nocy, powiedziała sobie w duchu, w niedzielę dwudziestego szóstego lipca 1914 roku, ja, Charis Cobb, z, domu Laver, stałam się kobietą.

*

Następnego dnia wynajęli turystyczny brek i zwiedzili zamek Hebertot, około dziesięciu mil od Trouville. Po drodze zatrzymali się w lesie Toques na piknik – o prowiant zatroszczył się hotel. Gabriela znów ogarnął dobry nastrój i po pikniku poczęstował Charis papierosem. Dzień był gorący, bezchmurny. Siedziała oparta plecami o pień drzewa, a Gabriel położył się na ziemi z głową wspartą na jej łonie. Wydmuchiwała dym w gałęzie nad głową i wątpliwości co do wydarzeń ubiegłej nocy rozwiały się zupełnie pod wpływem szampańskiego humoru Gabriela. Mimo to nie opuszczało jej uczucie, że wczoraj coś poszło nie tak, że właściwie bardzo mało wydarzyło się z tego, co miało się wydarzyć, wprawiało ją to w stan ciągłego zakłopotania.

Tego wieczoru Gabriel znów nie żałował sobie wina i brandy. Czynności poprzedzające pójście do łóżka przebiegały tym razem znacznie prościej, lecz

poza tym nic się nie zmieniło. Gabriel dłużej ją całował i tulił w objęciach, po czym przygniótł ciężarem swego ciała. Charis, jako osoba niedoświadczona, mająca pobieżne wiadomości o pożyciu, małżeńskim i zmuszona uciekać się w tych sprawach do wyobraźni, nie wiedziała, co dzieje się z ciałem Gabriela; może funkcjonuje ono bez zarzutu, a ona sama ma jakiś defekt. Może powinna przejąć inicjatywę, a Gabriel jest zbyt delikatny, by ją o to poprosić? Słowem nie wspomniał, że należy postępować inaczej. Raz jeszcze poczuła męskość Gabriela między udami, podnoszenie i opadanie jego ciała dostarczyło mglistego pojęcia o rozkoszy, jaka mogłaby być jej udziałem. Ale, zastanawiała się, może to jest wszystko, co człowiek w takiej chwili czuje? Z pouczeń ciotki Bedelii wiedziała, że w czasie stosunku powinien nastąpić wytrysk nasienia. Kiedy Gabriel leżał znów obok niej, przeprowadziła potajemną kontrolę, ale wszystko wydawało się bez zmian. Z drugiej jednak strony nie miała właściwie pojęcia, jak to nasienie wygląda, toteż nie opuszczało jej uczucie zakłopotania.

Gabriel, jak podczas niedzielnej nocy, był niezwykle troskliwy, pytał ją wielokrotnie, czy dobrze się czuje i wyrażał szczerze pragnienie, aby nie wyrządzić jej krzywdy i nie urazić jej uczuć.

*

We wtorek znów mieli ochotę na kąpiel w morzu, Charis nie zważała tym razem na wrzaski staruchy w kabinie, z radością poszła pluskać się na zatłoczonej płyciźnie. Po południu wybrali się na spacer do portu i na targ rybny, żeby obejrzeć nadpływającą flotę rybacką.

Owego wieczoru Gabriel wypił przed posiłkiem dwie whisky z wodą sodową, opróżnił prawie całą butelkę czerwonego wina, a po tym dwa kieliszki brandy. Przygotowania Charis ograniczyły się do założenia nowej koszuli. Kiedy wciągnęła ją przez głowę, usłyszała, jak Gabriel potyka się o krzesło. Poczuła przyływ irytacji; czy dopiero po wypiciu takiej ilości trunków jest w stanie spełnić obowiązki małżeńskie i do tego tak nieudolnie. Przez chwilę nie mogła doczekać się zakończenia miesiąca miodowego, kiedy to nie trzeba już będzie zachowywać się w nocy jak para młodożeńców.

Leżała w łóżku posłusznie, gdy tymczasem Gabriel wyłonił się nieśmiało z ubieralni i podszedł do drzwi, żeby zgasić światło. Wracając do łóżka niepewnym pijackim krokiem uderzył się mocno o szafkę nocną.

– Au! Psiakrew! – zaklął rozdrażniony, podskakując na jednej nodze. – Ojej. Do licha, ale sobie dogodziłem, b o l i .

Charis usiadła zirytowana.

– Co się stało? – spytała ze złością.

Gabriel opadł na łóżko.

- Rozwaliłem kolano o tę przeklętą szafkę – jęknął nadąsanym głosem.
- Pokaż. – Charis wyciągnęła do niego rękę, jakiś chłopięcy ton w jego głosie wzmógł jej stanowczość, uczynił mniej uległą. Gabriel dźwignął się i przesunął w jej stronę.
- Głuptasie – rzekła łagodniejszym tonem. – Kto ci kazał tyle pić wieczorem, co? Gdzie twoje kolano, nieznośny chłopaku? – Chwyciła wyciągniętą nogę i zaczęła energicznie rozcierać obolałe miejsca. Gabriel położył głowę na jej ramieniu i jęczał.
- Przestań – powiedziała. – Masz za swoje.
- Oooch – jęknął Gabriel, udając, że skręca się z bólu. – Nie tak mocno. – Wziął ją w objęcia. – Lepiej pocałuj kolano. No, proszę cię.
- Nie. N i e pocałuję – Charis śmiała się i próbowała odepchnąć go od siebie. Opierał się. – Pijani, niemądrzy chłopcy zasługują na klapsy, a nie na pocałunki. – Próbowała klepnąć go po ręce, szamotali się na łóżku.
- Charis poczuła, że rozwiązują się jej pod szyją tasiemki.
- Nieznośny – powiedziała ostrzegawczo. Gabriel trzymał ją mocno w ramionach.
- Mamusia będzie się gniewać – powiedziała bezwiednie.
- Usta Gabriela dotknęły jej szyi, potem przesunęły się niżej. Nagle ujął w rękę małą pierś i z przerażającym zdumieniem uprzytomniła sobie, że jego usta ześliznęły się po jej piersi i przyłgnęły do sutka. Poczuła wilgotne ciepło ust, języka i szarpnięcie, kiedy zaczął ssać.
- M ó j B o że – pomyślała w pierwszej chwili – co on, na Boga, wyprawia? Znów poczuła napór jego ciała, bez zastanowienia położyła mu rękę na głowie. Przyszło jej na myśl, że Gabriel... właściwie nic nie rozumiała. Odchyliła się wolno do tyłu i osunęła po szczycie łóżka, po raz pierwszy czując napierający na jej udo stwardniały członek.
- Co za niegrzeczny chłopiec – powiedziała cicho, zajmując wygodniejszą pozycję. Cóż to za niegrzeczny, mały chłopiec?

*

Kiedy obudziła się rano, Gabriel już był na nogach i zdążył się ubrać. Od razu pomyślała o wydarzeniach ubiegłej nocy. Teraz przynajmniej wiedziała, co to jest „wytrysk nasienia”. Bładożółta, mętna, lepka ciecz, którą należało energicznie sprać, żeby nie powstały plamy na bawełnianej koszuli. Kiedy zmieniała ją, Gabriel przeprosił za przedwczesny wytrysk. Spali potem spleceni ramionami. Gdy wróciła do łóżka, przytulił się do niej mocno, położył głowę na jej piersi, pieścił i całował szyję, mówiąc o swej miłości i w stylu siedemnastowiecznych poematów obiecywał niewysłowione szczęście i rozkosz.

Charis głąskała go po jasnych włosach, szczęśliwa, że ich małżeństwo nabrało wreszcie cech normalnego pożycia, mimo to jednak czuła się zakłopotana. Gabriel był wysoki i silny, dumny i przystojny. Nie chciała mu matkować. Jednak w przypływie litości pomyślała, dlaczego nie? Każdy człowiek w intymnych momentach potrzebuje zwykłej otuchy. Nie zdziwiłaby się, gdyby w tej osobliwej rodzinie Gabriel nic zaznał normalnej troski i czułości, jakich powinno zaznać dziecko. Wszystkie te siostry – a siostry bywają apodyktyczne – nie kryją urazy wobec młodszych braci. Feliks jest prawdziwym beniaminkiem rodziny. Pani Cobb niemądrze była w niego bez reszty zapatrzona. W tych warunkach, zastanawiała się Charis przed pójściem spać, jest rzeczą zrozumiałą i oczywistą, że Gabriel oczekuje od żony macierzyńskiej czułości.

Myśli te znowu przyszyły jej do głowy, kiedy podszedł i usiadł na łóżku. Uśmiechnął się do niej czule, wziął za rękę.

– Dobrze się czujesz, kochanie? – spytał.

– Tak, oczywiście – odparła z nutą irytacji. Dlaczego ją ciągle o to pyta, jakby była jakąś kaleką? Z całą pewnością to o n a raczej powinna wyrażać troskę o jego samopoczucie. Ale się opanowała. – Oczywiście, kochanie – powtórzyła.

– Na co masz ochotę?

– Och, nie wiem. Ładny mamy dzień?

– Wspaniały. Moglibyśmy się wykąpać?

– A co powiesz na wycieczkę parowcem do Le Havre?

– Albo też na popołudniowy koncert w kasynie?

– Och, Gabrielu, proszę żadnych nudnych koncertów.

Roześmiał się.

– Zgoda. W sobotę urządzają tam bal. Mam nadzieję, że nie będziesz się na nim nudzić. – Wstał. – Posłuchaj, leniuchu. Do zobaczenia na dole.. Pogawędzimy przy śniadaniu.

Po jego odejściu Charis leżała w łóżku jeszcze parę minut. Myślała o czekających ich letnich miesiącach. Pułk Zachodnich Kentyjczyków nadal przebywał w Indiach. Gabriel zastanawiał się, czy wrócić tam, czy na pewien czas przenieść się do innego pułku w Anglii. Henry Hyams obiecał, że być może znajdzie dla Gabriela jakieś zajęcie w Komitecie Obrony Imperium Brytyjskiego, w którym sam pracował. Gabriel przyznał, że to kusząca propozycja.

Charis była ciekawa, jak będzie się im mieszkalo w małym domku w Staczkole, czy często będą musieli widywać resztę rodziny Cobbów. Ale nie, przed nią jeszcze całe dziesięć dni miodowego miesiąca, o nich wyłącznie powinna myśleć. Na razie przyszłość jej nie obchodzi. Być może w s z y s t k o pójdzie doskonale, skoro już wie, jak postępować z Gabrielem. Kiedy zeszła do obszernego hallu „Hotel d'Angleterre” zobaczyła Gabriela: pochylony nad pulpitem

recepcji czytał gazetę do spółki z recepcjonistą. Na jej widok oderwał się raptownie od lektury i ze zmarszczonym czołem odprowadził ją do jadalni.

– Stało się coś złego? – spytała po zajęciu miejsca przy stole. – Nie możemy przed południem popływać parowcem, czy coś w tym rodzaju?

– Nie – odparł. – Nic z tych rzeczy. – Przeczesał obydwoma rękami włosy.

– To była francuska gazeta. Ten facet pomagał mi przetłumaczyć artykuł. I tak dobrze, że dostrzegłem nagłówek. Wiesz, że naszą prasę otrzymujemy z dwudniowym opóźnieniem?

– Dlaczego? Co się dzieje?

– Austria wypowiedziała wojnę Serbii.

Roześmiała się z uczuciem ulgi.

– Serbii? I to wszystko? Jeszcze jedna niemądra wojna o Bałkany?

Gabriel miał ponurą minę. Naprawdę, nie powinna była wychodzić za mąż za żołnierza.

– Musimy wracać do kraju – powiedział stanowczo. – Wiedziałem, że tak będzie. Nie ma rady, to wojna europejska. Charis. Musimy wracać. Natychmiast. Jeszcze dzisiaj.

Część druga

WOJNA

ROZDZIAŁ PIERWSZY

9 SIERPNI 1914 ROKU
SMITHVILLE, BRYTYJSKA AFRYKA WSCHODNIA

Dekortykator sizalu firmy Finnegan i Zabriskie dudnił i łomotał z nieprawdopodobnym hałasem: trząsał się, grzechotał, wyrzucał z siebie kłęby dymu i wzbijał tumany kurzu. Temple Smith obserwował go z błogim zadowoleniem, jakiego zawsze doznawał na widok puszczonej w ruch ukochanej maszyny. Z jednej strony Saleh i kilku boyów z farmy wrzucali w paszczę maszyny kolczaste wiązki zebranych z pola liści sizalu. Z drugiej wylatywały wilgotne, przeżute, jasnożółte włókna zgarniane w luźne wiązki i zabierane do wysuszenia na stojakach.

Temple zbliżył się do grzmiącej maszyny. Ogromne wirujące koła napędowe i turkoczące pasy transmisyjne wstrząsały ciężkim, pełnym włókien powietrzem. Wyczuwał pod nogami silne drgania cementowej podłogi. Wyciągnął rękę” położył na stalowej płycie. Drgania i wstrząsy dawały uczucie mrowienia w czubkach palców. Zamknął oczy. To był jego świat! Wszystkimi zmysłami chłonał pracę maszyny.

Wtem, jakby z bardzo daleka, usłyszał ciche wołanie. Odwrócił się. Około dwóch metrów od niego stał Wheech-Browning, z rękami uniesionymi w obronnym geście, jakby odpierał cios. Temple widział, jak otwiera i zamyka usta. Nic mógł się zorientować, co tamten próbuje powiedzieć.

– C o? – ryknął Temple. – Czego pan chce?!

Rozgniewał się na widok zastępcy komisarza okręgowego w tym miejscu. Od tygodni Wheech-Browning próbował go zmusić do zapłacenia cła za sadzonki kawy zakupione w Dar. Za sadzonki, z których większość wyschła na wiór i obróciła się w suche zielska, mimo niezwykle starannej pielęgnacji, jaką im zapewniono. Podczas ostatniej bytności Wheech-Browninga Temple zaprowadził go na zbocze, gdzie miała być plantacja krzewów kawowych, i pokazał zmarnowane żalosne zagony.

– Wadliwy towar – oświadczył Temple. – Chore, nędzne rośliny. Nie może mi pan za to kazać płacić cła.

Wheech-Browning z kolei nie ustępował, zapewniając, że ma prawo domagać się należności. W rezultacie Temple z niechęcią traktował dalsze jego wizyty. Wheech-Browning pokazywał teraz na drzwi szopy i powtarzał bezgłośnie słowa „na zewnątrz”. Temple ociągając się wyszedł za nim na dwór.

Na otwartym powietrzu hałas, jaki dochodził z szopy, nadal był okropny, ale przynajmniej można było rozmawiać. Wheech-Browning zdjął kask i wytarł chusteczką spoconą twarz. Potem z białej marynarki strzepnął resztki szalowych włókien. Na jego butach i spodniach Temple zauważył grubą warstwę pyłu. Obejrzał się w stronę wzgórza i zobaczył muła przywiązanego przed domem, którego pilnowało dwóch policjantów-tubylców. Nie przyjechał chyba mnie aresztować? – przemknęło mu przez głowę. Chyba Anglicy nie zamykają człowieka za zwłokę w opłaceniu cła?

– Nie wiem, jak pan może to wytrzymać – powiedział Wheech-Browning, uderzając energicznie kaskiem o uda i wzbijając w górę małe obłoki kurzu.

Temple odegnał parę brzęczących much.

– Co? – spytał. – Co wytrzymać?

– Hałas. Zgiełk. Piekielny zgiełk. – Kaskiem wskazał na szopę z dekortykatorem i na kłęby dymu wydobywające się z komina.

– Aha, dekortykator. Człowiek się przyzwyczaja. Po jakimś czasie nawet się go nie słyszy.

Wheech-Browning włożył z powrotem kask.

– Mam złe wiadomości – powiedział i spojrzał z surową miną na góry Pare.

Temple poczuł ogarniającą go panikę. Chce mnie aresztować, pomyślał. To typowe dla Anglików. Nie można u nich bezkarnie łamać przepisów.

Wheech-Browning przeniósł wzrok z powrotem na Temple'a.

– Wojna – wygłosił proroczym tonem.

Śmieszne, powiedział sobie w duchu Temple, ten człowiek za bardzo się przejmuje swoją funkcją.

– Zgoda – powiedział. – Zapłacę.

Twarz Wheech-Browninga wyrażała przez chwilę całkowite niezrozumienie. Potem oblicze mu się rozchmurzyło.

– Aha – odparł. – Rozumiem, co pan ma na myśli. Tak, tak. Ma pan całkowitą rację. Wszyscy zapłacimy. – Spojrzał na swe duże stopy. – W ostatecznym rozrachunku – dodał posępnie, a potem wymachując rękoma dokoła głowy wykrzyknął nagle: – C h o l e r n e muchy!

– W s z y s c y zapłacimy? – powtórzył wolno zdezorientowany Temple.

Ku jego zdumieniu Wheech-Browning odskoczył nagle o metr, pozostawiając dwie muchy krążące bez celu w miejscu, gdzie stał przed sekundą. Po chwili znowu go dopadły.

– Przed trzema dniami przyszedł telegram – powiedział Wheech-Browning.

– Od tego czasu jeżdżę po okręgu i powiadamiam każdego. Wydaje się, że w ubiegłym tygodniu, czwartego, wypowiedzieliśmy wojnę. Upłynęło trochę czasu, zanim ta wiadomość dotarła tu do nas na odludzie.

Temple zaczął rozumieć, uspokoił się. Nie miało to nic wspólnego z jego osobą.

– Chce pan powiedzieć, że Brytyjczycy prowadzą wojnę?

– Oczywiście. A jak się panu zdaje, o czym ja mówię? – Wheech-Browning był zły.

– Z kim?

– Boże święty, człowieku, z kim ją mogą prowadzić? Z naszymi niemiec-kimi sąsiadami przez miedzę – o t a m . . . – Machnął ręką w kierunku gór Pare. – Z Hunami, Szwabami, Szkopami. Z cholernymi Teutonami, z nimi wchodzimy w wojnę. Prowadzimy wojnę – poprawił się.

– Dlaczego?

– O Boże, um... – Wheech-Browning miał zakłopotaną minę. – Nie spre-cyzowali tego w telegramie. – Postukał palcami po brodzie. – Chyba ma to jakiś związek z mobilizacją i wypowiedzeniem wojny Francji. Wszystko jedno, nie możemy tego w żadnym wypadku lekceważyć.

– Rozumiem. Cholera jasna.

Temple był pochłonięty myślą, że w tym stanie rzeczy może mieć trudności z odzyskaniem pieniędzy za sadzonki kawy od *Chef der Abteilung* w Dar.

– A co my mamy z tym wspólnego? – spytał. – Pewnie na jakiś czas zamkną granicę. Ale zaraz, czy kolonie nie zachowają neutralności?

Wheech-Browning roześmiał się ostro, ironicznie.

– O Boże, Smith, pan nie wie, na co się tu zanosi? Jesteśmy w stanie wojny z Niemcami. A te świny są tuż za granicą. – Spojrzał pogardliwie na Temple'a. – Łada dzień spodziewana jest inwazja. Taveta na pewno stanie się pierwszym obiektem ataku. Przyjechałem powiedzieć, żeby pan ewakuował farmę. To samo mówię każdemu mieszkającemu blisko granicy...

– Wolnego! – sprzeciwił się gwałtownie Temple. – Wolnego! Nie będziemy się stąd ewakuować. Muszę zdekortykować zbiory sizalu. Coja zrobię bez dekortykatora?

– Niech pan posłucha, panie Smith – zaczął Wheech-Browning.

– Nie, niech pan posłucha – odparł Temple. – To wy, Brytyjczycy, wypowiedzieliście wojnę Niemcom. Ja z tym nie mam nic wspólnego. Jestem Amerykaninem. Pozostaję neutralny. Nie mam zatargów z Niemcami.

– No cóż, jest pan cholernie głupim Amerykaninem – odparł gniewnie Wheech-Browning, a twarz mu poczerwieniała. – Mój Boże, gdyby do pana dotarło, co ludzie mówią. Na miłość boską, proszę pomyśleć o żonie i dzieciach. Pańska żona jest Angielką. Jeśli pojawi się tu kompania niemieckich askarysów, nie będą sprawdzać, jakiej jest pan narodowości.

Temple wyduł usta.

– A co z armią brytyjską? – spytał. – Gdzie jest wojsko?

– Mamy trzy bataliony Królewskich Strzelców Afrykańskich, to wszystko. Połowa znajduje się w Jubaland, reszta będzie się starała uniemożliwić obronę kolei. Nie może się pan spodziewać, że będą latać za każdym pomylnym Amerykaninem...

– Zaraz, zaraz...

Ale Wheech-Browninga poniosła fantazja, był najwyraźniej poruszony perspektywą Tawety opanowanej przez tysiące tubylczych oddziałów żądnych krwi.

– Dostałem rozkaz, żeby na pierwszy, sygnał ataku wycofać się do linii kolejowej w Voi. Taką daję panu radę. Zostaję w Tawecie z moimi askarysami z policji, ale... – Wheech-Browning pohamował się. – Smith, niech mi pan wierzy, to jest oficjalna rada. Tu po prostu nie jest bezpiecznie.

– Nic mi się nie stanie – odparł lekkim tonem Temple. – Niech pan będzie spokojny.

Wheech-Browning w desperacji machnął ręką.

– W porządku – na moment zamknął oczy. – Uprzedzałem pana. Nie mogę rozkazywać. Muszę jechać dalej. Niech pan się nad tym zastanowi, Smith. To nie żarty. – Podeszedł bliżej. – Krążą różne pogłoski. Kiedy zaatakowali stację kolejową w Tsavo – tak, już zaatakowali – podobno złapali jednego z hinduskich pracowników kolei. – Zbladł. – Odcięli mu... wie pan. Z tego, co ludzie mówią, straszliwie go okaleczyli. To barbarzyńcy. – Przerwał. – Niech pan posłucha, wojna potrwa najwyżej kilka miesięcy. Podobno z Indii przybywa nasze wojsko. Tu na miejscu, prędko się z nimi upora. Ale na razie jesteśmy w potrzasku.

Temple poklepał Wheech-Browninga po szczupłym ramieniu.

– Zastanowię się nad tym – powiedział w końcu pojednawczo. – Przemyszę.

Zawrócił pod górę i zanim dotarł do dekortykatora i swych sizalowych zbiorów, zobaczył zastępcę komisarza okręgowego odjeżdżającego na mule.

*

Temple potraktował radę Wheech-Browninga na tyle poważnie, że powiadomił o wszystkim Saleha i boyów, przykazując im mieć oczy otwarte. Na noc zamykał dokładnie drzwi i okna, zdjął ze ściany karabiny. Powiedział Matyldzie o tym, co usłyszał od Wheech-Browninga, i dodał, że jego zdaniem komisarz sięje bezpodstawną panikę. Matyldy jak zwykle nie opuszczał optymizm, była głęboko przekonana, że nikt nie naruszy ich spokoju w Smithville.

W miarę upływu dni, kiedy nic nie zakłócało normalnego porządku spraw, zniknęły obawy Temple'a. Pewnej nocy zdawało mu się, że w oddali słyszy wybuch. Kiedy indziej doszedł go huk, który można było wziąć za ogień armatni.

Ale nie był w stanie tego sprawdzić. Posłał Saleha do Tavety – dowiedział się, że wprawdzie O'Shaugnessy zamknął sklep, lecz Wheech-Browning nadal tkwi na posterunku z kompanią policjantów. Bazar hinduski funkcjonował normalnie, nikt nie słyszał o żadnych niepokojach, o żadnym zgrupowaniu wojska na granicy.

Temple zajął się sprzętem sizalu. Dekortykator stukotał i buchał kłębami dymu prawie przez cały dzień, gdy tymczasem Saleh i inni robotnicy ścinałi liście agaw na polach, przewozili je w, wagonikach do „fabryki” i wrzucali w paszczę nienasyconej maszyny. Stopniowo rosły sterty suchego włókna. Cały dzień poświęcili na związywanie go w luźne bele, które zapełniły dwa duże furgony. Temple miał potem zawieźć zbiory do Voi, gdzie mieściło się Afrykańsko-Amerykańskie Towarzystwo Włókna Sizalowego. Mieli tam maszynę do międlenia i hydrauliczne belowarki. Dyrektor Ward był także Amerykaninem, ale Temple'a nie łączyły z nim najlepsze stosunki. Ward, zdaniem Smitha, pobierał zbyt wysokie opłaty za międlenie i belowanie, zwłaszcza od rodaka. Mimo to z przyjemnością jeździł do fabryki Towarzystwa w Voi. Przyglądał się, jak Ward kieruje interesem i czerpał stamtąd różne pomysły przydatne do rozbudowy farmy Smithville. Kupił od niego dekortykator i nosił się z zamiarem nabycia bębna do międlenia. Przy okazji najbliższej podróży zamierzał kupić następnych dwieście metrów szyn; umyślił sobie rozszerzyć w 1915 roku plantację sizalu.

Podczas pracy i układania planów na przyszłość zniknęło lekkie uczucie niepokoju wywołane słowami Wheech-Browninga. Cena, jaką dostawał za nasiona sizalu, nie mówiąc już o włóknie, zapewniała pomyślny rok. Jeśli powiększy plantację o dalsze półtora hektara, w trzy lata podwoi kapitał obrotowy. Miał pecha z sadzonkami kawy, ale samo powiększenie plantacji uważał za świetny pomysł. Rozwahał uprawę drzew gumowych. W Kobwezi, w pobliżu Voi, mieszkał Niemiec, który miał dwieście czterdzieści hektarów plantacji. Ale rośliny te rosną dłużej niż agawy i chociaż Temple chciałby bardzo ujrzeć Smithville otoczone złotodajnym gajem drzew gumowych, postanowił poszukać czegoś, co wcześniej przyniesie zysk.

Osiemnastego sierpnia z rana, tuż przed wyjazdem do Voi z włóknem sizalowym, doznał olśnienia. Siedział przy śniadaniu vis à vis Matyldy. Glenway płakał, bo jak twierdził, nie smakowała mu owsianka. Matylda, ku zniecierpliwieniu Temple'a, nie zwracała uwagi na płacz dziecka. Czytała książkę, trzymała przy policzku filiżankę ciepłej herbaty. Zdawało się, że coraz mniej obchodzą ją problemy rodziny. Temple sięgnął po puszkę. Po pomarańczowym maśle została tylko tłusta plama.

- Matyldo – odezwał się. – Nie mamy masła?
- Co, kochanie?
- Skończyło się masło – odłożył nóż. – Czy możesz się dowiedzieć, czego chce chłopiec? – dodał rozgniewany.

Matylda odwróciła grzbietem do góry książkę i położyła na stole.

– Co się stało, Glennie?

– To nie jest słodkie – odparł chłopiec, trzymając w ręku łyżkę, z której na emaliowany talerz skapywała owsianka.

– Joseph – zawołał Matylda na kucharza. – Czy wlałeś do owsianki esencję waniliową?

Wanilia. To jest to, uprzytomnił sobie nagle Temple. Złotodajna uprawa przyszłości... Ktoś w pobliżu Voi założył plantację na niecałym hektarze ziemi. Żadnych maszyn, żadnej dekortykacji, po prostu zbiera się torebki owoców. Jego umysł zaczął pracować. Należy zaorać nieudaną plantację kawy. Być może w czasie tej podróży do Voi uda mu się kupić sadzonki.

– Nie ma wanilia – oznajmił Joseph w drzwiach kuchni.

– Nie ma wanilii i masła – zakomunikowała Matylda. – Możesz kupić w Tavecie, jak będziesz wracał?

– Co? – spytał Temple, jego umysł zaprzętała wizja pól waniliowych, kruchych owoców szeleszczących kojąco w powiewie wiatru od jeziora Dżipe. – Zgoda. Nie, nie mogę. Kupię w Voi. O'Shaugnessy opuścił Taveć. Zamknął sklep.

– Oczywiście – powiedziała Matylda, biorąc do ręki książkę. – Wojna. Zapomniałam.

Saleh pojawił się w drzwiach jadalni. Jego twarz zdradzała niepokój.

Temple wstał od stołu.

– Wszystko gotowe? – spytał.

Saleh zaprzęgał już woły do załadowanych po brzegi furgonów. Oparł się teraz o framugę drzwi. Temple zdał sobie sprawę, że na jego twarzy maluje się nie zdenerwowanie, lecz strach.

– Askarysi – słabym ruchem ręki Saleh wskazywał na wzgórze obok budynków fabrycznych. – Tam są askarysi.

Temple podbiegł do drzwi, czując nagle ucisk w piersi. Za nim podążyła Matylda. No i faktycznie, przed szopą z dekortykotorem, w nierównym rzędzie, stała kolumna czarnych żołnierzy. Przez moment wydawało się Temple'owi, że to oddziały brytyjskie. Ubrani byli w bluzy i szorty koloru khaki, na głowach mieli filcowe fezy. Wyglądali jak Królewscy Strzelcy Afrykańscy. Wtem jednak dostrzegł dwóch Europejczyków, którzy akurat wychodzili z szopy mieszczącej dekortykator. Mieli na sobie grube drelichowe bryczesy, długie po kolana owijające i kurtki z długimi rękawami zapinane pod szyję, w jakich chodzili oficerowie *Schutztruppe*. Oficer dowodzący spojrział na wzgórze, w kierunku domu, i pomachał ręką.

– Halo, Smith – zawołał wesoło. – Miło mi znów pana spotkać. Czy możemy podejść? – Był to von Bishop.

– Popatrz, to von Bishop – powiedział Temple do Matyldy, kiedy dwaj mężczyźni wspinali się pod górę. – Wiesz, Erich von Bishop. Spotkałem go razem z żoną w czasie pobytu w Dar. Bardzo miły człowiek.

*

– Co teraz? – spytał Temple obserwując jak puste furgony, zaprzężone w woły, odjeżdżają w stronę Tavety. Olbrzymia góra zwalonych beli szałasu zaczynała już trzeszczeć i dymić. Szesnaście cetnarów, pomyślał Temple. Zmarnowana dwumiesięczna praca. Zobaczył swoją plantację wanilii, znikającą z powierzchni ziemi, jakby ją zmiotł podmuch huraganu.

– P r z y k r o m i – powiedział von Bishop spokojnym tonem. – Musimy rekwirować każdy środek transportu i niszczyć wszystkie zbiory.

– Co? Nawet na polach?

Von Bishop wzruszył ramionami.

– Niestety, taki rozkaz. – Potem roześmiał się... – Niech się pan nie martwi, Smith. Nie będę nadgorliwy w pana przypadku. W końcu jesteśmy najbliższymi sąsiadami.

Nie przejmując się niczym, pomyślał Temple. Próbował wzbudzić w sobie gniew albo poczucie krzywdy, ale widząc niefrasobliwe zachowanie von Bishopa, uznał, że nie wypada, że byłoby to nietaktowne, a nawet niegrzeczne. Odwrócił głowę i zobaczył synów tańczących dokoła stosu spopieliałych szałasowych włókien.

– WYNOŚCIE SIĘ STĄD! – ryknął, wyładowując na nich swój gniew. – Idźcie pomagać matce w pakowaniu. – Pobiegli posłusznie.

Von Bishop przez grzeczność zostawił im starą dwukółkę, i dwa muły, które miały ich zawieść do Voi. Powiedział, że teoretycznie powinni zostać internowani, ale skoro Temple jest obywatelem amerykańskim, pozwoli im odjechać. Matylda i Joseph zbierali w pośpiechu osobiste rzeczy, a grupa boyów z farmy zanosila je do dwukółki.

Von Bishop poinformował Temple'a o zajęciu Tavety. Oddziały niemieckie, w sile około czterech kompanii, przekroczyły granicę i powiadomiły Wheech-Browninga z jego askarysami, że zamierzają zająć miasto i zostawiają im godzinę na ewakuację. W rzeczywistości Niemcy czekali przez noc, a rano ruszyli w kierunku Tavety. Ludzie Wheech-Browninga otworzyli ogień. Niemcy ruszyli wtedy tyralierą. Kiedy ostrożnie posuwając się naprzód, dotarli do Tavety, okazało się, że Wheech-Browning i jego ludzie zniknęli.

Typowe dla Wheech-Browninga, pomyślał Temple, i miał właśnie zamiar powiedzieć von Bishopowi kilka słów prawdy o jego przeciwniku, kiedy od strony szopy z dekortykatorem dobiegły go głośne uderzenia.

– O Boże! – zawołał i pobiegł w tamtym kierunku.

Von Bishop nie próbował go powstrzymać. Temple zastał w szopie innego

oficera, który chcąc sprawdzić wytrzymałość konstrukcji, walił młotkiem w dekortykator i stalowe dźwigary podtrzymujące dach.

– Hej! Proszę przestać – krzyknął i wyrwał oficerowi młotek. – Na litość boską, co pan robi?

Ale mężczyzna nie rozumiał po angielsku. Von Bishop powiedział coś do niego po niemiecku, ten wzruszył ramionami i odszedł.

– Niech nikt nie tyka tej maszyny – powiedział Temple ostrzegawczo do von Bishopa. – Jak by nie było, zainwestowałem w niej cały majątek. Jeśli taki jest rozkaz, niech pan spali zbiory, ale ją proszę zostawić w spokoju.

Von Bishop rozejrzył się po szopie.

– A więc to jest ta fabryka, o której mi pan opowiadał. Muszę przyznać, że imponująca. Czy przynosi dochód? Przy tak małym areale? – Przez kilka minut rozmawiali o dobrych i złych stronach indywidualnej produkcji włókna szalowego, a Temple sprawdzał, czy dekortykator nie ucierpiał od młotka. Rozmowę przerwał Saleh, który oznajmił, że wszyscy są gotowi i dwukółka czeka załadowania.

Von Bishop i Temple wyszli z szopy. Temple ostatnim czułym spojrzeniem obrzucił dekortykator. Będąc już na dworze zobaczył żonę i dzieci zebranych w małą grupkę obserwującą badawczo niemieckich askarysów, którzy zrywali tory kolejki pod nadzorem drugiego białego oficera.

– Na miłość boską! – wykrzyknął Temple. – Czy ten człowiek jest normalny? Może to jakiś wandal z instynktem niszczenia?

Tym razem von Bishop powstrzymał Temple'a, kładąc mu rękę na ramieniu.

– Przykro mi – powiedział. – Szyny są potrzebne, tak samo jak drut. Ma pan szczęście, że teren nie jest tu ogrodzony drutem kolczastym.

– O tak! – odparł sardonicznie Temple. – Jestem szczęściarzem.

– No cóż – rzekł von Bishop, znów pełen animuszu. – Wojna nie oszczędza nikogo.

Temple potrząsnął głową i ze złością kopnął kamień.

– Chyba ma pan rację – przyznał.

Wojna nie oszczędza nikogo, pomyślał. Nie wygląda to na wojnę, mimo że nieprzyjacielscy żołnierze z bronią w ręku wyrzucają go przemocą z własnej posiadłości. Von Bishop zachowuje się jak człowiek, który przyszedł upomnieć się o dawno pożyczoną książkę. Temple obserwował, jak odcinki torów zostają wyważone z twardej ziemi. Potem przyszedł mu do głowy pewien pomysł. Odszkodowania wojenne, pomyślał, mogą zażądać odszkodowania. Zaczął szybko sumować w pamięci cyfry. Często tego rodzaju nieszczęście może obrócić się na korzyść. Należy na to spojrzeć jako na sposobność rozpoczęcia wszystkiego od nowa: okazję do ponownego przemyślenia i rozplanowania. Zawsze żałował, że nie kazał ułożyć szyn bliżej jeziora Džipe... kiedy otrzyma odszkodowanie, będzie mógł przenieść je na właściwe miejsce. Odwrócił się do von Bishopa.

– Ma pan rację, Erich. Wojna nie oszczędza nikogo. Mógłby mi pan wydać... Nie wiem, jak to nazwać, oświadczenie czy coś w tym rodzaju? Poświadczenie rekwizycji.

– Tak, oczywiście – odparł von Bishop. – Z przyjemnością. – Wezwał drugiego oficera i kazał mu sporządzić dokładny spis wszystkiego, co zostało zabrane lub zniszczone.

– A co z domem? – spytał Temple.

– Być może będę tu musiał zakwaterować część ludzi – odpowiedział von Bishop. – Ma dobre położenie na wzgórzu. Nie możemy zapłacić panu dzierżawy – roześmiał się. – Wskutek użytkowania bez wątpienia będzie trochę drobnych uszkodzeń. Kto wie, może dokończymy budowy.

Temple uśmiechnął się, nawet widok cienkiej smugi dymu, wznoszącej się z pól obsianych siemieniem lnianym, nie wzbudził w nim wątpliwości. Von Bishop złożył podpis na kawałku papieru, który wydarł z oficerskiego notatnika. Temple przyjrzał się temu uważnie.

– W imieniu Cesarstwa Niemieckiego... Erich von Bishop, major. Wspaniale, Erich. Wspaniale. – Poklepał go po ramieniu. – Nie ruszajcie tylko dekoratora, to wszystko. Od tej maszyny zależy moja przyszłość. W przeciwnym razie przyjadę do Dar, żeby się z panem policzyć.

Obydwał mężczyźni roześmieli się serdecznie.

– Mamy własne dekortykatory, Smith – powiedział von Bishop. – Nie potrzebujemy pańskiego. Dekortykatory Kruppa. Bardzo wydajne. Cetnar włókna na godzinę. Znacznie lepsze od amerykańskich.

Wracali w stronę dwukółki, w której teraz znajdowała się cała rodzina Temple'a i jego dobytek.

– Nie znam takich – odparł Temple. – Finnegan i Zabriskie to firma z renomą – zawiesił głos. – Krupp, powiada pan? Czy ma swego przedstawiciela w Mombasie?

Saleh i służba z farmy ustawili się w szeregu obok dwukółki. Na wszystkich twarzach malował się jednakowy wyraz wielkiego cierpienia, spoglądali niepokojnie na uzbrojonych askarysów.

– Nie martw się, Saleh – rzekł Temple spokojny o wszystko. – Miej baczenie na gospodarstwo. Opiekuj się farmą i dekortykatorem. Wrócimy za dwa miesiące. – Dla dodania otuchy klepnął go po plecach i wsiadł do dwukółki. Matylda zajęła miejsce obok niego, nadal pochłonięta książką. Dzieci usadowiły się z tyłu wśród kufrów, ubrań i tobołków z pościelą, osłonięte przed żarem słońca prowizorycznym daszkiem z brezentu. *Ayah* siedziała z tyłu, z opuszczonymi nogami, i żałośnie płakała. Wydawało się, że to jedyna osoba, którą to wydarzenie wytrąciło z równowagi.

– No cóż, do widzenia, Smith – powiedział von Bishop. – Pani Smith, przykro mi bardzo, że musieliśmy się poznać w takich okolicznościach. – Nie dbałym ruchem dotknął runda kasku, salutując na pożegnanie.

Temple potrząsnął lejcami, muły ruszyły z miejsca.

– Niech pan pamięta – zawołał Temple do von Bishopa – proszę mieć bacznie na maszynę. Pan za nią odpowiada.

Von Bishop znów się roześmiał i pomachał ręką. Na ten widok służba uśmiechnęła się uprzejmie i też pomachała na pożegnanie. Nie do wiary, pomyślał Temple, tak jakbyśmy żegnali się przed wyjazdem na wakacje.

Smith obejrzał się, na szczycie wzniesienia, skąd jeszcze widać było Smithville. Widział dym nad stosem bel z sizalem i wydawało mu się, że płonie przynajmniej połowa pól siemienia lnianego. Brygada askarysów wyrwała z ziemi blisko pięćdziesiąt metrów torów kolejki i ułożyła je w zgrabne stopy. Von Bishop prowadził sześciu żołnierzy pod górę do domu.

Temple poczuł się nagle zdeorientowany, ogarnęły go wątpliwości. Rzeczowe zachowanie von Bishopa, dżentelmeńskie zarekwirowanie Smithville, brak jakichkolwiek pogroźek – wszystko to właściwie nie zakrawało na przestępstwo.

– Zbrodniarze – powiedział na próbę, bardziej z poczucia obowiązku niż z oburzenia. Na jedno wychodziło. – Zbrodniarze! – powtórzył z większą zawziętością.

– Co takiego, kochanie? – spytała Matylda podnosząc wzrok znad książki.

Jeśli zamierza czytać przez całą drogę do Voi, powiedział sobie Temple, doprowadzi go do wściekłości. Potrząsnął ze złością lejcami i wóz potoczył się szybciej, przechylając na bok. *Ayah* wydała okrzyk trwogi i spadła na ziemię. Temple ściągnął cugle.

– Kiedy wracamy? – zawołał Glenway, podczas gdy szlochająca *ayah* wdrapywała się niezdarnie do dwukółki.

– Niedługo – odpowiedział mu z ponurą pewnością siebie. – Naprawdę niedługo.

*

Ze Smithville do Voi było ponad sześćdziesiąt kilometrów starym szlakiem karawanowym, który prowadził przez szczególnie jałowy, nieciekawy teren pokryty zaroślami. Rodzina Smithów posuwała się swą dwukółką wolno, lecz wytrwale, nie napotykając po drodze śladu Niemców. Temple'a uderzyła przez chwilę okrutna ironia losu – tego dnia zamierzał i tak udać się w podróż, tyle że z dwoma cennymi transportami sizalu, a nie z niefrasobliwie pogodną żoną i coraz bardziej nieposłusznymi dziećmi. Po raz pierwszy ogarnęła go wściekłość i poczucie beznadziejności, nie trwało to długo. Uczucia te odzwierciedlały nową sytuację, w jakiej się znalazł – był uchodźcą. Trakt jest zbyt wyboisty, wóz za bardzo podskakuje, żeby Matylda mogła czytać, stwierdził z samolubną przyjemnością. Ale jak zwykle wydawała się nieporuszona tym, co dzieje się

wokół i wachlując się książką, nie odrywała wzroku od odległych wzgórz i pasm górskich, od których dzielił ich teren porośnięty ciemnymi krzewami migocącymi i iskrzącymi się w lekkiej mgielce. Żeby zająć czymś dzieci, zaba-
wiała je nie kończącymi się gramami słownymi, które polegały na podawaniu co-
raz to nowych nazw artykułów spożywczych i warzyw; powtarzała je z dziećmi
aż do znudzenia, co doprowadziło Temple'a do wściekłości, tak że zakazał im
tej zabawy. Zatrzymali się raz na półtorej godziny w południe, żeby napić
muły i zjeść kanapki przygotowane przez Josepha. Temple obejrzał się na drogę
do Tavety, zmrużył oczy przed blaskiem słońca i ciekaw był, czy dojrzy dym
nad swymi polami.

Ściemniło się już prawie, kiedy dojechali do małej wioski Bura, oddalonej
około trzynastu kilometrów od Voi. Muły szły z wielkim trudem, dzieci i Ma-
tylda spały skulone na tylnym siedzeniu, a Temple kiwał się sennie trzymając
lejce.

– Stój! – usłyszał nagle okrzyk. – Kto tam? – i natychmiast rozległy się
nierówne salwy wystrzałów. Temple zobaczył błysk lufy, ale o ile mógł się
zorientować, żaden pocisk nie padł w pobliżu.

– Wysiadać! – ryknął na przestraszoną, wrzeszczącą rodzinę, a potem huk-
nął donośnym głosem: – Swoi! – w stronę, skąd padły strzały.

– Przerwać ogień! Przerwać ogień, cholerni głupcy! – doszedł go znany
głos.

Zbliżała się do nich rozkołysana latarnia, która rzucała światło na długie,
cienkie nogi wystające z trzepoczących na wietrze szortów oraz na nieprawdo-
podobnie czarne skarpetki i bardzo duże tenisówki.

– Pana amerykański akcent wydał mi się znajomy, Smith – powiedział
Wheech-Browning. – Przepraszam, moi ludzie trochę się pospieszyli. W gorącej
wodzie kąpani, tak się chyba mówi w pańskich rodzinnych stronach. Na pewno
dzieci najadły się strachu. – Podniósł wyżej latarnię. – Dobry wieczór pani.
Przepraszam za całe zamieszanie. Wheech-Browning, były mieszkaniec Tavety.
Ha-ha!

– Ty głupi... durny i d i o t o ! – zawrzał gniewem Temple. – Mogłeś nas
zabić.

– Uspokój się, bracie. Skąd mogliśmy wiedzieć, że to wy. Chwała Bogu,
nikomu nic się nie stało, to najważniejsze. – Uśmiechnął się nerwowo. – Wi-
dział pan przypadkiem jakichś Hunów?

– Tak – odparł Temple, zbyt wyczerpany, żeby robić dalsze wymówki. –
Dziś rano wyrzucili nas z farmy. Podpalili zbiory.

– Mój Boże, a to świnie – powiedział Wheech-Browning głosem zachry-
płym od nienawiści. Temple zastanawiał się, skąd w tym człowieku tyle wrogo-
ści. – Nie może pan powiedzieć, że nie uprzedzałem – dodał Wheech-Browning

z filuternym uśmiechem. – Pańskie szczęście, że nie wzięli pana do niewoli. Nie czekając na nic zakuliśmy starego Heubera w kajdanki na czas wojny. Zna go pan? Ten facet od kauczuku w Kibwezi. Był niezwykle wyprowadzony z równowagi. Czy jedzie pan do Voi? Mogę się z wami zabrać?

W drodze do Voi Wheech-Browning przedstawił mu swoją wersję ataku na Tavetę. Utrzymał, że nie został wezwany przez Niemców do złożenia broni i pewnego ranka okropnie zdziwił się ujrzawszy około trzystu ludzi maszerujących „bezczelnie” drogą. Pomyślał, że uchybiłoby to jego godności, gdyby opuścił miasto bez oddania jednego strzału, więc rozkazał swoim ludziom otworzyć ogień. Nikt na pewno nie został trafiony; zdumiał go niezwykle widok rozsypujących się niemieckich askarysów, którzy otworzyli ogień do słabej obrony. Wheech-Browning i jego ludzie nie marnowali czasu, od razu ruszyli do Voi. Szczęśliwie, zakończył Wheech-Browning – mimo gęstego ognia nie straciliśmy więcej niż jednego człowieka.

– Pech chciał, że był to mój tragarz – powiedział. – Dostał w krtań. Stałem tuż przy nim. Nie uwierzyłby pan, ile krwi wytrysnęło. Ociekałem nią cały. Ten biedak miał pieczę nad moimi osobistymi rzeczami. Wszystko musiałem zostawić w czasie odwrotu, każdy brał nogi za pas i uciekał z miasta, tak to było. Co tłumaczy – pokazał na swoje obuwie – „te niezwykle atrybuty władzy”.

Temple był zadowolony z eskorty Wheech-Browninga. Czuł, że to mu się należy, wziąwszy pod uwagę fakt, że z racji wojny angielsko-niemieckiej odebrano mu farmę i spalono zbiory. Wheech-Browning mógł ich doprowadzić na miejsce, rozumował, i dopilnować, żeby władze roztoczyły nad nimi właściwą opiekę.

Zdumiał się, kiedy po dotarciu do przedmieść Voi tamten zeskoczył z wozu i oświadczył, że musi zgłosić się do oficera dowodzącego z Królewskich Strzelców Afrykańskich.

– Hej! – zawołał Temple. – A co z nami?

– Co z w a m i, przyjacielu?

– Co mamy dalej robić?

– Na pana miejscu przenocowałbym na stacji pocztowej przy dworcu – poradził Wheech-Browning. – Całkiem przystępne ceny i cholernie dobre śniadania.

Następnego ranka, przed zjedzeniem „cholernie” dobrego śniadania, Temple udał się na poszukiwanie oficera KSA, żeby się dowiedzieć, czy armia brytyjska zamierza zorganizować transport rodziny Smithów do Nairobi.

Znalazł go na poczcie, która służyła czasowo za siedzibę sztabu.

– Człowieku – powiedział officer. – Nie da rady. – Nie zadał sobie trudu, żeby wyjąć fajkę z ust, w rezultacie słowa wypowiedane przez zaciśnięte zęby brzmiały w uszach Temple'a bardziej bezwzględnie.

– Ale ja jestem uchodźcą – zaprotestował Temple. – Jestem ofiarą... niemieckich zbrodni wojennych. W pańskich przepisach niewątpliwie musi być coś o opiece nad uchodźcami?

Mężczyzna wyjął fajkę z ust, wymierzył oślinionym ustnikiem w Temple'a i zamknął jedno oko, jakby celował.

– Ale, ale. Widzi pan, nie jestem taki pewien, czy pan jest uchodźcą. Według tego, co powiedział Reggie Wheech-Browning, ponad tydzień temu dostał pan polecenie opuszczenia farmy. Niestety, nie może pan oczekiwać, żebyśmy ponosili konsekwencje pańskiej – znów wsunął fajkę do ust – jak to określić? Pańskiej niesubordynacji.

Temple pomaszerował na stację pocztową i wściekły przeklinał całą armię brytyjską, a szczególnie „Reggiego” Wheech-Browninga. Wzrosło jego zdenerwowanie i miał teraz większe poczucie krzywdy, niż kiedy von Bishop niszczył na farmie w jego obecności dorobek całego życia. Na stacji dowiedział się, że pociąg z Mombasy do Nairobi, który stał przez całą noc w Voi, odjechał już przed pół godziną. Rodzina Smithów musiała zatem czekać do następnego ranka przed podjęciem dalszej podróży.

Gniew szybko osłabł, Temple upierał się jednak, żeby jego rodzinie wystawiono pokwitowania za wszystko, co musiała wydać na jedzenie i inne sprawy. Był zdecydowany przedstawić największy z możliwych rachunek z tytułu odszkodowań wojennych. Sprzedał wóz i dwa muły nieuczciwemu greckiemu kupcowi, który zapłacił haniebnie niską cenę. Temple wliczył tę deficytową transakcję do raptownie wzrastającej kolumny cyfr.

Chłopcy i Matylda wydawali się znacznie mniej wytrąceni z równowagi niż on. Stacja pocztowa była prowadzona sprawnie i – zgodnie z zapewnieniami Wheech-Browninga – korzystali ze zdrowych posiłków. Po południu Temple przestudiował plik niedawno otrzymanych z Anglii ilustrowanych czasopism i gazet. Wiadomości z Europy docierały z dwutygodniowym opóźnieniem, mówiono tylko o wypowiedzeniu wojny i o niemieckiej inwazji na Belgię. Rozmowy z innymi podróżnymi uzmysłowiły Temple'owi, co działo się w Afryce Wschodniej, podczas gdy on naiwnie zbierał i dekortykował sisal. Dar es-Salam zostało zbombardowane przez „Astraeę”, okręt należący do floty Jej Królewskiej Mości; Taveta została zajęta – z czego już dobrze zdawał sobie sprawę – wysłano rozkaz sprowadzenia do Afryki oddziałów wojskowych z Indii. Przypuszczano, że Indyjski Korpus Ekspedycyjny „C” jest już w drodze i oczekiwanego w początku września.

– Wkrótce będzie po wszystkim – powiedział mu w zaufaniu jego rozmówca. – Uderzą świetnie wyćwiczone oddziały indyjskie.

Po usłyszeniu tej wiadomości nastrój Temple'a znacznie się poprawił. Wrzesień, pomyślał. Ale nie śpieszmy się... powiedzmy, za dwa miesiące będzie po

wszystkim. Da mu to kilka tygodni przed porą deszczową na ułożenie nowych torów, a być może nawet na posadzenie drzew na pierwszym polu plantacji wanilii... Niewykluczone, że ten przymusowy pobyt w Nairobi przyniesie więcej korzyści niż przykrości. W wolnym czasie obejrzy różnorakie odmiany wanilii i może nawet spotka kogoś – ta myśl wydawała się pociągająca – kto mógłby powiedzieć mu coś więcej o dekortykatorach Kruppa.

ROZDZIAŁ DRUGI

20 SIERPNIA 1914 ROKU

NAIROBI, BRYTYJSKA AFRYKA WSCHODNIA

Temple wyjrzał przez okno pociągu zbliżającego się do Nairobi. W porównaniu z duchotą i upałem Voi chłodniejsze, suchsze powietrze równinne dawało mimo wczesnego popołudnia uczucie zimna.

Nairobi w 1914 roku przedstawiało dziwaczny widok. Położone na równinie, z łagodnie wznoszącymi się wzgórzami na północy i południu, przed dziesięciu laty stanowiło zaledwie skupisko namiotów i blaszanych baraków wokół prowizorycznego składu kolejowego. Teraz wśród sklepów skleconych z ocynkowanej blachy i drewna, stało tu wiele imponujących kamiennych domów; samochody podskakiwały na nie brukowanych ulicach, z których dwie – Government Road i Szósta Aleja – oświetlone były nocą elektrycznymi lampami. Przy wielu okazjach Nairobi do złudzenia przypominało Temple'owi małe amerykańskie miasteczka. Takie same parterowe, drewniane fasady sklepów z ręcznie malowanymi szyldami, takie same drewniane daszki nad chodnikami, z tym że zamiast słupów do przywiązywania koni ustawiono rzędy stojaków na rowery. Od stacji do centrum miasta prowadziła droga długości jednego kilometra o nawierzchni tłuczniowej, poza tym były już tylko polne drogi, w najlepszym razie utwardzone żwirem.

Kiedy pociąg wtoczył się na stację, Temple zdumiał się widząc niedawno wzniesiony z kamienia imponujący budynek. Wkrótce ujrzał charakterystyczną postać teścia, jego spadziste ramiona i łysą głowę; wielebnego Normana Espie z Ewangelickiej Misji Przyjaciół Afryki. Temple zatelegrafował poprzedniego dnia z Nairobi do oddalonej o szesnaście kilometrów misji i umówił się na spotkanie. Zamierzał odesłać Matyldę i dzieci do teściów, a sam pozostać w Nairobi i zobaczyć, co władze zamierzają zrobić w sprawie utraty jego mienia.

Tak więc z mniejszą niechęcią niż zwykle pozwolił teściowi zamknąć w

uścisku swą rękę i przez pełną minutę potrząsać nią energicznie. Wielebny Norman Espie był żyłastym, średniego wzrostu mężczyzną, który świetnie wyglądał mimo przekroczonej już dawno pięćdziesiątki. Niezwykle wąskie ramiona sprawiały jednak, że wydawał się bardzo słaby. Ręce przechodziły płynnie w szyję, przez co z tyłu jego sylwetka przypominała szachowego pionka; efekt potęgowała okrągła, łysa głowa. Temple odnosił wrażenie, że słabowity wygląd teścia stanowi swego rodzaju wyzwanie: miało się ochotę walnąć go w pierś, by udowodnić, że jego słabość nie robi na człowieku żadnego wrażenia.

– Synu mój, synu mój – mówił Espie – modliliśmy się za was. – Uwolnił rękę zięcia i osunął się na kolana – ku ogromnemu zakłopotaniu Temple'a. Przypuszczał, że teść odmówi na oczekaniu jakieś modły dziękczynne za ich ocalenie, w rzeczywistości jednak Espie klęknął, by móc łatwiej objąć i obsypać pocałunkami wnuki. W tej pokornej pozycji spojrzał na Matyldę, która właśnie wysiadła z pociągu. Espie dźwignął się na nogi i wołając: – Moje dziecko, moje dziecko – wziął ją w ramiona.

– No już dobrze, tato – powiedziała. Ojciec był jedyną osobą, która potrafiła wprawić ją w stan rozdrażnienia. – Nie przejmuj się tak, nic nam nie groziło.

– Barbarzyńcy! – wykrzyknął Espie. – Gdybyście wiedzieli, co zdarzyło się w Belgii. Pomyśleć, że w chrześcijańskiej Europie jest siedlisko takich...

– Czy możemy już jechać? – spytała Matylda rzeczowym tonem. – Mały jest bardzo zmęczony.

– Mały, mały – zaintonował Espie.

Temple ruszył na poszukiwanie bagażu.

*

Smith dopilnował, aby jego rodzina z łkającą żałością z jakiegoś powodu *ayah* załadowała się do samochodu teścia – właściwie pojazd ten należał do misji – i pomachał im ręką na pożegnanie. Potem wsiadł do rikszy i kazał się zawieźć do hotelu „Norfolk”.

Riksza oddalała się coraz bardziej od stacji pokonując długi odcinek Government Road. Temple zobaczył nowy kamienny budynek poczty, stojący samotnie na obszernym terenie porośniętym trawą, całkiem nie pasujący do otoczenia. Czerwona flaga powiewała z dachu na znak, że z Mombasy przybył pociąg i że poczta sortuje i wysyła listy do Entebbe w Ugandzie.

Kiedy dotarli do obszarów zabudowanych. Temple zaczął przyglądać się z zainteresowaniem zdumiewającej liczbie sklepów i składów, które mijali po drodze jadąc swobodnym kłusem. Była to duma Nairobi. Jak na położone na uboczu miasto był tu niewiarygodnie duży wybór towarów. W wielkich sklepach wielobranżowych, trafikach oferowali swe usługi taksydermiści, złotnicy, reklamowały się winiarnie, apteki, studia fotograficzne, modystki, krawcy sprzedający wyroby znanych firm angielskich. Przeszedł obok sklepu z galanterią

męską Cearna, chlubiącego się tym, że posiada „wszelkie przedmioty luksusowe i artykuły pierwszej potrzeby dla dżentelmena w koloniach”. Zobaczył reklamę firmy Burberry i Aertex, butów „K”, pomarańczowego dżemu Franka Coopera. Minął drewniany, pokryty falistą blachą dwupiętrowy budynek „Stanleya”, jednego z ośmiu hoteli w Nairobi. „Norfolk” znajdował się półtora kilometra dalej.

W tym punkcie miasta ruch uliczny płynął wartkim strumieniem samochodów, niezliczonych riks, rowerów, wozów zaprzężonych w woły i dwukółek. Od miesiący Temple nie był w Nairobi, tłok i zgiełk wprawiały go w lekkie podniecenie: czuł się jak wieśniak w wielkim mieście. Ruch uliczny wzbijał z wysuszonej, gliniastej drogi tumany kurzu osiadające na postrzępionych gałęziach małych sosen tropikalnych, które rosły po obu stronach ulicy nadając jej pretensjonalny wygląd alei.

„Norfolk” zaliczano do najlepszych hoteli w mieście. Okazał się prostym, jednopiętrowym budynkiem z kamienia, z blaszanym dachem i obszerną werandą ciągnącą się przez całą długość hotelu od strony Government Road. Był bez porównania mniejszy od wspaniałego, wielkiego „Kaiserhofu” w Dar, ale miał światło elektryczne oraz gorącą i zimną wodę bieżącą. Stanowił centrum życia towarzyskiego.

Choć wizyty w Nairobi ekscytowały Temple'a, bardzo szybko zaczynało go jednak denerwować samo miasto. Tak jak strzępiaste, wrzecionowate drzewa rosnące przy Government Road klóciły się z charakterem Nairobi, podobnie świeżo zdobyta sława międzynarodowej stolicy safari przydała mu złudnego blasku wielkiego i nowoczesnego miasta, co nie miało nic wspólnego z rzeczywistością. A obecność Brytyjczyków czyniła te pozory wielkomiejskości niemal nie do zniesienia. Znajdował się tu Klub Konny organizujący wyścigi. Były stadiony, rozgrywano mecze w polo, urządzano łowy Maseru, funkcjonował klub golfowy, loża masońska... cała oprawa w stylu angielskiego prowincjonalnego miasta. Ileż to razy Temple przysłuchiwał się dyskusjom nad tym, kto zwycięży w zawodach o puchar gubernatora, o krzyżowce psów myśliwskich wanderobo z wyżłami, czy kucyki somalijskie są lepsze od abisyńskich; czy nie nadszedł czas, by na zawodach hippicznych zaczęły obowiązywać oficjalne stroje. Potrząsnął głową w ponurym zdumieniu nad rażącymi sprzecznościami, które spotykał na każdym kroku. Olbrzymia, imitująca styl Tudorów siedziba władz, z witrażami i ryglowym górnym piętrem; panie w sztywnych słomkowych kapeluszach z płaskim denkiem i w długich białych sukniach, wyjeżdżające samochodami na odludne tereny golfowe, gdzie w powietrzu aż czarno od chmar brzęczących much; piskliwe okrzyki „tally-ho” podczas łowów Maseru zachęcające psy do gonitwy za jakąś nieszczęśliwą hieną, a przede wszystkim snobistyczne hierarchie społeczne, których symbolem stały się „Nairobi Club”

na wzgórzach, dla wyższych urzędników rządowych, i „Parklands Club” na równinie w Parklands dla niższych urzędników. Dla Amerykanina i człowieka, który bądź co bądź niedawno dorobił się pieniędzy, oznaczało to, że znajduje się poza tą społecznością i rzecz jasna nie ma dostępu do tego zamkniętego grona stosującego sztywne kryteria towarzyskie. Nie miał o to najmniejszej pretensji.

*

Temple zajął pokój w hotelu „Norfolk”, wykąpał się i przespał kilka godzin. Później, wieczorem, odświeżony, poszedł do hotelowego baru. Ku swemu zdumieniu stwierdził, że pełno w nim mężczyzn – tłumy wylęgały na werandę, a nawet zapełniły schody wychodzące na Government Road. Wszyscy ponadto ubrani byli jak na safari. Wielu nosiło bandolierzy z ładunkami, strzelby i dubeltówki stały w kątach bądź też oparte były o krzesła.

Temple rozpoznał grupę znajomych Amerykanów: Warda z afrykańsko-amerykańskiej firmy w Voi, Paula Raineya, milionera, zapalonego łowcę na grubego zwierza, i innych, których znał z Amerykańskiej Misji Handlowej. Mimo że bar był przepelniony i prawie każdy popijał na potęgę, panował tu nastrój nudy i rozdrażnienia. Temple dołączył do nich i kazał podać whisky z wodą sodową. Widok nowej twarzy wyrwał ich z apatii i wkrótce zaczęli okazać mu ogromne współczucie z powodu utraty farmy.

Wyrażali także ogromne zainteresowanie. W chwili wybuchu wojny wszyscy ci mężczyźni przybyli do Nairobi, żeby dobrowolnie zgłosić się do obrony kraju i wzmocnić znajdujące się w opresji bataliony KSA. Temple'a otaczał nimb sławy dlatego, że padł ofiarą *Furor Teutonicus*; pod wpływem namów wielokrotnie musiał zdawać relację z zajęcia farmy i heroicznego oporu Wheech-Browninga w Tavecie. Jednogłośnie przyznano, że niefortunny tragarz Wheech-Browninga był pierwszą śmiertelną ofiarą wojny, która – wyrażano nadzieję – potrwa na tyle długo, żeby każdy miał okazję „porachować kości” Szwabom.

Zachęcano Temple'a, aby wstąpił do jednej z dwóch ochotniczych jednostek uformowanych naprędce w celu obrony Brytyjskiej Afryki Wschodniej. Mógł wybrać pomiędzy bardziej prozaicznymi Siłami Obronnymi Nairobi a Wschodnioafrykańskimi Strzelcami Konnymi – jednostką kawaleryjską i arystokratyczną, od której uczestników wymagano posiadania własnego wierzchowca lub kucyka. Tego szczególnego wyposażenia domagali się głównie Amerykanie. Tłum zebrany w hotelu składał się z przedstawicieli różnych narodowości, wśród nich znajdowali się nawet Burowie, Szwedzi, trzech Włochów. Tego wieczoru w gronie ochotników zgromadzonych przy barze był muzyk, kilku właścicieli piwiarni, szkocki latarnik i były klaun.

Temple nie zgłosił swojego udziału, nie chciał bowiem dać się wciągnąć do walki, nie protestował jednak, gdy namawiano go, stawiając jednocześnie drinki.

W rzeczywistości minął początkowy entuzjazm i zapął do wojaczki. Regularne wojsko, jak dotąd, nie potrzebowało oddziałów ochotniczych i nakłaniano ich do powrotu do codziennych zajęć na farmach. Tego wieczoru w hotelu „Norfolk” zebrała się grupa nieustraszonych, jednak stopniowo tracili ducha walki próbując w Nairobi od dwóch tygodni; nie ulegało wątpliwości, że nie doczekają się przydziału. Ich zapął całkowicie zgasła przygnębiająca wiadomość o wyruszeniu Indyjskiego Korpusu Ekspedycyjnego „C”.

Jeżeli chodzi o Temple'a, spędził kilka najbliższych dni na bezowocnej próbie znalezienia kogoś, kto by uznał jego roszczenia. Przekonał się niebawem, że jest jedynym poszkodowanym w Brytyjskiej Afryce Wschodniej, którego ziemię najechano i zagrabiono. Starał się o widzenie z gubernatorem kolonii, kapryśnym głównodowodzącym sił zbrojnych, dotarł jednak zaledwie do hallu siedziby sztabu, gdzie grzecznie, ale stanowczo został odprawiony – polecono mu zgłosić się do Urzędu Ziemskiego. Tam poinformowano go, że to sprawa wojskowa, a nie cywilna i że wszelkie pretensje powinien kierować do dowódcy KSA.

- A gdzie go znajdę? – spytał Temple.
- Gdzieś w Ugandzie.

W kwestii odszkodowania będzie musiał poczekać do zakończenia wojny, tymczasem jednak może przedłożyć żądania u Archiwisty Dokumentów Urzędowych, pana Pailthorpe'a. Pan Pailthorpe powiedział z kolei, że nie otrzymał absolutnie żadnych oficjalnych instrukcji co do odszkodowań („Na miłość boską, człowieku, wojna trwa dopiero od dwóch tygodni!”) i podsunął Temple'owi myśl, aby udał się po radę do prokuratora generalnego. Dopóki pan Pailthorpe nie otrzyma oficjalnego pisma z biura prokuratora, niczego nie można zrobić.

Temple postanowił na jakiś czas odłożyć sprawę odszkodowania. Wszystkie urzędy, które odwiedził, mieściły się w rzędzie przylegających do siebie baraków z falistej blachy. Przez ostatnie trzy dni odsyłano go od jednego urzędu do drugiego – nie miał chęci przeczekać wojny w kolejnych dusznych poczekalniach. Planował odwiedzić biuro towarzystwa ubezpieczeniowego, żeby się dowiedzieć, czy mógłby otrzymać tymczasem ekwiwalent za spalony sisal, za tłące się pola siemienia Inianego i wykopane tory kolejki.

Afrykańskie Towarzystwo Ubezpieczeń i Odszkodowań, gdzie był ubezpieczony, zajmowało małe biuro nad masarnią przy Szóstej Alei. Temple przeciśniętą się obok szkieletów kilku owiec i antylop i wszedł do ciemnego pomieszczenia. Zaduch, ściszony szmer sytych much i nieznośny smród rozkładających się odpadków wywołał u niego nudności, ślina napłynęła mu do ust. Z trudem chwycił oddech – wciągając w płuca stęchłe, choć mniej smrodliwe powietrze na pierwszym piętrze – kiedy urzędnik. Hindus, wprowadził go do biura Gula-ma Hoosama Essanjee, Esq., szefa Afrykańskiego Towarzystwa Ubezpieczeń i Odszkodowań.

Przy jedynym oknie stał pan Essanjee i spoglądał na ruch uliczny przy Szóstej Alei. Był to elegancki Hindus o obfitych kształtach, mniej więcej rówieśnik Temple'a, z czarnymi naoliwionymi włosami i najrówniejszym, najdokładniej zaczesanym przedziałkiem, jaki Temple kiedykolwiek widział. Miał na sobie gumowy kołnierzyk, krawat i lniany garnitur. Pot spływał obficie po jego twarzy, którą zdobił bardzo cienki, starannie przystrzyżony wąsik. W pokoju panował niesamowity upał i nieprzeniknione ciemności. Było tak ciemno, że Essanjee trzymał na zupełnie pustym biurku zapaloną, syczącą cicho latarnię sztorową. Ciemności tłumaczył fakt, że drugie okno w pokoju było szczelnie zasłonięte grubą, ręcznie tkaną matą. Ściekała z niej woda na rozłożony na podłodze nasiąknięty egzemplarz „East African Standard”.

Temple opadł ciężko na krzesło, nadal odczuwał mdłości po przejściu obok tej zwierzęcej kostnicy na dole.

– Czy nie można odsunąć zasłon? – spytał słabym głosem. Zaduch działał nań gorzej niż atmosfera urzędów państwowych.

– To nie zasłona, szanowny panie. Panie...?

– Smith.

– Panie Smith, to, jak mówiłem, nie jest zasłona.

Essanjee zamasztył krokiem podszedł do maty i uniósł dolny skraj, żeby pokazać na krawędzi otwartego okna coś, co dla Temple'a wyglądało jak miniaturowa kopia łopatkowego koła na parowcu kursującym po Missisipi.

Essanjee opuścił matę.

– Przyrząd do chłodzenia powietrza. Powszechnie używany w moim kraju. Wiatr wprawia w ruch koło, a ono obracając się zwiększa pęd powietrza na matę, która jak pan zauważył, została namoczona w zimnej wodzie – *ergo* chłodny, wilgotny podmuch dostaje się do nieznośnie suchego i gorącego pokoju. Niezawodne. – Pan Essanjee wytarł wilgotne ręce o płócienną marynarkę. – Przyrząd do chłodzenia powietrza pomysłu Essanjee.

To moja usprawniona wersja. Czekam na opatentowanie. – Uśmiechnął się szeroko do Temple'a – Przyrząd do chłodzenia powietrza „S.&G.” – Nakreślił palcem w powietrzu „S” i „G”. – Rozumie pan? Nazywam się Gulam Hoosan Essanjee. Mój przyrząd oznaczyłem literami S i G...

– Tak, tak – potwierdził Temple czując, że robi mu się słabo. – Rozumiem.

– Mój brat prowadzi filię w Mombasie. Jeśli to pana interesuje?

– A co się dzieje, jeśli nie ma wiatru do obracania łopatek koła? Tak jak dzisiaj.

– No tak. Z przykrością muszę stwierdzić, że podmuch wiatru jest tu nieodzowny. Moim zdaniem, ociekająca woda z maty sama w sobie daje wrażenie chłodu. Nieprawda? – Usiadł przy pustym biurku. – A więc, szanowny panie Smith, czym mogę panu służyć?

Temple wyjaśniał okoliczności utraty farmy, gdy tymczasem Essanjee siedział i kiwał wypomadowaną głową. Smith przedstawił także oświadczenie złożone przez von Bishopa i powiedział, że żąda odszkodowania z tytułu utraty rozmaitych dóbr. Essanjee podszedł do drewnianej szafki z kartoteką i wyciągnął kopię polisy. Mruczał coś pod nosem, po czym chrząknął, stukając palcami o biurko.

– Tak – stwierdził. – Wydaje się, że nie ma problemu. Uznamy to za kradzież mienia.

Temple nie mógł uwierzyć własnym uszom.

– Och. No cóż, to wspaniale.

– „Klient nasz pan.” Czy nie tak się mówi w pańskim kraju? Widzę na polisie, że jest pan obywatelem Stanów Zjednoczonych.

– A jakże, jestem. – Temple poczuł irracjonalną sympatię do tego pulchnego człowieka.

– Dokonamy zwrotu pieniędzy, jak tylko otrzymamy protokół naszego rzeczoznawcy ubezpieczeniowego.

– Aha – powiedział Temple. – Protokół rzeczoznawcy. – Poglądził wąsy.

– Oczywiście – odparł Essanjee i też dotknął wąsa małymi palcami obu rąk. – Zwykła procedura. Nie chodzi o to, że panu nie ufamy, panie Smith. Nie może pan jednak oczekiwać, żebyśmy wierzyli na słowo – wyciągnął oświadczenie von Bishopa – naszemu zaprzysiężonemu wrogowi.

– Chyba ma pan rację – przyznał Temple. – Moja farma jest okupowana przez wroga. Znajduje się, jakby pan powiedział, po stronie nieprzyjaciela.

– Niestety – Essanjee rozpostarł wilgotne dłonie. – Wojna. Przysparza tyle nie kończących się subiekcji.

Temple wpadł na zwariowany pomysł.

– Chciałem powiedzieć, że wydaje mi się, iż jest zajęta przez nieprzyjaciela. Von Bishop mógł wziąć, co chciał i odejść. Przypuśćmy, że wróg się wycofał. Czy pański rzeczoznawca byłby gotów pojechać tam ze mną? A przy okazji, kto to jest?

Essanjee pochylił głowę.

– Ja we własnej osobie. W tej chwili brak nam personelu. Na całym świecie to samo, rozumie pan.

– Pojedzie pan ze mną? – spytał Temple.

– Oczywiście – odparł uprzejmie Essanjee. – Dewizą Afrykańskiego Towarzystwa Ubezpieczeń i Odszkodowań jest: „Klient nasz pan.”

ROZDZIAŁ TRZECI

30 SIERPNI 1914 ROKU
VOI. BRYTYJSKA AFRYKA WSCHODNIA

– Czy nie sądzi pan, że to za daleka podróż? – spytał dwa dni później Wheech-Browning. Siedział w zniszczonym trzcinowym fotelu przed namiotem w Voi. Przy najmniejszym jego ruchu fotel wydawał obrzydliwy piszczący odgłos. – Przecież, na Boga, trwają działania wojenne. Nie może pan po prostu przejść się spacerkiem do Heinricha Szkopa i powiedzieć: „Posłuchaj, przyjacielu, może dałoby się wstrzymać ogień, a my w tym czasie oszacowalibyśmy wysokość szkód?”

– W innych okolicznościach – odparł Temple cierpliwie – zgodziłbym się z panem. – Przerwał, a wtedy Wheech-Browning zmienił pozycję ciała, czemu towarzyszyło skrzywienie fotela. – Ale ja znam von Bishopa. Właściwie był moim najbliższym sąsiadem. To także Anglik.

– Były Anglik – poprawił z zawziętością Wheech-Browning. – Cholerny zdrajca.

– To farmer. Jestem pewien, że zrozumie. Jeśli, oczywiście, jeszcze tam przebywa. Bo, o ile mi wiadomo, mogli już opuścić farmę. W końcu pan Essan-
jee i ja nie jesteśmy żołnierzami. Nie zabawimy tam długo. Pan Essan-
jee powiada, że to tylko formalność.

– Właśnie – przyznał Essanjee. – Zwykła formalność. – Stał tuż za Temple'em w nieskazitelnie czystym białym drelichowym ubraniu, na głowie miał kask tropikalny w tym samym kolorze.

– No cóż, sam nie wiem – odparł Wheech-Browning i podniósł się z fotela. – Czeka nas z nimi walka na noże... Zwróćcie panowie uwagę, że na tym terenie nie oddano ani jednego strzału od czasu, jak mój stary tragarz dostał w szyję. – Przerwał, przechylił głowę na bok i uśmiechnął się. – Dostał w szyję. I to porządnie. – Wheech-Browning chodził niespokojnie przed namiotem. – Coś panu

powiem – rzekł wreszcie. – Mamy ochotników z motocyklami: Wschodnioafrykański Korpus Zmechanizowany. Co jakiś czas biorę motocykl i jadę drogą do Tavety. W celach zwiadowczych. – Wheech-Browning został przeniesiony do batalionu KSA jako oficer wywiadu. – Jeśli wybierzemy się we trzech, mogą panów wysadzić kilka kilometrów dalej. Moglibyście nawet trochę zbadać teren.

- Oczywiście – powiedział Temple.
- Kapitalna myśl – powtórzył za nim Essanjee. – Kapitalna.
- Zgoda – odparł Wheech-Browning. – A więc jutro z samego rana.

*

Wheech-Browning prowadził motocykl „Clyno” o mocy 6 koni, z koszem. Temple jechał na tylnym siodełku, a Essanjee z karabinem Wheech-Browninga – w koszu. Wszyscy trzej byli w okularach ochronnych. Nastawał świt, powietrze było chłodne. Essanjee owinał szyję jedwabnym szalikiem. W błękitnawym świetle jego biały garnitur połyskiwał niesamowitym blaskiem. Zatrzymali się w Bura przed liniami KSA, gdzie Wheech-Browning poinformował drzemiącą wartę o celu podróży. Potem ruszyli wyboistym szlakiem karawanowym, jadąc z szybkością dwudziestu pięciu kilometrów na godzinę przez płaski, pustynny teren porośnięty, krzakami, który oddzielał ich od Tavety. Wkrótce wschodzące słońce roziskrzyło zaśnieżony szczyt Kilimandżaro, odcinający się wyraźnie od leżących w cieniu masywów górskich. Przerwywając ciszę słabym prychnieniem silnika jechali przez równinę pod jasną kopułą nieba w kierunku pięknej góry i obserwowali, jak słońce posuwa się powoli w dół jej zbocza.

- Wspaniały widok – krzyknął Wheech-Browning.

Po pół godzinie musieli się zatrzymać, bo Essanjee dostał torsji. Oświadczył, że trzęsienie kosza jest okropnie nieprzyjemne. Wheech-Browning i Temple czekali cierpliwie, ogrzani teraz ciepłem słońca sunącego coraz wyżej po niebie, gdy tymczasem kilka metrów od drogi Essanjee wymiotował plując jak najdalej, by nie zabrudzić nieskazitelnie czystego garnituru. On i Temple zamienili się miejscami, co zdawało się rozwiązywać problem. Wheech-Browning stwierdził, że obciążenie kosza potężnym ciałem Temple'a znacznie zmniejszyło szybkość motocykla.

Zatrzymali się po kilku godzinach, Wheech-Browning zajrzał do mapy i starał się określić miejsce ich postoju. Temple spoglądał mu przez ramię. Poza oznaczonym kropkowaną linią szlakiem karawanowym, na białym skrawku mapy nie było żadnych znaków. Wheech-Browning sprawiał wrażenie, że przygląda się badawczo okolicy w celu znalezienia jakichś punktów orientacyjnych.

- Nie jest to najdokładniejsza mapa – powiedział z nerwowym śmiechem.

Temple przypomniał, że drogą Voi-Taveta podróżuje od czterech lat i jego zdaniem są około ośmiu kilometrów od mostu na rzece Lumi. Jakieś półtora

kilometra przed nimi wznosiła się stumetrowa Salaita, górująca nad płaskim terenem porośniętym krzakami. Zanim dotrą do wzgórza, powinni przeciąć nierówną drogę, która prowadzi do Smithville i do jeziora Džipe.

– Dobrze – powiedział Wheech-Browning, pociągając z butelki parę łyków wody. – Jedźmy dalej. – Poczęstował Essanjee'ego, ten jednak grzecznie odmówił. – Widzicie – odezwał się znów Wheech-Browning. Jest tak, jak wam mówiłem, nie ma ani jednego Szwaba. Prawdopodobnie nie zastaniecie nikogo na farmie.

– Jeśli tknęli mój dekortykator... – zaczął Temple, mrużąc groźnie oczy.

– Niech pan będzie spokojny – powiedział Essanjee. – Jest pan ubezpieczony w Afrykańskim Towarzystwie Ubezpieczeń i Odszkodowań. Nie ma obawy.

Zbliżyli się do drogi, która prowadziła do Smithville. Przed sobą mieli Salaitę, za którą dostrzegli ciemniejszą linię drzew znaczących bieg rzeki Lumi. Temple przeniósł wzrok w lewo i zobaczył pasmo niewysokich wzgórz, otaczających Smithville.

– Głowę daję, że w tych drzewach kryją się Hunowie – powiedział Wheech-Browning. – Chyba nie pojedę dalej, jeśli to panom nie robi różnicy. Daleko stąd do pańskiego domu?

– Około sześciu kilometrów. Potrzebujemy dwóch godzin na dojazd, pobieżne obejrzenie farmy i powrót. Nie potrwa to długo.

– Proszę się mną nie krępować. Widzi pan tamtą odkrywkę skalną? Przejdę się do niej z lornetką. – Wskazał na odległe o pięćset metrów zwałisko głazów. Zobaczę, co robią Teutoni.

Temple i Essanjee spojrzeli we wskazanym kierunku. Temple zobaczył skały nagrzane w porannym słońcu.

Wtem nagle zdawało im się, że wylatują w powietrze w kłębach gęstego czarnego dymu. W chwilę później rozległ się głośny huk wystrzałów. Mieli wrażenie, że jakieś niewidzialne ręce wyciągają się i potrząsają kolczastymi zaroślami.

– Cholera jasna! – wykrzyknął Wheech-Browning. – Przekłęci Niemcy! Bez żadnego ostrzeżenia.

– Och, cholerny świat – powiedział Essanjee i runął na ziemię. Z przerażeniem spojrzął na swoje udo. Na wykrochmalonym białym drelichu pojawiła się połyskliwa czerwona plama.

– O, kurwa! – wykrzyknął Temple.

– Uf – westchnął Essanjee i upadł na plecy.

Wheech-Browning i Temple podbiegli i uklękli u jego boku. Następną plamą zabarwiła marynarkę na wysokości piersi.

– Boże Świąty! – rzekł Wheech-Browning podnosząc rękę do ust. Ustał terkot strzelaniny.

– Wynośmy się stąd – zarządził Temple.

Wskoczyli na motocykl, Wheech-Browning próbował włączyć rozrusznik, ale wałnął kostką w pedał.

– Cholera jasna! – lamentował ze łzami w oczach. – Koniec z nami! – Z twarzą wykrzywioną bólem raz jeszcze włączył rozrusznik i silnik zapalił.

Temple obejrzał się za siebie. Zobaczył małe postacie niezdarnie schodzące po zwalisku skał i biegnące w ich stronę.

– Niech pan zaczeka! – zawołał. – Wsadźmy Essanjee'ego.

– Zgoda! Ale szybko!

Przyciągnęli Essanjee'ego do kosza i wepchnęli głową do środka, z nogami zwisającymi z boku. Potem wskoczyli na motocykl i przy wściekłych obrotach tylnego koła, ruszyli z, warkotem drogą do Voi.

Zatrzymali się kilka kilometrów dalej w bezpiecznej odległości. Upewnili się, że Essanjee taktycznie nie żyje. Jego spodnie i marynarka ociekały krwią, stanowiąc silny kontrast z plamami jaśniejszej bieli. Ułożyli ciało w godniejszej pozycji: wyglądał jak osoba, która drzemie z głową odrzuconą do tyłu.

– Cholernie dobrze strzelają – zauważył Wheech-Browning, wtykając swój karabin między pulchne kolana Essanjee'ego. – Jak na agenta ubezpieczeniowego, dzielny facet. – Czy mógłby pan powtórzyć nazwę tego towarzystwa'?

– Afrykańskie Towarzystwo Ubezpieczeń i Odszkodowań.

– Muszę zapamiętać.

Temple zastanawiał się, kto teraz zajmie się jego roszczeniami. Ile czasu zabierze mu znalezienie kogoś, kto zastąpi Essanjee'ego? I czy będzie to ktoś równie odpowiedzialny? Usłyszał, że Wheech-Browning coś mówi.

– Co takiego? – spytał.

– Moim zdaniem, będzie się pan mógł dostać na farmę jedynie wstępując do wojska.

Temple szarpnął wąsa.

– Wie pan – powiedział z rezygnacją. – Chyba ma pan rację.

ROZDZIAŁ CZWARTY

26 PAŹDZIERNIKA 1914
S/S „HOMAYUN”, OCEAN INDYJSKI

Gabriel Cobb stał w plamie cienia na pokładzie oficerskim s/s „Homayuna”. Żar lejący się z wybielałego nieba palił żywym ogniem lekko rozkołysane morze. W powietrzu unosił się dym z dwóch kominów „Homayuna” pozostawiając za okrętem smugę – czarny zygzakowaty zapis znaczący powolną, z szybkością ośmiu węzłów, podróż z Indii do Afryki.

Blisko godzinę Gabriel stał w tej samej pozycji, urzeczony pienistą smugą kilwatera. Popadł w całkowity bezwład, ogarnęła go przygnębiająca nuda, którą wiało z każdego kąta okrętu, jeśli nie z całego czternastookrętowego konwoju Indyjskiego Korpusu Ekspedycyjnego „B” (Korpus „C” przybył miesiąc wcześniej), składającego się z ośmuset ludzi gotowych do inwazji na Niemiecką Afrykę Wschodnią.

Oparł się plecami o grodz i odetchnął; poczuł, że koszula, mokra od potu, przylega mu do pleców. Miał szczęście, że ta część pokładu była pusta. Każdy skrawek cienia zajmowali leżący pokotem żołnierze z determinacją uciekający od potwornie dusznych maleńkich kajut. Tylko Bóg jeden wie, pomyślał Gabriel, jak się czują szeregowi indyjscy żołnierze, a także służby pomocnicze pułku, zakwaterowani pod pokładami i śpiący w hamakach, które dzieliła od siebie odległość zaledwie pół metra. Zdjął kask tropikalny i zaczął się nim wachlować. Tylko Bóg wie, jak czują się palacze wrzucający łopatami węgiel do palenisk w kotłowni okrętu. Starał się nie tracić humoru. W końcu jest w lepszej sytuacji niż palacze i nieszczęśni, słabo wyćwiczeni żołnierze, których miał poprowadzić do walki.

Gabriel usiadł na pokładzie i wyciągnął nogi. Była to mała pociecha. Nigdy nie przypuszczał, że życie zgotuje mu taką serię okrutnych zawodów. Miał skromne ambicje. Życzył sobie tylko walczyć we Francji we własnym pułku, ale nawet to nie było mu dane. Starał się nie myśleć. W takim upale męczyło go

uciążliwe machanie kaskiem. Głowa opadła mu na bok. Wszędzie dokoła widział okręty. Trampy, odnowione liniowce, transportowce. Zobaczył pancernik H.M.S. „Goliath”, z którego czterech kominów unosiły się kłęby gęstego dymu, widocznie wykonywał jakiś manewr. Wzbudzał sobą tylko cień zainteresowania. Słyszeli, że niemiecki niszczyciel „Emden” krąży po Oceanie Indyjskim. Tak samo krążownik „Königsberg”, niedawno w pełnej paradzie w Dar es-Salam, teraz przypuszczalnie kursuje po morzu w poszukiwaniu łupu. Tak naprawdę było mu wszystko jedno; każda rzecz byłaby milsza od nużącej monotonii, jaka mu towarzyszyła przez ostatnie cztery tygodnie. Widział, jak pancernik wolno obraca się w lewo i zmierza z powrotem w kierunku Indii. Odpada jeszcze jeden maruder, pomyślał Gabriel.

Była już połowa października. Wojna trwała blisko trzy miesiące, z których co najmniej dwa, pomyślał z goryczą, spędził już na pokładzie okrętu. Można by pomyśleć, że służy we flocie.

*

Gabriel i Charis skrócili miesiąc miodowy i wrócili do kraju trzydziestego lipca. Gabriel zgłosił się od razu do Londynu po instrukcje, ale go odprawiono, bo nikt nic nie wiedział. Potem śledząc przygotowania do wojny spędzili bez wygód kilka dni w Stackpole – nikt nie oczekiwał ich powrotu, dom nie był przygotowany, a Cyryl malował jeszcze ściany w sypialni. Byli z Charis nieszczęśliwi. Charis zachowywała się oziębło i z rezerwą. Codziennie przypominała mu z wyrzutem, że mogliby właśnie zażywać spacerów w Trouville. Codziennie, czyli do czwartego sierpnia, do chwili wypowiedzenia wojny, kiedy to okazało się, że decyzja Gabriela o wcześniejszym powrocie była słuszna. Wieczorem czwartego sierpnia mogli wprowadzić się do domku i jakby za dotknięciem czarodziejskiej różdżki powróciło szczęście i uczucie bliskości, jakich zaznali w Trouville. Spokój ich mąciła tylko świadomość, że Gabriel wkrótce będzie musiał odjechać. Codziennie przykładowo telefonował do Londynu i gorliwie oczekiwał rozkazów. Szóstego kazano mu zgłosić się do Southampton i zaokrętować na s/s „Dongolę”, liniowiec P&O*, który miał odpłynąć do macierzystego pułku Gabriela w Indiach.

* Peninsular and Oriental Steamship Company.

„Dongola” wypłynęła z Southampton trzynastego sierpnia, pełna oficerów wracających do swych pułków w Egipcie i Indiach. Sammy Hinshelwood i kilku innych oficerów z Pułku Zachodnich Kentyjczyków, którzy przebywali na urlopiach, także znaleźli się na pokładzie, więc pierwsze dni podróży minęły na gorączkowych domysłach, jak długo może potrwać wojna i jaką rolę odegrają w niej Zachodni Kentyjczycy. Zakładano, że wojna się przeciągnie. W miarę jak „Dongola” pokonywała wolno Morze Śródziemne, wszystkich zaczęła ogarniać

nuda. Główną rozrywkę stanowiły trwające godzinami rozgrywki brydżowe, z zapisem międzynarodowym, które zaczynały się przy śniadaniu, a kończyły późną nocą.

Co pewien czas przypadkowe depesze radiowe przynosiły strzępy wiadomości o przebiegu wojny w Europie: pochód Niemców przez Belgię, upadek Liege, fatalny atak Francuzów w Lotaryngii, bitwa pod Mons. Niepowodzenia wojenne napępiały goryczą ich serca. Poczty nie było dla nich ani w Gibraltarze, gdzie nie pozwolono nawet opuścić okrętu, ani w Port Saidzie. Kiedy zbliżali się do Port Saidu, nastąpiła dostrzegalna zmiana pogody, zrobiło się upalniej. Nad pokładem, w każdym dostępnym miejscu, rozciągnięto brezentowe daszki od słońca i większa część oficerów porzuciła zatłoczone kajuty, żeby spać pod gołym niebem. Gabriel miał na szczęście korkowy materac i mógł spędzać noce wygodnie. Inni musieli się zadowolić kocami albo w najlepszym razie leżakami. Porządek dnia został tylko raz zakłócony, kiedy to szczepiono wszystkich przeciwko ospie i żółtej febrze. Wysoka gorączka powaliła Gabriela na dwa dni.

„Dongola” potrzebowała tygodnia na przepłynięcie Morza Czerwonego. Termometr wskazywał aż 46° (60° w kotłowni), w nocy dla ochłody wszyscy chodzili kompletnie nacy.

– Dobrze, że na pokładzie nie ma pań – pewnego wieczoru powiedział Gabriel do Sammy'ego Hinshelwooda, kiedy idąc ostrożnie wśród nagich ciał zmiierzali w kierunku materacy.

– Przeciwnie – roześmiał się Hinshelwood – wielka szkoda.

Tej nocy, kiedy leżeli obok siebie, Hinshelwood dużo mówił o seksie. O dziewczynie, którą znał, o kokocie poderwanej w teatrze „Adelphi”. Gabriel leżał pełen niepokoju i zażenowania. Hinshelwood rzucił kilka grubych dowcipów na temat przerwane go miesiąca i określił Charis jako „naprawdę czarującą dziewczynę”. Gabriel nie podjął tematu, ale przytłumiona rozmowa o kobietach podnieciła go i musiał przewrócić się na brzuch, żeby ukryć erekcję.

Na Morzu Czerwonym zmarł na udar jeden ze stewardów. Gabriel wziął udział w skromnej uroczystości pogrzebowej, a potem obserwował, jak obciążone balastem ciało zsuwa się do wody z żalobnym pluskiem. Przekonał się, że temat śmierci wprawia go w ogromne przygnębienie. Stwierdził, że myślami krąży bez ustanku wokół armii w Europie i przyszłej walki. Pewnego wieczoru ktoś powiedział, że jedna czwarta żołnierzy niechybnie zginie w tej wojnie. Co czwarty może zatem zostać zabity, pomyślał Gabriel. Co dziwniejsze, po takim dokładnym obliczeniu myśli o wojnie jeszcze bardziej go podniecała.

Po Morzu Czerwonym Ocean Indyjski wydał się chłodniejszy. Niemniej „Dongola” trafiła na koniec pory monsunowej i przez resztę drogi do Bombaju

rozstukane fale „kołysały i miały okrętem. Wszystkich na pokładzie powaliła choroba morska. Często około dwustu ludzi stało przechylonych przez reling od strony zawietrznej i wymiotowało do morza. Na burtach „Dongoli” pozostały smugi i zaschłe ślady rzygowin, a w każdym korytarzu i zejściu pod pokład unosił się lekki, kwaśny zaduch.

Po dwudziestu sześciu dniach podróży przybyli do Bombaju. Gabriel i Hinshelwood otrzymali rozkaz zgłoszenia się bezpośrednio do pułku w Rawalpindi.

– Niech skonam, jeśli po miesiącu na tym przeklętym okręcie wsiądę od razu do pociągu! – przysiągł sobie. Hinshelwood.

Wynajęli na noc pokój w hotelu „Tadz”. Wykapali się, zjedli dwa ogromne posiłki i poszli zrobić zakupy. Następnego ranka wsiedli na dworcu w Bombaju do pociągu i przez pięćdziesiąt godzin w kurzu, ale w znośnych warunkach, przejechali Pendżab w drodze do Rawalpindi.

Przez dwa tygodnie życie toczyło się normalnym, spokojnym trybem. Wiadomości o wycofaniu się Niemców do Aine wprawiły pułk w wojowniczy nastrój. Gabriel wrócił znów do dawnego trybu życia, jaki znał z przedmażeńskich czasów, tyle że nie miał przy sobie Charis. Brakowało mu też czasu na jakiegokolwiek rozrywki, bo pułk przygotowywał się pilnie do zaokrętowania. Wysyłano właśnie główne indyjskie siły ekspedycyjne, by wesprzeć front w Europie, a dodatkowo formowano jeszcze dwie jednostki pomocnicze. Jedna przeznaczona była do Zatoki Perskiej, druga miała dokonać inwazji na Niemiecką Afrykę Wschodnią. Krążyły wieści, że w początku października Pułk Zachodnich Kentyjczyków odpłynie do Europy, nie zostały jednak potwierdzone. Gabriel pomyślał, jakie to typowe dla bizantyjskiego rozumowania armii, żeby najpierw wysłać go do Indii, a następnie z powrotem do Europy. Równie typowym dla armii posunięciem – z czego sobie później zdał sprawę – było wysłanie tam wszystkich oficerów wraz z pułkiem, z pominięciem jego osoby. Ów decydujący telegram z nakazem przeniesienia przyszedł z kwatery głównej w Simli. Informował, że Gabriel został przydzielony do 69 Pułku Palamcottahskiej Piechoty Lekkiej, który ma wsiąść na okręt płynący do Afryki Wschodniej w połowie października i wejść w skład Indyjskiego Korpusu Ekspedycyjnego „B”.

Afryka Wschodnia! Palamcottahska Piechota Lekka! Gabriel doznał gorzkiego, głębokiego zawodu. Trzeciorzędny pułk indyjski z mało cenionej Brygady Bangalore w Madrasie. Jego natychmiastowe protesty i odwołania nie dały rezultatu. Koledzy współczuli mu, choć mieli dosyć jego nieustających lamentów i narzekań. Sammy Hinshelwood pocieszył go, że może skończyć się na tym, iż Pułk Zachodnich Kentyjczyków będzie pilnował Kanału Sueskiego, a Gabrielowi na pewno uda się przed końcem wojny wziąć udział w jakiejś akcji.

Tak więc po raz drugi w ciągu miesiąca Gabriel przemierzył Pendżab. Tym razem podróż w okrutny sposób przypominała mu, jak bardzo pokrzyżowały się jego plany, i trwała dwa razy dłużej niż do Rawalpindi. W pociągu oprócz niego jechała jednostka sanitarna z indyjskimi pomocnikami lekarzy wojskowych, z tuzinami kulisów i tragarzy. Jak się okazało, oni także jechali do Afryki Wschodniej; brytyjscy lekarze jednak byli całkiem zadowoleni ze swego losu. Miejscowość zwana Nairobi, oświadczyli, z pewnością ma wspaniały klimat. Większą część podróży Gabriel spędził w kącie zatłoczonego przedziału (wentylator nie działał) i próbował czytać książkę. Lekarze co jakiś czas gratulowali sobie szczęścia. O nic się więcej nie martwią, myślał Gabriel, tylko o pogodę. Pewnego dnia spędzili w pociągu całe dziesięć godzin, stojąc na boczniczy, mając za cały posiłek *petit beurre'y* i ciepłą wodę sodową.

Nastrój Gabriela pogorszył się po otrzymaniu wiadomości o przeniesieniu. A stał się już, beznadziejny w koszarach w Bombaju, gdy Gabriel dołączył do nowego batalionu. 69 Palamcottahski Pułk Piechoty Lekkiej nie brał udziału w żadnych walkach od czasu tłumienia buntu Bokserów. W kasynie na poczesnym miejscu wisiał jeszcze rozkaz bojowy z 1900 roku. Z zasięgniętych informacji wynikało, że Palamcottahowie dotarli zaledwie do Hong Kongu. Zostali tam przymuszeni do służby z pułkiem Pionierów Armii i przez dziewięć miesięcy budowali drogi, w czym wykazali się zdumiewającą sprawnością i co zyskało im oficjalną pochwałę od gubernatora kolonii.

Nie podniosła też Gabriela na duchu wiadomość, że Palamcottahowie mają zbyt mało żołnierzy i są tak źle przeszkoleni, że poza nim przeniesiono z macierzystych pułków sześciu innych oficerów, żeby doprowadzić batalion do jako takiej sprawności bojowej. Siedmiu młodych nowych oficerów rychło utworzyło w kasynie koło niezadowolonych, ignorując oficerów zawodowych albo będąc przez nich ignorowanymi. Gabriel przybył jako ostatni i skwapliwie dołączył swój głos do grupy zawiedzionych, którzy nie ustawiali w narzekaniach.

*

Właściwie nie sposób było się dowiedzieć, iloma ludźmi będzie dowodził, ponieważ w dzień po jego przybyciu przyszedł rozkaz zaokrętowania. Przy „Homayunie”, który miał przewieźć Palamcottahów do Afryki Wschodniej, „Dongola” wyglądała jak luksusowy liniowiec. „Homayun” był małym brudnym parowcem, który przed wojną kursował między Arabią a Bombajem przewożąc pielgrzymów do Mekki i z powrotem. W końcu stłoczono na pokładzie około tysiąca ludzi: Palamcottahów, oddział saperów i Korpus Kulisów Pendżabskich, poza tym znalazło się na nim blisko trzydzieści mułów i cztery tuziny owiec, które należało spętać na jednym z pokładów.

Gabriel stwierdził, że dzieli małą kajutę z dwoma oficerami, lekarzem z Indyjskiej Służby Sanitarnej i wysokim, chudym majorem Bilderbeckiem z Gwardii Walijskiej, który był w szkole oficerów sztabowych w Quetcie, a ponieważ

przed wojną służył w Afryce Wschodniej, został teraz przydzielony do kwatery głównej korpusu ekspedycyjnego jako oficer wywiadu.

Zaokrętowanie zakończyło się trzydziestego września. Załadowano dźwigiem ostatnie muły, ostatnia zaś napełniona po brzegi barka przywiozła zdenerwowanych kulisów. „Homayun” opuszczał wolno port w Bombaju, aż znalazł się około trzech mil od brzegu. Wtedy z brzękiem łańcuchów rzucono kotwice i statek stanął. Gabriel sądził, spoglądając na odległy brzeg ponad relingiem, że czekają na uformowanie się w szyku całej floty.

Dnie miały niesłychanie wolno. Dwa, trzy, cztery, pięć. „Homayun” kołysał się mocno na wezbranym oceanie i wydawało się, że kulisi, co do jednego, zapadli na chorobę morską. Dookoła unieruchomionego statku morze było coraz bardziej zanieczyszczone ludzkimi rzygowinami. Żeby mieć jakieś zajęcie Gabriel dwa razy dziennie przeprowadzał inspekcję swej kompanii. Jego ludzie mieli chude, zawzięte twarze, ubrani byli w luźne mundury i grube turbany koloru khaki. Indyjscy oficerowie – dzemadarowie i subadarowie – sprawiali wrażenie zbyt starych i opieszłych, odnosili się do Gabriela z dystansem i nieufnością. Siódmego dnia dowieziono promem karabiny Maxima – każda kompania dostała po dwa. Korzystając z okazji, każdego popołudnia Gabriel organizował ćwiczenia ucząc, jak posługiwać się karabinami maszynowymi. Pokazywał ospałym sipajom, jak rozbierać i składać błyszczącą, wypolerowaną broń; uczył ładowania broni i strzelania. Strzelali do pustych beczek wyrzuconych za burtę, burząc gradem pocisków spienioną powierzchnię morza.

Mijały dni, a „Homayun” nadal kołysał się apatycznie na kotwicy. Gabriel popadł w stan bezmyślnej bierności, o którą by się nigdy nie podejrzewał. Po śniadaniu robił pobieżną inspekcję swych oddziałów, odsyłał chorych do gabinetu lekarza, a potem chronił się w najbardziej osłoniętej od słońca części statku i próbował pisać listy. Jego życie było tak monotonne, że po wstępnych słowach: „Droga Matko i Ojcze, nadal tkwimy na «Homayunie»”... nie było co pisać. W listach do Charis próbował kilka razy podjąć bardziej osobiste tematy, ale ku swemu przerażeniu stwierdził, że przychodzi mu to z jeszcze większą trudnością. Dużo o niej myślał i doświadczał wtedy nieklamanych wzruszeń, ale kiedy przyszło nadać im jakiś kształt, wyrazić w kilku płynących z głębi serca słowach, stwierdził, że nie potrafi nazwać swych uczuć, są właściwie niesłychanie mgliste i niejasne.

„Kochana Charis” – pisał, potem przerywał. Co więcej ma powiedzieć? Że ją kocha? Ona o tym dobrze wie; nie może pisać o sprawach oczywistych, musi przybrać je w bardziej eleganckie słówka... I popadał w drzemkę aż do lunchu. Po południu znów ogarniał go sen albo stojąc na pokładzie wpatrywał się bezmyślnie w linię brzegu. Czasami wchodził do brezentowego basenu i przez

dziesięć minut czuł się rzeświejszy. Wieczorami niechętnie dotrzymywał towarzysztwa innym oficerom, tak naprawdę byli sobie obcy i rozmowa z nimi była raczej zdawkowa i formalna. Nie było żadnych rozkazów i podpułkownik Coutts, ich korpulentny, starzejący się dowódca, nic nie miał do zakomunikowania na nielicznych odprawach. Jak na „Dongoli”, większość oficerów dla zabicia czasu przeważnie grała w karty albo w quaits*. Gabriel zagrał kilkakrotnie w wista, nie znał jednak międzynarodowego zapisu bridge'a i nie chciało mu się tego uczyć.

* Gra zręcznościowa polegająca na rzucaniu pierścieniem.

Wreszcie w szesnaście dni po zaokrętowaniu „Homayun” ostatecznie podniósł kotwicę i zajął miejsce w konwoju, który wypływał z Bombaju. Nigdy nie wyjaśniono przyczyny ich postoju: pewno ktoś o nich zapomniał. W miarę jak Indie stopniowo znikają z widnokregu, w Gabrielu rozgorzał na krótko głuchy gniew na bezmiennego oficera sztabowego, który skazał ich na to dwutygodniowe piekło. Szesnaście dni bez ruchu, w prażącym ogniem słońcu, z dala od brzegu. Szesnaście nie kończących się dni pełnych zadrażnień, ogromnych niewygód i zabójczej nudy. Gabriel czuł, że twarz mu tężeje pod wpływem frustracji, a powieki drgają od powstrzymywanych łez złości. Był pewien, że bez skrupułów mógłby zabić człowieka odpowiedzialnego za ten stan rzeczy; zrobiłby to powoli, wymyślnie; zadając mu przejmujący ból. Uspokój się, mówił sobie, uspokój się, ważne, że teraz płyniemy.

Tuż przed wyruszeniem na pełne morze szalupa doręczyła pocztę z Europy. Dostał trzy listy: od matki, Feliksa i Charis. Wiadomości pochodziły sprzed sześciu tygodni. Najpierw otworzył list matki.

„Mój drogi Gabrielu,

Z Francji napływają bardzo deprymujące wieści. Twój ojciec powiada, że przegraliśmy bitwę w miejscowości zwanej Mons. Na ścianie w bibliotece rozwiesił wielką mapę, schodzą się tu codziennie wszyscy domownicy, żeby wysłuchać najnowszych wiadomości z pola walki.

Charis czuje się dobrze, mimo lekkiego zaziębienia. Była bardzo smutna po twoim wyjeździe, ale wzięła się w garść i pomagała nam w organizowaniu zbiórki żywności dla biednych Belgów. Postanowiła pozostać u siebie, mimo że w naszym domu jest dużo miejsca. Przychodzi jednak do nas na lunchy i obiady.

Feliks dostał list z Ministerstwa Wojny z nakazem zgłoszenia się do Oficerskiego Obozu Szkoleniowego dla poborowych w Oksfordzie. Wydaje się jednak, że nie mogą go wziąć z powodu słabego wzroku. Zawsze mówiłam, że ten chłopak za dużo czyta. Twój ojciec nie rozmawia z nim, więc Feliks pojechał odwiedzić w Londynie swego przyjaciela Hollanda. Według mnie, jak na razie, to najlepsze wyjście.

Henry ma po uszy roboty w Komitecie Obrony Imperium Brytyjskiego. Powiedział Albertine, żeby się nie martwiła: załatwi Greville'owi stanowisko w

sztacie (podobno Greville ma o tym nie wiedzieć). Nigel Bathe jednakże udaje się do miejsca zwanego Mezopotamią. Henry powiada, że nic w tej sprawie nie może zrobić. Biedny Nigel jest ogromnie zawiedziony: tak chciał jechać do Francji...”

List matki ciągnął się w tym duchu przez kilka dalszych stron. List Feliksa był krótszy.

„...dowiesz się, że nie zostanę zabrany do wojska. Jaka niesława. Ojciec oskarżył mnie właściwie o podłe tchórzostwo. Nie miało sensu przypominać, że zgłosiło się tak wielu ochotników, iż osoby niesprawne są w stu procentach odrzucane. Cyryl, oczywiście, załapał się. W życiu nie widziałem tak zadowolonego człowieka...”

Twoja kochana żona postanowiła, i mądrze, pozostać u siebie. Jest zdrowa, biega po hrabstwie z doktorem Venablesem i zbiera koce dla Belgów. Życie w domu stało się jeszcze bardziej nieznośne niż do tej pory, od kiedy ojciec zwołuje co wieczór odprawę (obecność obowiązkowa), na której omawia przebieg działań wojennych.

Zamierzam pozostać u Hollanda, którego także nie przyjęto do wojska. W październiku wybieramy się razem do Oksfordu, chociaż Bóg wie, jak tam będzie, skoro wszyscy są na wojnie. Nigel Bathe został wysłany do pilnowania jakiegoś pustkowi. Jego zdaniem wojna to nikczemny i pogmatwany spisek ukartowany po to, żeby pokrzyżować mu plany...”

List od Charis odłożył na koniec. Siedział wpatrując się w pismo na kopercie, i usiłował wyczarować obraz jej twarzy. Spędzili trzy noce w swoim domku, zanim wyjechał do Southampton. Trzy noce, w czasie których udało im się osiągnąć tę pełnię zadowolenia, jakiej raz tylko doświadczyli w Trouville. Gabriel oparł się o koję i zamknął oczy. Czuł, jak serce bije mu szybciej pod wpływem przykrych, w pewnym sensie żenujących, wspomnień.

Otworzył list.

„Mój ukochany Gabey,

Jakże mi Ciebie brak! Nasz mały domek wydaje się taki cichy i pusty. Chcę, żeby mój duży silny chłopiec znalazł się znowu przy mnie i wziął mnie w ramiona. Będiesz na siebie uważał, prawda, kochanie? Chcę mieć mojego Gabeya całego, a więc nie próbuj zostać bohaterem...”

Gabriel nie mógł czytać dalej: w każdym słowie słyszał odbijający się echem głos Charis. Odłożył list i powrócił myślami do ostatnich wspólnych nocy i rytuału gry miłosnej, którą każde z nich uprawiało instynktownie.

Za każdym razem, kiedy przebiegał się w piżamę, czuł, jak opanowuje go paraliżujący lęk. Wchodził do małej sypialni na górze, którą niemal całkowicie wypełniało miękkie podwójne łóżko, a w nim leżała Charis z rozpuszczonymi włosami, w białej szeleszczącej koszuli. Potem karciała go łagodnie za

jakieś przewinienie. Jednej nocy za to, że się nie uczesał, drugiej za to, że założył inny dół od piżamy. „Nieżnośny chłopiec!” – mówiła i opierała się jego błagalnym prośbom o przebaczenie i zrozumienie. „Nie! N i e m o ż e s z m n i e pocałować, jestem na ciebie b a r d z o zagniewana.” Ton głosu, sytuacja działały jak magiczne zaklęcie, uświadomił sobie Gabriel. Znikały wszelkie dręczące go obawy, wstydlivy brak erekcji, cały lęk – nawet przed wejściem do łóżka.

Odgrywali swoje role z wyczuciem i pewnością zawodowych aktorów. Charis, surowa, w końcu dawała się przeprosić. Gabriel to przymiłał się, to znów był naburmuszony. Podczas tamtych nocy przekomarzająca się i nieśmiało tyranizująca Charis w ciągu kilku sekund wywoływała u niego erekcję widoczną przez spodnie piżamy. Kładł głowę na jej małych piersiach, całował szyję, szarpał tasiemki u koszuli. „Przestań! – wołała z udanym przestachem. – Okropny z ciebie chłopak! Co ty wyrabiasz?” Tasiemki zawsze jakoś udawało mu się rozplatać, odsłaniał małe białe piersi, wodził po nich ustami, chwycił twarde sutki i nieco przygarbiony opadał między jej rozchylone uda. Potem niezdarne pchnięcia, uczucie gorąca, wilgoć, mocny skurcz.

Takie ulotne doznania, pomyślał Gabriel. Zaledwie kilka sekund i koniec. Później tuliła w ramionach jego głowę, głaskała włosy, szczebiotała czule słówka, nazywała go pieszczotliwymi imionami, „Gabey, mój duży chłopcze... Gabbins, mój nieżnośny chłopaku... mój okropny, kochany Gabey”, a on powoli zapadał w sen.

Ostatniej nocy zbudził się i zauważył, że nie ma jej w łóżku. Półprzytomny wstał i chwiejnym krokiem poszedł małym korytarzykiem do łazienki. Pchnął drzwi i zobaczył ją całkiem nagą, z myjką w ręce, przed umywalką. „Och, przepraszam”, powiedział wycofując się szybko. Wtedy to jedyny raz widział ją nagą.” Smukła, chłopięca sylwetka, blade ciało, bardzo drobne, niemal płaskie piersi, ciemna kępka włosów. Musiał uczciwie przyznać, że nie o takim ciełe marzył. W przeddzień nocy poślubnej wyobrażał sobie, że kobiety są bardzo miękkie, uległe, z dużymi miękkimi jak poduszki piersiami. Charis pozostała dłużej w łazience, a on zasnął. Nie powracali więcej do tamtego nocnego spotkania.

Wszystkie wspomnienia wróciły podczas czytania listu. Te przywołane na pamięć czułe słówka i zwroty, wdzięczne role, jakie odgrywali, wprawiły Gabriela w zakłopotanie, kiedy nie było Charis. Poczul obfity pot na górnej wardze, paliła go twarz. Zdał sobie sprawę, że płonie ze wstydu. Nie mógł ukryć zakłopotania. Zawstydzony i zakłopotany z powodu intymnych stosunków z własną żoną! Nagle przeraził się sam siebie. To z kolei wzbudziło w nim poczucie winy i pogardę dla własnej osoby. Kim właściwie jest, zapytywał siebie? Kim właściwie jest, żeby odczuwać takie skrępowanie, taki niepokój w obliczu prawdy?

Gabriel nigdy nie wrócił do listu Charis. Teraz, po dziesięciu dniach podróży, nadal leżał on w jego kajucie schowany głęboko w małej walizce. Nie chciał myśleć o nim ani też o swym pożyciu małżeńskim. Stwierdził, że w konsekwencji stał się pruderyjny. Część oficerów „Homayuna” pochodziło z nie najlepszych środowisk, ich zachowanie było często grubiańskie i chętnie wdawali się w pikantne rozmowy. Gabriel nigdy nie brał udziału w ich dyskusjach.

Pewnego dnia ktoś podał mu do obejrzenia stary egzemplarz ilustrowanego pisma „Nash”, otwartego na stronie z licznymi fotografiami francuskiej tancerki – niejkiej Mademoiselle Sandrine Storri. Zdaniem Gabriela była to bardzo piękna kobieta, pulchna kokietka, miała rozwiane ciemne włosy, sfotografowano ją w kostiumie do tańca – kusej tunice przystrojonej girlandami kwiatów, spod której widać było grube uda. Na jednej fotografii, pochylona do przodu, demonstrowała wzgórki ładnie zaokrąglonych piersi. Ponieważ występowała z gołymi nogami – wyjaśniono poniżej – cenzor kazał ją oświetlać na scenie tylko niebieskim światłem.

– Przyjemna dzierlatka – powiedział mężczyzna pokazujący pismo ilustrowane. Gabriel uśmiechnął się do niego nerwowo i przez grzeczność spojrzął na fotografię. – „Mój grecki taniec ma charakter w stu procentach artystyczny” – czytał. Odwrócił stronę. Zamieszczono tu więcej fotografii Mademoiselle Storri, na których pozowała w aksamitnych szortach i kusym bolerku, odsłaniającym brzuch.

– Popatrzcie na Cobba – odezwał się ten sam oficer. – Młody żonkoś wykazuje żywe zainteresowanie.

Gabriel splonął rumieńcem. Interesowały go zdjęcia, jednocześnie czuł do siebie odrazę. Co z niego za mąż, jeśli wpatruje się w fotografie francuskiej kokoty?

Spojrzał teraz na konwój. Przebywał na statku już od dwudziestu sześciu dni i ta podróż zaczęła mu dokuczać. Zabójcza, potworna nuda. Ciągłe klótnie między kulisami. Ryczące muły i beczące owce. Jego źle wyszkoleni, niechętnie usposobieni podkomendni, nieokrzesani obcy oficerowie. Dzięki Bogu za tych dwóch, pomyślał, z którymi dzieli kajutę. Prawie wcale nie widywał lekarza, który stale był zajęty na pokładzie, leczył kulisów i innych żołnierzy zgłaszających się – siedemdziesięciu dziennie – z wszelkimi możliwymi dolegliwościami, wśród których przeważała dyzenteria i malaria. Jeden Bilderbeck to przyzwoity człowiek, chociaż trochę dziwak.

Bilderbeck dużo czasu poświęcał na sporządzanie biuletynów informacyjnych i map Niemieckiej Afryki Wschodniej, a także na zbieranie i gromadzenie dla celów wojskowych informacji dotyczących klimatu, ludności, terenu. Służyły

mu pomocą dzienniki i zapiski, które prowadził przed siedmioma czy ośmioma laty podczas służby w Brytyjskiej Afryce Wschodniej. Był szczupłym, ascetycznie wyglądającym mężczyzną po trzydziestce, z lekko cofniętą brodą. Mówił bardzo szybko cichym głosem, urywane słowa wylatywały z jego ust niczym pociski z Maxima. Czasami uśmiechał się albo wybuchał śmiechem w jakichś momentach rozmowy nie usprawiedliwiających takiej reakcji, jakby dostrzegał żart czy ironię, których inni nie zauważali. Rozmowa z nim wprawiała człowieka w ogromne zakłopotanie, gdyż cyniczne spojrzenia i wymuszone uśmiechy dawały do zrozumienia, iż rozmówca musi podzielać jego opinie. Gabriel zamiast dopytywać się, o co chodzi, zdecydował, że najlepiej będzie naśladować wyraz twarzy tego człowieka: uśmiechać się, kiedy on się uśmiecha, przewracać oczami i drwić, kiedy on to robi. Inni oficerowie nie byli tak uprzejmi, uważali Bilderbecka za lekkiego pomyślna. W rezultacie w miarę upływu czasu on i Gabriel spędzali coraz więcej czasu w swoim towarzystwie.

Rozmawiali, o wojnie – Bilderbeck spytał Gabriela, czy kiedykolwiek brał udział w akcji. Ten przyznał, że nie. Bilderbeck oświadczył, że podczas służby w Afryce osobiście zabił ponad trzydziestu ludzi.

– Ale byli to wszystko tubylcy – dodał, jakby to w jakiś sposób umniejszało wagę jego czynu.

Gabriel spojrzął na niego z zaciekawieniem.

– Co... Jak do tego doszło?

– Po prostu ich zastrzeliłem – odparł Bilderbeck. – Kiedyś zastrzeliłem trzech moich żołnierzy tubylców. Jest to niemało, ale zabili kobietę i zgwałcili dziewczynę. Położyłem ich trupem na miejscu. Wie pan, było to ostrzeżenie dla innych. – Uśmiechnął się szeroko, a Gabriel machinalnie zrobił to samo. – Jednego razu – zamyślił się Bilderbeck – zabiłem Rosjanina. W Konstantynopolu. – Zrobił przerwę. – Co pan myśli o tej bandzie? – Wskazał palcem kwatery oficerskie.

– Nie poznałem ich dobrze – odparł Gabriel.

– Amatorzy – zadrwił Bilderbeck. – W młodości myślą tylko o koniach i kobietach. – Obrzucił Gabriela szybkim spojrzeniem i znów uśmiechnął się tajemniczo. – Znajdę sobie dziewczynę – powiedział nagle. – Wiem, że znajdę.

– Dziewczynę? – zdziwił się Gabriel, zaskoczony przebiegiem rozmowy.

– Znajdę ją pewnego dnia.

Gabriel zastanawiał się, o czym tamten mówi.

– Tak – odparł nie zdradzając swej niewiedzy. – Moim zdaniem, znajdzie ją pan.

– Pan jest żonaty, prawda? – spytał Bilderbeck. – Kocha pan żonę?

– Co?... Tak, Kocham.

– Mój Boże – powiedział Bilderbeck, potrząsając głową w zdumieniu. – Wobec tego ma pan swoją dziewczynę.

Gabriel pomyślał, że najlepiej będzie przytaknąć.

– Tak – odparł zwyczajnie.

– Ha! – zaśmiał się cynicznie Bilderbeck. – Amatorzy! Traktują armię jak klub towarzyski.

*

Indyjski Korpus Ekspedycyjny „B” płynął prosto do Afryki. Beznadziejna nuda zmusiła w końcu żołnierzy na „Homayunie” do poszukiwań jakiejś rozrywki. Po przekroczeniu równika zorganizowano chrzest morski. Kapitan statku został Neptunem. W tej zabawie wzięli udział wszyscy oficerowie poniżej trzydziestki. Gabriel został obficie namydlony, ogolony długą na metr drewnianą brzytwą, a potem wrzucony do basenu.

Ta udana impreza zachęciła pasażerów „Homayuna” do zorganizowania wieczornego koncertu – jedna osoba grała na fortepianie, dwie na harmonijkach ustnych. Choć spadł ulewny deszcz, który przemoczył grających prawie do suchej nitki, koncertowali wytrwale i nikt ze słuchaczy nie opuścił pokładu.

Im dalej na południe, tym upał mocniej doskwierał. Lekarz całymi dniami krążył wśród załogi z dzbanami płynu limonowego wzmacniającego serce. Co trzeci dzień musieli pić chininę rozpuszczoną w szklance wody.

Podpułkownik Coutts spadł ze schodów, doznał wstrząsu mózgu i złamał zebro. Bilderbeck wydał okrzyk zgrozy, gdy się o tym dowiedział. Gabriel współczuł Couttowski – był to uprzejmy, leniwy facet, dobrze po pięćdziesiątce. Po kilku dniach chodził już dzielnie po pokładzie, ale widać było, że coś mu dolega i czuje się nie najlepiej. Zbliżali się wreszcie do kresu podróży i ludzi zaczynało ogarniać lekkie zdenerwowanie – wyrazy współczucia wyrażano więc rzadko i zdawkowo. Bilderbeck wybrał się na liniowiec P&O „Karmalę”, żeby naczelnemu dowódcy, generałowi Aitkenowi, przekazać swe mapy, uwagi i opinie.

Ostatni etap podróży urozmaiciło mniej szczęśliwe wydarzenie. Jeden z marynarzy na „Homayunie” został oskarżony o podburzanie do buntu. Za to przestępstwo skazano go na sześć miesięcy więzienia i dwanaście batogów. Wezwano wszystkich oficerów, aby byli świadkami wymierzania kary. Gabriel poszedł pelen złych przeczuć, stanął zakłopotany obok Bilderbecka. Chłostę miał wymierzyć bosman „Goliatha”, potężnie zbudowany mężczyzna z okrągłą rumianą twarzą. Batog ginął w jego rękach i wydawał się dziwnie niewinny. Przyprawiano go do rozszarpanego pasa winowajcę i przywiązano go do drewnianego trójkąta – w pośpiechu skleconego przez okrętowego cieślę – ręce przymocowano do wierzchołka, a nogi do dwóch ramion. Odczytano wyrok i bosman szybko wymierzył karę. Na oczach widzów plecy oskarżonego podeszły krwią. Przy siódmym czy ósmym uderzeniu pękła skóra. Pod koniec chłosty bosman dyszał z wysiłku.

Gabriel był bardziej wstrząśnięty niż oburzony tym widokiem.

– To nie Krym, mamy rok 1914 – zaprotestował idąc z Bilderbeckiem do kwater oficerskich. – Barbarzyństwo.

– Nie – odparł stanowczo Bilderbeck. – Bunt w czasie wojny. – Uśmiech przemknął mu po twarzy. – Kazałbym go rozstrzelać.

*

Trzydziestego października konwój zatrzymał się około stu mil od Mombasy. Gabriel czuł narastający ciężar w piersi, miał stałą zadyszkę, z nerwowym napięciem oczekiwał tego, co ma nastąpić. Przez cały dzień chodził po pokładzie, wykonując improwizowane ćwiczenia oddechowe: wstrzymywał oddech, oddychał płytko, to znów nabierał głęboko powietrza i wypuszczał z płuc jak najwolniej. Nic to jednak nie pomagało.

Zobaczył okręt wojenny podpływający od strony lądu. Wkrótce potem wezwano na pokład Bilderbecka i spuszczone dla niego szalupę. Tego wieczoru okręt wojenny „Fox” odpłynął z „Karmalą”.

Przez następne dwa dni konwój stał na wysokości Mombasy. Gabriel dokonał inspekcji swych podkomendnych. Byli zmęczeni i niezadowoleni, wielu od miesiąca cierpiało na chorobę morską. Wezwał kilku na pokład i zarządził ćwiczenia gimnastyczne, ale powstało tak żenujące zamieszanie, że zwolnił ich po pięciu minutach.

„Karmala” wróciła do konwoju, a Bilderbeck na „Hodayuna” po swój ekwipunek. Miał zostać przydzielony na stałe do sztabu generała Aitkena.

Gabriel stał w drzwiach kajuty i przyglądał się, jak Bilderbeck pakuje swoje rzeczy.

– Dokąd się pan wybiera? – spytał Gabriel. – Do Dar es-Salam?

– Nie powinienem tego mówić – odparł Bilderbeck. – Ale nie do Dar. Do Tangi.

– Ach tak – zdziwił się Gabriel. Znalazł Tangę na jednej z map Bilderbecka. Port na północ od Dar i stacja początkowa Kolei Północnej, biegnącej aż do Kilimandżaro.

– Ma pan poduszkę? – spytał Bilderbeck, trzymając własną.

– Tak – odparł Gabriel. – Mam. Dlaczego pan pyta?

– A miednicę? Poduszkę i miednicę. Najważniejsze części ekwipunku w służbie czynnej. Człowiek prześpi się przyzwoicie i będzie mógł się umyć i ogolić. Zawsze trzeba sprawdzić, czy ma się je przy sobie. To najlepsza rada, jaką mogę dać.

– Dzięki – odparł Gabriel w roztargnieniu. – Tak, mam jedno i drugie. – Zamilkł na chwilę. – Czy planujemy inwazję na Tangę?

– Taki jest zamiar – odparł Bilderbeck z odcieniem cynizmu. – Jest to pierwszy od blisko czterdziestu lat desant na nieprzyjacielskie wybrzeże i wybrali ten właśnie teren. – Oparł ręce na biodrach i ze smutkiem potrząsnął głową. – Mamy inny problem. Na początku wojny marynarka zawarła pokój z niemieckim gubernatorem w Tandze. Teraz upiera się przy tym, żeby poinformować tamtejsze władze o podjęciu „działań wojennych”. Uważają, że ich honor wymaga oficjalnego zerwania porozumienia. – Twarz Bilderbecka rozjaśnił jeden z jego najpromienniejszych uśmiechów.

– Boże święty – Gabriel usiadł na koi. – Czy to nie jest trochę... To znaczy, że dowiedzą się o ataku?

– Oczywiście, że się dowiedzą. – Bilderbeck głośno zarechotał. – Oczywiście, że się dowiedzą. Ale niech pan spróbuje wytłumaczyć to marynarce. – Zatarł z zadowoleniem ręce. Był głęboko usatysfakcjonowany, jakby po gorącej dyskusji spór rozstrzygnięty został na jego korzyść. – Proszę pamiętać – powiedział podnosząc wzrok. – Bez względu na to, co się stanie, niech pan nie zapomni poduszki i miednicy.

ROZDZIAŁ PIĄTY

2 LISTOPADA 1914 ROKU
TANGA, NIEMIECKA AFRYKA WSCHODNIA

Gabriel stał przy relingu „Homayuna” i wpatrywał się w oddalony o milę brzeg. Była szósta wieczorem. Spojrzał na mapę, którą trzymał w ręce, a potem znów na ląd. Ten odcinek wybrzeża, pomyślał, to cypel zwany Ras Kasone, wysunięty w morze od południowej strony zatoki, nad którą leży Tanga. Około trzech kilometrów dalej, za cypłem, leżało niewidoczne stąd miasto. Na samym końcu cypla stała wieża sygnalizacyjna, a obok biały murowany dom. W jego sąsiedztwie, oddalony o blisko pół kilometra, znajdował się czerwony budynek. Oba wydawały się opuszczone, chociaż, z wieży sygnalizacyjnej powiewała niemiecka Haga. Z tego, co mógł dostrzec w gęstniejącym zmierzchu, na wprost siebie miał skalisty brzeg, a poniżej gęstą, splątaną roślinność i dziwacznie powykęcane drzewa; słyszał, że to mangrowce. Poniżej czerwonego budynku ciągnęła się dwustumetrowa plaża. To tu, na plaży „A”, według podpułkownika Couttsa, w późnych godzinach wieczornych miał lądować Palamcottahski Pułk Piechoty Lekkiej.

Na odprawie, w której uczestniczył, puszczone w obieg mapę, a podpułkownik Coutts (nadal cierpiący z powodu złamanego żebra) przeczytał rozkazy generała-majora Aitkena. Pierwsze zdanie brzmiało niezmiernie pokrzepiająco. „Z wiarygodnych źródeł wiadomo, że nieprzyjacieli z pewnością nie będzie stawał czynnego oporu przy naszym lądowaniu.”

Gabriel obserwował, jak jego kompania opuszcza się po schodni do ogromnych drewnianych barek, które przyholowano z Mombasy, żeby przetransportować żołnierzy z okrętów na brzeg. Wokół cypla widział przycumowane w jednej linii okręty z konwoju. Wcześniej tego ranka podpułkownik Coutts poinformował ich, że „Fox” wszedł do portu Tanga, oficjalnie zerwał rozejm i domagał się poddania miasta – do czego nie doszło. Tanga, jak się okazało, została wcześniej ewakuowana.

Gabriel ruszył po schodni za swym zastępcą, podporucznikiem Gleesonem. Gleeson został oficjalnie przydzielony do ich pułku; był to młody, zaledwie dwudziestodwuletni mężczyzna z bladoniebieskimi oczami i blond włosami – przypominał Gabrielowi Nigela Bathe'a. Miał bardzo zażółcone zęby. Gleeson nie zgłaszał żadnych zastrzeżeń, że podlega nowo przybyłemu. Gabriel poczynił pewne kroki, żeby w czasie podróży nawiązać z nim bliższe stosunki, ale bez większego powodzenia. Podejrzewał, że Gleeson to w gruncie rzeczy „prostack”.

Podpułkownik Coutts nie był zdolny do wzięcia udziału w inwazji na Tangę, batalionem dowodził czasowo adiutant, major Santoras. W „barce Gabriel poszukał wzrokiem subadara ze swego batalionu, Masrima Rahmana. Wydawało się, że co drugi żołnierz w Pułku Palamcottahskim nazywa się Rahman. Na nieszczęście subadar Rahman zaliczał się do najbardziej podatnych na chorobę morską, silne kołysanie barki na wzburzonych falach spowodowało, że jego brązowa skóra zmieniła kolor na jasny beż.

– Wszystko w porządku, subadarze? – spytał Gabriel zmuszony podnieść głos ponad gwar rozmów.

– Tak, panie kapitanie – odparł subadar odejmując rękę od ust i nie bez trudu oddał mu honory.

– Mógłbyś uciszyć ludzi? – spytał Gabriel przeciskając się między stłoczonymi żołnierzami w kierunku rufy, gdzie zebrali się major Santoras wraz z sześcioma innymi oficerami i przy świetle latarek studiowali mapę Tangi. Z Palamcottahów udało się utworzyć tylko trzy pełne kompanie, gdyż w czasie podróży morskiej choroby zdziesiątkowały ludzi. Dwie z nich miały lądować, a trzecia pozostać w rezerwie.

– Co to za znak? – spytał któryś z oficerów.

– To wykop kolejowy – odpowiedział major Santoras. – Biegnie między plażami, na których mamy lądować, a miastem. – Mówił dalej mniej pewnym siebie tonem: – Chyba będą nad nim trzy mosty. W każdym razie powinny być.

– Czy wiadomo, jak wygląda teren za plażą?

– Ktoś napisał tutaj „kauczuk”. Zakładam, że to oznacza plantacje drzew gumowych.

– Czy Pułk Północnych Lancasterczyków ma lądować na naszej plaży? – spytał Gabriel. W całych siłach ekspedycyjnych były to jedyne regularne oddziały brytyjskie. Gabrielowi przyszło na myśl, że czułby się pewniej, gdyby wiedział, że są w pobliżu.

– Nie sądzę – odparł Santoras. – Są po drugiej stronie cypla, od strony Tangi. Na plaży „C”. Nie, przepraszam, na plaży „B”.

– To właśnie jest plaża „C” – poinformował ktoś inny. – Czy właściwie nie mieliśmy lądować razem z nimi?

– Jest pan pewien? – spytał Santoras. – Myślałem, że pułkownik powiedział plaża „A”.

– Popatrzcie! Płyną Radżputowie!

Wszyscy zwrócili się w prawo. Mały holownik ciągnął w kierunku brzegu trzy barki. Było już prawie ciemno, ale dało się je odróżnić. W odległości około trzystu metrów od brzegu spuszczone liny holownicze, barki podryfowały na tali w stronę plaży i osiadły na mieliźnie. Kiedy pierwsi ludzie wskoczyli do wody, rozległy się krótkie, urywane strzały, potem zapadła cisza. Mniej więcej w dwie minuty później „Fox” oddał salwę. Wszyscy podskoczyli ze strachu. Grad pocisków eksplodował imponująco wokół czerwonego budynku. Gabriel uświadomił sobie, że po raz pierwszy strzela ze złością.

Palamcottahowie pozostali w barkach przez następnych pięć godzin. Zasła-
bło siedemnastu ludzi z kompanii Gabriela, wyczerpanych długotrwałą chorobą
morską i trudami, trzeba ich było odstawić z powrotem na „Homayuna”. Zega-
rek wskazywał pierwszą w nocy, kiedy dno barki otarło się w końcu z chrob-
otem o piasek w odległości osiemdziesięciu metrów od brzegu. Zrobiła się piękna
księżycowa noc, na plaży poniżej czerwonego budynku kręciło się sporo ludzi.

– W porządku, kapitanie Cobb – powiedział Santoras. – Niech pan wysadzi
na brzeg kompanię „A” i zamelduje oficerowi dyżurnemu o naszym miejscu
zbiórki.

– Kto jest oficerem dyżurnym, panie majorze? – spytał Gabriel.

– Uhm, chyba jakiś major z 51 Pułku Pionierów – odparł Santoras.

Gabriel i Gleeson przedostali się, wraz ze swymi ludźmi, na dziób barki.
Gleeson skoczył pierwszy do wody i zniknął z oczu. Po kilku sekundach pry-
chając wypłynął na powierzchnię. Woda sięgała mu szyi.

– Cholernie głęboko – powiedział wesołym głosem. – Lepiej uprzedzić lu-
dzi.

Następny skoczył Gabriel. Woda była cudownie ciepła, choć rozgniewało go
to, że całkiem przemókł. Powiedział Gleesonowi, żeby dopilnował lądowania
reszty kompanii, a sam wolno, rozbryzgując wodę, pokonywał fale, by dostać
się na plażę. W przystępie chwilowego nastroju melancholii przypomniał sobie,
że ostatnim razem kąpał się w morzu w Trouviile. Wrócił jednak do rzeczywi-
stości, obejrzał się i zobaczył swych ludzi, jak z karabinami nad głową, podąża-
ją w rzędzie za nim na brzeg. Poczul chłód na plecach pod wpływem wiatru od
strony morza, przenikającego przez mokry mundur. Plaża zapełniona była
ludźmi, którzy wysiedli z barek, część maszerowała wąwozem, prowadzącym
do czerwonego budynku na skałach. Tragarze-tubyłcy i kulisi krzyczeli i kręcili
się bez celu w oczekiwaniu na sprzęt i zaopatrzenie.

Kiedy większość kompanii „A” znalazła się na brzegu, podszedł do nich
sztywnym krokiem człowiek z elektryczną latarką w ręce i skierował snop świa-
tła na twarz Gabriela.

– Co to za ludzie, na miły Bóg? – spytał.

– Kompania „A”, 69 Pułk Palamcottahskiej Piechoty Lekkiej – odparł Gabriel.

– O rany boskie! – zaklął mężczyzna. – Mielicie lądować dopiero jutro rano. – Zajrzał do notatnika. – Plaża „C”. Nie ma tu miejsca na drugi batalion. Stać! Stać! – krzyknął do pozostałych żołnierzy kompanii „A”, którzy ociekając wodą wynurzyli się z fal.

Gleeson, rozbryzgując wodę, wrócił do barek, żeby przekazać instrukcje oficera dyżurnego. Zainstalowano lampę sygnalizacyjną i przekazano wiadomość na „Homayuna”. Po godzinie pojawił się holownik, zabrał z powrotem na statek barki i resztę batalionu.

– Co z nami? – spytał Gabriel.

– Przyłączcie się na noc do Radżputów. Z rana gdzieś was przydzielimy. Porozumcie się też z podpułkownikiem Codringtonem. Jest w czerwonym budynku.

Gabriel ustawił w szeregu szemrzący, zdumiony oddział. Było siedemdziesięciu sześciu, dwóch brakowało. Albo utonęli, albo też nie wyszli z barki. Kompania „A” ruszyła w stronę wąwozu, a potem wspięła się na szczyt skały. Tutaj, w blasku księżyca, Gabriel zobaczył tłumy żołnierzy, część z nich zajęta była kopaniem rowów strzeleckich. Pozostawił swój oddział przy kępie drzew palmowych, kazał Gleesonowi pozostać na miejscu, a sam wyruszył na poszukiwanie podpułkownika Codringtona. Idąc dużymi krokami w stronę czerwonego budynku, zdał sobie sprawę, że po raz pierwszy od miesiąca stąpa po twardej ziemi. Do tego doszły inne skojarzenia; jest to ziemia wroga, są tu ludzie, których uważa za nieprzyjaciół. I znajduje się w Afryce. Noc afrykańska była chłodna, a może to chłodził go mokry mundur, dokoła słyszał dziwnie uporczywe granie świerszczy i cykad. Zadrzał z radości i co jakiś czas przytupywał, szczęśliwy, że nie słyszy głuchego dźwięku, jaki jego kroki wydawały na deskach pokładowych. Ziemia wokół budynku, do którego zbliżał się Gabriel, była przygotowana pod uprawę, za nią majaczyło coś ciemniejszego, co przypominało gęsty las. Wszędzie widział oddziały wojska maszerującego w różne strony, a także żołnierzy szukających dogodnego miejsca na nocny spoczynek. Rzucano donośnym głosem rozkazy i gdzieś ktoś ogłuszająco gwizdał. Z całą pewnością nie wyglądało to na siły ekspedycyjne, nic im nie zagrażało.

Doszedł bez przeszkód do czerwonego budynku. Oficerowie sztabowi krążyli spiesznie z papierami w dłoniach. Elektrycy instalowali telefony, przeciągnąwszy od plaży linię telefoniczną. Gabriel spytał o podpułkownika Codringtona. Skierowano go na górę; tam w pokoju zobaczył tłum oficerów, stłoczonych przeważnie dokoła stołu zawalonego mapami. Zobaczył generała brygady Tighe'a, niskiego mężczyznę o smutnym wyrazie rozognionej twarzy. Wojska szykujące się do ataku na Tangę podzielono na dwie brygady: od lewej strony

miał atakować Tighe, od prawej generał brygach Wapshore, do którego dołączono Palamcottahów.

Gabriel stanął w miejscu i nagle poczuł się głupio. Co powinien zrobić? Zmeldować Tighe'owi, że zgłasza się do niewłaściwej brygady? Zasalutował więc przed szeregiem pleców zwróconych w jego stronę. W rogu pokoju jeden z majorów kręcił energicznie korbką telefonu polowego krzycząc bez przerwy do słuchawki: „Halo, halo, halo, halo!” Gabriel rozejrzał się dokoła: zobaczył blisko pół tuzina podpułkowników, ubranych identycznie w kurtki khaki, bryczesy, długie brązowe oficerki i kaski tropikalne. Rozpoznał wysoką postać Bilderbecka.

– Jak się pan miewa, Bilderbeck? – powiedział Gabriel i poklepał go po ramieniu.

– Cobb! – zdziwił się tamten głośno. Kilka osób obejrzało się na nich. – Co pan tu porabia? Powinien pan być na plaży „C”.

Gabriel opowiedział, jak przez pomyłkę doszło do lądowania i w jaki sposób stracił swą kompanię.

– Boże – rzekł Bilderbeck ściszym głosem. – Tak między nami, to kłapa. Powinienem nie ruszać się do jutra, przespać trochę, a potem z rana powłóczyć po terenie. Plaża „C” jest zaledwie półtora kilometra stąd.

Zszedł z Gabrielem po schodach. Parsknął ironicznym śmiechem na widok bałaganu i zamieszania na dworze.

– Czy pana zdaniem, Hunowie wiedzą, że tu jesteśmy? – zadał retoryczne pytanie. Spojrzał w niebo, które wyraźnie rozjaśniło się na wschodzie, za oceanem, rzucił okiem na zegarek. – Za pół godziny Radżputowie ruszą na miasto – powiedział. – Muszę wracać. – Uśmiechnął się szeroko, zęby błysnęły w jasnym świetle księżyca. Gabriel odwzajemnił uśmiech z zakłopotaniem.

– Wpadnę sprawdzić, jak się panu wiedzie – rzekł Bilderbeck. – Zobaczę, czy uzyskam połączenie z Santorasem. Niech zna sytuację.

– Dziękuję panu – powiedział szczerze do Bilderbecka, ale ten już szedł z powrotem do budynku: światło paliło się teraz we wszystkich oknach.

Gabriel wracał ciężkim krokiem mijając oddziały pomrukujących z niezadowolonia kulisów, którzy wnosili z plaży amunicję i żywność.

Nie otrzymał żadnych instrukcji, czuł się dziwnie przygnębiony i całkiem bezsilny. Kompania „A” znalazła się w niewłaściwym miejscu, nie brano jej zatem pod uwagę obierając strategię, organizując transport, czy też zastanawiając się nad zabezpieczeniem tyłów. Nie istniała.

Odnalazł Gleesona opartego o palmę i spoglądającego na konwój okrętów stojących na kotwicy. Ludzie leżeli na ziemi przykryci rozpostartymi zwojami turbanów, złowróbnie przypominali nieboszczyków. Karabinów nie ustawiono w kozłach, plecaki i zaprowiantowanie leżały rozrzucone bez ładu i składu.

– Udało się panu czegoś dowiedzieć?

Gabriel oświadczył, że będą musieli poczekać do rana.

– Co się tu dzieje? – spytał Gleeson obojętnie. – Widziałem, jak zabierali karabiny maszynowe do okopów.

– Radżputowie atakują Tangę – powiedział Gabriel apatycznie.

– Byle nie my – odparł tamten. – Jestem roztrzęsiony. Może herbaty? Mam tu manierkę.

Gabriel pociągnął parę łyków.

– Jak tam ludzie? – spytał. Wiedział, że powinien pójść do żołnierzy, uspokoić ich, podnieść na duchu. Nie była to jednak jego kompania z Pułku Zachodnich Kentyjczyków. Ci ludzie wydawali mu się całkiem obcy. Gleeson potrafił nawiązać z nimi kontakt, ale to dlatego, że znał ich język. Gabriel sądził, że przynajmniej indyjskim oficerom należało przekazać najnowsze wiadomości, ale wszyscy spali. Nie ma się czemu dziwić, stwierdził, po pięciu godzinach spędzonych w miotanej falami, kołyszącej się barce.

Słyszał brzęczenie moskita, który wpadł mu do ucha. Mundur już prawie wysechł. Udał się na szczyt pagórka i spojrzał w dół na plażę. Kulisi i tragarzetybylcy wciąż pracowali w trudzie; uformowali dwuszereg i transportowali zaopatrzenie z plaży na szczyt skały. Dalej na horyzoncie, na tle szaro-żółtego wąskiego pasma nieba o świcie, rysowały się sylwetki okrętów z konwoju. Od herbaty Gleesona czuł w ustach metaliczny smak: tania manierka, stwierdził. Odwrócił się i spojrzał w kierunku Tangi. Usłyszał pianie koguta. Tam, w gęszczu – pomyślał – kolumny wojska „maszerują na wojnę”. Zanucił kilka taktów hymnu i starał się oderwać myśli od tego, co działo się w jego brzuchu – poczuł nagle silne parcie na stolec. Wystukał rytm na kaburze rewolweru. „Naprzód chrześcijańscy zo-o-o-lnierze...” Generał Aitken nie spodziewa się oporu... Zaśmiał się z samego siebie. Co złego w tym, że musi załatwić naturalną potrzebę? Podeszedł do kępy krzaków, spuścił spodnie i przykucnął.

*

Gleeson obudził go o szóstej. Udało mu się przespać tylko parę godzin.

– Przedstawienie się zaczęło – poinformował Gabriela beztrząsco.

Ten rozejrzał się po obcym krajobrazie. Wczesne poranne słońce błyszczało na dachówkach czerwonego budynku. W świetle dnia okolica wyglądała całkiem inaczej. Skrawek przygotowanej pod uprawę ziemi był piaszczysty, pokryty niskimi krzakami cierniowców i kępami wybujałej, wypalanej przez słońce trawy, która sięgała do kolan. Głębokie po pas rowy strzeleckie ciągnęły się wzdłuż wysuniętej linii i wojska indyjskie miały stąd widok na bujne gaje palm kokosowych i plantacje drzew gumowych ciągnące się między Ras Kasone a Tangą. Pod czerwonym budynkiem ustawiono w szyku trzy rezerwowe kompanie

Pionierów. Wszędzie leżały rozrzucone wielkie stopy skrzyń, pak i worków. Gabriel zobaczył nowy sprzęt sygnalizacyjny, sterty noszy i – ku swemu przerażeniu – rzędy trumien. Stał tam jeszcze tuzin motocykli.

Od strony Tangi dochodziły huki, wystrzały broni palnej i karabinów maszynowych. Miało się wrażenie, że ogień wybuchał nagle w odległych zaroślach.

– Niefortunny początek – powiedział Gabriel. – Cholernie silny ogień. Łądowanie miało podobno przebiec bez walki. – Wszyscy dokoła budynku przetrwali zajęcia i spoglądali w kierunku Tangi.

– Radżputowie wyruszyli mniej więcej półtorej godziny temu – powiedział Gleeson. – Na pewno są już w mieście. Przypuszczalnie w tylnej straży.

Odgłos strzelaniny jednak nie ustawał. Niebawem wszyscy w nerwowym nastroju powrócili do swoich zajęć, jakby wyraźny brak zainteresowania z ich strony mógł wywrzeć magiczny wpływ na rozwój wypadków. Gleeson wziął kilku ludzi na plażę i wrócił ze skrzynią sucharów i świeżą wodą. Gabriel nie miał ochoty na jedzenie, ale z przyjemnością wypił kubek ciepłej wody z rumem, Alkohol podzielał nań odprężające

Co pewien czas z gaju palm kokosowych wylaniali się łącznicy i pędem wpadali do budynku, w którym mieściło się dowództwo. Nadal słyhać było strzelaninę i Gabriel pomyślał, że „tylna straż” musi stawiać opór. Zobaczył, że z budynku wychodzi sam generał Tighe i rozkazuje trzem kompaniom rezerwowym iść na pomoc Radżputom.

Gleeson znów ułożył się do snu, Gabriel jednak odczuwał podniecenie.

Poszedł do jednego z okopów pierwszej linii. Sipajowie, którzy go pilnowali, byli zdenerwowani i wystraszeni. Spostrzegł, że nie ma wśród nich oficerów angielskich. Nagle zza drzew wyskoczyło około dwunastu afrykańskich tragarzy, którzy ogarnięci przerażeniem pomknęli obok forpoczty mamrocząc coś niezrozumiałe. Gabriel odwrócił się i obserwował, jak znikają za wzniesieniem, za którym znajdowała się plaża. Ludzie w okopach spoglądali po sobie ze zdumieniem, potem z ich piersi wyrwały się okrzyki przerażenia.

Doszło do głośnych sporów, Gabriel zobaczył, jak kilku ciemnoskórych oficerów podnosi trzcinki, chcąc przywrócić porządek.

– Kim byli uciekający? – spytał Gabriel dzemadara ze srogim wąsikiem.

– Oddział karabinów maszynowych, panie kapitanie. Z pułku Radżputów.

Gabriel przełknął ślinę. A gdzie są karabiny maszynowe? Jakieś poruszenie w innym miejscu przykuło jego uwagę. Była to powracająca z pola walki pierwsza partia noszowych. Podbiegł do nich. Na noszach leżało czterech rannych Europejczyków. Biegali wokół nich sanitariusze i lekarze. Trzech rannych leżało bez ruchu, mieli otwarte usta i szeroko otwarte oczy. Mężczyzna na czwartych noszach jęczał, próbował coś powiedzieć.

– Mój Boże – szepnął do siebie Gabriel. – Sami oficerowie. – Zauważył, że jęczący oficer jest w randze podpułkownika.

– Kto to taki? – spytał nachylnego nad nim lekarza.

– Podpułkownik Codrington z 13 Pułku Radżputów.

Gabriel odwrócił się i poszedł w stronę czerwonego budynku. Widok ranych poruszył go, wzbudził trwogę. Co tu się dzieje? Gdyby Bilderbeck był na miejscu, pomyślał, mógłby to wyjaśnić. Szedł mając przed oczami mglisty obraz ludzi leżących na noszach: nie zauważył kropli krwi, spoglądał na ich twarze, odsłonięte głowy i starannie niegdyś uczesane włosy znajdujące się teraz w nieładzie.

Gabriel dołączył do Gleesona i razem patrzyli, jak druga połowa batalionu nadciąga z plaży i maszeruje prosto do gajów palmowych. Coraz więcej łączników wpadało i wypadało ze sztabu. Zainstalowano heliograf, wkrótce polecenia nadawano wprost z brzegu na okręt.

Upał dawał się coraz bardziej we znaki. Około dziewiątej słońce dopiekało tak, że Gabriel musiał schronić się w cieniu. Spoglądał na swoją kompanię, wszyscy teraz otoczeni karabinami i plecakami siedzieli w małych grupach wszędzie tam, gdzie tylko mogli znaleźć trochę cienia. Gabriel zastanawiał się, czy ma się zameldować u dowódcy brygady, ale doszedł do wniosku, że w obecnej chwili byłby dlań najmniej pożądanym gościem.

Około pół do dziesiątej gdzieś w okolicach zatoki odezwały się ciężkie działa. Wystrzelono sześć salw.

– To chyba „Fox” – powiedział Gleeson, odsłaniając w szerokim uśmiechu żółte zęby. – Ostrzał artyleryjski Tangi. Dadzą im do wiwatu.

Wkrótce usłyszeli sygnały trąbki i wrzaski dochodzące z oddali. Coraz wyraźniej słychać było odgłosy strzelaniny, która nie ustawała od godziny szóstej, kiedy to obudził się Gleeson.

– Czy to są nasze trąbki? – spytał Gabriel.

– Pewnie tak – odparł Gleeson.

– Mają chyba inne brzmienie.

Gleeson zadarł głowę.

– Tak. Inne.

Z czerwonego budynku wyszedł oficer sztabowy w randze kapitana, rozejrzał się i podszedł do nich.

– Jesteście z kompanii „A”, z 69 Palamcottahskiego? – spytał rozwlekłym tonem Gabriela. Ten potwierdził. – Dobrze, przyszedł rozkaz w waszej sprawie. Na razie zostajecie na miejscu.

– Zostajemy na miejscu? Co? Tu?

– Tak postanowiono. – Kapitan zdjął kask tropikalny i odsłaniając błyszczącą łysinę wytarł głowę chusteczką. – Potworny upał – dodał.

– Na czym stoimy? – spytał Gabriel. – To znaczy, jak przedstawia się sytuacja?

W trakcie rozmowy usłyszeli dalsze sygnały trąbki.

– Zaciekły opór na wykopie kolejowym – odparł kapitan. – Wycofujemy się. W szyku bojowym – dodał pospiesznie. – Zaczekamy na dzisiejsze lądowanie głównych sił... Muszę lecieć.

Gabriel obserwował, jak kapitan wchodzi do siedziby sztabu. Wrócił do Gleesona.

– Wygląda na to – zakomunikował – że pozostajemy na miejscu.

*

Gabriel i Gleeson stali w pewnej odległości, kiedy Radżputowie i Pionierzy w bezładnym szyku wracali do obozu. Jedni byli przestraszeni, inni rozprawiali z historycznym podnieceniem. Obserwowali, jak wnoszono na plażę i opatrywano tuziny rannych. Wkrótce teren dokoła czerwonego budynku zappełnił się wycieńczonymi żołnierzami.

– Nie jest to przyjemny widok – powiedział Gleeson. – Prawda?

W porze lunchu Gabriel poszedł do siedziby sztabu, żeby zasięgnąć dalszych informacji. Wydawało się, że lądowanie głównych sił na plażach „B” i „C” wokół cypla przebiega w normalnym tempie, tyle jednak wyładowano ludzi i ekwipunku, że zabrakło miejsca dla Palamcottahów. Prawdopodobnie zostaną na „Homayunie” przez jeszcze jeden dzień.

– Wygląda na to, że na razie nie ruszymy się stąd – poinformował Gleesona.

*

Po południu przez dwie godziny padał deszcz i wszyscy znów przemokli do suchej nitki. W normalnych warunkach Pułk Palamcottahski miał swych tragarzy i służących, którzy gotowali i troszczyli się o potrzeby żołnierzy, ale skoro ludzie ci nie wylądowali w pierwszym transporcie, należało samemu zadbać o siebie. Choć nie był głodny, Gabriel z prawdziwą przyjemnością napił się świeżego mleka kokosowego, którego było tu pod dostatkiem. Pech chciał, że godzinę później dostał ostrej biegunki. W rezultacie pod koniec pierwszego dnia pobytu na ziemi nieprzyjaciela czuł się słaby, cierpiący, a do tego przygnębiony i brudny. Udało mu się na szczęście ogolić przed ponownym wyruszeniem do siedziby dowództwa, gdzie chciał zasięgnąć informacji co do dalszych rozkazów dla Kompanii „A”.

– Rany boskie! Nic panu nie dolega? – spytał Bilderbeck. – Wygląda pan okropnie.

– Brzuch mi wysiadł – wyznał Gabriel. – Ale co nowego?

– Cholerna jatka, ot co – odparł gwałtownie Bilderbeck. – Cholerna jatka.

– Co pan tam trzyma, jeśli wolno spytać? – zaciekał się Gabriel.

Bilderbeck stał w połowie schodów prowadzących na pierwsze piętro. Trzymał jakiś węzełek wyglądający na bieliznę damską.

– Bieliznę damską – odparł. – Dzięki gospodyni, która nas opuściła, będę miał dziś w nocy miękkie posłanie. Nie uwierzyłby pan – obejrzał się na prawo i lewo, żeby się upewnić, czy nikt nie podsłuchuje – zgubiłem poduszkę. – Wybuchnął gromkim śmiechem. Gabriel odpowiedział nerwowym chichotem. – Niech pan weźmie kilka halek – zaproponował Bilderbeck i pozbył się połowy węzełka. – Nie ma sensu spać na gołej ziemi.

Gabriel poszedł za nim na skrawek pstrokatego trawnika, ciągnącego się przed domem od strony lądu, i obserwował, jak tamten mości sobie posłanie z liści palmowych i damskich halek.

– Co się dzisiaj wydarzyło? – znów spytał Gabriel. – Odniosłem wrażenie, że nie wszystko przebiegało zgodnie z planem.

– Mówiąc ogólnie – odparł Bilderbeck i końcem buta poprawił prowizoryczne posłanie. – To wina tej cholernej, przeklętej, głupiej floty i tyle – dodał. – Wszystko przez to idiotyczne zawieszenie broni. Kiedy wczoraj rano „Fox” wszedł do Tangi, żeby zerwać wcześniejsze porozumienie, zasygnalizował Niemcom o naszym ataku z dwudziestoczworgodzinnym wyprzedzeniem. Von Lettow-Vorbeck miał dość czasu, by ściągnąć kolejną swe wojska z Moszi.

– A więc Tanga była p u s t a?

– Tak, pusta.

– A teraz jest dobrze przygotowana do obrony.

– Z każdą godziną coraz lepiej. – Twarz Bilderbecka rozjaśnił na sekundę anielski uśmiech. Wyciągnął z kieszeni kapciuch i podał Gabrielowi.

– Fajkę? – spytał.

– Nie, dziękuję. – Gabriel wyjął papierośnicę i zapalił papierosa.

– A więc jutro ruszamy do ataku – powiedział, czując lekki ucisk w pierśsiach. – Czy Północni Lancasterczycy już wylądowali?

– Tak. Będą walczyć na lewym skrzydle.

– Dobrze – odparł Gabriel. Jego zdaniem batalion wojsk brytyjskich zupełnie zmieniał sytuację.

– A co z prawym skrzydłem? – spytał Bilderbeck, wypowiadając głośno ciche obawy Gabriela. – Kto, na Boga, będzie na prawym? Banda cholernych tchórzy, i tyle.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

3 LISTOPADA 1914 ROKU
TANGA, NIEMIECKA AFRYKA WSCHODNIA

Następnego ranka podszedł do Gabriela powolnym krokiem ten sam łysy kapitan i powiedział, że jego kompania razem z 13 Pułkiem Radżputów ma zająć pozycję środkową w ataku na Tangę. Gabriel ustawił żołnierzy w szeregu i sprawdził ich uzbrojenie. Poleciał subadarowi Rahmanowi zrobić wszystko, co może, by zagrzeć do walki apatyczny oddział. Około dziesiątej trzydzieści powiedziano im, gdzie mają zająć pozycję wyjściową. Gabriel po raz pierwszy oddalił się nieco od siedziby sztabu, zdumiał go widok tysięcy żołnierzy stojących w nierównych kolumnach na miejscu zbiórki, które znajdowało się między dwoma budynkami.

Od przyczółka w głąb ładu prowadziły drogi gruntowe, które zniknęły gdzieś w gajach palmowych.

Kompania „A” zajęła wyznaczoną pozycję. Gabriel obejrzał się na biały budynek i zobaczył zbitych w gromadkę trzech generałów z adiutantami. Wydawali rozkazy, a oficerowie sztabowi biegali i sprawdzali stanowiska rozmaitych jednostek.

Po godzinie stania w coraz większym upale kompania Gabriela i ustawieni na wprost nich Radżputowie dostali rozkaz przesunięcia się w zarośla trzysta metrów dalej. Gabriel ruszył za Radżputami. Po marszu w terenie zmierzali w stronę dającej cień plantacji drzew palmowych. Obejrzał się i miał wrażenie, że widzi cały batalion Północnych Lancasterczyków przegrupowujących się za nimi, by zająć pozycję na lewym skrzydle. Widok żołnierzy brytyjskich, o czerwonych, ogorzałych twarzach, ubranych w same koszule, ogromnie podniósł Gabriela na duchu. Jego ludzie nadal zachowywali się milcząco i nerwowo. Nie poprawiła zbytnio nastroju ożywiona gadanina subadara Rahmana. Gleeson, ku zdumieniu Gabriela, zachowywał się dość beztrzesko, pogwizdywał cicho przez żółte zęby.

W miarę, jak posuwali się w głąb plantacji, pokonując coraz gęściejsze zarośla między jasnoszarymi pniami drzew. Gabriel stracił z oczu wszystkich, z wyjątkiem własnych ludzi i tyłów idącej przed nim kompanii. Ktoś zawołał: „Stój!” – kolumna się zatrzymała. Z prawdziwą ulgą znaleźli się w cienistym miejscu, poza zasięgiem słońca. Na odprawie Radżputów, w której uczestniczył Gabriel, polecono im wesprzeć Strzelców Kaszmirskich (ci, zdaniem Gabriela, znajdowali się przed nimi w obrębie plantacji), ponadto mieli zająć i zabezpieczyć nabrzeże oraz pomieszczenie urzędu celnego od strony doku. Tanga, jak ich poinformowano, była w odległości około dwóch kilometrów. Pomiędzy nimi a miastem znajdowały się plantacje palm kokosowych i drzew gumowych, miejscowy cementarz, rów i głębokie wykopy kolejowe. Atak, jaki przypuszczono poprzedniego dnia, sprawił, że przeciwny kraniec wykopu stanowił pierwszą linię obrony nieprzyjaciela.

Gabriel spojrzął na zegarek. Za dwadzieścia dwunasta. Natarcie miało się zacząć w samo południe. Z prawego i lewego skrzydła słyszał wykrzykiwane rozkazy, gwizdy, sygnały trąbek – odgłosy nieudolnego formowania się dwóch brygad. Zatrzeszczały zarośla, młody oficer sztabowy przedarł się przez gąszcz i podszedł do Gabriela. Bluzę miał zakurzoną, mokrą od potu. Sprawdził coś w małym notatniku.

– Czy to 101 Pułk Grenadierów? – spytał.

Gabriel zaprzeczył i poinformował, kim są. Oficer znów zajrzał do notatnika.

– Rany boskie – wymamrotał, potem spytał: – A więc nie widział pan Północnych Lancasterczyków?

Gabriel odparł, że są gdzieś na lewym skrzydle. Radżputowie wysunęli się do przodu, a Strzelcy Kaszmirscy, o ile mu wiadomo, znajdują się w straży przedniej.

– Zgadza się – powiedział oficer. – Mniej więcej w porządku.

– Może wie pan, gdzie stoją Palamcottahowie? – spytał Gabriel.

– Chyba za Północnymi Lancasterczykami – odparł bez większego przekonania. – Przy okazji, czy moglibyście uformować się w tyralierę, a nie w kolumnę? Postanowiliśmy nacierać w szyku tyralierskim.

Zniknął w zaroślach, a Gabriel i Gleeson z trudem ustawiali spoconych i udreżonych ludzi.

Dziesięć minut po dwunastej dano trąbką sygnał do ataku. Gabriel machnął ręką na znak, by ruszyli do przodu – szyk zaczął falować i załamywać się, kiedy pokonywali gęściejsze zarośla, omijając nieprzebyte cierniowce i kępy bambusów. Gabriel i Gleeson, idący w środku, trafili na ledwo widoczną ścieżkę, prowadzącą we właściwym kierunku, wkrótce jednak się urwała. Po pół godziny żmudnego marszu wydostali się na teren plantacji drzew gumowych. W dali, przed nimi, Gabriel dostrzegł znikające tyły Radżputów.

– Naprzód! – krzyknął do swoich ludzi. – Szybciej.

Spocony, zdyszany łącznik-tubylec podał mu kartkę.

Kapitan Pułku Północnych Lancasterczyków informował, że tworzy się luka między nimi a Radżputami, toteż byłby wielce zobowiązany, gdyby Radżputowie odbili trochę w lewo. Gabriel posłał łącznika do Radżputów, sam zastanawiając się, w którą wobec tego stronę ma iść ze swymi ludźmi. W czasie szybkiego marszu rozglądał się po plantacji drzew gumowych. Nie widział nawet skrzydeł własnej kompanii. Posłał Gleesona, aby sprawdził, czy wszystko w porządku. Uprzytomnił sobie, że idzie dużymi krokami, jakby był na wycieczce krajoznawczej, a nie w drodze do natarcia. Nieśmiało wyjął rewolwer z kabury i trzymał go w pogotowiu.

Za plantacją napotkali gęściejszy las z wysoką trawą, pnączami i niskimi zaroślami, więc znów posuwali się wolniej. Gabriel bez powodzenia próbował wyobrazić sobie natarcie jakby z lotu ptaka – trzy tysiące ludzi atakujących Tangę. Teraz pot spływał z niego obficie. Zakurzone owijacze i spodnie rozdarte były w wielu miejscach przez kolczaste chaszczce. Zdjął kask i dłonią otarł czoło. Włosy miał zupełnie mokre, jakby je zanurzył w miednicy z ciepłą słoną wodą.

Myśl o miednicy z wodą, nawet ciepłą i słoną, przyniosła uczucie wielkiego pragnienia. Miał właśnie poprosić o wodę, kiedy zdał sobie sprawę, że nie ma obsługi, nie wylądowała razem z kompanią. Spojrzał na zegarek. Była druga. Już od dwóch godzin przedzierają się przez zarośla. Nie miał pojęcia, jak daleko jest Tanga. Uderzyło go to, że rozkaz ruszenia do ataku w najupalniejszej porze dnia nie był najrozsądniejszy. Gleeson poinformował, że kompania utrzymuje jaki taki szyk. Pięciu ludzi zemdlalo wyczerpanych upałem – odesłał ich na tyły. Zobaczył rewolwer w ręce Gabriela i wyjął własny z kabury.

– Sądzi pan, że wypali? – spytał z nerwowym uśmiechem. – Mam na myśli atak, nie moją broń.

Gabriel zdał sobie sprawę, że Gleeson, podobnie jak on, nigdy nie brał udziału w akcji. Była to ich pierwsza bitwa. Z zadowoleniem stwierdził, że nie czuje cienia strachu. Rozejrzał się dokoła po ludziach. Widać, że byli napięci, ale cóż w tym dziwnego. Karabiny trzymali na wysokości piersi, z zatkniętymi bagnietami połyskującymi w nielicznych promieniach słońca, którym udało się przedrzeć przez baldachim z liści.

Nagle z przodu usłyszeli odgłos strzałów i wybuch okrzyków pomieszanych z oznakami radości. W tym momencie kompania Gabriela pokonywała wyjątkowo gęste zarośla i trudno było zorientować się w sytuacji. Gabriel słyszał terkot broni maszynowej, bardziej kontrolowany i regularny niż nierówne wystrzały zwykłych karabinów.

– Tutaj – krzyknął Gleeson. – Jest tu jakaś droga.

– Tędy – zawołał Gabriel do indyjskich oficerów.

Z trudem przedzierał się przez gęstą trawę w kierunku traktu. Kiedy już był

na drodze, usłyszał tupot nóg – odgłos biegnących ludzi. Nagle zza zakrętu ukazał się wielki tłum, całe tuziny indyjskich żołnierzy, uciekających przed ostrzałem co sił w nogach. Gabriel odwrócił się szybko. Naraz, dokoła, dostrzegł żołnierzy uciekających w panice przez poszycie leśne, pędzących na oślep pod drzewami, przemykających w plamach słońca i pstrokatego cienia. Ku swemu przerażeniu zobaczył, że część jego ludzi przyłącza się do panicznej ucieczki i zatrzymuje się tylko po to, by odrzucić broń.

Przykucnął za drzewem i wycelował rewolwerem w kierunku drogi: myślał, że ujrzy szarżę niemieckich askarysów, podążających tuż za uciekającymi. Strzelanina w przodzie trwała nadal z tym samym napięciem, nikt się jednak nie pojawiał. Gabriel wstał i wymienił z Gleesonem zdumione spojrzenia. Co się dzieje? Zabrali pozostałych ludzi i ruszyli przed siebie. Wkrótce las zaczął się przerzedzać, droga skończyła się przy dużym polu dojrzałej kukurydzy, która wyglądała, jakby stratowały ją i zmiażdżyły stopy olbrzyma. Tutaj ujrzeli pierwsze ciała zabitych, ich widok zdjął trwogą resztę sipajów z kompanii „A”.

Ocalałe łodygi kukurydzy ograniczały pole widzenia. Gabriel spojrzał na prawo, gdzie powinni być Strzelcy Kaszmirscy. Po lewej znajdowali się Lojalni Północni Lancasterzy. Gdzie są Radżputowie? Czy możliwe, żeby wszyscy uciekli? A może zbczyli z właściwej drogi na plantacji palm kokosowych? Co znajduje się za polem kukurydzy? Ręką dał żołnierzom znak, żeby się pochylili, a sam wyjął mapę. Nie mógł określić położenia.

Rzucił pobieżnie okiem dokoła, starając się nie patrzeć na leżące pokotem martwe ciała. Strzelanina trwała nadal z lewej i prawej strony, ale z przodu jakby ucichła.

Gleeson przyczołgał się do niego z tyłu.

– Łącznik ze sztabu – powiedział.

Gabriel stwierdził, że Gleeson nie wygląda najlepiej. Łącznik przekazał rozkaz od generała brygady Wapshore'a następującej treści: „Niech wasi ludzie połączą z przodu lewe skrzydła i pójdą w kierunku tego punktu, żeby okrążyć prawe skrzydło nieprzyjaciela”. Jakiego punktu? – zadał sobie pytanie Gabriel. Uniósł na próbę lewe ramię, ale nie wyjaśniło to sytuacji. Odwrócił kartkę i zobaczył prowizoryczną mapkę z wyraźną strzałką. Nie było nazwy pułku. Na pewno ten rozkaz nie jest skierowany do niego. Odwrócił się, żeby zapytać łącznika, ale ten już zniknął.

Nie pozostało nic innego jak tylko iść przed siebie. Ruchem ręki dał ludziom znak, żeby szli naprzód i na czele swej kompanii „A” ruszył ostrożnie przez pole kukurydzy. Śmierć zebrała tu obfite żniwo: przemknęło mu przez myśl, że karabiny maszynowe musiały być uprzednio wycelowane w ten punkt. Na skraju pola padł na ziemię usiłując się rozejrzeć. Teren był nie zadrzewiony – porastała go sucha trawa i nieliczne akacje – a także zupełnie płaski. Pięćdziesiąt metrów przed sobą zobaczył rów porośnięty zieleńszą trawą i płożącymi krzewami, a za

nim wykop kolejowy. Po prawej ręce miał lekkie wzniesienie zajęte przez wojska brytyjskie i oddział karabinów maszynowych strzelający krótkimi seriami w kierunku miasta. Za wykopem spostrzegł wśród drzew schludne białe miejskie budynki. Nieco dalej, na prawo, widać było morze i dwa transportowce stojące w pewnej odległości od brzegu. Z lewej strony widok zasłaniała plantacja młodych drzew gumowych. Dochodziły stamtąd odgłosy silnej strzelaniny. Północni Lancasterczycy, domyślił się, są w największym ogniu walki.

– Co o tym myślisz? – spytał Gleesona, który podczołgał się do niego.

– Radżputowie chyba się całkiem wynieśli – odparł tamten. – Kompromitacja.

– To prawda – przyznał Gabriel. Zastanawiał się, co dalej. – Chyba powinniśmy nacierać na miasto. Na pewno strzelali do Radżputów, dlaczego nie strzelają do nas?

– Dobre pytanie – odparł Gleeson z bladym uśmiechem na twarzy.

– Chodźmy – powiedział Gabriel i podniósł się z ziemi. Przyłożył gwizdek do ust i wydał przeciągły sygnał. – Dalej naprzód! – krzyknął do swych ludzi.

Ruszył pędem, wpółzgięty, w kierunku rowu, nie mógł jednak biec szybko, bo rosła tam wysoka po kolana trawa. Oskoczył za wrzecionowate drzewo akacji. Wydawało mu się, że za wykopem kolejowym widzi kłęby dymu. Strzelano do niego! Nagle, ku najwyższemu zdumieniu Gabriela, „posypał się grad pocisków”. To określenie przyszło mu do głowy mimowolnie. Wiedział, że jest to wyświechtany frazes, ale nie spodziewał się, iż może wiernie oddawać rzeczywistość: miał przed oczami czarne kropki i cętki przesywające ze świstem powietrze. Poczul nagle piekący ból szyi. Dostał! Boże, tylko nie w szyję. Potknął się, biegł jednak dalej przykładając rękę do rany, żeby zatamować krew, a pociski brzęczały i huczały w powietrzu. Ale zaraz, zaraz, to nie pociski, to pszczoły! Zatrzymał się i odwrócił. Jego ludzie skakali, wili się na ziemi jak epileptycy – atakowały ich miliardy pszczoł. Zobaczył, jak Gleeson wymachuje zapamiętałe kaskiem. Powietrze aż drgało od migotliwych, atakujących wściekle czarnych owadów. Z przerażeniem zobaczył, że rozproszone resztki jego oddziałów podrywają się z ziemi i na łeb na szyję biegną w pole kukurydzy. Gabriel nabrał powietrza w płuca i najgłośniej, najprzenikliwiej, jak tylko potrafił, dmuchnął w gwizdek, chcąc powstrzymać żalostną rejteradę żołnierzy, ale zniknęli już gdzieś, uciekając przed chmarami atakujących pszczoł.

– O Boże – jęknął Gleeson i zataczając się podszedł do Gabriela. – Jestem niemal zakłuty na śmierć! – Ręce miał napuchnięte i pokryte guzami, a na policzkach i szyi wystąpiły obrzęki – wyglądał teraz jak prostak, jak niedorozwinięty. – Proszę spojrzeć – wskazał ręką Gleeson. Na akacji Gabriel zobaczył coś, co przypominało szereg wąskich podłużnych beczek. Wokół nich nadal krążyło parę pszczoł. – Cholerne tubylcze ule – płakał Gleeson z wyciągniętymi przed siebie rękami, wyglądał jak piesek salonowy. Puchły w zastraszającym tempie.

Nagle Gabriel zdał sobie sprawę, że stoją pośrodku pola walki. Obejrzał się na kopiec i zobaczył ludzi z obsługi karabinów maszynowych wymachujących wściekle rękami, jakby atakowali ich niewidzialni napastnicy. Za wykopem dostrzegł kilku niemieckich askarysów ratujących się ucieczką do warsztatów kolejowych. Spojrzał na Gleesona, który jęczał w strasznym bólu, jego ręce przypominały teraz dobrze wypchane rękawice do krykieta.

Potem z trawy zaczęły się unosić lekkie tumany kurzu.

– Naprzód, Gleeson, do rowu. – powiedział Gabriel.

Przebiegli kilka metrów i wskoczyli do ponad metrowego rowu. Gabriel zapadł się po kostki w mulistej mazi. Z westchnieniem ulgi Gleeson zanurzył piekące ręce głęboko w błocie.

– Niech pan obłoży mi nim szyję – zawołał, a Gabriel ochlapał mu oburącz policzki i szyję smrodliwą mazią. Jego własne uklucia pulsowały boleśnie, ale wyszedł z opresji bez większych obrażeń.

Podczas gdy Gleeson łagodził ból rąk, Gabriel wysunął się ostrożnie z rowu i ogarnął wzrokiem pole kukurydzy. Ani śladu jego ludzi. Zauważył, że karabin maszynowy na kopcu znów zaczął strzelać.

– Ani śladu ludzi – powiedział do Gleesona.

– Świnie – zaklął tamten siarczyście. – Tchórzliwe świnie!

– Możesz się ruszać? – spytał Gabriel. – Posuwajmy się dalej rowem. W tym miejscu nie przejdziemy wykopu.

Gleeson skinął głową, oczy miał zamknięte, dolną wargę przygryzioną żółtymi zębami.

Pochyleni, ruszyli rowem w kierunku morza; po drodze przeszli ostrożnie nad ciałami kilku żołnierzy, inne odsunęli na bok. Gleeson trzymał przed sobą umazane błotem ręce, jakby były świeżo ulepione z gliny – i niezwykle kruche. Wkrótce dotarli do miejsca, gdzie na obrzeżu rowu rosły krzaki i ciemiste krzewy. Gabriel wykorzystał to, żeby wyrzeć i ocenić sytuację.

Wysunął ostrożnie głowę. Miał z tej pozycji lepszy widok na miasto. Zobaczył duży kamienny budynek ze stromym dachem, pokrytym dachówką i napisem „Deutscher Kaiser Hotel”. W tym momencie opuszczono z masztu niemiecką flagę.

– Chyba weszliśmy do miasta – zawołał do Gleesona. – Jak ci się zdaje, która godzina? – Gdzieś po drodze zgubił zegarek.

– Sądzę, że dochodzi czwarta – odparł Gleeson. – Nie widzę tarczy. Zamazana błotem.

Gabriel oczyścił ją. Zegarek Gleesona zatrzymał się na trzeciej dziesiątej.

– Niestety, zegarek stoi – powiedział.

Gabriel spojrzął w lewą stronę. Zobaczył żołnierzy w białych mundurach poruszających się za wykopem kolejowym – przebiegali między budynkami.

– Północni Lancastercy są za wykopem – poinformował.

Gleeson podczołgał się na łokciach do Gabriela.

– Co zrobimy? – spytał. – Ogromne dłonie trzymał tuż przed twarzą, niczym jakiś groteskowy chirurg czekający na założenie gumowych rękawic.

– Chodźmy tam – zaproponował Gabriel. Nic innego nie przychodziło mu do głowy.

– Zgoda.

Pognali przez niewielki skrawek ziemi do wykopu kolejowego, ześliznęli się w dół, potem przeszli przez szyny i z trudem wspięli się na przeciwny, wysoki na jakieś dziesięć metrów nasyp. Przebiegli przez ogródki warzywne i przy padli do ziemi kryjąc się za domem z gliny i kamienia.

– Hej, wy tam! – usłyszeli czyjś głos i spojrzeli w górę. Za kamiennym murem skryło się pół tuzina Lancasterzyków.

– Znacie hindi? – wykrzyknął kapral z silnym akcentem lancasterskim.

Gabriel i Gleeson podczołgali się do muru.

– Och, przepraszam, panie kapitanie. To przez tych pieprzonych czarnuchów z Kaszmirskich Strzelców. Tam na drodze. Ile razy wychylamy się, strzelają do nas, skurwysyny.

– Znam hindi – zaoferował się Gleeson.

Wygląda dziwacznie, pomyślał Gabriel, połowa twarzy umazana błotem. Gleeson podczołgał się z kapralem do pobliskiego domu i wkrótce Gabriel usłyszał, jak wykrzykuje rozkazy. Wyjrzał zza muru. Zobaczył ładną ulicę z parterowymi białymi domami z gliny i kamienia. Ciała zabitych żołnierzy leżały na środku ulicy w znanej już Gabrielowi nieprzyzwoitej pozie, z rozrzuconymi nogami. Nie umiał powiedzieć, czy to trupy swoich, czy wrogów.

– Musiała się tu odbyć zacięta walka – odezwał się Gabriel.

– Tak, panie kapitanie. Dostaliśmy sygnał do odwrotu. W każdym z tych cholernych domów są Szkopy. A te głupie małpy wciąż do nas strzelają. Pilnują mostu nad wykopem. Żaden z nich nie zna angielskiego – przerwał. – Gdzie porucznik tak się urządził, panie kapitanie? Jeśli wolno spytać.

– Użądliły go pszczoły. Zaatakowały całą moją kompanię i przepędziły z pola walki.

– Pszczoły?

– Tak, całe roje pszczoł.

Kapral potrząsnął głową z podziwem.

– To sztuczka Szwabów, prawda? Zdumiewające. O wszystkim pomyślał.

Gabriel znów wyjrzał zza muru. Popołudniowe słońce chyliło się ku ziemi, długie cienie kładły się na drodze. Zobaczył, jak do budynków wpadają jacyś

ludzie, po czym wypadają i zbliżają się do nich: trzech Europejczyków i około trzydziestu askarysów z bagnietami na karabinach.

Zobaczył, że jeden z oficerów, nie podejrzewając niczego, stanął przed szczytową ścianą domu. Bez chwili namysłu Gabriel wycelował z rewolweru i strzelił, zanim oficer zdążył rzucić się w stronę drzwi, tuż za jego głową spadł ze ściany duży kawał tynku. W odpowiedzi nastąpiła natychmiast gęsta strzelanina. Gabriel skrył się za murem. Przeklinał, że tak źle wymierzył: zazwyczaj świetnie strzelał. Stwierdził, że drży z podniecenia, serce podeszło mu do gardła. Usłyszał grad pocisków przelatujących obok głowy i grzechotanie karabinu maszynowego; pociski z brzękiem odbijały się rykoszetem od kamiennego muru.

– Chcemy się stąd wynieść, kapitanie – powiedział jeden z Północnych Lancasterczyków. – Nie chcemy wpaść w łapy tym szkopskim czarnuchom. – Żołnierze spuścili głowy.

Kapral wysunął się ostrożnie z budynku.

– Teraz, panie kapitanie, droga wolna. Możemy iść.

– Zaczekajcie – odparł Gabriel. – Gdzie porucznik Gleeson?

– Dostał, panie kapitanie. Trafili go tą ostatnią serią.

– Poczekajcie tutaj – rozkazał Gabriel i wpadł jak strzała do domu.

Zajrzał do kilku pokoi. Ujrzał mosiężne łóżko, tanie drewniane meble. W ostatnim pokoju znalazł Gleesona leżącego twarzą do podłogi, pod oknem, skąd krzyczał do Strzelców Kaszmirskich. Ściana na wprost okna była podziurawiona pociskami. Przeraziła go nagle myśl, że ponosi odpowiedzialność za tę śmierć. Gdyby nie strzelił do tego Niemca... Z pochyloną głową odwrócił ostrożnie ciało i o mało nie zemdlął. Jeden bądź kilka pocisków oderwało Gleesonowi całą szczękę nie naruszając przy tym języka. Różowo-purpurowy zwisał teraz luźno, jak gruby mięsisty krawat. Górna warga była cofnięta, odsłaniając rząd żółtych zębów i jasny wąsik obryzany zeschniętym błotem i krwią. Najbardziej przeraził go widok wybaluszonych oczu Gleesona i lekko drgającego języka. Gabriel jęknął słabo, zdając sobie sprawę, że Gleeson jeszcze żyje; zauważył, że krew tryska z tylnej części szyi. To niezwykle, pomyślał oszołomiony, jak duży jest ludzki język widziany w całej okazałości. Wyczołgał się z pokoju na czworakach i zwymiotował w drzwiach. Biedny Gleeson, pomyślał, biedny stary Gleeson.

Po kilku minutach wstał i podszedł do bocznych drzwi. Po Lancasterczykach nie było śladu. Odeszli nie czekając na niego. Zastanawiał się, gdzie są Niemcy. Wrócił do ostatniego pokoju, odwracając wzrok od Gleesona. Wskoczył przez okno na podwórkę i przedarł się przez żywopłot odgradzający ogród. Potężny huk ognia armatniego dochodził od strony nadbrzeży, wokoło nie było żywego ducha. Był sam. Przebiegł przez polną drogę i ześliznął się do wykopu kolejowego. Gdzieniegdzie leżały rozrzucone ciała sipajów, niektórzy jeszcze żyli, bo słyszał jęki i krzyki.

Przedostał się na drugą stronę. Zobaczył zarośla z rosnącymi z rzadka drzewami, oddzielające go od bezpiecznego lasu i plantacji palm kokosowych. Z pochyloną głową, co sił w nogach, przebiegł dwustumetrowy odcinek porośnięty rzadszą roślinnością, skakał przez nierówności terenu i krzaki, przeskakiwał niezliczone ciała zabitych i konających. Mimochodem spostrzegł, że martwe ciało staje się częścią ziemi, jakby ta spieszenie chciała odzyskać swoją własność... Zdał sobie sprawę, że jest w silnym szoku. Widok okropnych ran biednego Gleesona wytrącił go z równowagi. Uspokoi się w lesie, zbierze siły, a potem wróci i spróbuje mu pomóc. Spróbuje zanieść go do punktu sanitarnego.

Przedarł się przez pierwsze upragnione gąszcza, wyszedł na otwartą przestrzeń, zawadził o coś nogą i upadł jak długi. Znalazł wgłębienie w ziemi i podczołgał się do niego. Leżał na wznak, zasłaniając oczy ręką, pierś falowała ze zmęczenia.

Nagle usiadł. Trudno w to uwierzyć, ale chyba drzemał przez kilka sekund. Miał potworny, pulsujący ból głowy. Czuł nieprzyjemny smak w ustach od zaschniętej śliny i suchość gardła. Od strony miasta dochodził nie słabnący ogień armatni. Objął rękami głowę, poczuł się nagle potwornie zmęczony i wzburzony doznanymi przeżyciami. Podciągnął nogi, złożył głowę na kolanach, potarł o nie czoło.

Wyjął rewolwer z kabury. Ręce jakby należały do innej osoby. Czarne od brudu, podrapane, z silnie krwawiącym kłykiem (kiedy się to stało?), napuchnięte od pęcherzy i odcisków. Słyszał głośnie wystrzały dział okrętowych i postanowił przedzierać się w kierunku strzelaniny. Z miasta, od strony morza, dochodziły odgłosy walki. Ruszył z miejsca. Po jakimś czasie doszedł do jednego z licznych traktów prowadzących ze wschodu na zachód, wzdłuż cypla od Ras Kasone do Tangi. Przez chwilę rozważał, czy zawrócić na plażę, czy pójść raz jeszcze do miasta. Z niechęcią skierował się do Tangi.

Nie uszedł więcej niż dwadzieścia metrów, kiedy zobaczył nadbiegającego ścieżką Bilderbecka.

– Cobb! – wykrzyknął Bilderbeck. – Z nieba mi pan spada! – Jakby spotkali się na schodach klubu, chwycił Gabriela za ramię. – Tędy – powiedział i odprowadził go trochę dalej od drogi. Tu, pod osłoną nasypu ziemnego, zobaczył skulonych przy ziemi siedmiu sipajów radzputańskich.

– Niech pan im każe się podnieść – powiedział Bilderbeck. – Niech pan im każe zająć na drodze pozycje strzeleckie.

– Niestety, nie znam ich języka – odparł Gabriel przepraszającym tonem.

– Co? Och, nic nie szkodzi.

Bilderbeck ruszył przed siebie i zaczął brutalnie trącać sipajów, chcąc ich zmusić do powstania. Wrzeszczał przy tym „Wstawać!” i popychał ich w kierunku miasta i strzelaniny. Dwóch usłuchało niechętnie, wzięło karabiny i

ociągając się ruszyło ciężkim krokiem. Inni pozostali w tym samym miejscu, jęcząc cicho i zawodząc. Bilderbeck wyciągnął rewolwer i grożąc im wystrzelił w nasyp; powstało zamieszanie, bo owładnięci panicznym lękiem sipajowie poderwali się z ziemi. Biegali dokoła, najwidoczniej przestraszeni tym, co może zrobić ten szalony Anglik wymachujący bronią.

Jeden sipaj nie ruszył się z miejsca. Siedział w kucki, zgarbiony, uniósł lekko rękę broniąc się przed ciosem, mamrotał coś pod nosem jak oszalały.

– Wstań, ty plugawy tchórz! – ryknął wściekły Bilderbeck. Ale człowiek ten niczego nie słyszał. Dalej mamrotał jak pomyłony wysokim, piskliwym głosem, ślina ciekła mu po brodzie. – Ostrzegam – powiedział Bilderbeck.

Gabriel nie mógł uwierzyć własnym oczom. Bilderbeck wymierzył z rewolweru w głowę sipaja z odległości zaledwie kilkunastu centymetrów.

– Rozkazuję ci – głos Bilderbecka był lodowaty i zdecydowany – wstać i zająć pozycję strzelecką na końcu drogi.

Mężczyzna wpatrywał się ponuro w broń.

– No dobra – rzekł ze złością Bilderbeck i pociągnął za spust.

Na odgłos strzału Gabriel wzdrygnął się instynktownie.

Kula trafiła sipaja tuż nad lewym uchem, jego głowa nagle drgnęła, przechyliła się na jedną stronę, a on sam osunął się do tyłu jakby w głębokim omdleniu. Rozległo się ciche plaśnięcie, gdy kawałki mózgu padły na liście krzewów rosnących za nim. Pozostali sipajowie natychmiast, z okrzykami trwogi, popędzili drogą. Bilderbeck pobiegł za nimi, wymachując rewolwerem i krzycząc.

Gabriel spuścił wzrok. Na czubku buta błyszczała szaroróżowa kropelka, przypominająca obraną krewetkę. Wzdrygnął się, wytarł but o ziemię i pobiegł za Bilderbeckiem.

Wkrótce dotarli do bardziej otwartej przestrzeni nad morzem, wyglądającej na linię frontu. Grupy żołnierzy kryły się za drzewami i głązami, dwa karabiny maszynowe zabezpieczyły polną drogę.

Doraźna egzekucja zupełnie nie poruszyła Bilderbecka. Powiedział Gabrielowi, że to już trzeci podobny przypadek tego dnia. Gabriel poczuł mrowienie i drżenie ciała, jakby pod wpływem doznanego wstrząsu i wyczerpania miał lada chwila zemdleć.

Zajął pozycję za usypiskiem skał. Obserwowali kompanię Północnych Lancasterczyków, wycofującą się w jako takim porządku od strony urzędu celnego i szop wokół ledwo widocznego nabrzeża. Przyglądając się uważnie Gabriel dostrzegł niemieckich askarysów, którzy przemykali się boczną uliczką, żeby ponownie zająć opuszczone teraz budynki. Z pozycji brytyjskich odezwał się nierówny osłaniający ogień i zaterkotał jeden karabin Maxima.

– Cholerny dzień – rzekł ponuro Bilderbeck. – Wszyscy próbowali ucieczki. Powinien pan być zobaczyć plaże. Masowa panika. Ludzie płynęli wplaw do

barek. Obrzydliwe! – Obrzucił Gabriela srogim uśmiechem. – A gdzie twój żołnierz?

Powiedział Bilderbeckowi o ataku całych rojów pszczół, o ważniejszych nieoczekiwanych i dziwnych wydarzeniach dnia.

– Jak przedstawia się sytuacja? – spytał, starając się nie myśleć o Gleesonie.

– No cóż, na lewym skrzydle jesteśmy kompletnie rozgromieni. W 101 Pułku Grenadierów pięćdziesiąt procent strat w ludziach. To wina tych cholerycznych tchórzy, dezertów, to przez nich załamała się linia obrony. Miasto było silniej ufortyfikowane i bronione, niż oczekiwaliśmy. Każdy budynek to twierdza. Brak organizacji, źle przeprowadzony atak i zepchnięte do tyłu lewe skrzydło sprawiły, że musieliśmy oddać nieliczne pozycje zdobyte w mieście.

– Wszystko poszło źle – powiedział Bilderbeck, jakby to była osobista zniewaga. – Nawet nasz generał nie miał zapału do walki.

Gabriel poczuł nagle przemożne pragnienie snu.

– Powiniem chyba spróbować przedostać się do moich ludzi – powiedział niewyraźnie.

– Teraz pewnie są już na plaży – zadrwił Bilderbeck.

Wyjął z kieszeni mapę i rozłożył ją na ziemi. Gabriel pomyślał, że należałoby zlikwidować mapy. Starają się nadać światu jakiś porządek i ład, których ten nie posiada. Ujrzał napis „Gaje palm kokosowych”. Brzmiało to dla ucha przyjemnie, kojąco. Nie kojarzyło się z płataniną duszącego poszycia, przez które z trudem przedzierał się w południe.

Palec Bilderbecka zakreślił na mapie półkole od miejscowego cmentarza po rów, potem znów do wybrzeża.

– Teraz jesteśmy tutaj. – Bilderbeck postukał w punkt przed budynkiem zaznaczonym jako szpital. – Szpital jest tuż za nami, z widokiem na morze. Znajdzie pan może część swoich ludzi na lewo od linii ataku, przy cmentarzu. Jest tu sporo oddziałów Północnych Lancasterczyków i Grenadierów. Proszę iść z powrotem tą drogą i skręcić w pierwszy trakt na prawo, oznakowany czerwono-białym słupem. Zaprowadzi pana do cmentarza.

Odczołgivali się od linii frontu, aż miasto zniknęło im z oczu, potem podnieśli się z ziemi.

– Powiniem się dostać do sztabu – powiedział Bilderbeck z pochmurnym spojrzeniem. – Do zobaczenia, Cobb. – Zniknął za grubym drzewem i ukazał się z rowerem, wsiadł na niego i szybko odjechał.

Gabriel udał się niespiesznie w tym samym kierunku drogą pełną teraz wojska, które samowolnie zawracało w stronę plaży, na miejsce porannego zgromadzenia. Przejeżdżając obok poszczególnych grup, Bilderbeck rzucał potok obelg i przekleństw, ale zmaltretowani i wyczerpani ludzie ignorowali go zupełnie.

Niebawem Gabriel doszedł do traktu skręcającego w prawo, na co wskazywał czerwono-biały słup. Przynajmniej oficerowie sztabowi wykonali swoje obowiązki. Szedł dalej coraz węższą ścieżką, bez przekonania odgarniając pnącza czepiające się twarży. Słońce chyliło się ku zachodowi oświetlając czubki drzew pomarańczowym blaskiem. W miarę jak podchodził bliżej do lewego skrzydła pozycji brytyjskich, odgłos strzelaniny stawał się coraz głośniejszy. Nie zwracał jednak na to uwagi. Stanowiła ona teraz część naturalnego krajobrazu, podobnie jak cykanie świerszczy bądź nawoływania ptaków.

Wkrótce doszedł do cmentarza. Był to duży teren oczyszczony z krzewów i drzew, z kilkoma z rzadka rozrzuconymi grobami. Przeważały zwykle cementowe cokóły lub krzyże, wśród których gdzieś widać było bardziej ozdobne mauretańskie nagrobki.

W przeciwnym rogu cmentarza zobaczył wysuniętą placówkę wojsk brytyjskich i zaczął zmierzać w jej stronę. Tego dnia nic nie wyglądało nawet w przybliżeniu tak, jak sobie wyobrażał; wiedza, jaką zdobył nie wystarczała, by mógł stawić czoło przypadkowym i całkiem nieprzewidzianym wydarzeniom. Oto błąkał się po polu bitwy w poszukiwaniu zagubionej kompanii, jak matka, która szuka dzieci w parku.

Podniósł wzrok. Oddział składał się z tubylców z fezami na głowach, ubranych w mundury khaki. Pochylali się jakby nad rannymi. Królewscy Strzelcy Afrykańscy, pomyślał Gabriel, to jedyne wojska afrykańskie w armii brytyjskiej. Wtem uprzytomnił sobie, że w Korpusie Ekspedycyjnym nie ma KSA.

Od razu, instynktownie, zawrócił na pięcie i, z uczuciem potwornego strachu ścisnącego serce, zaczął uciekać. Usłyszał za sobą krzyki. Zaczął biec jak sprinter – tak jak uczono go w szkole – młócąc rękami powietrze i unosząc wysoko kolana. Potknął się na nierównej drodze, kask spadł mu z głowy. Szybciej, nakazał sobie, s z y b c i e j , żeby tylko dostać się do lasu, z powrotem do lasu. Usiłował nie dopuszczać do siebie odgłosów pościgu, dudnienia stóp za plecami. „Nie chciałybym wpaść w ręce tych szwabskich czarnuchów” – powiedział mu jeden z Północnych Lancasterczyków. A więc: szybciej, szybciej.

Dogonili go około dwudziestu metrów od osłony drzew. Biegli równolegle z nim parę kroków, bosonodzy, znacznie szybsi od niego, mimo że w pełnym rynsztunku.

Gabriel biegł nie bacząc na nic, nie widział innego wyjścia. Poczł nagle pierwsze ułknięcie bagnetu, zagłębiającego się w nogę, dotkliwy, rozdzierający cios, który przeciął mięsień w połowie uda. Upadł na ziemię – wiał się i skręcał, chcąc uniknąć przeszywających cięć ostrza. Chybili raz czy dwa, ale w końcu udało im się trafić w nie osłonięte miejsce. Odwracając się zobaczył ostrze bagnetu – obserwował, jak wchodzi w jego bluzę. Poczł lodowate zimno przenikające wnętrzości, które nie sprawiło zupełnie bólu. Widział ostrze wydobyte ze swego ciała, ze strugą ciemnej krwi, podniósł wzrok i nie dowierzając oczom, przerażony zobaczył jak inny askarys zajął miejsce pierwszego i poczul

w ustach smak, gorącej, słonawej krwi. Skulił się w sobie, żeby uniknąć następnego ciosu. Zobaczył drugie ostrze wbijane tuż ponad kością biodrową – ześliznęło się po miednicy – i poczuł zgrzyt oraz gwałtowne drganie metalu na kości. Doszły go słabe krzyki: „Halt!” I to wszystko.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

6 LISTOPADA 1914 ROKU
TANGA, NIEMIECKA AFRYKA WSCHODNIA

– Północni Lancastercy dobrze walczyli. Tak samo część Strzelców Kaszmirskich – usłyszał von Bishop słowa Hammersteina skierowane do angielskiego oficera Bilderbecka.

Hammerstein był szefem sztabu von Lettowa. Od bitwy minęły dwa dni. Jechali teraz na mulach w kierunku Ras Kasone. Słowa te zostały wypowiedziane akurat w chwili, kiedy przejeżdżali obok żołnierzy znoszących na platformę ciała poległych Brytyjczyków. Co za nietakt, pomyślał von Bishop.

Bilderbeck nie wyglądał bynajmniej na zbitego z tropu.

– Chwała Bogu! – powiedział. – Przynajmniej ktoś walczył. – Zachichotał.

Hammerstein wymienił z von Bishopem ukradkowe spojrzenia.

Była dziewiąta trzydzieści rano. Dzień robił się upalny i wilgotny. Bilderbeck przybył z ramienia Brytyjczyków, żeby zabrać rannych i porzucony w dużych ilościach sprzęt. Von Bishop jechał kilka kroków za Bilderbeckiem i za Hammersteinem, zauważył, że gawędzą o wojnie jak starzy przyjaciele. Angielszczyzna Hammersteina, musiał przyznać, jest nienaganna.

Von Bishop zdjął czapkę z daszkiem i potrząsnął głową. Po południu, czwartego, wkrótce po wyparciu przez *Schutztruppe* Brytyjczyków z Tangi, okręt wojenny „Fox” bombardował miasto przez pół godziny i wyrządził wielkie szkody. W pobliżu von Bishopa eksplodował sześciocalowy pocisk, który powalił go bez zmysłów na ziemię. Doznał tylko lekkiego wstrząsu, ale pozostało mu dzwonienie w uszach, ciche, uparte, nieustające. Tego ranka von Bishop pochylił się, położył ręce na kolanach i potrząsnął głową w obydwie strony tak gwałtownie, że aż stracił równowagę. Gdzieś w głębi pozostało jednak wciąż ciche eeeeeeee.

Spojrzał na gęste poszycie gajów palmowych po obu stronach drogi. Nic dziwnego, pomyślał, że Anglicy tyle mieli trudności z atakiem. Von Bishop przyjechał pociągiem z Moszi czwartego listopada tuż po południu i wydał swej kompanii askarysów rozkaz zaatakowania lewego skrzydła nieprzyjaciela, na którym walczyły oddziały indyjskie i 101 Pułk Grenadierów. Przyjemnie było patrzeć, jak karabiny maszynowe kładą pokotem atakujące oddziały i jak dosięgają uciekających. To radosne uczucie wywołane druzgocącą klęską nieprzyjaciela nie opuszczało go przez cały dzień, aż do tego niefortunnego wydarzenia z wybuchem pocisku. Teraz myślał tylko o szumie w uchu. Eeeeeeee. Doprowadził go do wściekłości.

Wkrótce wyszli z gajów palmowych na stratowane, odsłonięte tereny powyżej plaży. Brytyjska flota stała na kotwicy około czterystu metrów od brzegu, holowniki, szalupy i barki kursowały między transportowcami.

Czerwony budynek zamieniono na szpital, pełno w nim było rannych żołnierzy brytyjskich. Mieli zostać ewakuowani na okręty, jeśli zobowiążą się słowem honoru, że w tej wojnie nie będą więcej walczyć przeciwko Niemcom.

Hammerstein i Bilderbeck weszli do budynku, by uczestniczyć w odbieraniu przysięgi. Von Bishop zostawił muły pod opieką askarysów i poszedł na cypel, z którego miał lepszy widok na flotę angielską. Od strony morza czuł przyjemny wietrzyk, doznał uczucia nieklamanej satysfakcji, kiedy okiem zwycięzcy przyglądał się ogromnym ilościom porzuconego sprzętu ułożonego w wielkie stopy wśród mangrowców na plaży. Szesnaście karabinów maszynowych, jak ktoś powiedział, pół miliona amunicji – nawet nowe motocykle – wszystko w pośpiechu porzucone przez Brytyjczyków ubiegłego ranka w czasie ewakuacji na okręty.

Von Bishopa zdumiał niepomiarnie widok brytyjskiego oficera – z notatnikiem w ręce – który wyłonił się zza stosu skrzyń. Podbiegł szybko do niego. Wojskowy w randze majora obrzucił go zdawkowym spojrzeniem.

– Ho-ho! – odezwał się nieznajomy.

– Kim, u diabła, pan jest? – spytał podniecony von Bishop. – I co pan, u diabła, tu robi?

Niemłody już mężczyzna był bardzo schludnie ubrany, miał na sobie błyszczący pas oficerski à la Sam Browne * i buty do konnej jazdy. Gdy mówił, drgały mu, dziwacznie obwisłe, pulchne policzki.

* Samuel James Browne (1824–1901) generał brytyjski, który po utracie lewej ręki wymyślił specjalny rodzaj pasa dla podtrzymania szabli.

– Nazywam się Dobbs – powiedział teraz nieco zdenerwowany, jakby wyczuł, że znajduje się w niewłaściwym miejscu. – Główny kwatermistrz Korpusu Ekspedycyjnego. Robię spis całego sprzętu, który mamy przekazać. Potrzebny mi jest do moich akt – dodał żałośnie. – Wie pan, muszę sporządzić raport.

– Ależ to śmieszne! – odparł von Bishop, wymachując rękami. – Stać w miejscu! – Pobiegł z powrotem do budynku, mijając długi szereg rannych na noszach, których właśnie przenoszono na barki stojące przy plaży.

Doniósł o swym odkryciu Bilderbeckowi, który zirytowany wznosił oczy do nieba i wrócił z nim na plażę.

– Niesłychane – zwrócił się von Bishop do Hammersteina zmierzającego do nich wolnym krokiem. – Ten człowiek chodził sobie po plaży i spokojnie robił notatki.

Bilderbeck przeprosił Hammersteina i nakazał Dobbsowi wrócić do barki.

Hammerstein pogroził palcem zarumienionem ze wstydu Dobbsowi.

– Bez białej flagi – dał mu reprimendę. – Zgodnie z prawem powinienem, pana wziąć do niewoli.

Dobbs zwiesił głowę i potulnie poszedł w stronę barki.

Hammerstein wyjął krótkie cygara i poczęstował Bilderbecka i von Bishopa. Stali paląc je na plaży i obserwowali przebieg transportu rannych. Kiedy już przeniesiono wszystkich, Hammerstein zauważył, że od strony jednego z transportowców zbliżają się do brzegu dwie łodzie ratunkowe. Ich dna otarły się o piasek niedaleko plaży, ludzie z barek zdjęli ubrania, wskoczyli do płytkiej wody i zaczęli pływać i chlapać się w przybrzeżnej tali. Niektórzy mieli ze sobą mydło i przystąpili do porannej toalety.

– Jest mi strasznie przykro – powiedział Bilderbeck. – Nie wiem, co im strzeliło do głowy. – Pobiegł w stronę żołnierzy. – Kto tu dowodzi? – zawołał ze złością.

Z tal wyłonił się rozpryskując wodę nagi mężczyzna o niezwykle białej skórze i zasalutował.

– Panie majorze, sierżant Althorpe melduje oddział Lojalnych Północnych Lancasterczyków w kąpieli.

Hammerstein i von Bishop podeszli do Anglików.

– Majorze Bilderbeck, naprawdę muszę zaprotestować – powiedział Hammerstein łagodnie, rzucając niedopałek cygara do wody. – Jeśli nie odpłyną natychmiast, będę zmuszony kazać moim ludziom otworzyć ogień. Wie pan, to naprawdę jest wojna, a nie jakieś zawody sportowe.

Bilderbeck, zdaniem von Bishopa, miał niewyraźną minę, rozkazał żołnierzom powrócić na okręty transportowe. Nadzy mężczyźni, z wielkim ociąganiem, wykonali rozkaz. Słyszał było głośnie utyskiwania, a kiedy dwie łodzie odbiły od brzegu, von Bishopa doszły plugawe wyzwiska pod jego i Hammersteina adresem.

Po zabranii z brzegu ostatnich rannych Hammerstein zaprosił Bilderbecka na śniadanie w niemieckim szpitalu. Przejechali z powrotem przez gorący i parny las i znaleźli się przed obszernym, białym budynkiem szpitala. Tu, czwartego listopada, szalały walki i przez większość dnia teren ten znajdował się w rękach wojsk brytyjskich; przyjmowano rannych z obu stron frontu. Imponujący

kamienny budynek wznosił się w pięknie położonym parku, ze zwirowymi alejkami i nisko przyciętymi żywopłotami. Drewniane ławki stały w cieniu dwóch rozłożystych baobabów.

Na parterze, na szerokiej werandzie stał długi stół nakryty obrusem. Do śniadania zasiedli w towarzystwie starszego lekarza, doktora Depego, i kilku oficerów z *Schutztruppe*. Na stole stało zimne piwo, jajka, śmietanka i szparagi. Rozmowa przebiegała w przyjacielskiej atmosferze, dyskutowano o bitwach stoczonych w ciągu ubiegłych dni. Oficerowie chcieli wiedzieć, czy Bilderbeck walczył przeciwko któremuś z nich w jakiejś potyczce. Von Bishop zachowywał milczenie; nie był całkiem pewien, czy wypada tak się bratać z wrogiem. W końcu zachowują się podobnie jak angielscy żołnierze na plaży, których lekkomyślne postępowanie zganił Hammerstein. Von Bishop miał też zastrzeżenia co do samego Hammersteina, tym bardziej że widział, jak wymienia adresy z Bilderbeckiem i obiecuje napisać do niego po zakończeniu wojny.

Wreszcie Hammerstein pożegnał się i poprosił von Bishopa, żeby po załatwieniu spraw odprowadził Bilderbecka do łodzi (przycumowanej tuż na wprost szpitala). Von Bishop nie usłyszał polecenia od razu, bo akurat wetknął małe palce do małżowin usznych, próbując zmienić ciśnienie w środkowym uchu. Skonsultował się po cichu z doktorem Deppem, który uznał, że to ciśnienie może być przyczyną irytującego dzwonienia.

Bilderbeck jednakże nie chciał odjechać bez obejrzenia w szpitalu brytyjskich oficerów i żołnierzy, których nie można było zabrać z powodu zbyt poważnych obrażeń.

– Chodźmy na salę – zaprosił Deppe. – Pan też, kapitanie von Bishop. Zajrzą panu do ucha.

– Co się panu stało w ucho? – dopytywał się Bilderbeck z szerokim uśmiechem.

– Mam takie dzwonienie. Eeeeeee. Wie pan, bez przerwy dzwoni mi w uszach. – Zachowanie Bilderbecka wydało się von Bishopowi co najmniej osobliwe. Nie było z czego się śmiać.

– Niech pan wleje do środka trochę oleju – doradził mu mrużąc podejrzliwie oczy, jakby uważał von Bishopa za symulanta.

Weszli na pierwsze piętro, na oddział z wysokim sufitem, ogromnymi oknami wychodzącymi na obszerny balkon. Ranni leżeli nieruchomo w łóżkach, wielu miało zabandażowane ręce i nogi, rozmawiano tylko szeptem.

Deppe wręczył Bilderbeckowi listę z nazwiskami, a ten zaczął ją przepisywać.

– Proszę mi pokazać uszy – powiedział Deppe do von Bishopa i wetknął zimną dyszę wziernika w bolące ucho. Von Bishop skrzywił się z bólu. – Tak – odezwał się Deppe. – Hm. Tak. No tak, nic nie widzę.

Bilderbeck przerwał im badanie.

– Kapitan Cobb – zwrócił się do doktora Deppego i wskazał nazwisko na liście. – Co z nim?

Deppe spojrzął na listę.

– Kapitan Cobb. Aha. Stan bardzo ciężki. Dwie rany od bagnetu w niższych partiach brzucha. Poważny uraz nogi. W tamtym łóżku.

Deppe wetknął instrument do drugiego ucha von Bishopa, który kątem oka obserwował Bilderbecka, jak podchodzi do łóżka i zwraca się do rannego.

– Widać coś? – spytał von Bishop lekarza, który teraz cmokał językiem.

– Ma pan uszy zatkane woskowiną. Nic nie widać. Proszę przyjść jutro, przeczyszczę. Być może wtedy coś zobaczę.

Von Bishop poszedł z Bilderbeckiem do małej szalupy przycumowanej przy molu na wprost szpitala. Czterej śmiertelnie znudzeni marynarze siedzieli na rufie i palili papierosy, nie zważając na dwóch pilnujących ich niemieckich askarysów.

– Do widzenia – powiedział Bilderbeck i wymieniając uścisk ręki z von Bishopem uśmiechnął się szeroko.

– Do widzenia – odparł von Bishop, zirytowany tym, że odpowiada na uśmiech.

Obserwował, jak szalupa odbija od brzegu. Pociągnął za małżowinę prawego ucha. Ten głupi Deppe przez swoje badanie wzmógł jeszcze dzwonienie, teraz dzwoniło przenikliwiej. Nie miał zamiaru pozwolić na oczyszczenie uszu. Poprosi Liesl, żeby zajrzała do środka; w końcu, pomyślał, była kiedyś pielęgniarką, mogłaby zrobić użytek ze swych umiejętności.

Wrócił zadumany do Tangi, pochłonięty myślami o żonie. Podróż do Europy nie była najlepszym pomysłem. Liesl zmieniła się całkowicie niemal pod każdym względem, a co gorsza, stale była w złym humorze. Ponadto przytyła. Nic, tylko by jadła. Kiedy wsiadał w pełnym rynsztunku do pociągu w Moszi, jadąc, żeby powstrzymać inwazję nieprzyjacielską, pocałowała go krótko na pożegnanie i kazała przyobiecać, że w Tandze kupi jej rachatlukum.

– Tanga! – Roześmiał się nienaturalnie, niezwykle poirytowany. – Z tego, co wiadomo, to jedna dymiąca ruina. A ty chcesz, żebym ci kupił słodycze.

– Obiecuj – powiedziała. – Postaraj się kupić.

Obrzucił wzrokiem jej coraz pulchniejszą postać, zaokrąglone ramiona, wyraźne poprzeczne linie na szyi, jasnokremowe policzki pełne piegów. Stwierdził, że nie potrafi przypomnieć sobie, jaka była dawniej: wysoka, szczupła od ciężkiej pracy na farmie.

– Czy nie myślisz, że...? – zaczął, potem zmienił zdanie. – Jak sobie życzysz, moja droga – dodał.

Zrezygowany, wzruszył teraz ramionami i szedł przez zaminowane miasto. Kopnął kamień i starał się nie zwracać uwagi na szum w głowie. Gdzie w Tandyze kupi rachatlukum?

ROZDZIAŁ ÓSMY

16 MARCA 1915 ROKU
OKSFORD, ANGLIA

Po przebudzeniu Feliks pamiętał tylko to, że oblał historię – pierwszy egzamin do stopnia magisterskiego. Obrócił się w wąskim łóżku i spojrzał na skrawek nieba widoczny między źle zaciągniętymi zasłonami. Ciemno. Dzwonienie o szyby uprzytomniło mu, że od pięciu dni w Oksfordzie pada nieustanny deszcz. Odkręcił się w drugą stronę i spojrzał na plakat de Reske, który dał do oprawienia i powiesił na ścianie w sypialni.

– Dzień dobry, kochanie – odezwał się; od dwóch semestrów w Oksfordzie każdego dnia po obudzeniu powtarzał te słowa. Hollandowi nie podobał się plakat, ale w tym jednym przypadku nie miał zamiaru kierować się gustem swego przyjaciela.

– Dzień dobry, kochanie – powtórzył, wyciągając się w łóżku. – Leje, jak zwykle.

– Dzień dobry panu – nadeszła nieoczekiwana odpowiedź z bawialni, która wraz z sypialnią składała się na jego mieszkanie w college'u. Głos był donośny, z typową dla Oksfordu gardłową głoską „r”, należał do służącego Sproata. Feliks słyszał szczękanie sztućców podczas nakrywania do porannego posiłku. Słyszał, jak otwierają się drzwi bawialni, po czym doszedł go głuchy brzęk cynowej miski z pięcioma centymetrami wody, którą przyniósł na trzecie piętro syn Sproata, Algy.

– Rozpal ogień, Algy – doszły do uszu Feliksa słowa służącego, a potem rzekł już donośniejszym głosem: – Ogień będzie buzował za parę minut, proszę pana. Ósma. Za pół godziny kaplica, jeśli się panu widzi.

– Dziękuję, Sproat – odkrzyknął Feliks.

On i Sproat darzyli siebie wzajemną nienawiścią, uczucie to było równie silne u Sproata, jak u Feliksa. Nie mógł zrozumieć, jak Sproatowi udaje się pozostać w jego mieszkaniu tak długo. Miał całe piętro do obsłużenia, ale tak organizował pracę, żeby jak najdłużej przebywać z Feliksem.

Feliks wstał z łóżka, włożył ranne pantofle, narzucił szlafrok i podszedł do okna. Było jeszcze ciemno, wschodzące słońce słabo przebłyskiwało przez grube, ołowiane chmury. Okno jego sypialni wychodziło na kuchnię sąsiedniego college'u. Widział kuchcika, który wybiegł i wylał kubeł pomoy do pojemnika na śmieci. Zaciągnął szczelnie zasłony. Czas stawić czoło Sproatowi. Wszedł do bawialni.

– Dzień dobry, panu – odezwał się Sproat z szerokim uśmiechem na twarzy. Służalczosć najskuteczniej dodawała mu bodźca. Był to chudy, łysiejący mężczyzna, z cienkimi rudymi włosami. Miał bardzo szerokie końskie zęby. Gdy otwierał usta, widać było ogromne szpary. Z jakichś powodów widok tych zębów odbierał Feliksowi apetyt. Wyjrzał przez okno na zalany deszczem czworobok dziedzińca college'u. Zobaczył postać w szlafroku, z parasolką, która wybiegła z klatki schodowej i pomknęła do umywalni.

– Dzień dobry – odparł Feliks. – Dzień dobry, Algy – dodał automatycznie.

Algy przykucnął przed rozpalonym dopiero co kominkiem i trzymał nad ogniem kawałek gazety. Uważano, że jest synem Sproata. Był to chudy, milczący, mniej więcej dwunastoletni chłopak, stale zaziębiony. Nigdy nie odzywał się w obecności Feliksa i Feliks podejrzewał, że ten go bojkotuje. W ciągu dwóch semestrów Algy zadał mu tylko jedno pytanie. Któregoś ranka pod nieobecność Sproata spytał: „Dlaczego nie poszedł pan na wojaczkę, pszepana?”, za które to zuchwalstwo zarobił po uszach. Na gzymsie kominka Feliks postawił mały wazon, w którym tkwiło wymownie pięć białych piór. Dostał je przed kilkoma tygodniami od patriotek z Oksfordu. Holland otrzymał tylko dwa i przyznał, że ogromnie Feliksowi zazdrości.

W odróżnieniu od Algy'ego Sproat nie miał żadnych oporów, by wdawać się w konwersację z Feliksem.

– Z rana nie wygląda wcale lepiej, proszę pana – odezwał się.

Feliks wyjrzał przez okno.

– Typowa marcowa pogoda.

– Ach nie. Nie chodziło mi o pogodę, proszę pana. Miałem na myśli pańską opryszczkę.

Ręka Feliksa szybko powędrowała do kącika ust. Skrzywił się z bólu. Na dolnej wardze z lewej strony miał dużą opryszczkę mniej więcej wielkości sześciopensówki. Najpierw poczuł swędzenie, potem wyskoczyły pęcherzyki, które rozeszły się wkrótce po skórze, następnie rozlały, zaskorupiały i utworzyły trudno gojący się strup. Miał go już od przeszło dwóch miesięcy. Opryszczka wystąpiła w ciągu paru dni po tym, kiedy nadeszła wiadomość, że Gabriel dostał się do niewoli. Mimo że przemywał ją, smarował maścią i nie rozdrapywał, nie chciała się zagoić.

– Chyba zaropiało to w nocy – zauważył Sproat; stanął na palcach i pochylił się do przodu, żeby lepiej zobaczyć. – Powiedziałbym, że to jakaś przezroczysta ciecz.

– Doprawdy, Sproat? – odezwał się Feliks i natychmiast wrócił do sypialni, żeby sprawdzić w lustrze diagnozę służącego.

Sproat miał rację. Feliks przypominał sobie teraz, że spędził niespokojną, bezseną noc po wypiciu w mieszkaniu Hollanda wielkich ilości ponczu sporządzonego z whisky. Ciemny strup pękł, w pęknięciach połyskiwała świeża krew. Kępka zarostu wokół opryszczki – Feliks musiał uważać przy goleniu – jeszcze bardziej szpeciła twarz.

– Mój przyjaciel wyleczył się takim jednym płynem, proszę pana – zawołał przez drzwi Sproat. – Mówi, że dla mnie może się o niego postarać za parę groszy. Tak około dwóch szylingów za małą bu...

– Nie, dziękuję, Sproat – przerwał stanowczo Feliks.

Był nieustannie oszukiwany przez tego człowieka od dnia, kiedy przybył na studia do Oksfordu – stąd ich wrogość, którą podsycalo teraz każde możliwe nieporozumienie. Sproat, w ciągu dziesięciu minut po wprowadzeniu się zdeenerwowanego Feliksa, sprzedał mu czapkę studencką i togę, „nowe” zasłony, przybory do palenia w kominku, tuzin sportowych odbitek i czajnik – wszystko to po niezmiernie wyśrubowanych cenach. Poza tym twierdził, że utrzymuje szczególnie dobre stosunki z pewnymi oksfordzkimi dostawcami, którzy udzielą Feliksowi rabatu, jeśli wszystkie zamówienia będzie składał za pośrednictwem Sproata. Feliks, zanim zmądrzał, kupił tysiąc papierosów, skrzynkę czerwonego wina i jedną białego reńskiego, herbatę, konfitury, tytoń i pół tuzina fajek. Stosunki popsuły się nieodwracalnie po kłótni, jaka potem wybuchła; Feliks wysuwał pod jego adresem gorzkie zarzuty, Sproat bronił się, bardzo dotknięty. Pro fabiańskie nastawienie uniemożliwilo Feliksowi dalsze gnębienie Sproata, za wystarczającą karę uznał powiadomienie służącego – zaprzysiężonego torysa – że w przyszłości będzie się zaopatrywał w nowym spółdzielczym domu towarowym na High Street. Sproat jednakże podsycal gorliwie uczucie nienawiści i czerpał wielką satysfakcję z wszelkich przykrości, jakie spotykały Feliksa: z zakazu wychodzenia z college'u, kar, które musiał zapłacić w świetlicy, słabych wyników i temu podobnych. Opryszczkę zesłali sami bogowie.

– Nie, dziękuję, Sproat – powtórzył Feliks w drodze powrotnej do bawialni, z fałszywym uśmiechem na twarzy.

Ogień już się rozpalil, na metalowej półce we wnęce kominka stał imbryk i duży brązowy garnek z wodą grzejącą się do mycia. Feliks uniósł blaszaną pokrywkę z talerza z przygotowanym śniadaniem i na kawałku grzanki zobaczył galaretowate, szybko stygnące sadzone jajka.

Sproat wyciągnął z kieszeni marynarki „Oxford Magazine”. Feliks ścisnął palcami grzbiet nosa. Jeszcze i tym go gnębił: „rzeźnicki topór”, jak to nazwał Holland. Wspominając z nabożną czcią poległych robił Feliksowi uszczypliwe uwagi.

– Fatalne tygodnie, proszę pana – odezwał się Sproat i otworzył ilustrowane pismo. – Harold Albert Talbot. Stypendysta college'u. Miły facet, rozważny, bystry. Zmarł od ran w miejscowości zwanej Neuve Chappelle. – Sproat potrząsnął ze smutkiem głową.

Feliks był w sytuacji bez wyjścia: gdyby przerwał odczytywanie listy poległych wychowanków college'u, dałby Sproatowi broń do ręki – popełniłby najgorsze świętokradztwo. Kiwnął głową ze współczuciem.

Sproat czytał dalej:

– Noel Muschamp. Aj, aj, aj! Zginął w wypadku w szkole lotniczej. Wspaniały chłopak, wspaniały chłopak. Klatka schodowa numer sześć. Boże, jeszcze jeden. Thomas Percy Gruby. Jeśli się nie mylę należał do pierwszej ósemki wioślarskiej w 1914 roku. Był czwartym z Literae Humaniores...*

* Egzamin do stopnia magisterskiego na studiach humanistycznych w Oksfordzie.

Sproat kontynuował czytanie. Feliks siedział, słuchał i czuł, jak stopniowo ogarnia go stan przygnębienia. Służący złożył czasopismo.

– No cóż, proszę pana – powiedział, nie starając się ukryć nuty triumfu. – Oby to był koniec. – I wyszedł.

Feliks zdjął pokrywkę dzbanka z kawą i stwierdził, że jest pusty, musiał więc zadowolić się herbatą. Spojrzał z przykrością na cynową miskę z kilkoma centymetrami wody i postanowił obyc się tego ranka bez wątpliwej przyjemności mycia. Stał przy oknie z filiżanką herbaty i spojrzał na pusty czworobok dziedzińca. W normalnym semestrze normalnego roku roiłoby się tu od studentów spieszących na wykłady lub na śniadanie z przyjaciółmi, ale z powodu wojny liczba ich zmniejszyła się do połowy, a przecież doszli jeszcze studenci z innych college'ów, których budynki zostały tymczasowo zamienione na koszary dla rozmaitych jednostek kawalerii „yeomanry” i wojsk terytorialnych.

Feliks usiadł przy stole przed wybałuszającymi nań oczy jajkami i napastliwym dźgnięciem noża oślepił jedno z nich. Ścięte żółtko po przecięciu przypominało mu opryszczkę i poczuł, jak ogarnia go melancholia – nastrój, który określał mianem „oksfordzki”.

Oksford ogromnie go rozczarował. Nie była to poniekąd wina uczelni, lecz wojny. Na początku pierwszego semestru dwa tysiące studentów zgłosiło się na ochotnika do wojska. Feliks i Holland – obydwaj odrzuceni przez komisję poborową Oficerskiego Obozu Szkoleniowego: Feliks ze względu na wadę wzroku, Holland z powodu krótkowzroczności i bronchitu – stwierdzili, że uniwersytet zapewnia albo ludzie bardzo młodzi, albo starzy i ułomni. Życie toczyło się dalej, chodzili na wykłady, zdawali egzaminy, ale brakowało atmosfery, jakiej oczekiwali. Jeszcze gorzej zrobiło się pod koniec roku, kiedy wprowadzono zaciemnienie i po zmierzchu na wieżach zegarowych milkły dzwony. Tylko na ważnych skrzyżowaniach jarzyły się nieliczne, nikłe, czerwone światła. Feliks był pewien, że gdyby nie obecność Hollanda ponownie zgłosiłby się na ochotnika do wojska.

Zrobiliby to z litości nad samym sobą i pod wpływem rozczarowania uczelnią.

Hollanda też rozczarował Oksford, ale nie odczuł tego tak dobitnie. Wojna, powiedział, skończy się w ciągu paru miesięcy. Według ekonomistów potęgi europejskie nie mogą sobie pozwolić na prowadzenie długotrwałych działań wojennych. Obydwaj wypełnili swój obowiązek zgłaszając się na ochotnika do wojska; to nie ich wina, że nie zostali przyjęci. Powinni wykorzystać wszystkie możliwości, jakie daje Oksford. W pierwszym semestrze Holland założył grupę zwaną *Les Invalides*, która składała się z niego samego, Feliksa, chorego na gruźlicę Taubmanna i dwóch sympatycznych amerykańskich stypendystów fundacji Rhodesa. Spotykali się raz w tygodniu i rozmawiali o wszystkim, co nie miało związku z wojną. Mimo zagorzałych dyskusji na temat futuryzmu, emancypacji kobiet, baletu rosyjskiego i Strindberga (nowego bożyszcza Hollanda), a także ogromnych ilości wypijanych trunków, było oczywiście, że wszelkie wysiłki sprowadzają się do gestu rozpaczcy.

Potem dotarła do Feliksa wiadomość o wzięciu Gabriela do niewoli. Najpierw przyszedł telegram z czarną obwódką, stwierdzający, że brat zaginął podczas działań wojennych. Nastrój w całym domu przypominał zbiorową histerię, powiedziała później Cressida. Na szczęście szybko nadszedł drugi telegram ze sprostowaniem. Stan wyczekiwania trwał dalszych dziesięć dni, zanim nadeszła pomyślniejsza wiadomość, że brat przebywa w niewoli. Henry'emu Hyamsowi, dzięki znajomościom w Ministerstwie Wojny, udało się dowiedzieć, że właściwie Gabriel znajduje się w niemieckim szpitalu. Podczas ferii w okresie Bożego Narodzenia przyszedł list od majora Bilderbecka, oficera II Oddziału Sztabu Generalnego (służba wywiadowcza), w którym informował drobnym, starannym pismem, że Gabrielowi zadano bagnetem dotkliwe rany w brzuch i do zupełnego wyzdrowienia musi spędzić wiele miesięcy na intensywnej kuracji. Ton listu przekonał rodzinę w Stackpole, że major pisze prawdę: nie stwarzał złudnych nadziei ani ich nie odbierał. Wiedzieli przynajmniej, że Gabriel żyje (choć to) i gdzie przebywa. Z jakiegoś jednak powodu szczegóły o stanie zdrowia Gabriela wywołały u ojca odwrotną reakcję. Wstrząs, jakiego doznał dowiedziawszy się o rzekomej śmierci syna, przeszedł w ponurą rozpacz, a sprostowanie, że odniósł tylko rany, nie przyniosło ulgi. Życie w domu stało się nie do zniesienia. Feliksa często przeszywały posępne i jadowite spojrzenia, jakby w jakiś sposób był odpowiedzialny za fatalny obrót spraw u brata. W rezultacie, na tydzień przed rozpoczęciem semestru, postanowił wrócić do Oksfordu, gdzie chodził przygnębiony po wilgotnych, styczniowych ulicach. Pewnego ranka, skostniały, przyjął bezwiednie dwa białe pióra od grupy surowych starszych pań z High Street. W jakieś dziesięć minut później stwierdził, że stoi w Ogrodzie Botanicznym, zapatrzony posępnie w wezbrane, brązowe wody rzeki, a w ręce wciąż trzyma kurczowo białe pióra, jakby pozował do późnowiktoriańskiego obrazu „Tchórz trapiony wyrzutami sumienia”. Stary ogrodnik

przywołał go do rzeczywistości. Podszedł do niego i powiedział uspokajająco: „Niech pan nie zawraca sobie głowy tymi zwariowanymi babami, proszę pana.”

Przyjazd Hollanda wprowadził go w lepszy nastrój, wtedy jednak opryszcza skrycie i nieubłaganie opanowała jego twarz. Wprawdzie w tym semestrze Holland jakby mniej interesował się Oksfordem, ponieważ jego życie londyńskie nabrało barw, miał „kochankę”. Była ona, według słów Hollanda, modelką malarza, w dodatku *morphineuse* i kimś, kto zamienił jego życie w istne piekło. Miała w nosie „eleganckie” towarzystwo, poinformował go Holland, który właśnie w tym czasie tworzył wspaniałe wiersze.

Feliks z westchnieniem odsunął talerz z nietkniętymi jajkami. Nic w jego życiu nie układało się zgodnie z planem; nadzieje minionego lata okazały się płonne i efemeryczne. Uniwersytet ział nudą i pustką. Gabriel, na pograniczu życia i śmierci, przebywał w szpitalu wroga, dziewczynie, którą kochał, nie zależało na nim, tonął w długach, nudziły go studia, oblał egzaminy, rodzina uważała go za symulanta i wywrotowca, a twarz szpecił mu obrzydliwy, ropiejący strup.

Feliks zaprzątnięty niewesołymi myślami ubierał się powoli. O dziesiątej miał spotkanie ze swym opiekunem kierującym jego pracą, Jockiem Illiffe'em, starym, zramolałym wykładowcą, u którego w mieszkaniu było nieznośnie gorąco i śmierdziało kotem. Były tam dwa takie stworzenia, grube i puszyste; na każdym krześle i poduszce pozostawiała sierść. Pewnego dnia, w ramach eksperymentu, Feliks przeczytał drzemającemu Illift'e'owi i kotu, który grzał mu podolek, esej sprzed tygodnia. Tak jak i poprzednim razem, po zakończeniu czytania, Illiffe otworzył oczy, odchylił się do tyłu i powiedział:

– Doskonałe.

Feliksa czekało jeszcze tłumaczenie połowy tekstu na poranne seminarium, ale postanowił od razu, że je opuści. Illiffe tylko wtedy zdawał sobie sprawę, że ma seminarium, jeśli podopieczny pofatygował się do niego osobiście.

Feliks przyznał w duchu, że jest to jedyne dobrodziejstwo wojny: nastąpiło rozluźnienie dyscypliny. Bez trudności udawało się omijać niezliczone drobne przepisy wprowadzające zamieszanie i komplikujące życie.

Co wobec tego będzie robił? Była w y k ł a d ó w a – poprawił się – był wykład w All Soul's *. Holland nie znosił oksfordzkiego slangu. Wyśmiał pewnego dnia Feliksa, który nieopatrznie powiedział, że idzie na dyskusję do „Związków”, jak powszechnie nazywano Związek. Wykład był równie nieciekawym jak indywidualne seminarium u Illiffe'a. Mógł poczytać jakąś powieść w pokoju rekreacyjnym dla studentów. Bardzo nudne. Chodził tam przez cały semestr. A może wybierze się na spacer? Pójdzie Banbury Road do Marston. W ubiegłym tygodniu on i Holland zwrócili uwagę na młodą barmankę. Ale nie, nadal pada deszcz. Może iść i popatrzeć na pielęgniarki, które kwaterowały w Merton? **

* Oksfordzkie kolegium uniwersyteckie z XV w.

** Jeden z najstarszych kolegiów oksfordzkich z XIII wieku.

A może powinien się spakować? Semestr kończy się pojutrze. Ta myśl jeszcze bardziej go przygnębiła. Między wierszami listów regularnie otrzymywanych od matki wyczytał, że ojciec wziął sobie bardzo do serca niewolę Gabriela. Bóg jeden wie, jak miną mu ferie wielkanocne w rodzinnym domu.

Przewiązał paskiem płaszcz i stał niezdecydowany w drzwiach. Zszedł wolno po schodach. Na podeście pierwszego piętra usłyszał czyjś głos:

– Hej, Cobb. Zaczekaj, bracie, wpadnij do mnie na chwilę.

Feliks zatrzymał się przed pokojem, z którego doszło wołanie. Głos należał do mężczyzny zwanego Cave-Bruce-Cave, który zaraz po wypowiedzeniu wojny zgłosił się do wojska. Wylądował we Francji, gdzie w niedługim czasie po cisk oberwał mu lewą rękę. Niechętnie powrócił do Oksfordu, by dokończyć studia. Cave, zwany tak dla ułatwienia, był mężczyzną o mocnej posturze, jasnej cerze, który starał się w miarę swych skromnych możliwości podtrzymać atmosferę figlarną pustoty i niefrasobliwej zabawy, jaka panowała w Oksfordzie przed wojną. Brakującą rękę zastąpiono mu drewnianą protezą, do której w ramach ulubionego dowcipu przystawiał w restauracjach płonąca zapałkę.

– Słucham, Cave – odezwał się Feliks.

– Spójrz, co dostałem – powiedział tamten. Na stole stała metalowa klatka, a w środku sześć kłębiących się i piszczących szczurów.

– Szczury – rzekł Feliks. – No i co z tego?

– Będzie polowanie na szczury, Cobby. Na koniec semestru urządzimy sobie małą zabawę. Puścimy je na dziedzińcu i upolujemy kijami hokejowymi. Będzie u mnie kilku facetów z Oficerskiego Obozu Szkoleniowego. Masz ochotę na ubaw?

– Nie, dziękuję – odrzekł Feliks. – Jestem zajęty.

– Aha. A dokąd się wybierasz?

– Idę do Hollanda – wymyślił na poczekaniu.

– Fajnie. Mogę pójść z tobą?

– Nie – odparł Feliks. Holland obrał sobie Cave'a za cel żartów. Cave'owi odpowiadała widocznie ta rola. – Do zobaczenia.

Wyszedł z college'u i powędrował Broad Street. Deszcz przestał padać, ale dzień był zimny i mokry. Na postoju dorożek, w połowie Broad Street, stały konie z opuszczonymi łbami, z ich grzyw ciekła woda. Mały drewniany stragan oblepiony był plakatami. „Jeśli nie możesz zaciągnąć się do armii, postaraj się zwerbować ochotników” – wprawiły Feliksa w nieprzyjemne zakłopotanie, ogarnęło go poczucie winy, które by Holland na pewno wykpił. Zgadzał się z poglądami przyjaciela na temat wojny, nie podzielał jednak szczerej wiary Hollanda w ich słusność. Przekonał się w przeszłości, że silna wiara w słusność jakichś poglądów nie przeszkadza, żeby się ich nagle wyprzeć, jeśli jest to dogodne. To nie jego wina, że armia tak kaprysi. Ma tylko nieznaczny astygmatyzm jednego oka, przejawiający się w chwilach zmęczenia lub czytania dłużej niż dziesięć minut bez okularów.

Nie można tego uważać za poważną wadę wzroku, ale na tej podstawie go zdyskwalifikowano. Wypełnił swój obowiązek, choć nadal wyczuwa podejrliwość w rodzinie: nienawiść ze strony ojca – nie jest to zbyt mocne określenie – i wątpliwości ze strony szwagrow.

Zawrócił markotny i poszedł Turl Street. Ziemia, którą regularnie posypywano brukowane ulice w Oksfordzie, w ciągu kilku ostatnich deszczowych dni zamieniła się w lepką maź. Ochlapał sobie nogawki spodni. Skręcił w lewo w Brasenose Lane. Idąc wąskim zaułkiem między kolegiami Brasenose a Exeter, trzymał ręce wepchnięte głęboko w kieszenie. Poniżej znajdował się Radcliffe Square, przysadzisty gmach biblioteki Radcliffe Camera krył się za wysokim ogrodzeniem z najeżonych kolcami żelaznych prętów. Feliks przemierzył plac i skierował kroki w stronę High Street. Na ulicy panował teraz ruch, jechały dwukołowe wózki konne do przewożenia piwa i wozy zaopatrujące sklepy. Rynsztokami płynęła spieniona, brązowa woda, ulicę pokrywało błoto grubości kilku centymetrów. Feliks ostrożnie przeszedł przez ulicę i innym zaułkiem dotarł do tylnej bramy Christ Church College, dokąd przeniósł się niedawno Holland, bo budynek jego college'u zajęli kadeci. Połowa Christ Church została oddana do dyspozycji batalionu kawalerii „yeomanry”. Feliks minął bramę i wszedł na dziedziniec Peckwater. Tak jak w przypadku większości budynków oksfordzkich, kamienna tasada pociemniała i nosiła ślady skrofulitycznego rozpadu. Silny deszcz i zasnuwane ciemnymi chmurami niebo potęgowały to wrażenie: budynki college'ów wyglądały, jakby trawiła je jakaś szczególnie nieprzyjemna, groźna choroba. Feliks spojrzął na górne okna. W pokoju Hollanda świeciło się światło. Wszędzie kręcili się umundurowani żołnierze.

Feliks zastukał i wszedł do mieszkania przyjaciela. Nowoczesna funkcjonalność i surowość – pomieszczenie pozbawione było jakichkolwiek ozdób – lepiej pasowały do charakteru Hollanda. Tak utrzymywał. Drewniane boazerie na ścianach były pomalowane na biało, na podłodze leżał zwykły szary dywan, a kanapa i fotele zostały pokryte czarnym kretonem.

Przy oknie wychodzącym na dziedziniec stał fortepian z czarą pełną rozkwitających narcyzów – jedyną ozdobą pokoju. Siedział przy nim Holland i patrzył w rozłożone na podstawce nuty wystukiwał jakąś melodię. Ręką wskazał Feliksowi krzesło.

Od czasu przyjazdu do Oksfordu Holland zapuścił małą bródkę à la van Dyck i zmienił złotą oprawkę okularów w kształcie migdałów na modną szylkretową. Dzięki tym zmianom n i e wyglądał już jak roztargniony chłopiec, lecz przypominał bezkompromisowego intelektualistę.

Feliks obserwował, jak przyjaciel zмага się z nutami. Holland był największą indywidualnością, jaką dotychczas spotkał. Feliks przypominał sobie o tym regularnie, bo rady i nakazy Hollanda miały wielki i zazwyczaj niefortunny wpływ na jego własne życie; musi być jakiś powód, pomyślał, że stosując się do nich stale popada w tarapaty.

– Na stole – zawołał Holland nie odrywając wzroku od fortepianu. – Co o tym myślisz?

Feliks podszedł do stołu i przerzucił stos rozrzuconych papierów. Spojrzał na stronę tytułową: „Dokąd zmierza angielski teatr po Strindbergu?” Niewątpliwie przeznaczone dla „The Mask”, kwartalnika teatralnego, do którego ostatnio zaczął pisywać Holland – jeszcze jedno osiągnięcie, którego zazdrościł mu Feliks. Udawał, że czyta artykuł, ale tego ranka nie miał ochoty na zaprzątanie sobie głowy Strindbergiem.

– Świetne – odparł.

Wpływ Hollanda utrwalił się w ostatnim roku szkolnym – Feliks przyjmował go z gorliwością ucznia wobec mistrza. W ten sposób znalazły ujście jego własne, w połowie uświadomione, buntownicze zapędy i niezadowolenie. Jednak jeszcze w szkole Feliks rozumiał, że nie chce we wszystkim naśladować przyjaciela. Nie pragnął być jego wiernym odbiciem. Zazdrościł mu jedynie życia rodzinnego, które diametralnie różniło się od tego, jakie miał w domu: znajomych rodziny Hollanda, wolności i swobód, o które jego przyjaciel nie walczył po kryjomu. Korzystał z nich po prostu, jakby naturalnie mu się należały, nie to, co u Cobbów, którzy uważali wszelkie swobody za złe i szkodliwe.

Ojciec Hollanda był ilustratorem, korpulentnym, leniwym mężczyzną, którego umiejętności chętnie wykorzystywały pisma, takie jak „Nash's”, „The Strand”, „Pall Mall” i „Vanity Fair”. Mieszkali w Hampstead, w dużym zaniedbanym domu, pełnym zawsze najbardziej interesujących ludzi, starych i młodych, o bardzo „postępowych” poglądach, należących głównie do kręgów literackich i artystycznych.

Był jeszcze jeden powód, dla którego Feliks pozwolił Hollandowi na dominację: jego siostra Amory. Feliks zakochał się w niej, zakochał się nieprzytomnie. Jego zdaniem tylko on o tym wiedział. Był pewien, że nawet Amory nie domyśla się wzbudzonej w nim namiętności. Dwudziestoletnia studentka akademii sztuk pięknych miała szczupłą twarz i smukłą, kościstą figurę. Feliksa pociągał nie tyle jej wygląd zewnętrzny, co zapatrywania: była osobą bardzo nowoczesną. Razem z koleżanką wynajmowały mieszkanie, paliła papierosy, piła alkohol (i to w obecności rodziców! – czego Feliks był świadkiem) i jako osoba nowoczesna niewątpliwie miała kochanka. Seks nie jawił mu się już jako coś mglistego, nierealnego, co istnieje tylko w marzeniach. Amory była pierwszą poznaną dziewczyną, z którą mógłby się kochać i z którą seks był kusząco realny.

Holland zakłócił ciszę fałszywym akordem.

– Przekłety Dohnanyi – powiedział i zamknął przykrywą fortepianu. – Feliksie, czy nie nachodzili cię militaryści?

– Nie – odparł Feliks. – Chyba się już do mnie przyzwyczaili. Czy nie przeskaczam, Filipie?

Holland zarządził, żeby po wstąpieniu na uniwersytet poniechali szkolnego zwyczaju zwracania się do siebie po nazwisku. Mimo to „Filip” w ustach Feliksa nadal brzmiało dziwnie.

– Potwornie się nudziłem – powiedział. – Oduściłem sobie seminarium Jocka, nie mogłem się do tego zmusić. Przyszło mi do głowy, że może masz chęć na spacer.

– Dlaczego nie? – odparł Holland. – Marston? Sprawimy dziewczynie przyjemność naszą obecnością na lunchu?

Holland włożył płaszcz, dobrał odpowiednią laskę i ruszyli. Wrócili z powrotem do High Street, potem minęli Cornmarket i doszli do szerokiej, w kształcie łuku, alei St. Gilesa, z młodymi platanami po lewej stronie i starymi wiązami po prawej. Jakby dla zrównoważenia dysproporcji między drzewami po stronie platanów, stały całe rzędy zaparkowanych ciężarówek wojskowych.

Holland zdjął okulary. Bez szkieł prawie nic nie widział, ale miał nadzieję, że w ten sposób sprowokuje przechodniów do pomówień o tchórzostwo. Takie sceny zdarzyły się już kiedyś i stwarzały niepowtarzalną okazję do gwałtownej wymiany poglądów. Feliks, gdy był sam, często wpadał w drugą ostateczność i stale nosił okulary, czasami wsadzał kamyk do buta, żeby utykać. Spacerując ulicami Londynu przewiązywał oko czarną opaską, żeby nie kwestionowano jego statusu cywila, czy też na znak żałoby zakładał na rękaw czarną jedwabną wstążkę – inny praktyczny sposób na uniknięcie kłopotliwych uwag. Holland oczywiście nic nie wiedział o tych wyczynach.

– Cave-Bruce-Cave organizuje dzisiaj po południu na dziedzińcu polowanie na szczury – oznajmił Feliks. – Zaprosił mnie do udziału w tej imprezie.

Holland roześmiał się.

– Bezbłędny facet. Następnym razem zdejmie komuś spodnie albo dla hecy wyrzuci wszystkie rzeczy w mieszkaniu do góry nogami. Zaprosimy go na herbatę?

– Lepiej nie – odparł Feliks. – Nie jestem dzisiaj w nastroju, żeby oglądać Cave'a.

Doszli do drogi prowadzącej do Banbury. Na kasztanowcach pokazały się maleńkie zielone pączki, ale równie dobrze mógł to być środek zimy.

Po drodze nie spotkali wielu ludzi, Holland włożył zatem okulary.

– Dzięki Bogu, że mamy wakacje – rzekł do Feliksa. – Nie mogę się doczekać powrotu do Londynu. – Rozmowa zesła teraz na Enid, *morphineuse*. Holland wyrażał obawy, czy jego przyjaciółka nie romansuje z artystą, któremu pozuje do obrazu. – Nago – dodał. – Wyobrażasz sobie, że niełatwo jest wtedy opierać się zalotom.

– Czy nie czuje się skrępowana? – spytał Feliks. – No wiesz, rozbieranie się do naga przed zupełnie obcym mężczyzną?

Feliks nie mógł sobie wyobrazić, jak malarz może stać spokojnie i rysować czy malować, gdy tymczasem w odległości kilkunastu centymetrów od niego stoi naga modelka.

– Dostaje za to pieniądze – zgnął go Holland. – To jej praca.

– Wiem. Mimo to nie widzę...

– Mój drogi Feliksie – Holland roześmiał się trochę protekcyjnie. – Nie wszyscy są tak sfrustrowani jak ty.

– Jesteś tego pewien? – odparował ostro Feliks. Potem uśmiechnął się szeroko. – Nie, być może nie.

– W tym rzecz – przybrał srogą minę Holland. – To pewne, że malarz ma romans ze swoją modelką. Aha – przypomniał sobie. – Skoro mowa o artystach, dziś rano dostałem kartkę od Amory. – Wyciągnął z kieszeni wymiętoszony list. – Ma wystawę w akademii i wydaje małe przyjęcie najpierw w swoim mieszkaniu, potem w klubie. Może byś przyszedł? Dwudziestego dziewiątego marca. Przyjedź i zostań u nas. Dostajesz skrętu kiszek na myśl o tej twojej strasznej rodzinie. Przybywaj do światłości, a raczej do mroków wojennego zaciemnienia.

Feliks nie mógł sobie wyobrazić pomyślniejszych wiadomości. Zdumiewające, jak szybko mogą zmienić się widoki na przyszłość.

– Dziękuję, Filipie – powiedział głosem ochryplym z wdzięczności. – Z rozkoszą. Cudownie. Dwudziestego dziewiątego? Na pewno?

– Oczywiście. Poznasz Enid.

Zaświtała mu pewna myśl.

– Czy, hm, Amory, no wiesz, kazała ci mnie zaprosić? Właśnie mnie?

– Co? Nie. Właściwie to mnie zaprosiła. Ale nie przejmuj się. Z pewnością nie będzie miała nic przeciwko temu, że przyjdę z kolegą – przecież już ciebie poznała, no nie?

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

18 MARCA 1915 ROKU
DWÓR STACKPOLE, KENT

Feliks zdjął przepaskę z oka i wysiadł na stacji w Ashurst, mrugając gwałtownie powiekami w słabym blasku wczesnopopołudniowego słońca. W jego przedziale, przez całą drogę z Charing Cross, jechało dwóch poruczników i major, więc nie miał sposobności zdjąć swego przebrania. Głowę wsadził w książkę, żeby uniknąć kłopotliwych pytań (gdzie i w jakich okolicznościach odniósł ranę); to, że musiał czytać jednym okiem bez okularów, przyprawiło go o tępy ból głowy. Słyszał jednak wiele na temat zwycięstwa pod Neuve Chappelle i znów oparowało go dokuczliwe poczucie winy, dopóki nie zagłuszył go argumentami, których Holland użył w rozmowie z Cave-Bruce-Cave'em.

– Oczywiście – powiedział pewnego dnia Cave – walczymy o naszą wolność.

– Nie masz racji, mój drogi Cave – odparł Holland. – Walczymy o nasz golf i nasze weekendy. Wdaliśmy się w wojnę, by przeszkodzić pacyfikacji Serbii przez Austriaków i Niemców, to wszystko. Francuzi zawarli przymierze z Rosjanami, bo się przestraszyli, że wybuchnie rewolucja i Rosja nie dotrzyma wobec Francji zobowiązań spłaty długu. Bijemy się o to, żeby car-tyran nie utracił tronu. Teraz mi powiedz, czy warto za to wszystko umierać?

Logika wyводу Hollanda była nie do obalenia. Nawet Cave odszedł zakłopotany i zdezorientowany. Teraz Feliks czekając, aż prawe oko przyzwyczai się znów do światła, jeszcze raz rozważył te argumenty. Wezwał numerowego.

– W wagonie bagażowym jest mój kufer. Możecie mi go przynieść?

– Przepraszam pana. Jestem od noszenia paczek. Nie mogę przynieść bagażu.

Feliks sam wyładował bagaż, potem udał się na poszukiwanie innego numerowego, który na wózku przetransportował jego walizki na podjazd. Zadepe-szował wcześniej do matki i podał godzinę przyjazdu, ale jak zwykle nikt nie wyjechał po niego na stację.

Wypalił trzy papierosy, nim zobaczył znajomy samochód Humberette wjeżdżający na dziedziniec. Zdumiał się niepomiernie, gdy za kierownicą ujrzał Charis. Zatrzymała samochód przed nim i wysiadła.

– Jak się masz, Feliksie – powitała go wesoło. – Musiałam być dzisiaj w Sevenoaks, więc matka prosiła mnie, by po drodze zabrać ciebie ze stacji. Mam nadzieję, że nie czekałeś zbyt długo. Aha – wskazała na niedopałki papierosów. – Czekałeś. Przepraszam. W każdym razie, witaj w domu.

Wyciągnęła rękę i pochyliła się machinalnie do przodu, jakby w oczekiwaniu na pocałunek. Feliks przywitał się, ale stał sztywno przez chwilę, bo ze względu na opryszczkę nie miał zamiaru nikogo całować. Kiedy doszedł do wniosku, że właściwie powinien ją pocałować, bo n a l e ż y do rodziny, i pochylił się, by to zrobić, ona już cofnęła twarz. Wykonując przez krótką chwilę wahadłowe ruchy, w końcu musnęli się w przelocie policzkami. Feliks cmoknął powietrze, na swoim uchu poczuł dotknięcie jej warg. Zadrżał z wrażenia, pokrył to jednak nerwowym śmiechem. Obydwoje wsiedli do samochodu czerwoni na twarzy, potem znów wysiedli, bo zapomnieli o bagażu. Feliks stwierdził, że w Humberette nie zmieści się wszystko, będzie więc musiał zostawić kufer.

– Nie przejmuj się – powiedział, ładując dwie walizki. – Zostawię kufer tutaj. Wpadnę po niego później.

Ku swemu przerażeniu zobaczył wyraz głębokiego smutku na twarzy Charis i oczy pełne łez.

– Boże święty – zdziwił się. – Co ja takiego powiedziałem?

Charis potarła czoło.

– Nie, to ze mnie taki głuptas. Po prostu przywiodłeś mi na myśl Gabriela. Wypowiedział te same słowa podczas naszego pobytu w Trouville. Przepraszam. Nic na to nie poradzę. Ciągłe mi się to zdarza. Ludzie myślą, że okropna ze mnie beksa.

Wsiedli do samochodu, Feliks zajął miejsce za kierownicą i odjechali.

– Nadeszły jakieś wiadomości? – spytał, starając się przekrzyczeć hałas silnika. – O Gabrielu?

– Nie. Ale odesłali wszystkie jego rzeczy. Dostaliśmy je w zeszłym tygodniu. Jest list dla ciebie. – Przerwała. – Trzymam wszystko w domu. Czy zechciałbyś przyjść później i napić się ze mną herbaty? – Obrzuciła go szybkim spojrzeniem. – Chciałam cię o coś zapytać. O coś, co dotyczy Gabriela.

Zobaczył, że znów posmutniała.

– Oczywiście – odparł szybko. – Około czwartej trzydzieści?

Nastrój Charis poprawił się i przez resztę drogi do Stackpole szczebiotała jak zwykle z ożywieniem, ale trochę bezmyślnie. Feliks wysadził ją przed domem, a sam pojechał do dworu. Nagie drzewa, zaniedbane trawniki i rabaty potęgowały uczucie przygnębienia, którego zazwyczaj doznawał na widok rodzinnego gniazda. Matka usłyszała warkot samochodu, podbiegła do drzwi i porwała go gwałtownie w ramiona, tuląc długo i mocno do piersi.

Weszli do hallu, przywitał się z Cressidą. Chłopak, którego twarz wydawała mu się znajoma, wziął od niego walizki i zaniósł do pokoju. Kiedy szli korytarem do środkowego hallu, spiesznym krokiem podeszła do nich przysadzista postać w szlafroku.

– Jak się masz, ojcie – powiedział Feliks, podając mu rękę. – Miło cię widzieć. Dobrze wyglądasz. – Mijało się to z prawdą. Twarz ojca była jak zwykle ziemista, ale ciało straciło na pulchności, obwisło. Bokobrody miał długie i nie przyszczyżone, szlafrok niedbale przewiązany. Wygląda jak jakiś obłąkany duchowny wiktoriański, pomyślał Feliks.

Ojciec wpatrywał się w niego, ignorując wyciągniętą rękę.

– Znam takich jak ty – rzekł z niechęcią w głosie. – Myślisz chyba, że to... jakiś k u r o r t ! – wykrzyknął i szybko wyszedł.

– O co, u licha, mu chodzi? – spytał Feliks zdumiony, podążając za matką do środkowego hallu. – Nic mu nie dolega?

– Jest okropnie wytrącony z równowagi, mój drogi. Z powodu biednego Gabriela. Ma to związek z ranami, które odniósł twój brat... wiesz. Te bagnety okropnie go niepokoją. Mówi, że mu się śnią... nie może o nich zapomnieć. Najważniejsze, że znów jesteś w domu. – W kominku huczał wielki ogień. – Usiądź kochanie. A teraz powiedz, czy dobrze się czujesz? Co to za okropna opryszczka? Nie sądzisz, Cressido, że on jest zbyt blady? Kochanie, obiecaj, że będziesz odżywił się jak należy.

*

Feliks przeskoczył przez bramkę, przeszedł po mostku nad strumieniem zasilającym stawy rybne i drogą przez bukowy las zmierzał w stronę domu Charis. Wziął ze sobą latarkę elektryczną myśląc, że mu się przyda w powrotnej drodze. Było coś ponurego i metalicznego w późnym, popołudniowym powietrzu, zerwał się zimny wiatr, który kołysał ciężkimi gałęziami trzeszczącymi nad jego głową.

Charis otworzyła drzwi i poprosiła go do środka. Mała, schludna bawialnią urządzona była przyjemnie, chociaż jak na gust Feliksa za dużo znajdowało się tu przedmiotów z mosiądzu i cynowych naczyń. Na parapecie okiennym stała fotografia Gabriela w mundurze. Na kanapie, jakby przygotowane do inspekcji ryszpunku, leżały rozłożone ubrania, poduszka, termos, składana brezentowa miednica i inne przedmioty, które Feliks rozpoznał jako własność Gabriela. Na ich widok doznał po raz pierwszy dziwnego uczucia, jakby go coś chwyciło za gardło. Z dojmującym bólem pomyślał nagle, że Gabriel został pozbawiony tych drobiazków, a teraz los doświadczał go jeszcze ciężiej.

– Wszystko to zostawił na pokładzie transportowca – odezwała się Charis. – Nie mam, nie dostałam niczego z osobistych rzeczy.

– Rozumiem – odparł Feliks.

– Proszę cię, usiądź – zaproponowała Charis.

Feliks uśmiechnął się do niej. Miała na sobie jasnozieloną sukienkę i wełnianą kamizelkę w odcieniu ciemniejszej zieleni, a na szyi długi sznur pereł z supłem na końcu. Ciemne włosy luźno podtrzymywał piękny szylkretowy grzebień. Feliks usiadł przy nakrytym stole. Charis wzięła imbryk sprzed kominka, w którym palił się ogień, i zabrała się do przyrządzania herbaty w dużym srebrnym dzbanku.

– Prezent ślubny – powiedziała podnosząc go w górę i uśmiechnęła się smętnie.

Obok jej nakrycia Feliks zauważył stos listów. Niebawem usiadła i popijali herbatę. Feliks podgrzewał przed kominkiem słodkie bułeczki z rodzynkami, które posmarowali grubo dżemem truskawkowym. Gawędzili o błahostkach. Feliks przyznał się, że oblał egzamin z historii, pierwszy na stopień magisterski. Charis opowiedziała ze szczegółami o swej pracy wśród uchodźców belgijskich. W końcu wzięła do ręki listy.

– Przejrzyj je, Feliksie – powiedziała. – Nie mam nic przeciwko temu. Jeden adresowany jest do ciebie. Leżały bez kopert. Żaden nie został wysłany. – Podała mu pierwszą kartkę.

Feliks wziął ją do ręki. Bładoniebieski arkusz papieru listowego. Na arkuszu widniał znak s/s „Homayun”, z datą dwudziestego pierwszego października 1914 roku. Czytał:

„Drogi Feliksie,

Jesteśmy w drodze! Czy pamiętasz nasze rozmowy na temat wojny europejskiej? Nie myślałem w ogóle, że będę walczył na Czarnym Łądzie. Od tygodni jestem na morzu. Musieliśmy tkwić przez szesnaście dni w porcie, zanim konwój ruszył w drogę. Życie na transportowcu jest niesłychanie nudne, ale doszedłem do dużej wprawy w pokładowej grze guoits!

Z przykrością dowiedziałem się, że słaby wzrok uniemożliwił ci wstąpienie do Oficerskiego Obozu Szkoleniowego. Nic nie szkodzi! Próbuj jeszcze raz.

Skoro wojna w Europie się przeciąga, z pewnością będziemy potrzebowali każdego, bez wyjątku. Mam nadzieję, że cię wkrótce zobaczę. Do Świąt Bożego Narodzenia powinno się wszystko wyjaśnić.

Pozdrów ode mnie wszystkich w Stackpole,

Twój kochający brat

Gabriel Cobb”

Feliks poczuł się dziwnie wzruszony tym uprzejmym listem. Pamiętał Gabriela, jak w przeddzień ślubu pływał w rzece pod wierzbami. Unikał spojrzenia na fotografię. Zaśmiał się z przymusem.

– Pisanie listów nie jest najmocniejszą stroną starego Gabe'a, prawda?

Charis nie odpowiedziała. Podała mu inne kartki. Feliks wziął je do ręki, tknięty nagle złymi przecuciami. Przywiązywał duże znaczenie do tego, żeby nie myśleć o Gabrielu i Charis jako o mężu i żonie, nigdy nie zastanawiał się nad tym, co ich łączy. Nie był przekonany, czy powinien się zgodzić na wgląd w ich życie intymne. Trzymał w ręku tuzin kartek, wszystkie z „Homayuna”, bez daty.

„Moja kochana Charis!

Nasz okręt stoi nadal w porcie Bombaju. Przepraszam, że wcześniej nie pisałem, ale jeśli...”

Na tym kartka się kończyła. Feliks wziął drugą.

„Kochanie!

Jakże mi ciebie brak! Ta wojna...”

I następną.

„Moja kochana, najdroższa Charissimus!

Doprawdy wierzę...”

Szybko przerzucił pozostałe kartki. Wszystkie były takie same. Nagłówek, wstęp, a potem puste miejsce. Na jednej kartce ostatnie „a” na końcu słowa „kochana” ciągnęło się przez całą stronę.

– Co o tym myślisz? – spytała szybko Charis. – Pisałam do niego codziennie. Nie otrzymałam ani jednego listu w odpowiedzi.

Feliks zeszytywniał z wrażeń. Tego właśnie chciał uniknąć. Starał się zbagatelizować sprawę.

– Znasz Gabriela. On... on prawdopodobnie nie umie wyrazić tego, co czuje. Mógł być strasznie zajęty. Nie wiadomo.

– Ale do ciebie napisał. Twój ojciec otrzymał list. Sammy Hinshelwood dostał z Bombaju kartkę pocztową. Dlaczego do mnie nie mógł napisać?

– Najwyraźniej chciał – odparł Feliks. – Przynajmniej z a c z y n a ł pisać. Być może, nie był pewien... – Ku swemu przerażeniu zobaczył, że Charis zakryła dłońmi twarz, ramiona zaczęły jej drgać. Feliks wykrzywił usta w grymasie. Głupia dziewczyna; powinna porozmawiać o tym z jego matką albo z Cressidą. Nie miał pojęcia, jak postępuje się w takich wypadkach. Podniósł się z krzesła. Z wahaniem położył dłonie na jej ramionach. Czuł pod palcami drzenie i dygotanie, wyczuwał czubkami palców twardą kość obojczyka. Teraz, tak blisko niej, wchłaniał ten sam zapach wody różanej, jaki roztaczała w kościele.

– No, już cicho, cicho – uspokajał ją, zakłopotany, pragnąc, żeby przestała pociągać nosem.

Mimoходом zauważył opalizującą zapinkę z masy perłowej w jej połyskliwych włosach, mały pieprzyk przed prawym uchem, błyszczące paznokcie.

– Gabriel nigdy nie był wylewny – improwizował. – Prawdopodobnie nie zastanawiał się w ogóle nad tym, jak wyrazić uczucia... na piśmie – dodał. – Jeśli człowiek idzie walczyć, a nie przywykł do przelewania najszybszych myśli na papier, wtedy list może być, no cóż... – nie dokończył zdania. Nic lepszego nie potrafił wymyślić na poczekaniu.

Charis obejrzała się na niego, wytarła łzę wierzchem dłoni.

– Przepraszam – rzekła łagodniejszym tonem. – Przyrzekłam sobie, że nie będę płakać.

Wstała. Feliks zdjął ręce z jej ramion i zupełnie nie wiedział, co z nimi zrobić. Wepchnął je do kieszeni i podszedł do kominka.

– Dziękuję, Feliksie – rzekła Charis.

Obrócił się gwałtownie.

– Och, drobiazg.

– Co do Gabriela, masz rację. Tak samo myślałam. Ale wiesz, jak to jest: człowiek musi usłyszeć potwierdzenie od kogoś innego.

– No właśnie. – Feliks spojrzął na swoje buty. Miał ochotę spalić się ze wstydu pod wpływem tego wybuchu szczerości i wdzięczności. Skąd o n u licha miałby wiedzieć, dlaczego Gabriel nie pisze? Nie potrafił nawet zrozumieć, dlaczego brat o ż e n i ł s i ę z tą dziewczyną.

– Ogromnie cię lubił. Lubi. Ogromnie cię lubi – poprawiła się Charis.

– Lepiej już pójdę – powiedział skrzepowany.

Każda tego rodzaju rozmowa o nim i o Gabrielu poruszała go do głębi. Nagle zaczął się zastanawiać, jak to przeżył Gabriel. Ten bagnet. Rany zadane bagnetem w brzuch...

Charis odprowadziła go do drzwi.

– Przepuszczalnie zobaczymy się jutro – powiedziała. – Zawsze przychodzę na lunch. – Położyła mu rękę na przedramieniu. – Raz jeszcze dziękuję. Byłam taka nieszczęśliwa. Teraz jest mi trochę lżej na sercu.

*

– Księga Eklezjastesa! – wykrzyknął major Cobb. – Rozdział szósty, wers dwunasty.

Zaszeleścił papier, zgromadzona w bibliotece służba odszukała odpowiednią stronę w Biblii. Major stał przed dużą mapą Afryki. Po obu stronach granicy Brytyjskiej i Niemieckiej Afryki Wschodniej tkwiły wpięte naprzeciwko siebie czerwone i czarne szpilki.

– „A któż to wie, co w życiu dobre dla człowieka” – zawołał wielkim głosem major, z oczami utkwionymi w sufit biblioteki. Najwidoczniej znał tekst na pamięć. – „Dopóki liczy marne dni swego życia, które jakby cień przepędza?” – Tu małe oczka spojrzały w dół i ogarnęły pokój. Feliks udawał, że czyta przez ramię matki. – „Jakby cień przepędza” – powtórzył major. – „Bo kto oznajmi człowiekowi, co potem będzie pod słońcem?” – Ostatnią linijkę major przeczytał wolniej, jego głos stał się głębszy i jednocześnie bardziej chrapliwy. Feliks wzdrygnął się mimowolnie. Co za straszny starzec, pomyślał.

– Ma obsesję na punkcie Afryki Wschodniej i Gabriela – szepnęła mu na ucho matka, kiedy szli jedno za drugim do biblioteki na poranną modlitwę. – Ciągnie się to już od tygodni. Ciągłe czyta te same wersety z Księgi Eklezjastesa i Hioba. Służba uskarża się przede mną, ale nie można mu w żaden sposób przemówić do rozsądku.

– Módlmy się – rozkazał major.

Później Feliks poszedł na spacer do ogrodu, żeby się uspokoić. Był tu zaledwie od dwudziestu czterech godzin, a już miał ochotę opuścić ten dom. Dzięki Bogu, wystawa prac Amory odbędzie się już niedługo. Zastanawiał się, jak prędko będzie mógł wyjechać do Londynu. Holland powiedział, że może u niego pozostać. Amory...

Poszedł aleją lipową, gdzie gałęzie drzew splatały się ze sobą, tworząc zielony korytarz. Odnosiło się wrażenie, jakby nikt ich nie obcinał, zielone gałązki i młode pędy wystrzeliwały ze wszystkich stron. Poszedł na przełaj przez trawnik w kierunku stawów rybnych, spotkał tam małego chłopca, który z trudem niósł kubel ziarna i resztek chleba. Po jego przyjeździe do domu ten sam chłopiec zaniósł mu walizki na górę.

– Halo, hej ty tam – zagadnął chłopca, starając się przywołać na pamięć jego imię.

Chłopiec miał gładką, puciołowatą twarz.

– Pamiętam cię – powiedział Feliks. – Jesteś synem Cyryła.

– Zgadza się, proszę pana.

– Co robisz?

– Karmię karpie, proszę pana.

Razem podeszli do stawów. Chłopiec rzucił ziarno na sam środek stawu; prawie natychmiast woda zaczęła się burzyć, ogromne ryby wypływały z głębin i walczyły o pokarm.

– Jakie one duże, prawda? – powiedział Feliks. – Uśmiechnął się w duchu. Wielgachne skurwysyny, jak je określał Cyryl. Duże, żarłoczne skurwysyny.

– Zgadza się, proszę pana – odparł chłopiec.

– Jak tam się czuje twój tata? – spytał Feliks, zapalając papierosa.

– Mój tata nie żyje, proszę pana.

Feliks poczuł, jak kłują go włosy na karku. Upuścił papierosa i schylił się, żeby go podnieść. Od zroszonej trawy papieros zwilgotniał. Wyrzucił go.

– Jak to się stało?

– Tak za dobrze nie wiem, proszę pana. Zginął na wojnie. Za króla i kraj, jak mówi mama. We Francji czy gdzieś tam. – Wziął kubel i ruszył przez trawnik w stronę kuchni.

Feliks obserwował dużą rybę krążącą wolno tuż pod powierzchnią wody w poszukiwaniu resztek ziarna.

– Jak się masz? – Dobiegł go czyjś głos, obejrzał się. Była to Charis. – Chyba niedawno zostały nakarmione? – Spojrzała na chmury. – Dzień nie najładniejszy. Gdzie ta wiosna, chciałabym wiedzieć?

– Czy wiedziałaś o śmierci Cyryła?

– Cyryła? A kto to jest?

– Ogrodnik. Był kierowcą na waszym ślubie. Dawniej mieszkał w twoim domu.

– Aha. Zginął przed miesiącem. Uhm, pod Arras. Nie, chyba pod Ypres?

– Dlaczego, na Boga, nikt mi nie powiedział? – zawołał gniewnie Feliks. – To był mój przyjaciel.

Zobaczył wyraz zdumienia na jej twarzy.

– Przepraszam – rzekł. – Dowiedziałem się o tym przed chwilą. To dla mnie wielki szok. – Potrząsnął głową, nie mogąc przyjąć do wiadomości gorzkiej prawdy. Znowu przeprosił Charis. – Matka powinna była mi o tym powiedzieć. Ale pewno miała dużo spraw na głowie. Biedny stary Cyryl. Boże, jak on się palił do wojaczki. – Przerwał.

– Nie przeszkadza ci, że palę?

Charis zaprzeczyła, zapalił więc następnego papierosa.

– O Boże, Boże – westchnęła, przesuwając ręką po karku. – Holland ma rację.

– Holland?

– To mój przyjaciel. Pamiętasz? Spędziłem u niego ostatnie lato.

– Chodziliście razem do szkoły.

– Tak. – Odszedł od stawu. Ruszyli do domu stromym zboczem trawnika.

– Cieszę się, że go niedługo zobaczę. Zaprosił mnie do Londynu.

– Och! – Charis przystanąła.

– Coś się stało?

– Czy matka ci nie pisała? Nie. Nie mogła. Dwudziestego dziewiątego są moje urodziny. Urządza dla mnie przyjęcie, może nawet będą tańce. – Nagle wydała się bardzo przygnębiona. – Ja... my... mieliśmy nadzieję, że zostaniesz. Chyba przyjedzie cała rodzina. – Spojrzała mu prosto w oczy. – Czy nie mógłbyś odłożyć wizyty u przyjaciela? – spytała. – Na potem, po przyjęciu?

Zwracała się do niego bezpośrednio z osobistą prośbą. Ma tupet, pomyślał. Zrobiło mu się ogromnie nieprzyjemnie. Dlaczego ludzie ciągle narzucają mu jakieś obowiązki?

– Pomyśleliśmy, że mógłbyś wystąpić jako mój partner. Pod nieobecność Gabriela...

– Tak mi przykro – odparł stanowczo. – Ale nie mogę. Niestety, wykluczone, żebym zmienił plany.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

29 MARCA 1915 ROKU
„CAFÉ ROYAL”, LONDYN

Sala „Domino” w „Calé Royal” była wypełniona po brzegi. Wszystkie miejsca wokół stołów z marmurowymi blatami zostały zajęte. Gwar rozmów ogłuszał. Przez gęste obłoki papierosowego dymu prawie nie było widać bogatych złoceń ani sztukaterii na suficie i kolumnach. Na ogromnych zwierciadłach zdobiących ściany osiadła para. Podeksycytowani goście wdychali ciepłe opary piwa, połączone z zapachem tanich perfum, mokrych okryć i dymu z cygar.

Feliks odchylił się do tyłu, wypuścił dym z papierosa. Dokładał starań, żeby zachowywać się z ogromną swobodą, ale był onieśmielony. Nigdy nie widział tyłu kobiet *buches*. Nigdy nie siedział obok par obejmujących się na oczach wszystkich. Nigdy nie udało mu się naliczyć tyłu uszmkowanych ust i uczerzonych oczu. Cała sala zdawała się elektryzować seksem.

– Nie wiem, gdzie jest Enid – powiedział Holland. – Popatrz – wskazał na wysokiego mężczyznę z gęstą brodą, w pogniecionym garniturze. – To artysta, który ją maluje. – Wzruszył ramionami. – Może ona wpadnie do Amory.

– To niezwykle miejsce – odezwał się Feliks. – Co to za kobiety?

– Och, studentki z akademii sztuk pięknych – odparł Holland nonszalacko. – Modelki, *quelques putains*.

– Boże – westchnął Feliks. Wczoraj wieczorem byli na przedstawieniu w „Criterionie”. Wychodząc na Shaftesbury Avenue Holland pokazał mu jedną po drugiej, wszystkie prostytutki spacerujące między tłumami amatorów teatru. Zanim doszli do stacji kolejki podziemnej przy Picadilly Circus, naliczyli ich więcej niż trzy tuziny. Tonem znudzonego życiem światowca Holland poinformował go o najbardziej frywolnych miejscach Londynu: Strandzie i New Oxford Street – tu obowiązywały najwyższe ceny. Bloomsbury i Charing Cross, zdecydowanie mniej godne zaufania, a im dalej na wschód, cena i jakość usług stawały się niepomiarne niskie.

– Pójdziemy? – zaproponował Holland.

Wstali od stolika i precyzyjnie przeszli przez masę ludzkich ciał. Po duchocie i tłoku, panującym w „Café”, wieczorne powietrze wydało się cudownie chłodne i świeże. Mżył deszcz. Z powodu zaciemnienia trudno było dostrzec cokolwiek, do Feliksa docierał jedynie ogłuszający hałas londyńskiego ruchu ulicznego.

Sprowadzono im dorożkę, którą pojechali przez Picadilly Circus do Embankment. Wnętrze wehikułu cuchnęło politurą i starym skórzanym obiciem. Feliks nakreślił na zaparowanej szybie kółko i wyglądał przez okno na zatłoczone ulice.

Dorożka zatrzymała się przed szarym domem czynszowym przy Cheyne Walk, naprzeciwko sklepu spożywczego. Holland zapłacił za kurs. Feliks stanął na chodniku przed sklepem. Pałające policzki wystawił na działanie chłodnych kropli deszczu i zamknął na chwilę oczy. Tętno waliło młotem w skroniach, za wszelką cenę chciał zachować spokój. Dorożka ruszyła, dobiegł go stukot kopyt. Poczul, że się ślania, otworzył więc oczy, żeby nie stracić równowagi. Być może niepotrzebnie wypił w „Café Royal” trzy kieliszki brandy z wodą sodową. Wierzchem dłoni dotknął policzków i czoła. Nadal były gorące.

– Gdzie mieszka Amory? – spytał Hollanda, który przecierał mokre od deszczu okulary.

– Na drugim piętrze – odparł. – Nad sklepem.

Weszli przez wąskie drzwi obok sklepu. Schody były nie oświetlone, rozchodził się silny zapach jabłek i gnijących warzyw. Wspięli się na drugie piętro. Spoza drzwi doszedł ich gwar rozmów i dźwięki gitary.

– Jesteśmy na miejscu – oznajmił Holland i zamierzał zastukać do drzwi.

– Zaczekaj chwileczkę, Filipie – powiedział Feliks i podszedł do brudnego okna na klatce schodowej. – Chodź no tutaj. – Holland podszedł bliżej. – Jak tam moja opryszczka? – spytał.

Wystawił twarz do słabego światła, które z trudem przedostawało się do wewnątrz przez brud i pajęczyny na ramie okiennej.

– Nie najgorzej, prawda? Nie za bardzo widać? – Ku jego radości opryszczka jakby się goiła. Uformował się ciemny twardy strup. Najważniejsze, że nie była to już mokra, obrzydliwa narośl – gdy się jednak przypatrywał swemu odbiciu w lustrze, jego uwaga koncentrowała się głównie na strupie.

– Ledwo widać – powiedział Holland.

Feliks nie był przekonana, czy odnosi się to do słabego oświetlenia, czy do opryszczki, zadowolona go jednak ta dwuznaczna odpowiedź, bo mógł ją zinterpretować na swoją korzyść.

Holland zastukał do drzwi. Otworzył im tęgi, młody mężczyzna, z dużą fajką w kąciaku ust.

– Ha, ha! – wykrzyknął przez ramię. – Oto i *petit frère*.

Holland minął go bez słowa, a Feliks obdarzył nerwowym półuśmiechem.

Podobnie jak „Café Royal”, mała bawialnia pełna była ludzi siedzących w kłębach papierosowego dymu. Feliks zauważył niebezpiecznie opuszczony sufit, poczerniały z jednej strony od starych osadów sadzy z kominka. Jedno okno wychodziło na niechlujne tylne parcele, drugie na ogrody Embankment i na Wytwórnię Galaretek w Chelsea, leżącą za połyskującymi wodami Tamizy. W pokoju panowały ciemności (Feliks odetchnął z ulgą), paliło się zaledwie kilka świec. W kącie, na drewnianym krześle, siedziała dziewczyna grająca na gitarze, a u jej stóp niewielka grupa słuchaczy w niemym zachwycie. Inne osoby, ledwo widoczne w ciemnościach, rozsiadły się na kanapie lub stały oparte o ścianę, prowadziły bardzo głośną rozmowę. Przez otwarte drzwi widać było pokój z dwoma łózkami, które zajęli nie mieszczący się w bawialni goście. Na rozstawionym stole – na jednej jego klapie – przed oknem wychodzącym na Tamizę, stała kryształowa waza z ponczem, kosz z pomarańczami, talerze pełne orzechów i pół tuzina oplecionych rafią butelek Chianti. Nie było śladu Amory.

Holland i Feliks z trudem przedostali się do stołu, stąpając z pochylonymi głowami i patrząc uważnie, by nie nadepnąć na nogi ludziom pogrążonym w rozmowie.

– Chianti czy poncz? – zaproponował Holland.

– Proszę Chianti. – Feliks czuł, jak oczy szczypią go od dymu. Zapalił papierosa i pociągnął łyk wina. Miało cierpki smak.

– Hej, Filippo! – usłyszał donośne wołanie.

Odwrócił się przestraszony. Zobaczył Hollanda w objęciach wielkiego brodatego mężczyzny w czarnym ubraniu. Za nim stała Amory. Całkiem naga. Wstrząs nie trwał długo, gdyż Feliks zdał sobie sprawę, że Amory ma na sobie skąpą tiulową sukienkę w cielistym kolorze. Ciemne włosy były upięte na czubku głowy w skomplikowany węzeł przypominający szyszkę, przewiązane grubą ozdobną wstążką wysadzaną sztucznymi kamieniami. Twarz miała mocno upudrowaną, rzęsy uczernione, powieki półprzymknięte. Feliks czuł, że nogi robią mu się miękkie pod wpływem miłości i pożądania. Tiulowa sukienka trzymała się na cienkich satynowych ramiączkach, głęboki dekolt ukazywał mocno sklepioną klatkę piersiową. Miała zupełnie płaski biust, co rzucało się w oczy, ale dla Feliksa nie miało znaczenia. Roznamiętniały go jej oczy półprzymknięte, jakby nie miała siły ich całkiem otworzyć.

Ciemnowłosy, brodaty mężczyzna nadal walił Hollanda po plecach i wydawał okrzyki: „Hej!”, „Au!” i „Tak!” Amory przeszła ocierając się lekko o niego i napełniła swój kieliszek ponczem. Posłała uśmiech Feliksowi.

– Jak się masz – zagadnęła. – Przyszedłeś z Filipem?

– Tak, ja... – zaczął Feliks, ale już się odwróciła.

– Filipie, to bardzo niegrzecznie z twojej strony, że nie przedstawiasz przyjaciół. Och. Pav, zostaw go w spokoju.

Holland wyrwał się z objęć Pava.

– To jest Feliks Cobb. Amory, już go poznałaś. Feliksie, to Paveliński, czy coś w tym rodzaju. Wielki artysta. Wszyscy nazywamy go Pav.

– Cześć! – wykrzyknął wielki artysta i uderzył Hollanda pięścią w ramię.

– Jak się masz, Pav – odparł Feliks. – Starał się wypuszczać dym z papierosa w sposób zdecydowany, nonszalancki. – Hej – powiedział do Amory. – Spotkaliśmy się kilka razy latem zeszłego roku.

– Ach tak? – zdziwiła się Amory, dolewając Chianti do jego kieliszka. – Naprawdę? – I odeszła zainteresowana rozmową prowadzoną gdzieś dalej.

Feliks pociągnął Chianti. Pav wziął od niego papierosa. Artysta miał długie czarne włosy i gęstą brodę z siwymi pasemkami. Tym bardziej budzi odrazę, niezyczliwie pomyślał Feliks. Wyczuł, że ma przed sobą rywala. Spojrzał uważnie na alkohol w kieliszku. Po wierzchu pływał włos. Zadawał sobie pytanie, czy to włos Amory. Zdecydował, że go nie wyłowi, wypije połknie tę jej maleńką cząstkę.

Pav wykonał nagły ruch w kierunku twarzy Feliksa. Ten wzdrygnął się mimo woli, wino wraz z włosiem wylało się na rękaw.

Wyciągnięte palce Pava znalazły się o centymetr od oczu Feliksa, mężczyzna skrupulatnie badał go wzrokiem. Poruszał ręką, jakby odkręcał pokrywę dużego słoja.

– M e s z wspaniałe g a r ł o – powiedział z silnym środkowoeuropejskim akcentem. – C h c i e ł b y m je narysować.

Feliks obrzucił Hollanda szybkim spojrzeniem, ale tamten przyglądał się ludziom zgromadzonym w pokoju.

– Ach tak – odparł Feliks zakłopotany. – Bardzo dziękuję.

– Popatrz, oto i Enid – wtrącił Holland. – Chodź, Feliksie, przedstawię was sobie.

*

Feliks zmuszał się do uprzedzającej grzeczności. Rozmawiał z Enid od pół godziny. Mógł śmiało powiedzieć, że sławna *morphineuse* jest jedną z najnudniejszych kobiet, jakie spotkał w życiu. Według Hollanda miała dwadzieścia osiem lat, ale wydawało się, że jest przynajmniej o dziesięć lat starsza. Była to niska kobieta o pełnych kształtach, z wielkim biustem i rozwichrzonymi, czarnymi włosami, ubrana w suknię w gryzących się kolorach, obwieszona koralami i klejnotami. Miała zniszczoną twarz i czerwone spojówki. Feliks skupił uwagę na jej monologu.

– ... Ma świnkę, możecie mi wierzyć lub nie. Tak, ma świnkę. Straszna świnkę. Miał okropny wyciek z ucha. O k r o p n y . Uf! Jedna strona twarzy cała spuchnięta...

Feliks rozejrzał się po pokoju roztargniony. Gdzie podziali się Holland i Amory? Gitarzystka śpiewała z chórem *Mój szary domek na Zachodzie* – nie można ich było przekrzyczeć, nawet jeśli mówiło się bardzo głośno. Niektórzy goście wyciągnęli szkicowniki i rysowali jedni drugich. A może Pav zechce zrobić szkic jego „garła” tego wieczoru, pomyślał z pogardą Feliks. To są artyści, przypomniał sobie; nie wiedzą, co to skrepowanie.

– Muszę nalać sobie wina – wykrzyknął do Enid i szybko przecisnął się przez zatłoczony pokój do stołu.

Nie było już Chianti, więc podszedł tam, gdzie zobaczył poncz. Stał przy jednym z otwartych okien i wdychał nocne powietrze. Oparł się o ścianę, palcami dotknął szyi pod sztywnym kołnierzykiem. Z tego, co widział, tylko on i Holland włożyli smokingi.

Za nim znajdowały się drzwi do sypialni. Stali w niej jacyś ludzie zatopieni w ożywionej rozmowie. Śpiewano pełnym głosem *Daj mi swój uśmiech*. Upłynęło trochę czasu, zanim Feliks zdał sobie sprawę, że rozmawiającymi są Amory i Holland i że mówią właśnie o nim.

– ...on nie p ó j d z i e do „Calf” – usłyszał zdecydowany głos Amory.

– M u s i – upierał się żałośnie Holland. – Powiedziałem mu, że może iść.

– Mogłeś, do cholery, najpierw zapytać mnie o zdanie. Zamówiłam stół na szesnaście osób. Gdzie go, na litość boską, posadzisz?

– Możemy się ścieścić – odparł Holland. – Nie mogę mu powiedzieć, żeby sobie poszedł.

– O Boże! Ty i ci twoi obrzydliwi przyjaciele!

Feliks wmówił sobie, że się przesłyszał. Oderwał się od ściany i podszedł do wazy z ponczem. Śpiewano w najlepsze końcowy refren *Daj mi swój uśmiech*. W takim hałasie, tłumaczył sobie, nic dziwnego, że uszy mogą człowieka zawieść. W każdym razie, pomyślał sącząc poncz, gospodynie zawsze wpadają w panikę na przyjęciach, nie wiedząc, gdzie kogo posadzić, ile mają osób i tak dalej.

Kiedy przybyli do „Golden Calf – taką nazwę miał nocny lokal – Feliks samokrytycznie uznał, że jest całkiem pijany. Chwiejąc się na nogach oddał w małym przedśionku płaszcz, szalik i rękawiczki. Stał na wprost schodów i ostrożnie zszedł po kilku stopniach. Rozejrzał się dokoła. W ciemnej piwnicy stały, jeden przy drugim, okrągłe stoliki, goście jedli spóźnione kolacje. Kelnerzy kluczyli z tacami pełnymi dań, kubelków z lodem i butelek. W jednym kącie dostrzegł mały parkiet do tańca przed niską estradą, na której siedział zespół składający się z nieskazitelnie ubranych Murzynów. Sufit podtrzymywały ogromne, białe, drewniane kariatydy, wyrzeźbione w kształcie jastrzębi, kotów i węży – języki, dzioby, oczy bądź łuski pomalowane były na kolor szkarłatny. Goście, wśród nich wielu wojskowych, wydawali się frywolnie eleganccy i weseli. Jak ocenił zamroczony Feliks, wiała stamtąd atmosfera rozwiązłości i rozputy.

Na powitanie Amory wyszła kobieta o trupio bladej twarzy, ubrana w czarne futro zsunięte do tyłu, odsłaniające blade ramiona i *décolleté*. Poprowadziła gości między stojącymi w nieładzie stolikami do różowej łoży, *cabinet particulier*, w której ustawiono duży okrągły stół. Feliks przyszedł jako ostatni i wpatrywał się, zafascynowany, w orkiestrę – nigdy nie widział tyłu Murzynów naraz. Nie przygotowano dla niego nakrycia, stał więc i uśmiechał się głupio; tymczasem jeden z kelnerów przyniósł dodatkowe krzesło, ustawił pomiędzy Enid a nieznanym młodym mężczyzną w mundurze khaki. Usiadł. Naprzeciwko niego, po drugiej stronie szerokiego stołu, siedzieli Amory i Pav. Jego przybycie sprawiło, że goście mieli mniej miejsca i siedzieli niewygodnie.

– Hej – odezwała się Enid; pulchne przedramię wbiła w jego bok. – Widzimy się chyba po raz pierwszy? Co myślisz o tej muzyce? Ja ją ubóstwiam.

Feliks patrzył z tęsknotą na Amory siedzącą po drugiej stronie stołu. Owłosiony Pav szeptał jej coś do ucha, a ona się śmiała z odrzuconą głową i wdzięcznie wygiętą szyją. To jest wspaniałe „garło”. Wszystko by dał za to, żeby pokryć tę szyję pocałunkami, i nagły ból przeszył mu serce, bo wiedział, że to niemożliwe. Gdy zamknął oczy, od razu zaczęło mu się kręcić w głowie, otworzył je więc, pochwycił napełniony kieliszek mozelskiego wina, jakby to była jego ostatnia deska ratunku. Kelnerzy wnosili dania. Feliks zdał sobie sprawę, że jest już kompletnie pijany. Ustawiono przed nim talerz sandwiczowy z krewetkami. Unoszący się w powietrzu lekki zapach ryb przyprawił go o mdłości. Zasłonił usta serwetką, zerwał się na nogi i pobiegł do ubikacji.

*

Poruszając się nierówno w rytmie tańca i trzymając Amory w ramionach, Feliks ofiarował cichą modlitwę temu, kto wymyślił tango. Jedną ręką obejmował ją w talii. Co pewien czas, wykonując jakieś figury taneczne, opierał się o nią albo dotykał biodrem jej biodra. Podziękował także Opatrzności, że ubiegłego lata był na tyle przewidujący, że nauczył się okropnie skomplikowanych figur tanga.

Amory była od niego nieco wyższa, w czasie tańca patrzyła nieruchomym wzrokiem ponad jego prawym ramieniem. Co pewien czas, gdy zderzali się w tańcu czy też niezręcznie wykonywali jakiś obrót, ich wzrok się spotykał i rzucała mu wtedy zdawkowy uśmiech. W duszy rozbrzmiewała mu pieśń ekstazy miłości i zachwytu, choć nie miał wątpliwości, że taniec nie sprawia partnerce zbyt wielkiej przyjemności.

Zderzyli się z Hollandem i Enid.

– Czujesz się lepiej? – zawałał Holland.

– Świetnie – odparł lekko Feliks, mając nadzieję, że mdły zapach wymiótów ulotnił się z jego oddechu. Samopoczucie miał właściwie lepsze.

Nieskończenie lepsze. Zastanawiał się, czy Holland wie, jak głupio wygląda z małą niedorzeczną bródką. W tańcu z tą śmieszną kobietą przypominał flisaka. To osobliwe uczucie wyższości poprawiło Feliksowi nastrój, z większym zapalem wirował w tańcu, mocniej zaciskał palce na plecach Amory, przysuwał w uniesieniu twarz do jej twarzy.

– Usiądziemy? – szepnęła mu do ucha Amory, od ciepłego tchnienia tych słów dostał gęsiej skórki. Dotknął palcami jej łokcia i zaprowadził do stołu, przy którym teraz nikt nie siedział – pozostali goście pochłonięci byli bez reszty tańcem na parkiecie.

W jaskrawym, czerwonym świetle różowej lampy ostre rysy Amory złągodniały i nie kojarzyły mu się tak niedwuznacznie – odrzucił bowiem te niemiłe skojarzenia – z jedną z drapieżnych kariatyd podtrzymujących sufit. Usiedli obok siebie. Feliks napełnił winem dwa kieliszki. Już dawno przekroczył dopuszczalną granicę, jednak pod wpływem alkoholu nabrał pewności siebie i uznał, że ta przezorność jest śmieszna i nieistotna. Wyjął platerowaną papierosnicę, jeden z użyteczniejszych przedmiotów, jakie wyprodukowała należąca do rodziny firma w Wolverhampton.

– Zapalisz? – spytał.

Kelner podszedł do nich z zapalkami, przypalił papierosy. Feliks wpatrywał się w Amory, jedną połowę ust rozciągnął w poufałym uśmiechu.

– Cudowny wieczór – powiedział ściszym głosem.

– Możesz zobaczyć, z kim tańczy Pav? – Amory wypuściła przez nos cienkie smugi dymu.

Feliks wychylił się do przodu, jedną ręką podparł brodę, a drugą – z papierosem – pozostawił na oparciu krzesła, dokładnie jak mężczyzna na plakacie de Reske.

– Masz czarujące... *pied à terre* – powiedział.

– Co takiego? – Amory mocno stuknęła palcem w papieros. Popiół posłusznie spadł do marmurowej popielniczki.

– *Pied à...* mieszkanie. Jest czarujące. – Z ust Feliksa wydobywały się spirale dymu.

Żadnej odpowiedzi. Zabawiała się okruszkami chleba na różowym, adamaszkowym obrusie.

– Od dawna czekałem na ten wieczór. – Ręka Feliksa oderwała się od brody i zniknęła pod stołem.

– Doprawdy, gdzie ten człowiek mógł pójść?

Feliks obrzucił spojrzeniem smukłe, spowite w tiul uda, znajdujące się obok jego nóg. Poczul nagle, że podniecenie zapiera mu dech w piersiach – nie mógł powstrzymać się dłużej. Jego ręka opadła na kolano Amory.

– Och, Amory – wyrzekł głosem słabszym, niż zamierzał.

– N a m i ł y B ó g ! – Zerwała się z miejsca znużona i zirytowana. – Ty głupi, nudny żółtodziobie!

Wyszedłszy na ulicę Feliks uderzył się pięścią w twarz. Zacisnął dłoń i kulkami wymierzył sobie cios, tak wielki był jego wstręt do własnej osoby i uczucie zawodu. Cios nie był specjalnie silny, ale sprawił mu niespodziewany ból.

– Psiakrew! – zaklął.

I dalej rzucał przekleństwa, korzystając z bogatszego repertuaru Cyryla. Czuł obrzydzenie do siebie. Spojrzał na zacisniętą, drżącą pięść i był zdumiony widokiem białej kostki z kroplami krwi. Palcami wyczuł, że na opryszczce nie ma strupa. Roześmiał się szyderczym, cichym śmiechem do nocnego nieba. Nie było mowy, żeby mógł dołączyć się do towarzystwa. Przygnębiony, idąc ciemną ulicą przyciskał do mokrej opryszczki chusteczkę, znacząc ją czerwonymi kropkami.

Amory odeszła od stołu majestatycznym krokiem, przypuszczalnie w poszukiwaniu Pava. Feliks, ze zwieszoną głową, nie ruszał się przez kilka chwil. Jego ręka spoczywała smętnie na ciepłym jeszcze krześle, które przed chwilą zajmowała Amory. Starał się opanować rumieńce na twarzy i nadmiar miotających nim uczuć. Kiedy mu się to w pewnej mierze udało, zapragnął stamtąd jak najszybciej uciec. Bez chwili zwłoki wyszedł z lokalu, zabierając po drodze swoje rzeczy z garderoby.

Teraz, na ulicy, z gorzką ironią szydził z siebie, ze swych żalonych umi-zgów, rażąco wyolbrzymionego poczucia własnej wartości. Nazwał siebie nie-doświadczonym uczniakiem, naiwnym zarozumiałym głupcem, podłym oszustem. Jak mógł się łudzić, że z tym wielkim strupem na dolnej wardze wzbudzi czyjeś zainteresowanie? Szedł w nocnej scenerii miasta nie zważając na głęboko urażoną miłość własną. Przestał się dręczyć, kiedy rozejrzawszy się dokoła, zdał sobie sprawę, że nie wie, gdzie jest. Co to za miejsce? Jak długo szedł bez celu? Minął jakiś róg. Fitzrovia? Bloomsbury? Nocni sprzątacze polewali węzami ulice. Inni mężczyźni pracujący w grupach zgarniali łopatami nieczystości i koński nawóz, formując z nich lepkie, szerokie na metr, błotniste placki.

Feliks przeszedł na drugą stronę ulicy do straganu z kawą i stanął na końcu kolejki. Spojrzał na zegarek. Pięć po pierwszej. Od pół godziny bary były zamknięte. Przed straganem z kawą czekała gromada żołnierzy, robotników i dorożkarzy. Obok żołnierzy stały dwie uliczne dziewczyny, całe towarzystwo było pijane. Bez wątplenia nie trafił do najlepszej dzielnicy miasta. Zapłacił pół pensa i dostał kubek gorącej kawy. Ogrzał na nim ręce i odsunął się nieco na bok.

– Gorącego ziemniaka, proszę pana? – dosłyszał głos.

Obok straganu z kawą stał sprzedawca przy koszu z żarzącym się koksem, na którym piekły się ziemniaki. Feliks, który nagle poczuł głód, kupił jednego. Przypomnił sobie, że swą kolację zostawił w misce klozetowej „Golden Café”. Połknął łapczywie ziemniaka, potem kupił następnego, którego zjadł już w wolniejszym tempie, posypując obficie solą z solniczki należącej do sprzedawcy. Odczuwał trochę mniejszą odrazę do siebie, czerpiąc przyjemność z tego, że o tak późnej porze spaceruje po ciemnych ulicach Londynu. Czuł się samotny, przejęty łagodnym smutkiem, ale bezpieczny i strasznie mądry.

– Gdzie jesteśmy? – spytał sprzedawcę ziemniaków.

– Tuż za Bloomsbury Square, szefuniu – odpowiedział mężczyzna.

Feliks ujrzał w kolejce kobietę, która taksowała go wzrokiem. Ubrana była w obszerny zielony płaszcz, a na szyi miała wytartego lisa. Kapelusz z szerokim rondem, ozdobiony sztucznymi brązowymi różami, rzucał cień na jej twarz. Odeszła z kolejki i zbliżyła się do Feliksa, który utkwiał w niej wzrok.

– Cześć, kochasiu – zaczęła go kokieteryjnie. – Wyglądasz na niegrzecznego chłopca.

A może by tak... – pomyślał nagle Feliks. Dlaczego, u licha, nie?

*

Szedł po ciemnych schodach, mając przed sobą szerokie biodra kobiety. Pa-liło go – jak przy ostrej niestrawności – w gardle i piersiach na myśl o tym, co nastąpi w wyniku obopólnego porozumienia. Junactwo zwyciężyło uczucie wstrętu, które w nim wezbrało podczas krótkiego spaceru od straganu z kawą do mrocznego czynszowego domu w Bloomsbury.

Kobieta otworzyła drzwi i weszła do małego pokoju służącego za sypialnię i bawialnię. Gazowa lampa na ścianie była przykręcona. Feliks ogarnął nerwowym spojrzeniem żelazne niezasałone łóżko, stół z garnkiem i dzbankiem, mały kominek i stojącą przed nim skrzynkę po pomarańczach, na której leżały rzucone byle jak męskie spodnie.

– Masz pyry? – dobiegł go głos z pościeli.

Feliks podskoczył przestraszony. Mężczyzna usiadł na łóżku. Kobieta nie powiedziała.

– Aha – odezwał się mężczyzna. – Kapuję. Dobra.

– To znaczy... – zaczął Feliks.

– Wyniesie się zaraz – wyjaśniła kobieta.

Feliks nie był pewien, czy ta uwaga odnosi się do niego, czy do jej partnera. Zatrzymał się przy ścianie, a tymczasem mężczyzna, który spał tylko w bieliznie, wciągał spodnie. Feliks stał bez ruchu obserwując, jak tamten sznuruje buty. Ma wygląd kelnera, pomyślał. Mężczyzna zdjął marynarkę z haka na drzwiach i włożył na głowę spłowiwały melonik.

– Dobrej zabawy – powiedział przed wyjściem.

Feliks spojrział na wymiętoszone łóżko. Kobieta zdjęła kapelusz. Miała mocno upudrowaną twarz, matowe włosy upięte w luźny kok.

– Co chcesz? – spytała.

– Co? Aha. Po prostu zwyczajny...

– Należy się dwa funty – odpowiedziała. – Ubranie połów na tej skrzynce.

Feliks z trudem łapał oddech. Podał jej dwa jednofuntowe banknoty. Została mu tylko garść drobnych monet. Holland oświadczył, że najwyższa cena to funt, ale nie chciał się targować. W każdym razie, powiedział sobie w duchu dla uspokojenia, nie jest to rzecz, na którą można wyznaczać stałą cenę.

Kobieta podeszła do stojącej w rogu szafy i otworzyła ją. Wetknęła do środka pieniądze i zaczęła zdejmować ubranie. Feliks czuł dygotanie i drżenie na całym ciele. Jakby miał w płucach kocioł z wrzątkiem. Stał do niej tyłem i zaczął się niezgrabnie rozbierać. Bez pośpiechu kładł ubranie na skrzynce. Pozostał w wełnianym podkoszulku z długimi rękawami i w kalesonach sięgających kolan. Zastanawiał się, czy powinien rozebrać się do naga. W drodze kompromisu ściągnął podkoszulek. Czy ma zapytać o jej imię?

– Zostawić światło czy zgasić? – spytała kobieta.

Feliks odwrócił się w jej stronę. Po raz pierwszy w życiu zobaczył nagą kobietę. Stała obok lampy, z jedną ręką w górze, przy zaworze. Miała płaskie piersi z dziwnymi bulwiastymi sutkami, pulchny pomarszczony brzuch, wydatne pośladki i biodra, gęstą trójkąną kępkę matowych ciemnych włosów. Nie odrywał od nich zdumionego wzroku. Wiedział, oczywiście, że kobiety je mają, ale nigdy o tym specjalnie nie rozmyślał, w zasadzie nie odgrywały roli w jego wyobrażeniach. Taki gąszcz. Więcej niż u niego. Duża darniowa kępa.

– Zostawić – odparł Feliks.

Kobieta weszła do łóżka i podciągnęła pod brodę koc. Feliks położył się obok. Kolanem uderzył o jej udo.

– Przepraszam – powiedział. Zastanawiał się, co dalej? Obezwładniał go brak doświadczenia.

Twarz kobiety nie była przyjemna, nalane policzki, gruby nos. Pełen obawy nachylił się, żeby pocałować ją w usta.

– Co to, to nie – rzuciła ostro.

– Przepraszam – powtórzył Feliks.

Położył rękę na jej ramieniu i szybko przesunął po ciele, aż ręka dotknęła niezwykle kędzierzawych, ciemnych włosów. Były sztywne, sztywniejsze niż u niego.

– Zaraz, zaraz – obruszyła się. – Co ty masz na ustach? Jakieś zaraźliwe choróbko, czy co?

Feliks oderwał się od niej, ściągając koc.

– Przepraszam – powiedział po raz trzeci; kobieta nakryła się kocem.

Musi przestać mówić „przepraszam”, przyrzekł sobie w duchu.

– Nie – odparł. – To z zimna, rozumiesz. Opryszczka.

– Aha... – zgodziła się niepewnie.

Płomień syczącej lampy oświetlał pomiętą pościel i połyskiwał na jej tłustych włosach. Feliks, zaniepokojony, pomyślał o nieznanym mężczyźnie, który przed paroma minutami zajmował łóżko.

Feliks położył się z przymusem i uniósł nad ciałem kobiety. Przesunęła się nieco, znalazł się dokładnie na niej. Nogi miała szeroko rozwarte. Czuł kłującą kępkę włosów na swoim brzuchu. Z niewiadomego powodu dostał swędzenia na całym ciele. Skóra kobiety była lekko wilgotna, uderzyły go w nozdrza różnorakie zapachy, w miarę przyjemne, choć niepokojąco obce.

Żałował po niewczasie, że nie jest na ulicy i nie zajada trzeciego ziemniaka.

Poczuł, że ręce kobiety zmagają się z guzikami rozporka w kalesonach. Jego męskość, z czego zdał sobie sprawę, zupełnie nie reagowała.

– Niech to cholera – wymamrotała kobieta.

Zepchnęła go, wsunęła rękę do kalesonów. Pod dotknięciem obcej ręki poczuł gwałt zadany jego naturze. Zaciśnęła dłoń na członku.

– Stwardniej – powiedziała i zaczęła poruszać energicznie ręką w górę i w dół.

Feliks spojrzął na sufit i poczuł, jak jego uparta anatomia od razu reaguje na gwałtowny bodziec. Kobieta nadal mruczała coś pod nosem. Feliks zamknął oczy. Lepiej, stwierdził, jeśli nie będzie nic widział.

– Ach, ty świński skurwysynu! – zaklęła. Usiadła, wyciągnęła z obrzydzeniem lepką dłoń, jakby po czyszczeniu zatkanego ścieku. – Zaświnił cały cholerny koc. Wynos się. A toś mnie urządził. No, spieprzaj stąd!

Feliks wygramolił się z łóżka i skulony podszedł do swych ciepłych jeszcze rzeczy. Ubrał się szybko, puszczając zniewagi mimo uszu. Nie mógł się uporać ze sztywnym kołnierzykiem, w tajemniczy sposób jego palce przekształciły się w krótkie, grube, bezwładne odroślą. Spinka do kołnierzyka upadła na podłogę i potoczyła się gdzieś dalej. Wepchnął kołnierzyk i muszkę do kieszeni, szyję owinął szalikiem. Narzucił płaszcz i raz jeszcze spojrzął na kobietę, która ścierką wycierała koc.

– Możesz powiedzieć, jak dostać się do Charing Cross? – spytał wysokim, ochrypłym głosem.

– Spieprzaj, ty zaszary szczeniaku – odpowiedziała mściwie. – Wynos się stąd!

*

Nad Kentem wisiała lekka mgła. Jednolite szare światło brzasku podkreślało absolutny bezruch otoczenia. Feliksowi zdawało się, że jest jedynym ruchomym obiektem w krajobrazie. Dźwięk wydawały tylko jego przemoczone, chlupoczące buty, kiedy ciężko stąpał ścieżką w kierunku dworu w Stackpole. Źle zrobił idąc na przełaj przez pola. Rosa była tak gęsta, że równie dobrze mógłby brodzić w wodzie. Wczesnym porannym pociągiem pocztowym zabrał się do Ashurst, na bilet wydał wszystkie pieniądze. Pozostało mu tylko jedno – iść pieszo do domu.

Otworzył główną bramę przy podjeździe i zamknął ją cicho za sobą. Nie chciał budzić nikogo w portierni. Jakież wywołałby zdumienie, że o tej porze dnia włóczy się w smokingu. Brnął po błotnistym podjeździe. Nie mógł właściwie zrozumieć, dlaczego wrócił do Stackpole. Niejasna próba ucieczki H od miejsca upokorzeń, chęć zwiększenia dystansu między nim a Londynem. Zdał sobie sprawę, że ubrania zostawił u Hollanda. Będzie musiał po nie posłać albo sam wrócić. Wrócić? N i g d y , pomyślał, nigdy. Co teraz myśli o nim Holland? Czy Amory opowiedziała gościom o jego okropnym zachowaniu? Czy wszyscy będą się śmiać i traktować go protekcyjnie? „Ty głupi, nudny żółtodziobie!” Jęknął głośno. Wciąż brzmiał mu w uszach jej głos. A potem przygoda z tą ulicznicą... Przynajmniej tylko on jeden wie, co zdarzyło się w pokoju prostytutki. Cóż za fatalna noc: nieszczęście na skalę prawdziwej epopei. Po uprzytomnieniu sobie sytuacji zwolnił kroku. Zatrzymał się. Drżącą ręką przetarł oczy. Padł na ziemię i postukał się w czoło. Wiedział, dlaczego wrócił do Stackpole. W Londynie nie miał dokąd iść. Przynajmniej tutaj nikt nie wie, jakie spotkało go upokorzenie.

Podniósł się na nogi, zobaczył drogę prowadzącą do domu Gabriela i Charis i nie wiedząc dlaczego, ruszył w tamtą stronę. Ku swemu zdumieniu zobaczył światło w oknie na parterze. Podeszedł bliżej i zajrzał do środka. Charis siedziała na niskim podnóżku przed świeżo rozpalonym kominkiem. Miała grubą granatową suknię, rozpuszczone włosy, w ręce trzymała kubek, z którego unosiła się para.

Zapukał lekko w szybę. Charis odwróciła się tak gwałtownie, że omal nie spadła ze stołka. Kiedy go rozpoznała, odetchnęła z ulgą, przykładając rękę do serca. Wstała, żeby otworzyć drzwi, i zniknęła mu z pola widzenia.

– Feliksie! Na Boga. Omal nie wyzionęłam ducha z przerażenia. Co, u licha, tu robisz? Proszę cię, wejdź, wejdź.

Wszedł do małej bawialni, ogrzał ręce przed kominkiem.

– Przychodzę prosto ze stacji – powiedział.

– Aha. Londyn nie spełnił twoich oczekiwań? – spytała ze współczuciem.

– Można to i tak nazwać.

– Napij się herbaty – zaproponowała. – Wyglądasz nieszczęśliwie.

- Zdejmę buty, jeśli pozwolisz. Ociekają wodą.
- Zdejmij. – Przyniosła filiżankę na spodku.
- Jak udało się przyjęcie? – spytał. – Żałuję, że nie zostałem.
- Wypadło całkiem nieźle – odparła. – Nie mogłam zasnąć. Dlatego jestem jeszcze w ubraniu, jeśli cię to dziwi. Byłam na spacerze.
- Kto przyjechał?
- Hyamsowie. Znajomi z okolicy. I Sammy Hinshelwood.
- Jak się miewa Sammy?

Charis podała mu filiżankę herbaty.

– To z jego powodu nie mogłam zasnąć. Sammy zachowywał się... Jak to nazwać? Chyba, najłagodniej mówiąc, w sposób „przesadnie szarmancki”.

– Boże święty! – Feliks poczuł się do głębi poruszony, kiedy zrozumiał, w czym rzecz. – Sammy Hinshelwood? Drużba Gabriela!

– Musiał za dużo wypić. Myślę, że po prostu chciał mnie pocieszyć. W każdym razie nic się nie stało. Przeprosił, powiedział, że mu ogromnie przykro z tego powodu.

Feliks, pełen oburzenia, potrząsnął w zdumieniu głową. Spojrzał na swe białe palce zbielejące od mokrych skarpetek, na żółte paznokcie – tak, pomyślał, wyglądają nogi nieboszczyka. Sammy Hinshelwood... kto by pomyślał? Charis siedziała na brzegu kanapy. Feliks spojrzał na nią. Miała na sobie bardzo ciemną granatową suknię bez rękawów. Wyglądała, jakby ją zanurzono w atramencie aż po pachy, tak silnie z białą karnacją kontrastował granat. Długie włosy opadały prawie do pasa. W tym domowym stroju nagle wydała mu się niesłychanie bliska. Dostrzegł niewielkie fałdki przy pachach, gdzie skóra marszczyła się lekko nad stanikiem sukni. Jej szyję zdobił sznur gagatów i bursztynów. Próbował wyobrazić sobie jej nagie ciało. Wydawało mu się jędrne i gładkie, bez kępki włosów na łonie, jak ciało dziewczynki albo posąg. Nie takie, jakie widział przed paroma godzinami.

Podniosła wzrok, ich oczy się spotkały.

– Skaleczyłeś się? – spytała.

Dotknął opryszczki.

– To nie skaleczenie – odparł. – Opryszczka. Wiesz, mam ją od dłuższego czasu. Nie mogę się tego pozbyć.

Wstała.

– Zostań tu – powiedziała. – Mam na gorze lekarstwo. TCP. Zobaczysz, zniknie bez śladu.

Wyszła. Feliks słyszał nad głową jej kroki. Popijał herbatę i wpatrywał się w ogień. Nieproszona, wstrętna myśl przyszła mu do głowy. Odrzuć takie myśli, rozkazał sobie, ale rozkaz nie skutkował. Pomyśl o Gabrielu, powtórzył raz jeszcze. „Gabriel” wypowiedział głośno jego imię, jak przebrzmiały slogan. Parę węgli osunęło się w płomienie.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

17 CZERWCA 1915 ROKU

NANDA, NIEMIECKA AFRYKA WSCHODNIA

– Dziękuję – powiedział Anglik, kiedy Liesl von Bishop podała mu kule. Uśmiechnął się do niej. Miał szeroką, kwadratową twarz, wydatne szczęki. – *Danke schön* – powtórzył.

– Wspaniale, panie Cobb – zawołał doktor Deppe. – Akcent pierwsza klasa!

Liesl stłumiła przypływ irytacji. Deppe popisuje się swym angielskim. Za kogo on się uważa? W końcu to ona ma męża pół-Anglika. Z wiedziła nawet ten kraj. Deppe myśli, że jest nie wiadomo kim.

Liesl obserwowała, jak oficer angielski niepewnie staje na nogach. Z wysiłku zaczęły mu drżeć ręce i ramiona. Liesl i Deppe podbiegli, ujęli go pod ręce i z powrotem posadzili na łóżku.

– Ojej – westchnął. – Jeszcze trochę się ślaniam.

– Nic dziwnego – odparła Liesl. – Jest pan bardzo słaby.

Gabriel zdumiał się słysząc, że mówi po angielsku.

– Frau von Bishop jest poliglotką – odezwał się Deppe protekcjonalnie. Oparł kulę o łóżko. – Dobrze poszło. Pomału nauczymy się chodzić. Jutro jeden krok, pojutrze dwa. I tak dalej.

Liesl podeszła do okna. Życie było tu znośne, dopóki Deppe nie przyjechał z Tangi i nie przywiózł rannych i chorych Anglików. Jeden bez obu nóg, drugi z jednym płucem, a ten z ranami kłutymi od bagnetu. Zdumiewająca poprawa we wszystkich przypadkach, powiedział Deppe. Skrzętnie notował wszelkie uwagi, bo po wojnie zamierzał napisać artykuł o przebiegu leczenia rannych żołnierzy i zamieścić go w piśmie medycznym. Liesl widziała, jak zgarbiony siedzi teraz nad książką w kącie wielkiej sali i gryzmoli coś naprędce. Westchnęła i odkleiła od ciała wilgotny od potu fartuch własnej roboty.

Za oknem rozciągał się widok na obszerny udeptany dziedziniec opadający w dół do palisady, za którą stały rozrzucone w nieładzie drewniane, kryte strzechą chaty – obóz jeńców wojennych w Nandzie. Przebywało w nim około osiemdziesięciu Anglików i żołnierzy z Południowej Afryki, wziętych do niewoli w czasie licznych potyczek, do których doszło na terenie Afryki Wschodniej od czasu wielkiego zwycięstwa Niemców w Tandze. Nie wiedziała zbyt wiele o tej porażce Anglików. Erich podczas swych rzadkich urlopów mówił o przebiegu walk, ale słuchała jego relacji bez większego zainteresowania. Mówiąc szczerze, było jej wszystko jedno, skoro nie mogła się cieszyć wygodami we własnym domu. Czekala tylko na zakończenie walk.

Wkrótce po wypowiedzeniu wojny nakazano im opuścić farmę w Moszi: za blisko frontu, powiedziano. Spędziła dwa miesiące w Dar i po prostu z nudów zgłosiła się do pracy jako pielęgniarka w dużym miejscowym szpitalu. Odesłano ją jednak dalej na południe do Nandy, gdzie powstał nowy szpital dla ciężko rannych żołnierzy, których rekonwalescencja miała potrwać dłużej i którzy prawdopodobnie nie będą zdolni do dalszej walki. Erich zachęcał ją do wyjazdu. Nie podobało mu się, że mieszka sama w Dar, a poza tym, dodał, w Nandzie będzie bezpieczniejsza. Brytyjczycy, dowodził, na pewno wkrótce zbombardują Dar. Nanda leżała dalej na południu, w mniejszym szpitalu praca będzie spokojniejsza.

Pod tym względem Erich miał rację. Do przyjazdu Deppego była odpowiedzialna za szpital. Dawniej w tym budynku, który znajdował się na krańcu miasteczka, mieściła się rolnicza stacja doświadczalna. Liesl dostała drewniany, kryty blachą bungalow do dyspozycji własnej – i Ericha, kiedy przyjeżdżał na urlop.

Obóz jeniecki powstał wkrótce po jej przyjeździe, zakwaterowano tu również mały garnizon do pilnowania uwięzionych. Reszta mieszkańców Nandy to żony i rodziny plantatorów kauczuku, których pola otaczały zewsząd miasto.

Liesl stwierdziła ze zdumieniem, że czuje się zadowolona z powrotu do obowiązków pielęgniarki. Nawet po cichu wdzięczna była losowi za to, że dzięki wojnie może pracować. Po powrocie z Europy w 1914 roku przez pierwszych kilka tygodni czuła się okropnie, jak nigdy w życiu. Codziennie rano, po przebudzeniu, ogarniał ją od razu nerwowy nastrój psujący cały dzień. Z niczego nie była zadowolona, nic jej nie cieszyło. Nie znosiła tego kraju, zabójczego klimatu, obowiązków na farmie; jej niezadowolenie odbijało się na Erichu.

Nie mogła powiedzieć, że teraz jest szczęśliwa, ale w każdym razie nie czuła się przygnębiona. To znaczy, do czasu przybycia tego żalostnego człowieka, Deppego – przejętego swoimi przypadkami z książek – który wyrócił wszystko do góry nogami, zmieniał wypróbowane i sprawdzone czynności rutynowe, kolejność dyżurów, kręcąc się wszędzie jak jakiś zbyt gorliwy, mały biurokrata...

Oderwała drzazgę z parapetu.

– Przepraszam, *Entschuldigung*.

Odwróciła się. Z łóżka wzywał ją ten żołnierz, Cobb.

– *Wasser. Kann ich, uhm, Wasser haben. Bitte.*

Przyniosła mu szklankę wody.

– Mówię po angielsku – powiedziała. – Nie musi się pan posługiwać niemieckim.

Pamiętała jego przybycie do szpitala. Ledwo zniósł podróż z Tangi. Niewiele brakowało, by Deppe mógł przedwcześnie zamknąć historię tego cennego przypadku. Prawie tydzień trawiła go gorączka. Pamiętała obmywanie jego ciała mokrymi ściereczkami. Miał bardzo szczupłe i nieprawdopodobnie blade ciało. Białe brzuch przecinały purpurowe pręgi, na udzie widoczna była głęboka szrama, w której tkwiły jeszcze szwy. Deppe powiedział, że opatrunek na nodze należy zmieniać co dwadzieścia cztery godziny. Przysparzało to wszystkim pracy. Równie dużo uwagi wymagał chory z amputowanymi prawie do biodra nogami. Deppe był dumny, że utrzymał przy życiu tych dwóch ludzi. Przynajmniej Cobbowi nie trzeba było amputować nogi, choćby nawet miał później kulę. Podała mu szklankę.

– Dziękuję – powiedział. – Gdzie nauczyła się pani tak dobrze angielskiego?

– Ojciec mego męża był Anglikiem. Mieszkał w uzdrowisku Leamington, niedaleko Stratfordu. Był pan tam kiedyś?

– Nie, nie byłem. Gdzie przebywa teraz pani mąż?

– Walczy.

– Przeciwno Niemcom? – Na jego twarzy widać było zdumienie, a zarazem współczucie.

– Nie, skądże. On jest Niemcem. Od lat. Walczy przeciwko wam. – Liesl nie starała się wybawić go z zakłopotania.

– Mogłaby pani uczyć mnie niemieckiego? – zapytał, żeby zmienić temat.

Liesl rozejrzała się po sali. Rano był tu znośny chłód. W późniejszych godzinach robił się upał nie do wytrzymania.

– Dlaczego chce się pan uczyć niemieckiego? – spytała, choć straciła już zainteresowanie jego odpowiedzią. Myślała o czekającej ją za godzinę, po zakończeniu dyżuru, „kąpieli”. Codziennie, stojąc w blaszanej waniencie, kazała swej służącej Kimi oblewać się kublami zimnej wody. Potem siadała do kolacji i wreszcie szła spać.

– No cóż – odparł Cobb. – Mógłbym znaleźć okazję – wskazał na otoczenie – żeby tę umiejętność wykorzystać. Przynajmniej to.

*

Zmęczona Liesl wchodziła ciężkim krokiem po drewnianych schodach prowadzących na rozchwianą werandę bungalowu. Dom był mały, dwupokojowy – składał się z sypialni i bawialni – należał do nieżonatego zarządcy którejś plantacji. Nie było tu prawie mebli. Zarządca został powołany do *Schutztruppe* i przebywał teraz w okolicy Kilimandżaro, zakwaterowany, jak się dowiedziała, w jej własnym przestronnym domu na farmie.

Od dziesięciu miesięcy działania wojenne stały w martwym punkcie, ale właśnie o to, zdaniem Ericha, chodziło von Lettowowi. Wiedział, że *Schutztruppe* nie pokona Brytyjczyków, ale zrecznie rozgrywana i przewlekana kampania wojenna zwiąże siły nieprzyjaciela, oderwie je od decydującego europejskiego frontu.

Armia niemiecka z Moszi i Tavety stawiała czoło Brytyjczykom w Voi. Doszło do utarczek w Jasinie na wybrzeżu, Belgowie poczynili wstępne kroki z terytorium Konga i nic ponadto. Od czasu sromotnej porażki pod Tanga w listopadzie 1914 roku Anglicy niczego nie dokonali. Niczego, dodała Liesl, poza zatopieniem „Königsberga” w delcie Rufidzi.

Pamiętała „Königsberga”. Stał przycumowany w porcie Dar es-Salam, udekorowany flagami w dniu, w którym wróciła z Niemiec. Starła się wyobrazić go sobie, jak leży podziurawiony w dżungli w dopływie rzeki, i ten obraz rdzewiejącej stali, wodorostów i zielska zaprzętnął jej myśli. Wspominała dom na farmie, schludny ogród i gaje bananowe. Wszystko teraz zrównane z ziemią, szerniało, zniszczone ogniem artyleryjskim. Wzruszyła ramionami i podeszła do okna od strony podwórka. Zobaczyła gawędzącą z kucharzem Kimi, opartą w nonszalanckiej pozie o chatę kuchenną.

– Kimi – zawołała. – Przynieś wodę.

Weszła do sypialni i usiadła na łóżku. Tymczasem Kimi z kucharzem wnieśli cztery kubły wody, uginając się pod ich ciężarem. Krótki afrykański zmierzch miał się ku końcowi. Czerwone słońce skryło się za wierchołkami drzew, czuć było zapach palącego się drewna, rozległy się pierwsze cykania świerszczy.

Kimi stała posłusznie, w milczeniu, a Liesl zdejmowała ubranie. Rozebrana poczuła przyjemne odprężenie. Kimi stanęła za nią i rozsznurowała zniszczone bawełniany gorset, który miała wyprać. Liesl odczuwała brak nowych ubrań, ale nie można było ich kupić. Stała przez chwilę całkiem naga, w pozie osoby zmęczonej i zrezygnowanej. Dziesięć godzin w szpitalu. Przedramieniem podniosła ciężkie piersi i odsuwając je od ciała wytarła od spodu gorsetem, którym potem przetrzała pachy. W tym kraju człowiek tylko się poci. Spojrzała na jasnokremowe, pokryte piegami ciało. Całe w piegach. Blade jak u ksieni, powiedział kiedyś Erich. Tylko że teraz tę bladeść szpeciły czerwone potówki: pas poniżej pępka, plamy po bokach od ocierania się o ubranie. Wyprostowała się i weszła do cynkowanej, żelaznej waniенki na środku pokoju. Kimi stanęła na krześle obok. Liesl wyciągnęła rękę i stękając z wysiłku podała jej kubek wypełniony po brzegi wodą.

- Gdzie mydło? – spytała.
- Nie ma mydła – odparła Kimi.

Liesl westchnęła. Jutro weźmie kawałek ze szpitala. Mniejsza z tym, najważniejsza woda. Przeżyje kilka rozkosznych chwil.

- Lej – powiedziała.

Kimi bez pośpiechu polewała szerokie, białe ramiona Liesl. Pod wpływem chłodnej wody zaparło jej dech, ale wstrząs minął zdumiewająco szybko. Woda ściekała po ciele. Liesl w roztargnieniu zaczęła wykonywać ruchy jakby się mydliła, rękami sięgała do każdego załamka skóry, pocierała przedramiona i brzuch, podniosła jedną, potem drugą nogę. Trzymając ciężkie kubły w górze, Kimi wykrzywiła z wysiłku twarz. Po opróżnieniu jednego wiadra Liesl podawała jej następne.

Umyta, wytarła się w końcu grubym bawełnianym ręcznikiem, wystrzępionym i pełnym łat, i włożyła świeże ubranie. Potem zjadła kolację i poszła do łóżka. Z wyjątkiem dni, kiedy odwiedzała ją znajoma z Nandy, żeby pograć w karty, napić się kawy lub pogawędzić o przebiegu wojny i jej następstwach, zawsze szła wcześniej spać.

Taki rytm dnia ustalił się szybko i trwał niezmiennie od pięciu miesięcy, od chwili jej przybycia do Nandy. Wyłom w tym trybie spowodował tylko Erich podczas dwóch krótkich urlopów, kiedy to do wąskiej sypialni wstawał połowe łóżko i witał ją zawsze na werandzie, gdy wracała po pracy do domu.

ROZDZIAŁ DWUNASTY

21 LISTOPADA 1915 ROKU
VOI, BRYTYJSKA AFRYKA WSCHODNIA

Temple stał przed urzędem pocztowym w Voi i krytycznym wzrokiem lustrował swój mundur. Czuł się nieco skrępowany tym, że nowy błyszczący pas oficerski raczej podkreśla, niż podtrzymuje wydatny brzuch. Musiał zrobić dziurkę na samym końcu pasa, ale krótki koniuszek nie chciał się trzymać pod sprzączką. Wyślizgiwał się przy najmniejszym poruszeniu.

Temple czekał cierpliwie na wezwanie generała brygady Tighe'a, dowodzącego wojskiem zgrupowanym obecnie w Voi, przygotowującym się do ataku na Niemców, którzy stacjonowali w Tavecie, o kilka kilometrów drogi przez równinny teren.

Temple podkręcił wąsa i spojrzał na nieprzerwany pochód oddziałów wojska, osłów, mułów i pojazdów zmotoryzowanych, furmanek i furgonów wszelkiego rodzaju, które ciągnęły w jedną i drugą stronę główną ulicą Voi, przed urzędem pocztowym, służącym teraz za wysuniętą kwaterę brygady Tighe'a. Temple wspominał czasy, kiedy to on i jego rodzina przybyli tu przed rokiem jako uchodźcy, pierwsze ofiary „tej wojny”. W myśli dodał cudzołłów. Od czasu przystąpienia do Wschodnioafrykańskich Strzelców Konnych, po tragicznej śmierci Essanjee'ego, niczego nie dokonał. Niczego, z wyjątkiem zdobywania miesiącami, sztuka po sztuce, poszczególnych części umundurowania, a także nie kończących się ćwiczeń i krótkich wypadów konnych w okolice Nairobi. Co pewien czas małe oddziały wypuszczały się na zwiady, przekraczały granicę niemiecką, ale rzadko napotykały Niemców.

Temple'owi nie było dane uczestniczyć nawet w tej namiastce działania, bo dostał przydział do 3 Batalionu Królewskich Strzelców Afrykańskich jako zwiadowca, ze względu na dobrą znajomość terenu.

Gdy przed sześcioma miesiącami przybył do Voi, zdumiała go przemiana tego miasteczka, będącego dotychczas centrum administracyjnym i małym węzłem kolejowym, w ogromny obóz wojskowy. Wielkie kontyngenty wojska z

Południowej Afryki, mające zasilić niedobitki Indyjskiego Korpusu Ekspedycyjnego B, rozlokowały się w rzędach namiotów ustawionych we wszystkich kierunkach. W tym prowizorycznym mieście garnizonowym indyjscy sipaje, miejscowi Afrykanie, kolorowi i biali żołnierze z oddziałów południowoafrykańskich, a także Brytyjczycy z trudem utrzymywali przyjazne stosunki.

Temple patrzył, jak najpierw armia gromadzi się w gorączkowym pośpiechu, oczekując na działania, potem ludzi się nadzieją, wreszcie ulega coraz większemu rozczarowaniu i popada w całkowitą nudę. Czekali i czekali, rozszerzał się rozległy park motorowy, rosły góry sprzętu, pułki kawaleryjskie, przeprowadzały manewry, górskie baterie wykonywały ćwiczenia bojowe przy użyciu ślepej amunicji, a ludzie utyskiwali i dogadywali jedni drugim.

Na myśl o Smithville, oddalonej o godzinę czy dwie jazdy, Temple'owi z żalu napływały łzy do oczu. Niejeden raz wypuszczał się drogą, którą jechał z Essanje'em i Wheech-Browningiem, do miejsca, skąd widać było Salaite, i przez lornetkę spoglądał na wzniesienie terenu, które zasłaniało jego dom i zabudowania gospodarcze.

Był ciekawy, w jakim stanie znajduje się jego farma, czy Niemcy zniszczyli wszystko, co wzniosł z takim mozolem. Dom, szopy, suszarnie, zbiory, dekortykator... Nie mógł sobie zupełnie wyobrazić dekortykatora w stanie zniszczenia: z zardzewiałym, uszkodzonym korpusem. Dekortykator był zbyt duży i mocny, zbyt masywny i ciężki, żeby można go było zniszczyć. Być może pasy napędowe będą wymagały wymiany, a silnik – nowych uszczelek i kapitalnego remontu, ale sam dekortykator, potężne, żelazne koła, zęby i łańcuchy mlójące wydawały się tak trwałe, jak tylko można to sobie wyobrazić.

Z przykrością dostrzegał, że rodzina nie podziela jego udręki i niepokoju. Znalazła szczęśliwe schronienie w misyjnym bungalowie należącym do wielbego Normana Espie'ego. Po urodzeniu zdrowej córeczki Matylda, a nawet dzieci, ku oburzeniu Temple'a traktowały misję jako dom.

– Wasz dom to Smithville – strofował je gniewnie pewnego razu w Nairobi, kiedy zmęczone powiedziały, że chcą jechać do „domu” do misji. Zdumiały go ich obojętne spojrzenia. – Smithville. Farma. Dekortykator.

– No, uspokój się – łagodziała Matylda. – Kochanie, nie mieszaj im w głowie.

– Dom jest tam, gdzie i serce – zaintonował pobożnie wielbny Norman Espie.

– Aha – zgodził się Temple. – Właśnie! D o k ł a d n i e t a m !

Przez sekundę Espie miał urażoną minę, ale potem pośpiesznie zapewnił Temple'a, że bardzo dobrze rozumie jego uczucia.

Temple potarł czubkiem buta o schludne owijacze. Od ponad półgodziny Tighe kazał mu na siebie czekać. W żołądku zaczynało mu burczeć z głodu, nie jadł jeszcze lunchu. Zdjął kask tropikalny i przyjrzał się uważnie rondu Otrzepał się z kurzu.

Przy drzwiach stanął ordynans.

– Pan Smith? Może pan wejść.

Temple został wprowadzony do dawnego biura naczelnika poczty. Tighe i major brygady stali przed stołem, na którym leżała duża mapa. Tighe trzymał w ręce pustą szklankę, a kiedy się odwrócił, żeby powitać przybyłego, Temple zobaczył rozlatany wzrok człowieka silnie zamroczonego alkoholem.

– Aha, Smith, prawda? – spytał Tighe. – Chcę – zaczerpnął powietrza – wykorzystać pańską znajomość okolicy. Potrzebuję ekspertyzy i tak dalej. Niech pan rzuci okiem na mapę.

Temple stanął przy generale. Tighe był małym, łysym mężczyzną, z okrągłą, rumianą twarzą cherubina i małym szczeciniastym wąsikiem, który zupełnie nie pasował do reszty postaci. Zalatywało od niego wódką, jakby był zakonserwowany w alkoholu.

Temple spojrział na mapę. Voi, a potem pusta przestrzeń aż do Tavety. Długa linia gór Usambara, biegnąca od wybrzeża na zachód, kończyła się przy ogromnej kropce – Kilimandżaro.

– Ogólnie biorąc, będzie to wyglądało następująco – powiedział Tighe. – Zaatakujemy od południowej i północnej strony Kiliwhatsit. Spotkamy się po drugiej stronie, potem przerzucimy wojska wzdłuż Kolei Północnej do Tangi i wyprzemy Niemców. Powinno się to udać.

– Generał Stewart ze swoją 1 Dywizją przypuści atak od północy, a my tymczasem przedostaniemy się przez przełęcz za Taveta. – Wysączył resztkę alkoholu ze szklanki. – Nalej pan jeszcze żdziebko, dobrze? – zwrócił się do majora brygady.

– Pułkownik Youell z KSA powiedział, że ma pan farmę niedaleko Tavety. Jego zdaniem byłoby dobrze przedostać się trochę dalej za góry Usambara. Sądzę, że moglibyśmy przeciąć teren od jeziora Dżipe do Kahe. Co pan mówi? Aha, dziękuję – wziął szklankę od majora brygady.

– Nie da rady, panie generale – powiedział Temple, słysząc nazwę jeziora Dżipe, tknięty nagle tęsknotą za domem.

Wskazał na przełęcz między górami Usambara a Kilimandżaro.

– Na tym obszarze, panie generale, jest kilka niewielkich wzniesień. Przed Taveta leży Salaita, za miastem zaś droga prowadzi między Latemą i Reatą. Niemcy w pełni kontrolują ten teren. Niełatwo będzie wyprzeć ich z tamtych pozycji.

– Och – Tighe miał zdumiony wyraz twarzy. – Jest pan pewien? Spodziewa się pan tam jakichś problemów, Charles? Co mówią nasi ludzie?

– Bardzo wątpliwe – odparł major brygady. – Pamiętajmy, że Stewart z 1 Dywizją przybywa zza Kilimandżaro. Niemcy nie będą chcieli stawiać oporu w okolicy Latemy i Reaty. Nie, jesteśmy całkiem pewni, że będą się wycofywali wzdłuż linii kolejowej do Tangi.

– No cóż, Smith – powiedział wesoło Tighe. – Wydaje się, że nie ma pan racji. W każdym razie, dziękuję.

– Tak jest, panie generale – rzekł Temple. Włożył kask tropikalny i zasalutował.

– Przy okazji – zatrzymał go Tighe. – Ma pan dziwny akcent. Skąd pan pochodzi? Devon, Kornwalia?

– Nie, panie generale. Z Nowego Jorku. Ze Stanów Zjednoczonych Ameryki.

– Ach, tak – Tighe spojrział na swój trunek. – Smith to chyba nietypowe nazwisko jak na Amerykanina. Dom daleko, prawda?

– Nie, panie generale – odrzekł Temple i pokazał na mapie Smithville. – Tu jest mój dom.

Tighe rzucił spojrzenie na majora.

– Tak. Hm. Ma pan rację. Cieszę się, że tacy ludzie są z nami. Powodzenia.

Temple wyszedł z werandy na słońce, poprawił kask i westchnął głośno. Brytyjczycy. Potrząsnął głową pełen wściekłości i podziwu. Generał-alkoholik, a armia to istna wieża Babel, kręcą się po tej spieczonej słońcem równinie nie mając najmniejszego pojęcia, co robić...

Ruszył wolnym krokiem w stronę ogromnego obozu, gdzie stał jego namiot. Odpiął u góry guziki bluzy i z westchnieniem ulgi zdjął pas. Na szczęście przepisy dotyczące munduru na tym terenie działań wojennych, oględnie mówiąc, były swobodne. Obowiązywały koszule z krótkimi rękawami i szorty.

Temple przeszedł obok kompanii ćwiczących sipajów i mijiał ogromną zagrodę dla mułów i osłów, której brama otwarta była na oścież. Lekki powiew wiatru przyniósł ostry zapach nawozu. W powietrzu, ponad uwiązanymi zwierzętami, unosiło się mrowie much. Patrzył, jak spoceni, wpółnaczy stajenni ciągną martwego kucyka. Śmierć zbierała niezwykle obfite żniwo wśród koni i mułów, każdego dnia całe ich tuziny padały ofiarą much tse-tse, ale dopływ zwierząt jucznych wydawał się nieprzebrany – bez przerwy przybywały nowe transporty.

Za rzędem powiązanych mułów ciągnęło się nędzne, nieporządne obozowisko oddziałów, zwanych wspomagającymi, składających się z tysięcy tragarzy, kulisów i służby, a także ich żon i rodzin; byli potrzebni, by ta rozrastająca się armia mogła w miarę sprawnie funkcjonować. Temple wyobrażał sobie, że tak musieli wyglądać Izraelici po czterdziestoletniej wędrówce przez pustynię Synaj. Ogromna liczba ludzi wszelkich wyznań, skupiona na dużym terenie, bez domów, instytucji, urządzeń sanitarnych, ale ze wszystkimi ludzkimi dramatami – jak narodziny, śmierć, zawieranie małżeństw, cudzołóstwo – typowymi dla każdego miasta. Nigdy do tej pory Temple nie był w obozie tragarzy. Na początku jakiś wojskowy próbował narzucić pozory żołnierskiej schludności i porządku, zmuszając ludzi do zakładania poletek, klecienia chat, bud z ciernistych krzewów i roztawiania w równych rzędach namiotów z koca, ale w ciągu

kilku dni znikło to bez śladu. Gdyby spojrzeć na obóz tragarzy z niewielkiego wzniesienia, można by było dostrzec oryginalną szachownicę pól, jaką stosowano w średniowieczu, zanim pokryła je warstwa roślinnego gąszczu. Ale z bliska widziało się tylko okropny nieporządek i zgiełk.

Temple przeszedł przez lichy drewniany most przerzucony nad szerokim wąwozem. Rozpostarł się przed nim spory otwarty teren, niedawno oczyszczony z ciernistych krzewów i głązów, ubity stopami tysięcy kulisów, który służył teraz za lotnisko Voi. Na wrzecionowatym maszcie wisiał „rękaw” do wskazywania kierunku wiatru. Po prawej stronie znajdowały się prowizoryczne hangary, niewiele większe od brezentowych daszków, dających trochę cienia dwóm kruchej konstrukcji dwupłatowcom – BE₂Cs – które teraz należały do Królewskich Sił Powietrznych w Afryce Wschodniej.

Kiedy Temple przyglądał się lotnisku, jedną maszynę spychano na pas startowy. Zaciekawiony podszedł bliżej. Widział już dwukrotnie aeroplany. Za pierwszym razem w Nairobi, za drugim zaś – hydroplan – w Dar es-Salam. Zdumiało go nie to, że takie maszyny mogą latać, lecz ich krucha konstrukcja. Był mechanikiem i ciężki sprzęt, z którym miał do czynienia – lokomotywy, gruszki Bessemera, młockarnie, dekortykator – były mocnymi, potężnymi wytworami rąk ludzkich, wprawianymi w ruch siłą i wielkością poszczególnych elementów. Kute żelazo, płyta stalowa, przesuwające się tłoki. Kiedy oglądało się dekortykator na pełnych obrotach, widać było symbol możliwości ludzkiej inwencji. Żadne przedsięwzięcie, bez względu na to, jak nierealne, nie wydaje się trudne do zrealizowania, kiedy ten rodzaj siły można stworzyć, ten rodzaj energii wprawić w ruch, ujarzmić i kontrolować. Ale aeroplany?... Pozszywane kawałki brezentu, niepewne podpórki, luźne druty instalacyjne. Temple czuł, że gołymi rękami mógłby taki aeroplan zdemolować i podpalić.

Kiedy podszedł bliżej, ku swemu przerażeniu rozpoznał znajomą chudą postać. Wheech-Browning. Był ubrany w wypłowiałą koszulkę khaki, luźne szorty do kolan i płócienne obuwie na gumowej podeszwie, bez skarpetek. Na głowie miał tweedową czapkę – włożoną tył na przód – na oczach lotnicze okulary ochronne. Wheech-Browning był ostatnią osobą, którą Temple chciał widzieć. Nie znosił tego człowieka. Przez niego przydzielono go do 3 Batalionu KSA w Voi, za co żywił do Wheech-Browninga głęboką urazę. Tragiczna śmierć Essanjee'ego, w odczuciu Wheech-Browninga, związała ich nierozdzielnie. Traktował Temple'a jak przyjaciela, towarzysza broni, a wspólny chrzest bojowy połączył ich, jego zdaniem, dożgonnym węzłem przyjaźni. Tę przyjaźń Temple mógłby tolerować, gdyby jednocześnie Wheech-Browning nic upominał się o należności celne za sadzonki kawy z taką samą energią, z jaką szukał przyjaźni Temple'a. Wheech-Browning, czasowo zwolniony z obowiązków służbowych z powodu powołania do wojska, przekazał sprawę w ręce przedstawiciela rządu w Voi – niejakiego Mulberry'ego. Ostatnie spotkanie z Mulberrym skończyło się na tym, że zagrożono Temple'owi wytoczeniem sprawy sądowej za nieuiszczenie długu.

Smith obrócił się na pięcie i ruszył w przeciwnym kierunku.

– Smith! Niech pan przyjdzie popatrzeć.

Temple niechętnie zawrócił do aeroplanu, przy którym krzatali się teraz mechanicy. Wheech-Browning stał obok bardzo młodego jasnowłosego pilota, który na oko wyglądał na dwanaście lat.

– Czy zna pan porucznika Drewesa? Zamierza zawieźć mnie do Salaity. Zobaczę, co knują Szwabcy. Dobra myśl, prawda?

Temple intensywnie myślał:

– A czy mógłby pan polecieć do Smithville? To niedaleko stąd. Mógłby pan...

– Przykro mi, stary – uśmiechnął się Wheech-Browning. – Mamy problemy z paliwem. Zgadza się, Drewes? Ale coś panu powiem, przyjrzę się przez starą lornetkę. Zobaczę, czy wszystko stoi na swoim miejscu. – Poklepał napięty brezent z boku aeroplanu. – Zdumiewające maszyny. Cudowne wrażenie, jak człowiek leci wysoko do nieba. Czuje się jak Bóg. Powinien pan spróbować, Smith.

– Czy latał pan już kiedyś? – spytał Temple.

– Kto? Ja? Nic, skądże znowu. Pierwszy raz w życiu, prawda, Drewes? Czytałem o tym w jakimś czasopiśmie. Drewes zamierzał sobie polatać, więc spytałem, czy może mnie zabrać...

Kiedy mechanik zakręcił drewnianym śmigłem i silnik zapalił, wypuszczony gaz prychnął, a maszyna zaczęła się trząść i drgać.

– Na pokład „Skylarka” – powiedział piskliwym głosem Drewes.

Wheech-Browning odwrócił twarz z goglami na nosie w stronę Temple'a.

– Widział pan Mulberry'ego? – przekrzykiwał hałas silnika. Temple skinął głową. – Fajnie – krzyknął znów Wheech-Browning. – Jest trochę zły z powodu nieuiszczonych opłat celnych.

Temple nie mógł nadziwić się jego zachowaniu, temu, iż nie rozumiał, że sprawą opłat celnych naraża na szwank ich „przyjaźń”.

Wheech-Browning podniósł kciuki do góry, naciągnął czapkę i z trudnością wspiął się do małej kabiny pasażerskiej za pilotem. Drewes przyspieszył obroty silnika, za aeroplanem wzniosł się tuman kurzu. Dwaj mechanicy, przy końcach obu skrzydeł, popychali aeroplan, aby ustawić go w pozycji startowej.

Temple opanował zdenerwowanie na wiadomość o „złości” Mulberry'ego i przeszedł w osłonięte od słońca miejsce z boku hangaru, skąd roztaczał się dobry widok i gdzie nie był narażony na obsypanie kurzem. Zobaczył, jak Drewes spogląda na oklapnięty „rękaw”, a Wheech-Browning podnosi się z miejsca, oblizuje wskazujący palec i stara się utrzymać go nad ciągiem powietrza z tyłu śmigła. Podjęto chyba jakąś decyzję, ponieważ dwupłatowiec przejechał wolno po nierównym terenie aż do końca pasa startowego. Wheech-Browning wyskoczył z kabiny, chwycił za skrzydło, zaparł się nogami w ziemię, próbując pomóc pilotowi obrócić samolot o sto osiemdziesiąt stopni.

Wheech-Browning znów zajął miejsce w kabinie, a silnik na przyspieszonych obrotach zawarczał głośniejsze i gniewniej, potem dwupłatowiec zaczął posuwać się naprzód, niepostrzeżenie zwiększając prędkość. Wzbijał tumany kurzu i podrzucał płożą ogonową kamyki i żwir. Kiedy przejeżdżał obok hangarów, Temple spostrzegł Wheech-Browninga machającego mu wesoło ręką. Nagle ogon się podniósł i po paru podskokach mały dwupłatowiec zaczął się wzbijać metr, dwa metry, sześć metrów. Niepokojąco wolno nabierał szybkości.

– Za gorąco – powiedział jeden z obserwatorów. – Dzisiaj za gorąco. Nie osiągną prawidłowej wysokości.

Jakby w odpowiedzi na jego słowa dwupłatowiec zaczął opadać, mimo że silnik pracował jakby na większych obrotach. Trzy metry, dwa i pół, pół metra. Koła podwozia uderzyły o ziemię unosząc kłęby kurzu.

– A nie mówiłem? – powiedział ze znajomością sprawy ten sam głos. – Będą musieli poczekać do wieczora.

Nikt nie zdradzał zaniepokojenia.

– O Chryste – powiedział ktoś zdławionym głosem. – Wąwóz!

Aeroplan pędził wesoło po pasie, z ogonem zuchwale zadartym do góry, aż nagle tłum odniósł wrażenie, że stanął na dziobie i zapada się pod ziemię. Usłyszeli trzask, jakby załamało się pod kimś liche krzesło. Przez moment ogon dwupłatowca sterczał pionowo, potem maszyna wolno opadła skrzydłami na dół.

Temple i zgromadzeni ludzie pobiegli w stronę miejsca wypadku, kichając i dusząc się w obłokach kurzu. Wkrótce z powodu nadwagi Temple pozostał w tyle. Kiedy dotarł na miejsce, okaleczone ciało Drewesa zabrano już z roztraskanego na kawałki dwupłatowca i ułożono na dnie wąwozu. Przypuszczał, że Wheech-Browning jest uwięziony w rozbitym wraku. A dobrze mu tak, temu głupiemu sukinsynowi! – zaklął. Cholerny idiota. Lecz wtem zobaczył but z gumową podeszwą, który wydostał się na zewnątrz przez brezentowy bok kadłuba. Wkrótce pomocne dłonie zrobiły większy otwór i długi korpus Wheech-Browninga ześliznął się na ziemię. Nie miał czapki, ale na nosie nadal tkwiły gogle, jedno szkło w oprawce było zgniecione. Z rany na boku twarzy sączyła się krew.

– Boże święty – powiedział. – To było ryzyko. Zapomnieliśmy o tym cholernym wąwozie. Wydawało się nam, że przeskoczmy.

– Nic panu nie jest? – spytał Temple.

Wheech-Browning skulił się, jakby mu ktoś wrzucił za koszulę zimną monetę. – Kości całe – odparł. – Chociaż trochę mnie zamroczyło. Drewes coś krzyczał, że za gorąco. A propos, co z nim?

– Nie żyje.

– Och. – Wheech-Browning zdjął gogle i przetarł oczy. – Mój Boże! Jaka szkoda. Ale wstyd. – Spojrzał prosto na Temple'a.

– Co to jest, Smith? – spytał jakby udając smutek. – Za każdym razem, kiedy pan i ja jesteśmy blisko jakiegokolwiek maszyny, jakiś biedak kończy życie.

Temple spojrzął na niego z nieopisanym zdumieniem. Był tak zaskoczony, że nie potrafił odpowiedzieć.

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

10 GRUDNIA 1915 ROKU

„THE KING'S ARMS”, AYLESBURY, OXFORDSHIRE

Charis patrzyła, jak Feliks przetacza się na drugą stronę posłania. W ciemnym pokoju połyskiwała górna część jego piżamy. Czuła, jak jego ciałem wstrząsają dreszcze, od których drżało łóżko. Wyciągnęła lewą rękę i przycisnęła dłoń do jego pleców.

– Obudziłaś się – powiedział. – Przepraszam. – Odchylił się do tyłu i pocałował ją w policzek. – Nie chciałem cię obudzić.

– Nie obudziłeś. – Słyszała, jak po ciemku szuka okularów na stoliku.

– Wcześniej. Dopiero minęła szósta. – Wstał i włożył szlafrok. Uśmiechnął się do niej. – Nie warto już kłaść się spać, prawda? Za kilka godzin musimy być na stacji. Zaraz wrócę. – Wyszedł z pokoju.

Charis wstała z łóżka i podeszła do okna. Anemiczne, srebrzyste światło połyskiwało w dali na monotonnych zimowych polach. Ponure kolory, pomyślała. Ciemny brąz i zieleń. Jak lody pistacjowe z czekoladową polewą, które jedli z Gabrielem pewnego popołudnia w Trouville. Z mieszanymi uczuciami spostrzegła, że myśl o Gabrielu ciągle wywołuje poczucie winy. Nie przywykła do zdrady. Dobre to czy złe? Usiłowała przywołać na twarz ponury, surowy uśmiech, ale wydał się jej afektowany i nieodpowiedni, jak zbyt gruba warstwa czerwonej szminki na ustach. Pocierała ramiona przez nocną koszulę, bo w pokoju było zimno. Przykucnęła przed wygasłym ogniem na kominku i pogrzebaczem poruszyła resztki zwęglonych szczap. Żar wygasł.

Podeszła do toaletki, wyjęła z walizki kilka drobiazgów i położyła na wierzchu. Spodek, buteleczka z przejrzystym płynem i kawałek gąbki – niewiele większy od kostki cukru – do którego była przymocowana bawełniana nitka długości około pół metra.

Cicho pomrukując uniosła stojący w miednicy dzbanek z wodą i wlała kilka kropel na spodek. Potem dodała trochę płynu z buteleczki i wymieszała to palcem. Oby tylko woda była ciepła, pomyślała. Następnie włożyła gąbkę do roztworu, żeby dobrze nasiąknęła.

Z koszulą nocną podciągniętą do góry, postawiła jedną nogę na krześle i wzdrygając się wepchnęła zimną gąbkę do pochwy, jak mogła najgłębiej. Nitka zwiślała pomiędzy udami. Od owego pierwszego sierpniowego wieczoru Feliks, była pewna, nie zauważył niczego podczas ich ośmiu „intymnych” spotkań.

Spodek z buteleczką schowała z powrotem do walizki, błogosławiąc w ciichości ducha ciotkę Bedelię za poradniki i broszury z praktycznymi radami. Zastanawiała się, czy Feliks myślał kiedykolwiek o zachowaniu ostrożności? Czy w ogóle taka myśl przyszła mu do głowy? Czy zastanawiał się, co by się stało, gdyby...

Na myśl o tym zrobiło jej się nagle słabo – o mało nie zemdląła – podejmowała ogromne ryzyko. Zamknęła oczy i oddychała głęboko przez nos. Dlaczego jest taka słaba? Dlaczego nie słucha nakazu rozumu? Widziała wszystko z bezwzględną jasnością i dobrze rozumiała absolutną niewłaściwość swego postępowania. To powinno wystarczyć. Gdyby te argumenty były tak oczywiste, powściągliwość powinna przyjść automatycznie. Ale nawet gdy w myślach roztrząsała swe grzechy, przewrotny brak logiki brał górę nad rozumem. Odpowiedź była prosta. Nikt jej nie oszukał, nie zapomniała się: w jakiś sposób musiała c h c i e ć robić to, co robiła.

Ciało jest mdłe – próbowała jakoś się usprawiedliwić. Chcąc tego dowieść, zdjęła koszulę i stała przez chwilę naga w zimnym pokoju. Czowała, jak pokrywa się gęsią skórką. Opuszczając oczy spostrzegła, że sutki poczerwieniały i zmarszczyły się z zimna. – Brrr! – wykrzyknęła i wskoczyła do ciepłego łóżka.

Wrócił Feliks.

– Jeszcze wszyscy śpią – powiedział. Zobaczył jej koszulę nocną na ramie łóżka i uśmiechnął się szeroko. – Długo na mnie czekałaś? – spytał żartobliwie, zdejmując szlafrok i górę od pizamy. – Och, jak zimno – dodał i szybko wskoczył do łóżka. Przywarli do siebie.

– Powinam się opierać – powiedziała Charis półserio. – Ale jestem taka słaba.

– To nie twoja wina – odparł żartem. – Nikt nie może mi się oprzeć.

Pomyślała, że ma trochę sztuczny uśmiech. Starali się nie wspominać Gabriela. Nie miała pojęcia, co czuje Feliks – to samo co ona? Zawarli jakby milczące porozumienie, że w miarę możliwości nie będą wymawiali jego imienia. Tak było bezpieczniej. Przy nielicznych okazjach, kiedy była mowa o Gabrielu, Charis czuła, jak pali ją wstyd i nie daje spokoju sumienie, a w myślach powracały obrazy ostatnich wspólnie spędzonych dni. Drżała, starając się opanować; z trudem łapała oddech. Feliks nie okazywał widocznych oznak zdenerwowania; po prostu milkł na chwilę. Czy zmagał się ze swymi uczuciami? Czy okazywał szacunek dla jej uczuć? Czasami rozpaczliwie chciała to wiedzieć, ale nie śmiała pytać z obawy, że obudzi złe licho i coś zostanie zniszczone na zawsze.

Kiedy leżała teraz w jego ramionach, wiedziała, że wkrótce będą i tak musieli porozmawiać o Gabrielu. Będą musieli. Wydawało jej się, iż nie poruszali tego tematu tylko dlatego, że ich spotkania były takie rzadkie. Kiedy przebywali ze sobą dłużej, siłą rzeczy, jak duch Banka, nawiedzało ich widmo Gabriela.

– Charis?

– Och, przepraszam.

– Nie zaśniesz na mnie, prawda? – Pocałował ją w szyję. Przesunęła dłonią po jego głowie, palcami szukała górnych kręgów kręgosłupa.

– Po prostu marzę – odparła. Poczula jego rękę na piersi ponad sercem, ujmującą w dwa palce, wskazujący i kciuk, jej sutek.

– Marzysz o demonicznym kochanku – powiedział.

– Myślę o minionym lecie – skłamała.

– Aha. O stawach.

Charis sięgnęła ręką niżej, ujęła jego męskość i podniosła lekko, jakby chciała poznać jej ciężar. Jest miękki, zdumiewająco miękki, pomyślała. Ścisnęła członek lekko i poczuła, jak z wolna twardnieje, grubieje, wypełnia jej dłoń. Feliks przetoczył się na nią. Jej ręka wróciła na jego ramiona w poszukiwaniu małego pieprzyka – niewielkiego zgrubienia na skórze, będącego znakiem rozpoznawczym na mapie jego ciała, tak samo jak szrama na udzie czy dziecięca miękkość jego pach.

*

Latem 1915 roku, kiedy wieczory były ładne, Charis często wychodziła z domu i szła do kamiennej ławki przy środkowym stawie rybnym, który był zasłonięty od dworu dużą kępą portugalskiego lauru i rododendronu.

Stała tu mała altanka w stylu klasycznym, zbudowana przez matkę Feliksa. Duży fragment złamanej, wyżłobionej kolumny osadzony był przy brzegu stawu, a obok marmurowej ławki, na smukłym ośmiobocznym cokole, stało popiersie cesarza Witeliusza.

Kiedy wieczorem woda była chłodniejsza, z ciemnego, porośniętego wodorostami dna wypływały wielkie karpie i polowały na muchy albo krążyły wolno dokoła. Charis zaczęła im przynosić okruchy chleba i wkrótce miała wrażenie, że czekają na nią, bo gdy tylko pierwsze kawałki pokarmu wpadały do wody, karpie wypływały z głębin całą chmarą.

Pewnego wieczoru Feliks dołączył do jej towarzystwa; spostrzegł ją z okna pokoju, powiedział. Zawarli przyjaźń od czasu, kiedy po przyjęciu urodzinowym, z nie wyjaśnionych przyczyn, stanął przed jej drzwiami w smokingu ociekającym wodą. Zniknęła jego nieufność i ostrożność, dzieląca ich do tej pory, i w rezultacie w czasie jego pobytu w Stackpole życie stawało się znośniejsze. Po powrocie Nigela Bathe'a z Mezopotamii jeszcze bardziej pogłębił się zwykły ponury nastrój majora. Nigel miał wypadek podczas ćwiczeń z pociskami artyleryjskimi – ładunek eksplodował w jego dłoniach. Amputowano mu obydwie

ręce do łokci. Przyjechał z Eustacją do Stackpole na rekonwalescencję. Niemal namacalnie wyczuwało się atmosferę ponurej tragedii przenikającej cały dom. Rozładował ją nieco przyjazd Feliksa z Oksfordu na letnie wakacje.

Gdy tylko pozwalała na to pogoda, wieczorne spotkania przy stawach automatycznie się przedłużały. Niekiedy Feliks przychodził przed Charis i czekał na nią. Opowiadał jej o życiu w Oksfordzie, o panującej tam nudzie i o przyjacielu Hollandzie. Spierali się na temat pacyfizmu, Charis ostro krytykowała antywojenną postawę Feliksa bardziej ze zwykłej lojalności wobec Gabriela niż z przekonania. Obecność Nigela Bathe'a i wiadomości o niepowodzeniach w Dardanelach i Sulva Bay utrudniały jej obronę swoich argumentów, ale trwała przy nich i spierając się z Feliksem, zrozumiała jego bliskie nienawiści uczucie do żołnierzy w rodzinie i przemożną potrzebę odcięcia się od ojca i szwagrów. A co z Gabrielem, zapytała, rzucając atutową kartę. Ach, Gabriel jest inny, to wyjątek potwierdzający regułę. Stopniowo jednak imię Gabriela coraz rzadziej padało w rozmowach. Czasami po prostu siedzieli i w milczeniu przyglądali się pływającym rybom.

Pewnego wieczoru było niezwykle duszno, zanosilo się na burzę. Chmury muszek migotały nad stawem. Nie było wiatru, a zagęszczone powietrze oblepiało ciało, ciężkie, jakby – według słów Feliksa – wisiało, jakby wszyscy ludzie na świecie wypuścili je jednocześnie z płuc. Charis włożyła stary słomkowy kapelusz, do którego przypięła chabry i maki. Zdjęła go teraz i wachlowała twarz, drugą ręką zgarniając wilgotne pasma włosów za uszy. Obrzuciła Feliksa szybkim spojrzeniem, ale ten uparcie patrzył na staw, wybijając ręką rytm na kolanie. Charis, pewna, że na nią nie patrzy, odciągnęła trójkątny dekolt bluzki i wachlowała spoconą skórę z zamkniętymi oczami, odrzuconą do tyłu głową. Kiedy otworzyła oczy, ujrzała utkwiony w siebie wzrok Feliksa. Zarumieniła się.

– Uff – westchnęła. – Tak gorąco. Wściekle gorąco. Myślisz, że w Afryce jest podobny upał?

– Charis – odparł Feliks z widocznym wysiłkiem i nienaturalną sztywnością. – Muszę to powiedzieć. Nie mogę... – i ku jej całkowitemu zdumieniu podszedł, objął ją ramionami i starał się pocałować. Na chwilę znieruchomiała, oszołomiona, zakłopotana i zdumiona, czując ucisk jego ręki na swych ramionach i jego miazdzące usta. Wreszcie odepchnęła go.

– Feliksie – zawołała. – Co ty wyrabiasz? – Podniosła kapelusz, który upadł na ziemię. Z niejasnym skrępowaniem stwierdziła, że nie czuje się oburzona i nie ma do niego pretensji, jak do Sammy'ego Hinshelwoda.

Potem Feliks usiadł na ławce i jakby zamknął się w sobie. Zakrył twarz dłońmi, następnie je oderwał i wpatrywał się w zamglone niebo.

– Przepraszam – odezwał się gwałtownie. – Przepraszam, przepraszam. Wiem, że to haniebne. Proszę, wybacz mi. Nie mogłem się opanować.

– No cóż – odparła. – No cóż. – Stwierdziła, że policzki ma teraz gorące, a serce łomce jej w piersi. – Zapomnijmy o wszystkim. Zupełnie. Za dużo słońca – roześmiała się z nadmierną wesołością. – Za dużo przebywałeś na słońcu. Straciłeś rozum.

Rzuciła chleb do stawu, woda zabulgotała od karpi walczących o lepszy kąsek.

– Spójrz na te ryby – powiedziała podnieconym nieco głosem. – Czy nie byłoby przyjemnie być dzisiaj rybą? Chłodno i mokro jest na dnie stawu. Można by było pływać i nie troszczyć się o ludzkie sprawy.

*

Charis otworzyła oczy i spjrzała na hak u sufitu podtrzymujący żyrandol. Feliks leżał na niej nadal, swym ciężarem wgniatał jej ciało, z rozrzuconymi nogami i rękami, w miękkim materac łóżka. Cała dolna część jej tułowia nadal drżała, Charis czuła podniecającą zmysłowość w okolicach lędźwi. Słyszała coraz powolniejszy oddech Feliksa. Stęknął po cichu.

To już dziewiąty raz. Z Gabrielem tak naprawdę było tylko dwa razy. Ale to nie to samo. Zacisnęła pięści.

*

Po kilku dniach minęło skrępowanie z powodu tego pierwszego wybuchu. Feliks zaczął znów zachowywać się normalnie, był przyjacielski i zabawny. Jednakże jej stosunek do niego uległ zmianie. Mimo wszelkich wysiłków nie mogła widzieć w nim dłużej umilającego czasa towarzysza. Wybuchły uczucia i emocje: tych faktów nie mogła zignorować. Wszystko się zmieniło w nieuchwytny prawie sposób. Przeszłość także nabrała innego znaczenia. Zdała sobie teraz sprawę, że przez całe lato spoglądał na nią nie jak na bratową czy nową przyjaciółkę, ale – czego nie była dotąd świadoma – jak na kogoś, kogo się pożąda. Odtworzyła w pamięci miesiące ich przyjaźni, cofając się do tej wizyty o świcie w końcu marca, w myślach starała się znaleźć wśród niewinnych wydarzeń znaki tłumaczące jego niespodziewany wybuch. Właśnie Feliks. Jakże to zadziwiające! Żeby Feliks nosił w sobie takie myśli przez te wszystkie miesiące...

Odczuwała – musiała uczciwie przyznać – zadowolenie, schlebiało jej to w pewien sposób. I nagle zdała sobie sprawę z wrażenia, jakie wywierała na nim jej obecność i powierzchowność: ukradkowe spojrzenia, dziwny wyraz twarzy, niewyjaśnione napięcie, których wcześniej nie dostrzegała. Nie jest to nic poważnego, stwierdziła. Bardzo młodzi mężczyźni, tacy jak Feliks, często „zadurzają się” w ten sposób. Zabawna historia, można z uśmiechem ją tolerować, ale śmiesznym byłoby potępiać Feliksa bądź zabraniać mu jego uczuć.

Później, któregoś wieczoru przy stawie, pochwycił rękę Charis i przywarł ustami do jej dłoni. Absurdalnie romantyczny gest, który, jak sądziła, na pewno podpatrzył w jakiejś sztuce czy rewii muzycznej.

– Feliksie – skarciła go żartobliwie i cofnęła rękę. – Ktoś może zobaczyć. Przeszań.

Nie powinna była tego powiedzieć, z czego zdała sobie później sprawę, i nie takim tonem. Jego adoracja przeszła teraz w inną fazę. Z niedostrzegalnego dla oka uczucia, które było jego prywatną tajemnicą, zrodził się miły im obojgu i akceptowany sekret. Flirt był czymś, do czego mogli robić aluzje w rozmowie i dzięki czemu mogli się przekomarzać.

Następnego dnia zaproponowała mu spacer i piknik.

– Ach – westchnął Feliks. – Może się zdarzyć, że nie zdołam zapanować nad sobą.

– Pójdiesz tylko wtedy, jeśli obiecasz zachowywać się przyzwoicie.

– Przysięgam, przysięgam.

Działo się to wszystko na oczach nieświadomej niczego rodziny Cobbów i ten fakt przydał letnim tygodniom uroku zakazanego owocu. Nie można było nic zarzucić bratu i bratowej, że znajdują niewinną przyjemność w swym towarzystwie, i po raz pierwszy od czasu wyjazdu Gabriela Charis stwierdziła, że życie w Stackpole ma swoje uroki.

Pewnego późnego wieczoru Feliks przyszedł do niej ze starymi kocami, które, jak powiedział, kazała mu przynieść matka. Charis zaproponowała mu filiżankę kakao i godzinę spędzili na pogawędce w małej bawialni. Przy pożegnaniu przyjął pozę średniowiecznego rycerza, która czasami pozwalała mu wykpiwać swą namiętność, a niekiedy także ją podkreślać.

– Czas mi ruszyć w drogę – powiedział, przybierając dramatyczną pozę. – Żegnaj, lube dziewczę.

– Żegnaj, szlachetny rycerzu – roześmiała się Charis i złożyła głęboki ukłon. Odprowadziła go do drzwi. Było już prawie ciemno. Feliks melodramatycznym gestem podniósł kołnierz marynarki.

– Zaiste! Noc jest cudownie szalona – powiedział. – Kiedy znów się spotkamy?

– Biada mi – odparła Charis, załamując dłonie na piersi i osuwając się po futrynie drzwi. – Jutro na lunchu?

Obydwoje śmiali się z nagłego przejścia od spraw wzniosłych do codziennych. Potem nagle Feliks znowu, tak jak przy stawie, zaczął ją całować. Charis bezwiednie objęła go za szyję, ale zaraz uwolniła się z jego objęć.

– Feliksie – powiedziała poważnie. – Musisz przestać. Nie wolno ci tego robić.

Miał bardzo nieszczęśliwą minę.

– Wiem – odparł. – Powinienem przestać. Ale to niewielka różnica. Ponieważ sprawa dotyczy Gabriela, wydaje się, że wszystko jest w porządku. – Spojrzał na nią. – Czy to ma jakiś sens?

Nie miało żadnego, ale pominęła jego pytanie.

– Musisz jednak przestać. Nie rozumiesz tego? Koniecznie.

Odszedł, ale wrócił po jedenastej, żeby przeprosić. Po jego wyjściu Charis była do głębi wzburzona, zła na siebie, że wcześniej go nie powstrzymała i dopuściła do takiej zażyłości. Feliks znów zaczął ją całować, a próba obrony jakby wzmagała jego zapał. Nie poskutkował żaden argument. Lepiej ustąpić, stwierdziła. Odszedł po północy. Prosił ją, bez nacisku, żeby pozwoliła mu zostać, ale wyrzuciła go za drzwi.

*

Charis obserwowała, jak Feliks wiąże krawat. Gwizdał pod nosem *Lilia la-guny* – rozpoznała melodię.

– Szczęśliwy człowiek – powiedziała, przerzucając koc przez ramię.

Napotkał jej spojrzenie w lustrze.

– Ma się rozumieć – odparł. – Ty także?

– Oczywiście.

– Masz ochotę na śniadanie? – spytał. – Już podają.

– Tylko na filiżankę herbaty.

– Przysłać na górę?

– Nie, zaraz schodzę.

Po tej pierwszej nocy Charis czuła wyrzuty sumienia. Ale nadal nie mogła zrozumieć, jak do tego doszło. Fakty świadczyły za siebie: ona i Feliks nawiązali romans. Wszystko byłoby dobrze, mówiła sobie, gdyby cała sprawa ograniczyła się do całowania i trzymania za rękę. Wiedziała, że wiele kobiet – szanowanych, zamężnych, jak ona sama – wdaje się w podobne flirt. Gdyby tylko Gabriel, mówiła sobie w chwilach irytacji albo kiedy dręczyło ją zbytnio sumienie, zachowywał się bardziej po męsku. Byłby to właśnie taki niewinny flirt, dla rozrywki, nic poważnego. Gdyby – zanim poszedł na wojnę – dał jej zaznać więcej rozkoszy pożycia małżeńskiego, z pewnością nie uległaby pokusie. To w końcu nie jej wina. Tydzień małżeństwa, a potem rok rozłąki? I kto wie, jak długo to potrwa? Zupełnie tak, jakby ktoś dał dziecku cukierki i patrzył, jak próbuje się do nich dostać, a potem je zabrał. Nie można było jej winić, że chciała spróbować, jak smakują.

Przez jakiś czas zadowalała ją ta kazuistyka. Wyrzucała Gabriela z myśli w chwilach, kiedy razem z Feliksem kradli czas na pocałunki, zaznawali pieśczoł, rozkoszowali się świadomością współudziału w spisku, gdy tymczasem świat udzielał im swej aprobaty i zadowolony obserwował w swej nieświadomości ich zachowanie.

Wkrótce Feliksa zaczęły irytować ograniczenia, jakie narzucało im życie w Stackpole. Podsuwał myśl o wspólnym wyjeździe na parę dni po to, żeby się „uwolnić”, „zaznać swobody” dłużej niż kilka godzin. Poza tym. przypomniał Charis, za parę tygodni zaczyna się w Oksfordzie nowy semestr. Lato miało się niemal ku końcowi.

Tajemniczą siłą rozpędu plan nabrał realnych kształtów. Feliks miał jechać do Londynu pod pretekstem, że odwiedzi Hollanda. Charis udawała się do Bristolu na kilka dni z wizytą do ciotki. W drodze powrotnej zamierzała zatrzymać się w małym hoteliku, w Aylesbury, znanym Feliksowi, gdzie mieli się spotkać. Jako mąż i żona spędzą weekend w hotelu. Potem Charis wróci do domu. Feliks złoży krótką wizytę Hollandowi. Jego powrót do Stackpole, żeby rozproszyć wszelkie ewentualne podejrzenia, nastąpi w kilka dni po przyjeździe Charis.

Spiskowanie i przewidywanie tego, co nastąpi, musiała przyznać, wprawiło ją w stan miłego podniecenia. Nie wspominali ani słowem o tym, co się zdarzy w Aylesbury.

*

Charis ubierała się powoli. Czuła się niezwykle podniecona i zaniepokojona. Było to ich drugie spotkanie w „King's Arms” w Aylesbury. Przedświąteczna wizyta u ciotki Bedelii zbiegła się z zakończeniem listopadowej sesji w Oksfordzie. Promień anemicznego, rozmytego słońca wpadał przez okno na zmięte łóżko. Podczas tego pobytu Feliks wydawał się pewniejszy siebie, opanowany. Niewątpliwie doznał większej przyjemności... Charis wyciągnęła przed siebie rękę i obserwowała, jak drży. Sama, przeciwnie, czuła, że jej zdenerwowanie wzrasta w sposób alarmujący. Nieubłaganie powracały te same pytania. Jak do tego doszło, że tak bardzo kochając Gabriela, została kochanką jego brata? Równie nieubłaganie powracała ta sama odpowiedź. Nikt jej do niczego nie nakłaniał, nie zmuszał, mogła postąpić zgodnie z własną wolą. Gdzieś wewnątrz, skrycie, m u s i a ł a tego chcieć.

Gnębiła ją ta myśl. Czuła się zakłopotana, zbита z tropu. Przez chwilę doznawała wstrząsającego uczucia narastającej w piersi paniki. Czy to właśnie jest poczucie winy? – zapytywała siebie. Czy tak się ono przejawia? Drżące ręce i zapierające dech podniecenie? Lęk, który ją opanował, nic był jednak spowodowany poczuciem winy. Była oszołomiona i z napięciu miewała zawroty głowy. Podeszła do łóżka, ściągnęła koce i przyjrzała się wilgotnym jeszcze plamom na prześcieradle. Tak przyjemnie być kochaną, powiedziała sobie, spoczywać w czyichś ramionach, nie spać stale samotnie. Potrzebowała tego.

Podniesiona nieco na duchu zeszała do hotelowej jadalni, która w najlepszym razie wyglądała ponuro, ściany w wyblakłym, musztardowym kolorze, z niewysoką drewnianą boazerią. O tak wczesnej porze sala była niemal pusta, poza Feliksem jedli śniadanie tylko dwaj goście. Z wyglądu komiwojażerowie, pomyślała. Obsługiwała ich zaspana kelnerka.

– Cześć – powitał ją Feliks, kiedy siadała do stołu. – Wszystko w porządku?

Uśmiechnęła się. W miejscu publicznym stracił trochę pewności siebie, miał wygląd bardziej chłopięcy, zdradzał niepokój.

– Oczywiście. – Wyciągnęła rękę i poklepała go po dłoni, naśladując poufale gest żony.

Feliks jadł wędzonego śledzia. Charis nalala sobie herbatę do filiżanki i przyglądała się jedzącemu Feliksowi. Był w okularach, żeby nie mieć kłopotu z wyjmowaniem ości, jak sądziła, i w tweedowym ubraniu. W okularach wyglądał poważniej, doroślej, mógł uchodzić za jej męża. Ale ona nie potrzebuje się niczym przejmować, mówiła sobie, nikt w hotelu, nawet w najmniejszym stopniu, nie podejrzewa prawdy.

– Na pewno nic nie zjesz?

Potrząsnęła głową. Był tak inny od Gabriela. W przeciwieństwie do brata miał szczupłą twarz i ciemne włosy. Nie wykazywał też wewnętrznego zadowolenia, jakie cechowało Gabriela. Zawsze niespokojny, sceptyczny wobec wszystkiego, co niesło życie, ciągle rozważał różne kwestie, krytykował. Pod wieloma względami jest człowiekiem bezwzględny, pomyślała, ale w żadnym razie nie tak, jak o n to sobie wyobraża. Dobry do romansu, stwierdziła, sama też siląc się na bezwzględność. Powinien być przynajmniej jeden człowiek, którego irytowałyby konwenanse i normy społeczne, który wysmiewałby się z wyrzutów sumienia.

Feliks odłożył nóż i widelec.

– O której mamy pociąg? – spytał.

– Piętnaście po ósmej.

Spojrzał na zegar ścienny.

– Chyba już czas jechać na stację.

*

Pociąg z Londynu się spóźniał. Charis i Feliks stali na pustym peronie i patrzyli na drobny deszcz ze śniegiem padający na szyny. Stali tyłem do poczekalni, której okna całkowicie pokryły się parą.

– Jestem wytrzymała na zimno – oświadczyła Charis i potarła ręce w rękawiczkach. – Ale nie znoszę, jak do tego jeszcze pada.

Feliks pokiwał posępnie głową i tupał nogami, żeby się rozgrzać.

– Głowa do góry! – powiedziała. – Skończył się weekend, ale przyjedziesz do domu na sześć tygodni.

– Wiem – odparł. – Ale to nie to samo. W ubiegłym roku na Boże Narodzenie cholernie się nudziłem. Teraz jest jeszcze Nigel i Eustacja, ja... och, sam nie wiem.

Charis wsunęła mu rękę pod ramię. W końcu są mężem i żoną aż do Marylebone.

– W tym roku będzie inaczej – powiedziała. – W ubiegłym nie byliśmy razem.

– Chyba masz rację – przyznał Feliks. – To nie tylko sprawa tej plugawej pogody. W Oksfordzie jest teraz upiornie. Pusto. A właściwie college'e pełne są żołnierzy. W parkach odbywają się ćwiczenia, w ogrodach pełno pielęgniarek z rannymi żołnierzami na wózkach. Oficerski Obóz Szkoleniowy to, „yeomanry” tamto. A ta przeklęta wojna wlecze się i wlecze. – Spojrzał na swoje stopy. – Filip też się zmienił. Mówi o wstąpieniu do jednostki sanitarnej we Francji. Chce, żebym poszedł w jego ślady. Przeczytał coś u Nietzschego o poddaniu duszy wszelkim możliwym torturom. – Uśmiechnął się kwaśno. – Ja czytałem Nietzschego w u b i e g ł y m roku. Filip nazwał go wtedy pogardliwie „salonowym filozofem”. I co ty na to? A pociąg się spóźnia.

Charis wybuchnęła śmiechem i ścisnęła go za ramię.

– Och, ty ponuraku. Głowa go góry. Zanim się spostrzeżesz, przyjdzie wiosna. A wojna nie będzie trwać wiecznie...

Żałowała tych słów. Wiedziała, że wspomnienie o wojnie oznacza dla nich obojga tylko jedno: powrót Gabriela. Czasami zmuszała się do zastanowienia nad tym, co będzie, kiedy nastanie pokój i Gabriel powróci do domu. Jej umysł przyjmował niezbitą prawdę: że on w r ó c i, że będzie chory lub okaleczony, że się jakoś zmieni. Ale nie zagłębiała się w szczegóły, nie zastanawiała się, czy będzie możliwy powrót do normalnego życia.

Kiedy nadjechał pociąg, udało im się znaleźć pusty przedział w przednim wagonie. Feliks usiadł tyłem do kierunku jazdy, Charis naprzeciw niego. Pociąg ruszył z sapaniem. Feliks rozłożył gazetę. Charis obserwowała zmieniający się za oknem krajobraz, hipnotyzującą falistą linię drutów telefonicznych i starała się, by rytm jej myśli splatał się ze stukotem i dudnieniem kół po szynach. Ale czuła, że stopniowo powraca poranna panika. Ujęła w palce luźną nitkę zwisającą z rękawiczki. Koniec wojny. Jawił się on jako przerażająca Nemezis, a nie radosna chwila. Jak będzie wyglądało życie w Stackpole z Gabrielem i Feliksem? Czuła instynktownie, była przeświadczona, że nigdy nie doszłoby do obecnej sytuacji, gdyby był przy niej Gabriel. Feliks zartując dał jej kiedyś do zrozumienia, że z początku miał do niej pretensję o odebranie mu miłości brata. Będzie musiał odjechać, nieodwołalnie, powiedziała sobie, świadoma nuty hysterii. Nie mogłaby udawać przed Gabrielem. Coś się stanie: Gabriel pozna prawdę, na pewno nie uda jej się utrzymać wszystkiego w tajemnicy. Czuła suchość w gardle, słyszała mocniejsze bicie pulsu w skroni.

Feliks odłożył gazetę, zdjął okulary i pochylił się, żeby ująć jej dłonie w rękawiczkach. Charis posłała mu uśmiech; miał poważną twarz, na nosie pozostały ślady po okularach. Czuła, że kocha Feliksa inaczej niż Gabriela. Był to de facto rodzaj wdzięczności. Czuła do niego wdzięczność za to, że dał jej poznać inne przeżycia. Na swój sposób, pomyślała, to tak samo silna osobowość jak Gabriel.

– Charis – odezwał się Feliks wpatrzony w ich złączone dłonie. – Czy mogę cię o coś zapytać?

– Nie bądź niemądry – odparła. – Pytaj.

– O... o Gabriela.

Charis miała wrażenie, że pociąg pędzi nagle brzegiem przepaści. Czowała wewnątrz czczą pustkę, jak w chwili, kiedy zbyt szybko jechała samochodem po wyboistym moście.

Feliks spojrzał jej prosto w oczy i z powrotem na ich dłonie, potem cofnął ręce i przetarł czoło.

– Wiesz, miewam takie straszne sny – powiedział mrużąc oczy. – O Gabrieli. Nic groźnego. Żadnych oskarżeń. Tak jakby wszystko szło normalnym torem. Jak przed wojną. Robimy coś razem. Zwyczajne rzeczy. Zwyczajnie, naturalnie. Jesteśmy całkiem szczęśliwi, nie zastanawiając się nad niczym. A potem, kiedy się budzę, wiesz, czuję się strasznie. Czuję, że to jest okropne – czuję, że postępuję... źle. Że jestem odrażający i to, co robię, jest niemoralne. – Wyrzwał przez okno i mówił dalej: – Wiem, że nie p o w i n i e m tak czuć. Nie wstydzę się tego, co robimy. – Przerwał. – Ale później przychodzi refleksja: a jeśli Charis się wstydzi? Jeśli ona też się dręczy? A ja ją zmuszam? Widzisz, gdyby to była prawda, wtedy nie potrafiłbym żyć tak dalej. Musielibyśmy się rozstać. – Popatrzył na nią chwilę. – Muszę wiedzieć, co ty czujesz? O to mi chodzi.

Charis zmusiła się, by pochylić się do przodu i ująć jego ręce. Czowała, że ciąga jej wybiegi, do których musiała się uciekać. Mimo przenikliwego dzwonięcia w uszach usłyszała swój spokojny, uspokajający głos:

– Feliksie, ja też tym myślę. Drogi Feliksie. Nie ma tu jednak Gabriela, na tym polega różnica. Jest daleko. O niczym nie wie. Nigdy się nie dowie. Nie zranimy jego uczuć. Nie jest częścią naszego świata. Nasz świat mógł powstać... mogliśmy go stworzyć tylko dlatego, że nie ma Gabriela. – Natychmiast się zreflektowała: zaczyna mówić od rzeczy. – Nasza miłość – dodała wolno – istnieje w innym wymiarze, nie jest częścią świata, który znaliśmy przed wojną. Jest niezależna. Zamknięta. Całkiem odrębna.

Widziała, że łagodnieją mu rysy twarzy. Wystarczy. Ogarnęło ją głębokie, bezmierne rozczarowanie, opłotło jak bluszcz.

– Nie martw się już, kochany Feliksie. Ja się nie martwię, nawet o tym nie myślę. – Zdjęła ją skrucha.

Uśmiechnął się.

– Dziękuję – powiedział. – Pochylił się do przodu i pocałował ją delikatnie w usta.

ROZDZIAŁ CZTERNASTY

11 MARCA 1916 ROKU

SALAITA, BRYTYJSKA AFRYKA WSCHODNIA

Dwunastego lutego 1916 roku armia brytyjska w Afryce Wschodniej przeszła w końcu do ofensywy na linie obronne Niemców. Temple przyglądał się, jak po czterogodzinnym artyleryjskim ogniu zaporowym dwa tysiące muskularnych żołnierzy z Południowej Afryki przypuszcza szturm na łagodne zbocza Salaity. Słyszając eksplozje, które rozdzierały niewinne wzniesienie, poczuł, że w cudowny sposób opuszcza go przygnębienie i posępny nastrój ostatnich osiemnastu miesięcy. Był przekonany, że w ciągu kilku dni znajdzie się w Smithville. Południowoafrykańscy żołnierze przechwalali się głośno, że dobią się do skóry wszystkim „przeklętym Kafrom”, którym uda się uniknąć śmierci od ognia dział. Dwie godziny później pole zostało zasłane zwłokami sześciuset żołnierzy, którzy próbowali wydostać się spod ostrzału artylerii niemieckiej.

Całkiem niezależnie od tego wydarzenia, dwudziestego pierwszego lutego na froncie zachodnim armia niemiecka zaatakowała Verdun i przystąpiła do czteromiesięcznego oblężenia.

Tylko trzy tygodnie musiał Temple czekać na następną próbę zdobycia Salaity, mimo że zwłoka ta sprawiła mu okrutny zawód. Tymczasem w armii brytyjskiej zmienił się głównodowodzący, był nim teraz generał Smuts.

Wprowadził zmiany w taktyce wojennej. Poniechano nieskoordynowanych ataków. Natarciu na Tavetę i granicę niemiecką miało towarzyszyć oskrzydlenie u podnóża Kilimandżaro, a także wcześniej planowane natarcie od północy pod dowództwem generała Stewarta. Niemcy mieli zostać zamknięci w potrzasku w Moszi, bez możliwości ucieczki drogami wzdłuż Kolei Północnej.

Tym razem jednak Temple stwierdził, że popada to w stan podniecenia, to sceptycyzmu. Przyjaciele sztabowi Wheech-Browninga powiedzieli, że za kilka tygodni nastąpi koniec wojny. Wiele miłych godzin spędził na rozmyślaniach o tym, że powróci na farmę. Ilekroć jednak spoglądał na zbieranie wojska, na próżnych i kłótliwych generałów, wrodzony pragmatyzm doradzał mu nie żywić zbyt wielkich nadziei.

Tak więc dziewiętnastego marca znów przystąpiono do ataku na Salaitę – okazało się, że jest opuszczona, Niemcy wymknęli się w nocy. Dwa dni później Temple jechał na swym mule główną ulicą Tavety, po osiemnastomiesięcznej tułaczce znów w znajomej mieścinie. Jak dotąd wszystko szło bez większych trudności (z wyjątkiem sześciuset poległych z oddziałów południowoafrykańskich), Niemcy zadowalali się wycofywaniem bez walki, kiedy okazywało się, że zmasowane siły przeciwnika mają znaczną przewagę liczebną. Przed oddziałami brytyjskimi leżała przełęcz Tavety i bliźniacze wzniesienia Latema i Reata. Temple wypuścił się na zwiad, bo KSA mieli w pierwszej kolejności przypuścić atak. Teren u stóp wzniesienia był gęsto porośnięty sięgającymi do ramion ciernistymi krzewami, które ciągnęły się aż po sam wierzchołek. Temple zsiadł i poszedł kilka metrów w stronę zarośli. Nic stamtąd nie widział, nawet wierzchołka wzniesienia, na które się wspinał i na którym okopali się Niemcy.

Doniósł o wszystkim dowódcy batalionu, pułkownikowi Youellowi, dzielnemu, ogorzałemu mężczyźnie, którego spotkał ciężki zawód, gdy Niemcy nie podjęli walki o Salaitę. Temple powiedział, że po głębokim namyśle doszedł do wniosku, iż zdobycie tych wzniesień będzie wiązało się z wielkimi ofiarami w ludziach; że jego zdaniem dobrze byłoby poczekać na działania oskrzydłające od strony Kilimandżaro, a wtedy Niemcy, w obliczu groźby odcięcia, na pewno się wycofają.

Youell zignorował jego uwagę.

– Może to panu wydaje się logiczne, ale z całym szacunkiem, Smith, wiadać, że nie jest pan zawodowym żołnierzem. Nie chcemy, żeby się wycofał. Trzeba zmusić von Lettowa do podjęcia walki. Musimy związać go w walce dokładnie tutaj, tak żeby nie zdawał sobie sprawy z odcięcia, do chwili aż będzie za późno.

Temple zgodził się z tym rozumowaniem i poprosił o zezwolenie na wyjazd na farmę, żeby zobaczyć, czy wszystko w porządku. Spotkał się z odmową.

– Potrzebny jest pan tutaj – powiedział Youell łaskawym tonem. – Zostanie pan odkomenderowany do batalionu kwatery głównej. To pańskie okolice, Smith. Potrzebuję pańskiej rady.

Dlaczego się więc do niej nie stosujesz? – pomyślał Temple. Nikt w całej tej armii nie słuchał jego rad.

*

Jedenastego marca Temple stał, pełen niepokoju, ze sztabem batalionu Youella, kiedy pierwsze oddziały ciągnęły na płaskowyż jakieś pięć kilometrów za Taveta. Batalion KSA Youella i 2 Rodezyjski miały zaatakować Reate, a 130 Beludżański – Latemę. Niebo było czyste, poranna mgła rozplynęła się dokoła Kilimandżaro, której ścięty wierzchołek z czapą śniegu błyszczał jasno w oddali.

Generał Tighe kierował bitwą z gaju na przedmieściach Tavety. Odpoczywał na leżaku w plamie cienia, bez butów, ze stopami opartymi o pustą skrzynkę po amunicji. Temple obserwował wojsko maszerujące przez równinę żółtej – jak łany zboża – trawy w kierunku gładkich konturów Reaty. Youell i batalion kwatery głównej podążali nieco dalej w tyle.

W momencie gdy nacierające szeregi wojska weszły w zarośla u stóp góry, niemieckie karabiny maszynowe otworzyły ogień. Youell zrównał się niebawem ze swoimi ludźmi, którzy w bezładnych grupach, skuleni za osłoną cierniowców, zostali zatrzymani w niższych partiach zboczy. Dalszy marsz był niemożliwy. Wysłano na tyły łącznika prosząc o wsparcie artyleryjskie; wkrótce baterie polowe zaczęły ostrzeliwać zbocza.

Temple klęczał pod marną osłoną kolczastego gąszczu, a słońce wędrowało coraz wyżej po niebie. Brzęczało mu nad głową kilkadziesiąt much. Pot spływał kroplami z koniuszków wąsów. W uszach miał bezustanne detonacje i huk eksplozji. Pola bitew, pomyślał, to nieprawdopodobnie hałaśliwe miejsca.

Youell i jego adiutant rozłożyli na ziemi mapę i starali się ustalić położenie innych kompanii batalionu, w tym także 2 Rodezyjskiego. Temple odczuwał naturalną potrzebę, ale pomyślał, że Youell może mieć mu za złe ściąganie spodni w miejscu, w którym chwilowo mieściło się dowództwo batalionu. Nie miał wcale zamiaru szukać na czworakach odosobnienia w zaroślach.

Niebawem ogień zaporowy ucichł i ruszono do natarcia z większym powołaniem tam, gdzie ciężki ostrzał oczyścił nieco teren. Wdrapując się z trudem po zboczu. Temple trzymał się blisko Youella. Wszędzie dokoła słyszał pukanie karabinów, wycie i krzyki askarysów z KSA. Nie ustawał odgłos ognia artylerii. Temple przyjął więc, że niewątpliwie strzelają i w jego stronę, ale nie było widać śladu wroga.

Zatrzymali się, zasapani, przy skalistym urwisku. Część żołnierzy KSA zajęła pozycje na najwyższych głazach. Temple obliczył, że wierzchołek musi być niedaleko. Wyczerpała go wspinaczka. Youell zdjął kask tropikalny i odstąpił zdumiewająco chłopięce, falujące włosy.

– Jesteśmy blisko wierzchołka, Smith? – spytał.
– Chyba tak, panie pułkowniku – odparł.
– Musimy się rozejrzeć. – Youell zaczął wspinaczkę po skałach. Spojrzał do tyłu. – Dalej, Smith.

Temple ruszył jego śladem. Przykucnęli za głazami. Odnieśli wrażenie, że ogień ustał gdzieś na ich odcinku. Youell kilkoma słowami dodał zachęty askarysom.

- Niech się pan rozejrzy, Smith – powiedział.
- Ja, panie pułkowniku?

– Tak – odparł Youell. – Żeby ustalić nasze położenie.

Temple zdjął kask tropikalny. Chociaż wykonany z korka i brezentu, dawał poczucie bezpieczeństwa. Temple czuł teraz, jak słońce ogrzewa mu głowę. Pali mózg. Miał niemiłe wrażenie kruchości czaszki, jakby łatwo można było ją zgnieść, niczym skorupkę jajka. Wysunął ostrożnie głowę zza skał. Wierchołek znajdował się zaledwie o pięćdziesiąt metrów dalej. Widział zniszczoną redutę, rozbite szańce, rozrzucone worki z piaskiem i głązy. Gdzieś na prawo nie ustawał silny ostrzał. W przodzie panował spokój. Kto wie, może Niemcy znów się wycofali?

Po cichu podzielił się tym spostrzeżeniem z pułkownikiem.

– Dlaczego pan szepcze, Smith?

– Przepraszam, panie pułkowniku.

– Widać kogoś na szczycie? Są tam Rodezyjczycy?

– Nie wiem, panie pułkowniku.

– Więc proszę spojrzeć jeszcze raz, do cholery.

Temple wyjrzał ponownie. Wydawało mu się, że widzi jakieś postacie poruszające się za okopami. Pochylił nagle głowę i włożył kask tropikalny.

– Z pewnością ktoś jest na szczycie, panie pułkowniku.

– My czy oni?

– Trudno się zorientować, panie pułkowniku.

Youell wysłał łącznika do swego adiutanta, żeby się dowiedzieć, czy nadeszła jakaś wiadomość od Rodezyjczyków. Adiutant odesłał łącznika informując, że żadnej wiadomości nie dostali.

Potem usłyszeli ze szczytu jakieś okrzyki w języku angielskim.

– Hej! Wy tam w dole. Niemcy odeszli.

Youell uśmiechnął się z triumfem.

– Widzi pan, udało się. – Wstał. – Dobrzeście się spisali! – zawołał. – Tu KSA. Idziemy do was.

– Panie pułkowniku – przestrzegwał Temple. – Na pana miejscu nie...

Powietrze przeszła seria wystrzałów, które ze świstem i furkotem odbijały się od głazów. Pułkownik Youell zatoczył się i runął ze skały. Temple wspinał się po jego śladach – znów wybuchła strzelanina. Adiutant, wstrząśnięty, odwrócił ciało pułkownika. Temple zobaczył krew tryskającą obficie z rany poniżej ucha, spływała po szyi, krzepnąc na ziemi.

– O Boże – rzekł pobladły adiutant, spoglądając na Temple'a. – Czy on umrze?

Temple, z pomocą dwóch askarysów, to ciągnął, to niósł na przemian martwe ciało Youella przez cierniste krzewy do podnóża wzniesienia. Tu znaleźli nosze; przez wysoką po kolana, żółtą trawę pomaszrowali pieszo w stronę Tavety. Strzały cichły w miarę, jak się oddalali. Ranni, samodzielnie albo z pomocą innych, z trudem wlekli się po równinie nieprzerwanym sznurem.

Temple obejrzał się na Reatę, jej zarysy ginęły w tumanach kurzu. Słyszał słabe odgłosy eksplozji, jakby sztuczne ognie w ciepłym, przyjemnym powietrzu popołudnia.

W punkcie sanitarnym znekany sanitariusz wskazał rząd ciał ułożonych jak ustrzelone na polowaniu ptactwo. Temple czuł, że nie może zostawić zwłok pułkownika wśród zwykłych żołnierzy, kazał zawieźć je sanitarką do Tavety. W mieście dołączyli się do pochodu rannych, których transportowano na noszach do szpitala polowego w stajniach koszar policji. Droga zawiodła ich w pobliże dowództwa brygady Tighe'a. Temple nakazał askarysom, niosącym ciało pułkownika, by podeszli do generała. Powinien się dowiedzieć o śmierci Youella.

Tighe pozostawił grupę oficerów sztabowych, którzy przez lornetki obserwowali wzniesienia, i przykuśtykał do Temple'a. Palił cygara.

- Co jest? To ten gość z Ameryki, prawda?
- Tak, panie generale, Smith.
- No więc, co takiego? Jaką ma pan sprawę?
- Panie generale, pułkownik Youell poległ na Reacie.
- M ó j B o ż e ! Eddie Youell? Jak, u diabła, to się stało?
- Dostał w głowę, panie generale. Wychylił się.

Tighe zrobił grymas. Jakby się nieco zachwiał. Zmienił nieznacznie pozycję

– M ó j B o ż e , B o ż e . Dzielny człowiek z tego Eddie'ego. O Boże. – Pykał z cygara. – Jaka tam sytuacja? Cholernie trudno się zorientować. Na Latemie nieprzyjaciel mocno naparł na Beludźów.

- Są nadal na szczycie, panie generale.

Tighe skinął głową, zrobił niewyraźny ruch cygarem w kierunku Temple'a, odwrócił się bardzo ostrożnie i dołączył do oficerów swego sztabu.

Temple pozostawił ciało Youella w szpitalu polowym i odprawił obydwóch askarysów. Potem wrócił do namiotów KSA i kazał osiodłać muła. Miasto było pełne wojska, platform, wozów zaprzężonych w woły, samochodów ciężarowych, którymi sprowadzono trzy bataliony południowoafrykańskie, by wsparty oblężenie na dwóch wzniesieniach. Nikt go nie zatrzymywał ani nie zadawał żadnych pytań, kiedy wyjeżdżał z miasta na drogę prowadzącą do Smithville.

*

Była już trzecia po południu, gdy Temple dojeżdżał do znajomych okolic w sąsiedztwie farmy. W dali widział łagodny wierzchołek Kilimandżaro – od jego śnieżnej czapy odbijało się popołudniowe słońce. Z daleka słyszał bardzo słaby, odległy huk ognia oddziałów przypuszczających szturm do Reaty i Latemy. Widział za sobą tumany kurzu wzbijane na drodze między Taveta a nową stacją na zapleczu, do której dowożono zaopatrzenie i świeże oddziały wojska. Zdawało się, że poza nim nie ma tu nikogo. Nie napotkał żadnych patroli. Kiedy zbliżał się do Smithville, przyszło mu na myśl, że może farma jest nadal zajęta przez Niemców, bo leży daleko od stanowiska głównych sił brytyjskich. Zsiadł z muła i przywiązał go do drzewa.

Zboczył z drogi i zaczął przedzierać się przez gęste zarośla, obchodząc dom szerokim półkolem od strony podwórka. Uprzytomnił sobie, że karabin zostawił gdzieś na Reacie. Nie miał broni, nie licząc dużego scyzoryka, który stale nosił przy sobie. Wyjął go z kieszeni i otworzył. Nie był pewien, co zrobi, gdy spotka nieprzyjaciela, ale poczuł się odrobinę raźniej, mając chociaż taką broń.

Szedł ostrożnie przez wysoką trawę. Wkrótce ujrzał ruiny chaty, która stała za jego domem. Nie ulegało wątpliwości, że została spalona dawno temu. Zatrzymał się i przykucnął za guzowatym pnem wilczomlecza. Od domu dzielił go czterdziestometrowy pas nierównej ziemi. Poczuł ogromną ulgę, że udało mu się dotrzeć do Smithville. Potem poczuł równie silne zmęczenie, dało o sobie znać tłumione dotychczas napięcie. Wiedział, że gdyby położył się i zamknął oczy, natychmiast zapadłby w sen.

Ze swej pozycji obserwacyjnej nie miał najlepszego widoku. Pole widzenia zasłaniał mu dom, stojący na wzniesieniu, za którym ukryte były zabudowania i leżące za nimi pola sizalowe. Jak się zorientował, wbrew swoim przypuszczeniom, łąny siemienia lnianego, sięgające jeziora Dżipe, nie zostały spalone. Ogarnęło go nagle uczucie radości. Być może wojna nie dotknęła zbytnio Smithville, a cena, jaką musiał zapłacić, to furgony, żywy inwentarz, szyny kolejki i zbiory sizalu.

Poderwał się i popędził galopem od drzewa, będącego jego kryjówką, do małego gaju martwych drzew bananowych rosnących bliżej domu. Spostrzegł, że wierzchołki zostały równo ścięte, aby drzewa nie mogły więcej owocować. Ktoś wykonał tę robotę bardzo dokładnie.

Zerknął przez lukę między włóknistymi pniami drzew. Było mu trochę głupio; gruby, spocony mężczyzna starający się biec najlżej jak tylko można, z małym scyzorykiem w zaciśniętej dłoni. Nic się nie poruszyło. Ani śladu żywej duszy. Znów podbiegł kawałek i przylgnął płasko do ściany domu. Posuwał się centymetr po centymetrze w stronę kuchennych drzwi. Okna po tej stronie były solidnie zamknięte, zasłonięte okiennicami, uspokajający znak, że dom jest opuszczony. Spróbował otworzyć drzwi. Odemknęły się. Nadal nie słyszał żadnego odgłosu. W popołudniowym, upalnym powietrzu wszędzie panował całkowity spokój.

Wszedł do środka. I natychmiast wyskoczył stamtąd, zanosząc się urywanym, głośnym kaszlem. S m r ó d ! Zbierało mu się na wymioty. Splunął na ziemię i wytarł czoło. Cholera jasna, zaklął. G ó w n o . W domu śmierdziało jak w wychodku wielkoluda. Roilo się od much. Powietrze było od nich gęste. Pewne jednak było to, że dom stał pusty. Nikt z normalnym zmysłem powonienia nie mógłby wytrzymać tu dłużej niż kilka sekund.

Uspokoił się. Zaczerpnął powietrza i wstrzymując oddech wszedł raz jeszcze do kuchni. Panowały w niej ciemności, bo wszystkie okiennice były zamknięte. Po omacku doznał do okien i otworzył je na oścież, potem wyskoczył na zewnątrz, żeby odetchnąć świeżym powietrzem. Zajrzał ostrożnie przez drzwi. Wszystko, nie wyłączając podłogi – półki, stół, krzesła, płyta kuchenna – udekorowane było spiralami ludzkich odchodów. Powietrze drgało od czarnych, tłustych much. Całe ich chmary uciekły przez otwarte okna. Po zaczerpnięciu powietrza i spoglądając pod nogi, wszedł do jadalni i zanim znów wypadł na zewnątrz, otworzył szeroko okiennice. Czuł się jak człowiek wydobywający skarby z dna rzeki. Można to było robić tylko po trochu, jak długo starczało oddechu. Otworzenie wszystkich okiennic zabrało mu dwadzieścia minut. Nie oszczędzono ani jednego pokoju. Wyglądało na to, jakby batalion wojska wmaszerował do domu, każdy żołnierz spuścił spodnie i na komendę zrobił kupę tam, gdzie przykucnął.

Temple poczuł się wyczerpany i zdezorientowany. Co się tu dzieje? W skrońkach czuł pulsowanie tętna od wstrzymywanego oddechu. Cofnął się kilka kroków i z nadmiaru wysiłku oparł się oszołomiony o pień bananowca. Kto tak zanieczyścił jego dom? Dlaczego to zrobił? W głowie miał chaos od nadmiaru pytań bez odpowiedzi.

Ktoś poklepał go po ramieniu. Temple krzyknął przestraszony i obróciwszy się, rzucił jak szalony na intruza, zacisnął ręce na jego krtani i powalił na ziemię.

– *Bwana* – usłyszał przerażony skrzek. – To ja, Saleh!

Temple zwolnił uchwyt. Nie ulegało wątpliwości, że siedział okrakiem na Salehu, który cierpiał niewypowiedziane męki, rzucał głową, próbując chwytać oddech otwartymi ustami.

– Saleh – zawołał Temple. – Co ci jest?

Dłonie Saleha lekko szarpnęły rękawy Temple'a.

– *Bwana* – wyszeptał ciężko dysząc. – Zsiąść. Błagam. Nie mogę oddychać.

Temple, tłumacząc się gęsto, podniósł się na nogi. Saleh leżał nieruchomo na ziemi, jakby zastygł w pozycji, w jakiej walczył o oddech. Chwiejąc się usiadł. Temple pomógł mu wstać i czekał cierpliwie, aż Saleh otrzepie z kurzu obszarpaną bluzę.

– *Bwana* – wyrzekł w końcu. – Straszna rzecz się stała.

– Wiem – odparł Temple. – Byłem właśnie w środku.

– Nie, *bwana* – powiedział spokojnie. – Tam.

Poprowadził Temple'a nieco w bok. Ich oczom ukazały się budynki gospodarze. Temple stwierdził z ulgą, że stoją; trochę zrujnowane, ale bez poważniejszych uszkodzeń. Plantacja szałwu zniknęła wśród bujnych chwastów i trawy, tylko gdzieś tam widać było sterczące, kolczaste liście. Na pewno do uratowania przy dużym nakładzie pracy. Zaczynał wierzyć, że szczęście go nie opuściło. Okazało się, że von Bishop dotrzymał słowa. Poczul wyrzuty sumienia z powodu śmierci Essanjee'ego. Czy naprawdę trzeba go było tu sprowadzać w celu dokonania oceny strat?

Szedł zamyślony za szczupłym Salehem. Dokąd ten człowiek go prowadzi? Do wsi? Może niemieccy askarysi zrównali ją z ziemią? Saleh jednak zatrzymał się, Temple z nagłym wstrząsem zdał sobie sprawę, że doszli do grobu jego małej córki.

Był haniebnie sprofanowany. Kamienie z kopca rozwalone, a szczątki małej trumienki i jej zawartość rozrzucone bezładnie, jakby jakieś wielkie zwierzę ryło tu pyskiem. Na drewnianym krzyżu wisiała mała czaszka wielkości jabłka.

Temple i Saleh zebrali bez słowa szczątki – kruche żebra cienkie jak szpony, kręgi wielkości zębów trzonowych – i włożyli je do grobu. Smith wziął do ręki czaszkę. Zbielała i wyschła na słońcu, wydawała się lekka jak piórko, mógł ją porwać leciutki podmuch wiatru. Umieścił ją w grobie. Butami zgarnął ziemię, a potem z Salehem obłożyli grób kamieniami.

– Kiedy to zrobili? – spytał.

Saleh wyjaśnił, że stało się to tuż przed odejściem żołnierzy, czyli dwa dni temu. W Smithville przez cały czas było zakwaterowane wojsko, dodał, czasami przebywało tu około stu osób. Przed dwoma dniami wszyscy odeszli.

Temple znów poczul się wyczerpany. Słońce świeciło mocno. Pomyślał, że czas wracać.

– Nie martw się, Saleh – powiedział poruszony jego nieszczęśliwym wyglądem. – To tylko kości – próbował go jakoś pocieszyć. – Dusza dziecka poszła do nieba. – Pomyślał, że przemawia jak wielebny Norman Espie. – W każdym razie pani Smith urodziła jeszcze jedną córeczkę. – Poklepał Saleha po ramieniu. – Następne dziecko. – Podciągnął spodnie i odetchnął głęboko. – Niedługo wrócimy tu wszyscy – powiedział po angielsku. – Zobaczysz, ta wojna wkrótce się skończy. Postawimy farmę na nogi. Czyż nie? – Próbował rozchmurzyć posępnego Saleha, który starał się, nie bez trudności, zrozumieć jego słowa. – Znów będziemy uprawiać ziemię, Saleh, znów będziemy ją uprawiać. Czeka nas dużo roboty. Uruchomimy dekortykator i...

Odwrócił się raptownie na pięcie i zaczął zbiegać ze wzgórza w kierunku szopy z dekortykatorem. Słyszał za sobą wołanie Saleha, ale nie zwracał na nie uwagi. Kiedy znalazł się już blisko drewnianej szopy, poczul, jak rodzi się w nim złe przeczucie. Przystanął na chwilę przed szerokimi wrotami, by zaczerpnąć tchu. Stał przez chwilę, pragnąc, żeby wszystko było w porządku, potem otworzył szeroko drzwi.

Nie wierząc własnym oczom, wszedł do dużej pustej szopy, stukając butami po betonowej podłodze. Chodził niepewnie po przestronnym nagle pomieszczeniu, jakby oczekując, że lada chwila natknie się na ducha maszyny: Pomarańczowe smugi promieni słonecznych, wdarły się przez szczeliny i otwory w ścianach z desek, tworzyły osobliwy wzór na podłodze. Spojrzał na tłuste plamy od oleju, na sworznie zamocowane w betonowej podłodze, na kilka cali porwanego pasa napędowego.

– No nie! – ryknął. – A to s u k i n s y n ! – Potrzęsnał głową i chodził od ściany do ściany, nie mogąc pogodzić się z faktem zniknięcia czegoś tak trwałego, solidnego, tak nierozzerwalnie związanego z tym m i e j s c e m .

Saleh stanął nieśmiało przy drzwiach.

– *Bwana* – powiedział przeproszającym tonem. – Zabrali go już dawno.

– Kiedy? – spytał Temple.

– Jak pan wyjechał z panią.

Temple obrócił się gwałtownie. Saleh zrobił parę kroków do tyłu.

– Nie mogłem ich powstrzymać *bwana* – usprawiedliwiał się. – Przyszło dużo ludzi. Pracowali przez pięć dni.

– Kto to był? – zapytał Temple ochryłym szeptem – Kto to wziął?

– Było ich wielu – powtórzył Saleh. – N i e m c y .

Temple przełknął ślinę. Wiedział, kto zabrał maszynę. Von Bishop. Ten człowiek systematycznie plugał jego dom. To Erich von Bishop ukradł dekoratory. Zapłaci za wszystko. Jasne jak słońce.

ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

24 CZERWCA 1916 ROKU

NANDA, NIEMIECKA AFRYKA WSCHODNIA

Gabriel, krzywiąc się lekko z bólu, zdjął ze swego uda brudne, poszarpane bandaże. Zakrwawiony tampon przywarł do strupa. Zaciśnął zęby i zerwał opatrunek. Z połyskliwej zeskorupiałej szramy sączyła się krew. Od przejmującego bólu oczy zaszczyły mu łzami. Deppe nie mógł zrozumieć, dlaczego rana tak wolno się goi. Gabriel uśmiechnął się pod nosem. Skacząc na jednej nodze, zbliżył się do drzwi przybudówki na tyłach szpitala, w której zamieszkał. Z nadproża zwiślał kawałek koca; kiedy odsuwał go na bok, widział kuchnie szpitalne i pokryte pyłem ogródki warzywne. Nigdzie nie było śladu Deppego ani Liesl. Nie ulegało wątpliwości, że gdyby się dowiedzieli, co robi, od razu zostałby stąd wydalony. Liesl nie byłaby do tego zdolna, ale Deppe nie miałby skrupułów. Nie darowałby mu tej mistyfikacji.

Pokuśtykał do łóżka i usiadł. Teraz, kiedy wszystkie środki medyczne były na wyczerpaniu, łatwiej dałoby się wytłumaczyć ciągłą infekcję w nodze. Bandaże prano i używano wielokrotnie, rany ulegały więc zakażeniu. Automatycznie dotknął nierównych szram na brzuchu. Zawsze będzie czuł wdzięczność dla Deppego; szkoda, że musi obracać wniwecz wysiłki doktora, których ten nie oszczędził przy leczeniu jego nogi.

Ostrożnie podważał strup paznokciem. Oczy zaszczyły mu łzami. Drugą ręką zgarnął odrobinę kurzu z podłogi i posypał nim połyskliwą wilgotną ranę, jakby solił nie dopieczzone mięso. Przyklepał strup i starannie zawinął bandaż. Za dzień lub dwa, jeśli potwierdzą się jego wcześniejsze obserwacje, rana zaczerwieni się, zacznie swędzić i cuchnąć. Liesl będzie musiała ją oczyścić, użyć środków dezynfekujących, których ilość zmniejszała się z każdym dniem, wyprać bandaże i założyć je ponownie. Zawiązał koniec bandaża na supełek. Oczywiście ryzykował. Gdyby rana nie była leczona, następstwa tej infekcji mogłyby się okazać bardzo poważne. Korzyść z pracy w szpitalu jest taka, że ma się opiekę lekarską.

Obciągnął postrzępione nogawki szortów, które zakryły bandaż. Siedział przez chwilę i wpatrywał się w chude kolana. W ciągu wielomiesięcznej rekonwalescencji stracił sporo na wadze. Nie mógł zrozumieć dlaczego: jadł tyle, co każdy – nawet lepiej od innych jeńców. Została na nim skóra i kości: skóra, kości, mięśnie i chrząstki. Deppe powiedział, że to jeszcze jeden powód, dlaczego rana tak wolno się goi.

Gabriel wstał i wyszedł na zewnątrz. Mrużąc oczy, spojrzął na słońce, próbując zgadnąć, która godzina. Czwarta, może pół do piątej. Kto wie czy nie powinien wrócić na oddział i zobaczyć, czy Liesl go nie potrzebuje. Zawsze znajdowała się jakaś robota. Zazwyczaj obsługiwał chorych na dyzenterię. Czasami karmił ciężer rannych żołnierzy albo ich obmywał. W czasie dyżuru Liesl miał dużo roboty. Deppe nie był zadowolony, że Gabriela zatrudnia się w szpitalu. Powiedział, że to wbrew przepisom zmuszać jeńców do pracy fizycznej. Gabriel przypominał mu ciągle, że nikt go nie zmusza. Chce pomagać, oświadczył Deppemu; chce coś robić, żeby ulżyć cierpiącym. Deppe jednak nie przyjmował do wiadomości tych argumentów i kiedy widział Gabriela przy pracy, dawał wyraz swemu niezadowoleniu.

Na szczęście Deppe coraz mniej czasu spędzał w szpitalu w Nandzie. W miarę przeciągania się wojny i nieuchronnego dopływu rannych był niezastąpiony w innych szpitalach, prowizorycznych klinikach i domach dla rekonwalescentów.

– Deppe zachowuje się jak stara baba – rzekła Liesl, kiedy Gabriel powiedział o zastrzeżeniach doktora. – W każdym razie i tak nigdy go tu nie ma.

Ten właśnie spisek przeciwko zręczliwemu doktorowi sprawił, że nawiązała się między nimi dziwna przyjaźń, która przełamała lody nieufności istniejące zwykle między pielęgniarką a pacjentem lub zwyciężcą a jeńcem. Nie, Gabriel uśmiechnął się do siebie w drodze do szpitala, nie można posądzać Liesl o to, że przywiązuje dużą wagę do zwyczajów i konwenansów. Nigdy w życiu nie spotkał tak zdecydowanej kobiety.

W miarę przeciągania się wojny stawała się coraz bardziej obojętna, zrezygnowana. Przebywając tyle miesięcy pod jej opieką, wyraźnie spostrzegł tę przemianę. Wywiązywała się ze swych obowiązków na tyle dokładnie i sprawnie, na ile pozwalały warunki, ale sprawiała wrażenie, że nie zależy jej na niczym. Tylko Deppe potrafił wyprowadzić ją z równowagi. Nie poddawała się rozpacz, ale i nie żywiła żadnej nadziei. Kiedy Gabriel zaczął realizować swój plan i na próbę zaoferował po raz pierwszy pomoc – przytrzymał mężczyznę nad emaliowanym basenem, podczas gdy ona zajęła się innym chorym potrzebującym natychmiastowej pomocy – nawet mu nie podziękowała. Potraktowała to jakby jeszcze jedno wydarzenie w jednostajnym rytmie dnia. Stopniowo – niemal bez starań z jego strony – stawał się niezbędny. Na oddziale była służba, ale nie oczekiwano po niej bardziej skomplikowanej pracy, ponadto wielu żołnierzy nie życzyło sobie stykać się z tubylcami. Tak więc Gabriel obmywał

gorączkujących pacjentów, smarował maścią otarte kikuty, podtrzymywał chorych na dyzenterię, trzęsących się i drżących podczas bolesnego oddawania kału, a czasami zmieniał prostsze opatrunki. Wkrótce stał się znaną postacią na długiej sali, która służyła za cały szpital w Nandzie. Wdawał się w pogawędki z żołnierzami brytyjskimi, nauczył się nawet niemieckiego na tyle, żeby prowadzić proste rozmowy z rannymi Niemcami, którzy stopniowo zaczynali stanowić najliczniejszą grupę w szpitalu.

Teraz w Nandzie nie było już brytyjskich jeńców. Przed tygodniem osiemdziesięciu ludzi wraz z garnizonem askarysów zostało przetransportowanych w pobliże wybrzeża. Nikt nie wiedział dlaczego. Według jednej teorii pilnowanie i żywienie jeńców okazało się zbyt kosztowne. Pod warunkiem, że zobowiążą się słowem honoru nie walczyć w tej wojnie przeciwko Niemcom, mieli być zwolnieni i przekazani nacierającym wojskom brytyjskim. Gabriel z wdzięcznością pomyślał, że dokonał tego odkrycia dopiero po ich odejściu. Gdyby wiedział wcześniej o całej sprawie, trudno by mu było usprawiedliwić swój dłuższy pobyt w Nandzie. Teraz mógł uspokoić sumienie wymówką, że nie wiedział.

Myślał o tym właśnie, stojąc na końcu długiej sali. Upał był nieznośny. Ponad sześćdziesiąt łóżek stłoczono w dawnym magazynie-składzie należącym do stacji badawczej. Okna były otwarte, trzcinowe zasłony chroniły nieco przed żarem popołudniowego słońca. Stary służący, Afrykanin, przeszedł z dwoma ciężkimi kubłami, z których wylewało się coś na podłogę.

– *Jambo Bwana* – powiedział.

Wszyscy znali Gabriela.

Na drugim końcu sali ujrzał Liesl mierzącą choremu puls. Podniosła wzrok, zobaczyła go i wykonała ruch ręką, jakby paliła papierosa. Gabriel odwrócił się i wszedł do małego pomieszczenia, które służyło za skład leków. Usiadł przy stojącym na środku stoliku i zabrał się do skręcania dwóch papierosów ze zwykłego miejscowego tytoniu i resztek papieru. Poświęcili na skręty *Cierpienia młodego Wertera* Goethego, małą, ładnie oprawioną książkę, która – jak powiedziała Liesl – stanowiła własność jej męża. Kartka starczała na jednego papierosa. Doszli już do czterdziestej dziewiątej strony.

Gabriel wyspecjalizował się w skrętach; można by przypuszczać, że wychudzone kościste palce stały się zręczniejsze. Nie żałował czasu na to, żeby mocno skręcić tytoń i porobić zgrabne, równe wałeczki. Często spędzał cały dzień na skręcaniu około tuzina papierosów; ofiarowywał je później Liesl. Dużo paliła. Na szczęście tytoniu nie brakowało. Problem był z papierem. Jeśli wojna potrwa dłużej, szybko zniknie mała biblioteczka Herr von Bishopa.

Gabriel skończył skręcanie papierosów i czekał na Liesl. Na zewnątrz przyniatający ciężar popołudniowego słońca jakby ogłuszył świat. Gabriel wstał i wyjrzał przez okno, które wychodziło na teren opustoszałego obozu jenieckiego.

Kiedy jeńcy opuszczali obóz, trzymał się od nich z daleka. Czy słusznie postąpił? Na pocieszenie przypomniał sobie słowa majora du Toita. On właśnie obmyślił cały plan. Starszy oficer brytyjski, jeńiec obozu, zachęcił Gabriela do pozostania w szpitalu i namówił go do złożenia przysięgi, że nie będzie walczył przeciwko Niemcom, przekonany, że rany Gabriela i tak uniemożliwią mu dalszy udział w wojnie.

Pobyt w szpitalu, dowodził major du Toit, stwarza idealne warunki do przemycania jedzenia i środków medycznych dla jeńców w obozie. Również, jak się wkrótce przekonał, znacznie łatwiej docierały tu informacje o przebiegu działań wojennych. Nanda była obozem wojskowym. W obozach cywilnych ludziom, którzy złożyli przysięgę, że nie będą próbować ucieczki, pozwolono poruszać się swobodnie po wsi czy mieście, gdzie położony był obóz. Jeńców wojennych obowiązywało ponadto w ramach tej przysięgi zaprzestanie, na czas trwania wojny, udziału w walce przeciwko Niemcom lub ich sprzymierzeńcom. Du Toit zakazał swym ludziom – z wyjątkiem Gabriela – składania podobnej przysięgi, wobec czego musieli przebywać za ogrodzeniem z drutu kolczastego. Jak się okazało, Gabriel był bardziej przydatny przebywając poza terenem obozu. Teraz przyszły mu na myśl także te słowa. Uszczuplał fachowo zapasy niemieckie – zwłaszcza chininy własnej produkcji – udało mu się też przekazać informacje o ataku na Tavetę w marcu, o inwazji na Niemiecką Afrykę Wschodnią i o posuwaniu się wojsk brytyjskich wzdłuż Kolei Północnej w kierunku Tangi. Przez ostatnich kilka tygodni *Schutztruppe* znajdowała się w stałym odwrocie, każdego dnia oczekiwano zdobycia Dar es-Salam.

Wkrótce jeńcy odeszli – długi, rozciągnięty sznur obszarpanych żołnierzy z małymi tobołkami zawierającymi ich dobytek, a z nimi garnizon askarysów – i w ten sposób Nanda straciła na dobre trzy czwarte swych mieszkańców. Gabriel obserwował odejście kolumny z prawdziwie mieszanymi uczuciami. W szpitalu przebywali teraz wyłącznie chorzy i ranni Niemcy. Był w Nandzie jedynym Anglikiem.

Przezeszał palcami włosy. Problem polegał na tym, że po odejściu jeńców nie miał żadnej wymówki – rozsądnej wymówki – żeby tkwić w szpitalu i nie myśląc o swym zdrowiu infekować ranę w nodze. Potarł czoło. Czym usprawiedliwić swój dalszy pobyt?

Weszła Liesl. Gabriel odwrócił się i uśmiechnął. Miała na sobie starą, wypłowiałą, perkalową sukienkę, która zmieniła kolor z granatowego na pstrokaty bładoniebieski. Rude włosy podtrzymywała białą, bawełnianą przepaską. Z głośnym westchnieniem usiadła ciężko na drewnianym krześle, przy tym energicznym ruchu zadrgały jej duże piersi, a Gabriel poczuł znany ucisk w dołku.

– Jutro przyjeżdża Deppe – powiedziała po angielsku i zapaliła papierosa.
– Ale chwala Bogu, tylko na jeden dzień. Chcesz papierosa? – Podała mu skręta.

– Nie. – Gabriel odchrząknął. – Proszę go zatrzymać.

– Dziękuję. – Zakasłała. – Mocny tytoń. – Poklepała się po piersi, znów zakasłała i przytrzymała ręką biust.

Gabriel stał nieruchomo przy oknie. Jakie to niezwykle, pomyślał, że każdy ruch tej kobiety – jej najmniejszy gest – ma w sobie tyle zmysłowości. Obserwował teraz, jak Liesl wyciera chusteczką jasnokremową, piegowatą szyję i odsłania przy tym ciemne plamy od potu widoczne pod pachami.

– Hammerstein umrze – powiedziała rzeczowym tonem – za godzinę lub dwie.

– Czy mogę w czymś pomóc? – spytał.

– Nie – odparła. – W niczym.

*

Hammerstein umierał dłużej, niż przypuszczano, tak więc Liesl pozostała w szpitalu do późnych godzin wieczornych. Na dworze panowały ciemności, zewsząd dochodziły ją znajome odgłosy afrykańskiej nocy – cykanie świerszczy, wrzaski nietoperzy, pohukiwania ptaków i wycie zwierząt. Gabriel przyglądał się, jak przystaje na chwilę w drzwiach, a potem podąża główną ulicą Nandy w stronę swego bungalowu. Na ulicy było ciemno, oświetlało ją zaledwie kilka migocących latarń nad drzwiami sklepów i glinianych domów, a także światło padające z okien. Gabriel obserwował jej postać, która znikwała w oddali. Potem odwrócił się i poszedł na tyły szpitala, następnie przez ogródki warzywne w stronę plantacji drzew gumowych. Ruszył aleją między drzewami. Była to najkrótsza droga prowadząca do bungalowu Liesl.

Znał już ją na pamięć, schylał się pod niskimi gałęziami mangowców, przeciskał przez luki w kolczastym ogrodzeniu, szedł na przełaj przez ciemny gaj krzewów bawełny. Zatrzymał się niedaleko bungalowu, czekając, aż ujrzy ją wchodzącą do środka. Potem ruszył przez skrawek ugory i minął ogromną wyniosłą kępę bambusów, rosnącą za domem – wyschnięte, lancetowate liście szeleściły pod jego stopami. Teraz po wejściu w gąszcz zarośli szedł wolniej, modląc się w duchu, żeby okiennice nie były zamknięte. W ciągu dnia panował upał, niewątpliwie dziewczyna otworzyła je, żeby do wnętrza przeniknął wieczorny chłód.

Po zajęciu stanowiska obserwacyjnego usłyszał, jak Liesl woła Kimi. Okiennice były otwarte, w pokoju paliła się już lampa naftowa rzucająca przynębiające żółte światło. Gabriel stał z zapartym tchem na myśl o tym, co się za chwilę wydarzy, jego serce zaczęło bić szybciej. Przed kilkoma tygodniami odkrył przypadkowo to, czego miał być teraz świadkiem. Liesl zostawiła papiery, które dla niej przygotował w szpitalu. Odniósł je do jej domu; służąca

powiedziała, że Frau von Bishop nie może go przyjąć, bo jest zajęta. Gabriel odparł, że to nic ważnego i zostawił papierosy. Przechodząc obok domu zobaczył światło padające z tylnego okna na gąszcz krzewów. Z poczuciem winy wszedł w krzaki, żeby zajrzeć do środka, podejrzewając, nie wiadomo dlaczego, że zobaczy kochanka. Ujrzał jednak coś, co go zgubiło. Wspaniała blada Betszeba z bujnymi piersiami, krągłymi udami, które w świetle lampy połyskiwały niewyraźnie. Po mokrym cieple spływała woda, którą Kimi oblewała swą panią, a on spoglądał, urzeczony – bezsilny Dawid ukryty w mrokach panujących na dworze.

Stał teraz w tym samym miejscu, pod gęstą osłoną krzewów, niewidoczny w ciemności, i zaglądał zza listowia do sypialni. Liesl ukazała się na chwilę w otwartym oknie. Potem zniknęła mu z oczu – poszła się rozebrać. Słyszał lekkie szuranie waniенki przesuwanej na środek pokoju i szmer słów, wypowiedzianych do dziewczyny. Teraz była to już tylko kwestia chwili.

*

Tego wieczoru z jakiegoś powodu Gabriel miał większe poczucie winy. Leżał na twardym łóżku w smrodliwej chacie i nie mógł zasnąć, dręczyły go i zachwyciły utrwalone w pamięci obrazy Liesl. Czasami pożądanie wzmagало się do tego stopnia, że myślał, iż rozsadzi mu piersi, żebra rozpadną się jak deszczułki starej beczki. Bolesna tęsknota zawładnęła nim z całą siłą. Rozpaczliwie pragnął zanurzyć głowę w tych pulchnych piersiach, złożyć czoło na miękkiej szyi, czuć silne ramiona obejmujące jego ciało...

Odwrócił się na drugą stronę. Od kiedy zaczął podglądać Liesl, opuściły go inne sny. Nie śniła mu się już roztrzaskana twarz Gleesona, strzał Bilderbecka i ciepły kawałek mózgu na butach. Ani ten potworny bieg przez cmentarz, dudniące stopy jego prześladowców, szamotanina na ziemi, przesywające pchnięcia bagnetów. Zawsze się budził w momencie, gdy ostrze bagnetu ześlizgiwało się po jego biodrach: kiedy czuł zgrzyt metalowego szpica na żywej kości, gdy ostrze zagłębiało się w jego wnętrzościach.

Powiedział Deppemu o tych snach nawiedzających go niemal każdej nocy. Może dlatego właśnie jest taki słaby i wyczerpany? Bzdura, zaprzeczył zdecydowanie Deppe, sny nie mają na to wpływu.

Gabriel dotknął szyi, czuł, jak drży i porusza się jabłko Adama, potem przesunął palcami w dół, dotknął brodawki i wilgotnych włosów na piersi. Pociągnął czubkami palców po wystających żebrach, jak kijem po parkanie. Potem rozpostarł dłoni na brzuchu, nacisnął pręgi dwóch szwów. Zsunął rękę niżej i dotknął prącia, wziął do ręki i uniósł spocone jądra, od razu poczuł się lepiej. Dziwne, pomyślał, jak uspokajająco działają w dotyku własne genitalia.

Opanowały go inne myśli. Któregoś dnia przyniesiono żołnierza z ranami od pchnięcia bagnetem. Był w znacznie gorszym stanie niż ongiś Gabriel, z połową wnętrzości na wierzchu, które nabrały dziwnie ryżego koloru. Nie pożył długo, mimo że Deppe z pomocą Liesl i dwóch innych pielęgniarek przez całą noc go operował. Gabriel także miał wtedy dużo pracy: byli zadowoleni z jego pomocy. Kiedy żołnierz umarł, Cobb przyniósł dla wszystkich gorącą herbatę, zbudził kucharki, żeby zrobiły coś do jedzenia. Skąd przywieziono tego człowieka? – spytał ktoś z obecnych. Z Morogoro, odparł Deppe. Z Kolei Centralnej, toczą się tam zaciekle walki. Nasze wojska się cofają. Zdumiewające, pomyślał Gabriel, ile można dowiedzieć się o przebiegu wojny z przypadkowej rozmowy w szpitalu. Przybywają tu ranni z różnych pól bitewnych, inni, już wyleczeni, wracają na nowe odcinki frontu. Wymieniane są zawsze nazwy miejscowości. Miał całkiem niezłe wyobrażenie o rozmieszczeniu głównych sił, dokładnie tak, jak przewidywał major du Toit.

Usiadł, potrząsnął głową, żeby całkiem oprzytomnieć. Nagle zrozumiał swoje obowiązki. Du Toit miał we wszystkim rację. Jego pobyt w szpitalu był ważny. Nadal jest ważny. Wciąż ma tu coś do zrobienia. Będzie zbierał informacje. Będzie prowadził niewinne rozmowy z chorymi, składał luźne fragmenty w całość, odtwarzał obraz działań wojennych. Poczul się nagle podniesiony na duchu. Mógł usprawiedliwić swój dłuższy pobyt w szpitalu. Będzie się trzymał tej roli możliwie jak najdłużej: skromny, wszędobylski, nie wzbudzający podejrzeń. Zostanie „szpiegiem”, będzie robił notatki, zaznaczał pozycje na mapie, a potem? Potem ucieknie.

Położył się z uśmiechem zadowolenia i wyciągnął ręce, żeby dotknąć gazy, która służyła za moskitierę. Nie myślał jednak o natychmiastowej ucieczce. Pozostanie kilka tygodni i zbierze więcej informacji. Poczul, że rana lekko swędzi, podrapał ją przez bandaż. Dobrze, pomyślał, zaczyna znów ropieć. Zagryzł zęby, nacisnął wierzchem dłoni bandaż i poczul, jak ból przeszywa mu nogę. Deppe przyjeżdża jutro. Noga będzie w takim stanie, że znów zabrają go na oddział.

ROZDZIAŁ SZESNASTY

25 CZERWCA 1916 ROKU
DWÓR STACKPOLE, KENT

Charis pisała do Gabriela co miesiąc. Listy utrzymane były w stylu gawędziarskim, mówiły pobieżnie o życiu w Stackpole i o rodzinie, lecz teraz nagle się okazało, że pisanie przekracza jej siły. Nie wiedziała, czy on je otrzymuje, bo nie miała żadnej odpowiedzi. Wiedziała tylko tyle, że jest ranny i przebywa w niewoli. Spytała Henry'ego Hyamsa, pod jaki adres ma kierować listy, poradził wysłać je do dowództwa dywizji Indyjskiego Korpusu Ekspedycyjnego „B” w Nairobi. Powiedział, że zaopatrzenie i zaprowiantowanie dla brytyjskich jeńców wojennych przesyłano Niemcom. Oni też odpowiadali za rozdział i doręczanie prywatnych listów.

– Tak powinno być – powiedział Henry Hyams. – Nie znaczy, że trzeba wierzyć w rzetelność Hunów. Ale próbuj, kochana Charis, próbuj.

Tak więc pisała co miesiąc, z coraz większym poczuciem oderwania od rzeczywistości wpatrywała się w fotografię Gabriela i starała się przywołać na pamięć obraz jego twarzy i ich krótkiego wspólnego pożycia. Nie było zbyt udane, musiała przestać wracać myślami do tych chwil, gdyż zbyt często kończyło się to rozmyślaniami o Feliksie.

Nie pisała już od sześciu tygodni. Z jakiegoś powodu nagle nabrała przeświadczenia, że wszystkie jej listy dotarły, że przez ponad dwa lata ich rozłąki stanowiły – dla Gabriela – jedyny kontakt ze światem, z którym się rozstał w 1914 roku. I w miarę, jak mijały dni, coraz jaśniej rysowała się przerażająca perspektywa tego, co ją czeka; nieszczęście, które ją dotknęło, stanowiło haniebny dowód jej winy, sprowadzi na nią w końcu potępienie, a co gorsza, nanie Gabrielowi podejrzenie, że stało się coś strasznego.

Równie przerażający wydawał jej się fakt, że nie miała na świecie nikogo bliskiego, komu mogłaby powierzyć swe kłopoty i wyznać swe winy. Nawet Feliksowi. Napisał z Oksfordu, że jak zwykle zamówił dla nich pokój w hotelu

w Aylesbury. Okłamała rodzinę, że ma w Londynie kuzynkę, którą pragnie odwiedzić. Wizyta u kuzynki zbiegłaby się dokładnie z zakończeniem semestru letniego w Oksfordzie. Ale wszystko uległo zmianie. Napisała do Feliksa, że czuje się nie najlepiej i nie będzie mogła się z nim zobaczyć. Było to zgodne z prawdą.

On jednak nie zostawił jej w spokoju. Ponieważ nie spotkali się w Aylesbury, zaczął odwiedzać ją w domu w środku nocy. I po raz pierwszy kochali się w Stackpole. To także ogromnie wyprowadziło ją z równowagi. Nie mogli tego robić w sypialni – zbyt silnie kojarzyła się z Gabrielem – musieli zatem poprzestać na kanapie we frontowym pokoju. Brakowało im tej małżeńskiej zażyłości, jakiej doświadczali w hotelu. Nie mogli leżeć w swych objęciach i rozmawiać. Po skończonym stosunku ubierali się i Feliks wracał ukradkiem do swego pokoju.

Te improwizowane spotkania, przypominające romans w podmiejskim wydaniu, były w dwójnasób przygnębiające. Pewnej nocy Charis załamała się i rozplakała, zakrywając twarz rękami. Na pytanie, dlaczego płacze, odparła, że z powodu upokarzającej sytuacji, w jakiej przyszło im się znaleźć. Feliks nie miał dla niej słów pociechy, poza słabym: „Nic przejmuj się”, „To nie ma znaczenia”, co utwierdziło ją w przekonaniu, że nie okaże jej – nie może okazać – pomocy. Nie był temu winien. Nic nie mógł poradzić. Znalazła się po prostu w sytuacji bez wyjścia.

Pewnego popołudnia, kiedy siedziała nad stawem, rozwiązanie nasunęło się z dziecinną prostotą. Nie traciła czasu. Tego samego wieczoru napisała do Gabriela. List, który uważała za najtrudniejszy, okazał się prosty i nieskomplikowany. Wyznała mu wszystko, nie podała tylko imienia kochanka, i prosiła o zrozumienie i przebaczenie.

Zakleiła kopertę i trzymała w szufladzie przez kilka dni, zastanawiając się raz jeszcze nad ewentualną zmianą formy listu. Na dzień przed wprowadzeniem w życie swego planu poszła po południu energicznym krokiem do wsi Stackpole, przystanąła obok kościoła, gdzie odbył się ich ślub, kupiła na pocztę znaczki i bez wahania wrzuciła kopertę do skrzynki.

Kiedy to zrobiła, poczuła się uspokojona, pogodna, od czasu do czasu jednak nachodziły ją momenty strasznej paniki. Pierzchyły jednak na myśl o przyszłości, która przyniosłaby wiele nieszczęścia i poczucie winy. Stwierdziła, że w tej sytuacji nie ma drogi odwrotu od tego, co zamierza zrobić, i odzyskała równowagę ducha.

W ten sposób udało jej się przetrwać jakoś dzień. Poszła na spacer w górę rzeki, stała tam i przez długi czas wpatrywała się w wolny nurt wody. Wieczorem przygotowała jak zwykle posiłek, nakryła do stołu i zjadła z apetytem. Po pół godzinie stwierdziła, że znów jest głodna. Dorzuciła węgli do kominka, usiadła przed nim na niskim stołeczku, podciągnęła kolana i w pogodnym nastroju wpatrywała się, jak w hipnotycznym transie, w taniec płomieni, obsuwając się węgli.

Wkrótce po północy Feliks zastukał w okno. Przywołała na usta uśmiech, wpuściła go do środka. Ucałowali się.

– Charis, czy wszystko w porządku? – spytał. – Brakowało mi ciebie przy lunchu.

– Byłam na spacerze. Nic mi nie jest. Straciłam poczucie czasu.

Feliks, usatysfakcjonowany wyjaśnieniem, zaczął jej szczegółowo przedstawiać swój najnowszy plan. Oksford jest tak straszny, że on i Holland nie mogą znieść myśli o jeszcze jednym roku na tej uczelni. Według Hollanda zgłoszenie się na ochotnika do wojska w charakterze kierowców sanitarek jest jak najbardziej do przyjęcia, pod warunkiem, że obaj zostaną wysłani do Francji.

– Charis, czy mnie słuchasz?

– Przepraszam. Bujałam w obłokach. O czym mówiłeś?

– Możliwe, że pojedę do Francji jako kierowca sanitarki. Pod koniec lata.

– Aha.

– Co o tym sądzisz? Nie masz nic przeciwko temu?

– Będzie mi ciebie brakowało. – Prawdziwa treść, kryjąca się za tym oświadczeniem sprawiła, że łzy napłynęły jej do oczu. Feliks, wzruszony, objął ją ramieniem.

– Carrie, nie martw się – pocieszył ją. – Będę daleko od frontu.

Złączeni w uścisku, zaczęli się całować, a potem rozebrali się do połowy i kochali na małej, niewygodnej kanapie. Niezbędne czynności wykonywali z coraz większą wprawą i pewnością siebie.

Charis widziała, że Feliks z każdym dniem jest śmielszy. Miał teraz dwadzieścia lat; wydawało się, że na dobre wyrósł już z wieku chłopięcego.

Nie pozostał u niej długo. Zaraz po pierwszej zaczął ziewać i oświadczył, że powinien iść do łóżka. Charis odprowadziła go do drzwi, pamiętając o wyłączeniu światła w hallu, żeby nie było widać, że wychodzi. Był całkowicie nieświadom jej cierpienia, co – paradoksalnie – umacniało Charis w jej postanowieniu. Gdyby wyczuł jej udrękę, gdyby zadawał pytania i próbował dociec przyczyny, wątpliwe, czy potrafiłaby zachować równowagę i panowanie nad sobą. W tym jednak stanie rzeczy bez większego wysiłku zdołała go przekonać, że wszystko jest w porządku.

– Do jutra – powiedział, całując ją w nos, i wyszedł.

Siedziała jeszcze przez godzinę i w myślach rozważała swój plan. Wiedziała, że nie może uniknąć zadania bólu, pogrążenia kogoś w smutku. Ale to nic w porównaniu z konsekwencjami, jakie by wszyscy ponieśli, gdyby prawda wyszła na jaw.

W końcu usiadła przy biurku i napisała krótki list do Feliksa.

„Mój kochany Feliksie.

Przemyślałam wszystko i postanowiłam odejść. W tych okolicznościach wydaje się to jedynym wyjściem. Żaden kompromis nie jest możliwy. Wszystko wyznałam Gabrielowi.”

List wydawał się nieco lapidarny i zagadkowy, co sprawiło jej małą satysfakcję. Zastanawiała się, czy nie dodać: „Przykro mi” bądź „Nie miej żadnych wyrzutów”, ale zrezygnowała i dopisała tylko imię.

Zakleiła i zaadresowała kopertę. Poczula się zdecydowana, sprawna, z zadowoleniem stwierdziła, że nie jest przygnębiona i nie lituje się nad sobą. Pozbędzie się wszelkich wątpliwości i dylematów, wstydu i rozczarowań, wszystkich smutków i bólu, jakie czekały ją w najbliższej przyszłości. Ominie ją nie kończący się piekielny pręgierz. Była zadowolona, że tak łatwo uniknie tego wszystkiego. Wybór, jakiego teraz dokonała, był śmiały i mądry, jak każda stoicka decyzja, której trzeba się poddać.

Wzięła list do Feliksa, włożyła najcięższy tweedowy kostium. Był to kostium do golfa, z przyczepionym kapturem i dużą sięgającą kostek spódnicą zapinaną na guziki. Położyła rękę na klamce – miała wszystko, czego potrzebowała.

Noc była ciemna, zimna, niebo bezchmurne, usiane gwiazdami. Charis ruszyła energicznym krokiem przez podjazd do dużego domu. Było tak zimno, że oddech zmieniał się na chwilę w parę. List do Feliksa wsunęła do skrzynki we frontowych drzwiach. Słaby wiatr poruszał rododendronami, grube błyszczące liście szeleściły sucho. Zaczepnęła powietrza. Wszystkie strapienia i obawy zniknęły tak szybko jak para, w którą zmieniał się jej oddech. Miała wrażenie, że czeka ją tylko świetlany jasny brzeg. Zawróciła i ruszyła wybraną ścieżką.

ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY

26 CZERWCA 1916 ROKU
DWÓR STACKPOLE, KENT

– Hiob – zawołał major Cobb. – Rozdział dwudziesty ósmy, wers dwunasty.

– Tylko nie to – westchnęła pani Cobb stojąca obok Feliksa. – Już wystarczy. – Przycisnęła dłońmi policzki, jak przy bólu zębów. – Już wystarczy.

Feliks wpatrywał się w mapę Afryki, potem przymrużył lekko oczy, tak że czerwone i zielone szpilki zaszły jakby mgłą i zniknęły z jego pola widzenia. W czasie poprzednich ferii pewnego ranka umyślnie opuścił rodzinne modły, zakładając, że jest na tyle dorosły, iż nie musi prosić o pozwolenie. Ojciec, zdaniem Feliksa, dostał napadu szału. Przy śniadaniu, kiedy Feliks wreszcie się pojawił, wybuchnął gniewem, oskarżając go o to, że jest nieponiem-ateistą, zasmarkanym tchórzem, że hańbi rodowe nazwisko i co więcej, demonstracyjnie okazuje brak poszanowania dla szlachetnej ofiary brata. Ta ostatnia obelga poruszyła jego sumienie, teraz więc myślał, że warto – dla świętego spokoju, na którym każdemu zależy – zastosować się do kaprysów ojca.

– „A skąd pochodzi mądrość – zaintonował major – i gdzie jest siedziba wiedzy?” – Tłusta twarz zwiotczała, pulchne policzki obwisły, podwójny podbródek, który nigdy nie był dokładnie ogolony, porastała szczecina. Ale ojciec był nieustraszony jak zawsze i Feliks widział, że trząsie się lekko, powtarzając głośno słowa codziennej lekcji. – „Gdzie jest siedziba wiedzy? Człowiek nic zna tam drogi, nie ma jej w ziemi żyjących.” – Krótkim grubym palcem uderzył w rozłożoną przed nim otwartą Biblię. – „Nie ma jej. W ziemi. Żyjących.”

Kiedy wszyscy wychodzili gęsiego z biblioteki na śniadanie, matka zatrzymała Feliksa, łagodnie ujmując go za ramię.

– Kochanie – powiedziała z zatroskanym wyrazem twarzy. – Niepokoję się trochę o twego ojca.

– Nic dziwnego – odparł Feliks. – Czy nie powinien przebywać w szpitalu?

– D o p r a w d y , Feliksie! Jest po prostu bardzo wytrącony z równowagi.

– W s z y s c y jesteśmy wytrąceni z równowagi, mamó. Nie oznacza to jednak, że musimy się zachowywać jak... – wskazał na mapę. – W t e n s p o s ó b .

– Mój Boże – powiedziała pani Cobb i zagryzła dolną wargę. – Mój Boże. Co ta okropna wojna robi z ludźmi? Jakaż to niesprawiedliwość!

Feliks wszedł do jadalni. Ojciec siedział w końcu stołu i czytał gazetę. Obok niego zajęła miejsce Cressida i starała się nie zwracać uwagi na jego ciągłe mamrotania i okrzyki. Przy niej znajdowało się nie zajęte krzesło Feliksa. Naprzeciwko, po drugiej stronie, siedziała Eustacja i Nigel Bathe. Nigel miał na sobie tweedową marynarkę – dwa puste rękawy zostały podwiniete tuż poniżej łokci i spięte tak, że nie pozostawiały otworów na ręce. Eustacja kroїła porcję bekonu z jajkami, nakładała na widelec i wkładała mu do ust.

– Dzień dobry – powiedział Feliks. – Nigelu, Cressido... ojczec.

Feliksa ogarniało, jak zwykle od jakiegoś czasu z rana, uczucie litości dla Nigela, którego nigdy nie lubił. Bathe gderał i narzekał jak za dawnych lat – tym razem na wysokość renty inwalidzkiej, toporność protez, którymi uczył się posługiwać – ale teraz Feliks nie miał mu tego za złe. Reszta rodziny przyzwyczaiła się już do obecności Nigela przy posiłkach i do tego, że Eustacja karmi go łyżką, ale dla Feliksa był to widok, który psuł mu każdy ranek.

– Ha, ha! – wykrzyknął major, wszyscy spojrzeli badawczo, a kawałek smażonego jajka, który Eustacja trzymała w wyciągniętej ręce, spadł z widelca na błyszczącą powierzchnię stołu.

– No proszę, no proszę. – Major odchrząknął. – „Dziewiętnastego czerwca armia brytyjska w Niemieckiej Afryce Wschodniej zajęła ważne miasto Handeni.” Gdzie moja mapa? – Poderwał się od stołu i wymaszerował z pokoju.

Wszyscy udawali, że nic się nie stało. Feliks zdjął pokrywki z podgrzewanych półmisków na kredensie i nałożył sobie dużą porcję nerek, jajecznic, grzanek, bekonu i kiełbasy. Doszedł do wniosku, że aby uniknąć żalostnego widoku Nigela Bathe'a po drugiej stronie stołu, najlepiej będzie pochylić się nad talerzem.

Usiadł.

– No cóż – rzucił Feliks od niechcenia. – Zapowiada się przyjemny dzień. – Odwrócił się na krzesło i wyciągnął szyję, żeby wyjrzeć przez okno. Rzeczywistość potwierdzała jego słowa. Trawnik lśnił w promieniach słońca, woda w stawach miała niebieski odcień, tylko po niebie sunęło kilka opieszalych chmur.

Obok jego talerza leżały trzy listy. Katalog z księgarni, potwierdzenie wizyty u optyka i jeden list bez stempla w zwykłej, białej kopercie. Od razu rozpoznał charakter pisma Charis i marszcząc z zaciekawienia brwi, otworzył kopertę. Nikt nie zwracał na niego uwagi. Przeczytał kartkę.

- O Boże! – powiedział wzburzonym głosem i podniósł się z krzesła.
- F e l i k s i e ! – zawołały jednocześnie Cressida i Eustacja.

Wpychając list do kieszeni, wybiegł z jadalni. Wypadł na dwór, puścił się pędem przez, trawnik skąpany w słońcu, obcasy zapadały się głęboko w wilgotną od rosy darń. Przeskoczył przez bramkę, pośliznął się w błocie, przewrócił. Wstał szybko z ziemi i z bijącym sercem pognął przez las w kierunku domu Charis. Tylne drzwi były zamknięte. Pobiegł do frontowych i wpadł do środka. Od razu poznał, że nie ma nikogo. Stał w małej bawialni, spoglądał na ruszt kominka, na popiół z ubiegłego wieczoru. Czy jego przesunęły się niespokojnie po kanapie, zobaczył, że sekretarzyk jest otwarty.

Poszedł na górę. Łóżko było nie tknięte. Otworzył szafę. Pełno w niej było ubrań. Na komodzie ujrzał fotografię Gabriela. Silnie zarysowana, kwadratowa twarz, szczery uśmiech. Poczul nagle niezwykle wzburzenie, ze ściśniętym sercem uświadomił sobie, czego się z Charis dopuścili. Przyszły mu na myśl słowa listu: „Wszystko wyznałam Gabrielowi.”

Usiadł na łóżku, przetarł oczy. Umysł odmawiał mu posłuszeństwa. Feliks zdał sobie sprawę, że jedna nogawka spodni, rękaw i lewa ręka oblepione są grubą warstwą błota. Wstał. Na narzucie łóżka pozostawił plamy i brud.

Niepewnym krokiem zszedł po schodach. Zastanów się, powiedział sobie, z a s t a n ó w s i ę . Wyglądało na to, że wyszła z domu i nic ze sobą nie zabrała. Żadnych ubrań ani walizki... Starał się nie dopuszczać jednej myśli, która uporczywie wracała.

Nie Charis, powiedział sobie. Ona nie zrobiłaby tego. Poczucie własnej odpowiedzialności, które tłumił przez tyle miesięcy, dało o sobie znać z całą siłą. Usiadł na ostatnim stopniu, cały drżący. Poklepał się po kieszeniach w poszukiwaniu papierosa, ale przypomniał sobie, że zostawił papierosnicę u siebie w pokoju.

Dźwignął się na nogi. Należy powiadomić policję. Być może ogarnięta nagle paniką pojechała do ciotki Bedelii? Brzmiało to wiarygodnie. Ale co się stało? – zadawał sobie pytanie. Dlaczego miałyby to robić? Dlaczego teraz? Powiedziała, że ostatnio nie czuje się dobrze, może to jest przyczyną wyjazdu. Wziął pod uwagę jeszcze kilka możliwości. Co znaczy jednak jej krótki list? Wyciągnął go z kieszeni i rozpostarł na kolanie. Był tak lapidarny i nieodwołalny. Niemał wrogi. Dlaczego jednak napisała i do Gabriela? Ten nowy szczegół przyprawił go o zawrót głowy. Poczul, jak krew uderza mu do skroni, z trudnością przełykał ślinę. Zbierało mu się na wymioty. Przyłożył dłoń do ust, oparł się o ścianę, żeby nie upaść. W ustach miał pełno śliny, jakby gęstej cieczy.

Nagle odepchnął się od ściany i wybiegł z domu. Z powrotem przez las, przez bramkę, skrajem trawnika do stawów rybnych. Na tarasie zobaczył podnieconą matkę i Cressidę. Ujrzawszy go, zawołały po imieniu, ale nie zwracał na nie uwagi.

Przeskakiwał stopnie schodów, biegnąc do ławki przy środkowym stawie. Z początku odczuł niezmierną ulgę na widok pustej, błyszczącej powierzchni wody. Lilie, trzcina, ozdobne sitowie, jak zwykle w blasku słońca, nieruchome. Stał zdyszany na brzegu i starał się coś dojrzeć mimo oślepiającego blasku słońca. Nic nie dostrzegł. Karpie, zwabione jego cieniem, zaczęły wypływać z głębin spodziewając się pożywienia. Woda zawrzała od ryb, które kłębiły się, falowały, ich grube wargi i otwarte pyski szukały na powierzchni jedzenia.

– Przekłête, cholerne ryby! – zaklął. Odwrócił się po kamień, żeby je odegnąć.

Wtedy zobaczył postument. Zniknęło marmurowe popiersie cesarza Witeliusza.

Feliks zrzucił buty, ściągnął spiesznie marynarkę. Matka i Cressida doszły już do pierwszego stawu i unosząc spódnice niezdarnie schodziły po szerokich schodach.

– Feliksie! – zawołała pełnym niepokoju głosem matka. – Kochanie, co się stało? Coś złego?

Nie zwracał na nie uwagi. Wskoczył do wody. Staw był głęboki, dwa i pół metra, może więcej, woda bardzo zimna. Siłą rozpędu opadł na dno, czuł ucisk w uszach i doszedł go słaby krzyk matki. Otworzył oczy, wymachiwał zapamiętane rękami, żeby utrzymać się na dnie. W otaczającym go mroku wyczuł, że karpie uciekają do swoich kryjówek.

Wtem jedna z wymachujących rąk dotknęła czegoś miękkiego. Obrócił się. Ciało Charis spoczywało tuż obok. Szukał zbyt daleko. Leżała w pozycji jak do nurkowania lub jak ciężarek pionu, stopy falowały na górze, głowa zaś, skierowana w dół, znajdowała się w groteskowej bliskości popiersia cesarza Witeliusza.

Feliks czuł, że płuca mu zaraz pękną, ale podpłynął bliżej. Szyję miała okręconą sznurem, a jego końce były oplecione i zawiązane na wiele supłów wokół marmurowej głowy. Przez nadpływającą zmętniała wodę zobaczył, że Charis ma oczy i usta otwarte, twarz odprężoną, bez wyrazu. Włosy puszczone luźno poruszały się jak wodorosty dokoła jej twarzy, unoszone przez wodę, która falowała wprawiana w ruch przez jego ręce, torujące sobie drogę na powierzchnię stawu.

ROZDZIAŁ OSIEMNASTY

1 LIPCA 1916 ROKU
SEVENOAKS, KENT

– Przywiązała się za szyję do popiersia. Wystarczyło jej siły akurat na tyle, żeby dźwignąć je z postumentu, przejść dwa kroki nad brzeg stawu i rzucić się do wody. Ciężar popiersia pociągnął ją od razu na samo dno.

Feliks przerwał i wyjął z papierošnicy następnego papierosa.

– Zawiązała dużo supłów. Nawet gdyby chciała się wyswobodzić z więzów, nie mogła. Nie miała odwrotu.

Feliks zapalił papierosa. Siedział z doktorem Venablesem w barze hotelowym niedaleko sądu okręgowego w Sevenoaks, gdzie przeprowadzano śledztwo. Doktor Venables został także wezwany do złożenia zeznań jako osoba, która dokonała sekcji zwłok denatki. Feliks był jedynym członkiem rodziny Cobbów obecnym na przesłuchaniu. Wciąż jeszcze był rozgorączkowany i podniecony z powodu wszystkich swoich kłamstw.

Śledztwo stanowiło zwykłą formalność. Feliks podał zmyšloną historię. Powiedział, że zgubił list w popłochu i zamieszaniu. Charis napisała, zapewnił uroczyście, że ma zamiar odejść. Bez podania powodów. Konstabl z policji w Ashurst odczytał wersję wypadków przedstawioną przez Feliksa, a potem wezwano doktora Venablesa, żeby potwierdził przyczynę zgonu.

– Tragiczny wypadek – zakończył urzędnik sądowy. – Pani Cobb jest tak samo ofiarą wojny, jak nasi młodzi chłopcy, którzy zginęli we Francji.

Potem doktor Venables zaprosił Feliksa na orzeźwiającego drinka. Ten powiedział, że nie ma ochoty, ale doktor bardzo nalegał. Siedzieli teraz naprzeciwko siebie, nienaturalnie ciemne włosy Venablesa błyszcząły przygnębiająco w mroczkach baru. Kiedy Feliks mówił, doktor pociągał regularnie za koniuszki uszu.

Feliksa dręczył niepokój. Przez kilka ostatnich dni żył na pograniczu załamania nerwowego. Wyrzucał sobie gorzko przerażający egoizm i brak dalekowzroczności. Przytłaczał go ciężar winy. Jej śmierć wywołała w nim uczucie obezwładniającego, głuchego gniewu. Ale gdzieś głębiej, niczym jakiś głos w ušpionym domu, nie dawał mu spokoju inny problem.

Starał się zająć myśli śmiercią Charis, niepowetowaną stratą, w nadziei, że żal uwolni go lub też zagłuszy rodzące się wątpliwości i przytłaczające poczucie winy. Mimo największych wysiłków, mimo czynionych sobie wyrzutów, Feliks dręczył się podczas bezsennych nocy tym, co zostawiła po sobie Charis.

List. List do Gabriela. Co, na miłość boską, opętało ją, by go wysłać? Było mu ogromnie wstyd i tylko o tym mógł myśleć. Czuł pogardę i potępienie dla swego głęboko zakorzonego instynktu samozachowawczego. Mógł żyć z poczuciem winy – pod warunkiem, że stanowiła jego wyłączną tajemnicę. Przeraziła go i przytłaczała całkowicie myśl o tym, że Gabriel dowie się kiedyś o Charis i o nim – sprawiała, że stawał się słaby i drżący.

Zatelefonował do Henry'ego Hyamsa w Ministerstwie Wojny pod pretekstem, że chciałby wiedzieć, jak najlepiej przekazać Gabrielowi wiadomość o śmierci Charis. Czy listy, zapytał, w ogóle dochodzą? Istnieje duża szansa, że tak, odparł Hyams, chociaż list będzie szedł całe miesiące, a teraz, kiedy armia brytyjska posunęła się daleko w głąb Niemieckiej Afryki Wschodniej, naprawdę trudno coś powiedzieć.

Była to zarówno dobra, jak i zła wiadomość. Oczywiście istniało prawdopodobieństwo, że nic się nie stanie. Kto wie, co może się zdarzyć i zatrzymać list w tak niebezpiecznej drodze? Ale, z drugiej strony, Hyams dawał do zrozumienia, że niektóre listy dochodzą... Feliks zmusił się, by o tym nie myśleć. Obrzydzenie, jakie czuł do siebie, sprawiło, że nerwowo drgał mu policzek.

Wyszczył brandy z wodą sodową. Doktor Venables zamówił następną.

Feliks przyglądał się jego rysom hermafrodyty. Doktor miał bardzo posępną i poważną minę.

– Potworna historia – powiedział. – Taka urocza dziewczyna. Wiesz, bardzo ją polubiłem od czasu naszej wspólnej pracy.

– Wiem.

– Nie mogę tylko zrozumieć jednej rzeczy.

– Dlaczego to zrobiła?

– Nic, bynajmniej.

– A więc jakiej?

– Dlaczego napisała do c i e b i e? Mam nadzieję, że nie weźmiesz mi za złe tego pytania.

Feliks uniósł wzrok, przestraszony. Zgasił papierosa, jego umysł pracował na przyspieszonych obrotach.

– Zaprzyjaźniliśmy się – odparł wolno. – Do pewnego stopnia, to znaczy – odchrząknął – od czasu, gdy Gabriel dostał się do niewoli.

– Co było w jej liście?

– No cóż, o ile dobrze pamiętam, dokładnie to, co powiedziałem sędziemu, że, hm, ma zamiar odejść i że przeprasza.

– Czy takich właśnie użyła słów?

– Chyba tak. Szczerze mówiąc, nie przypominam sobie dokładnie. Taki był ogólny sens. Doznałem wtedy ogromnego wstrząsu.

– Właśnie, właśnie!

– Wszędzie szukałem tego listu – Feliks pociągnął łyk brandy. – Biegłem przez las jak szalony. Być może, jak dawałem nurka do wody... – nie dokończył zdania. Do czego zmierza Venables?

– To następna sprawa.

– Co?

– Dlaczego pobiegłeś prosto do stawu. Tego stawu.

– Nie pobiegłem tam od razu. Najpierw udałem się do jej domu.

– Kiedy jednak okazał się pusty...

– Wtedy dopiero tam pobiegłem.

– Dlaczego?

– Miało to związek z tym, co kiedyś powiedziała. Nagle przypomniałem sobie jej słowa. Było to jej ulubione miejsce. Często siadywaliśmy tam na ławce i rozmawialiśmy. Miałem jakieś przeczucie. Nie wiem. Nie potrafię tego wytłumaczyć.

Doktor Venables pochylił się do przodu. Złączył czubki palców i spojrzał na swe duże białe dłonie. Feliks również się w nie wpatrywał. Spostrzegł, że są zupełnie pozbawione owłosienia.

– Feliksie, pragnę cię o coś spytać – rzekł doktor. – I żądam uczciwej odpowiedzi. Zależnie od tego, co mi powiesz, udzielę ci pewnej informacji.

Czy wyrażam się jasno?

– Tak. – Feliks rozejrzał się po lokalu. Było prawie pusto, cicho. Takie zachowanie było nietypowe dla Venablesa.

– Chcę całkowitej szczerości.

– Oczywiście. – Feliks poczuł lekki zawrót głowy.

– Muszę cię o to zapytać. Czy ty i Charis mieliście ze sobą romans?

– Co?

– Słyszałeś. Czy ty i Charis mieliście ze sobą romans?

– Nie.

Doktor pochwycił jego wzrok. Pytanie zostało powtórzone telepatycznie.

– Nie – powtórzył Feliks. Z trudem zdobył się na ogromny wysiłek, by wytrzymać ten wzrok.

– Nie romansowaliście ze sobą.

– Zgadza się.

Napięcie Venablesa jakby lekko zelżało.

– Proszę wobec tego pozwolić mi na inne pytanie. Nie orientujesz się, czy Charis miała romans z innym mężczyzną?

– Z innym mężczyzną? – Feliks czuł, że głowa mu pęka od nurtujących go pytań. Do czego Venables zmierza? – Nie – odparł. – O ile mi wiadomo, nie.

– Rozumiem. – Doktor położył ręce na stole. – Dziękuję. Musiałem o to zapytać.

W umyśle Feliksa roilo się od strasznych podejrzeń.

– Dlaczego pana zdaniem, miała... nawiązała, hm, romans?

– Po prostu szukam jakiejś przyczyny. – Spojrzenie doktora wyrażało szczerą zaniaróów. – Próbuję znaleźć wytłumaczenie.

Palce Feliksa dotknęły lekko ust, brody, nosa, jakby po raz pierwszy odkrywał swe rysy. Wstał i powiedział niezwykle oficjalnie:

– Czy pozwoli pan, że zaczerpnę świeżego powietrza?

Venables odsunął krzesło, chcąc go przepuścić.

Na ulicach panował ruch. Po lewej stronie hotelu trąbiły samochody wjeżdżające w ostry zakręt. Bosonogi chłopak pchał wózek z kapustą, gwizdał głośno i tocząc po bruku z hałasem swój ładunek skręcił w boczną uliczkę prowadzącą do hotelowej kuchni. Feliks stał na małym żwirowym dziedzińcu przed hotelem, z rękami głęboko w kieszeniach. Przez chwilę przyglądał się ruchowi ulicznemu i przechodniom.

Wrócił do baru, usiadł.

– Powiedział pan – zaczął, starannie dobierając słowa – że w zależności od mojej odpowiedzi udzieli mi pan pewnej informacji. Co to za informacja?

– Teraz nie ma to już znaczenia – odparł Venables. – Dałeś właściwą odpowiedź.

– A gdybym dał inną?

– Ale nie dałeś.

– Tak. – Feliks spojrział na Venablesa. Czy on wie? Czy zgaduje? Co go skłoniło, by zadać teraz to pytanie?

– Należy skończyć z dalszymi domysłami – powiedział doktor. – Ta rozmowa nie powinna wyjść poza bar. Nie powinno się już do niej wracać. Nie ma sensu – jak to powiedzieć – przysparzać niepotrzebnie cierpienie twojej rodzinie. Chyba zgodzisz się, że w Stackpole jest wystarczająco dużo kłopotów.

– Tak – odparł Feliks – ma pan rację.

Nieuchwytna jak piskorz, nie sprecyzowana do końca myśl przemknęła przez jego umysł. Coś ją tłumilo. Inne, bardziej atawistyczne impulsy wzbraniały jej dostępu. Pozwolił, by się oddaliła. Ugrzecznione, sztywne rysy twarzy Venablesa nie zdradzały żadnych myśli.

– Może podwieźć cię do domu? – spytał doktor. – Samochód zostawiłem przy sądzie.

– Nie, dziękuję – odparł Feliks. – Mam bilet powrotny na pociąg.

Wyszli z baru na ulicę. Gdzieś na tyłach hotelu wciąż jeszcze gwizdał syn straganiarza.

– Szczęśliwy – zauważył doktor Venables ze smutnym uśmiechem. – W tych czasach niewiele z nas ma powody do radości. – Wyciągnął dłoń na pożegnanie. – No cóż, Feliksie. Pamiętaj, co powiedziałem.

Feliks uściskał podaną rękę.

– Będę pamiętał.

– I gdybyś chciał kiedyś porozmawiać, proszę mnie odwiedzić. Nasze dyskusje zawsze sprawiały mi przyjemność.

– Oczywiście – odparł Feliks.

Doktor Venables trzymał w mocnym uścisku jego rękę.

– Jakie masz teraz plany? – Pytanie wydawało się na pozór niewinne, ale Feliks zdał sobie sprawę, że przeciwnik jest niebezpieczny.

Postanowił zdobyć się na równie niewinną odpowiedź.

– Pojadę pociągiem prosto do domu.

– Nie o to pytałem. O przyszłość. Co masz zamiar ze sobą zrobić?

Feliks już wcześniej rozważał tę kwestię. Powziął pewną decyzję.

– Sam się nad tym zastanawiam, doktorze. – Wiedział, co zrobi, ale nie zamierzał wtajemniczać Venablesa. – Niestety, nie umiem teraz na to odpowiedzieć.

Część trzecia

JAK LODY W SŁOŃCU

ROZDZIAŁ PIERWSZY

25 STYCZNIA 1917 ROKU

DAR ES-SALAM, NIEMIECKA AFRYKA WSCHODNIA

Feliks spoglądał ponad relingiem „Hong Wang II”, trampa z chińską załogą, który wiózł go wolno wzdłuż wybrzeża z Durbanu do przepięknego portu Dar es-Salam. Rozszerzający się krąg zatoki, białe budynki rozsiane po gajach manguowych i palmowych, bezchmurne afrykańskie niebo urzekały urodą. Tylko ruiny gubernatorskiego pałacu na cyplu i wrak zatopionego niemieckiego frachtowca tkwiący na mieliźnie zakłócały atmosferę ciszy i spokoju, którą emanował krajobraz.

Feliks spojrział na swe szorty i owijacze w kolorze khaki i wyczyszczone brązowe buty. Nadal czuł się głupio w mundurze. Poza tym dziwiło go ogromnie, że jest podporucznikiem w pułku złożonym z tubylców, z którymi miał się dopiero spotkać. Nie była to zupełna prawda, gdyż jednostka pułku płynęła razem z nim parowcem „Hong Wang II”. Na przednim pokładzie przygotowywała się do zejścia na ląd złożona z czterech dział bateria górską Brygady Nigeryjskiej. Byli to maruderzy dużego zachodnioafrykańskiego kontyngentu, którzy przybyli do Afryki Wschodniej około miesiąca wcześniej. Batalion Feliksa, piąty, wchodzący w skład tej brygady, przebywał już w okopach na linii frontu w górnym biegu rzeki Rufidzi.

„Hong Wang II” rzucił kotwicę pośrodku zatoki. Wkrótce Feliks, mając przy sobie ekwipunek, płynął szalupą wraz z angielskimi oficerami i podoficerami górskiej baterii do jednego z licznych drewnianych mol, które wyrastały z lądu.

Jego ekwipunek wyładowano i ułożono w stosie na ziemi. Feliks przeciągnął się i przytupnął. Dokoła wrzała portowa krzątanka, słychać było nawoływania riksarzy, zgrzyt i hałas dźwigów, portowych. W powietrzu unosił się zapach śmieci i owoców, śniętych ryb i zwierzęcych odchodów. Popołudniowe słońce chyliło się ku ziemi, ale nadal prażyło z taką siłą, że Feliks czuł, jak ociera go nowy mundur. Radość rozsadzała mu piersi.

Gdzieś w tym kraju przebywa w niewoli Gabriel. Może ich dzielić zaledwie ponad tysiąc kilometrów. Z tego, co mówią, wojna skończy się w ciągu paru miesięcy, bo Niemcy są naprawdę w odwrocie. Był pewien, że wkrótce on i Gabriel znów będą razem i wszystko się wyjaśni. Przez chwilę upajała go myśl o tym, jak ważna i wspaniała jest rola, którą ma odegrać. Teraz, po przybyciu do Afryki, mógł dopiero powiedzieć, iż naprawdę zaczęło się poszukiwanie.

Oficer do zleceń, w randze kapitana, zbliżył się do oficerów z baterii górskiej i przekazał im instrukcje. Feliks pokazał mu swój przydział.

– Kibongo – powiedział kapitan. – Uhm. – Przerwał. – 5 Batalion Brygady Nigeryjskiej... Aha. Mmm.

Jąkał się jak uczeń nie znający odpowiedzi na pytanie.

– Coś panu powiem – rzekł. – Na stacji kolejowej jest oficer służby etapów. On będzie wiedział. Sądzę, że dowództwo Brygady Nigeryjskiej mieści się w Morogoro. Poślę boya po pański ekwipunek. Tak, pojedzie pan do Morogoro.

*

– Nie, pan musi jechać do Sogi – powiedział oficer służby etapów. – Po tem dodał: – Tak sądzą. W każdym razie proszę wysiąść w miejscowości Soga. Prawdopodobnie wyślą kogoś po pana. Proszę poczekać, przyślę boya, żeby załadował do pociągu pański ekwipunek. Proszę pamiętać. Soga.

Feliks znalazł przedział i przyglądał się, jak boy ładuje jego rzeczy. Stopniowo zostały także zajęte pozostałe miejsca, przedział zapełnił się oficerami z Pułku Indyjskiego. Kilku z nich słyszało o Brygadzie Nigeryjskiej, ale nie wiedzieli, gdzie leży Kibongo. Kazali mu wysiąść w Mikesse, a nie w Sodze.

Feliks usiadł wygodnie i starał się odprężyć. Zdążył się przyzwyczaić do takiego bałaganu w wojsku. Był zdumiony, że w ogóle istnieje w tych warunkach jakaś organizacja. Otrzymał pisemny rozkaz, to wystarczy: za jakiś czas znajdzie swój batalion.

W zaduchu i upale małego przedziału obserwował, jak zachodzące słońce staje się pomarańczowe i znika za budynkami warsztatów kolejowych. Zanim pociąg, szarpiąc, ruszył w drogę, nastąpiła dalsza godzina zwłoki. W zapadającym, krótkim zmroku Feliks zobaczył za miastem gaje palm kokosowych, a wśród nich okazałe, solidne domy z kamienia.

Dwudziestego piątego stycznia 1917 roku minęło prawie sześć miesięcy od czasu, jak wprowadził w życie swój plan, w wyniku czego siedzi teraz w pociągu transportującym wojsko, który przemierza wolno podbitą przez Anglików Niemiecką Afrykę Wschodnią.

W tydzień po pogrzebie Charis – pełnej napięcia, przygnębiającej uroczystości – Feliks pojechał do Londynu, do swego szwagra, podpułkownika Henry'ego Hyamsa, który pracował w Komitecie Obrony Imperium Brytyjskiego.

Hyams zdumiał się na jego widok i w krótkich słowach wyraził współczucie z powodu samobójstwa Charis.

– Nieprzyjemna sprawa, Feliksie. Okropny wstyd. Biedna dziewczyna. – Zmarszczył brwi. – Przypuszczam, że nie mogła tego dłużej wytrzymać. Niewola Gabriela, cała ta okropna sytuacja.

Po wymianie kilku dalszych krępujących zdań na ten temat Feliks oświadczył, że pragnie otrzymać skierowanie do jakiegokolwiek jednostki Armii Brytyjskiej walczącej w Afryce Wschodniej. Henry Hyams nie pytał o przyczynę tej decyzji, prośba Feliksa musiała mu się wydać zrozumiała, płynąca z chwalebnych i logicznych pobudek – poczucia obowiązku i pragnienia honorowej zemsty. Zdaniem Hyamsa wcześniejsza odmowna decyzja biura werbunkowego w sprawie Feliksa nie miała teraz znaczenia. Wtedy był rok 1914, przypomniawszy Henry, kiedy to – bez obrazy – brali do wojska tylko najlepszych. Teraz nie mogli sobie pozwolić na takie grymasy. Zapisał coś na bloczku papieru i sprawdził w kartotece.

– Afryka Wschodnia, Afryka Wschodnia. Pułki brytyjskie. Rozumiem, że nie masz ochoty wojować w towarzystwie łagodnych Hindusów.

– Nie, to musi być pułk brytyjski – potwierdził Feliks.

– Mamy 2 Batalion Lojalnych Północnych Lancasterczyków i 25 – Królewskich Strzelców. „Legion z Pogranicza”. To chyba dzielni chłopcy.

– Tak. Strzał w dziesiątkę.

– Otóż to – Hyams rozpromienił się, pewny siebie. – Wszystko załatwię. Zostaw to mnie.

Dwa tygodnie później Feliks został powiadomiony telegraficznie, do którego Oficerskiego Obozu Szkoleniowego ma się zgłosić. Spojrzał z niedowierzaniem na adres: Kable College, Oksford. Przez następne trzy miesiące znów przebywał w Oksfordzie; mieszkał w pokrytym sadzą okazałym budynku z czerwonej cegły, w towarzystwie dwustu innych młodych mężczyzn, przyszłych oficerów. Pod koniec lata 1916 roku, gdy natarcie wzdłuż Sommy znalazło się w impasie, instruowano go, jak dowodzić ludźmi, bez końca odbywał musztrę w parkach uniwersyteckich, strzelał z karabinu do tarczy w Wolvercote, a na gładkich, równych polach Port Meadow odbywał ćwiczenia musztry bojowej. Przystępował z energią do wykonania wszystkich tych przykrych obowiązków, postanawiając bez namysłu, że musi spisywać się dzielnie, aby nic nie stanęło na przeszkodzie w wypełnieniu zadania, które sobie postawił. W rzeczywistości sam nie wiedział dokładnie, na czym owo zadanie ma polegać. Zrodziło się z mieszanych uczuć: ogromnego poczucia winy, niejasnej chęci oczyszczenia się i zwykłej, lecz przemożnej potrzeby jakiegokolwiek działania. Idea poszukiwania, odnalezienia Gabriela dotarła do niego później. Za najlepszą dla siebie karę uznał skupienie myśli na Gabrielu, na ich ostatecznym spotkaniu, i wymazanie z pamięci Charis.

Tak minęły miesiące szkolenia – przeprowadzonego pośpiesznie i niezbyt skutecznego – Feliks stwierdził, że zamiast żalu i melancholii odczuwa głównie potworną nudę, samotność i niewygodę. W dniu, kiedy przydzielono im stanowiska, stanął w grupie kolegów przy tablicy ogłoszeń wiszącej przed portiernią college'u i wraz z innymi kadetami szukał swego nazwiska.

Cobb. F. R... – czy błyskawicznie prześliznęły się dalej – 5 bn Bryg. Nigeryjska. Niemiecka Afryka Wschodnia. Brygada Nigeryjska? Co to za jedni? Koledzy, oficerowie, współczuli mu z tego powodu. Gdzie jest Nigeria? – spytał któryś z nich. Feliks musiał iść i sprawdzić w atlasie.

– Przykro mi, bracie – powiedział Henry Hyams, kiedy Feliks poprosił o przeniesienie. – Nie da rady. – Brygada akurat się formowała, wyjaśnił. Była to jedyna jednostka mająca walczyć na froncie wschodnioafrykańskim, która potrzebowała oficerów i podoficerów angielskich. – Głowa do góry, Feliksie – dodał trochę urażony. – Będiesz przynajmniej w Afryce Wschodniej. Takie przeniesienia to cholernie śliska sprawa, rozumiesz. Potrzebują ludzi do Francji.

*

Przez okno przedziału Feliks wpatrywał się w afrykańską noc. Jak tam jest? Pociąg włócił się niemrawo, za każdym razem, kiedy zbliżał się do najmniejszych nawet zakrętów, zwalniał do dziesięciu kilometrów na godzinę. Wszyscy oficerowie Armii Indyjskiej pogrążeni byli we śnie, jeden z nich cicho chrapał. Ktoś zbyt mocno przykręcił lampę naftową i nie można było czytać. Feliks przetarł oczy. Gdzieś w plecaku miał schowaną nadmuchiwaną poduszkę, która ulżyłaby jego pośladkom zeszywniałym i obolałym od twardych drewnianych ławek, zbudziłby jednak cały przedział, gdyby chciał ją wyciągnąć.

Pociąg toczył się leniwie, ale niezmiennie naprzód. Czasami bez widocznego powodu zatrzymywał się w ciemności. Monotonię podróży przerywały na krótko postoje na małych stacjach, z nazwami takimi jak Pugu, Kisamine, Soga – w celu uzupełnienia paliwa i wody.

W Sodze udało się Feliksowi wydostać z przedziału, zeskoczył więc na ziemię, by rozprostować nogi. Noc była ciepła, bardzo ciemna, chmury zakrywały księżyc i gwiazdy. Dokoła rozbrzmiewało nieustępliwe cykanie świerszczy – przenikliwie, mechanicznie. Feliks wzdrygnął się lekko. W powietrzu unosił się dziwny, osobliwie odurzający zapach stęchlizny, jaki czasami wypełnia stare szopy lub niewietrzone zakurzone strychy. Feliks wciągnął głęboko powietrze. Poczul ogarniające go nagle nerwowe podniecenie.

Małą, pękatą lokomotywę napełniano wodą, po torach rozchodził się cichy syk wydobywającej się pary. Feliks obserwował ludzi wyskakujących z przedziałów osobowych i wagonów bydłych, przeznaczonych dla tubylczych żołnierzy. Widział, jak niektórzy załatwiają naturalne potrzeby; odszedł kilka kroków, żeby zrobić to samo. Stwierdził, że stoi w ostrej, sięgającej kolan trawie. Przed sobą widział tylko ciemną linię drzew i zarośli. Strumień moczu uciszył świerszcze wokół jego stóp. Znów wstrząsnął nim dreszcz, podniecenie minęło, ogarnął go teraz dojmujący lęk. Kiedy zapinał rozporek, przyszło mu na myśl, że nieprzenikniona, pulsująca dokoła ciemność może dawać schronienie wszelkiego rodzaju dzikim zwierzętom. Lwom, lampartom, węzom i innym drapieżnikom. Wdrapał się spiesznie po stopniach wagonu. Znajduje się w Afryce, przypomniał sobie, a nic na byle wiejskiej drodze.

*

Było prawie południe, kiedy pociąg wojskowy wtoczył się do Mikesse. Oficerowie Armii Indyjskiej usłużnie zrzucili Feliksowi plecak – postawił go obok szyn. Nieco zaniepokojony stwierdził, że jest jedyną osobą wysiadającą na stacji. Pociąg nie stał długo. Morogoro, w którym był sztab generała Smutsa, znajdowało się o pięćdziesiąt kilometrów stąd. Wszyscy tam chyba jechali.

Feliks rozejrzał się dookoła. Niczym nie wyróżniająca się stacja kolejowa bez peronów, z szynami ułożonymi na ubitej czerwonej ziemi. W oddali rysowało się ciemniejsze pasmo gęsto zalesionych, wysokich gór. Pod rozłożystymi drzewami, które rzucały cień, stały gdzieś pojazdy mechaniczne, tragarze drzemali lub krążyli wokół stacji bez celu. W powietrzu czuć było wilgoć. Po niebie ciągnęły na północ zwały szarych chmur przypominających kształtem kontynenty. Feliks miał już ruszyć na poszukiwanie kogoś do pomocy, kiedy z budynku stacji wyłonił się niski biały mężczyzna w mundurze khaki. Zauważył Feliksa i podszedł do niego. Miał schludny, zadbany wygląd, nieproporcjonalnie dużą głowę. Feliks dostrzegł na rękawie dystynkcję sierżanta; przeniósł wzrok na szeroką, chropowatą, jakby z grubsza ociosaną twarz, zupełnie pozbawioną wyrazu. Przypominała model rzeźby, któremu jeszcze nie nadano szlachetniejszych, delikatniejszych rysów. Człowiek ten miał najgęściejszy zarost, jaki Feliks dotąd widział.

Sierżant był najwyraźniej świeżo ogolony – cała szczeka połyskiwała niebieskoczarnym zarostem, który zaczynał się tuż pod powiekami.

– Porucznik Cobb? – spytał.

Mówił z bardzo silnym, ale wyraźnym szkockim akcentem. Prawdopodobnie pochodził z Aberdeen lub Inverness.

- Zgadza się. Czy jesteście z 5 batalionu?
- Tak, panie poruczniku. Sierżant Gilzean.

Potem powiedział coś, czego Feliks nie zrozumiał.

- Słucham? – spytał Feliks.

– Powiedziałem „*Fegs it's a bauch day*”*, panie poruczniku – powtórzył Gilzean cierpliwie, jakby nawykł do ciągłego powtarzania. – Zaraz się dowiem, czy te lenie-tragarze zajmą się pańskim ekwipunkiem.

* Faktycznie, co za nieprzyjemny dzień (mieszanka słów szkockich i angielskich).

- Doskonale.

Wezwał mężczyzn siedzących pod drzewami – zabrali plecak Feliksa na drugą stronę budynku stacji i umieścili z tyłu zakurzonego Forda.

- Dokąd jedziemy?
- Do Kibongo, panie poruczniku. Południowy brzeg Rufidzi.
- Jak daleko stąd leży Kibongo?
- Coś ze dwieście kilometrów.
- O Boże!

Podskakując na wybojach jechali drogą prowadzącą od stacji w głąb łądu, minęli sporą tubylczą wioskę i rozległą bazę transportową. Skrzynki i worki tworzyły stos wysokości sześciu metrów. Samochody ciężarowe i tuziny Fordów podobnych do tego, którym jechali, stały zaparkowane w długich szeregach. Pod sklepieniem z palmowych liści mieściły się prowizoryczne warsztaty mechaniczne i naprawcze. Na wzgórzu stał obszerny dom z kamienia, na którym powiewała Haga Czerwonego Krzyża. Minęła ich rozciągnięta kolumna bosonogich afrykańskich żołnierzy w zielonych filcowych fezach i trzepocących szortach khaki.

- Nie ma tu angielskiego wojska?

– Niewiele – odparł Gilzean. – Ale wszyscy chorują. *Peely-wally lot*, ** ci Anglicy, wie pan. To są Południowoafrykanie. Przekona się pan, że jesteśmy tu *unco fremt haufins*. ***

** Delikatne nicponie (szk. i ang.).

*** Najprzedziwniejszą zbieraniną (szk.).

– Aha – odparł Feliks. – Chyba tak. – Ten człowiek równie dobrze mógł mówić po starogrecku, pomyślał.

Jechali dalej, wzbijając za sobą tumany kurzu. Minęli duży obóz z rozbitymi namiotami i wyprzedzili tragarzy, idących w dużych odstępach z ładunkami na głowach. Feliksowi udało się wy dobyć od Gilzeana wiadomość, że Mikesse to jedyne centrum zaopatrzenia dla oddziałów frontowych walczących nad brzegiem Rufidzi, w odległości dwustu kilometrów na południe. Minęli wzgórza otaczające miasteczko i jechali przez piękny pofałdowany teren porośnięty gęsto drzewami, gdzie na każdym zboczach widać było wioskę tubylców. Potem zaczęli jechać wolno w dół, w kierunku rzadkiego lasu.

Różnorodne gatunki drzew były rozrzucone w znacznej odległości, a między nimi ziemię porastała płatanina ciernistych krzaków. Trakt został niedawno poszerzony, o czym świadczyły sterty świeżo ściętej roślinności i sporadycznie napotymane grupy pionierów i saperów wyrównujących głębokie koleiny bądź wzmacniających liczne małe mostki.

Chmury, które Feliks dostrzegł na stacji, pokryły teraz całe niebo, przepuszczały przyćmione, ponure światło.

– Znosi się na deszcz – zauważył Feliks.

– Zdrowo nas pokropi dziś w nocy – powiedział Gilzean, a potem dorzucił:

– Pora deszczowa. Walki ustaną w czasie deszczów.

– Byliście świadkiem jakiejś walki? – Feliks próbował zadać pytanie zdawkowym tonem.

– Od miesiąca szwendamy się po dżungli. *Fankled here, fankled there. Fair scunnert, but, eh, neither buff nor stye, ye ken.* *

* Tu tarapaty, tam tarapaty. Obrzydliwość, ale cóż, ani bitki, ani wypitki, wie pan (szk. i ang.).

– Aha, od około dwóch miesięcy – rzekł Feliks.

*

Po pięciu godzinach jazdy po wybojach przez rzadki las dotarli do następnego obozu. Feliks zdał sobie sprawę, że porusza się wzdłuż tego, co znał dotychczas jako „linie komunikacyjne” – jak dotąd przebyli krótki ich odcinek. W nowym obozie podano Feliksowi gorący posiłek w kasynie dla oficerów służby transportowej i przydzielono łóżko polowe w kącie obszernego pustego namiotu. Znalazł tu także kogoś, kto w zrozumiałym języku mógł wyjaśnić, jaka jest bieżąca sytuacja.

Od chwili inwazji na Niemiecką Afrykę Wschodnią w pobliżu Kilimandżaro, w marcu 1916 roku, Niemcy byli stale spychani na południe, tak że obecnie zajmowali tylko jedną trzecią dawnej kolonii. Cofali się na południe od Rufidzi. Na tyłach mieli rzekę Ruvumę, która stanowiła granicę z Portugalską Afryką Wschodnią. Rufidzi, wyjaśnił Feliksowi jego informator, to ogromna szeroko rozlana rzeka, która dzieli kolonię z grubsza na pół. Gdy von Lettow-Vorbeck został wyparty z terenów wokół Kolei Północnej, zaczął się stopniowo wycofywać w kierunku Kolei Centralnej (którą Feliks podróżował minionej nocy), choć nadal zaciekle atakował. W obliczu zagrożenia przez wojska Smutsa unikał decydującej bitwy na tym froncie i zarządził odwrót za następną naturalną linię defensywną, rzekę Rufidzi. Tutaj front się zatrzymał z powodu nadchodzącej pory deszczowej. Aż, do marca czy kwietnia nie będzie walk. Potem Armia Brytyjska zepchnie Niemców do Ruvumy.

Feliks wrócił z kantyny oficerskiej do swego namiotu. Znów poczuł stęchły zapach ziemi i zastanawiał się, co to jest. Za jego plecami, w ciemności, migotały ognie z kuchni rozległego obozu tragarzy. Od strony drzew poza okopami

pierwszej linii, dochodziły go dziwne okrzyki. Zastanawiał się, gdzie jest Gilzean, jak spędza czas ten osobliwy człowieczek. Prawdopodobnie się goli, pomyślał. Musi to chyba robić co pięć godzin. Pragnął spytać Gilzeana, ile drogi przebyli i jaki odcinek mają jeszcze do pokonania, ale nie chciał usłyszeć kolejnej niezrozumiałej odpowiedzi. Miał nadzieję, że nie okazał się wobec sierżanta zbyt sztywny.

Wszedł do namiotu. Miał wrażenie, jakby od wielu miesięcy przebywał w drodze. Najpierw męcząca i przygnębiająca podróż do Afryki Południowej na statku-szpitalu, pełnym rannych żołnierzy piechoty południowoafrykańskiej z frontu zachodniego; ponure święta Bożego Narodzenia spędzone samotnie na morzu. Potem dwa tygodnie w Durbanie w oczekiwaniu na baterię górską, która miała przybyć z Nigerii. Następnie ciągnąca się w nieskończoność podróż wzdłuż wybrzeża do Dama pokładzie brudnego parowca „Hong Wang II”. Wreszcie jazda pociągiem w nocy, irytująca droga przez las z Gilzeanem za kierownicą... I nadal nie wiedział, gdzie się znajduje.

Zgodnie z instrukcją rozbierał się stojąc na łóżku polowym, żeby ustrzec się pcheł. Potem odwiązał moskitierę i zaczepił ją na haczykach umieszczonych na brezentowym dachu nad łóżkiem. Położył się i zamknął oczy. Kiedy się skończyła ta podróż bez końca, pomyślał. Posmutniał w ciemności. Miał nadzieję, że po znalezieniu Gabriela. Puścił wodze fantazji, wyobraził sobie ich spotkanie. Gabriel nie uwierzy własnym oczom. „Feliksie! – zawoła. – To ty!?”

Zrobił grymas. Niefortunnie dobrał słowa powitania. Przy niewielkiej zmianie intonacji zabrzmiały nie jak radosne zdumienie, tylko jak wyrzut. Przez chwilę obezwładniły go wyrzuty sumienia, a okropne wspomnienie Charis leżącej na dnie stawu opanowało myśli. Należy pamiętać – usilnie starał się nie myśleć o Charis – by spytać nazajutrz o obozy jenieckie. Z całą pewnością natkną się na nie, wnikając w głąb terytorium wroga. Ta myśl przyniosła mu pociechę, optymizmem napawało również to, że – jeśli wszędzie jest tak jak tutaj – wykluczono, aby jakakolwiek poczta mogła dotrzeć do obozów jenieckich.

Usłyszał mocne uderzenie w dach namiotu. Jakiś owad? Nietoperz? Potem usłyszał dwa następne. Deszcz, usłyszał sobie z uśmiechem ulgi na dźwięk kropli uderzających rytmicznie o brezent. Grube, duże krople deszczu.

Nadal padało, kiedy rano obudził Feliksa czarny służący z emaliowanym dzbankiem herbaty. Miednica z gorącą wodą stała na składanym stoliku – mógł się odświeżyć i ogolić. Potem na miejsce miednicy postawiono talerz z gorącym kurczakiem, dwoma sadzonymi jajkami i aromatycznym plackiem. Gilzean wetknął głowę przez klapę namiotu i ku uldze Feliksa powiedział tylko: „Czas wyjeżdżać, panie poruczniku.” Feliks narzucił na ramiona pelerynę od deszczu i wyszedł. Szare chmury wisiały nisko nad drzewami, stapiając się z poranną mgłą i dymem z setek ognisk, przy których przyrządzano śniadanie. Olbrzymie brązowe kałuże połyskiwały w dołkach, krople, spadające bez przerwy z ciężkich od deszczu gałęzi drzew, pomarszczyły powierzchnię wody.

Gilzean siedział na małym szarym mule, a w ręce trzymał lejce drugiego zwierzęcia, bez wątplenia przeznaczonego dla Feliksa. Za nim ustawiło się w szeregu pół tuzina tragarzy.

Feliks dosiadł muła.

– Dzień dobry – powiedział raźnie. – Jak się czujecie. Gilzean?

– Niezbyt dobrze, panie poruczniku – odparł tamten ponuro. – Znów mam *ripples* * i – za przeproszeniem – okropnie *rumple-fyke*. **

– Ach tak.

* kłopoty z nerkami (s/k.).

** różnie mnie tyłek (s/k.).

*

Jechali na końcu wijącego się sznura tragarzy, którzy nieśli zaopatrzenie dla batalionu Feliksa. Droga była grząska, już teraz zapadali się po kostki w grząskim błocie – jej dalszy odcinek będzie można przebyć tylko pieszo albo na zwierzętach juczych. Dżungla czy las, przez który się przedzierali, stanowiła widok znajomy, monotony. Od czasu do czasu pokonywali grzbiety górskie i musieli przepawić się przez dwie szerokie, płytkie rzeki. Oficerowie transportowi jeździli wzdłuż kolumny, kontrolując odpornych na trudy tragarzy z ogromnymi ładunkami na głowach. Co dwie godziny zatrzymywali się na dwudziestominutowy odpoczynek.

W jednym miejscu droga zniknęła pod powierzchnią rozlewiska, które najwidoczniej utworzyło się w nocy. Szlak był wyznaczony drągami, woda sięgała tragarzom do połowy ud. Deszcz ustał na parę godzin, a potem, około południa, znów zaczęło lać. Feliks czuł, że przemókł do suchej nitki, mimo iż miał na sobie nieprzemakalną pelerynę i kask z szerokim rondem. Z tym deszczem nie mogła się równać żadna ulewa, jaką widział w Anglii. Z początku był ciepły, potem zacinął przenikliwie i nieustępliwie. Każda kropla, ciężka i gruba, bębniła tak mocno, jakby spadała z ogromnej wysokości. Feliks jechał w kokonie stałego łomotu – deszcz walił w pelerynę i kask – widział, jak krople odskakują o dobrych piętnaście centymetrów od przemoczonego kasku na głowie jadącego z przodu Gilzeana.

Do dowództwa batalionu dotarli we wczesnych godzinach popołudniowych. Feliks zobaczył coś, co wyglądało na małe uprawne poletka z warzywami i kukurydzą. Potem minęli nędznie wyglądających wartowników za umocnieniami z worków z piaskiem. Feliks i Gilzean porzucili, kolumnę tragarzy i wjechali w środek dawnej wioski tubylców. Minęli równe rzędy namiotów i zsiadli z mułów przed dużą chatą pokrytą słomianą strzechą, z przechylonym masztem flagowym.

- Dzięki Bogu – jęknął Feliks. – Nareszcie.
- Przed nami jeszcze dalsza droga – oświadczył obojętnym głosem Gilzean.

Feliks zameldował się u adiutanta, który powitał go na froncie Rufidzi. Cobb miał być odkomenderowany do dwunastej kompanii dowodzonej przez kapitana Frearsona, która stacjonowała na południowym brzegu, po drugiej stronie rzeki Rufidzi. Nie zwlekali zatem z Gilzeanem, gdyż rozrządek nakazywał przeprowadzić się przez rzekę, zanim zapadnie zmrok.

W tym miejscu nawet w porze suchej Rufidzi miała ponad trzysta pięćdziesiąt metrów szerokości. Feliks nigdy nie widział równie potężnej rzeki. Była matowobrazowa, jak kawa z mlekiem. Leniwy nurt w wielu miejscach przerywały połyskujące mielizny i małe, skaliste, pojedyncze wysepki. Na północnym brzegu indyjscy saperzy zbudowali drewniane moło prowadzące do prowizorycznego płaskodennego promu. Skonstruowano go z ciężkich desek przerzuconych przez dwa pontony i przymocowano do drutów, które przeciągnięto przez płynącą leniwie rzekę. Przestało padać, ale grube, szare, barchanowe chmury nadal zakrywały niebo. Za chmurami słońce zniżało się ku zachodowi i zalewało wszystko powodzią światła w kolorze sepii o żółtawym odcieniu. Feliks spojrział na Rufidzi przejęty grozą. Oba brzegi porastała bujna roślinność, gęstwina drzew i krzewów dochodziła do koryta rzeki. Feliks zauważył nagle, że na niektórych ławicach piasku wylegają się krokodyle. Nikłe światło, senna rzeka i ciężkie, wilgotne powietrze stwarzały wrogą, zabójczą atmosferę.

Feliks i Gilzean wprowadzili muły na prom i przywiązali je do poręczy. Kiedy przepływający się ze swym ładunkiem tragarze zajęli pozostałe miejsca, pomachano chorągiewką i duża maszyna parowa z prychnięciem pędziła się do życia, zaczynając nawijać liny i ciągnąć ciężki prom na środek rzeki,

Feliks przechylony przez poręcz wpatrywał się zafascynowany w cztery hipopotamy pływające się w wodzie niedaleko trasy promu. Spojrział do tyłu na gęsty tłum tragarzy, którzy wyglądali na zdenerwowanych i załęczonych. Mieli na sobie podkoszulki i luźne, jak od piżamy, spodnie obcięte pod kolanami. Z ramion zwisały im brezentowe worki, jedni dźwigali tykwy kalebasowe, inni rondle i kociołki. Feliks spostrzegł, że jego niegdyś, elegancki mundur jest pomięty, lepi się od brudu. Poczł osobliwą dumę. Zastanawiał się, co by teraz pomyślał o nim Holland widząc go w środku Afryki, przepływającego się przez tę potężną rzekę w dżungli pełnej dzikich zwierząt.

Kiedy dotarli do przeciwnego brzegu, znów zaczęło padać. Gilzean i Feliks dosiedli mułów i ruszyli szerokim szlakiem świeżo wyciętym w poszyciu leśnym. Padał ulewny deszcz, uderzając o liście drzew i zamieniając drożkę w rwący strumyk. Mrok w cieniu poszycia stał się intensywniejszy.

Feliks spojrział w górę. Zachodzące słońce zmieniło kolor chmur na żółtoszary. Wcześniejsze uczucie grozy i podniecenia ustąpiło miejsca niejasnemu przygnębieniu i niecierpliwości połączonej ze złym humorem. Kiedy skończy się ta przekłeta podróż?

Wtem poczuł dziwny smród. Wyłonili się spośród drzew i wyjechali na otwartą przestrzeń przypominającą polanę. Przed nimi, po obu stronach szlaku, ciągnęły się rzędy niewygasłych ognisk podobnych do ogromnych śmietników czy hałd z odpadami, które palą się bez przerwy. Tutaj odór był najintensywniejszy, dławiący zapach zgnilizny. Feliksa napadły nudności. Gęsty, niebieskawy dym unosił się spiralnie ze stosów, szczypał w oczy; krople padającego deszczu gasiły z sykiem nieliczne, blade, migocące płomienie.

Gilzean, nie zrażony wcale tym widokiem, wjechał na przypominającą piekło ścieżkę. Feliks kopnął swego muła, żeby poszedł za poprzednikiem. Potem, wyteżając wzrok przez dym i strumienie deszczu, zobaczył, co się pali. Całe tuziny koni, osłów i mułów tworzyły wielkie stopy poczerniałej, gnijącej padliny, wysokie na dwa, dwa i pół metra, sztywne kończyny zwierząt sterczały na wszystkie strony. Jadąc pomiędzy ogniskami, zobaczył, jak żołnierze-tubyłcy polewają padlinę naftą, żeby się lepiej paliła. Od razu buchnął wielki słup ognia i dało się słyszeć huki i trzaski, kiedy pod wpływem gorąca gazy rozsadały brzuchy zwierząt napelniając smrodem ścieżkę między ogniskami.

– Co się z nimi stało? – krzyknął Feliks do Gilzeana.

– Zdechły – odparł Gilzean.

– To widać – powiedział Feliks niecierpliwie. – Ale jak?

– Mucha tse-tse – odparł filozoficznie Gilzean. – Wcześniej czy później dopada każdego konia bądź muła. Ścierwo palone jest raz w tygodniu.

Odjechali dalej poza zasięg dymu. Feliks zobaczył, że zbliżają się do wioski, ziemia została tu kiedyś oczyszczona pod uprawę kukurydzy i prosa. Pod drzewami stały wzniesione dla tragarzy liche szałaszy ze słomy i trawy, solidniejsze, kryte brezentem przybudówki służyły do przechowywania zaopatrzenia. Wszędzie leżały puste skrzynki, paki i coś, co wyglądało jak duże plecione kosze do bielizny. Rzędy namiotów wskazywały na obecność żołnierzy; tragarze musieli się zadowolić byle jakimi schronieniami.

Wjechali w otwór wycięty w wysokim kolczastym ogrodzeniu. Feliks zobaczył większe namioty, kilka słomianych chat i prostokątny budynek z gliny z nowym dachem z falistej blachy.

– Jesteśmy na miejscu – obwieścił przygnębiony Gilzean. – Kibongo.

ROZDZIAŁ DRUGI

15 KWIETNIA 1917 ROKU
KIBONGO, NIEMIECKA AFRYKA WSCHODNIA

Feliks wpatrywał się apatycznie w strumienie deszczu. Od trzech miesięcy lało bez przerwy. Nie uwierzyłyby, że tak może padać, gdyby nie widział tego na własne oczy. Dwunasta kompania 5 batalionu wciąż tkwiła w Kibongo. Pluton Feliksa pełnił wartę. On zaś spędził niespokojną noc w mokrym szałasie. Teraz siedział na składanym brezentowym krzeselku i obserwował światło brzasku przedzierające się przez gałęzie ociekających drzew. W odległości dwudziestu metrów znajdowały się okopy i stanowisko karabinu maszynowego. Wokół nich teren został oczyszczony w promieniu pięćdziesięciu metrów. Gilzean miał tam właśnie sprawdzać, czy wszyscy są w pogotowiu.

Noc minęła spokojnie, jak wszystkie noce na służbie. Podczas trzymiesięcznej służby frontowej zdarzył się tylko jeden alarm. Siedział wtedy w kantine z kapitanem Frearsonem i dwoma zaprzyjaźnionymi porucznikami – Lovedayem i Gentem – kiedy z okopów rozległy się nierówne strzały karabinów. W całym obozie powstało zamieszanie. Po dotarciu na miejsce znaleźli ciało czwartego oficera, porucznika Parrotta, z dużą dziurą w skroni. Parrott miał ostrą dyzenterię i szukał miejsca w krzakach, żeby się załatwić. Nerwowy wartownik usłyszał szelest i bez słowa ostrzeżenia wystrzelił w jego kierunku cały magazynek. Równie nerwowi towarzysze wartownika poszli w jego ślady. Na nieszczęście trafili Parrotta.

Następnego dnia przeprowadzono aukcyjną wyprzedaż jego ekwipunku. Feliks kupił za 10 funtów połowę butelki południowoafrykańskiej brandy, a za 1 funta i 13 szylingów szczotkę do zębów. W butelce została odrobina brandy i zastanawiał się teraz, czy ją wypić. Postanowił poczekać, aż zje śniadanie. Niezwykle wygórowane ceny spowodowane były tym, że wraz z nastaniem pory deszczowej do Kibongo nie docierały żadne dostawy.

Rufidzi wystąpiła z brzegów, miała teraz sześćset metrów szerokości; zamieniła się w rwącą, spienioną rzekę nie do przebycia. Niemal połowa drogi na

całej linii zaopatrzenia od najbliższej stacji została rozmyta albo znalazła się dwa metry pod wodą. Od miesiąca oficerowie dostawali jedną ósmą racji żywnościowych. Poprzedniego dnia Feliks otrzymał plasterek bekonu, łyżkę dżemu z moreli, pół cebuli i garstkę mąki. Żołnierze jedli sam ryż. Wszystkich nękał osłabiający, wściekły głód. Mogli myśleć tylko o jedzeniu.

Na usilne ponaglenia o dostawy przychodziła odpowiedź, że linie łączności zostały zerwane i że wszyscy są w mniej więcej podobnej sytuacji. Jednakże z góry można było przewidzieć, że głód najdotkliwiej dotknie dwunastą kompanię broniącą wysuniętego najdalej na południe odcinka frontu. W kantine oficerskiej panował drażliwy, kłótniwy nastrój. Feliks pomyślał, że gdyby Niemcy zdecydowali się na atak, dwunasta kompania poddałaby się bez oporu za solidny posiłek.

Nigeryjscy żołnierze, musiał przyznać, znosili wszelkie niedogodności ze stoickim spokojem, zachowując się lepiej niż angielscy oficerowie i podoficerowie. Kiedy Feliks dotarł w styczniu do Kibongo, kompania była w pełnym składzie – około stu dwudziestu żołnierzy plus blisko trzystu tragarzy. Od tej pory zmarło na rozmaite choroby, przeważnie na malarię i dyzenterię, ponad trzydziestu żołnierzy i stu tragarzy. W późniejszym okresie liczba zgonów tych drugich znacznie wzrosła wskutek śmiertelnych zatruc korzeniami i owocami, które zjadali z braku innego pożywienia.

Przed tygodniem jeden z podkomendnych Feliksa zastrzelił małpę.. Podzielono ją równo między żołnierzy plutonu, Feliksowi z racji rangi dostał się łeb. Kucharz, a zarazem służący Feliksa, Human, zdarł ile się dało mięsa z czaszki i urozmaicał nędzne porcje żywnościowe plastrami małpich policzków, pyska i czym tylko mógł.

Na myśl o jedzeniu zaburczało Feliksowi w brzuchu. Wychylił się ze swego szalasu. Deszcz jakby trochę zelżał. Pod drzewami widać było Humana, który przykucnął przy małym ognisku.

– Human – zawołał Feliks. Służący odwrócił się nagle.

Human, zdaniem Feliksa, miał ponad trzydzieści lat. Zdobył medal walcząc przeciwko Niemcom w Kamerunie. Z dumą poinformował Feliksa, że osobiście zastrzelił trzech – jak się wyraził – „Europejów”. Jednocześnie sam został ranny i nie nadawał się już do służby czynnej, pułk zatrzymał go więc jako ordynansa. Mimo że był piętnaście lat starszy od Feliksa, wyglądał zdumiewająco młodo i chłopięco. Zawdzięczał to w pewnej mierze niskiemu wzrostowi – wydawał się jeszcze drobniejszy wskutek wychudzenia – i gładkiej, nie pomarszczonej twarzy.

– Słucham, panie poruczniku – odparł Human.

– Jeść. Muszę szybko zjeść śniadanie.

Human wrócił spieszenie do ogniska i zakrzętnął się koło naczyń. Podał Feliksowi śniadanie. Na blaszanym talerzu było coś, co wyglądało na niebieskoszary kawałek ryby posmarowanej dżemem morelowym. Nie był to apetyczny

widok, ale na myśl o jedzeniu Feliksowi ślina napłynęła do ust. Widelcem odebrał kawałek porcji i spróbował. Poczł drażniący smak węgla drzewnego, kluchowatej, ciepłej mąki, odrobiny cebuli, słodkiego dżemu i czegoś jeszcze, czego nie potrafił zidentyfikować. Żuł wolno obserwowany przez Humana.

- Niezłe – orzekł Feliks. – Co w tym jest?
 - Wszystko, panie poruczniku – odparł Human. – Także małpa.
 - Małpa? Myślałem, że już ją skończyliśmy.
 - Nie, panie poruczniku. Jest jeszcze trochę...
- Feliks pochłonał łapczywie resztę porcji.
- Czego?
 - Małpiego mózgu, panie poruczniku.
 - Mózg. – To ten dziwny smak...
 - Tak, panie poruczniku. Dorzuciłem małpiego mózgu.

*

O ósmej Feliks i jego ludzie zostali zlurowani przez pluton Genta. Gent był najbardziej nieszkodliwym z kolegów-oficerów. Zawsze pogwizdywał fałszując, a kiedy nie gwizdał, cały czas oddychał przez usta z wargami rozchylonymi, jak u półgłówka.

Feliks usłyszał niedbałe gwizdanie dochodzące od strony dróżki prowadzącej z Kibongo, a w dwie minuty później ujrzał samego Genta.

- Jak się masz, Cobb – powitał go Gent. – Miałeś spokojną noc?

W styczniu Gent był dość korpulentnym mężczyzną. Teraz wyglądał na chorego – wychudzony, z lepkiem potem spływającym po twarzy.

- Złapałeś coś, Gent? – spytał Feliks. – Jeśli tak, trzymaj się z daleka.
- Małą gorączkę – odparł, najwidoczniej nieświadom wrogości Feliksa. – Niedługo minie.

Obszarpani podkomendni Genta zajmowali pozycję w okopach. Feliks i Gilzean odmaszerowali ze swymi żołnierzami, pokonując łagodny stok prowadzący do wsi. Tam Feliks kazał ludziom rozejść się, a sam poszedł do kantyny oficerskiej. Kantyna, jak ją uroczyście nazywano, mieściła się w lepiance krytej blachą falistą. Nie dostarczała żadnych przyjemności, a ceniono ją tylko za to, że była najsuchszym pomieszczeniem w całym obozie.

W środku stały cztery składane brezentowe krzesła i stół na kobyłkach. Kapitán Frearson siedział na krześle i uzupełniał dziennik kompanii. Feliks zameldował, że noc upłynęła spokojnie. Frearson miał pulchną, delikatną twarz, jak Filip II hiszpański. Był to nieśmiały, niezdecydowany mężczyzna, Feliks był przekonany, że przez niego właśnie tkwią niepotrzebnie w Kibongo odcięci od reszty batalionu. Gdy wezbrała Rufidzi, nie ulegało wątpliwości, że zostaną odcięci, mimo to Frearson nie zgodził się na wycofanie, uważając, że będzie to „nędzna rejterada”. Pod zbiorową presją Feliksa, Parlotta, Genta i Lovedaya skłonny był już ustąpić, kiedy wzbierająca w rzece woda zmyła prom i siłą rzeczy sprawa została przesądzona.

– Są jakieś wiadomości? – spytał machinalnie Feliks.

Jedynymi środkami porozumiewania się dwunastej kompanii z resztą batalionu po drugiej stronie Rufidzi był sygnalizator i – przy rzadkich okazjach, kiedy nieba nie zasłaniały chmury – heliograf.

– Batalion wycofuje się do linii kolejowej w Mikesse – odparł Frearson.

– Boże święty! A co z nami?

– Niestety, będziemy musieli poczekać. Wydaje się, że woda opada. Sklecą jakiś nowy prom.

Był to pierwszy sygnał, że wkrótce nastanie kres ich niedoli. Feliks poczuł w sercu niewypowiedzianą ulgę.

– To cudownie – powiedział. – Naprawdę cudownie.

Frearson spojrział na niego podejrzliwie. W tym momencie zjawił się Loveday, którego Feliks zaliczał do najbardziej denerwujących osób w obozie, ale dziś spojrział i na niego z życzliwością.

– *Sacré bleu!* – zaklął Loveday. – W nocy zmarło trzech kolejnych tragarzy. Chyba znów odgrzebują ścierwo. Nie da się im tego wytłumaczyć. – Wzruszył ramionami. – *Pauvres idiots.*

Loveday był zuchwałym młodym człowiekiem, z cienkim wąsikiem, uważającym się za światowca, o czym – jego zdaniem – dobitnie świadczyło posługiwanie się francuskimi zwrotami. Przed wojną uchodziłby za „dandysa” lub „gogusia”.

– Słyszałeś ostatnie wiadomości? – spytał Feliks. – Wracamy do kolei.

– Aha – odparł Loveday. – Ale nie przed czasem.

Przez chwilę cała trójka milczała, rozważając te słowa. Pomiędzy nimi nie ma żadnej więzi, pomyślał Feliks. Obecne przeżycia tylko nas oddalają. Frearson wyciągnął fajkę i pyknął z niej głośno. Była pusta, tytoń skończył się już parę tygodni temu. Ten charakterystyczny dla Frearsona nawyk doprowadzał Feliksa niemal do szału, tak jak gwizdanie Genta czy szkolna francuszczyzna Lovedaya. Feliks uprzytomnił sobie niemal ze wstrząsem, że w ciągu tych trzech miesięcy na „linii frontu” nie zobaczył ani jednego nieprzyjacielskiego żołnierza. Wszelkie urazy kierował pod adresem kolegów. Z trudem mógł myśleć o domu, o Charis czy też o Gabrielu. Całe to nonsensowne „poszukiwanie” skończyło się w błocie Kibongo, wzniosłe ideały i dążenia ustąpiły miejsca utyskiwaniu na wilgoc i nie kończącym się spekulacjom na temat jedzenia.

W kantynie panowała cisza, przerywana tylko pykaniem zaślinionej fajki Frearsona. Feliks poczuł przemożną chęć wepchnięcia mu tej fajki w gardło. Nastrój podniecenia nie trwał jednak długo.

– Muszę już iść – powiedział, starając się panować nad głosem.

– Cześć – odparł Frearson.

– *A bientôt* – dorzucił Loveday.

Feliks szedł w kierunku namiotu, chlupiąc po błocie – poczuł się nagle bardzo zmęczony. Uśmiechnął się cynicznie do siebie, znów pomyślał o „wielkim poszukiwaniu”. Rzadko wracał myślami do Gabriela; jego obecne rozmyślenia skupiały się na sprawach błahych, dotyczących wyłącznie własnej osoby. Nic nie wiedział o działaniach wojennych w Afryce, zapomniał o wojnie w Europie. Gabriel mógł być już na wolności i wrócić do kraju. Co to za wojna? – zapytywał siebie ze złością. Ani śladu nieprzyjaciela, ludzie umierają powoli śmiercią głodową, stojąc na straży kupy krytych trawą chat w środku rozmokłej dżungli.

Zdumiał się, widząc przed namiotem Gilzeana. Sierżant poinformował Feliksa, że Loveday wydał mu rozkaz usunięcia ciał trzech tragarzy. Przez chwilę Feliks zastanawiał się, czy nie zawrócić do kantyny i nie powiedzieć Lovedayowi, co o tym myśli, ale postanowił dać spokój.

– W porządku, Gilzean – rzekł znużony. – Załatwmy tę sprawę.

Gilzean wziął z plutonu pół tuzina ludzi i ruszyli do obozu tragarzy. Wyciągnięto zmarłych z szalasów i pozostawiono do pochówku. Byli nadzy, strzępy ubrań i nikły dobytek już przywłaszczyli sobie inni. Powieki mieli mocno zaciśnięte, a z ust wystawały dziwnie kredowobiałe, wielkie spuchnięte języki.

– Zatruci – stwierdził Gilzean bezbarwnym głosem.

Ciała przetransportowano wąską dróżką do rzeki. Wrzucono je bez ceremonii w burzliwe wody Rufidzi. Feliks i Gilzean patrzyli, jak ostry wir porywa trupy i unosi z nurtem rzeki.

– Załatwią ich *kelpies* * – odezwał się Gilzean.

* duchy wodne w postaci koni, zatapiające ludzi (szk.).

Jest niezwykle przygnębiony, pomyślał Feliks, znacznie bardziej niż zwykle.

– Taki koniec ich spotkał – rzekł Feliks, zastanawiając się, czy powinien zapytać, co to takiego *kelpies*. Ryby? Krokodyle?

– Nas może spotkać to samo – dodał Gilzean pośpiesznie.

Wracali mokrą ścieżką.

– Aj, i pomyśleć, że pchałem się do Afryki.

– Naprawdę? – zdziwił się Feliks, chcąc wykorzystać chwilę, kiedy rozumie sierżanta. – Ja również.

– Dwaj bracia zabici we Francji. Rzekłem sobie, nie idź tam, Angusie. Wie pan, myślałem, że tu będzie łatwiej. A jak wyglądamy teraz, panie poruczniku?

Gilzean nigdy nie był tak skory do zwierzeń. Feliks spojrział ze współczuciem na jego ciemną, zakłopotaną twarz.

– Przyjechałem tutaj, żeby odnaleźć brata – zwierzył się. – Trzymają go gdzieś jako jeńca.

– Mamy tu nasze *lawins**, na pewno – powiedział z goryczą Gilzean.

* porachunki (szk.).

Feliks zrozumiał intuicyjnie, że temat rozmowy zaczyna się zmieniać. Raz jeszcze spróbował.

– Jeśli go znajdę – powiedział, wyrzucając sobie brak zaangażowania – umrę szczęśliwy.

– Zastrane miejsce – burknął z nienawiścią Gilzean, nie słuchając Feliksa. – Biedne czarnuchy. Podła śmierć. – Zacisnął pięści. – Jestem *snool*, *glaiokit sumph*. Nic, tylko pada, *howdumdied* przez cały dzień. Pomieszały mi się klepki. *Camsteerie* cholerny kraj. – Roześmiał się chrapliwie. – Żadnej *strunt*. Żadnego *haughmagandie*. Absolutnie. Zgniję w tej ziemi... Nic tylko *greet*, ** mówię panu. – Obrzucił Feliksa gniewnym, pełnym niechęci spojrzeniem. – Aj, i ci *primsie Suthrons* *** – z wyjątkiem pana, panie poruczniku. – *I'd no tarrow to clack their fuds...* ****

** tchórz, głupi prostak... sakramencko... Dziki... gorzały... dupczenia, płakać (szk.).

*** zarozumiali Anglicy (szk.).

**** Bez namysłu wygrzmociłbym im tyłki (szk., i ang.).

Feliks pozwolił mu mówić, kiedy brnąc w błocie, wracali do Kibongo. Skargi Gilzeana – wydawały się tak bolesne, że mogłyby śmiało zastąpić narzekania wszystkich ludzi w dwunastej kompanii, łącznie z nieżyjącymi tragarzami. Rozumiał zazwyczaj tylko jedno słowo na trzy, ale tym razem wydawało mu się, że rozumie uczucia tego człowieka.

ROZDZIAŁ TRZECI

15 LIPCA 1917 ROKU

NANDA, NIEMIECKA AFRYKA WSCHODNIA

– Spójrz, co mam dla ciebie – powiedziała Liesl i postawiła koszyk na stole w składziku. Gabriel spojrział i zastanawiał się, czy Liesl słyszy bicie jego serca. Nie widział jej przez trzy dni. Pojechała na spotkanie z mężem do oddalonego o ponad sto kilometrów Lindi. Bardzo mu jej brakowało. Zdjęła kask tropikalny, poprawiła spinki i grzebień w silnie skręconych rudych włosach, napinając mocno bluzkę na piersiach. Gabriel przełknął ślinę, chwycił się brzegu stołu. Przed paroma tygodniami zaczął odczuwać w lewej ręce nerwowe drżenie. Drżała bezustannie, jakby żyła własnym życiem.

Liesl wyjęła zawiniątko, nóż i słoik lepkiego płynu. Odwinęła materiał – ukazał się ciemny, brązowy bochenek wielkości cegły.

– Chleb bananowy – powiedziała uradowana. – Są w nim także wiórki kokosowe. Nie ma masła, ale – wyciągnęła rękę ze słoikiem – dużo miodu.

Gabriel uśmiechnął się, serce mało nie wyskoczyło mu z piersi.

– Zdumiewające. Jak to zdobyłaś?

– Erich ma przyjaciół. Jest teraz ważną figurą. Oficerem sztabowym przy samym von Lettowie.

– Są jakieś wiadomości? – spytał głosem możliwie obojętnym. Nie miał potrzeby obawiać się, Liesl niczego przed nim nie ukrywała.

– Niedobre – powiedziała niefrasobliwie. – Anglicy wylądowali w Kilwie. Wycofujemy się na wszystkich frontach. – Zmarszczyła brwi. – Trwają uporczywe walki.

– A więc odnosimy zwycięstwo.

– O tak. Trafi do nas część rannych. Ewakuowali szpital w Lukuledi. Tak więc – wrzuciła ramionami – znów będziemy mieli dużo roboty.

Gabriel poruszył się niespokojnie na krześle. Przez ostatnich sześć miesięcy Nanda była niemal opustoszała, w szpitalu chorzy zajmowali zaledwie połowę

łózek, w mieście pozostały resztki tubylczej ludności i około trzydziestu niemieckich kobiet i dzieci. Deppe odjechał – na stałe, jak ich zapewniono – by utworzyć nowy centralny szpital w Czitawie, około osiemdziesięciu kilometrów na południowy zachód. Szpital w Nandzie znów należał do Liesl. Przetrywali porę deszczową bez większych zakłóceń w porządku dnia. Teraz ich praca polegała głównie na produkowaniu dla niemieckich żołnierzy leków zastępujących chininę. Był to obrzydliwy w smaku wywar z peruwiańskiej kory chinowca, której, o dziwo, dostarczono sporo ze zgromadzonych przed wojną zapasów. Co dwa tygodnie świeżo napełnione butelki i naczynia wysyłano do kompanii *Schutztruppe*. Liesl zleciła to zadanie dwóm kobietom. Frau Ledebur i Frau Muller. Gabriel czuwał nad procesem destylacji; zajęcie proste, ale delikatne, wymagające ścisłego przestrzegania czasu destylacji po to, żeby wywar z chininy nadawał się do picia. Większość dnia Gabriel spędzał na doglądaniu tego procesu na tyłach szpitala, gdzie nad otwartym ogniem stały dwie ogromne kadzie. Napełniał butelki i przekazywał je Frau Ledebur, która zajmowała się ich wysyłką do rozmaitych baz *Schutztruppe*. Nietrudno było ustalić pozycje oddziałów niemieckich i Gabriel dobrze orientował się w sytuacji na froncie. We wnęce ściennej swej chaty trzymał ukryte postrzępione *dossier*, które uzupełniał i zmieniał w miarę napływu świeżych informacji. Dziś wieczorem dołączy wiadomość o lądowaniu w Kilwie. Według jego obliczeń armia brytyjska znajdowała się teraz tylko o dwieście kilometrów od Nandy. Co prawda przed paroma miesiącami Lindi zostało zajęte przez Portugalczyków, ale ci się nie liczą.

Świadomość, że wojska brytyjskie są blisko, wzbudziła w nim sprzeczne uczucia. Rana w nodze zagoiła się już wiele tygodni wcześniej. Od czasu, gdy Deppe przeniósł się do innego szpitala, Gabriel nie musiał uchodzić za chorego. Liesl nie przeszkadzała jego obecność, a ponieważ się zaprzyjaźnili, małe było prawdopodobieństwo, by kiedykolwiek domagała się jego przeniesienia do obozu jenieckiego. Właśnie przed trzema tygodniami uratowała go przed osadzeniem w obozie w Nandzie. Ogródzenie z drutu kolczastego zostało znów otwarte na przyjęcie schwytanych do niewoli europejskich podoficerów. Za zasiekami z drutu kolczastego znajdowało się teraz dziesięciu Brytyjczyków, czterech Rodezjczyków i dwóch Portugalczyków, pilnowanych przez grotkowo otłętego Holendra, nazwiskiem Deeg, i bandę tubylców o dzikim wyglądzie z oddziałów pomocniczych, zwanych ruga-ruga. Ludzie ci byli uzbrojeni w stare karabiny, a za cały mundur mieli obszarpane spodnie i furażerki. Wśród jeńców krążyły pogłoski, że ruga-ruga rekrutują się z plemienia ludożerców. Istotnie niektórzy mieli spiłowane zęby, co przyjmowano za wystarczający dowód ich kanibalizmu.

Deeg chciał od razu uwięzić Gabriela, ale Liesl sprzeciwiła się temu, argumentując, że Cobb jako oficer nie może zostać zakwaterowany razem z podoficerami, że znajduje się pod opieką lekarską, a poza tym złożył przysięgę. Deeg

musiał przyjąć jej wyjaśnienia, nalegał jednak, żeby Gabriel nie oddalał się poza teren bezpośrednio przylegający do szpitala, a także zabronił mu swobodnego poruszania się po Nandzie i okolicy. Trzeba było przyjąć ten warunek, ale Deeg mimo to zamierzał złożyć oficjalny protest. Po czym sprawa ucichła. Przypuszczalnie władze wojskowe miały pilniejsze problemy.

Zabierając się do krojenia bananowego chleba. Liesl z oczami błyszczącymi zadowoleniem, usiadła naprzeciwko Gabriela. Jego drżąca ręka, trzymająca kurczowo blat stołu, zwolniła uchwyt i spoczęła na kolanie. Gabriel spojrzął na pulchną, piegowaną twarz Liesl, jej dziwnie wysuniętą górną wargę, tak jakby stale zaczynała coś mówić albo powstrzymywała się od powiedzenia czegoś. Na miękkiej szyi widać był wyraźnie trzy poprzeczne zmarszczki. Wszystkie jej sukienki wydawały się o kilka numerów za małe i wskutek tego miały zawsze plamy od potu. Zgarnęła pasmo włosów za ucho. Gabriel poczuł, jak krew pulsuje mu w skroniach. Beznadziejna miłość do Liesl krępowwała mu język, obezwładniała. Od czasu przybycia Deega i narzuconych ograniczeń nie miał odwagi skradać się wieczorami pod jej bungalow. Żył tylko wspomnieniami, lecz to w jakiś niewytłumaczony sposób sprawiło, że jego doznania stały się intensywniejsze. Znał każdy centymetr tego pięknego, dużego ciała. Bujne piersi, niemal niewidoczne różowołososiove sutki, jasnokremowy piegowaty brzuch, rudy trójkąt włosów między udami...

- Gabrielu – spytała. – Czy ci to wystarczy?
- O tak, dziękuję.

Niczego się nie domyślała. Wyjechała do męża, nie mówiąc nawet do widzenia. Dowiedział się o jej wyjeździe od Frau Ledebur. Jego zaciśnięta pięść uderzała lekko o kolano. W miarę jak Liesl stawiała się coraz pulchniejsza i gładsza, on jakby nikał w oczach. Był chudszy niż zwykle; rana, choć się zagoiła, nadal sprawiała mu ból, utykał, a teraz doszło to nerwowe drżenie ręki.

Obserwował, jak Liesl nakłada łyżeczką miód na dwie kromki chleba i rozsmarowuje grubą warstwą. Podawała mu kawałek i nie czekając na niego ugryzła duży kęs ze swej porcji. Miód ściekał z kromki i sphywał wolno po brodzie Liesl.

- *Verdammt!* – zaklęła i zebrała go wskazującym palcem, który potem starannie oblizwała. Zamknęła oczy, przeżuwała wolno chleb, rozkoszując się jego smakiem – jej twarz miała marzycielski wyraz.

Z nie wyjaśnionych powodów Gabriel poczuł, że lzy napływają mu do oczu i coś ścisza go za gardło. Wiedział, że nic nie może na to poradzić. Po policzkach sphywały ciche lzy, twarz wykrzywił grymas płaczu.

Liesl otworzyła oczy.

- Gabrielu – wykrzyknęła zaniepokojona. – Nie zjadłeś? Co się stało? Zwiesił głowę.

– Przepraszam – starał się usprawiedliwić. – Wiem, że moje słowa zabrzmiały głupio, ale to z nadmiaru szczęścia. Jestem tu bardzo szczęśliwy. To śmieszne, wiem, ale tak jest.

Liesl starała się powstrzymać od śmiechu.

– Gabrieliu, jakis ty niemądry. – Roześmiała się, odrzucając głowę do tyłu. – Nie możesz być t u t a j szczęśliwy. – Piersi jej drżały od śmiechu. – Ty głuptasie! – Oczy miała zamknięte, w pokoju rozbrzmiewała jej niepohamowana wesołość.

Gabriel, nie zważając na nic, wyznał jej miłość.

Powoli uspokoiła się.

– Och. Och, to straszne. *Oh grosser Gott*. Och. Gabrieliu, nie wolno ci o tym myśleć. Mówiłeś coś?

– Ja? – odparł Gabriel. – Nie, nic. – Ugryzł kawałek bananowego chleba. – Mmm – zamruczał. – Wspaniały.

*

Jak przewidywała Liesl, szpital w Nandzie wkrótce zapełnił się rannymi, którzy walczyli wokół Kilwy. Jednym z nich był kapitan von Steinkeller – najwyraźniej ważna osobistość, sądząc po odwiedzających go oficerach wysokiej rangi. Odnosił bardzo poważną ranę w biodro. Liesl opatrzyła ją, jak mogła najlepiej, ale uznano, że należy go przetransportować do szpitala w Czitawie, gdzie mógłby go zbadać Deppe. Na krótko przed przeniesieniem kapitana do Czitawy odwiedził go sam adiutant von Lettowa, Rutke – w stopniu kapitana tak samo jak von Steinkeller.

Gabriel stał w składziku, kiedy dwóch askarysów przenosiło von Steinkellera do oczekującego wozu.

– Nie martw się – krzyknął Rutke. Potem powiedział kilka zdań zbyt szybko, żeby Gabriel mógł zrozumieć ich sens. – Listopad – dodał jeszcze. – Poczekaj do listopada. Mamy *das chinesisches Geschäft*.

Tu i ówdzie na sali odezwały się okrzyki radości. Po odjeździe Rutkego Gabriel powiedział Liesl, że to określenie padło z ust rannych. *Das chinesisches Geschäft*. Spytał, co to znaczy.

– Jak powiedziałaś? Chińska Wystawa? Może Chińska Parada? Dziwne, co to jest?

– Nie wiem – odparł Gabriel. – Ludzie mówili o tym na sali.

Liesl wzruszyła ramionami. Nie wracali do tego więcej. Gabriel zastanawiał się, czy to ważna informacja.

ROZDZIAŁ CZWARTY

19 PAŹDZIERNIKA 1917 ROKU
LINDI. NIEMIECKA AFRYKA WSCHODNIA

W październiku 1917 roku trzecia bitwa pod Ypres-Passchendaele miała pochłonąć około pół miliona ofiar. Pomiędzy czternastym a siedemnastym października nad Mahiwą rozegrała się najbardziej zacięta bitwa w Afryce. Oddziały brytyjskie, maszerujące na południe od Rufidzi i posuwające się od strony portów Kilwa i Lindi w głąb lądu, zostały gwałtownie zaatakowane przez rzekomo wycofujących się Niemców. Do walki doszło na niewinnie wyglądających wzgórzach w pobliżu zakrętu koryta rzeki Mahiwy. Z pięciu tysięcy afrykańskich, indyjskich, brytyjskich i południowoafrykańskich żołnierzy zginęło lub zostało rannych dwa tysiące siedmiuset ludzi.

Pięćdziesiąt procent strat w jednej bitwie. Trzy bataliony Brygady Nigeryjskiej walczyły w pierwszej linii, zginęło wielu żołnierzy. Żołnierze dwunastej kompanii piątego batalionu znaleźli się wśród tych, którzy nie brali udziału w bitwie. W dniach walk nad Mahiwą pluton Feliksa kopał latryny przy dowództwie brygady w obozie Redhill, w Lindi. Plutony Genta i Lovedaya konwojowały dostawy na linię frontu.

Po ciężkich przeżyciach kompanii Frearsona w Kibongo uznano, że ucierpiała więcej od innych i w nagrodę wysłano ją na trzytygodniowy urlop na Zanzibarze. Po odzyskaniu sił dwunasta kompania przyłączyła się do batalionu w Morogoro, gdzie przez kilka następnych miesięcy ćwiczyła rekrutów, budowała drogi i umacniała przepusty i nasypy.

Kiedy wielojęzyczna armia brytyjska maszerowała na południe. Brygada Nigeryjska staczała liczne potyczki z tylną strażą niemiecką. Wkrótce Feliks nabrał pewności, że kompania Frearsona nigdy się nie połączy z Brygadą Nigeryjską. Pilnowali składów wojskowych, eskortowali oddziały budowlane, pomagali pełnomocnikowi rządu w organizowaniu władz administracyjnych na zdobytym terytorium. Pluton Feliksa własnoręcznie zniwelował mały pagórek, żeby powiększyć pole startowe dla samolotów; wybudował nowe prowizoryczne

skrzydło szpitala polowego; konwojował bez żadnych przeszkód sto ton ryżu z Kilwy do Mikesse – odległych od siebie o sto trzydzieści kilometrów – i od trzech tygodni zajmował się pilnowaniem dużego pociągu towarowego należącego do brygady.

Z początku Feliks nie miał żadnych zastrzeżeń do tego rodzaju służby. Miesiące spędzone w Kibongo stanowiły dostatecznie ciężką próbę, a życie na tyłach, choć przeraźliwie nudne, wydawało się w miarę wygodne. Loveday wznosił od czasu do czasu okrzyki wojenne („*Aux armes, mes braves!*”), ale Frearson twierdził, że jego żołnierze nie będą walczyć. Mówiło się, że w Kibongo morale upadło tak nisko, iż dwunasta kompania prawdopodobnie nigdy nie odzyska pełnej sprawności bojowej. Co więcej, jej szeregi zdziesiątkowały różnorakie choroby, a nowi rekruci nadawali się tylko do pilnowania składów.

Z chwilą gdy w pobliżu Mahiwy niemiecka sanitarka polowa dostała się do niewoli, Feliks nie narzekał na brak zajęcia. Stał przy bramie obozu Redhill i obserwował, jak komendant żandarmerii i jego podkomendni eskortują jeńców. Był wśród nich jeden chirurg, trzy niemieckie pielęgniarki i paru sanitariuszy-tubylców. Niemcy wyglądali na twardych, zahartowanych w trudach ludzi, sprawiali jednak wrażenie całkiem zadowolonych z dostania się do niewoli. Wśród rannych, których doglądali do chwili uwięzienia, było trzech oficerów brytyjskich wziętych do niewoli w minionym miesiącu. Witano ich głośnymi okrzykami, gdy na noszach byli transportowani do centralnego szpitala. Od tego czasu, w miarę jak oddziały brytyjskie zajmowały wioski i placówki misyjne wokół Lindi, internowano coraz więcej niemieckich cywilów. Południowo-wschodnia część kraju, w ostatnim roku centrum zaopatrzenia dla *Schutztruppe*, była dość gęsto zaludniona. Gdy pod silnym naporem przeciwnika armia niemiecka wycofywała się w kierunku Ruvumy i granicy z Portugalską Afryką Wschodnią, porzucano coraz więcej jeńców i rannych, by przyspieszyć odwrót.

Na widok uwolnionych jeńców brytyjskich Feliks z całą mocą uświadomił sobie fakt, że poniechał „poszukiwań” i otrząsnął się ze stanu obrzydliwego samozadowolenia. Przychylnie ustosunkowano się do jego prośby o zgodę na wyjazd do Kilwy, żeby w sztabie wywiadu zasięgnąć informacji o bracie.

*

Kilwa nie różniła się od innych miast wschodnioafrykańskiego wybrzeża. Plaża z palmami, okazały stary fort, koszary, pobielony kościół i wąskie brudne uliczki z nędznymi parterowymi domami i sklepami po obu stronach. Nie opodal plaży wznosiły się imponujące rezydencje należące dawniej do bogatszych kupców i władz kolonialnych. Feliksa skierowano do jednego z tych domów, w którym, jak mu powiedziano, mieściły się biura sztabu generalnego wywiadu. W hallu tego właśnie solidnego budynku – o jednej kondygnacji, wspartego kolumnami – znajdowała się lista urzędów, które znalazły tu siedzibę.

Przy napisie Oddział II Sztabu Generalnego (Wywiad) widniało nazwisko oficera: major R. StJ. Bilderbeck. Feliksowi wydało się ono znane. Bilderbeck – nagle przypomniał sobie, że to właśnie jakiś Bilderbeck poinformował rodzinę o szczegółach wzięcia do niewoli Gabriela. Poczł nagle podniecenie. To z pewnością jakiś znak. Wszedł po drewnianych schodach. Na górze był obszerny podest, na który wychodziło tuzin drzwi. Tablica ogłoszeń zawierała liczne rozkazy napisane na maszynie. Luźne druty telefoniczne zwisały ze ścian, przymocowane na chybił trafił. Z pokoi dochodził przytłumiony stukot maszyn do pisania. Co pewien czas ordynans, ściskając w rękach plik papierów, pojawiał się w drzwiach jednego pokoju i znikał w drugim. Na drzwiach nie było żadnych wywieszek.

Pośrodku podestu stał bardzo tęgi mężczyzna z sumiastym czarnym wąsem, w zniszczonym, wypłowiałym mundurze. Na nogach widać było brudne buty do konnej jazdy, postrzępione spodnie, był bez krawata, miał podwinięte do łokci rękawy koszuli. Feliks prezentował się niewiele schludniej. W pobliżu bazy oficerowie mają schludniejszy wygląd. W Dar es-Salam widać było nieskazitelnie ubranych oficerów sztabowych. Niewątpliwie ten człowiek musiał dopiero co przybyć z frontu.

– Przepraszam – zwrócił się nieznajomy do Feliksa. – Czy może mi pan powiedzieć, gdzie jest biuro majora Bilderbecka?

Feliks nie od razu rozpoznał amerykański akcent mężczyzny.

– Niestety, nie mogę panu pomóc – odparł. – Ja również go szukam.

– Aha. No to musimy chyba wejść do któregoś z tych pokoi. – Amerykanin wybrał pierwsze z brzegu drzwi i zastukał. Feliks usłyszał, jak ktoś krzyknął: „Wejść”. Amerykanin zajrzał do środka.

– O, nie! – powiedział gwałtownie i szybko zatrzasnął drzwi. Odwrócił się na pięcie i pełną parą ruszył w stronę schodów.

– Muszę iść – powiedział mijając Feliksa.

Drzwi, do których tamten zastukał, otworzyły się szeroko i pojawiła się w nich niezwykle wysoka, chuda postać.

– Smith. To ja, Reggie. Na miłość boską, nie poznajesz mnie?

Amerykanin, zwany Smithem, zatrzymał się na schodach, zawrócił i ze zwieszoną głową wolno wszedł na górę.

– Wheech-Browning – rzekł znużonym głosem. – Rozpoznałem cię.

– Wejdz, stary druhu. – zawołał z widoczną przyjemnością osobnik zwany Wheech-Browningiem. – Nie widzieliśmy się kupę czasu.

– Przepraszam – odezwał się Feliks. – Poszukuję majora Bilderbecka.

– Ja nim jestem poniekąd – odparł Wheech-Browning. – Zastępcą: major Wheech-Browning. Niech pan też wejdzie.

Feliks podążył za Amerykaninem do biura Wheech-Browninga i Bilderbecka. Gospodarz wskazał im ręką drewniane krzesła. Feliks przedstawił się.

– Drogi, stary Smith – powiedział czułym tonem Wheech-Browning, nie zwracając uwagi na Feliksa. – Ot i znów się spotykamy. – Spojrzał teraz na Feliksa. – Smith i ja jesteśmy starymi towarzyszami broni, prawda Smith?

– Co to znaczy, że jest pan p o n i e k ą d Bilderbeckiem? – spytał Amerykanin z wrogością, która zdumiała Feliksa. – Ja też go poszukuję.

– Macie pecha – rzekł przeproszająco Wheech-Browning. – Bilderbeck gdzieś zniknął. Prawdopodobnie nie żyje. Z tego, co ludzie mówią, wynika, że zwariował. Znacie ten typ, jeden z tych nieustraszonych facetów, co to zawsze muszą być w największym ogniu walki. Cały czas wymykał się na linie frontu. Przed paroma tygodniami zainteresował się paskudną bitwą, która rozegrała się w miejscu zwanym Bweho-Czino. Nocami najwidoczniej wychodził na okopy i obrzucał obelgami Szwabów. Którejś nocy załamał się nerwowo. Po raz ostatni widziano go, jak wymachując karabinem biegł w kierunku stanowisk nieprzyjaciela i wykrzykiwał coś o „swojej dziewczynie” i o tym, że Hunowie nie pozwalają mu jej znaleźć. – Wheech-Browning wzruszył ramionami. – Niestety, trudno coś z tego zrozumieć. Nigdy więcej już go nie widziano. – Rozłożył szeroko chude ręce. – Przepraszam. Nic nam tego dociekać. Przejąłem po nim funkcję. Zobaczmy, w czym mogę panu pomóc. Ten facet. Bilderbeck, założył fantastyczną kartotekę. Jakby jakiś wewnętrzny nakaz zmuszał go, by wszystko notować. – Zmarszczył brwi. – Właściwie nie jestem pewien, czy wolno mi udzielić panom informacji. Chyba wiadomości dla oficerów i żołnierzy są posegregowane. W pańskim przypadku. Smith, przyjmijmy, że wszystko zostało oficjalnie wyjaśnione, co? – Uśmiechnął się konspiracyjnie.

– Poszukuję informacji o niemieckim oficerze von Bishopie – rzekł Smith. – Może pan poinformować mnie, czy dostał się do niewoli albo został zabity?

Wheech-Browning poderwał się z krzesła i podszedł do rzędu szaf z kartoteką.

– Mamy akta personalne każdego oficera *Schutztruppe* – powiedział dumnie. – Oto i on. „Bishop, von F. (kapitan rezerwy). Właściciel farmy w pobliżu Kilimandżaro... um, rebelia Madzi-Madzi... dowodził kompanią w Tandze. Obecny w Kahe. Przeniesiony do Kondoa Irangi.” Teraz prawdopodobnie w sztabie von Lettowa. To wszystko. Jeśli zginął, obok nazwiska stawiamy „Z”, jeśli jest jeńcem, „J”. Zakładam, że mam rację. Nie ma „Z” ani „J”. Czy to wystarczy? – Feliks pomyślał, że na twarzy Wheech-Browninga maluje się obrzydliwy wyraz zadowolenia.

– A więc nadal tu jest – powiedział mściwie Smith. – Przynajmniej w teorii. To dobrze.

- Zgadza się – odparł Wheech-Browning. – Dlaczego dobrze?
- Muszę wyrównać z nim porachunki. To on zajął moją farmę, pamięta pan?
- Wszyscy mamy porachunki z Hunami – oświadczył pompatycznie Wheech-Browning. – Co ten człowiek zrobił?
- Wiele rzeczy – odparł wymijająco Smith. – Po pierwsze, zrujnował mnie, po drugie, ukradł mój dekortykator.
- Rany boskie, ten cholerny grzmot. Ukradł go? Jak można coś takiego ukraść?

Feliks zastanawiał się, o czym, u licha, rozmawiają. Można by pomyśleć, że klóćą się dwaj sztubacy. Przerwał im, pytając o zwolnionych jeńców wojennych.

Wheech-Browning wrócił do kartoteki i wyciągnął cienką teczkę.

- Zechciałby pan powtórzyć, jak się nazywa pański brat?
- Cobb. Kapitan Gabriel Cobb. Wzięty do niewoli w Tandze.
- Aha, Tanga – Wheech-Browning wymienił z Amerykaninem porozumiewawcze spojrzenie. – Co do tego mniej mamy... – Wheech-Browning przejechał palcem po nazwiskach na liście. – Cobb, Cobb, Cobb. Nie, przepraszam. Nie ma tu żadnego kapitana Cobba. Jeszcze chwilkę, w Taborze wyzwolono właśnie duży obóz jeniecki. – Znów zabrał się do przeglądania kartoteki. – Jest Godfrey Cobb wysłany przez Misję Uniwersytecką do Afryki Środkowej. To chyba nie on, prawda? Chyba nie.

Zamknął szuflady drewnianej szafki.

– Niestety, nie ma pan szczęścia. Wie pan, na okupowanych terenach są też różne obozy. W takich miejscach, jak Czitawa, Massasi i Nanda. – Pokazał je na mapie ściennej. – Brat może przebywać w jednym z nich. Poza tym – dodał – oddziały niemieckie zwykle wożą ze sobą jakichś jeńców. Takich, których nie chcą zwolnić, rozumie pan, co chcę powiedzieć. Nie traciłbym nadziei. Niemcy są dość skrupulatni w dostarczaniu informacji o losach żołnierzy. Gdyby były jakieś wiadomości, zostałyby to odnotowane gdzieś w aktach.

Twarz Feliksa zapłonęła nagle ogniem.

- A co z listami? – spytał. – Czy do brytyjskich jeńców dochodzą listy?
- Wheech-Browning usiadł.
- To zależy. Wysyłamy do obozów paczki żywnościowe. Zazwyczaj dołącza się do nich listy. W drodze czasami się zawieruszają.
 - Może mi pan powiedzieć, czy w ciągu ostatnich sześciu miesięcy wysłano jakiś list do mego brata?

– Drogi Cobb, nie mam zielonego pojęcia. – Wheech-Browning rozłożył bezradnie ręce. – Jestem tu zaledwie od paru tygodni, od czasu jak poczciwy Bilderbeck dostał szmergla. On by najlepiej pana poinformował. List mógł pójść. Trudno powiedzieć. Musimy polegać na szwabskich zaopatrzeniowcach. Moim zdaniem, nie są to ludzie najwyższych lotów.

Wyjaśnienie to tylko w niewielkim stopniu uspokoiło Feliksa. Wyjął notatnik i zapisał nazwy obozów jenieckich. Potem wstał i oświadczył, że musi już iść. Amerykanin także podniósł się z krzesła. Wheech-Browning zaprosił obydwóch na lunch do funkcjonującego w Kilwie „całkiem przyzwoitego małego klubu oficerskiego”. Feliks nie przyjął zaproszenia, Amerykanin ostentacyjnie zrobił to samo.

Wheech-Browning sprowadził ich ze schodów. Przy drzwiach wyjściowych powiedział jeszcze:

– Posłuchajcie tylko, na co natknął się Bilderbeck. Mówi się o tym „Chińska Parada”. Jest to plan, wyjaśnił, obmyślony przez Niemców, żeby wysłać zeppelina do Afryki Wschodniej na pomoc armii von Lettowa.

– Prawda, że niezwykle pomysł? Miejcie oczy otwarte na statek powietrzny.

Zrobił ruch, jakby podnosił do ramienia karabin i strzelał z obu luf. – Nie rozumiem jednak, co to ma wspólnego z Chinami.

Feliks i Amerykanin pożegnali Wheech-Browninga i brzegiem morza poszli w stronę centrum miasta drogą wysadzaną palmami.

– Ciągłe natykam się na tego faceta – powiedział Smith. – I zawsze wtedy ginie człowiek.

– Chodzi o Wheech-Browninga?

– O nim mowa.

Feliks nic nie odpowiedział. Wiadomość o listach nie dawała mu spokoju. Zapadło milczenie. Szli bez słowa. Żeby coś powiedzieć, Feliks podjął temat zeppelina. Stwierdzili zgodnie, że to prawdopodobnie jakiś wytwór chorej wyobraźni Bilderbecka.

Doszli do samochodu Feliksa.

– Są wielkie, prawda? – spytał Amerykanin.

– Co takiego?

– Te zeppeliny.

– Chyba tak. Ale będzie musiał lądować w obozie Redhill, jeśli mam go zobaczyć. Moja kompania w kwietniu przeszła do rezerwy.

– Niech pan poprosi o przeniesienie do Królewskich Strzelców Afrykańskich.

– Chodzi o mojego brata, rozumie pan. Ogromnie mi zależy, by go odnaleźć.

– Tak – Smith skinął głową, ale sprawiał wrażenie, jakby nie w pełni rozumiał słowa Feliksa. Nastąpiła dalsza przerwa w rozmowie. – Coś panu powiem – odezwał się Amerykanin. – W ostatnim tygodniu natknęliśmy się na obóz jeniecki, ale tylko z Portugalczycami. Jeśli natrafimy na jakiś inny, poszukam pańskiego brata. Jak wygląda?

– Blondyn. Nazywa się Gabriel Cobb. Wysoki, dobrze zbudowany. Zupełnie do mnie niepodobny.

W drodze powrotnej do obozu Feliks myślał o przeniesieniu. Stale formowano nowe bataliony KSA, nie powinno być wielkich trudności.

Po przybyciu na miejsce przed swym namiotem zastał ponurego Gilzeana.

– Jak się macie, sierżancie? – spytał. – Co się stało?

– Ruszamy w drogę, panie poruczniku – odparł ponurym tonem Gilzean. – Dwunasta kompania rusza na front. Będziemy zdobywać miejsce zwane Nam-bindingą.

ROZDZIAŁ PIĄTY

19 LISTOPADA 1917 ROKU
NANDA, NIEMIECKA AFRYKA WSCHODNIA

W bezpiecznym miejscu w zaroślach przed domem Liesl, Gabriel zmienił znacznie pozycję, starając się poruszać jak najciszej. Tego wieczoru pełno było u niej oficerów niemieckich, wiedział zatem, że długo przyjdzie mu czekać, zanim Liesl uda się na spoczynek. Zielona gałąź, na której siedział, nagle złamała się z trzaskiem i z głośnym szelestem liści wylądował łagodnie na obydwu nogach. Zamarł z przerażenia, ale wydawało się, że nikt nie usłyszał hałasu.

Przez ostatnie trzy dni Nanda przypominała miasto garnizonowe. Wycofujący się generał von Lettow wraz ze sztabem utworzył tu chwilowo swą bazę. Ponad tysiąc askarysów z oddziałami wspomagającymi okupowało każdy dostępny budynek w mieście. Gabriel, żeby nie zwracać na siebie niepotrzebnie uwagi, nie oddalał się od szopy, w której odbywała się destylacja chininy, i od swej chatki. Liesl powiedziała mu, że Deeg zamierza wnieść protest do von Lettowa i wsadzić go do więzienia. Uważała, że nie ma się czym martwić, jej zdaniem małe są szanse, by w tych warunkach Deeg w ogóle zbliżył się do generała. Sztab wyniesie się z miasta za dzień lub dwa, Brytyjczycy są tuż tuż.

– Być może wojna wkrótce się dla nas skończy – powiedziała rzeczowym tonem. – Niebawem będziesz mógł wrócić do kraju, do rodziny.

Gabriel nigdy nie wspominał o Charis.

– A co się z tobą stanie? – spytał, zmieniając temat.

– Kto wie, może pojedę z Deppem do Czitawy.

– Z Deppem?

– Mam nadzieję, że nie – zaśmiała się lekko. – Albo do Dar es-Salam.

Wszystkich cywilów wysyłają do Dar.

Dalej snuła przypuszczenia o tym, co może ich czekać. Gabriel się nie odzywał. Po raz pierwszy dotarła do niego realność wyzwolenia, które miało już wkrótce nadejść. Wojska brytyjskie znajdowały się w odległości osiemdziesięciu kilometrów. Od trzech lat przebywał w niewoli. Za dzień, dwa wszystko się skończy. Będzie wolny.

Dlaczego zatem, zapytywał siebie, targając nim wątpliwości, dlaczego nie czuje zadowolenia? Prowadzi w Nandzie życie, o dziwo, bezpieczne i nieskomplikowane: przyszłość zapowiada tylko problemy, nowe układy, obowiązki, z którymi nie wiadomo, czy poradzi sobie tak, jak przed wojną. Z niepokojem stwierdził, że myśli o Charis i o tym, jaki był w chwili, gdy zadano mu cios bagnetem. Zbliżanie się armii brytyjskiej obudziło uspięne instynkty i przywiodło na myśl dawne wartości. Teraz, kiedy musiał stawić im czoło, wydawały się, przyznał uczciwie, obce i – co gorsza – niepożądane.

Tego rodzaju myśli sprawiły, że prześliznął się na tyły obozu i przekazał podoficerom wiadomości o zbliżaniu się wojsk brytyjskich.

– Brawo, panie kapitanie – powiedział jeden z nich, jakby Gabriel dokonał jakiegoś bohaterskiego czynu. Inni też po cichu wyrazili słowa uznania.

– Niech pan będzie ostrożny, panie kapitanie – doradził któryś.

W drodze powrotnej, skradając się do swej chaty, spojrzął przez chwilę na siebie ich oczami: młody oficer w środku obozu nieprzyjaciela, który prowadzi niebezpieczną podwójną grę, naraża się na niebezpieczeństwo – być może ryzykuje życie! Po powrocie do szpitala, kiedy zastanawiał się nad prawdziwymi motywami swoich decyzji, ogarnął go wstyd i odezwało się poczucie winy. Czuł się wewnętrznie rozdarty między lojalność a miłość. Co powinien zrobić? Nie znalazł odpowiedzi, nic zatem nie robił. Czuł się irytująco bezradny. Bezczyność nie była żadnym rozwiązaniem, ale wydawało się, że tylko do tego jest zdolny.

Obecność Liesl pogłębiała uczucie coraz większej frustracji. Była niezwykle troskliwa i uprzejma, jakby myśl o zbliżającym się rozstaniu kazała jej przeanalizować i ocenić ich dziwny stosunek. Tamtego popołudnia przyszła do szopy krytej liśćmi palmowymi, gdzie gotowano korę chinowca w olbrzymich metalowych kadziach. Gabriel stał bez koszuli i bambusowym kijem mieszał bulgocący płyn, od kłębów pary i żaru ognia jego chude piersi mokre były od potu. Kiedy ją zobaczył, przerwał pracę. Trzymała w ręce dwa „prawdziwe” papierosy – „od Ericha”, powiedziała. Stanęli w cieniu rozłożystego mangowca i paląc rozmawiali o przyszłości.

– Cieszysz się, że wracasz do domu? – spytała.

– Tak. Chyba tak.

– Pojedziesz może do uzdrowiska Leamington.

– Co takiego?

– Odwiedziłam kiedyś Leamington. Mieszkała tam matka Ericha.

– Nigdy tam nie byłem.

– Przyjemne miasto.

Uprzejma wymiana zdań sprawiła mu nieznośny ból. Opanował go strach, czuł się jak uczeń pierwszego dnia w nowej szkole z internatem: czekały go rzeczy dziwne, zdumiewające. W jaki sposób będzie musiał się sprawdzić? Na jakie próby zostanie wystawiony?

Nagle wyraźnie i dobitnie zdał sobie sprawę, że nie stanie na wysokości zadania, że jest słaby. Czuł, iż się poddaje i rozpaczliwie potrzebuje pomocy. Spojrzał na stojącą obok silną, spokojną kobietę. Przyglądała się promieniom słońca na wypalonej żarem trawie poza kręgiem cienia. Ręka z papierosem zastygła w powietrzu, spirala niebieskiego dymu unosiła się w górę w ciemnozielony gąszcz liści nad ich głowami. Ogarnęło go nagle okropne uczucie, że nic poza tym momentem, poza Nandą, w przyszłym życiu nie będzie już tak trwale i pewne. Podał się zatem bez zastanowienia nastrojowi tej ufnej ciszy. Potem Liesl odeszła i wątpliwości, jak gołębie pocztowe, wróciły i zaczęły go nękać.

*

Wspomnienie tych ulotnych chwil w cieniu drzewa skłoniło go tego wieczoru do podjęcia ryzykownego wypadu przez plantacje do bungalowu Liesl. Wszędzie kwaterowało wojsko, musiał więc poruszać się bardzo ostrożnie. Chciał jednak zobaczyć ją raz jeszcze, pragnął ujrzeć jej blade, nieświadome niczego ciało i na zawsze utrwalić ten obraz w pamięci.

Skoro tylko zobaczył mały bungalow, wiedział, że szczęście go opuściło. Na chwiejącej się werandzie rozgościła się grupa niemieckich oficerów w bardzo niechlujnych, obszarpanych mundurach. Siedziała z nimi Liesl i dwie żony plantatorów. Gabriel rozpoznał von Bishopa, jego charakterystycznie ogoloną na zero głowę, wydatny nos i wychudzone policzki, które nadawały jego twarzy wyraz jakby spłoszony, zdumiony.

Gabriel zakradł się do swej kryjówki, mimo wszystko mając nadzieję, że jak zwykle ujrzy nagą Liesl w sypialni, tym razem jednak w jej pokoju nie zapaliło się światło. Postanowił czekać. Słyszał, jak goście opuszczają werandę i gromadzą się w bawialni małego bungalowu. Wkrótce z chaty kuchennej za domem służba zaczęła przynosić parujące misy jedzenia. W miarę jak goście zaczęli czuć się swobodniej, słyszał coraz głośniejsze rozmowy przy stole. Starał się znaleźć bezpieczne schronienie w gąszczu zarośli, wiedząc, że ma przed sobą kilka godzin czekania – wtedy to właśnie złamała się gałąź.

Rozmowa toczyła się nieprzerwanie. Ze swego miejsca w zaroślach mógł niemal rozróżnić poszczególne słowa. Zadawał sobie bezwiednie pytanie, czy powinien się zdobyć na wysiłek i podsłuchiwać, ale postanowił dać sobie spokój.

Potem zauważył, że przy tylnych drzwiach zrobił się jakiś ruch, posłyszał szmer głosów służących. Więc jednak hałas wzbudził podejrzenia. Postanowił bezzwłocznie stąd odejść. Siłą nakazał sobie spokój. Jakakolwiek nie rozważna ucieczka natychmiast go zdradzi. Przy tylnych drzwiach domu kręciła się służba. Najwyraźniej nie wiedzieli, co robić. Bardzo wolno Gabriel opadł na kolana.

Nie spuszczać wzroku z grupy stojącej przy tylnych drzwiach, zaczął centymetr po centymetrze wycofywać się przez zarośla. Zobaczył, że z chaty kuchennej przyniesiono latarnię, z tylnych drzwi wygląda czyjaś biała twarz.

– *Haiti* – dobiegł go z tyłu cichy głos.

Poczuł, jak serce mu zamiera. Odwrócił się. Stał nad nim biały oficer i dwóch askarysów z wycelowaną bronią. Na karabinach mieli zatknięte bagnety. Kiedy usłyszał pospieszne kroki od tylnych drzwi, poczuł, jak krew odbiega mu od serca. Kołyszące się światło latarni migotało na tępych stalowych ostrzach. Zemdlał.

*

Oprzytomniał na werandzie bungalowu. Siedział na trzciniowym fotelu z głową między kolanami. Oczy miał utkwione w nierównych deskach podłogi. Między butami zobaczył fruującą mrówkę mającą tylko jedno skrzydełko, krążyła, daremnie próbując pokonać pewną odległość. Podniósł wzrok i ujrzał krąg niemieckich twarzy. Za oficerami stała Liesl. Trwała burzliwa wymiana zdań. Dyskutowano podniesionymi głosami. Jego obecność wywołała nieprawdopodobne zamieszanie.

– Jak długo stał pan przed domem? – zapytano ostrym głosem po niemiecku.

– *Fünf Minuten* – skłamał automatycznie, zanim zrozumiał, o czym ich jednocześnie poinformował. Postanowił mówić po angielsku. – Pięć minut – powtórzył idiotycznie. Zanim znów opuścił wzrok, przez krótką chwilę pochwyił zatroskane spojrzenie Liesl. Lewa dłoń drżała gwałtownie, zakrył ją prawą.

Słyszał dalszą rozmowę, tym razem ściszone głosy. Słyszał Liesl, a później donośne rozkazy. Siedział w milczeniu. Zaraz potem zobaczył Deega z grymasem uśmiechu na twarzy. Brutalnym szarpnięciem postawiono go na nogi i zabrano w asyście czterech askarysów. Zaprowadzono go główną ulicą Nandy do małej drewnianej szopy służącej za skład, tuż przy palisadzie obozu jenieckiego. Zanim został wepchnięty do środka, usunięto z niej kilka worków mąki kukurydzianej. Usłyszał zgrzyt rygła, szmer głosów, a potem zaległa cisza. Nie mógł się zorientować, czy pozostawiono przy nim strażnika.

Obszedł po omacku szopę. Była mała, około dwóch metrów na trzy. W ścianach, zbitych nierówno z desek, widać było liczne szpary, przez które wkradało się blade światło księżycy. Strzecha zrobiona z trawy pełna była poruszających się owadów i jaszczurek.

Gabriel usiadł w kącie. Ku swemu zdumieniu był zupełnie spokojny. Zastanawiał się, co z nim zrobią. Wyrzał przez szczelinę w tylnej części szopy, ujrzał jedynie jakieś mgliste, niewyraźne zarysy. Po chwili dobiegły go czyjeś głosy.

Drzwi zostały otwarte i weszło dwóch ludzi, jeden z latarnią w ręce. Gabriel stanął niepewnie na nogi. Rozpoznał, von Bishopa, jego wydatny nos dziwnie oświetlała latarnia kołysząca się w ręku drugiego mężczyzny o smukłej, eleganckiej sylwetce. Gabriel zapamiętał tę postać: był to Rutke, adiutant von Letowa.

– Jedno pytanie, kapitanie Cobb – powiedział von Bishop po angielsku.

Gabriela zdumiał jego wysoki głos, wyrażający raczej zmęczenie niż wrogość. – Czy to pana własność?

Podał Gabrielowi mały zwitek postrzępionych papierów. Gabriel wziął go do ręki. Jego *dossier*. Nie było sensu zaprzeczać. Oddał papiery z powrotem.

– Tak.

– Herr Deeg poinformował mnie... – w tym momencie ze złośliwym uśmiechem na twarzy wkroczył do szopy Deeg, ale został natychmiast odprawiony przez Rutkego. – ... Herr Deeg poinformował mnie – zaczął znów von Bishop – że złożył pan przysięgę. Złamał ją pan, działając jako szpieg – pańskie słowo oficera. Co pan ma na swoje usprawiedliwienie?

Gabriel nic nie odpowiedział.

Do przodu wystąpił teraz Rutke.

– Co panu wiadomo o *das chinesische-Geschäft*?

– Nic – odparł Gabriel i uprzytomnił sobie, że raz jeszcze zbyt szybko udzielił odpowiedzi. – To znaczy, nie wiem, o czym pan mówi. – Postanowił być uczciwy. Uczciwy tam, gdzie można: taka zasada obowiązuje przy przesłuchaniu, o czym się kiedyś dowiedział. – Słyszałem tę nazwę – przyznał szczerze. – Ale nie mam pojęcia, co ona oznacza.

Rutke i von Bishop wymienili znaczące spojrzenia.

– No cóż – powiedział znużonym głosem von Bishop. – Niestety, będzie pan musiał trochę dłużej pobyc w tej szopie. – Przerwał, potem wsadził wskazujący palec w ucho i poruszał nim energicznie. – Był pan ranny w Tandze, prawda? – dodał przyjaźniejszym głosem. – Czy zna pan angielskiego oficera o nazwisku Bilderbeck?

– Tak – odparł Gabriel. – Skąd pan wie? – Myślam wrócił do wydarzeń sprzed trzech lat, do podróży na „Homayunie” i do pierwszej bitwy. Wydawało się, jakby od tamtej pory minęły całe wieki.

– Nie żyje – oświadczył von Bishop i spojrzał na czubek palca. – Zmarł przed kilkoma tygodniami. Byłem w Tandze. Spotkałem go. Pamiętałem, że byliście przyjaciółmi.

– Tak. W pewnym sensie byliśmy.

– Pomyślałem, że zainteresuje pana ta wiadomość.

– Dziękuję – odparł Gabriel. – Dziękuję, że pan mi powiedział. – Co za osobliwy człowiek z tego von Bishopa. Gabriel zastanawiał się, w jakich okolicznościach poniósł śmierć Bilderbeck. Zastanawiał się, czy von Bishop mu grozi.

Następny dzień włókł się przeraźliwie wolno. W zamkniętej szopie panował upał i smród. Mrowie much brzęczało i krążyło w ciemnościach. Dwukrotnie pojawił się Deeg i zaprowadził go do latryny za obozem. Gdy tylko wychodził, miał eskortę w osobie Deega i czterech ruga-ruga. Drugim razem, kiedy w drodze powrotnej utykając mijał obóz, kilku jeńców powitało go głośnymi okrzykami.

– Niech pan się trzyma, panie kapitanie – zawołali. – Niech pan się nie martwi, niedługo przyjdą tu nasi chłopcy.

Gabriel przywołał na usta uśmiech i pomachał im ręką. Ruga-ruga, uzbrojeni w karabiny, podbiegli i zaczęli zawzięcie uderzać w ogrodzenie kolbami, wypychając je między druty. Posiłek składał się tego dnia z butelki wody i miski kaszy kukurydzianej.

W nocy Gabriel rozciągnął się na ubitym klepisku i starał się ułożyć wygodnie do snu. Tępy ból dokuczał mu w nodze i drgało już całe lewe przedramię. Zamknął oczy. Zastanawiał się, kiedy dotrze tu armia brytyjska.

Przewrócił się na drugi bok. Klepisko było twarde. Brzęczące moskity atakowały każdy odsłonięty kawałek ciała. Bóg jeden wie, jaki rodzaj kleszczy i robactwa gnieździ się w tej szopie. Usłyszał wyraźny szelest. O Boże, pomyślał ogarnięty strachem, usiadł. W słomianym dachu siedzi szczur albo wąż...

– Gabrielu! – usłyszał szept.

Podskoczył przerażony. Za szopą stała Liesl. Podczołgał się w tamtą stronę. Przez dużą szparę między deskami zobaczył skrawek jej bladej twarzy.

– Nic ci się nie stało? – spytała.

– Nic – odparł. – Jest tam strażnik?

– Nie. Posłuchaj, Gabrielu. Chcę ci coś powiedzieć. Mają zabrać cię ze sobą.

Gabriel zamarł ze strachu.

– Kto? Gdzie?

– Nasze wojska. Zamierzają przekroczyć Ruvume i dostać się do Portugal-
skiej Afryki Wschodniej.

– O mój Boże. Kiedy?

– Nie wiem. Jutro. Pojutrze.

– O Boże – Gabriel wpadł w panikę. – Ale dlaczego? Na litość boską, dla-
czego mnie?

– Nie mam pewności. Erich nic nie mówi. Chyba mnie trochę podejrzewa. Mówią, że znasz jakąś tajemnicę.

Gabriel czuł na policzku jej oddech. Ich twarze oddalone były od siebie za-
ledwie o parę centymetrów, oddzielała je drewniana ścianka.

- Tajemnicę? Jaką tajemnicę?
- Nie wiem. Mówią, że znasz tajemnicę, i tyle.

Gabrielowi zbierało się na płacz. Cóż takiego wie, co byłoby tak bardzo ważne? Pomyślał o informacjach zebranych w *dossier*. Od tygodni nie były już aktualne. Z pewnością to nie z ich powodu zabierają go do Portugalskiej Afryki Wschodniej.

- Co to może być za tajemnica? – powtórzył w zamyśleniu.
- Nie wiem, Gabrielu. Oni mi tego nie powiedzą.
- Musisz mi pomóc, Liesl – rzekł z rozpaczą. – Muszę się stąd wydostać.

Nie mogą mnie zabrać.

– Powiedziałam im to – odezwała się. – Tłumaczyłam, że jesteś słaby, że wymagasz opieki lekarskiej.

- Racja – przyznał niemal płaczącym głosem. – To mnie zabije.
- To samo im powiedziałam.
- A co oni na to?
- Twierdzą, że mają lekarzy, że to nie ma znaczenia.
- Liesl, musisz mi pomóc. – Gabriel podniósł nieco głos.
- Szsz. Oczywiście, że pomogę. – Mogło się wydawać, że jest to najnormalniejsza prośba pod słońcem.

– Muszę uciec. – Gabriel zbierał szybko myśli. – Przynies coś do kopania. Nóż albo coś ostrego. I trochę jedzenia, i wody... Jak daleko są Brytyjczycy?

– Gdzieś w pobliżu Nambindingi. Chyba około czterdziestu pięciu kilometrów stąd.

- To znaczy na północ?
- Dokładnie na północ.
- Czy mogłabyś przynieść mi to wszystko jutro wieczorem?
- Tak. O tej samej porze. Erich pomyśli, że jestem na dyżurze w szpitalu. Milczeli przez chwilę. Gabriel zobaczył odbłask światła w oku Liesl.

- Gabrielu?
- Słucham.
- Co robiłeś koło mojego domu?

Przełknął ślinę.

- Przyszedłem cię zobaczyć.
- Mnie? Dlaczego?
- Miałem powód. Chciałem cię zobaczyć.
- Dlatego, że kończy się wojna?
- Tak, właśnie dlatego.

– Erich, Rutke i Deeg mówią jednak, że jesteś szpiegiem. Że cały czas działałeś jako szpieg.

– To nieprawda. – Potem dodał ochryplym od szczerości głosem. – Robiłem to, żeby w ogóle coś zrobić.

– Dlaczego?

– Żeby się podnieść na duchu.

– Powiedziałaś im, że nie jesteś szpiegiem. – Zawiesiła głos. – Powinnam już iść.

Gabrielowi przyszła do głowy jeszcze jedna myśl.

– Liesl. A więc jutro wieczorem. Możesz przynieść mi kawałek papieru i ołówek?

– Papier i ołówek? Na pewno? Zgoda. Przyniosę.

*

Następny dzień ciągnął się tak wolno jak poprzedni. Gdy Gabriel wychodził do latryny, spostrzegł, że w mieście panuje wzmożony ruch: widać było kolumny maszerujących żołnierzy, oficerów spieszących gdzieś na rowerach, panowała atmosfera przygotowań do wymarszu. Modlił się, żeby nie wyruszyli przed zmierzchem. Po południu miał wrażenie, że słyszy odległe odgłosy ognia armatniego, nie miał jednak pewności.

Wieczorem zgodnie z obietnicą przyszła Liesl. Przez szczelinę między deskami wsunęła płaski kawałek żelaza, przypominający ciężki zawias. W ciągu dziesięciu minut Gabriel wykopał pod ścianą wgłębienie na tyle duże, że mogło się przez nie przecisnąć jego chude ciało. Liesl pomogła mu wstać i podała stary worek.

– To jest jedzenie i butelka wody – szepnęła. – Trochę zapalek, kawałek sera i dwie świece na wszelki wypadek. Gabrielu, proszę cię, nie odchodź daleko. Ukryj się gdzieś w pobliżu. Nie opóźnią przez ciebie wymarszu. Sporo osób zostaje i czeka na przyjsie Anglików. Pozostań w ukryciu przez dwa dni, a potem wracaj.

– W porządku – powiedział Gabriel.

Jej słowa prawie do niego nie docierały. Stali oparci o tylną ścianę szopy. Światło księżycy w kwadrze pozwoliło Gabrielowi dostrzec jej wyraziste rysy. Pogrążone w ciemnościach oczy, nozdrza, nie domknięte usta. Szepotali oddaleni od siebie zaledwie o parę centymetrów. Gabriel wdychał jej zapach: lekką woń papierosowego dymu, świeży zapach potu. Wyczuwał w ciemności zarys jej miękkiego ciała znajdującego się w zasięgu ręki. Czuł przemożną chęć, by wziąć ją w ramiona. Żeby chociaż raz poczuć jej piersi przyciśnięte do swoich. Żeby choć raz obsypać pocałunkami jej szyję, zatracić się zupełnie, złączyć w jednym nierozzerwalnym uścisku...

– Gabrielu.

– Słucham.

– Zapomniałam o papierze. Włożyłam do torby *Cierpienia młodego Wetera*. Czy to wystarczy? Na kartkach jest miejsce na notatki.

– Tak – odparł. – Wystarczy.

Poczuł niewypowiedzianą wdzięczność dla tej silnej, upartej kobiety. Potarł czoło. Kiedy pomyślał o tym, co go czeka, znów ogarnęło go poczucie bezradności. Gdyby tylko nie złapali go koło domu Liesl, gdyby tylko... Mógłby cierpliwie czekać na przyjscie Brytyjczyków.

– W mieście jest bardzo spokojnie – powiedziała Liesl. – Linia frontu utworzyła się na północy; około dziesięciu kilometrów stąd. Uważaj.

Masz – wręczyła mu mały kawałek ołówka.

– Dziękuję. – Gabriel wsunął go do kieszeni.

– Dla *Jungen Werther* – powiedziała. – Na pamiątkę.

Gabriel poczuł, jak ogarnia go bezgraniczny smutek. Jakby miał wyruszyć w długą, uciążliwą podróż. W oczach zabłyśły nieproszone łzy.

Cofnął się o krok.

– Pójdę już – powiedział starając się opanować drżenie głosu. – Tą drogą, potem przez plantację okrążę miasto.

– Uważaj na siebie. Tylko dwa dni. Znajdź gdzieś bezpieczną kryjówkę. Potem wracaj.

Jej głos nie brzmiał błagalnie, wyrażał tylko naturalną troskę. Ma nadzieję, że znów mnie zobaczy, pomyślał. Wydało mu się nagle, że nadszedł odpowiedni moment, aby wyjawic swe uczucia. W pewien sposób usprawiedliwiłoby to jej poczynania, ryzyko, które podjęła. Starał się dobrać właściwe słowa, by wyrazić to, co czuje.

Liesl dotknęła jego łokcia.

– Powinieneś już iść.

– Dziękuję ci. Liesl – zaczął. – Nie wiem... co czuję. Co ja...

– Nie przejmuj się. To nieważne. Wracaj zaraz po ich odejściu.

– W porządku – odparł. – Za dwa dni. – Podniósł z ziemi worek, pomachał w ciemności drżącą ręką i ruszył ostrożnie w kierunku drzew drogą porytą bruzdami.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

22 LISTOPADA 1917 ROKU

NANDA, NIEMIECKA AFRYKA WSCHODNIA

Von Bishop i Rutke spoglądali na dół, który Gabriel wykopał pod drewnianą ścianą. Zza szopy wyszedł spocony, zdenerwowany Deeg, trzymając w rękę żelazny zawias.

– Oto narzędzie, którym kopał – powiedział wściekłym głosem.

– Skąd on je wziął? – spytał von Bishop. – A gdzie był strażnik?

– No cóż. Nikt go nie pilnował ubiegłej nocy. Mieliśmy różne obowiązki, a Cobb to człowiek chory. Na drzwiach były solidne rygle. Myślałem...

– Ktoś mu pomógł – powiedział Rutke. – To oczywiste. Ale kto?

Główną ulicą nadjechał na rowerze niewysoki mężczyzna, zatrzymał się przy nich. W ustach miał papierosa. Von Bishop i Rutke zaszalutowali. Deeg drżąc, stanął na baczność, z zadartą brodą, z kciukami na szwach spodni. Był to generał von Lettow-Vorbeck.

– Czy ten człowiek, który wie o „Chińskiej Paradzie”, uciekł? – upewnił się von Lettow.

– Tak, ostatniej nocy – odparł von Bishop. – Ale jest chory, nie może odejść daleko.

– Rozumiem. – Generał chwilę milczał. – Powinien go pan schwytać, Erich.

– Ja, panie generale?

– Tak, proszę wziąć do pomocy żołnierzy z oddziałów uzupełniających.

Była to ostatnia rzecz, jakiej pragnął von Bishop.

– Czy na pewno, panie generale?

Von Lettow zmarszczył brwi. Zdjął kask tropikalny i wytarł chustką wielką głowę.

– Tak – rzekł stanowczo. – Przekraczamy Ruvumę w miejscu, gdzie łączy się z Ludjendą. Za dwa, trzy dni. Proszę tam do nas dołączyć. Niech pan nie traci czasu, Erich. Zeppelin nie będzie już dla nas istotny, gdy przepawimy się przez rzekę.

Von Lettow i Rutke odeszli, żeby dołączyć do głównych oddziałów *Schutztruppe* stacjonujących w odległej o pięć kilometrów Newali. Stamtąd właśnie dostał von Bishop o świcie nagłą wiadomość od Deega. W Nandzie właściwie nie było już wojska. Pozostali tylko liczni chorzy i ranni w szpitalu, dwa tuziny kobiet i dzieci z sąsiednich plantacji oraz Deeg, jego oddział ruga-ruga i szesnastu więzionych podoficerów.

Von Bishop kazał Holendrowi wybrać do pościgu trzech najlepszych ludzi. Sam Deeg i reszta jego oddziału mieli czekać w Nandzie na nadejście Brytyjczyków i oddać się do niewoli.

Von Bishop szedł ociężale pustą główną ulicą w kierunku szpitala. Zebrano tu wszystkich rannych i chorych. Szpital był tak przepelniony, że wielu pacjentów leżało na zewnątrz w cieniu drzew. Część z nich ulokowano w skleconych naprędcie szalaszach. Po drugiej stronie drogi, naprzeciw szpitala, przy głównej bramie ogrodzonego drutem obozu uformowała się osobliwa grupa jeńców brytyjskich.

Von Bishop zobaczył Liesl stojącą na wąskiej werandzie przed szpitalem, w męskiej pozie, z rękami założonymi do tyłu, z rozstawionymi nogami. Wpatrywała się w monotony krajobraz, kołysząc się lekko w przód i w tył. Paliła papierosa i – co von Bishop zauważył z hamowaną irytacją – była w przeciw-słonecznych okularach.

Zobaczyła, że nadchodzi.

– Erich! – wykrzyknęła. – Co ty tu robisz? Myślałam, że *Schutztruppe* jest w Newali.

Kilku rannych leżących na noszach na końcu werandy spojrzęło z zaciekawieniem.

– To prawda – odparł. – Przyjechałem dziś rano. – Przerwał, przyglądając się badawczo jej twarzy. – Wiesz, że uciekł?

– Kto? Gabriel? Nie, nie wiedziałam. Kiedy? – Sprawiała wrażenie obojętnej. Zaciągnęła się papierosem, potem spojrzęła na jego rozżarzony koniec.

Von Bishop, zawiedziony, wpatrywał się w ciemne, nieprzezroczyste szkła okularów. Nazwała go Gabrielem.

– Tak, Cobb – dodał sarkastycznie. – Ktoś z miasta musiał mu pomóc.

Wzruszyła ramionami.

– Długo tu przebywał; Znają go wszyscy boyowie.

– Mam go ścigać – rzekł. – To rozkaz von Lettowa.

– Jak uważasz, Erich – odparła i wypuściła kłęb dymu w kierunku słońca.

Von Bishop podciągnął popręgi. Jego muł skubał z zadowoleniem suchą trawę. O kilka metrów dalej stało trzech ruga-ruga wybranych przez Deega. Von Bishop był zaniepokojony i zdenerwowany. Pożegnał się z Liesl, ale wypadło to okropnie formalnie i sztucznie. Powiedział, że po schwytaniu Cobba dołączy do tylnych oddziałów wojsk von Lettowa i dodał, że Liesl, bez wątpienia, zostanie na czas wojny internowana w Dar.

– Musimy dalej walczyć – oświadczył bez większego przekonania. – Za wszelką cenę.

– Oczywiście, Erich – odparła.

Powiedział „do widzenia” i podszedł, żeby ją pocałować. Zdjęła okulary i na krótką chwilę ich usta się zetknęły. Von Bishop zrobił krok w tył i położył wyprostowane ręce na jej ramionach. Spojrzał zdumiony w oczy Liesl. Żona wydała mu się kimś obcym. Nagle zauważył, że ma pulchne ręce i ramiona, a sukienka marszczy się i opina na jej piersiach. Kiedyś była to ładna kobieta, pomyślał smętnie. Jak ją ta wojna zmieniła!

Z westchnieniem dosiadł muła. Zobaczył Deega nadchodzącego od strony obozu.

– Jestem pewien, że skieruje się na północ, w stronę Brytyjczyków – powiedział Deeg. – Przykazałem moim ludziom rozpytywać tubylców w wioskach. Ci wiedzą o wszystkim. Przy odrobinie perswazji...

– Dobrze, dobrze – odparł rozdrażniony von Bishop. Doprawdy, ludzie tacy jak Deeg przynoszą tylko wstyd. – Czy wasi ruga-ruga mówią suahili?

– Ach! Żałuję – usprawiedliwiał się Holender. – ale bardzo słabo. Są pojętni, szybko się uczą. Bez trudu można ich skłonić do tego, żeby zrozumieli każdy rozkaz.

Von Bishop popatrzył na ruga-ruga. Dwaj mieli na głowie filcowe czapki bez daszków. Trzeci był z gołą głową wygoloną dokładnie, z wyjątkiem okrągłej kępki nad czołem. Za ubranie służyły im kawałki cuchnących, wystrzępionych koców, uzbrojeni byli w stare strzelby z 1870 roku. Do pasa mieli przywiązane wielkie maczety. Uśmiechali się do niego zwycięsko, odsłaniając spilowane, ostre zęby.

Zdecydowanie jest to najgorszy rodzaj oddziałów uzupełniających, pomyślał von Bishop. Ale przynajmniej znają okolice. Cobb nie ucieknie daleko.

– W drogę – rozkazał. Kopnął muła i z biegnącymi z tyłu ruga-ruga minął główną ulicę.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

22 LISTOPADA 1917 ROKU

PŁASKOWYŻ MAKONDE, NIEMIECKA AFRYKA WSCHODNIA

Po rozstaniu z Liesl Gabriel zakradł się na plantację drzew gumowych i czekał tam do świtu. Z chwilą, gdy ujrzał blade światło dnia, ruszył przez rzadki busz, mając po prawej stronie wschodzące słońce. Szedł bez trudu. Teren był gdziegdzie zalesiony, ziemię porastała gęsta, sięgająca pasa trawa z gmatwaniną ciernistych zarośli. Poruszał się ścieżkami tylko wtedy, gdy prowadziły na północ. Chciał pokonać jak największy odcinek drogi, póki nie poczuje zmęczenia. Omijał wioski tubylcze, ale nie starał się ukrywać. Główne siły niemieckie, o czym wiedział, stacjonowały teraz na południe od Nandy, w Newali. Tylna straż zajmowała drogę do Nambindingi, na północ od miasta. Zamierzał iść na północ przez dzień lub dwa – zależnie od tempa marszu – potem skręcić na wschód, kreśląc w ten sposób dwa ramiona trójkąta, którego przeciwprostokątną wyznaczały Nanda i Nambindinga. Obliczył, że za jakieś trzy dni powinien spotkać nadciągające oddziały brytyjskie.

Mniej więcej po godzinie marszu zauważył, że teren zaczyna się wznosić, miał przed sobą łagodne wzgórza rozległego płaskowyżu Makonde, którego skraj oddzielał Nandę od Nambindingi. Bujna roślinność porastała niższe partie terenu, szedł więc przeważnie przez busz, w którym z rzadka rosły cienkie, wysokie drzewa. Wczesnym przedpołudniem znalazł bezpieczne miejsce na odpoczynek nad wyschniętym potokiem z gęstą zasłoną krzewów i zarośli. Schronił się w skrawku cienia, zjadł twardy, prażony chleb od Liesl i wypił kilka łyków wody.

Poczuł się dziwnie rozradowany i zadowolony z siebie. Kulejąca noga niosła go całkiem nieźle. Prawie nie bolała. Wyjął z worka książkę od Liesl, *Die Leiden des Jungen Werthers* – Cierpienia młodego Werthera, przetłumaczył. Nigdy jej nie czytał, cienkie kartki służyły mu do skrętów.

Brakowało osiemdziesięciu siedmiu stron. Zaczął notować na górnym i dolnym marginesie pierwszej z brzegu kartki. Z lekkim zażenowaniem napisał: „Raport kapitana G. H. Cobba z 69 Lekkiej Piechoty Palamcottahskiej. Wzięty do niewoli w Tandze 4. 11. 1914 roku. Opis uwięzienia i ucieczki.” Przerwał. Wiedział, że może zginąć, i dlatego poprosił Liesl o coś do pisania. Jeśli znajda ciało, chciał, żeby ustalono jego tożsamość i znano przebieg wypadków. To była sprawa najważniejsza.

„Najbliższy krewny – pisał – major...” – Przerwał, wykreślił „majora”, wstawił „Charis Lavery Cobb, dom w posiadłości Stackpole, Kent”. Przy stawianiu kropki złamał mu się ołówek. Zaklął. Imię Charis i znajomy adres obudziły w nim drzemiące wspomnienia. Zaczął myśleć o wspólnych dniach spędzonych w Trouville, o spacerach po promenadzie. Przywołał na pamięć obraz Stackpole w środku lata, pola przed domem, rzekę, kąpielisko przy wierzbach. Przypomnił sobie upalne popołudnie, kiedy poszedł się kąpać z Feliksem, a potem obiad, kiedy zepsuło się światło, i majora naciskającego z wściekłością nieczynny dzwonek. Poczuł, jak targa nim obezwładniająca tęsknota za domem.

Spojrzał na swe wyciągnięte nogi, rozlatujące się buty, postrzępione skarpetki, chude kolana ze świeżymi zadrapaniami. Dotknął prawego kolana, nacisnął je palcem wskazującym. Pod naciskiem kość umknęła gładko, bez trudu, a na skręconych, złocistych włoskach porastających nogę zabłysło słońce. Palce Gabriela powędrowały wyżej, podciągnął wystrzępioną nogawkę szortów, obnażył pokiereszowane udo, krzywą różowo-białą szramę, łączącą szwami rozcięte połówki mięśnia. Obciągnął spodnie. Rana bolała dotkliwiej: miał wrażenie, że noga jest sztywna. Potarł szczękę, trzydniowy szczeciniasty zarost. W miarę zbliżania się południa słońce prażyło coraz silniej: W okolicznych krzakach rozchodziło się monotonne cykanie świerszczy i pasikoników.

Położył się z rękami pod głowę. Muszę odpocząć, powiedział sobie. Wyruszę w dalszą drogę po południu, kiedy upał nieco zelżeje. Postanowił, że poszuka później krzesiwa i spróbuje zaostrzyć ołówek, żeby opisać szczegóły ucieczki. Przynajmniej po znalezieniu ciała dowiedzą się faktów. Próbował odsunąć od siebie tę smutną ewentualność i myśleć o czymś przyjemniejszym. Usiłował wyczarować obraz twarzy Charis, czego nie robił od wielu miesięcy, i z uczuciem niepokoju pomyślał o kilku dniach, które spędzili razem będąc małżeństwem. Zacisnął powieki, chcąc się skoncentrować, ale myśli jego krążyły jedynie wokół Liesl. Liesl w kąpeli, ciężkie piersi ociekające wodą, dziewczyna polewająca jej ramiona, strużki ciekące po brzuchu, zraszające bladomiedziany trójkąt włosów między udami...

Usiadł. Nagle pojawił się poważny problem. Jak napisać o roli Liesl w ucieczce? Jak to przyjmą czytający – na przykład Charis? Zastanowi się nad tym później.

Wczesnym popołudniem ruszył w dalszą drogę. Wciąż było upalnie, ale zbocze, na które się wspinał, porastały drzewa dające dużo cienia. Noga mu bardzo zeszywniała i nie szedł już tak szybko jak z rana. Kiedy okrążał pola na skraju jakiejś wioski tubylczej, dzieci krzyczały coś do niego i obrzucały go kamieniami, ale szedł dalej.

Po dwóch godzinach mozolnego marszu wydostał się z lasu i dotarł na skraj płaskowyżu.

Słońce zniżyło się na niebie, powietrze było łagodne, suche. Przed nim ciągała się ogromna, porośnięta trawą równina, z rozrzuconymi gdzieniegdzie małymi kamiennymi wzgórkami – *kopjes* – gąszczami drzew i krzewów oraz delikatnymi, pięknymi akacjami o płaskich koronach.

Ruszył przez tę równinę. Będzie szedł tak długo, jak się da, aż do zapadnięcia nocy. Potem u stóp jakiegoś *kopje* rozpali ognisko. Z rana zmieni kierunek i podąży w stronę wschodzącego słońca. Pod koniec owego dnia lub następnego spotka zbliżające się oddziały brytyjskie.

ROZDZIAŁ ÓSMY

22 LISTOPADA 1917 ROKU
OKOLICE NAMBINDINGI, NIEMIECKA AFRYKA WSCHODNIA

Piąty batalion Brygady Nigeryjskiej z trudem posuwał się polną drogą do Nambindingi, w straży przedniej znajdowała się dwunasta kompania. Feliks kroczył obok Gilzeana w dusznym, upalnym powietrzu późnego popołudnia. Obejrzał się na swój pluton – zielone fezy podskakiwały na głowach afrykańskich żołnierzy, idących w nierównej kolumnie, bose stopy dudniły po twardej ziemi. Frearson został gdzieś z tyłu. Pluton Genta przesunięto na prawe skrzydło. Na lewej flance młody Waller, następca Parrotta, z trudem pokonywał wzniesienia i wąwozy. Na przedzie o kilkaset metrów od Feliksa maszerował pluton Lovedaya.

– *Sacré bleu!* – wykrzyknął Loveday, kiedy otrzymał rozkaz dotyczący pozycji swego plutonu. – Przednia straż, nie do wiary.

W ciągu dnia posuwali się wolno, nie napotykając żadnego oporu. Po raz pierwszy maszerowali na czele oddziałów; posuwali się z Lindi w głąb lądu, nazywano ich „Linforce”. Od północy szły oddziały z Kilwy, określane z iście żołnierską fantazją jako „Kilforce”. Te właśnie grupy oczyszczały Niemiecką Afrykę Wschodnią z resztek armii von Lettowa.

Feliks spojrział na Gilzeana. Koszula khaki była na nim mokra od potu. Twarz ocieniona rondem tropikalnego kasku wyglądała blado, mizernie, broda i szczęki, na tle białych policzków, wydawały się niebieskoczarne.

- Nic wam nie dolega, sierżancie? – spytał Feliks.
- W porządeczku. Tylko ten cholerny upał.

W tym momencie dogonił ich zdyszany Frearson.

- Nie słyszeliście trąbki? – spytał ze złością. Był wściekły.
- Nie, przepraszam. A co się stało?
- Wycofujemy się. Linie komunikacyjne zbyt rozciągnięte. Rozłóżcie się biwakiem przy drodze, poruczniku, a jutro ruszajcie z powrotem do obozu. Przekażcie wiadomość Lovedayowi i innym, a na przyszłość proszę uważać.

Właśnie wtedy dobiegł ich zza zakrętu odgłos silnej eksplozji. Wysoko w górę wystrzelił słup dymu i kurzu, po czym zaraz rozległ się huk spadających kamieni i brył ziemi. Od strony plutonu Lovedaya dochodziły wołania i okrzyki trwogi. Wszyscy padli na ziemię.

– Mój Boże! Artyleria? – Frearson z trudem chwycił powietrze, na jego nalaney, trupio bladej twarzy malowała się twoga.

– *Scairdy gowk* * – od tyłu doszło Feliksa mamrotanie Gilzeana.

* wystraszony osioł (szk.)

Nie było dalszych eksplozji. Zerwali się z ziemi i pobiegli za zakręt. Pośrodku drogi ujrzeni lej po pocisku, wokół którego zebrał się podekscytowany pluton Lovedaya. Na krawędzi leja leżał Loveday, a raczej jego górna połowa. Nigdzie nie było śladu nóg ani dolnej części tułowia. Żaden człowiek z jego plutonu nie odniósł poważniejszych ran, poza nielicznymi skaleczeniami i siniakami. Mówili dużo, z nerwowym podnieceniem, o tym, jak o włos uniknęli śmierci. Chyba z pół tuzina żołnierzy przeszło przez minę, zanim wybuchła poruszona butem Lovedaya. Feliks przyłapał się na tym, że zastanawia się, co powiedziałby na to Loveday? „*Nom de nom*”, „*Zut alors*”?

Rozejrzał się dookoła. W tym miejscu droga lekko opadała, ukazując szeroką panoramę okolicy. Pokryte spaloną trawą równiny z ciemnymi zaroślami, od południa faliste wzgórza niknące w wieczornej mgle, daleko na horyzoncie soczysta zieleń dorzecza Ruvumy. Nigdzie śladu Niemców.

*

Następny ranek i popołudnie spędzili na uciążliwym wycofywaniu się w kierunku obozu, który opuścili poprzedniego dnia. Po spokojnej nocy pochowali z rana Lovedaya u stóp baobabu. Potem Feliks wrócił do namiotu na śniadanie złożone z konserwy wołowej, tłuczonych słodkich ziemniaków i miejscowej odmiany fasoli, które przygotował niezawodny Human. W połowie posiłku podszedł do Feliksa Gilzean z blaszaną puszką w ręce.

– O co chodzi, Gilzean? – spytał Feliks.

– Mógłby pan rzucić na to okiem, panie poruczniku?

Feliks spojrział. W puszcze był gęsty, ciemny płyn.

– Co to takiego? kawa?

– Nie. *It's aidle from my cullage*. **

– Ach tak?

– *I've been passin this drumlie loppert water for a week. I just gel a mitchkin, ye ken. A jaup*. ***

** To moje siki (szk. i ang.)

*** Od tygodnia leci ze mnie ta mętna woda / krwią. Mam sraczkę. Rozbryzg, (szk. i ang.)

Feliks zmarszczył brwi. Miał już kazać Gilzeanowi powtórzyć, co powiedział, kiedy ujrzał zbliżającą się do nich niespiesznie znajomą kościstą postać.

– Cobb? – usłyszał. – Kapitan Frearson powiedział, że znajdę tu pana. Mam interesujące wiadomości. To ja. Wheech-Browning z wywiadu w Kilwie. Pamięta pan?

– Ach tak. Proszę siadać. Za chwilę będę z powrotem. – Odwrócił się do Gilzeana i oddał mu puszkę.

– Proszę szczerze powiedzieć, sierzancie – spytał. – Czy przez to niedomagacie? – Zastanawiał się, co za interes ma do niego Wheech-Browning.

– Tak. Cholernie się tym martwię. Ta mętna ciecz...

– Jak się czujecie? – chciał odprawić Gilzeana, ale ten nie odchodził.

– Żdziebko zmęczony. Martwię się. Może to jakiś gruczoł w jajach?

– Tak? – Wheech-Browning wpatrywał się zaciekawiony w Gilzeana.

– Mogą to być *moniplies* *, *jag* **. Tak, nawet *jag*.

* flaki (szk.)

** buc (szk.)

Feliks był zakłopotany; zaczynał już niemal rozumieć Gilzeana, ale kiedy sierżant się denerwował, używał tajemniczych, celtyckich zwrotów. Nagle przyszło Feliksowi do głowy, że Wheech-Browning przybywa z wiadomościami o Gabrielu.

– Nie przejmowałbym się zbytnio – odpowiedział Gilzeanowi. – Jeśli ogólnie nie czujecie się źle. Z pewnością wszystko minie, uhm, bez względu na to, jaka to by to była choroba. W razie komplikacji zgłóście się do lekarza wojskowego. – W ten sposób załatwił sprawę.

– Bardzo dziękuję, panie poruczniku – powiedział Gilzean z wdzięcznością, potem zsalutował i oddalił się z dziwną puszką.

– To zdumiewające – odezwał się Wheech-Browning. – Jakim językiem mówił ten człowiek?

– Po angielsku.

– Nie do wiary! Nie można było zrozumieć ani słowa.

– W każdym razie jest to szkocka odmiana angielskiego.

– Rozumie go pan?

– Zabrało mi to trochę czasu, ale teraz już z grubsza wiem, o co mu chodzi.

– Zamilkł na chwilę. – Powiedział pan, że jest jakaś wiadomość.

– Tak – odparł Wheech-Browning. – O pańskim bracie. Natrafiłszy na jego ślad. Pamięta pan tego faceta, Amerykanina? Telefonował wczoraj z miejscowości zwanej Nanda.

Feliks poczuł, że się zapada, jakby cała krew spłynęła mu do nóg.

– Znaleźliście go?

– Niezupełnie. Ale wiemy, gdzie był przed kilkoma dniami. Załatwiłem wszystko z pańskim kapitanem. Pojedzie pan ze mną.

*

W czasie jazdy Fordem po nierównej drodze do Nandy Wheech-Browning wyjaśnił, co się stało. Oddziały „Kilforce” poruszające się równolegle, choć nieco szybciej, z „Linforce” zajęły poprzedniego dnia opustoszałą Nambindingę i pomaszerowały dalej w kierunku następnej miejscowości, Nandy, gdzie odkryły mały podoficerski obóz jeniecki. Jeńcy przekazali informację, że Gabriel uciekł przed dwoma dniami.

Feliks z Wheech-Browningiem wyprzedzili maszerującą dziarsko drogą oddziały „Linforce”. Saperzy zasypali lej po minie, która rozerwała Lovedaya. Feliks zastanawiał się, czy ktokolwiek naprawdę wie, o co chodzi w tej wojnie. Dlaczego wycofano „Kilforce”, a skierowano do przodu „Linforce”? Równie dobrze o n mógłby wkroczyć do Nandy... Poczłł nagłę drętwienie kręgosłupa. Był pełen optymizmu, opanował go nastrój nerwowego oczekiwania, choć nie mógł się pozbyć dręczących myśli. Co się stanie, kiedy zobaczy Gabriela? Czy ma mu przekazać tragiczne wiadomości?

Wheech-Browning był w towarzyskim nastroju.

– Pamięta pan tego zeppelina, o którym mówiłem? Otóż wystartował przed paroma dniami. Chyba dwudziestego pierwszego. Przeleciał nad Morzem Śródziemnym i wziął kurs na południe przez pustynię do Sudanu. Kiedy znalazł się w Chartumie, nasi chłopcy ze służby łączności przekazali mu wiadomość niemieckim szyfrem: „Niemieckie siły zbrojne w Afryce Wschodniej złożyły broń”. Wie pan, znamy szwabskie szyfry. Przechwyciliśmy je w 1915 roku. Jeszcze jedna robota Bilderbecka. Jego śmierć jest dla nas wielką stratą. – Twarz Wheech-Browninga przybrała na chwilę poważny wyraz. – Jak się panu zdaje, co było dalej?

Feliks właściwie go nie słuchał.

– Co? Och, uhm, nie mam pojęcia.

– Zawrócił i poleciał prosto do Niemiec, tak to było. Wspaniała historia, nie sądzi pan?

*

W Nandzie pełno było oddziałów Królewskich Strzelców Afrykańskich. Wjeżdżając do małego miasteczka, Feliks rozglądał się dokoła. Po obu stronach głównej ulicy widział rzędy ściśniętych, glinianych domów, krytych falistą blachą; gdzieś tam widać było rozłożyste drzewa i drewniane bungalowy o blaszanych dachach należące do rodzin plantatorów, zobaczył długie kamienne budynki dawnej rolniczej stacji badawczej, ogrodzenie z drutów kolczastych małego obozu jenieckiego dla podoficerów.

Wheech-Browning zgłosił się do dowództwa batalionu zajmującego jeden z większych bungalowów. Powiedziano im, gdzie mogą znaleźć Temple'a Smitha, poszli więc główną ulicą na poszukiwanie Amerykanina.

Za szpitalem, w cieniu dużego mangowca, siedziała pogrążona w smutku grupa niemieckich kobiet i dzieci. Nie opodal Temple rozmawiał z jedną z Niemek. Feliks i Wheech-Browning podeszli bliżej. Temple, przerywając rozmowę, pozdrowił z entuzjazmem Feliksa, do Wheech-Browninga zwrócił się z mniej-szym zapalem.

– A co pan tu robi? – zapytał go Temple podejrzliwie.

– Na miłość boską, przecież pracuję w wywiadzie – zaprotestował Wheech-Browning. – To sprawa mego wydziału.

Temple skinął głową w kierunku Niemki.

– Ta kobieta to żona tego sukinsyna, na którego poluję – powiedział. – Ale chwileczkę. On ściga pańskiego brata. Czy to nie zdumiewające?

Feliksa nie interesowały uwagi Amerykanina: co dla Smitha było zbiegiem okoliczności, Feliksowi wydawało się bez znaczenia.

– Ale dlaczego? Dlaczego on go ściga?

– Pański brat uciekł przed dwoma dniami. Chyba wzięli go za szpiega.

– Za s z p i e g a? – To zupełnie nie miało sensu. – Gabriela?

– Tak. Frau von Bishop mówi, że nie był szpiegiem. – Temple zmarszczył brwi, jakby również nie mógł tego wszystkiego zrozumieć. – W każdym razie – ciągnął – Niemcy są przekonani, że pański brat zna informację najwyższej wagi i dlatego wysłali za nim pościg.

– Zastanawiam się, o co tu może chodzić? – odezwał się Wheech-Browning.

– A ona nie wie? – spytał Feliks.

– Nie. Albo nie chce powiedzieć. Twierdzi, że zupełnie nie interesuje się wojną.

– Ale dokąd poszedł? – spytał Feliks. Co za okrutna ironia losu, żeby być tak blisko Gabriela i nie móc go zobaczyć.

– Na północ – odrzekł Temple. – Ona wie tylko tyle. Powtarza, żeby się nie martwić. Mówi, że pański brat wróci tu lada dzień, że się ukrywa w pobliskich zaroślach.

– Skąd ona wie to wszystko?

– Pański brat przebywał długo pod jej opieką w szpitalu. Wtedy go chyba bliżej poznała.

Feliks czuł się zagubiony. Nie pojmował sytuacji.

– Niech pan posłucha – odezwał się Temple. – Udaję się na poszukiwanie tego von Bishopa. Od niedawna są w drodze. Jeśli go dogonię, można też będzie znaleźć pańskiego brata.

– Ja też pojedę – odparł Feliks. – Chcę jednak zadać tej kobiecie pewne pytanie.

– Najpierw schowajmy się przed tym cholernym słońcem – powiedział Wheech-Browning i otworzył drzwi szopy. – Tu jest chłodniej. Rozejrzę się. – Zniknął w środku. Po dziesięciu sekundach wyskoczył czerwony na twarzy i skrupulatnie wycierał ręce chusteczką. – Rany boskie! – Był autentycznie wstrząśnięty. – Barbarzyńcy! Wszędzie pełno... ludzkich nieczystości!

– Tak jest – powiedział Temple spokojnie. – Powiniennem być pana ostrzec.

Feliks podszedł do Niemki, a za nim Temple i Wheech-Browning. Była to pulchna kobieta, mocno zbudowana, o bladej, piegowanej twarzy. W rękach trzymała liść mangowca i rwała go na małe kawałki.

– *Guten Tag, gnädige Frau* – powiedział Feliks starając się przypomnieć swój niemiecki.

– Ona mówi po angielsku – rzekł Temple.

– To świetnie. – Feliks zwrócił się do niej ponownie. – Chyba zna pani mego brata, Gabriela Cobba. Uciekł stąd przed dwoma dniami.

Zniknął obojętny dotąd wyraz twarzy, okazała nagle zainteresowanie.

Przyjrzała się uważnie Feliksowi.

– Pan jest bratem Gabriela?

– Tak. Chcę zadać pani jedno pytanie – powiedział wolno Feliks. – Może mi pani powiedzieć, czy w czasie pobytu brata w Nandze otrzymał on jakiś list? List z Anglii?

– L i s t ?

– Tak.

– Nie. Z całą pewnością.

– Na pewno nie dostał?

– Nie dostał w ogóle żadnego listu.

Feliks od razu wpadł w wyśmienity nastrój, poczuł niezmierną ulgę, ogarnęło go ekstatyczne uniesienie na myśl, że oto przestanie go dręczyć sumienie i już nie będzie musiał się niczego obawiać. Gabriel o niczym nie wie. Teraz należało go tylko odnaleźć.

– Dziękuję – odezwał się do kobiety z płynącą z głębi serca szczerością, potem dołączył do Temple'a i Wheech-Browninga.

– A więc rozmawiał pan po niemiecku? – spytał Wheech-Browning.

– Co? Tak, zamieniłem kilka słów.

– Czy przypadkiem wśród licznych języków, jakimi pan włada, nie znajduje się także portugalski?

Feliks wciąż jeszcze był pod wrażeniem zasłyszanej przed chwilą informacji. Jak może ten chudy jak tyczka człowiek zawracać mu głowę idiotycznymi, zwariowanymi pytaniami.

– Portugalski? Tak, władam nim biegle.

– Czy nie zechciałby pan pracować w wywiadzie? – Obchodzili dokoła szpital, wracając na główną ulicę. – Moje następne zadanie ma polegać na nawiązaniu łączności z naszymi portugalskimi sprzymierzeńcami, kiedy już von Lettow przekroczy Ruvumę – jeśli w ogóle ją przekroczy, a nie znam zupełnie tego języka.

– Nic, dziękuję, nic skorzystam z propozycji – odparł stanowczo Feliks. – Mam obowiązki w Brygadzie Nigeryjskiej.

– Jedzie pan? – spytał od niechcienia Amerykanin, jakby proponował mu podwiezienie do miejscowej stacji kolejowej. – I tak dostałem rozkaz spenetrowania północnych terenów. Podobno jakieś oddziały zmirzają z Taboru na południe, żeby połączyć się z von Lettowem.

Feliks przystanął. Ogarnęła go przejmująca rozpacz, czuł, że oplątuje go pajęcza nić błahych regulaminów wojskowych.

– M u s z ę wracać – odparł wreszcie. – Kapitan dał mi przepustkę tylko na jeden dzień. Co mam robić? – spytał Temple'a.

– Proste – powiedział Amerykanin. – Niech Wheech-Browning powie, że samochód popsuł się w drodze. Wyprawa nie potrwa dłużej niż dwa, trzy dni.

Wheech-Browning rozłożył ręce.

– Przykro mi, przyjacielu. Niestety nie da rady.

– Niech się pan n i e w y g ł u p i a – obruszył się Temple. – Na litość boską, przecież to jego brat.

– Jeśli o mnie chodzi, może to być nawet jego prababka – odparł wesoło Wheech-Browning. – Nie da rady.

Feliks miałby ochotę zabić tego człowieka. Wheech-Browning był majorem. Frearson niczego by nie podejrzewał.

– Cholera jasna – zaklął Temple z niedowierzaniem. – Nie może pan powiedzieć, że to sprawa najwyższej wagi dotycząca bezpieczeństwa.

– No tak – zgodził się Wheech-Browning. – Oczywiście. Ale, rozumie pan, muszę wtedy i ja pojechać. Nie mogę tak powiedzieć, a potem wysłać w zastępstwie Cobba, no nie?

Twarz Temple'a stężała. Spojrzał na Feliksa.

– Odpowiada to panu?

– Tak – odparł Feliks doprowadzony do rozpaczki. – Jak wszyscy diabli.

– Świetnie – powiedział Wheech-Browning. – Skoczmy do dowództwa batalionu. Zadzwoń do pańskiego dowódcy kompanii.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

24 LISTOPADA 1917 ROKU

PLASKOWYŻ MAKONDE, NIEMIECKA AFRYKA WSCHODNIA

Von Bishop miał nadzieję dogonić Cobba dużo wcześniej, okazało się jednak, że natrafienie na jego ślad jest trudniejsze, niż myślał. Trzeba było cierpliwie krążyć wśród tubylczych wiosek, przekupywać ludzi lub im grozić, zanim uzyskał informacje. Kiedy dotarli do płaskowyżu, myślał, że to już tylko kwestia godzin, trasa Cobba przebiegała jednak w tak dziwny sposób, że ruga-ruga ciągle gubili trop. Cobb był w drodze przez pełne dwa dni. Według wszelkich obliczeń powinien już padać z wyczerpania. Zdumiewające, że udało mu się zajść tak daleko.

Po zapadnięciu zmroku ruga-ruga zdradzali wyraźną niechęć do dalszego marszu. Nie spodziewali się, że tak długo pozostaną z dala od Nandy, ale von Bishop nie bacząc na nic zmuszał ich, by szli dalej. Sądząc po śladach, jakie znajdowali, Cobb zatrzymując się na noc co wieczór rozpałał ognisko.

Von Bishop miał nadzieję, że tego wieczoru będą w takiej odległości, iż zauważą blask ognia w ciemnościach. Miał właśnie zarządzić postój – słońce zniknęło już za widnokretem, a niebo rozjaśniała tylko strzępiasta, pomarańczoworóżowa luna – kiedy idący na przedzie ruga-ruga zagwizdał. W odległości mniej więcej kilometra, u stóp ciemniejszej bryły skalistego *kopje*, migotał małeńki płomień.

*

Zatrzymali się w miejscu i czekali, aż zrobi się zupełnie ciemno. Ruga-ruga stali razem i szeptali coś podnieceni, najwidoczniej uradowani, że pościg wreszcie dobiegł końca. Także von Bishop poczuł nieznaczną ulgę.

Zaczął obmyślać dalsze działanie. Będą musieli przez jakiś czas iść na zachód, zanim skręcą na południe do ujścia Ludjendy. Szkoda, że nie zabrał jeszcze jednego muła. Jeśli Cobb jest chory i słaby, droga powrotna znacznie się opóźni. Być może ruga-ruga postarają się we wsi o jakieś zwierzę: nie mogą już stracić więcej czasu.

Oddalił się nieco od ruga-ruga i wpatrywał w migotliwe światełko. Księżyc wschodził, ale był zbyt mały, by zdradzić ich obecność. Pod wpływem skupienia von Bishop zmarszczył brwi i, dopóki oczy nie zasły mu łzami, wpatrywał się w ognisko Cobba – maleńkie, drgające światełko na obszernym, pogrążającym się w ciemności płaskowyżu.

Co sprowadziło Cobba w pobliże jego domu akurat tego wieczoru? Zwykły przypadek? Czy też rzeczywiście zbierał informacje? Słyszał o nim od dłuższego czasu: ranny Anglik na długoterminowym leczeniu u Depego. Widział go nawet parę razy. Wyraźnie chory, utykający oficer, który zaręczył słowem honoru, że nie będzie walczył w tej wojnie; von Bishop wiedział, że pomaga w szpitalu...

Wrócił do swego muła. Dał znak ręką jednemu ruga-ruga, żeby przesunął się dwadzieścia metrów w lewo. Drugiego ustawił w podobny sposób po prawej stronie. Trzeciemu dał lejce muła. Sam zajął pozycję w środku. Ledwo widział ruga-ruga idących po bokach. Wyjął rewolwer z kabury. Mieli zakraść się po cichu do ogniska. Z niecierpliwością myślał o zaskoczeniu na twarzy Cobba, kiedy wyjdą z mroku i ukażą mu się w świetle ognia. Dał ludziom znak, żeby ruszyli do przodu, szli cicho przez ciemną równinę porośniętą trawą w kierunku migoczącego ognia. Znajdowali się w odległości około stu metrów, kiedy von Bishop dojrzał Cobba kręcącego się przed ogniskiem. Prawdopodobnie zbierał gałęzie i drewno na opał. Von Bishop zatrzymał się, syknął znacząco na tubylców idących po bokach, żeby zrobili to samo. Poczeka, aż Cobb znów usiądzie.

Wtedy właśnie parsknął muł. Niezbyt głośno – być może prowadzący go tubylec za mocno szarpnął lejcami – ale w uszach von Bishopa parsknięcie zabrzmiało ogłuszająco. Klnąc pod nosem, przyklęknął na jedno kolano i przyglądał się bacznie ognisku. Nadal płonęło jasnym światłem. Najwidoczniej Cobb uważał, że nie trzeba go gasić. Von Bishop westchnął cicho z uczuciem ulgi. Noc afrykańska pobrzmiwa różnymi dźwiękami, pełno w niej zwłaszcza odgłosów zwierząt.

Jednakże na wszelki wypadek przez następnych dziesięć minut on i ruga-ruga pozostali skuleni na miejscu, w wysokiej po kolana trawie, a potem wolno ruszyli do przodu. W miarę zbliżania się do ogniska von Bishop odczuwał ucisk w piersi. Cobb rozbił obóz pomiędzy dwiema skałami u stóp *kopje*. Stopniowo coraz więcej szczegółów wyłaniało się z ciemności. Z dużej szczeliny wyrastało karłowate drzewo cierniste. Oświetlone płomieniami postrzępione skały rzucały z obu stron drgające, ostre cienie. Podkradali się krok po kroku. Nagle von Bishop wstał. Cobb zniknął.

Wkroczył zły na opustoszałe obozowisko, a za nim rozgadani ruga-ruga. Cobb bez wątpienia uciekł od razu, kiedy tylko usłyszał parsknięcie muła w ciemności, porzucił wszystko w pośpiechu. Von Bishop spojrział na suche kępki trawy dokoła ogniska. Jedna była zgnieciona od ciężaru ciała. Z ciernistego drzewa zwisał worek. Na ziemi obok małej wiązki gałązek leżała pięćka praśnego chleba. Pudełko zapalek było starannie umieszczone na okrągłym kamieniu...

Von Bishop na próżno rozglądał się dokoła. Palące się ognisko sprawiało, że ciemności wydawały się nieprzeniknione. Któryś z tubylców zdjął z drzewa worek i podał von Bishopowi. Ten wsunął rękę do środka i wyciągnął dwie świece. Wsunął dłoń raz jeszcze i natrafił na książkę. Zmarszczył brwi ze zdumienia. Książka? Wyciągnął ją. Zniszczona czarno-złota skórzana oprawa natychmiast wydała mu się znajoma. Przysunął grzbiet w stronę ognia i starał się odczytać niewyraźny tytuł. *Die Leiden des Jungen Werthers*.

Rozpoznał książkę – stanowiła jego własność. Dziwne, pomyślał, jakim cudem, u licha, Cobb ją zdobył? I gdzie są brakujące strony? W zdumieniu zaczął skubać dolną wargę. Dlaczego w czasie ucieczki Cobb miałby czytać Goethego? Czy za każdym razem wrywał przeczytaną kartkę?

Nagle wzrok padł na niewyraźne pismo w górnym marginesie jednej ze stron „Raport kapitana G. H. Cobba”, przeczytał „Opis uwięzienia i ucieczki”. Przewracał kartki z zainteresowaniem, myśląc, że natrafi na jakieś ważne wskazówki, ale niczego nie znalazł. Kolejny zawód. Poczul się lekko rozczarowany.

Gdzieś u szczytu *kopje* usłyszał stukot spadających kamieni. Wszyscy od razu spojrzeli do góry.

– B r a ć g o ! – krzyknął podekscytowany von Bishop do zdumionych tubylców. Chwycili karabiny. – Ruszać się, idioci! – powtórzył rozkaz.

Spróbował powiedzieć w suahili: – Brać go, mówię wam! – Jak jest „chwycić” w języku kikuju?

Któryś ruga-ruga wrzasnął coś w swoim bełkotliwym języku. Wymachiwał w powietrzu karabinem jak dzidą. Von Bishop w rozpaczy pokazał mu na migi, co znaczy chwycić. Dlaczego oni nie pojmują? Jak zwraca się do nich Deeg? Po holendersku? W ich narzeczu?

– Tak – ryknął wyprowadzony z równowagi, ich milczenie zbijało go z tropu. W tych ciemnościach liczy się każda sekunda. – Iść – pomachał ręką w stronę czarnego masywu wzgórza. – Chwycić. – Znów spróbował wyrazić to w suahili. Bez rezultatu. – Szybko, na miłość boską, łapcie go. – To śmieszne. Cobb zyskuje na czasie, kiedy on boryka się z trudnościami językowymi.

Wtem nagle jeden tubylec krzyknął coś do dwóch pozostałych. Cała trójka rzuciła się w ciemność i zaczęła się wspinać na skaliste zbocze wzgórza. Przez kilka minut słyszał ich nawoływanie, obsuwanie się i spadanie strąconych nogami kamieni. Potem krzyki z lekka przycichły. Miał wrażenie, że znajdują się po drugiej stronie wzgórza. Wkrótce słyszał już tylko nieustające cykanie świerszczy.

Dorzucił dREW do ognia i usiadł. Wpatrywał się posępnie w języki płomieni. Czuł zmęczenie. Zdał sobie sprawę, że nadal trzyma książkę. Wyciągnął rękę i rzucił w ogień tomik oprawiony w skórę. Rychło spalił się na popiół. Stanowił dowód. Teoretycznie nie powinien był go niszczyć. Ściągnął usta i potarł nos.

Pogrzebał patykiem w spopielalej bryle, tego, co pozostało z książki, sprawiając, że spalone kartki rozleciały się i spadły na żarzące się węgle. Pomyślał nagle o Cobbie, który ucieka samotny po równinie pogrążonej w ciemnościach. Ucieka przed ruga-ruga, ile sił w nogach. Wzdrygnął się pod wpływem współczucia. Ten człowiek kona ze strachu, jak każdy na jego miejscu. Można umrzeć z przerażenia, kiedy tak biegnie się w nocy, na oślep, z bijącym sercem, bez tchu, potykając się i przewracając i kiedy tuż za plecami słychać okrzyki ścigających.

*

Von Bishop obudził się przed świtem. Był odrętwiały i głodny. Na wschodzie niebo przybrało kolor cytrynowo-szary. Rozpałił ognisko, z torby skórzanej przytroczonej do siodła wyjął placki kukurydziane, posmarował je resztą dżemu malinowego i zjadł na śniadanie.

Ruga-ruga nie pojawili się jeszcze przez następną godzinę. Von Bishop dostrzegł ich w oddali, szli gęsiego od strony wzgórza. A więc Cobb uciekł, pomyślał, doznając przelotnego uczucia radości. Po chwili jednak przygnębiła go perspektywa spędzenia jeszcze jednego dnia na pościgu. Cobb przecież wie o „Chińskiej Paradzie”. Musi zatem spełnić swój obowiązek.

Ułożył na ognisku kawałki drewna, a potem wyjął karabin z futerału przy siodle. Spróbuje ustrzelić dla tubylców jakiegoś ptaka lub małą antylopę. Mógł śmiało iść o zakład, że nie ruszą się dalej bez jedzenia.

Dziesięć minut później tubylcy dotarli do wgłębienia między dwiema skałami. Von Bishop siedział na głazie z karabinem między nogami. Mężczyzna idący na przedzie zdjął z siebie okrycie i niósł w nim coś zarzuciwszy na ramię. Być może zdobyli dla siebie jakieś jedzenie, pomyślał, i pochylił się, żeby zdmuchnąć okruszynę kurzu z rygla zamka karabinu.

Usłyszał ciche uderzenie czegoś ciężkiego i podniósł wzrok. W odległości metra od dużego palca jego lewej nogi leżała odcięta głowa Gabriela Cobba, z nosem zarytym w piaszczystej ziemi – oczy wytrzeszczone, usta otwarte, a w nich pełno robactwa.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

25 LISTOPADA 1917 ROKU
PŁASKOWYŻ MAKONDE, NIEMIECKA AFRYKA WSCHODNIA

Temple jechał między Wheech-Browningiem a Feliksem. Sto metrów przed nimi kroczyło swobodnym krokiem dwóch askarysów-tropicieli; prowadzili swe muły po wyraźnych śladach pozostawionych przez von Bishopa i jego ludzi. Tego dnia wstali wcześniej i przebyli duży odcinek drogi. Temple obliczył, że dzielą ich od von Bishopa dwie, może trzy godziny marszu. Podniósł się w siodle i wpatrywał w równinę porośłą trawą. Przed nimi na płaskowyżu utrzymywała się jeszcze poranna mgła. Na horyzoncie lekka mgiełka zamazywała nieco krajobraz.

Patrzył na twarze swych towarzyszy podróży, twarz Wheech-Browninga wyrażała senność i tępotę, Feliksa – napięcie i oczekiwanie. Stanowią dziwną grupę, pomyślał.

– Mówił pan, że von Bishop to ten sam człowiek, który zajął pańską farmę, czy tak? – spytał Wheech-Browning.

– Zgadza się.

– To chyba pański sąsiad. Doszło między wami do jakichś nieporozumień czy coś w tym rodzaju?

– Nie – odparł Temple. – Dopóki mi nie zrujnował farmy. – Twarz Temple'a przybrała ponury wyraz. – Co to za człowiek, pytam, który jednego dnia rozmawia z panem o uprawie sizalu – w sposób jak najbardziej przyjazny i okazując zainteresowanie – a zaraz potem kradnie panu dobytek? – Temple spojrzął na Feliksa w nadziei, że znajdzie w nim zrozumienie, lecz ten najwidoczniej nie słuchał.

– Moim zdaniem to sprytny biznesmen – oświadczył Wheech-Browning i roześmiał się skrzekliwie.

– Co pan przez to rozumie? – spytał zimno Temple. – Pan nie wie, o czym pan mówi.

– Proszę mi wybaczyć, lecz wiem, co mówię – rzekł obruszony Wheech-Browning. – Pan przecież, pytał.

Ich wymianę zdań przerwał okrzyk jednego z askarysów, który stał u stóp kamiennego *kopje* widocznego po ich prawej stronie. Zawrócili muły i podjechały bliżej. W zagłębieniu terenu pomiędzy dwoma skałami widać było resztki ogniska. Temple zsiadł z muła, dotknął ręką popiołu.

– Au! – zawołał. – Jeszcze gorący. Są na pewno nie dalej niż o godzinę drogi. – Wyciągnął zwęgloną bryłę z popiołu. – Wygląda na skórzaną oprawę książki. Co panowie na to?

Feliks podniósł z ziemi worek.

– Pusty. Czy to obozowisko von Bishopa, czy Gabriela?

Temple rozejrzył się dookoła. Nie opodał zobaczył placki łajna.

– Von Bishopa – odparł. Zauważył też nierówny, świeży kopczyk ziemi. – Nie sędzę, żeby pański brat trudził się zakopywaniem śmieci.

– Kto zatem zostawił ten worek?

Nagle rozległ się okrzyk Wheech-Browninga, który nie zsiadał z muła.

– Niecały kilometr stąd – zawołał – krąży chmara ptactwa.

Temple i Feliks dosiedli mułów i poklusowali za Wheech-Browningiem. Rzeczywiście – tuzin kani i sępów krążyło z trzepotem skrzydeł nad czymś leżącym w trawie. Zobaczyli, że Wheech-Browning zsiada z muła i biegnie krzycząc i wymachując rękami. Kilka ptaków wzbiło się ociężale w powietrze.

Temple i Feliks zsiadli z mułów parę metrów dalej i podeszli przez wysoką trawę do Wheech-Browninga. W powietrzu słychać było przytłumione brzęczenie roju much. Dookoła żdźbła trawy – czarne i oblepione owadami – uginały się od błyszczących ślepek i bardziej ociężałych ścierwie. Przy każdym kroku wzbijała się chmura jakby gęstego ruchomego kurzu.

Chwiejnym krokiem podszedł do nich upiornie błady Wheech-Browning.

– Boże święty – powiedział. – Rany boskie. Tam jest ciało. – Przyłożył rękę do szyi. – Bez głowy.

– Bez, głowy? – spytał zaniepokojony Feliks.

– Przekłete muchy! – zaklął Wheech-Browning. – Ciekaw jestem, skąd one się wzięły na tej pustej wielkiej równinie?

Temple ruszył do przodu razem z Feliksem. Spojrzył na niego z ukosa. Feliks miał na twarzy lekki grymas, jakby szedł przez chmurę dymu lub gazu.

Na dużej polanie w stratowanej trawie widać było leżące brzuchem do ziemi ciało. Ptaki zdążyły już wyszarpać obydwie łydki, a poniżej postrzępionej koszuli błyszczały porcelanową bielą odsłonięte zębra.

– Wojskowe buty – powiedział Temple, nie chcąc snuć dalszych domysłów.

– Za niski jak na Gabriela – powiedział odważnie Feliks. – Z Gabriela był wysoki facet.

Dołączył do nich Wheech-Browning. Teraz już wszystkich obsiadły muchy. Opędzali się energicznie, ale mimo to natrętnie siadały na twarzach.

Temple odstąpił kilka kroków w bok.

– Ktoś ją odciął – powiedział. – Tego nie zrobiło zwierzę.

– Rany boskie – rzekł Wheech-Browning. Nagle pochylił się do przodu i zwymiotował, potem wyprostował się chwiejnie i wytarł usta. – Phu! – prychnął. – Już po moim śniadaniu.

Jakby kierowani milczącym rozkazem wrócili do mułów.

– Co się tu, u licha, dzieje? – zastanawiał się Temple. – Kto w samym środku stepu odrąbuje głowę człowiekowi?

– Jestem całkowicie przekonany, że to nie Gabriel – odezwał się Feliks. Z trudem przełknął ślinę. – Tak mi się zdaje. Trudno powiedzieć bez...

– Więc kto to jest? – spytał Temple. – Von Bishop?

– Ale gdzie jest głowa? – spytał Wheech-Browning. – Dlaczego zabrano głowę? Nie rozumiem.

Temple przypomniał sobie nagle kopczyk ziemi przy ognisku.

– Niech pan tu zostanie – powiedział do Wheech-Browninga. – Proszę odpędzać ptaki. My wracamy do obozowiska.

– Strach na wróble – powiedział Wheech-Browning i rozłożył ręce. – Tak przezywali mnie w szkole.

Temple i Feliks wrócili do ogniska.

– Co to jest? – spytał Feliks.

– Moim zdaniem tu zakopali głowę – Temple wskazał na kopczyk.

– O Boże!

– Czy ja mam to zrobić, czy pan?

– Chyba lepiej pan.

Temple ukląkł i zaczął rękami rozgrzebywać miękką ziemię. Na głębokości piętnastu centymetrów jego palce dotknęły czegoś miękkiego. Poczul, jak zbiera mu się na mdłości. Kopał dalej. Głowa była owinięta w kawałek derki.

Odwrócił ją.

– Jest – zawołał do Feliksa, który stał kilka kroków dalej.

Feliks podszedł bliżej. Temple widział, jak mocno zaciska szczęki. Górna warga Feliksa i zarost na brodzie zroszone były potem. Spojrzał na głowę owiniętą derką. Z drżeniem zacerpnął głęboko powietrza.

– Czy mógłbym prosić pana o...

Temple sięgnął ręką w dół i starannie odwinął głowę. Zobaczył przystojną bardzo bladą, mizerną twarz, z otwartymi oczami i ustami. Zgarnął z niej kilka większych mrówek. Jasnoblonde zmierzwiłe włosy sprawiały wrażenie nienaturalnych.

Temple obejrzał się i ujrzał Feliksa, który cicho płakał, z twarzą ukrytą w dłoniach, jego ramionami wstrząsały drgania.

– Biedny Gabe – usłyszał głos płaczącego.

Temple owinął z powrotem głowę. Potem wstał i podszedł do Feliksa. Przez chwilę trzymał dłoń na jego ramieniu. Nie wiedział, co powiedzieć. Czuł niewysłowiony smutek z powodu tragedii młodego człowieka. Zostawił go samego, minął dwóch askarysów, którzy pilnowali mułów, i idąc kopał z wściekłością trawę. Odetchnął głęboko kilka razy, spojrzął w niebo, strzepnął kurz ze spodni. W oddali ujrzał Wheech-Browninga, który biegał zapamiętale wokół ciała, wymachując długimi rękami, i odpędzał krążące ptaki, jakby urządzał dla nich przedstawienie. Jego ryki i wrzaski niosły się przez trawę.

Temple podszedł znów do Feliksa.

– Dlaczego on to zrobił? – spytał ochryłym głosem Feliks. – Czy miał jakiś powód?

– Nie wiem – odparł Temple. – Nie mam pojęcia.

– Jak on się nazywa?

– Von Bishop.

– Po prostu nie rozumiem – rzekł cicho Feliks zmienionym drżącym głosem. – Co może skłonić człowieka do popełnienia takiego czynu?

– Nie wiem – odparł Temple porywczo. – Jest to dla mnie niepojęte.

Część czwarta

PO WOJNIE

ROZDZIAŁ PIERWSZY

15 MAJA 1918 ROKU

BORNA DURIO, PORTUGALSKA AFRYKA WSCHODNIA

- Snap!
- Co?
- Snap. Zwyciężyłem – powiedział Feliks. – *Ganhaor*. * Ja.
- *Aha. Aha, sim.*
- *Terminar?* * *
- *Sim. Sim.*

* Zwyciężyłem (port.)

** Koniec? (por.)

Feliks zanotował swe zwycięstwo. Wygrał w snapa 1743 razy, jego partner, *capitao* Pinto, trzydzieści cztery. Feliks odłożył karty. *Capitao* próbował się pocieszyć lekturą swych pornograficznych książek.

Capitao Aristedesa Pinto zżerała kiła. Czy też tylko tak mówił. Powyższy fakt nie przeszkadzał Feliksowi w takim stopniu, jak teatralne gesty przy przeczuciu małej i bardzo zniszczonej kolekcji pornograficznych książek. Przewracając kartki, na których widniały niewyraźne fotografie i ekstrawaganckie akwaforty, kapitan wzdychał smętnie i potrząsał głową, jakby chciał powiedzieć: „Popatrzcie, w jakie kłopoty wpędziły mnie te niezdolne dziewczyny.” Co pewien czas chichotał z uciechy i podawał Feliksowi książkę do uważnego przestudiowania. Z początku te zdjęcia wydawały się Feliksowi intrygujące – przedstawiały pulchne dziewczyny w burdelach, z obwisłymi piersiami, w satynowych majtkach czy też halkach. Spod rutynowo podkasanych spódnic, ukazywały duże jasnokremowe pośladki lub okazałe zewnętrzne części narządów płciowych – teraz jednak te zdjęcia stanowiły kolejne źródło irytacji. Wszystkie dziewczyny uśmiechały się i stroiły miny z odrobiną kokieterii, wydawało się, że są w transie narkotycznym. Feliks pomyślał o swej jedynej przygodzie z prostytutką na Bloomsbury Square.

Wydawało się, że od tamtej pory minęły dziesiątki lat, jakby przeżył to w innym wymiarze.

Pinto był małym, korpulentnym mężczyzną, z cieniutkim wąsikiem, ropiejącą raną w nosie i zaczerwienionym, niewidzącym okiem. Mundur ma zawsze zaplamiony i brudny, mimo to jednak sympatyczny z niego facet, pomyślał Feliks. Nie widział w tym nic nadzwyczajnego, że – nie znający angielskiego Portugalczyk – nawiązał kontakt z oficerem angielskim, który z kolei nie zna słowa po portugalsku. Feliks dzielił z nim kwatery w Borna Durio od ponad trzech miesięcy i dzięki temu, że nie mówili wspólnym językiem, nie dochodziło między nimi do kłótni.

Pinto przesunął po stole książkę, a Feliks przez grzeczność obejrzał dokładnie obrazek.

– *Francez* – jęknął Pinto. Rozchylił usta w grymasie ekstatycznego bólu, odsłaniając cztery srebrne i dwa złote zęby. – *Diabolico!* – Dmuchnął na czubki palców i wdał się w drobiazgowo rozpamiętywanie w języku portugalskim.

Co za nieprawdopodobny język, pomyślał Feliks, pełen bezdźwięcznych spółgłosek i szeleszczących dźwięków. Z pomocą prostego słownika, który kupił w Porto Amelia, próbował uczyć się portugalskiego przez trzy miesiące, ale nie potrafił nawet wymówić poprawnie obcych słów. Kapitanowi Pinto lepiej szło z angielskim, mówił także trochę po francusku, zlepkim słów tych trzech języków udawało im się jakoś porozumieć. Nastęczało to niemal tyle trudności, co rozmowa z Gilzeanem. Feliks poruszył się niespokojnie. Martwił się, że nie pomógł Gilzeanowi, dając mu złudne nadzieje. Jego ponury sierżant zmarł trzy dni przed Bożym Narodzeniem 1917 roku na złośliwą malarię połączoną z krwimoczem. Biedny Gilzean.

Pinto powrócił do swej książki, a Feliks skorzystał ze sposobności, żeby wyjść na dwór.

Borna Durio, leżący gdzieś w środku Portugalskiej Afryki Wschodniej, był dużym, umocnionym wałami fortem, o powierzchni około dwustu metrów kwadratowych, usytuowanym na wzgórzu, w odległości półtora kilometra od wsi Durio. W jednym rogu placu wznosił się budynek z czerwonej cegły, kryty blachą, w którym kwatrowali Feliks i Pinto. W pobliżu stało sześć skleconych naprędce lichych chat z trawy, które dawały schronienie służącemu Pinty, jego trzem młodym miejscowym konkubinom, połowie kompanii portugalskich wojsk tubylczych i ich pomocy obozowej. Reszta placu była pusta. Tego ranka stało tu sześćuset tragarzy z ładunkami manioku, jamu, ryżu, trzciny cukrowej i słodkich ziemniaków – przynieśli zaopatrzenie dla jakichś dwunastu tysięcy oddziałów pomocniczych Imperium Brytyjskiego, które nadal ścigały po całej Portugalskiej Afryce Wschodniej von Lettowa i jego niewielką armię.

Było późne popołudnie o łagodnym przyćmionym świetle. Widząc wyłaniającego się z kwatery Feliksa, służący Human podszedł, żeby się dowiedzieć, czy czegoś nie potrzeba. Human był ostatnim ogniem łączącym Feliksa z Brygadą Nigeryjską – całą resztę przed kilkoma miesiącami odstawiono statkiem do kraju. Human samorzutnie zgodził się przejść z Feliksem na nową placówkę – Cobba zdumiała i ujęła jego lojalność.

W listopadzie 1917 roku, kiedy von Lettow bez przeszkód przekroczył Rumę u ujścia rzeki Ludjendy, Brygada Nigeryjską została odwołana do Lindi. Tam, po kilku tygodniach, poinformowano żołnierzy, że mają być odesłani do Nigerii. Feliks natychmiast zwrócił się z prośbą o przeniesienie do Królewskich Strzelców Afrykańskich – teraz w sile około dwudziestu batalionów – na których głównie miał spoczywać ciężar wojny prowadzonej w Afryce Wschodniej. Z jakiegoś niewiadomego powodu plan uległ zmianie. Zdesperowany Feliks przypomniał sobie proponowaną przez Wheech-Browninga pracę w wywiadzie. Skontaktował się z nim, zgłosił swój udział i natychmiast został przyjęty jako oficer do specjalnych poruczeń odkomenderowany do armii portugalskiej. Nikomu nie przyszło w ogóle na myśl, by sprawdzić jego kwalifikacje.

– Proszę mi wierzyć, Cobb – powiedział z wielkim entuzjazmem Wheech-Browning – pański portugalski stanowi najcenniejszy nabytek.

Feliks wyobrażał sobie, że zostanie łącznikiem na linii frontu między KSA a jednostkami portugalskimi, z którymi von Lettow igrał jak kot z myszką. W ufnym nastroju popłynął z Lindi do Porto Amelia leżącego w północnej części Portugalskiej Afryki Wschodniej. Z Porto Amelia oddziały brytyjskie, nazwane „Pamforce” przez zawsze pomysłowych sztabowców, dokonywały głównych wypadów w głąb kraju. Ale okazało się, że zamiast walczyć Feliks pełni funkcję oficera aprowizacyjnego, zaopatrującego w żywność oddziały KSA. Wysłano go do Borna Durio, jakieś dwieście pięćdziesiąt kilometrów od Porto Amelia, w prowincji Nyana, okręgu obfitującego w żyzne ziemie uprawne. Tu otrzymał instrukcje dotyczące zaopatrzenia „Pamforce”. Pinto i jego ludzie gromadzili żywność z okolicznych farm i osad ludności tubylczej i następnie przewozili wozami tam, gdzie walczyła armia brytyjska.

Nic nie pomagały narzekania i protesty przedkładane przez Feliksa Wheech-Browningowi w dowództwie w Porto Amelia.

– Robisz, człowieku, bardzo ważną robotę – odparł Wheech-Browning. – Nie można traktować wojny jako osobistej wendety.

Tak więc Feliks tkwił w Borna Durio, bez możliwości pościgu za armią von Lettowa, z poczuciem frustracji i doznanej krzywdy. Pinto ze zdumiewającą sprawnością wykonywał właściwie całą pracę. Feliks podpisywał nakazy rekwizycji, płacił za żywność i prowadził rachunki. Mniej więcej co dwa tygodnie przyjeżdżał do niego z Porto Amelia Wheech-Browning, informował o tym, co się dzieje na froncie, i przywoził wieści z kraju.

Feliks stwierdził, że mimo przerażającej monotonii swej pracy i parnej, ospałej atmosfery Borna Durio, nie opuszcza go uczucie nienawiści do von Bishopa. Ciągle myślał o śmierci Gabriela, starając się odgadnąć przebieg wydarzeń, które się rozegrały na płaskowyżu: trawa stratowana w strasznej walce na śmierć i życie, odcięta głowa brata. Nie opuszczało go pragnienie zemsty. Pulsowało w nim jak dokuczliwy wrzód: można było jakoś z tym żyć, ale ból nie ustępował.

Feliks przeszedł przez wewnętrzny dziedziniec obozu i wspiał się po stopniach na nasyp ziemny. Poniżej wału biegł głęboki rów, a za nim teren opadał w stronę małej rzeczki. Przecinała ją drewnianym mostkiem droga z Borna, która wiała się w dół około półtora kilometra czy więcej w kierunku wioski Durio. Okolicę porastała bujna roślinność. Po obu brzegach rzeki wystrzeliwały w górę ogromne kępy bambusów, niektóre pnie miały grubość człowieka. Droga do wioski biegła przez tereny nie uprawiane, wśród wysokiej na trzy metry słoniowej trawy. Cokolwiek się tu wetknie w ziemię, od razu puszcza korzenie, zauważył Feliks. Human naciął trochę drewnianych żerdzi, żeby wbić je w ziemię i zawiesić sznury do suszenia bielizny. W ciągu dwóch tygodni wyrosły na nich nowe gałązki i liście. Teraz wyglądały jak miniaturowe drzewka.

Feliks zapalił papierosa i wypuścił dym, chcąc odstraszyć muchy brzęczące dokoła głowy. Przed dwoma dniami minęły kolejne urodziny Gabriela. Miałby trzydzieści jeden lat. Feliks wrócił myślami do tego okropnego dnia na płaskowyżu Makonde, kiedy chowali Gabriela na miejscu jego ostatniego obozowiska, we wgłębieniu między dwiema skałami. Wheech-Browning i Temple przynieśli ciało, askarysi wykopali dół. Feliks tylko stał i patrzył z uczuciem ogromnego żalu. Przykryli grób ciężkimi kamieniami, a Wheech-Browning wygłosił krótkie przemówienie. Temple zaznaczył dokładnie na swojej mapie miejsce tego *kopje*, żeby mogli je w razie potrzeby znaleźć. Dalszy pościg za von Bishopem mijał się teraz z celem, wrócili zatem do Nandy. Feliks chciał porozmawiać z żoną von Bishopa, ale odesłano ją tymczasem, wraz z innymi osobami cywilnymi, do Dar. Wkrótce Temple dowiedział się, że zostaje ponownie wezwany do Nairobi. Wyznał, że z przyjemnością opuszcza te okolice. Rozstał się z Feliksem, który miał dalej ścigać von Bishopa.

Feliks wyrzucił niedopałek poza nasyp i odwrócił się, żeby popatrzeć na grupę chat w Borna. Zobaczył Pinta, który wyłonił się z ich murowanego budynku, patrzył, jak Portugalczyk przeciąga się i wprawia w ruch swe baryłkowane ciało.

– *Feliz!* – krzyknął Pinto i rozejrzał się na wszystkie strony.

– Aristedes – odezwał się Feliks. – Jestem tutaj.

Pinto wtoczył się z zadyszką na nasyp.

– Telefon – powiedział sapiąc i odsłaniając przy tym złote i srebrne zęby. – *Wheesh-Brownim. Stokesesh gonz.* – I dalej mówił coś niezrozumiale.

Feliks wyłowił z tej paplaniny tylko działa Stokesa. Wheech-Browning przyjeżdża z działami Stokesa. Ale kiedy?

- Urn. Ach... *presentamente?* – spytał Feliks.
- *Nao. Eh... De main. Sim. Demain.*
- Jutro.
- *Nao. Demain. Demain.*
- *Sim.*

Skinęli głowami i wymienili uśmiechy. Potem się odwrócili i obserwowali okolicę. Widok był aż nadto znajomy. Mimo to Pinto zaczął pokazywać osobliwości krajobrazu, ale Feliks nie rozumiał z tego ani słowa. Kiwał jednak głową i od czasu do czasu mówił: „*Sim*”.

Słońce zaczęło się zniżać ku zachodowi, zapadał zmierzch. W rowie rechoły żaby i odezwały się pierwsze świerszcze. Moskity wyszły z ukrycia i brzęczały koło uszu Feliksa. Poczul, jak zalewa go ogromna fala melancholii; w bolesny sposób uświadomił sobie bezowocność wszelkich swych wysiłków, a przede wszystkim straty, jakie pociągnęła za sobą wojna w ostatnich dwóch latach. Charis, Gabriel... Lista była dłuższa. Gilzean, Cyryl, Bilderbeck, Parrott, Loveday. Prócz tego ranni: Nigel Bathe, Cave-Bruce-Cave, ojciec. A ponadto bezimienne ofiary: ludzie z jego plutonu i kompanii, zatruci padliną tragarze z Kibongo. To była lista sporządzona przez jednego człowieka. A przecież każda ze znanych mu osób mogłaby sporządzić podobną listę: Temple, Wheech-Browning, Gabriel, Aristedes – każdy w Afryce Wschodniej i Europie. Żałował innych, kiedy jednak pomyślał o tych, którzy byli mu bliscy, czuł, jak gniew wzbiera w nim od nowa. Jak można było tak po prostu zaakceptować ich śmierć? Nie mógł przyjąć do wiadomości, że musieli zginąć. Dlatego po śmierci Charis zaciągnął się do wojska, dlatego uważał, że musi przynajmniej próbować odnaleźć Gabriela... Tutaj ze smutkiem spostrzegł własną nieuczciwość. Kierowały nim jeszcze inne motywy: lęk, chęć własnej obrony, niepokój, poczucie winy. Nic miało to jednak znaczenia. Liczyło się głównie to, że musiał się zdobyć na wysiłek, wziąć na swoje barki odpowiedzialność, odkładając na bok wstyd. Nie mógł zwyczajnie przejść nad tym do porządku dziennego. Znalazł teraz winnego. Von Bishop ponosił główną odpowiedzialność za jego krzywdy.

Wziął od Pinta drugiego papierosa. Portugalczyk mówił nieprzerwanie. Feliks pomyślał o Stackpole. Napisał do domu długi list, w którym doniósł o śmierci brata podczas ucieczki z obozu jenieckiego – Gabriel wykradł jakieś bardzo ważne tajemnice wojskowe. Potem jednak podarł list na strzępy. Lepiej pozwolić im żyć jak najdłużej w nieświadomości. Uprzytomnił sobie, że już od przeszło dwóch lat przebywa z dala od Stackpole. Ze zdumieniem stwierdził, że tęskni za tym brzydkim domem. Skrzywił się, czując nie znane pieczenie w oczach.

Żeby odegnąć smutne myśli, znów spjrzał na Pinta. Ale melancholijny nastroj afrykańskiego zmierzchu ogarnął także i kapitana. Pulchna twarz obwisła, ręką rozdrapywał wrzód w nosie. Przestał rozwodzić się na temat krajobrazu i powrócił do swego ulubionego tematu: choroby. W jego głosie pobrzmiwała nuta żalości i litowania się nad własnym losem. Ujął w obie ręce okazałych rozmiarów genitalia. Feliks ujrzał w jego oczach łzy, kiedy w zapadającym łagodnie zmierzchu wyliczał po cichu całą litanię swych dolegliwości.

*

Wheech-Browning wyskoczył niezdarnie z ciężarowego Packarda. Pociągnął nosem, sięgnął do kieszeni, wyjął dużą chusteczkę w kratkę i dmuchnął w nią głośno.

– Ach, Cobb. Dzień dobry. Co za przenikliwe zimno. Człowiek na ogół się nie spodziewa, że w Afryce złapie przeziębienie. Mam chyba grypę.

Podszedł do nich Pinto.

– Ach, dzień dobry, *capitao* Pinto! – Tu Wheech-Browning zniżył głos i zwrócił się do Feliksa: – Cobb, jak się mówi po portugalsku „dzień dobry”? Nigdy nie mogę zapamiętać.

– *Buon. Dias.*

– *Buon. Dias. Señor. Capitao.* – Każdą sylabę wymawiał bardzo wyraźnie.

Pinto uklonił się. Nadal był ogromnie zmartwiony.

– *Dias* – wymamrotał.

– Cobb, dostał pan wspaniały prezent. A czy stary Aristedes czuje się dobrze? Jest taki blady.

– To syfilis. Zżera go syf.

– Ach tak. Niezwykły człowiek. Bądź co bądź, miał facet pecha. – Zwrócił się do askarysów, którzy zeskakiwali z platformy z tyłu ciężarówki: – Dalej, wyładujcie te mózdzierze.

Podczas wyładowywania mózdzierzy Wheech-Browning wyjaśniał cel swej misji. Część oddziałów von Lettowa odłączyła się od sił głównych, zatoczyła łuk od północy i zmierzała mniej więcej w kierunku Borna Durio, w poszukiwaniu, jak przypuszczano, zaopatrzenia w żywność i broń. Z Medo nadciągały dwie pomocnicze kompanie askarysów należących do KSA, tymczasem jednak postanowiono wzmocnić obronę Borna Durio dwoma mózdzierzami Stokesa.

– Powiedziałem, że pan wie, jak z nich strzelać, Cobb. Nie myślę się, prawda?

Feliks przyznał, że to prawda. Po powrocie dwunastej kompanii znad Rufidzi, uczył się w Morogoro przez wiele dni obsługiwania prostych mózdzierzy.

Działa ustawiono na nasypie i wycelowano w kępę bambusów, rosnących na skraju oczyszczonego przedpola wokół tortu. Pinto poweselał, na myśl o strzelaniu stanął przy moździerzach i czekał na polecenia.

– W porządku, Cobb – odezwał się Wheech-Browning. – Teraz pańska kolej.

Feliks myślał intensywnie.

– Coś panu powiem – rzekł. – Wyjaśnię wszystko kapitanowi Pinto, a on przećwicz to ze swoimi ludźmi. Jestem trochę na bakier z terminologią techniczną.

Przyniesiono amunicję ćwiczebną. Feliks nastawił na załadowanie, wycelował w zarośla bambusowe, mniej więcej w odległości stu metrów, potem włożył do lufy nabój – przypominający duże drewniane jabłko.

– Zazwyczaj robią to trzy osoby – wyjaśnił.

– *Quei* – spytał Pinto.

– Trzech. *Tres, hm, homen. Tres homen.*

– Ej?

– *Sim.*

– Dobrze, Cobb. Wspaniale.

– Odsuńcie się. – Feliks szarpnął sznurem na płycie moździerza.

Nastąpił głośny huk, wszyscy odskoczyli przerażeni. Z lufy i każdej szczeliny moździerza wydobywały się spirale dymu. Pocisk utkwiał u wylotu działa.

– Boże święty – powiedział Wheech-Browning.

– Spróbujemy z drugiego – zaproponował Feliks.

Powtórnie nastawiono celownik, załadowano pocisk i szarpnięto za sznur, płyta moździerza podskoczyła i tym razem pocisk z głuchym grzmotem poszybował wysoko w błękit poranka i spadł w gąszcz, dobre pięćdziesiąt metrów za kępą bambusów. Pinto klasnął w dłonie.

– Rozminął się nieco z celem – stwierdził Wheech-Browning.

Feliks poprawił położenie lufy. Wystrzelono następny pocisk. Ten szedł prosto w górę, a kiedy spadł, odbił się kilkakrotnie od ziemi jakieś trzydzieści metrów bliżej celu. Teraz ludzie Pinta stanęli w bezpiecznej odległości, na nasypie, i spoglądali z pewnym lękiem, połączonym z niedowierzaniem i ciekawością. Pinto zaś sprawiał wrażenie niezwykle zadowolonego.

– Co jest? – spytał Wheech-Browning.

– Nie mogę ustawić zasięgu.

– Mówiono mi, że działają niezawodnie. Obsługa ich to podobno dziecinna igraszka. Nie spał się pan, Cobb.

Feliks spojrział ponuro na Wheech-Browninga.

– Ślepe pociski są za lekkie.

Feliks nakazał sobie spokój. Wyjął okulary i włożył je, żeby sprawdzić po-działki na mechanizmie celowniczym. Wszystko było w porządku. Podejrzewał, że brak precyzji w strzelaniu ma związek z ciężarem właściwym ślepych poci-sków. Podzielił się swymi spostrzeżeniami z Wheech-Browningiem.

– No to niech pan spróbuje z prawdziwym – odparł tamten i wyjął z kie-szeni chusteczkę, żeby w nią kichnąć. – Tylko, na miłość boską, niech pan trafi do celu. Wyglądamy jak para głupców. – Uśmiechnął się i pomachał ręką kapi-tanowi Pinto. – W tej sytuacji fort może zdobyć garstka pensjonarek.

Żałowano prawdziwy pocisk. Feliks poprawił kąt nachylenia i pociągnął za sznur. Kulisty pocisk poszybował wysoko w górę, znów spadł za bambusami i wybuchnął z wielkim hukiem w kłębach białego dymu.

– Ale hałasują – powiedział wolno Wheech-Browning do Pinta, jakby zwracał się do trzyletniego brzdąca. – Hałas. Bum!

– *Sim* – odparł Pinto. – Bum!

– Dalej, Cobb – rzekł cicho Wheech-Browning. – Niech pan trafi w ten cholerny cel.

Feliks załadował następny pocisk. Nie mógł zrozumieć, dlaczego działo strzela niecelnie. Potem przyszła mu do głowy pewna myśl. Jeśli jeden moż-dzierz jest zły, drugi też może mieć wadliwą konstrukcję.

– Chwileczkę – powiedział. – Według mnie coś jest nie w porządku z ce-lownikiem. Odmierzę krokami odległość.

– Nie sądzę, aby miał pan na to czas, jeśli Niemcy zaczną szturmować fort – powiedział zjadliwie Wheech-Browning.

Feliks zdążył już skoczyć na nasyp, ześliznął się po jego zboczach i dał susa przez rów. Przemierzył szybkim krokiem otwarty teren i przez zaciśnięte zęby liczył kroki. Postanowił trafić następnym pociskiem w sam środek bambusów i raz na zawsze zamknąć usta Wheech-Browningowi.

Przy dziewięćdziesiątym drugim kroku doszedł do drzew i zawrócił. Zdu-miał go widok Pinta, który robił to samo co on. Idiota, najwidoczniej pomyślał, że stanowi to część szkolenia.

– *Nao*, *Aristedes* – zawołał Feliks z udaną jowialnością, idąc mu na spo-tkanie i machając rękami. – *Nao importa*.

Nagle zobaczył kłąb dymu unoszący się z nasypu, a w chwilę później, nic dowierając własnym uszom, usłyszał huk mózdzierza. Dostrzegł nawet pocisk przecinający czarną-smugą błękitne niebo.

– *U c i e k a j !* – wrzasnął wprost w przerażoną twarz Pinta. – *U c i e k a j !*

Feliks zawrócił i wziął nogi za pas.

Rozległ się przerażający huk, czuł jakby porwały go ogromne, przybojowe fale oceanu, uniosły, zawirowały. Poczł piekący ból w tylnej części głowy, miał wrażenie, że ktoś wbija mu gwóźdź w czaszkę. Potem runął na ziemię.

Na kilka sekund stracił przytomność. Kiedy otworzył oczy, stwierdził, że dookoła niego unoszą się kłęby dymu. Umysł zdawał się pracować z nadzwyczajną precyzją i jasnością. Feliks pamiętał wszystko, rozumiał, co się stało.

Staął niepewnie na nogach, zatoczył się, spojrzął na siebie. Doznał wstrząsu – nie miał na sobie nic poza butami. Fragmenty ciała, wyłaniające się ze smug kłębiącego się dymu, były albo trupio blade, albo poznaczone groteskowymi, ciemnymi sińcami. Z brody ściekała krew. Dotknął twarzy, głowy, spojrzął na czubki palców. Wydawało się, że krew cieknie mu z nosa, uszu i o c z u . Tył głowy miał odrętwiały, wilgotny. Słaniał się lekko na nogach. Czuł nasilające się zawroty głowy. Szukał Aristedesa, ze zmrużonymi oczami wypatrywał go między smugami dymu, ale po kapitanie nie było śladu. Potykając się, doszedł do krawędzi świeżego leja. Rozdarta ziemia była jeszcze ciepła, jak chleb świeżo wyjęty z pieca. Jakby przez sen zobaczył coś, co wziął za drogocenne kamienie lub klejnoty połyskujące wśród parujących grudek ziemi. Z trudem schylił się i po omacku podniósł jeden z nich. Przysunął do zdumionych oczu. Był to złoty ząb.

Aristedes zniknął bez śladu.

Feliks upadł na ziemię. Poczuł, że traci przytomność, jakby ciągnęły go gdzieś niewidzialne ręce. Przez ostatnią szczelinę w spowijającym go dymie zaczęła wyłaniać się zboląła twarz Wheech-Browninga, usłyszał jego przerażony, wyraźny jak u dziecka głos.

– Sznur, Cobb. Kichnąłem. Trzymałem go w ręce. Po prostu wypaliło. Przepraszam, Cobb. Przepraszam...

ROZDZIAŁ DRUGI

13 LISTOPADA 1918 ROKU
KASAMA, RODEZJA

Von Bishop spojrzął na Rutkego, który szczekał z zimna zębami, mimo że poranne słońce przygrzewało tak mocno jak zwykle.

– Moim zdaniem, ma pan grypę – powiedział bez ogródek. – Ale niech pan idzie do Depego, on panu poradzi.

– O Boże, byle nie to – odparł Rutke.

Już trzech oficerów zmarło na hiszpankę. Rutke odszedł przygarbiony w poszukiwaniu doktora. Deppe niewiele mu pomoże, pomyślał von Bishop. Jest beużytecznym lekarzem, gorzej niż beużytecznym. Von Bishop nadal uskarżał się na dzwonięcie w uszach, którego nabawił się w czasie bitwy pod Tanga. Minęły już cztery lata i żadnej ulgi. Ze złością zaczął wiercić małym palcem w lewym uchu. Wydawało mu się, że dzwonięcie jest nawet dotkliwsze.

Wyszedł z cienia markizy, pod którą stał, i zlustrował wzrokiem oba końce opustoszałej głównej ulicy Kasamy. Polna droga, z rosnącymi z rzadka tu i ówdzie drzewami płomienistymi, prowadziła między lepiankami i drewnianymi domami krytymi blachą lub słomą. Dalej przed sobą widział ludzi ze swej kompanii, stojących na straży za wzniesionymi naprędce barykadami. Ranek zapowiadał się przyjemnie.

Skrzył się znów w cieniu pod markizą i kazał służącemu podać filiżankę kawy. Usiadł w trzcinowym fotelu i pochylił się do przodu, z łokciami na kolanach, podpierając dłońmi głowę. Przyszło mu na myśl, że von Lettow może czuć się równie zmęczony jak on. W ostatnim roku posuwali się na południe daleko w głąb Portugalskiej Afryki Wschodniej, po pierwszym strzale kapitulowały przed nimi niezliczone warownie, rozgrywali na tyłach nie kończące się potyczki ze ścigającymi ich angielskimi oddziałami. Potem, w lipcu, znów zawrócili na północ. Okrążając Portugalską Afrykę Wschodnią znaleźli się ponownie, po przeprawieniu przez Ruvume, na swoim dawnym terytorium. W

sierpniu marsz opóźniła dziwna epidemia. Z początku Deppe powiedział, że to „nieżyt oskrzeli”. Potem zmienił diagnozę na „płatowe zapalenie płuc”. Teraz, kiedy zmarło trzech Europejczyków i siedemnastu tubylców, mówił wszystkim, że to „grypa-hiszpanka”. Von Bishop zaczął z wściekłością wiercić w uszach obydwojoma małymi palcami. I ten człowiek nazywa się lekarzem.

W październiku, nadal ścigana przez nieustępliwe oddziały brytyjskie, obdarta *Schutztruppe* zawróciła na zachód i wkroczyła na teren Rodezji. Nie napotkała wielkiego oporu, zagarnęła spore zapasy żywności i broni. Von Lettow zatrzymał swą małą armię na kilka dni w pobliżu granicznego miasteczka Fife. Tutaj, z angielskich gazet, dowiedzieli się po raz pierwszy od wielu miesięcy, jakie zmiany zaszły na froncie europejskim. Wiadomości nie były pomyślne. Alianci przeszli we wrześniu do ofensywy i Amerykanie nacierali w regionie Argonne, Francuzi i Brytyjczycy w Cambrai i St Quentin. Von Bishop, wraz z innymi oficerami, zastanawiali się, czy von Lettow bierze pod uwagę możliwość kapitulacji. Ale na spotkaniu generał oświadczył, że zarekwirowane zapasy leków powiększyły ich rezerwę chininy do czternastu kilogramów, a czterysta sztuk bydła, które mają ze sobą, wystarczy na wyżywienie wojska do czerwca 1919 roku. Zamierzał przebić się przez Afrykę na zachód, w kierunku Konga, być może aż do wybrzeża atlantyckiego.

Jednostki zmechanizowane odesłano drogą z Fife do Kąsamy. Von Bishop wkroczył przed tygodniem do miasta, garnizon zdołał już uciec na południe. Ledwie główne siły *Schutztruppe* ściągnęły do Kąsamy, a już były gotowe znów wyruszyć w pogoń za nieprzyjacielem. Niektóre patrole podążyły przodem. Erich miał pozostać kilka dni jako część straży tylnej.

Von Bishop uniósł wzrok. Kawa była gotowa. Boy przyniósł mu także na blaszanym talerzu truskawki, których było pod dostatkiem w ogródkach Kąsamy. Wziął soczysty owoc i wsunął do ust, rozgniatając językiem o podniebienie. W ustach poczuł słodki sok i truskawkową miążgę. Jakby Liesl zjadała się truskawkami! – pomyślał nagle. Uśmiech znikł z jego twarzy. Zastanawiał się, gdzie ona jest i jaki spotkał ją los. Ciekaw był, czy Liesl wie o śmierci Cobba.

Mieszał wolno kawę i myślał o owej nocy na płaskowyżu Makonde. Zaszła straszna pomyłka. To dlatego, że nie mógł się porozumieć z ruga-ruga. Tamtego ranka pośpiesznie zakopał głowę, a potem ruszył do ujścia Ludjendy na spotkanie z armią von Lettowa. Miał zamiar wydać rozkaz aresztowania ruga-ruga i skazać ich na karę śmierci za dokonane morderstwo, ale następnej nocy zniknęli gdzieś bez śladu. Był bezsilny. Nie mógł ich zapytać, dlaczego to zrobili; nie mogli mu odpowiedzieć. Miał pewne podejrzenia, że może działali zgodnie z instrukcjami Deega, ale i tego nie mógł wyjaśnić. Powiedział von Lettowowi, że znaleźli martwe ciało Cobba i pochowali na miejscu. Przypuszczalnie Anglik zmarł z głodu i zimna na płaskowyżu Makonde.

Wypił kawę i podniósł się z fotela. Skończona historia. Nie lubił wracać myślami do tego zwłaszcza epizodu. Zaszła tragiczna pomyłka. Cobb powinien być teraz tu w Kasamie, razem z innymi jeńcami brytyjskimi w kolumnie *Schutztruppe*. Opanował się: nic nie dadzą takie refleksje.

Poszedł ulicą w kierunku swych ludzi, głowę miał nadal zaprzątniętą wydarzeniami tamtej nocy. A jeżeli Deeg nie wydał ruga-ruga tajnych instrukcji, czy w takim razie on ponosi odpowiedzialność za tę tragedię? Czy zrobił bądź powiedział coś, co ruga-ruga mogli zinterpretować jako rozkaz zabicia Cobba? Nie, z pewnością nie. Zadawał sobie pytania z bezwzględną uczciwością. Nie kazał tubylcom zabić tego człowieka. Powiedział tylko „łapać go”, i to w języku, którego nie znali. Nie, sumienie ma czyste.

Dołączył do grupy swych żołnierzy. Podobnie jak on, mieli na sobie strzępy mundurów niemieckich i zdobycznych – portugalskich. Broń w całości była teraz pochodzenia portugalskiego lub brytyjskiego. Część askarysów siedziała za kamiennym murem, inni leżeli w płytkich dołach strzelniczych. Sierżant von Bishopa, Europejczyk, podszedł i zasalutował. Wszędzie panował spokój.

Słońce prażyło silnie. Droga, której pilnowali, prowadziła do Fife i w stronę odległej o jakieś dwieście kilometrów granicy Niemieckiej Afryki Wschodniej. Fife zostało zajęte przez oddziały Królewskich Strzelców Afrykańskich ścigających armię von Lettowa. Von Bishop pozostał z żołnierzami przez pół godziny, a potem ruszył z powrotem główną ulicą w kierunku swej kwatery.

Nagle, z bocznej ulicy, usłyszał warkot motocykla. Zaciekawiony, przystanął. Niebawem motocykl pojawił się w zasięgu wzroku von Bishopa. Motocyklista zatrzymał się, zdjął gogle. Von Bishop podszedł bliżej. Był to żołnierz angielski.

– Gdzie cała reszta, kolego? – spytał wesoło. – Niestety, zabłądziłem. Może mi pan powiedzieć, gdzie jest garnizon Kasamy?

Von Bishop zdał sobie sprawę, że w podartym, wypłowiałym mundurze przypomina bardziej farmera niż oficera niemieckiego. Był w głupiej sytuacji, nie miał nawet przy sobie broni.

– To miasto jest zajęte przez armię niemiecką – powiedział w formie usprawiedliwienia.

– Aha! – odparł łącznik. – A więc dostałem się do niewoli?

– Tak, zgadza się – potwierdził von Bishop czując się trochę głupio.

– Nic pan nic wie? – spytał łącznik. – Wojna skończyła się przedwczoraj. – Z torby przewieszanej przez ramię wyjął sztywny brezentowy notatnik i podał von Bishopowi.

Von Bishop przeczytał zawartą w nim wiadomość:

„Niniejsze pismo przesłać z białą flagą pułkownikowi von Lettow-Vorbeckowi. Premier Anglii ogłasza, że 11 listopada o godzinie piątej został podpisany rozejm i że działania wojenne na wszystkich frontach kończą się 11 listopada o godzinie jedenastej.”

Von Bishop podniósł wzrok. Poczł się nagle słaby z emocji, poczuł mrowienie w kolanach, zbliżające się rozwolnienie. A więc nareszcie koniec. Z dwudniowym opóźnieniem, ale wreszcie koniec. Kurier podniósł ręce do góry, jakby się poddawał.

– W porządku – powiedział von Bishop z szerokim uśmiechem. – To już pana nie obowiązuje.

ROZDZIAŁ TRZECI

2 GRUDNIA 1918 ROKU
NAIROBI, BRYTYJSKA AFRYKA WSCHODNIA

Dom sir Nigela Macmillana w Nairobi przypominał obszerny bungalow z szarego granitu, jakie spotyka się w elegantszych dzielnicach szkockich miasteczek. Jak tamte także był zbudowany z kamienia, kryty dachówką, z ozdobnymi rynnami z lanego żelaza i witrażami w oknach. Miał tylko, ze względu na klimat, szeroką werandę z filarami. Stały na niej doniczki z kwiatami, drewniane krzesła i kanapy, roztaczał się stąd widok na starannie strzyżone trawniki i odchwaszczone żwirowe alejki. W roku 1917 sir Nigel wynajął dom stacjonującej w Afryce Wschodniej armii Imperium Brytyjskiego na sanatorium dla oficerów.

Feliks Cobb siedział sztywno w fotelu, okulary trzymał w obu dłoniach i niewidzącym wzrokiem przypatrywał się trzem afrykańskim ogrodnikom, którzy motykami wruszali ziemię na rabatach kwiatowych. Na kolanach miał list i egzemplarz miejscowej gazety, „The Leader of East Africa”.

Wyglądał na człowieka, który doznał silnego wstrząsu.

Żeby się uspokoić, wziął do ręki list, włożył okulary i znów zaczął go czytać. Była to krótka wiadomość od matki.

Dwór Stackpole
30 sierpnia 1918 roku

„Ukochany Feliksie!

Ogromnie zmartwiliśmy się, słysząc o twoim wypadku z mózdzierzem, ale ulżyło nam na sercu, kiedy się okazało, że po doznanych obrażeniach wracasz powoli do zdrowia.

Piszę w pośpiechu, żeby donieść ci o ojcu. Z przykrością informuję, że od czasu twojego wyjazdu na wojnę jego choroba zaczęła się stopniowo nasilać. Po

głębokim namyśle i szczegółowych konsultacjach z doktorem Venablesem Cressida i ja postanowiłyśmy, że najlepiej będzie dla wszystkich, jeśli ojciec na jakiś czas wyjedzie. Doktor Venables znalazł spokojną i przyjemną prywatną klinikę St. Jude w pobliżu Bournemouth. Powiada, że cieszy się ona świetną opinią. Doktor Venables ma nadzieję, że kiedy wojna się skończy i będziecie z Gabrielem w domu, życie wróci wreszcie do normy.

Nigel Bathe dostał nowe wspaniałe ręce i jest prawie taki jak dawniej. Twój przyjaciel Holland wyjechał do Rosji, żeby wziąć udział w rewolucji. Dzwonił przed paru dniami pytając o ciebie.

Uściski od wszystkich
Matka”

Feliks odłożył list, chwilowo przejęty smutkiem na wieść o chorobie umysłowej starego ojca. Żałował, że we właściwym czasie nie napisało śmierci Gabriela. Teraz ogromnie trudno będzie wyjawić całą prawdę. Uśmiechnął się ponuro. Mądry był ponieważ, minione zdarzenia widział z niezwykłą ostrością.

Podniósł się z fotela, prawą ręką przesunął automatycznie po tylnej części głowy, po guzach i szwach. Gdy wstawał, gazeta zsunęła mu się z kolan na podłogę. Schylił się po nią i poczuł, jak krew napływa mu do mózgu, co przypawiło go o zawrót głowy.

Wepchnął gazetę pod pachę. Powinien trochę poczekać, zanim znów zabierze się do czytania. Zszedł po schodkach do ogrodu.

Już prawie całkiem wrócił do zdrowia po tym, jak Wheech-Browning wysadził w powietrze jego i kapitana Pinto pociskiem z moździerza Stokesa. Dostał w tył głowy odłamkiem, który uszkodził mu część potyliczną mózgu. Wirujące smugi dymu, które zobaczył w czasie eksplozji, były w rzeczywistości symptomem ślepoty spowodowanej urazem. W konsekwencji nie widział jednym okiem. Miał wrażenie, jakby patrzył przez roztrzaskaną szybę. Wydawało mu się, że pozostała część niewidzącego oka otacza wirujący, pulsujący szary dym, który przypominał chmurę połyskliwego mikowego pyłu. Połowiczna ślepota trwała prawie cztery miesiące, potem w miarę gojenia się rany zaczęła powoli ustępować. Feliks przekonał się, że symptomy choroby wracają na pewien czas, jeśli otacza go hałas. Wystarcza głośnie trzaśnięcie drzwiami, ostry krzyk, ogień artyleryjski.

Miał być zwolniony z wojska z powodu kalectwa i w ciągu trzech tygodni odpłynąć z Mombasy do Anglii. Te tygodnie zamierzał spędzić jako rekonwalescent na farmie Temple'a Smitha w pobliżu Kilimandżaro. Taki przynajmniej był plan. Wszystko się jednak zmieniło po przeczytaniu gazety. Od roku czekał z nadzieją na tę wiadomość.

Gdy Feliks zbliżał się do grupy pacjentów, mężczyzna o dziwacznej budowie ciała odłączył się od nich i bokiem przesunął się w jego stronę. Był to wielbny Norman Espie, teść Temple'a, irytująco częsty gość „dzielnych rannych chłopców” w sanatorium. Dzięki Espie'emu Feliks odnowił znajomość z Temple'em, i był pastorowi za to wdzięczny.

Wielebny Norman Espie wykonał szybki ruch wątlym ramieniem i przed oczami Feliksa pojawiły się trzy palce.

– Poruczniku Cobb, ile to palców?

– Trzy, pastarze – odparł zniecierpliwiony Feliks. Espie zawsze w ten sposób kontrolował jego wzrok. – Nie jestem ślepy.

– Chwała Bogu – odparł Espie. – Temple prosił, żebym przekazał panu wiadomość, że będzie czekał w hotelu „Norfolk” jutro o dziesiątej rano.

– Ach, niestety, nastąpiła pewna zmiana. Nie przyjadę, przynajmniej na razie.

– Boże, chyba nie z powodu stanu zdrowia?

– Nie. Muszę jechać do Dar es-Salam.

– Do Dar?! W jakim celu, u licha, mój drogi młodzieńcze?

– Sprawy urzędowe. W związku ze śmiercią mego brata. Temple zrozumie, o co chodzi.

Feliks raz jeszcze przeprosił za zawód, jaki sprawił, i zostawił wielbego Normana Espie jego duchowym posługom. Wrócił do fotela na werandzie. Wyjaśnienie udzielone Espie'emu nie było całkiem zgodne z prawdą. Ten plan zrodził się w jego głowie zaledwie przed paru minutami. Musiał jeszcze pozalażniać swoje sprawy, uzyskać oficjalne zezwolenie, ale koniecznie chciał jechać do Dar.

Usiadł i ponownie otworzył gazetę. „The Leader” zawierał długi artykuł o kapitulacji armii niemieckiej w Abercorn w Północnej Rodezji, nastąpiła ona dwudziestego piątego listopada.

„...von Lettow złożył w języku niemieckim formalną kapitulację, a potem powtórzył ją w języku angielskim. Generał Edwards przyjął akt kapitulacji w imieniu Jego Królewskiej Mości króla Jerzego V. Następnie dokonano prezentacji – von Lettowa przedstawiono brytyjskim oficerom, on zaś przedstawił z kolei swoich oficerów. Niemieckie siły zbrojne liczyły 155 Europejczyków, w tym 30 oficerów, lekarzy wojskowych, wyższych urzędników i 1168 askarysów.”

Dalej podawano listę owych oficerów niemieckich. Serce Feliksa zaczęło bić silniej, kiedy szukał wśród nich jedyne nazwisko, na którym mu zależało. Gdy je znalazł, zrobiło mu się niedobrze. „Von Bishop, Erich, kpt, rezerwy.” A więc von Bishop żyje. Los pozwolił mu przetrwać wojnę. Feliks zamknął oczy i przywołał obraz odciętej głowy Gabriela. Woskowa cera, wytrzeszczone oczy, matowe, zmierzwione włosy. Przywołał na pamięć poszarpane przez sępy ciało brata w stratowanej trawie.

Uparcie powracające pytania, które nie dawały mu spokoju przez rok, znów zaprzętnęły umysł. Co zaszło na płaskowyżu Makonde? Przez jakie piekielne męki przeszedł Gabriel?

Feliks otworzył oczy i spojrzał na spokojny ogród ze starannie przystrzyżonymi trawnikami i grupami spacerujących inwalidów. Od początku wojny nic w jego życiu nie przebiegało tak, jak zaplanował. Oksford, Charis, poszukiwanie Gabriela, pościg za von Bishopem. Zdał sobie sprawę, że jest żołnierzem blisko dwa i pół roku – od lipca 1916 – i nie oddał ani jednego strzału z uczuciem gniewu. Co to za wojna, w której może się zdarzyć coś tak niedorzecznego? Mimo to przeszedł chorobę, zaznał głodu, śmiertelnego znużenia, zobaczył ciało brata, na którym dokonano ohydneho mordu, dzielił mieszkanie z portugalskim syfilitykiem, który nie znał angielskiego, o włos uniknął śmierci od pocisku wystrzelonego przez Anglika. Wiedział, że nie jest odpowiedzialny za bieg wypadków, że nie ma sensu oczekiwać od życia, aby układało się według oczekiwań. Ale chyba człowiek ma jakiś choćby minimalny wpływ na bieg wypadków? Przysiągł sobie, że przed opuszczeniem Afryki, zanim skończy się ta zwariowana, bezsensowna wojna, dokona czegoś na własny rachunek i przynajmniej jeden strzał odda w słusznym gniewie. Miał zamiar strzelić w łeb von Bishopowi. Dopiero wtedy dla niego zakończy się wojna.

ROZDZIAŁ CZWARTY

5 GRUDNIA 1918 ROKU

DAR ES-SALAM, NIEMIECKA AFRYKA WSCHODNIA

Przed wyruszeniem do Bismarckburga nad jeziorem Tanganika armia niemiecka po kapitulacji pozostała przez dwa tygodnie w Abercorn. Stamtąd popłynęli parowcem do Kigomy, końcowej stacji Kolei Centralnej z Dar, Podróż powrotna do stolicy trwała kilka dni. Najpierw zatrzymali się w Taborze, gdzie mieli być internowani askarysi. Oficerowie i urzędnicy europejscy pojechali bezpośrednio do Dar, skąd w najkrótszym czasie mieli zostać repatriowani razem z pozostałą niemiecką ludnością cywilną.

W miarę jak von Bishop zbliżał się do Dar, czuł wyraźne zdenerwowanie na myśl o spotkaniu z Liesl. Nie widział jej od ponad roku. Ostatnie ich pożegnanie na stopniach szpitala w Nandzie nie wypadło najlepiej z powodu wyjątkowo niefortunnego zbiegu okoliczności. Zastanawiał się czy wyjdzie po niego na stację. Kiedy pociąg zatrzymał się w Morogoro, niemiecka ludność cywilna zgotowała im, zgodnie z poleceniem, gorące powitanie. Na peronie ustawiono stoły uginające się od świeżego chleba, owoców, piwa i wina.

Widok gajów palm kokosowych rosnących za miastem wzmógł w von Bishopie uczucie zdenerwowania. Przyszło mu na myśl, że Liesl mogła się dowiedzieć o okolicznościach śmierci Cobba. Jeśli nie, na pewno go zapyta, co się stało z Anglikiem. Na chwilę zamknął oczy, dławiący strach ścisnął mu gardło. Co ma odpowiedzieć? Jak się wytłumaczyć?

– Niech pan się tak nie martwi – pocieszył go Rutke. – Wkrótce będziemy w domu.

Próbując ukryć swą irytację, von Bishop spojrzał na Rutkego, który siedział naprzeciwko. Był błady i chudy. Szczęściarz. Od czasu kapitulacji pięciu kolejnych Europejczyków zmarło na hiszpankę. Rutke wyszedł z tego cało po czterdziestu ośmiu godzinach wysokiej gorączki.

– Pan u to dobrze – nie bacząc na nic podjął Rutke. – Żonaci mają dokąd wrócić. My, kawalerowie, musimy mieszkać w obozach.

Na stacji zebrał się duży tłum. Kiedy pociąg wjechał na peron, rozbrzmiały serdeczne okrzyki powitania. Oficerowie wysiedli z wagonów i w szyku pomaszerowali Unter den Akazien do ogrodu botanicznego, w którym stały namioty obozu. Wśród oczekujących na stacji nie było Liesl, ale ktoś powiedział von Bishopowi, że żony jeńców czekają na nich w obozie. Wolno, jeden za drugim, weszli do obszernego namiotu. Zapisano ich nazwiska, stopnie i dane personalne, wręczono nowe, drelichowe ubrania, trzy koszule, kołnierzyki, bieliznę osobistą i przyrządy do golenia.

Von Bishop wyszedł na słońce, trzymając w rękach swój ekwipunek.

– Erich – usłyszał czyjś głos.

– Tędy – powiedział angielski sierżant i poprowadził go do grupy oczekujących kobiet.

Liesl miała na sobie białą bluzkę z wyciętym dekoltem i długą szarą spódnicę, na głowie męski kask tropikalny. Od razu zauważył, że znacznie zeszczupiała. Po raz pierwszy od lat przypominała mu tę kobietę, którą w roku 1913 odprowadził na statek do Niemiec. Z jakiegoś powodu zmiana w jej wyglądzie dawała mu nadzieję na pomyślny obrót spraw.

Wzięła od niego ubranie.

– Miałaś tu być wczoraj – odezwała się. – Co się stało?

– W Morogoro nastąpiła zwłoka – odparł. – Pochylił głowę, dotknął wargami jej ust. – Liesl. Wspaniale wyglądasz. Bardzo wyładniałaś.

– Chorowałam – powiedziała ostrym, poirytowanym głosem. – Miesiąc gorączki.

Słyszając jej odpowiedź von Bishop poczuł od razu przyływ miłości. Teraz wszystko z pewnością ułoży się dobrze.

Wzięli riksę do dzielnicy przeznaczonej dla cywilnej ludności niemieckiej. Dawniej mieszkali tu niżsi urzędnicy kolei; teren ten leżał za stacją rozrządową, zabudowany był małymi bungalowami krytymi falistą blachą, wzniesionymi na ceglanych, mniej więcej metrowych, słupach. Cywilom niemieckim wolno było poruszać się swobodnie po mieście w ciągu dnia, ale po zapadnięciu zmroku obowiązywała godzina policyjna i musieli siedzieć w domach.

Co za dziwne uczucie przejeżdżać znów ulicami Dar. Von Bishop rozglądał się dookoła. Wszędzie widać było żołnierzy angielskich, z najwyższych budynków powiewały brytyjskie Hagi, na skrzyżowaniu stały angielskie znaki drogowe. Niemiecka Afryka Wschodnia już nie istniała

Ich bungalow prezentował się nędznie, swym wyglądem nie wzbudzał zaufania, wydawał się mniejszy nawet od tego w Nandzie. W sąsiedztwie ulice były wąskie, poryte koleinami, roilo się na nich od kundli, chudych kur rozgrzebujących śmieci na poboczu drogi ocienionej z rzadka rosnącymi drzewami.

Dom Liesl chlubił się zniszczonym żywoplotem z hibiskusa, wysypaną żużlem ścieżką prowadzącą do frontowych drzwi, którą wyznaczały świeżo pomalowane wapnem kamienie. Całe pomieszczenie składało się z pokoju mieszkalnego oddzielonego wąskim korytarzem od pojedynczej sypialni. Kuchnia i ubikacja znajdowały się tuż za domem. Niemcom wolno było zatrudniać tylko jednego służącego na rodzinę. We frontowych drzwiach powitała ich Kimi, służąca z Nandy.

Wewnątrz domu panował cuchnący zaduch. Von Bishop usiadł na prostym drewnianym krześle.

Liesl stanęła przy oknie i wachlowała się kartką papieru.

– W nocy robi się chłodniej – powiedziała obojętnie.

– Chyba lepiej mieszkać tu, niż tłoczyć się w obozie.

– Ach, Anglicy są w stosunku do nas bardzo fair.

Dziewczyna przyniosła von Bishopowi szklankę piwa.

– Mój Boże, piwo! – wykrzyknął. – Nie piłem go od lat. – W rzeczywistości opił się piwem w Morogoro.

Liesl miała zadowoloną minę.

– Trzymałam to dla ciebie.

Von Bishop podniósł się z krzesła, podszedł do niej i pocałował w policzek. Potem stanął niezdarne u jej boku i wyglądał przez uchylone okiennice na rzadki żywoplot z hibiskusa, wysypaną żużlem ścieżkę i bielone kamienie.

– Erich – odezwała się Liesl, wciąż spoglądając przez okno. – Muszę cię o coś zapytać. Co się właściwie stało z Gabrielem Cobbem?

– Nie wiesz?

– Nic nie słyszałam. Wywieźli nas tutaj prawie zaraz po tym, jak ci ludzie poszli twoim śladem.

Von Bishop o mało nie upuścił szklanki z piwem. Zmusił się do swobodnego tonu.

– Znaleźliśmy go – powiedział poważnym tonem. – Na płaskowyżu Makonde. Umarł z głodu, wycieńczenia...

Liesl spojrzała na swą lewą dłoń spoczywającą na parapecie okna. Wyrwała drzazgę z wysuszonego, popękanego drewna.

– Wiedziałam – odezwała się ze smutkiem w głosie. – Kiedy nie było wiadomości, wiedziałam, że nie żyje. – Zawiesiła głos. – Erich, ja...

– Znaleźliśmy go samego – wtrącił szybko von Bishop. – Ubranie było w strzępach. Niczego przy sobie nie miał. Ani żywności, ani wody. „Nie przystosowany człowiek”, jak powiada Szekspir. Był to odważny, ale głupi krok.

Liesl spojrzała na niego ostro. Von Bishop wruszył ramionami.

– Pochowaliśmy go na miejscu. Ruszyłem potem do ujścia rzeki Ludjendy i dołączyłem do von Lettowa. Nie miałaś żadnych wiadomości od ludzi, którzy, hm, ruszyli moim śladem?

Liesl otworzyła usta, jakby miała coś powiedzieć, potem zrezygnowała.

Rozluźniła ramiona.

– Nie – odparła wypuszczając z płuc powietrze. – Nic. Ale wczoraj zobaczyłam jednego z nich. Ten widok przypomniał mi całe zdarzenie.

– T u t a j ? W Dar? – Zdrowy rozsądek nakazywał spokój. Od miesiąca jest w niewoli. Gdyby oskarżono go o cokolwiek, wiedziałby już coś do tej pory.

– Tak – potwierdziła Liesl i spojrzała na niego z lekkim zainteresowaniem.

– Czy cię widział?

– Chyba tak. Tak mi się wydaje.

– Nic nie powiedział?

– Nie, nic. Nie sądzę, żeby mnie rozpoznał.

Von Bishop odchrząknął, skrywając uczucie ulgi.

– Wobec tego nie znaleźli grobu.

– Nie – Liesl zagryzła dolną wargę. – Nie przypuszczam.

Von Bishop odstawił szklankę z piwem, wziął żonę w ramiona i przytulił do siebie. Była szczuplejsza, ale ciało pozostało pulchne. Poczul, jak ogarnia go uczucie szczęścia. Ścisnął jej ramiona.

– Wkrótce będziemy w kraju – powiedział. – Może pozwolą nam tu jeszcze kiedyś wrócić.

ROZDZIAŁ PIĄTY

9 GRUDNIA 1918 ROKU

DAR ES-SALAM, NIEMIECKA AFRYKA WSCHODNIA

Feliks stał w cętkowanym cieniu księżycy pod drzewem bawełnianym i spoglądał na dom von Bishopów. Przeklinał swego pecha. Co za ironia losu, żeby w ciągu dwóch dni od przybycia do Dar spotkać przed hotelem „Kaiserhof” żonę von Bishopa. Spojrzał na nią niewidzącym wzrokiem, udając, że jej nie poznaje, odwrócił się i odszedł szybkim krokiem. Nie wiedział jednak, czy ona go rozpoznała i żeby rozproszyć wszelkie podejrzenia przez kilka następnych dni nie wychodził z hotelu.

Teraz postawił wysoko kołnierz płóciennej marynarki i zasłonił uszy. Miał na sobie cywilne ubranie. Od morza wiał chłodny wiatr. Wydawało mu się, że stoi pod tym drzewem od wielu godzin. Przeniósł ciężar ciała z jednej nogi na drugą, wyczuwając na biodrze lufę służbowego rewolweru. Broń była za duża, żeby bez wzbudzania podejrzeń nosić ją w kieszeni marynarki, więc wepchnął rewolwer za pasek spodni. Wyjął go teraz i odbezpieczył, światło księżycy błysnęło na sześciu mosiężnych nabojach. Zastanawiał się, czy nadszedł już właściwy moment do działania, postanowił jednak poczekać jeszcze kilka minut. Jeden pokój bungalowu był oświetlony, drugi całkiem ciemny. Rozejrzał się po nic wyasfaltowanych ulicach. Ani śladu człowieka. Przy świetle księżycy piasek miał kolor popiołu i mimo kojącego nocnego powietrza otoczenie stwarzało odpychający nastrój. Feliks postanowił poczekać jeszcze kilka minut. Na wszelki wypadek.

Oficjalne zezwolenie na przyjazd do Dar es-Salam otrzymał bez większych trudności. Zatelegrafował do komendanta żandarmerii w Dar i poinformował go, że uzyskał informacje w związku ze śmiercią brata, kapitana Gabriela Cobba, mogące świadczyć o dokonaniu zbrodni wojennej. Udzielono mu rychło zezwolenia i ruszył pociągiem do Mombasy, a stamtąd na pokładzie parowca żeglugi przybrzeżnej do Dar. W biurze komendanta żandarmerii uzyskał jak

najdalej idącą pomoc. Opowiedział okoliczności śmierci Gabriela, nie ukrywając niczego, z wyjątkiem nazwiska von Bishopa. Załatany, zmęczony młody porucznik, któremu zlecono zbadanie sprawy, dostarczył wszelkiego rodzaju informacji na temat ocalałych niemieckich oficerów. Bez trudu udało się ustalić adres von Bishopa.

Feliks wprawił całą maszynię w ruch, ale wiedział, że będzie się ona bardzo wolno obracać, bo w Dar es-Salam panował rozgardiasz i ciągły bałagan. Nic załatwiono jeszcze innych przypadków brutalnych nadużyć niemieckich, nie mówiąc już o niezliczonych, zwykłych przypadkach naruszenia dyscypliny, typowych dla beczynnej armii okupacyjnej. Sprawa Feliksa będzie musiała poczekać w długiej kolejce.

Potem zobaczył żonę von Bishopa i ze względu na Bezpieczeństwo na trzy dni zaszły się w swym pokoiku na najwyższym piętrze „Kaiserhofu”.

W okresie tej trzydniowej beczynności podsycił w sobie nienawiść i żądzę zemsty, którymi karmił się przez wszystkie minione miesiące. Teraz jednak, mimo że zdobycz była tak blisko, odczuwał pewne wątpliwości. Zdecydował, że pozwoli mówić von Bishopowi i dowie się, co ma na swoją obronę.

Chwile niepewności szybko minęły. Wystarczyło tylko przywołać na pamięć obraz tego, co widział owego okropnego dnia na płaskowyżu Makonde. Jedyny kłopot polegał na tym, że obraz ten kojarzył się z innymi wspomnieniami, do których nie chciał wracać. Wspomnienia z dnia ślubu Gabriela i Charis, zwodnicze zapewnienia Charis w czasie jazdy pociągiem z Aylesbury do Londynu, jej straszna śmierć. Wkrótce znów będzie czynił sobie wyrzuty, będzie czuł się winny i nieszczęśliwy, w pełni uświadomi sobie prawdziwe motywy kierujące jego działaniem, ich wątpliwą wartość moralną. Umysłowił sobie, że ma szczęście. Może pozalać niektóre porachunki, doprowadzić sprawę do końca. W chwilach ostatecznego przygnębienia usiłował wyobrazić sobie twarz von Bishopa, starał się odtworzyć w myśli rysy człowieka, który zabił jego brata. Temple określił go jako chudego, krótko ostrzyżonego mężczyznę, z dużym, wydatnym nosem. Niewielu można było z tego wywnioskować, w wyobraźni Feliksa rysy von Bishopa odznaczały się nikczemnością i okrucieństwem. Czuł instynktownie, że rozpozna tego człowieka wszędzie.

Ważył w rękach broń. Czas iść. Kryjąc się w cieniu, zmierzał w stronę domu von Bishopów. Gdzieś w pobliżu zaczął ujadać pies, wkrótce jednak szczekanie ustało. Gdy skradał się do bungalowu, z rewolwerem w rękę, poczuł w sobie nagle zdecydowanie i chęć zemsty. Uznał, że zasada oko za oko, ząb za ząb jest bezwzględnie słuszna. Była logiczna, nie uznawała wyjątków: taka zasada pozwala człowiekowi współdecydować o własnym losie, kontrolować bieg wydarzeń.

Na tle oświetlonego kwadratu okna zobaczył cień jakiejś postaci. Zastanawiał się, czy to von Bishop. Zakradł się pod sam dom. Nie słyszał żadnej rozmowy. Pomyślał nagle o żonie von Bishopa, o tym, że będzie ona świadkiem.

Przystanął. Należałoby się jakoś zamaskować. Przeszukał kieszenie. Nie miał przy sobie chusteczki. Najważniejsza sprawa to zakryć twarz.

Klnąc pod nosem zdjął marynarkę i założył ją niezdarnie na głowę. W razie potrzeby podciągnie jedną fałdę i zakryje z powodzeniem twarz. Pod wpływem tych doraźnych praktycznych poczynań opuściła go – równie szybko, jak się pojawiła – żądza zemsty. Czuł się głupio, był słaby i bezbronny i opanowała go natrętna myśl, że wygląda niedorzecznie z głową owiniętą marynarką. Ociekał potem, który spływał nieprzyjemnie po zakutanej szyi.

Znów spojrzął na rewolwer z nadzieją, że widok śmiercionośnego narzędzia poderwie go raz jeszcze do czynu, lecz nasunął on tylko nieproszone myśli. Po naciśnięciu spustu rozlegnie się ogłuszający huk w zamkniętym pomieszczeniu. Bez wątpienia wywoła u niego ponownie częściową ślepotę, ograniczy zdolność widzenia. Co wtedy zrobi? Jak się stąd wydostanie? Z rozpaczą odrzucił do tyłu głowę i spojrzął na ledwo widoczne gwiazdy na niebie. Dlaczego teraz, o godzinie jedenastej, piętrzą się przed nim wszystkie przeszkody? Nie rozmyślaj, powiedział ze złością, tylko d z i a ł a j .

Podkrał się do nie oświetlonej części domu. Tutaj – jak sądził – w sypialni, okiennice były szeroko otwarte, żeby wpuścić chłodne powietrze, zanim mieszkańcy udadzą się na spoczynek. Sięgnął ręką, chwycił za parapet. Rewolwer brzęknął głośno o pofalowaną blachę. Feliks natychmiast opadł na ziemię, przykucnął. Cisza. Nakazał spokój bijącemu mocno sercu, wetknął rewolwer za pasek spodni, stanął na nogi i z pewnym wysiłkiem wdrapał się do pustej sypialni. Stanął przy oknie, nasłuchiwał, czy z drugiego pokoju nie dobiegają jakieś podejrzanе hałasy. Wszędzie panowała cisza.

Powoli oczy przyzwyczyły się do ciemności panujących w sypialni. Przy jednej ścianie stała drewniana skrzynia. W gęstym mroku dostrzegł wydłużony zarys kredensu. Przy łóżku stojak z miednicą. Dwa łóżka z wysokimi żelaznymi ramami, na jednym zmiętoszona pościel...

Oniemiał z przerażenia. J e d n o ł ó ż k o b y ł o z a j ę t e . Próbował przełknąć ślinę, ale jabłko Adama jakby nabrzmiało i zatykało mu krtań.

Zza paska spodni wyciągnął jak mógł najciszej rewolwer i zrobił krok do przodu. Postać leżąca na plecach pogrążona była w głębokim śnie, wydatny ostry nos rzucał cień na bladą ścianę.

Po stwierdzeniu, że tą osobą jest von Bishop, Feliks poczuł, że zbiera mu się na wymioty. Zrobił jeszcze jeden mały krok. Cud, że nie zaskrzypiały deski podłogi. Miał go wreszcie. Wymierzył z rewolweru. Broń drżała silnie w jego ręce. Był jednak tak blisko, że nie mógł chybić.

– Von Bishop – syknął. – Obudź się!

Leżący w łóżku nawet nie drgnął.

– Obudź się – powiedział ochrypłym głosem. – Obudź się!

Von Bishop nadal spał spokojnie.

Feliks zniżył broń. Co teraz? Podszedł jeszcze krok bliżej. Stał niemal nad von Bishopem. Nie słyszał oddechu. Trzymając w drżącej ręce broń, wymierzył w pogrążoną w cieniu twarz.

– Zbudź się! – Wyciągnął rękę, chcąc potrząsnąć go za ramię.

To absurdalne, pomyślał, nie mogę teraz zabić tego człowieka.

Usłyszał, jak z tyłu otwierają się drzwi.

– Nie żyje – powiedziała spokojnym głosem Liesl von Bishop. – Niech pan zostawi go w spokoju.

Przerażony i osłupiały Feliks zatoczył się do tyłu, gorączkowo zasłaniając twarz fałdami marynarki. Stracił równowagę, potknął się i szukając oparcia uderzył ręką w nieruchomą nogę von Bishopa.

Światło lampy naftowej, którą Liesl trzymała w ręku, padało na twarz leżącego mężczyzny. Oczy miał zamknięte, usta nieco rozchylone, skórę jakby lekko naciągniętą.

– M ó j B o ż e – wykrzyknął rozdygotany Feliks, nachylony nad von Bishopem, z trudem łapiąc powietrze. – Rany boskie!

Miał wrażenie, że się rozpada pod wpływem doznanego wstrząsu.

– Umarł dziś wieczór – powiedziała Liesl rzeczowym tonem. – Gdzieś przed trzema godzinami. Grypa. Hiszpanka, jak stwierdził doktor.

Feliks poczuł, że powoli wraca do siebie.

– Co się stało z pana twarzą? – spytała.

– Z czym? – Feliks dotknął fałdów marynarki.

– Z pańską twarzą. Dlaczego pan się maskuje? I broń – spytała już bardziej zaniepokojona. – Dlaczego trzyma pan w ręku rewolwer?

– Tak na wszelki wypadek – improwizował Feliks, ściągając z szyi marynarkę, mając nadzieję, że nie będzie musiał dłużej się tłumaczyć. – Dla samoobrony – zakończył nieprzekonywująco.

– Zobaczyłam pana przed domem – powiedziała. – Stał pan pod drzewem. Czekałam, aż pan podejdzie do drzwi. – Obdarzyła go znużonym, wyrozumiałym uśmiechem, jakby był głupiutkim dzieckiem, które wciąż ściąga na siebie kłopoty. Przesunęła się, żeby mógł przejść; Feliks wszedł do wąskiego hallu. Z zażenowaniem włożył marynarkę i schował broń.

– Chciał pan zapytać Ericha, co się stało z Gabrielem?

– Tak. – Dziwnie brzmiało imię Gabriela w jej ustach, wymawiała je z taką poufałością.

Twarz jej spoważniała.

– Muszę panu coś wyznać. Pan wie, że on nie żyje?

Feliks skinął głową.

– Wiem. Odnalazłem ciało. – Znow spjrzał na zakłopotaną twarz kobiety. Uświadomił sobie, że znała Gabriela przez dwa lata.

– Czy pani mąż... czy powiedział, co się stało? Z Gabrielem?

– O tak – odparła Liesl.

– Ale d l a c z e g o? – spytał błagalnym tonem, pragnąc nagle usłyszeć j a k i e ś wytłumaczenie. – Tylko to chce wiedzieć. Dlaczego? Dlaczego? Dlaczego?

– Dlaczego co? – Liesl zmarszczyła brwi.

Z i n t u i c y j n a jasnością, jaka czasami zdarza się we śnie, zdał sobie sprawę, że ona nie zna prawdy o śmierci Gabriela. Nie ma pojęcia, co się stało tamtej nocy na płaskowyżu Makonde, nie ma pojęcia, jaka rolę odegrał w tej tragedii jej mąż. Postanowił więc nic jej nie mówić. Wiedział, znow ze zdumiewającym przeświadczeniem, że lepiej zostawić to tak, jak jest. W końcu, pomyślał ze smutkiem, każdy ma swoją tajemnicę. Świat nie zawali się z powodu takiej drobnostki.

EPILOG

EPILOG

3 STYCZNIA 1919 ROKU

MOMBASA, BRYTYJSKA AFRYKA WSCHODNIA

– Co za ironia losu – powiedział Feliks. – Żeby po czterech latach wojny umrzeć na gripę.

– Delikatnie mówiąc – rzekł Temple.

– Wie pan – ciągnął Feliks – z pozostałych przy życiu niemieckich oficerów zmarło ponad połowę.

– Słyszałem – rzekł Temple. Był czymś zaabsorbowany. – A co było potem? – spytał. On, jego żona i Feliks stali na molo wyspy Mombasa. Feliks wracał do Anglii. Smithowie przyjechali go pożegnać.

– Rozmowa trwała krótko – odparł Feliks. – Spytałem o Gabriela. Powiedziała, że znała go bardzo dobrze. Ogromnie go lubiła. „Bardzo miły człowiek. Bardzo spokojny, uprzejmy.” – Feliks przerwał na chwilę. – Nie wspomniałem o płaskowyżu Makonde. Uważałem, że nikomu z tego nic nie przyjdzie.

Temple pogłaskał wąsik.

– Co ona teraz porabia?

– Czeką wciąż na repatriację. Powiedziała, że z niecierpliwością wygląda powrotu do kraju.

– Nie mówiła niczego o von Bishopie? Czegokolwiek?

– Nie. Nic. Chyba... wie pan, że leżał w sąsiednim pokoju...

– Tak, oczywiście. Rozumiem. – Temple był podniecony. – Czy przypadkiem nie padło z jej ust słowo „dekortykator”?

– Co takiego?

– Dekortykator. Nie wspomniała, co zrobił z nim von Bishop.

– Nie – odparł Feliks. – A co to takiego dekortykator?

– A więc zabiera tajemnicę do grobu. – Temple ujął się pod boki i spojrzał w ziemię. – Zagadkowa historia – powiedział. – Przeszukałem wszystkie niemieckie farmy dokoła Kilimandżaro i gór Pare. Nikt nie wie, co się z nim stało. Jakby rozplynął się w powietrzu. Ale jakim cudem? – Twarz jego wyrażała strapienie. – Przetopili go czy jak? Pocięli na kawałki? Był za duży – Spojrzał na żonę, szukając u niej potwierdzenia. – Czy nie tak, kochanie?

– Oczywiście – powiedziała pani Smith wpatrzona sennie w morze. – Niezwykle duży.

Przypominała Feliksowi jego matkę. A myśl o matce przywiodła na pamięć Stackpole. Jak będzie wyglądało jego życie po powrocie do domu? Bez Gabriella, bez Charis, z ojcem zamkniętym w zakładzie. Ogarnęły go złe przeczucia.

Dalej, na molo, wesoło przygrywała orkiestra wojskowa, rozpraszając jego posępne myśli. Batalion żołnierzy indyjskich, stojących w równych szeregach, przygotowywał się do wejścia na statek. Wyższy urzędnik w olśniewająco białym mundurze odbierał wartę honorową. Cztery działa lekkiej artylerii, obsługiwane przez wyelegantowanych kanonierzystów z KSA, stały w lufami wyceLOWANymi w morze, gotowe do oddania salwy honorowej.

– Wystrzały zaszkodzą pańskim oczom – powiedział Temple.

– Sądzę, że nastąpiła pewna poprawa – odparł Feliks bez większego przekonania. – W końcu pozbyłem się pamiętki po Wheech-Browningu. Nie chciałym, żeby każdy hałas mi go przypominał.

– Ostrzegalem pana – roześmiał się Temple. – Pamięta pan? Przy naszym pierwszym spotkaniu.

– Co się stało z Wheech-Browningiem? – spytała pani Smith.

– Bóg jeden wie – odparł Feliks. – Nie widziałem go już od czasu wybuchu.

– Ciekaw jestem, gdzie się podziewa – powiedział Temple.

Milczeli przez chwilę.

– To jeszcze jedna tajemnica – stwierdził Feliks.

– Nie można znać odpowiedzi na wszystkie pytania – rzekł Temple. – Życie nie toczy się po szynach. Nie zawsze zmierza tam, dokąd by człowiek chciał.

– To bardzo głębokie spostrzeżenie, mój drogi – orzekła pani Smith.

Temple spojrzał na żonę.

– Czy kpisz ze mnie, Matyldo? – spytał lekko zirytowany.

– Skądże znowu – pani Smith dotknęła uspokajająco mężowskiej ręki.

– No cóż, miło z państwa strony, że przyjechaliście mnie pożegnać – powiedział Feliks do Smithów. – W tym celu odbyli państwo daleką podróż.

– Drobnostka – rzekł Temple. – I tak chciałem przyjechać do Mombasy. Dziś po południu jadę na plantację drzew gumowych. – Temple zatoczył szeroki

łuk ręką, dając się na chwilę ponieść wyobraźni. – Widzę brzegi jeziora Džipe jako jeden wielki zielony las drzew gumowych.

Znów nastąpiła przerwa w rozmowie. Nie łączyła ich zbyt długa znajomość.

– W każdym razie to już koniec – powiedział Temple. – Powinniśmy się z tego cieszyć.

– Koniec czego?

– Wojny.

– Aha, wojny. Tak, to prawda. – Feliks pomyślał o wiadomościach, jakie wiozł ze sobą do Anglii.

Podszedł do nich boy i wziął walizkę Feliksa. Szalupa już czekała, by zabrać nielicznych pasażerów na liniowiec „Conway Star”, który kołysał się na kotwicy jakieś sześćdziesiąt metrów od mola.

Feliks pożegnał się ze Smithami.

– Proszę szybko wracać – powiedział Temple. – Niech pan nie czeka na następną wojnę.

– Kto wie – odparł Feliks. – Może tu jeszcze kiedyś wrócę.

*

Feliks opierał się o drewnianą poręcz relingu na odkrytym pokładzie i spoglądał na piękną zatokę. Z tej strony wyspa Mombasa wydawała się bardzo zielona, ładna. Za budynkami portowymi stały wśród drzew wspaniałe białe domy z arkadami i długimi werandami. W oddali ciągnęły się wzgórza. Mały cypel połyskiwał piaskiem plaży. Widać było kępę palni chylących się w stronę morza. Dokoła „Conway Star” stały inne statki. Liniowiec zabierający na pokład indyjskie oddziały wojskowe, stary parowiec, kilka arabskich bumów i dwa małe porządnie wyglądające niszczyciele.

Feliks obejrzał się na wybrzeże. Temple i jego żona stali na molo zgodnie z przyrzeczeniem, że pozostaną do odpłynięcia statku. Feliks widział ich z boku małej grupy odprowadzających. Pomachał ręką, a pani Smith odpowiedziała mu tym samym gestem, Temple odsunął się parę kroków i spoglądał na tłum, który przyszedł pożegnać batalion indyjski. Feliks zmrużył oczy przed rażącymi promieniami słońca. W górze rozciągało się ogromne, ciemnobłękitne niebo z nielicznymi małymi chmurkami. Przyszło mu na myśl, że niebo w Afryce wydaje się wyższe. Kiedy pułkownik indyjskiego batalionu wszedł na pokład, na brzegu orkiestra wojskowa zagrała „Boże, chroń króla”. Feliks znów pogрузzył się w myślach. Jak niebo może być wyższe? – zganił siebie: niebo nie ma wysokości. Znów spojrzął w górę. Potem z absurdalnym poczuciem, że dokonał odkrycia, zdał sobie sprawę, iż to chmury wznoszą się tu wyżej. Pokrywają niebo na większej wysokości niż w Europie i dlatego otaczający je błękit wydaje się tak niebotycznie daleki.

BUM! – zagrziała pierwsza pożegnalna salwa armatnia. W krótkich odstępach wystrzeliły trzy pozostałe. Feliks poczuł, jak siła uderzenia i huk kanonady odbijają mu się echem w głowie. Wszystko przed nim zadrżało, pokryło się mgłą, potem jakby rozprysło – wiedział, że tak się stanie. Molo, statki, morze, pochyle palmy migotały kapryśnie między wirującymi otchłaniami mikowego pyłu. Nic nie szkodzi, powiedział do siebie z rezygnacją. Za to w podróży będzie spokój. Pomachał ręką w kierunku, gdzie zdawało mu się, stoi Temple, żeby go na wszelki wypadek uspokoić. Znów zagrziała armaty. Będzie spokój w podróży, powtórzył, oślepiiony, oszołomiony, spoglądając na małe, wędrujące po niebie niezawodne chmurki, tańczące z ukontentowaniem w rozedrganym od echa powietrzu.